

CRIME SCENE - DO NOT CROSS

John **LUTZ**
SERYJNY

*Dobrze wie, jak zadawać ból. Będzie to robił nadal.
A one będą cierpieć.*

Prószyński i S-ka

John LUTZ
SERYJNY

Przełożył
Jarosław Skowroński

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału SERIAL
Copyright © 2011 by John Lutz

All rights reserved

Projekt okładki Anna Domasiewicz

Zdjęcie na okładce © Grischa Georgiew | Depositphotos.com

Redaktor prowadzący Adrian Markowski

Redakcja Wiesława Karaczewska

Korekta Małgorzata Denys

Łamanie Jacek Kucharski

ISBN 978-83-7839-416-7

Warszawa 2013

Wydawca

Prószyński Media Sp, z o.o.
02-697 Warszawa,
ul. Rzymowskiego 28
[www, proszynski, pl](http://www.proszynski.pl)

Druk i oprawa
Drukarnia TINTA
13-200 Działdowo,
ul. Żwirki i Wigury 22

Dla Barbary

Od wszystkich

CZEŚĆ I

Gdybym ożyła raz jeszcze,
Całowałabym palce deszczu
I piłabym oczami odblaski
Każdego srebrzystego skosu...

Edna St. Vincent Millay, *Odrodzenie*

Wtem słyszę pisk bólu!
Królik już w sidła wpadł...

James Stephens, *Sidla*

1.

Millie Graff miała obolałe stopy. Była hostessą w Mingles, nowej i popularnej restauracji przy Zachodniej Czterdziestej Piątej, niedaleko Times Square. Przez ostatnie pięć godzin nie miała chwili, by usiąść. Po pracy czekał ją krótki spacer - raptem trzy przecznice - a potem zejście długimi betonowymi schodami na peron metra. W zatłoczonym wagonie pewnie ktoś nadepnął jej na palce umęczonej stopy.

Nie narzekała jednak na pracę w Mingles. Zarabiała na tyle dobrze, że już niedługo mogłaby się przenieść z ciasnego mieszkanek w Village do czegoś większego, może na Upper West Side. W pracy czuła się pewnie, a istniała też wciąż szansa, że załapie się do jakiejś *chorus-line* gdzieś na off-Broadwayu.

Taniec to była pierwsza miłość Millie. Właśnie dlatego przeniosła się do Nowego Jorku z rodzinnego miasteczka w New Jersey. Taniec i marzenia - to kochała najbardziej.

Dbiała o linię i wciąż wyglądała jak tancerka: smukła szyja i tułów, mały biust, umięśnione nogi i ta eleganczka gibkość w kostkach, przyciągająca męskie spojrzenia.

Rzeczywiście, gdy wbiegała po schodach swojego domu, trzymając parujący pojemnik z jedzeniem kupionym po drodze w pobliskich *deli*, jakiś mężczyzna przechodzący obok posłał jej rozmarzone spojrzenie i pełen nadziei uśmiech.

Prędzej mi włosy na dłoni wyrosną - pomyślała Millie, dość okrutnie, z czego zdała sobie sprawę z pewnym żalem, gdy ramieniem otwierała drzwi do holu.

W windzie ani na korytarzu nikogo nie zauważyła. Wyjmując klucze z torebki, znów poczuła, jak bardzo jest zmęczona. Już samo uśmiechanie się przez siedem godzin może człowieka wykończyć.

Otworzyła zamek, przekreśliła wytartą mosiężną gałkę w drzwiach i weszła do środka.

Prawie nie zdążyła dostrzec, że dzieje się coś złego. Nagle pojawił się przed nią ten mężczyzna; jakby wyrósł z podłogi.

Millie zaparło dech. Parujący pojemnik z kurzymi skrzydełkami i brązowym ryżem upadł na ziemię i pękł.

Mężczyzna był tak blisko, że nie mogła objąć spojrzeniem całej jego postaci, uchwycić rysów twarzy. W pierwszej chwili zdawało jej się, że mężczyzna nie ma

koszuli, ale w ułamku sekundy dotarło do niej, że jest kompletnie nagi. Owionął ją jego zapach z nutą potu, poczuła ciepło ciała. Patrzyła na niego pod kątem sugerującym, że musi on mieć jakieś sześć stóp wzrostu.

Uśmiechnął się. To doprowadziło Millie, zawsze trochę spłoszoną, do skurczu gardła. Oddychała z trudem.

- Znamy się - powiedział.

Ale ona go nie знаła, w każdym razie nie bardzo.

- Mam dla ciebie prezent - powiedział.

Stała jak skamieniała, gdy przez głowę włożył jej naszyjnik. Zrobił to delikatnie, żeby nie zepsuć fryzury.

Dostrzegła szybki ruch jego ręki gdzieś na dolnym skraju pola widzenia. I nagły srebrzysty błysk. *Ostrze! Coś takiego...*

Czuł podniecenie, widząc zmieszanie w jej oczach. Najwyraźniej nie zrozumiała jeszcze, co się dzieje. Ostrze sprawiło najpierw wrażenie chłodu, zanim ból zagłuszył wszelkie inne odczucia.

Stał, podtrzymując ją, a jelita dziewczyny wiły się wokół jego lewej ręki niby jakieś ciepłe węże. Pomyślał, że to zdumiewające. *Niewiarygodne*. Wyraz twarzy Millie Graff świadczył niezbicie, że i ona była zdumiona. Zrobiła wielkie oczy. Poczul mocny puls erekcji.

Wiedział, że pomimo tak ciężkiej rany dziewczyna wciąż żyje. Położył ją ostrożnie na podłodze, żeby nie krwawiła zbyt mocno. Delikatnie oparł głowę Millie, tak by - gdy tylko ocuci ją amoniakiem - mogła widzieć, co jej robi. I zrozumieć, że to dopiero początek.

2.

- Czemu ludzie przy zdrowych zmysłach mają oglądać takie rzeczy? - zapytał Quinn.

Ale sam dobrze wiedział.

Komisarz nowojorskiej policji Harley Renz nie pojawiłby się na scenie tak krwawej zbrodni, gdyby nie uważał tego za naprawdę konieczną. Renz stał z tyłu, dość daleko od tego wszystkiego, co leżało na podłodze. W pokoju cuchnęło miedziowym odorem krwi.

Quinn od roku nie widział komisarza w tak poważnym nastroju. Klasyczny niebieski garnitur Renza wyraźnie rozchodził się w szwach, świadcząc, że korzystanie z drogiego krawca nie ma w przypadku niektórych osób sensu. Różowe policzki wzdymały się nad kołnierzykiem białej jedwabnej koszuli. Wygląd komisarza coraz wyraźniej zdradzał jego prawdziwą naturę: Renz był otyłym i skorumpowanym politykiem z cechami psa gończego. Zdawał się jakąś kreaturą o niepojętym

apetycie - i tym razem pozory nie myliły.

- Spójrzcie na nią! - powiedział. - Jezu! Tylko spójrzcie na nią!

To, czego żądał, nie było łatwe. Kobieta leżała na plecach na zakrwawionym dywanie, z rękoma i nogami szeroko rozrzuconymi, jakby się poddała i godziła na wszystko, co mogłoby zakończyć ten horror. Quinn wiedział, że koniec nie nadszedł szybko. Wyglądało na to, że ścięgnięta w zagięciach rąk i pod kolanami zostały przecięte, więc mogła tylko podrzucać kończynami. Podbrzusze zaś zostało otwarte jakimś nożem. Małe owalne przypieczenia skóry sugerowały przypalanie papierosem. Z tułowia zwisały strzępy skóry - zdaje się, że wycięto je nożem, a potem oderwano od ciała szczypcami.

Quinnowi ta masakra wyglądała raczej na robotę amatora, a nie kogoś obznajomionego z medycyną. Mordercy chodziło przede wszystkim o zadanie bólu, tortury.

Musiał to robić, kiedy jeszcze żyła.

Różowy zakrwawiony materiał, który wepchnięto jej do gardła, okazał się majtkami ofiary. Elastyczny pasek od tych majtek zawiązano ciasno wokół jej szyi.

Quinn spojrzął na Renza.

- Nift mówi, że ona wciąż żyła i że trwało to parę godzin - powiedział Renz. - Zaczęło się od brzucha... - Głos mu się lekko załamał. To nie było w jego stylu.

Quinn dopiero teraz zauważył gadatliwą i odpychającą obecność lekarza medycyny sądowej doktora Juliusa Nifta. Stał pod ścianą z jakimś mundurowym policjantem i z detektywem w cywilnym ubraniu, ale z odznaką w skórzanym etui, zwisającą z kieszeni płaszcza. Przy drzwiach wejściowych czekał jeszcze technik kryminalistyczny w białym kombinezonie i rękawiczkach. Wszyscy ci ludzie zdawali się trzymać jak najdalej od Renza.

- To dlatego jest tak dużo krwi - pośpieszył z wyjaśnieniami Nift. - Rany brzucha wyglądają strasznie, ale ofiara niekoniecznie musiała zaraz umrzeć. Nawet w tej sytuacji serce przez dłuższy czas pompuje krew. Jej głowa zalatuje amoniakiem. Sprawca mógł używać amoniaku jako soli trzeźwiących, kiedy tylko traciła przytomność. Wszystko więc czuła.

Quinn usłyszał jakiś cichy syk i zdał sobie sprawę, że to jego własny świszczący oddech. Przebywanie z martwą kobietą w pokoju, gdzie rozegrało się tak wielkie cierpienie, było jak zejście do jakichś katakumb, w których pochowano świętego. Potem zrozumiał, skąd przyszło mu do głowy takie skojarzenie.

Dostrzegł srebrną literę S na cienkim łańcuszku na ciele ofiary. Pochylił się, by dokładniej obejrzyć naszyjnik.

- To zwykły szajs, możesz coś takiego znaleźć w każdym sklepie z pamiątkami przy Times Square - powiedział Renz.

- No tak, ale to też może być jakiś ślad - wyjaśnił Quinn. Na odwrocie litery był malutki napis: „New York” .

- Zauważyłem to - zbył go Renz. Pewnie kłamał.

Quinn wyprostował się i rozejrzał po pokoju. Mały salonik był gustownie urządzony, z wiklinowymi sprzętami i dużą wiklinową maską na ścianie. Po przeciwnej stronie wisiała oprawiona reprodukcja *Tancerki* Degasa z nadrukiem „MoMA” w rogu. W sumie wyposażenie niezbyt kosztowne, ale też nie ubogie. Mieszkanko było ciasne, a okolica - East Village - nie najlepsza.

Quinn zastanawiał się wciąż, czemu ta sprawa jest tak ważna dla Renza. Nie wyglądało na to, żeby w grę wchodziły duże pieniądze. Ta kobieta żyła przyzwoicie, ale skromnie. A może istniały jakieś powody polityczne? Może była kochanką kogoś ważnego?

Ale nie. Gdyby tak było, Renz pociągałby już za odpowiednie sznurki. Tymczasem on wydawał się zaangażowany w sprawę osobiście, emocjonalnie. Nie z powodu szczególnej brutalności tej zbrodni. W swojej karierze naoglądał się dosyć przelanej krwi.

On...

Usłyszał Nifta:

- Z jej obecnego wyglądu trudno to odgadnąć, ale...

Uwaga - pomyślał Quinn, znając skłonność Nifta do sprośnych uwag na temat zabitych kobiet.

- ...ale miała atletyczną budowę, szczególnie jak na jej wiek... - Nift urwał, unikając wybuchu gniewu Renza.

- Chcę ci pokazać coś jeszcze - powiedział Renz, ignorując Nifta. Zaprowadził Quinna do małej łazienki.

Stała tam porcelitowa wanna na chwiejnych nóżkach, a na ścianie naprzeciwko zamontowano umywalkę. Całą łazienkę wyłożono białą i szarą glazurą. Białe ręczniki, poplamione krwią, leżały porozrzucone na podłodze i w wannie. Wanna i umywalka pomazane były krwią w jakieś wzory, wyglądające na bazgrały szaleńca.

- Ten skurwiel mył się tutaj po morderstwie - powiedział Renz. - Ale jest coś jeszcze. - Wskazał na szafkowe lustro, na którym ktoś, zapewne zabójca, namazał krwią napis: „Philip Wharkin” .

- Ten morderca? - zapytał Quinn.

- Możliwe. Skurwysyn prowokuje nas, żebyśmy go złapali. To się już wcześniej zdarzało. Może to jeden z tych...

- Cholera wie.

Quinn zbliżył się do lustra i przyjrzał koślawym czerwonym literom.

- Nie sędzę, żeby to był jeden z tamtych. Ten był ostrożny. Napisał to palcem umoczone w krwi, ale wydaje się, że miał gumowe rękawiczki. Jeśli nie znajdziemy czegoś nowego, trzeba to będzie uznać za

zbrodnię w afekcie, na tle seksualnym... może z zazdrości. Niewykluczone, że ofiara utrzymywała jakieś kontakty z tym Philipem Wharkinem i sprawy potoczyły się naprawdę źle.

- Ja też tak pomyślałem - powiedział Renz. - Jeśli rzeczywiście go znała, dojdziemy do tego. Na pewno!

Quinn widział, jak napinają się mięśnie na szczękach Renza. Nawet obwisłe policzki nie mogły tego przesłonić. Tak - to musiała być dla niego naprawdę ważna sprawa. Może z jakichś powodów od jej rozwiązania zależało, czy zachowa swoje nie całkiem uczciwie zdobyte stanowisko komisarza.

Wyszli z dusznej łazienki i wrócili do saloniku.

Technicy wciąż pracowali, korzystając z wolnej przestrzeni, pozostawionej przez Renza i Quinna. Nift na kolanach rozkładał swój czarny worek. Teraz ciało miało czekać na odwiezienie do kostnicy.

Zwłoki obojętnie znosiły działania wokół. Jasnobłękitne oczy dziewczyny, szeroko rozwarte z przerażenia, wpatrywały się w jakiś odległy horyzont, który wszyscy w swoim czasie zobaczą. Quinn poczuł ciarki na grzbiecie. Przed paroma godzinami to zakrwawione, okaleczone ciało było pełną życia, może nawet piękną kobietą.

- Ile lat mogła mieć? - zapytał Nifta.

Ale odpowiedział mu Renz:

- Dwadzieścia trzy. Dokładnie.

- Co, macie dowód tożsamości? - spytał Quinn.

- Tak.

Renz pochylił się nad ciałem i uniósł je nieco, żeby Quinn mógł zobaczyć plecy ofiary.

Jej barki i łopatki poznaczone były bliznami po oparzeniach. Quinn miał podobne na prawym barku i przedramionach.

- Tego nie zrobił jej morderca - powiedział Renz, układając ciało w poprzednim położeniu.

Quinn przyjrzał się znów rysom ofiary, próbując sobie wyobrazić, jak wyglądałyby niewykrzywione przeżeniem i bez krwawych plam.

Poczuł, że krew odpływa mu z twarzy. Potem zaczął drżeć. Nie mógł tych drgawek opanować.

- Tak. To Millie Graff - powiedział Renz.

3.

Gdy ciało Millie Graff zostało już odwiezione do kostnicy, Quinn i Renz ruszyli w przyjemnym letnim deszczyku do oddalonej o parę przecznic restauracji, która pomimo późnej pory była nadal otwarta. Usiedli w gabinecie z tyłu. Byli jedynymi gośćmi. Starszy facet, który wyszedł zza kontuaru, by podać im kawę, teraz siedział na drugim końcu lokalu, koło drzwi i kasy. Czytał gazetę. Był zgarbiony, jakby miał chory kręgosłup, a na jego nosie tkwiły okulary w grubych czarnych oprawkach.

Renz zrobił nieszczęśliwą minę; nie cierpiał przynosić ludziom złych nowin. Quinn sam się zdziwił, czując współczucie dla Renza. Obaj szanowali się wzajemnie, a właściwie swoje umiejętności. Trudno jednak powiedzieć, by byli przyjaciółmi. Renz był zaciekłym biurokratycznym karierowiczem i lizusem, napędzanym ambicją nieskrępowaną żadnymi względami empatii czy przyzwoitości. Do pozycji, którą zajmował, doszedł po

plecach wielu ludzi - i wciąż nie miał dość. W ogóle nie zanosił się na to, by kiedykolwiek zatrzymał się z własnej woli. Quinn uważał Renza za wiecznie niezaspokojonego socjopatę, który żeby dostać to, czego chciał, gotów był powiedzieć i zrobić wszystko, wykorzystując przy tym każdego. Renz natomiast sądził, że Quinnowi brakuje realizmu życiowego.

- Nie widziałem Millie od prawie piętnastu lat - odezwał się Quinn.

- Wyleczyła się, dorosła i została tancerką - powiedział Renz. - Oszczędzała pieniądze, żeby się przeprowadzić z New Jersey do Nowego Jorku. Chciała się dostać do teatru. - Siorknął kawy i zrobił taką minę, jakby połknął truciznę. - Wiem to wszystko od jej sąsiadów. Pracowała niby w Dzielnicy Teatralnej, ale pilnowała stołów w restauracji. - Wzruszył ramionami.

- Show-biznes...

- Od jak dawna była w mieście? - spytał Quinn.

- Od pięciu miesięcy.

Quinn spojrzał za okno i wrócił w myślach do chwili, gdy po raz pierwszy zobaczył Millie Graff. Miała na zębach metalowy aparacik, krzyczała coś szeroko otwartymi ustami i tłukła w zamknięte okno płonącego samochodu.

Jechał wtedy Dziesiątą Aleją swoim prywatnym samochodem, już po służbie. W pewnej chwili natrafił na uliczny korek, a gdzieś w oddali zobaczył słup dymu. Wskoczył z auta i pobiegł w tym kierunku. Gdy

przedarł się przez tłum gapiów, zobaczył, że jakiś mały suv leży na dachu, ale trochę ukośnie, bo z jednej strony opierał się o krawężnik. Płonął.

Na domiar złego z wozu wypływało paliwo. Tłum cofnął się, zdając sobie sprawę, że w każdej chwili może dojść do wybuchu. Ludzie bali się, a jednocześnie ciekawość nie pozwalała im odejść dalej. Kobieta prowadząca samochód leżała w samochodzie pod dziwnym kątem. Quinn pomyślał, że musiała sobie złamać kark.

Dziewczynką przyciskającą twarz do szyby była ośmioletnia Millie Graff. Udało jej się najwidoczniej odpiąć pas i próbowała się wydostać z samochodu, ale drzwi się zablokowały.

Quinn ruszył do wozu i nagle poczuł, że ktoś chwytą go za rękaw koszuli. Jakiś krępy mężczyzna z oczami wytrzeszczonymi ze strachu próbował go zatrzymać: „Człowieku, to zaraz wybuchnie! - krzyczał do Quinna. - Czuć benzynę. Nie możesz tam iść!”.

Dopiero gdy Quinn wyciągnął z kabury duży policyjny rewolwer, facet go puścił i cofnął się. Quinn dostrzegł przy sklepowym oknie niebieski mundur. Jakiś młody policjant stał tam, przyciśnięty plecami do ściany. Quinn pomachał do niego, żeby podszedł i pomógł mu. Ale ten człowiek nawet się nie ruszył. Nowojorski gliniarz sparaliżowany strachem.

Nie zważając na nic, Quinn podbiegł do suwa i zaczął walić kolbą rewolweru w szybę. Trzymał przy tym mocno

bębenek na pustej komorze naboju, żeby broń nie wypaliła przypadkowo. Dziewczynka przywarła dłońmi do szyby, więc dał jej znak, żeby się cofnęła.

Zrobiła, co kazał, a seria uderzeń rewolwerem - najmocniejszych, na jakie mógł się zdobyć - rozbiła szkło. Szyba nie wypadła całkowicie, ale otwór był na tyle duży, że mógł rękami wyciągać odłamki szkła. Ściągnął koszulę i owinał nią dłonie, by choć trochę zabezpieczyć się przed skaleczeniem.

Ogień dosięgnął już dziewczynki. Zaczęła krzyczeć, próbując gołymi rękami dusić płomień. Quinn widział, jak ogień obejmuje plecy jej bluzy, sięgając niemal do włosów.

Ten widok dał mu siłę, której sam się po sobie nie spodziewał. Wyrwał z drzwi resztki szyby.

Sięgnął do środka samochodu, chwycił ramię dziewczynki i wyciągnął ją z wozu. Ból uświadomił mu, że płomień ogarnęły i jego. Palili się oboje.

I wtedy Quinn spojrzał w głąb samochodu. Ani ból, ani strach nie przesłoniły mu malutkiej twarzyczki i machających rączek niemowlęcia, przypiętego do dziecięcego fotelika na tylnym siedzeniu.

Widząc, że na jezdni wokół niego pali się coraz więcej benzyny, wziął dziewczynkę na ramię i przebiegł na drugą stronę ulicy. Oddał ją w wyciągnięte ręce tłumu. Klepano go po ciele, żeby zdusić płomień, ktoś zarzucał mu na plecy koszulę.

A młody policjant wciąż tkwił pod ścianą. Pomimo bólu poparzonego gardła Quinn wrzasnął na niego: „Tam jest dziecko, po drugiej stronie, na foteliku z tyłu!”.

Mężczyzna nadal stał nieruchomo jak słup soli, ze wzrokiem wbitym przed siebie.

Quinn rozepchnął gapiów i pobiegł z powrotem do płonącego auta, ignorując wezwania, by się odsunął. Słyszał syreny. Wozy strażackie pojawiły się w dole ulicy, o przecznicę od miejsca wypadku. *Za daleko*. Płomienie ogarniały coraz większą część wnętrza samochodu. Pojazd wypełniony był dymem.

Obejrzał się i zobaczył dziewczynkę, którą wyciągnął z suwa. Przycupnęła na chodniku, otoczona ludźmi. Pochylał się nad nią jakiś człowiek - może lekarz.

Quinn ruszył znów do płonącego wozu. Nagła eksplozja odrzuciła go do tyłu. Pamiętał, że wzniosł się w powietrze, a potem uderzył głową w beton.

Później ogarnęła go dziwna miękkość. Jakby łagodnie spadał.

Kiedy odzyskał przytomność, a było to następnego ranka w szpitalu, powiedziano mu, że uratowana przez niego dziewczynka ma na barkach i ramionach poparzenia drugiego stopnia, ale żyje. Jej nastoletnia siostra, kierująca pojazdem, zginęła - tak samo jak dziesięcioletni braciszek na foteliku.

Okrzyknięto Quinna bohaterem, a „Times” opublikował jego zdjęcie z rodzicami ofiar i ich jedynym ocalałym dzieckiem - Millicent Graff.

Młodego policjanta, który w szoku nie był w stanie pomóc Quinnowi - i może uratować dziecko - usunięto z nowojorskiej policji za zaniedbanie obowiązków.

Nowojorska policja adoptowała jakby Millie Graff. Renz wykorzystywał to urocze dziecko jako polityczną maskotkę, ale nie brano mu tego za złe, bo czuł do Millie autentyczne przywiązanie.

A teraz...

- Hej, Quinn, mówię do ciebie - usłyszał głos Renza zza stołu.

- Przepraszam, zamyśliłem się...

- A gdzieś ty tak bujał myślami? - zapytał Renz ze smutnym uśmiechem. Dobrze znał odpowiedź.

Quinn poczuł teraz innego rodzaju płomień, gdzieś głęboko w trzewiach. Wiedział, co to znaczy. W pewnym sensie powitał owo uczucie z radością.

Morderca zabrał na zawsze coś cennego, co Quinn piętnaście lat temu ocalił. Teraz trzeba go będzie odnaleźć. I zostanie odnaleziony. Quinn pragnął tego nawet bardziej, niż Renz mógł sobie wyobrazić.

To była sprawa osobista.

4.

Renz jeszcze raz spróbował kawy, a potem odstawił filiżankę i odsunął ją od siebie.

- Wielbłądzie szczyny - zaopiniował.

Spojrzał twardo na Quinna.

- Czy ty, razem z tą twoją agencją śledczą, chcesz się zająć tą sprawą?

- A jesteś pewien, że „góra” się zgodzi?

- Teraz to ja jestem „góram” - przypomniał Renz. -
Może ty, ze swoimi detektywami z recyklingu, nie jesteś na fali, ale jeśli chodzi o seryjnych morderców, nikt cię nie przebije. Uświadomię wszystkim, że przyskrzylenie tego świra jest dla nas sprawą pierwszorzędną i musimy wykorzystać do tego najlepszych ludzi. Bo jeśli nam się nie uda i dojdzie do kolejnych morderstw, to wina za to spadnie na ludzi, którzy woleli śledztwo na pół gwizdka. A wtedy zrobi się w tym mieście fatalny polityczny smród.

A więc Renz miał też polityczne powody, by chcieć jak najszybszego ujęcia zabójcy. Ale to dobrze, skoro dzięki temu sprawa miała się dostać Quinnowi.

- Pewien jesteś, że to robota seryjnego mordercy? - spytał Quinn.

- Obydwaj to wiemy. Tak jak obydwaj wiemy, że ten zbrojeniec zabije ponownie, zapewne już niedługo. Wiesz, sposób, w jaki... zamordował Millie, świadczy, że ten pieprzony dupek będzie chciał... to powtórzyć.

- Zapewne - zgodził się Quinn.

- Ta sprawa dotyczy cię osobiście. Potrzebuje ciebie, a ty potrzebujesz jej. Ja też jej potrzebuję. Będzie jak kiedyś. Nie zrobimy tego na lewo. Miasto podpisze z tobą umowę. Oczywiście będziesz kierował całą akcją.

Quinn wiedział, że jeśli Renz czegoś chciał, to stawał na swoim. Był najpopularniejszym komisarzem policji w dziejach tego miasta. Nie trzeba nawet dodawać, że miał coś na prawie każdego, kto stał wyżej od niego w łańcuchu pokarmowym. W Nowym Jorku popularny komisarz policji z takimi „środkami nacisku” posiadał rzeczywistą władzę - choćby miała go ona kiedyś zaprowadzić do więzienia.

Quinn wyraził jednak pewne wątpliwości.

- Wiesz, Harley, ta sprawa faktycznie bardzo mnie interesuje, no, ze względu na Millie. Ale nigdy nie robiliśmy czegoś akurat takiego...

- Nic nie jest dokładnie takie, jak coś innego. To jak z płatkami śniegu.

Quinn zabębnił palcami w stół. Rzeczywiście, nie było większych wątpliwości, że zabójca Millie uderzy ponownie.

- Daj spokój z tymi gównianymi wahaniem - powiedział Renz. - Obaj wiemy, że to weźmiesz. Podpiszemy taką umowę, jaką mieliśmy wcześniej, tylko z wyższą stawką. Chcę mieć tego sukinsyna za wszelką cenę, Quinn.

- Widzę to, Harley. Ale nie bardziej niż ja.

- To co? Umowa stoi?

Quinn przestał bębnić.

- Tak.

- Kawa ci wystygnie...

- A niech tam...

5.

Dochodziła druga w nocy, gdy Quinn wrócił do swego mieszkania przy Zachodniej Siedemdziesiątej Piątej. Mieściło się ono na piętrze domu z brunatnego piaskowca. Dwa domy dalej znajdowało się mieszkanie, w którym Quinn mieszkał krótko ze swą ekszöną May, a potem jeszcze krócej z Pearl.

Próbował przekonać Pearl, żeby zostawiła swoje ma-lutkie mieszkanie i przeprowadziła się na stałe do niego, do tego kamiennego domu. Ale nie była zachwyco-na tym pomysłem. Owszem, spędzała u niego sporo czasu, nawet sypiała czasami, gdy zasiedziała się do późna i metro już nie kursowało. Nigdy jednak nie do-chodziło tam do seksu między nimi - zresztą gdzie in-dziej też nie, gdyż były narzeczony Pearl, Yancy Ta-ggart, zginął, ratując jej życie.

Quinn bardzo ostrożnie obchodził się z Pearl. Nie pozwalał sobie na żadne gwałtowne posunięcia. Ona wciąż opłakiwała Yancy'ego, choć od jego śmierci minął

już prawie rok. Quinn rozumiał to i liczył się z jej uczuciami.

Yancy był porządnym człowiekiem. On i Pearl mieli się pobrać. Zresztą Quinnowi też było bardzo przykro z powodu Yancy'ego. Ale czas mijał i życie toczyło się dalej, nie zatrzymując się w chwili, gdy Yancy oddał życie za Pearl.

Wszystko to mogło być naiwnością albo nieporozumieniem, ale prawda była taka, że Quinn chciał, żeby Pearl wróciła.

Na górze coś zagrzechotało. Potem rozległo się jakieś metaliczne „ping” i odgłos, który przypominał szorowanie tablicą po podłodze. Quinn ignorował te hałasy. Sprawdzał już wcześniej ich ewentualne źródła i nic nie znalazł. Stare domy lubią wydawać takie nieoczekiwane, tajemnicze odgłosy.

Dom z brnatnego piaskowca zbudowano w 1885 roku - i widać było po nim leciwy wiek. Quinn kupił go od miasta, traktując jako inwestycję. Górne kondygnacje remontował i przerabiał na dwa apartamenty, które można będzie wynajmować, aby spłacić hipotekę. Jednakże gdyby Pearl zdecydowała się do niego przeprowadzić, Quinn wynajmowałby tylko najwyższe piętro. Pierwsze, z dębową boazerią i pięknym kryształowym żyrandolem, stałoby się ich wspólną przystanią.

Od czasu do czasu zastanawiał się nawet, czyby nie wynająć Pearl jednego z mieszkań. Dzięki temu byłaby fizycznie bliżej niego. Mógłby to być pierwszy krok do

wspólnego życia. Nie miał jednak pewności, czy ta ewentualność wchodziłaby w ogóle w grę. Nie lekceważył bowiem przeszkód.

Zarówno on, jak i ona byli ludźmi niełatwymi we współżyciu, bo oboje nie zamykali oczu na ciemne strony rzeczywistości.

Może po prostu chodziło o ich silne osobowości. Quinn uwielbiał swoją pracę - analizy ludzkich relacji - i był ofiarnym, nawet bezlitosnym łowcą. Jakby zstąpił ze stron Starego Testamentu. Jego jedyną religię stanowiła Sprawiedliwość. Był opanowany, cierpliwy i nieugięty.

Pearl miała podobną obsesję na punkcie swojej pracy, ale nie odznaczała się aż takim opanowaniem, a już na pewno nie taką cierpliwością.

Quinna można by wziąć za pedantycznego marudę - dopóki obserwator nie uświadomił sobie, że żadne jego posunięcie nie było zbyt dobre ani skierowane w nieodpowiednim kierunku. I wtedy dostrzegało się w pełni przemyślane i precyzyjne ciosy, przed którymi tylko Bóg mógł ocalić ofiarę Quinna.

Choćby ścigany wykonywał najbardziej zaskakujące ruchy, detektywa dawało się zmylić jedynie na chwilę. Okazywał się niestrudzony, bezlitosny - a co najważniejsze, zabójczo skuteczny.

Pearl natomiast była od dziecka otwarta i szczerą aż do bólu. Była też twarda. Jej nastroje obejmowały pełen wachlarz - od irytacji do wściekłości. O ile Quinn brał

podejrzanego na lep swojego fałszywego irlandzkiego uroku, Pearl starała się kopnąć w najłabsze miejsce, żeby naprawdę zabolalo. Podejrzani zdawali się to wy-czuwać.

Quinn wszedł do sypialni, usiadł na brzegu łóżka i ściągnął kanciaste czarne bucioro rozmiar dwanaście. Czasami w przyćmionym świetle nocnej lampki widział oczami wyobraźni śpiącą Pearl. Przekroczyła już czterdziestkę, ale wyglądała niemal jak dziecko. Jej kruczo-czarne włosy, rozrzucone po poduszce, wyglądały niby cień. Nawet w chwili spoczynku mocne rysy twarzy i ciemne brwi, a także pełne czerwone usta, wyglądały tak pociągająco, że Quinnowi zapierało dech. Nie była wysoka - raptem pięć stóp z kawałkiem - ale pod cienkim białym prześcieradłem śmiałe krzywizny jej bujnej sylwetki tworzyły ponadczasowy pejzaż miłości. Na pozór zbyt się nie wyróżniała, ale Quinn wiedział, że drugiej takiej nie znajdzie na całym świecie. Pomogła mu zrozumieć sprzeczności i siłę kobiecej natury - choć może sama nie rozumiała ich do końca.

Ich związek, ich miłość warte były odbudowy. A odbudowa - warta pielęgnacji.

Quinn rozebrał się po cichu i powoli - by nie zbudzić wyimaginowanej Pearl - przeszedł na drugą stronę łóżka i wśliznął się pod prześcieradło.

Czy ja zwariowałem? Czy tak ją kocham, żeby wywoływać jej fantom, choć dobrze wiem, że Pearl tu nie ma?

W sypialni było cicho. Dochodziły jedynie stłumione odgłosy miasta. Odległy ruch uliczny, naznaczony od czasu do czasu syrenami i głosami żegnających się ludzi. Tylko to wkradało się do wnętrza ze świata po drugiej stronie okna.

Coś kliknęło, a potem odezwało się buczenie. To włączyło się urządzenie klimatyzacyjne zamontowane w oknie. Quinn poczuł, jak chłodne powietrze pieści jego nogi pod prześcieradłem. Wystawił spod przykrycia bosą stopę, żeby nacieszyć się łagodnym podmuchem. Nie pomyślał, że buczenie albo nagła cyrkulacja powietrza mogą obudzić Pearl. Pamiętał, że zwykle śpi mocno.

Ta Pearl, której *nie było*.

Po drugiej w nocy zadzwonił telefon. Quinn, wyrwany ze snu, podniósł słuchawkę. Nie rzucił nawet okiem, kto dzwoni, więc poczuł się prawie zaskoczony, słysząc głos rzeczywistej Pearl. A przecież miała zwyczaj dzwonić do niego o różnych dziwacznych porach.

Czy ona leży w łóżku i myśli o mnie? Czy wyobraża sobie, że leżę obok niej?

- Czego chciał Renz? - spytała.

Przełknął gorzką pigułkę.

- Jest po drugiej w nocy, Pearl. Opowiem ci jutro.

- Nie śpię i ty też nie śpisz - oświadczyła. - Nie lubię czekać parę godzin na odpowiedź.

Quinn ziewnął tak szeroko, że o mało nie zwichnął sobie szczękę.

- No dobrze, skoro nie śpimy oboje, to może spotkamy się gdzieś na kawie? A może potańczymy?

- Ty to jesteś cwany dupek...
- Owszem. Chyba już tak mam.
- Mów, Quinn.

Zaczął mówić. Wiedział, że nie miał nigdy uważniejszego słuchacza. Kiedy skończył, powiedziała:

- Nic mi się w tym wszystkim nie podoba z wyjątkiem kasy.

- Ja nie myślę specjalnie o pieniądzach.

- No taak... ty nie, ale Renz wręcz przeciwnie. A ponieważ ty masz misję, no to się dogadaliście.

- Dogadaliśmy się. Nic w tym złego, Pearl. W tej chwili nie chodzi o nic więcej. To sprawa biznesowa dla Q and A.

- Co, uważają nas za firmę odporną na kryzys?

- Może i tak. Pewnie dlatego zlecono nam sprawę tej biednej Millie Graff.

- I o to chodzi, Quinn.

- Co masz na myśli?

- Że to właśnie mi się nie podoba.

- Jesteś wkurzająca, Pearl.

- Już tak chyba mam.

Quinn zastanawiał się, czy nastąpi kiedyś chwila, gdy ich rozmowy nie będą się nieuchronnie kończyć przekomarzaniem.

- Powinniśmy się wyspać, Pearl. Śniadanie w porze obiadu?

- O ósmej - powiedziała i odłożyła słuchawkę.

Quinn zerknął na budzik przy łóżku. Rozbudził się już zupełnie. Od ósmej dzieliła go cała wieczność.

Przy śniadaniu w Lotus Dinner (Pearl zamówiła omlet wegetariański, a Quinn jajecnicę i kielbaski) Pearl spytała:

- To jak zamierzamy zagospodarować dzisiejszy dzień?

- Poślę Sala i Harolda na spotkanie z tym oficerem łącznikowym, którego przydzielił nam Renz. Niech zbiorą wszelkie informacje, jakie ma policja. Nie będzie tego dużo - zwłoki Millie jeszcze dobrze nie ostygły.

Pearl wydłubała widelcem kawałek brokuła z omletu i zaczęła go z rozmysłem przeżuwać. Popiła kęs kawą, też z rozmysłem.

- Może ta cała sprawa okaże się łatwiejsza, niż myślimy. Może Millie miała jakiś romans z tym Philipem Wharkinem, a on okazał się wariatem. Pokłócili się, no i... stało się, co się stało. Jednorazowy wybryk...

Quinn westchnął.

Kończyli swoje drugie kawy, gdy odezwał się telefon Pearl. Dzwonek stanowiły pierwsze takty tematu z serialu *Oblawa*. Wyciągnęła aparat z torebki i odruchowo podniosła klapkę, nie sprawdzając, kto dzwoni.

- Pearl? Jesteś tam, kochanie? Mam do ciebie ważną sprawę.

- Poczekaj chwilkę - powiedziała Pearl, odsuwając telefon od ucha. - To moja matka, dzwoni z Golden Sunset - wyjaśniła Quinnowi. - To potrwa chwilę. Może wyjdiesz sam, zobaczymy się w biurze...

Matka Pearl mieszkała w domu opieki Golden Sunset - Złoty Zachód - w New Jersey. Nie wydawał jej się wcale taki „złoty”.

- Pozdrów mamę ode mnie - powiedział Quinn i dopił kawę.

- Już jestem, mamó - odezwała się Pearl do telefonu. - Co takiego ważnego się stało?

- Czy ja dobrze słyszałam? Czy to ten sympatyczny kapitan Quinn?

- Tak, mamó. Właśnie wychodzi. Ale nie jest już kapitanem. No więc...

- Chodzi o duszone mięso - powiedziała matka. - Wiesz, skoro przyjeżdżasz, za rzadko oczywiście, do tego domu starców...

- Domu seniora...

- ...to czy bierzesz pod uwagę wieczór duszonego mięsa? Wielu ludzi traktuje go bardzo serio. Tradycje są szalenie ważne, nawet podtrzymują przy życiu, no wiesz, jak w tej piosence ze *Skrzypka na dachu*...

- Ale co się właściwie stało, mamó?

- Chodzi o to, że wieczór duszonego mięsa przenieśli z wtorku na czwartek.

Pearl była skonsternowana.

- No więc?

- Przenieśli go z wtorkowego wieczoru na czwartkowy... Tacy ludzie jak ty przyjeżdżają z wizytą w wieczór duszonego mięsa, bo to jest - zgodzisz się przecież - jedyne zjadliwe jedzenie, jakie tu dają. A właśnie czwartkowy wieczór jest wieczorem SKIP-BO. No i my, więźniowie...

- Pensjonariusze, mamó...

- ...musimy wybierać pomiędzy SKIP-BO i rozmową z odwiedzającymi...

SKIP-BO było grą karcianą, której Pearl nie знаła i nie chciała jej poznawać. A tym bardziej o niej gadać.

- Cholera! - rzuciła Pearl.

- Nie przeklinaj, kochanie.

- Mój telefon przerywa, mamó. Bateria mi siada. Zapomniałam ją naładować wieczorem.

- Na pamięć najlepsza jest nitka obwiązana wokół palca, tylko nie za mocno, żeby nie było brzydkich śladów na skórze...

Pearl zatrzasnęła telefon.

- Quinn cię pozdrawia - wymruczała jeszcze i skończyła kawę, zanim zrobi się całkiem zimna.

6.

Quinn siedział za biurkiem, przeglądając wczorajszą pocztę, gdy Pearl weszła do siedziby Quinn and Associates przy Zachodniej Siedemdziesiątej Dziewiątej. W biurze panował upał, choć klimatyzacja działała na maksa. Spod okna biura spływała zygzakami ku ulicy smuga rdzawej wilgoci. Pearl miała minę, która zwykle pojawiała się na jej twarzy po rozmowie telefonicznej z matką. Quinn potrafił to zrozumieć, choć właściwie lubił mamę Pearl.

Sal Vitali i Harold Mishkin byli już na miejscu. Vitali siedział za swoim biurkiem, kręcąc palcami młynka. Mishkin stał przy ekspresie do kawy, spoglądając w dół, na swoje pięści przyciśnięte do ud, jakby miał wystartować do sprintu. Vitali był niski, ale zbudowany jak niedźwiedź. Cerę miał smagłą i gęste, siwiejące czarne włosy. Jego głos przypominał barwę piłę łańcuchową.

- Harold przyniósł pączki - zazgrzytał.

Harold, oparty o ekspres, uśmiechnął się i kiwnął głową. Był szczupły i trochę się garbił. Jego brązowe, gładko zaczesane włosy rzedyły już, a szczęka niknęła pod wąskimi ustami i bujnym siwiejącym wąsem. Mishkin spełniał wszelkie warunki, by wyglądać na typowego mamlasa. Zmieniało się to tylko wtedy, gdy musiał zrobić coś szczególnie trudnego. Wtedy Mishkin, z drżącymi rękoma, nastroszonym wąsem i supłem w brzuchu, brał się do roboty. „Chodząca odwaga” - burczał wtedy Vitali, broniąc dobrego imienia swego długoletniego partnera.

- Wracam z porządnego śniadania - powiedziała Pearl. - Powinieneś nas uprzedzić, Haroldzie, że przyniesiesz pączki.

- Są takie, jakie lubisz - zapewnił Mishkin. - Lukrowane, z nadzieniem czekoladowym.

- Chcesz powiedzieć, że czytasz w moich myślach?

- On po prostu chce cię podtuczyć - wyjaśnił Vitali.

Pearl wzięła srebrny nóż do papieru i podniosła go tak, żeby odbłysek słonecznego światła uderzył w czule oczy Mishkina. Ten zdjął okulary i odwrócił się.

- Przecież on chciał ci sprawić przyjemność, Pearl - zazgrzytał Vitali. - Pomyślał, że po śniadaniu przydałby się jakiś deser. To nie jest niezgodne z prawem.

- Owszem, o ile miałabym ochotę na pączka.

- Na miłość boską! - westchnął Quinn, zdziwiony, jak pojawienie się Pearl może zmienić nastrój, a nawet temperaturę w biurze. - Czy ktoś sprawdził tego mordercę w książce telefonicznej?

Vitali wyglądał na zaskoczonego.

- Kogo?

- On się nazywa Philip Wharkin. To ten facet, który podpisał się na łazienkowym lustrze ofiary palcem umoczoną w jej krwi.

- Nie wiemy, czy to morderca - zauważyła Pearl.

- A wiemy, że to nie on? Czy wiemy, że to nie jest ten psychol z przymusem pozostawiania po sobie nazwiska na miejscu zbrodni?

- Myślę, że nie - powiedział Mishkin i spróbował swojej kawy. Skrzywił się, jakby była za gorąca.

- No więc zastanówmy się. Wiem, że facet nazwiskiem Philip Wharkin nie jest raczej rzeczywistym mordercą, ale są jakieś powody, dla których morderca zostawił po sobie to nazwisko, nawet jeśli chodziło mu tylko o wyprowadzenie nas w pole, żebyśmy stracili trochę czasu. Tyle że to nie jest strata czasu.

Przeszedł się po pokoju i stanął przed swoim biurkiem, spoglądając w oczy wszystkim z wyjątkiem Mishkina, który wciąż był odwrócony.

- Sal i ty, Haroldzie... macie się dowiedzieć wszystkiego o każdym z Philipów Wharkinów figurujących w nowojorskiej książce telefonicznej. Porozmawiajcie z nimi i dowiedzcie się, gdzie byli w czasie,

gdy zamordowano Millie Graff. Pearl pomoże wam przy komputerze... Z tego co wiemy, zabójca ma stronę internetową, gdzie przechwala się swoimi wyczynami. Kiedy przyjdzie Fedderman, pojedę z nim na miejsce zbrodni i przepytamy ludzi z sąsiedztwa. Może ktoś widział, słyszał albo wyczuł coś, co mogłoby mieć jakiś związek ze sprawą.

Vitali wstał i zaczął wypychać sobie kieszenie papierem i długopisami. Mishkin założył na swój kubek plastikową przykrywkę. Pearl wcisnęła się za biurko i włączyła komputer.

Siedziba Quinn and Associates wyglądała jak komisarjat policji - obszerne pomieszczenie bez żadnych ścianek działowych między biurkami. Wszyscy zatrudnieni w agencji byli wcześniej detektywami nowojorskiej policji, więc czuli się w tej scenerii jak w domu i natychmiast po otrzymaniu zadań brali się do roboty. Stare nawyki pozostawały we krwi, tym bardziej że Quinn je podtrzymywał.

Quinn, Pearl i Fedderman pozostawali nieustannie w szorstkiej przyjaźni, choć robili sobie niekiedy drobne przykrości. Gdy jednak sprawy posuwały się za daleko, Quinn występował zwykle jako rozjemca, godząc wszystkich ze sobą. Nie miał zresztą nic przeciwko takim spięciom. Słowne utarczki pomiędzy Pearl i Feddermanem miały dobry wpływ na ich sprawność intelektualną i skuteczność w pracy. Zabawne, ale kiedy

Vitali i Mishkin dołączyli do zespołu, nabrali tego samego zwyczaju sypania docinkami, lecz wobec siebie nawzajem byli znacznie wstrzemięźliwsi w słowach.

Tak jak w policji, pracowali razem. A Vitali chronił czasem bardziej wrażliwego Mishkina. Chemia między pracownikami Quinn and Associates była trochę żrąca, ale działała pomimo okazjonalnych napięć i zawirowań.

Quinn rzucił okiem na Pearl. W skupieniu wodziła komputerową myszą, wpatrując się w ekran niemal jak w transie. Nowy dzień. Trzeba się wziąć do roboty. Ranek, morderstwo i polecenia służbowe Quinna. Kolejny dzień polowania. Pomimo że Pearl i Quinn czasem się kłócili, zachowywała się w pracy tak samo jak wszyscy.

Może i była pyskata, ale w kwestiach zasadniczych stanowiła integralną i skuteczną część zespołu śledczego, wykonując rozkazy bez zwłoki i zbędnych pytań.

Drzwi się otworzyły i do pomieszczenia wtelepał się Larry Fedderman. Na jego ciemnym krawacie widać było pełno okruchów i plam. W dłoni ścisnął zatłuszczoną białą papierową torbę.

- Przyniosłem dla nas trochę pączków - powiedział.
- Pearl spojrzała na niego ostro.
- Weź te swoje pączki i wsadź sobie w...

Urwała w pół słowa, bo Quinn stanął przed nią z uniesioną dłonią: to był znak stopu.

Następnie podszedł do stojącego w drzwiach Feddermana, który wyglądał na gruntownie zdezorientowanego. W prawej ręce ścisnął zmiętą brązową marynarkę. Na jego koszuli pod pachami widać było ślady potu.

- Chodźmy, Feds - powiedział Quinn. - Pojedziemy tam, gdzie zabito Millie Graff. Może komuś z sąsiadów przypomniało się coś ważnego. Zdążyli się już przespać z tą sprawą.

Wychodząc, Fedderman cisnął na swoje biurko papierową torbę.

- Pączki są tutaj. Częstujcie się.

Po chwili z ulicy doleciał odgłos zatraskiwanych drzwi dużego lincolna, należącego do Quinna. Nieoznanego forda, podstawionego przez Renza, zostawił do dyspozycji Vitalego i Mishkina, żeby mogli pojechać na przesłuchania, gdy znajdą już swoich Wharkinów.

Gdy Quinn i Fedderman wyszli, w biurze zrobiło się nagle i nienaturalnie cicho, jakby zabrakło powietrza, w którym mogłyby się rozchodzić dźwięki.

Pearl, Vitali i Mishkin spojrzeli po sobie.

Kobieta wstała od komputera i podeszła do biurka Feddermana. Włożyła ostrożnie rękę do zatłuszczonej torby i wydobyla pączka z czekoladową polewą.

Przeniosła torbę w takie miejsce, by Vitali i Mishkin

mogli do niej sięgnąć. Obok położyła torbę z pączkami Mishkina.

Przyszwał czas na pracę zespołową.

I zastanowienie się, czy tym razem praca zespołowa wystarczy.

7.

Quinn i Fedderman rozdzielili się. Quinn zapukał do drzwi obok mieszkania Millie Graff, a Fedderman poszedł piętro wyżej. Millie zajmowała lokal narożny, więc od drugiej strony nie miała sąsiadów, a mieszkanie poniżej stało puste.

Kobieta mieszkająca obok Millie miała dobrą sześćdziesiątkę, ale ubrana była jak nastolatka w latach sześćdziesiątych. Nosiła wytarte dżinsy z modnie wystrzępionymi rozdarciami na kolanach i T-shirt w czerwono-niebiesko-zielone psychodeliczne kręgi.

Na wszystkich palcach miała pierścienie. Była nieumalowana i bosa. Jej rzednące siwe włosy zwisały w prostych kosmykach prawie do pasa. Paznokcie pomalowała na białą i ozdobiła je jakimiś skomplikowanymi czerwonymi znakami. Quinn już miał ją powitać „znakiem pokoju”, ale dał sobie spokój.

Wyjaśnił cel swojej wizyty, a potem starannie sprawdził dane.

- Margaret Freeman... czy tak?
- Przyjaciele nazywają mnie Free - odparła z uśmiechem w stylu Mary Travers.
- W porządku, Free - zgodził się Quinn, dodając w myślach: „Oho, ho”.

Obróciła się bokiem, żeby mógł wejść. Ku jego zaskoczeniu mieszkanie było urządzone w tradycyjnym stylu, nawet z sofą i dobranymi do niej fotelami. Na podłodze z wyfroterowanego drewna leżało kilka dywaników. Płaski telewizor pysznił się w kącie niczym jakieś bóstwo. Żadnych zasłon z koralików, żadnych plakatów gwiazd rocka, żadnego zapachu kadzidełek. Ani śladu aparatury stereo.

Kobieta gestem poprosiła Quinna, by siadł na sofie, co też zrobił, po czym zapytała go, czy nie ma ochoty na coś do picia, a on podziękował. W końcu usiadła naprzeciwko niego, na jednym z szarych foteli.

- Mówiłam już...
- Tak - przerwał jej Quinn. - Czytałem pani zeznanie.
- A więc wie pan, że używam większego pokoju jako gabinetu, a sypialnia Millie jest zaraz za ścianą.
- Może mi pani powie, co pani widziała albo słyszała, jeśli coś takiego w ogóle miało miejsce...

Free wzięła głęboki oddech. Jej piersi wydawały się zadziwiająco masywne pod kalejdoskopową koszulką.

- Około dziesiątej, bo pracuję do późna, poszłam do przedpokoju, by pozamykać drzwi, i chyba słyszałam,

jak ktoś puka do drzwi Millie. Potem dobiegły mnie jakieś głosy - kobiecy i męski - jakby rozmowa przez drzwi. A potem już nic. Wydawało się, że wpuściła tego kogoś do środka.

- Czemu tak pani sądzi?

- Gdyby go nie wpuściła, słyszałabym kroki na korytarzu. W tym domu słyszy się takie rzeczy.

- A nie było jakichś odgłosów kłótni? - zapytał Quinn.

- Nie, nic w tym rodzaju. Wróciłam do swojego gabinetu, ale nie zabrałam się już do pracy, tylko wyciągnęłam się na leżance, żeby poczytać. Nie zdziwiłam się, kiedy usłyszałam te same głosy, tylko cichsze, dochodzące z sypialni za ścianą.

Quinn pomyślał, że Free specjalnie została w gabinecie, żeby podsłuchać łóżkowe dialogi.

- To były przyjazne głosy? - zapytał.

- Trudno powiedzieć, nie mówili głośno...

Free rozglądała się na boki i w górę, jak ludzie usiłujący sobie coś przypomnieć.

- Czytałam powieść Sary Paretsky, nie zwracając specjalnie uwagi na głosy za ścianą, i dopiero po jakichś dwudziestu minutach usłyszałam coś, co przypominałam sobie *dopiero po* złożeniu zeznań policji.

Quinn poczuł, że krew zaczyna szybciej krążyć w jego żyłach. Chociaż Free miała pewnie na myśli jakieś głupstwo, nieprzydatne do niczego. Nie byli postaciami z powieści kryminalnej.

Free wbiła wzrok w Quinna, żeby zmusić go do skupienia uwagi.

- No więc przez dwadzieścia minut nie było żadnych głosów ani innych dźwięków... Może nawet dłużej. Ale potem, już po wpół do jedenastej, ten mężczyzna powiedział coś na tyle donośnie, że to usłyszałam. Mówił podniesionym głosem, ale niekoniecznie specjalnie wzburzonym. Chodziło mu chyba raczej o podkreślenie czegoś czy postawienie na swoim. Dopiero dziś rano wróciłam do tego pamięcią i jego słowa stały się dla mnie zrozumiałe.

- A co takiego powiedział? - spytał Quinn, zdając sobie sprawę, że Free stara się uzyskać dramatyczny efekt.

- Powiedział całkiem wyraźnie, teraz to sobie przypominam: „Zasłużyłaś na to”.

- I mówi pani, że nie wydawał się rozłoszczony?

- Nie, nie był nawet zdenerwowany. Brzmiało to tak, jakby Millie zadała mu jakieś pytanie, a on po prostu na nie odpowiedział.

Quinn wiedział, że Millie musiałyby zadać to pytanie wzrokiem, bo usta miała zakneblowane własnymi majtkami.

- A potem? - spytał.

Free wzruszyła ramionami.

- Nie było już żadnych głosów. W ogóle nic. Przenieśliśmy się z książką do sypialni i czytałam w łóżku, aż zasnęłam.

- Nie była pani zdziwiona czy zaniepokojona tym, co pani usłyszała?

- Wtedy nie. Jak już mówiłam, ten człowiek nie wydawał się rozgniewany. Mógł nawet mówić Millie, że zasłużyła na coś dobrego, co jej się przytrafiło...

Quinn nie bardzo w to wierzył.

- Może mi pani pokazać swój gabinet?

- Oczywiście.

Free wyplątała palce z nitek postrzępionych dziur na kolanach spodni i wstała. Quinn ruszył za nią krótkim korytarzem do pokoju o wymiarach dziesięć na dwanaście stóp, na oko licząc. Do głowy przyszło mu natychmiast słowo „zorganizowany”, bo taki właśnie był ten pokój. Komputer stał na specjalnym biurku.

Na szerokich drewnianych półkach stała drukarka z funkcjami kopiarki i faksu, a dalej porządnie poustawiane książki i poukładane pisma. Większość książek dotyczyła tematyki kryminalnej. Niektóre poświęcone były medycynie sądowej i analizom krwi. Spostrzegł też sporo pozycji o broni palnej. Na ścianie wisiała papierowa tarcza strzelnicza z sześcioma dziurami po kulach, rozmieszczonymi ciasno wokół samego środka.

- To mój wynik z policyjnej strzelnicy w Rodman's Neck.

- Pani jest miłośniczką broni palnej? - zapytał Quinn z pewnym zdziwieniem.

- Piszę o broni i jestem redaktorką „Firearms Today”, a także bloga. Jestem również rzeczoznawcą sądowym.

Quinn nie bardzo wiedział, co powiedzieć, i widać to było po jego minie.

- Rozumiem. Ludzie często tak reagują, kiedy im to mówię.

Quinn uśmiechnął się szeroko.

- No tak, szczerze mówiąc, spodziewałem się raczej zobaczyć u pani pistolet z fiołkiem wetkniętym do lufy.

- Owszem, to niezły pomysł.

- Jest może pani liberałką z lat sześćdziesiątych, którą kiedyś napadnięto?

- Nie. Wychowałam się na farmie w Iowa. Mój tata polował i strzelał dla zabawy do celu. Dlatego już jako dziecko interesowałam się bronią. I to mi zostało, po prostu.

Quinn podszedł do obitego skórą fotela, stojącego w kącie. Dotknął oparcia.

- Czy to tutaj siedziała pani, gdy usłyszała te głosy... między dziesiątą a za piętnaście jedenasta?

Free skinęła głową.

Przyjrzał się ścianie dzielącej dwa mieszkania.

Na dole był niewielki otwór wentylacyjny, przysłonięty małą żaluzją, pomalowaną na jasny beż, tak jak cała ściana.

- Czy głosy dochodziły przez ten otwór?

- Głównie.

- Czy coś jeszcze sobie pani przypomniała? Czasami opowiedzenie o jednej rzeczy uruchamia dalsze wspomnienia...

- Niestety, tym razem raczej nie.

Quinn wrócił do salonu, a za nim Free. Podziękował za czas, jaki mu poświęciła. Już w drzwiach zatrzymał się i odwrócił.

- Czy jest pani pewna tych słów?

- Tak: „Zasłużyłaś na to”.

- Coś jeszcze? - zapytał na wszelki wypadek.

Free uśmiechnęła się.

- Może jointa? - rzuciła kpiąco.

Quinn spojrzał w sufit. Wyczuła go.

- Żartowałam - wyjaśniła.

- Wiedziałem.

- No tak, ale to dziwne... tyle wiem o broni palnej, a za ścianą zamordowano kogoś zwykłym nożem.

- Zabawne...

- No, niezbyt.

- Myślę o tym, że dopiero co zaferowała pani gli-niarzowi jointa... No, czas na mnie... Pokój! - rzucił pożegnanie.

Czekając na Feddermana w korytarzu na dole, Quinn pomyślał, że jeśli trzeba będzie porozmawiać jeszcze raz z Free, pośle do niej Pearl.

8.

Tego samego dnia później Quinn, Pearl i Fedderman siedzieli razem w biurze, gdy drzwi się nagle otwarły i do wnętrza wpadł jakiś marnie wyglądający czterdziestolatek. Trzymał się na nogach dość chwiejnie. Był średniego wzrostu i miał na sobie brudne szare spodnie w prążki oraz marynarkę *prawie* od kompletu. Jego biała koszula dobrze już pożółkła, a krawat był byle jak zawiązany i poplamiony. Buty - zdarte, a jeden niezawiązany. W porównaniu z przybyszem nawet Fedderman wyglądał jak dandys.

Mężczyzna oparł się jedną ręką o ścianę i powiedział:

- Quinn...

Potoczył zaczerwienionymi oczami po pokoju.

- Człowieku, jesteś pijany! - rzuciła Pearl. - Wynoś się stąd, do diabła.

- No i dobra, jestem, kurde, pijany, ale nigdzie się nie ruszę, dopóki nie znajdę Quinna.

- Tu jestem. Już mnie znalazłeś - odezwał się Quinn. Wstał i wyszedł zza biurka, przyglądając się pijanemu mężczyźnie. Kątem oka zauważył, że Fiederman też wstał, na wypadek gdyby nietrzeźwy gość zaczął sprawiać kłopoty.

- Spieprzaj, dziadu! - rzuciła Pearl.

Quinn podniósł rękę i Pearl ucichła. Coś się kryło za tą wizytą.

Mężczyzna zdjął dłoń ze ściany, pozostawiając ciemny ślad, i stanął niemal pokornie przed Quinnem.

- Znam cię - powiedział Quinn. - Jesteś Jerry Lido.

Zobaczył znów tam tego młodego policjanta, który stał jak słup soli, sparaliżowany strachem, i przyglądał się, jak giną dzieci.

- Z początku nie chciałem tu przychodzić - powiedział Lido. - Nie byłem pewien, jak będzie: czy mnie wysłuchasz, czy wyrzucisz na zbity pysk...

- Wysłucham - odparł Quinn. Nie był pewien, jakie właściwie uczucia wzbudza w nim ten człowiek. Z jednej strony, brzydził się nim za to, co zrobił - a raczej za to, czego nie zrobił. Ale z drugiej strony, jak mógł temu facetowi nie współczuć? Sam miał do siebie pretensje, że nie dostrzegł od razu brzdąca na dzieciennym foteliku.

- Nie myślę, że zasługuję na drugą szansę - powiedział przybyły - ale jednak przyszedłem...

- Dlaczego?

Przez kilka sekund Lido jakby sam się nad tym zastanawiał.

- Może słyszałeś... że zainteresowałem się komputerami... Jestem teraz dobry w te klocki...

- Słyszałem, że z ciebie geniusz w te klocki. Różne twoje numery są trochę nielegalne, ale jesteś za bystry, żeby dać się złapać.

Lido uśmiechnął się pośpiesznie.

- Jestem też za sprytny, żeby się do tego przyznać.

- W porządku - odparł Quinn. - Powiedz wreszcie, dlaczego mnie szukałeś.

- Przeczytałem w gazecie, co się stało z Millie Graff - wyjaśnił Lido. Kiedy to mówił, skręcał się, jakby przeżywał jakiś wewnętrzny ból. - Chciałem coś z tym zrobić, więc przeczytałem wszystko, co o tym napisali. Potem porozmawiałem z paroma znajomymi, którzy pracują jeszcze w policji. No i wreszcie usiadłem za komputerem. Widzisz przed sobą człowieka, który głównie ma - oprócz sprzętu. Wydałem na niego każdą dziesięciocentówkę, jaką udało mi się wyżebrać albo pożyczyć, i potrafię z tym pracować, jakbym dyrygował orkiestrą. Nie uwierzyłbyś...

- Do rzeczy, Jerry.

Lido ruszył się od drzwi i stanął przy biurku Pearl.

- Posiedziałem trochę na necie i dowiedziałem się tego i owego o tym Philipie Wharkinie. No i macie...

Kiedy mówił, gestykulował mocno lewą ręką i niechcący zrzucił z biurka Pearl pusty kubek po kawie.

Naczynie stuknęło głośno o podłogę, ale nie rozbiło się.

- Cholerny pijanica! - rzuciła Pearl. Widać było, że krew zaczęła w niej buzować. Wstała i odepchnęła mężczyznę od swego biurka, ale Jerry odbił jej rękę w bok.

- Nie dotykaj mnie, ty gliniarzo!

Pearl wyskoczyła zza biurka, a Lido zrzucił wszystkie papiery z blatu na podłogę i jeszcze warknął na kobietę, zagradzając jej drogę.

Pearl nie cofnęła się. Lido zamachnął się na nią, ale chybił. Ona już miała mu oddać, lecz Quinn złapał ją za obie ręce. Fedderman tymczasem chwycił pijanego za pasek i kołnierz koszuli i odciągnął go od Pearl.

- Uspokójcie się, do cholery! - krzyknął Quinn.

Odwrócił się do Pearl, rozdzielając ją z awanturnikiem.

- Wrzuciłaś sobie na luz? - szepnął jej do ucha.

- A co, nie widać? - burknęła.

Quinn czuł, że cała drży.

Siłą usadził ją z powrotem za biurkiem. Odwrócił się i zobaczył, że Lido zwija się na podłodze.

Fedderman stał nad nim i kręcił głową.

- Trochę się zagalopował, to mu przyłożyłem... - Spojrzał na Pearl. - Nic ci nie jest?

- A kto pozbiera ten cały bajzel z podłogi? - rzuciła.

- Ja - odparł Fedderman i zaczął podnosić papiery.

To był najskuteczniejszy sposób na ułagodzenie Pearl. Wzięła kilka głębokich oddechów.

Lido usiadł, ale wciąż pozostawał na podłodze. Ramiona skrzyżował na piersi, jakby mu było zimno.

- Jezu! Co ja narobiłem. Strasznie was przepraszam!

Wstał na czworaki i zaczął pomagać Feddermanowi. Podniósł feralny kubek Pearl i odstawił go ostrożnie na jej biurko.

- Wybacz mi, proszę...

- Spier...!

- Jerry, wstawaj! - odezwał się Quinn, sądząc, że zwrócenie się do byłego policjanta po imieniu rozładuje trochę napięcie. Pomógł mu wstać na nogi. Miał wrażenie, że Lido nie waży więcej niż pięćdziesiąt kilo. Posadził go na jednym z krzeseł dla klientów.

- Więc co masz do powiedzenia, Jerry?

- Chcę wam pomóc w tej sprawie. Chcę to zrobić dla samego siebie, żeby zyskać choć trochę... szacunku dla własnej osoby. Potrzebuję tego, żeby móc się wreszcie ogolić bez pokusy podejrzenia sobie gardła... - Wyglądał na bliskiego płaczu. - Będę mógł wreszcie podzielić się tym, co potrafię. Umiem dotrzeć do takich miejsc w Internecie, że nigdy byście nie uwierzyli. Do takich baz danych, o których nawet nie słyszeliście, bo są ściśle tajne.

- Chodzi ci o nielegalne wejścia? - spytał Fedderman.

- Nie zmuszajcie mnie, żebym się zatrzymywał na jakiejś granicy - powiedział Lido. - Ja chcę tylko pomóc. Powiedzieć, co znalazłem. Czy komuś szkodzę?

Quinn spojrział na bałagan na podłodze, uprzążony wciąż przez Feddermana, nieład na biurku Pearl i ogień wściekłości w jej oczach.

- Nie, Jerry, nie...

- O Jezu! - westchnęła Pearl.

- Ale co masz nam do powiedzenia, Jerry? - powtórzył Quinn.

- Chodzi o tego faceta, którego nazwisko było na lusterku, Philipa Wharkina...

- Przecież to nazwisko nie pojawiło się nigdzie w prasie...

Lido machnął ręką.

- Już ci mówiłem. Dostałem się na inne miejsca.

- Nielegalne połączenia internetowe?

- Wisi mi to i powiewa. A nawiasem mówiąc: wiecie, gdzie po raz pierwszy wypłynęło nazwisko Wharkina? Na ekskluzywnej liście Socrates's Cavern w latach sześćdziesiątych. - Lido poniósł głos, jakby dostosowując się do fali alkoholowych oparów, które uderzyły mu do głowy. - Pamiętasz, Quinn, jakie to było miejsce? Taki klub sadomaso dla lepszych gości, gdzie przychodziły różne zboki. Sprawdziłem różnych Philipów Wharkinów... To nie jest zbyt popularne nazwisko. Jeden taki mieszka w Queens i ma osiemdziesiąt lat. Inny to dziewięcioletni czarny chłopak, uczeń szkoły w Bronksie.

Potem jest facet działający na Wall Street, sprzedający kiedyś papiery dla Brent and Malone. Jest też Wharkin, który przeszedł na emeryturę w 1980 roku i zmarł na atak serca w Toms River w 1982.

Quinn zastanawiał się nad tym, co mówił Lido.

Nie były to informacje specjalnie wartościowe, ale dawały się łatwo sprawdzić i mogły zaoszczędzić sporo niepotrzebnego szwendania się po mieście. Poza tym Lido desperacko pragnął pomóc rozwiązać sprawę tego morderstwa. Quinn potrafił to zrozumieć.

- Wiesz, Jerry, nie jestem pewien, w jakim stopniu nam to pomoże...

- Nie gadaj, Quinn. To tylko parę klocków z tej układanki. Ale wprowadza element sadomaso. To jest cholernie ważne!

- On ma rację - oznajmił Fedderman. - Na łańcuszku na szyi ofiary była litera S. To może oznaczać „Socrates”.

- Zgadzam się - przytaknęła Pearl. Podniosła jakiś spinacz do papieru i cisnęła nim w Jerry'ego Lido najmocniej, jak potrafiła. Uchylił się, ale i tak dostał.

- No dobra, Jerry - powiedział Quinn. - Jesteś przyjęty i dostaniesz swoją działkę.

- Nie chcę żadnych pieniędzy - odparł Lido. - W każdym razie nie teraz, nie teraz...

- Nie zgrywaj męczennika, człowieku...

- Nie zgrywam, Quinn. Wiesz przecież.

- No tak, wiem.
- Dowiem się dla ciebie więcej - obiecał Lido. Podniósł się z trudem z krzesła. - Wróć. I złożę raport.
- Dobrze, zrób to, Jerry - powiedział Quinn. - Dajmy ci do wglądu akta sprawy, żebyś miał na czym pracować...

Lido wytarł nos.

- To świetnie. Dziękuję ci... wam wszystkim. Naprawdę dziękuję.

Zatoczył się do drzwi, opierając się ręką o ścianę i przekrzywiając duże zdjęcie panoramy Nowego Jorku, tak że wszystkie drapacze chmur niebezpiecznie się pochyliły. Udało mu się jednak otworzyć drzwi, a nawet zamknąć je za sobą.

Troje detektywów odprowadziło go wzrokiem.

- To będzie chodząca beczka z prochem - powiedział Fedderman.
- Najgorsze, że nie mamy miejsca w schronie - zauważyła Pearl. - Zresztą schron też by rozwalił.

- A co z tym Socrates's Cavern? - spytała Pearl.

- Był taki lokal na West Side - powiedział Fedderman. - Wszyscy siedzieli tam dobrowolnie, tak mówili. Niegreczne dziewczyny i chłopcy w klatkach, *bondage*, chłosta... - Fedderman wpatrywał się w kubek świeżej kawy, przygotowanej dla Pearl. Postawił go na serwetce, a obok położył łyżeczkę. - Bywały tam różne

zboki, także młodociane, udające dorosłych. Tak mówiono... Podobno ostro się zabawiali.

- Mówisz, jakbyś tam był - zauważyła Pearl.

- Bo byłem. Krótco przed zamknięciem tego miejsca w latach siedemdziesiątych. Dostaliśmy wezwanie w sprawie napastowania... Ale kiedy się tam zjawiliśmy, nie mogliśmy znaleźć ofiary. To znaczy - połowa ludzi, z którymi rozmawialiśmy, mogła zostać uznana za ofiary. Spora część była w kajdankach, tak dla zabawy, czy ja wiem... Miałem młodego partnera, nazywał się DeLancy. Spytał parę domin w czarnych skórach, co to jest złoty prysznic. One zaczęły się z niego naśmiewać, a chłopak nie miał pojęcia, co jest grane. No i wyszliśmy stamtąd, nie aresztując nikogo.

Pearl odchyliła się w swoim krześle, odsuwając się od komputera, który jakimś cudem nie znalazł się na podłodze z powodu gestykulacji Jerry'ego.

- No i co pomyślałeś, Feds? Że demon seksu odbywał tam swój sabat?

- Cóż, myślę, że te same rzeczy dzieją się i dzisiaj, ale są bardziej...

- ...bardziej podbudowane intelektualnie - wtrącił Quinn. - Dzięki temu nabrały szacowności, no i zyskały klientów z wyższych warstw.

- Jak w klubach Playboya? - rzuciła Pearl.

- Jak w klubach Playboya z kajdankami i chłostą - przytaknął Quinn.

- Czy to możliwe, że nasz morderca nazywa się przypadkiem Philip Wharkin? I przypadkiem podpisał się krwią na łazienkowym lustrze? - zapytał Fedderman.

- Bardziej prawdopodobne wydaje się - odparł Quinn - że ktoś, kto znał Wharkina, użył jego nazwiska. Udając Wharkina, racjonalizował swoją zbrodnię.

- Myślę, że jest to nowa, bardziej współczesna wersja Socrates's Cavern - powiedział Fedderman.

- A my się dopiero o niej dowiadujemy.

- A może on chce, żebyśmy tak myśleli - zauważyła Pearl.

- Może jest i tak, i tak - zgodził się Fedderman.

- Myślenie życzeniowe - rzuciła Pearl pogardliwie.

- Ale nie jest to wytwór tej części ciała, na której nosisz kapelusz.

Fedderman zignorował uszczypliwość.

- Pamiętam, jak zrobiliśmy nalot na Socrates's Cavern. Były tam kobiety, które prowadziły facetów na smyczy.

- DeLancy... - odezwał się Quinn.

- Taak... Mój dawny partner Freddy DeLancy...

- O ile pamiętam, związał się z jakąś kobietą z Socrates's Cavern. Narobił tyle brudu, że musieli to mocno przykrywać. Opuścił policję nowojorską i przeniósł się do Kalifornii.

- Tak, został nudystą - uzupełnił Fedderman. - Ten klub musiał na niego mocno wpłynąć.

- No, ale to nie są te same rzeczy - zauważyła Pearl. - Socrates's Cavern i jakaś kolonia nudystów...

- Ale DeLancy nie należał do żadnej kolonii, był... no... nudystą niezależnym. I w takich miejscach, gdzie to nie było dobrym pomysłem, w miejscach publicznych, na przykład w autobusach...

- Wracając do punktu wyjścia... - powiedziała Pearl. - Albo to coś, co może być współczesną wersją Socrates's Cavern, albo też mamy do czynienia z jakimś świrem, działającym na własną rękę, ale znającym ten klub i wzorującym się na nim.

- Albo to nie jest żaden świr, tylko chce, żebyśmy zaczęli szukać jakiegoś nowego Socrates's Cavern - zauważył Quinn.

- Mnie się zdaje, że to coś nowego - oświadczył Fedderman.

- Łudzisz się - zgasiła go Pearl.

- Może, ale co z tego? Robota detektywa bywa czasami interesująca, no nie?

- Dajesz się łatwo wpuszczać w maliny - zauważyła Pearl.

- Ja i DeLancy... - mruknął Fedderman.

- Nie chcę nawet o tym myśleć - powiedziała Pearl.

- Ale może i to przyszło mi do głowy...

9.

Nora Noon stała koło swojego stoiska w ceglanym budynku szkolnym na West Side, gdzie co tydzień urządzano pchli targ. Za drzwiami długiego korytarza było gorąco i parno. W głębi szkoły było chłodniej i sucho.

Deszcz generalnie nie sprzyjał targowi, jako że większość stoisk z antykami i osobliwościami mieściła się na szkolnym podwórku. Ale Nora nic nie miała przeciwko takiej pogodzie. Zauważyła drobną kobietę z postawnym facetem, która przeszła już trzy razy obok jej kramu, przypatrując się oryginalnemu okryciu, zaprojektowanemu i wykonanemu przez Norę. Wiedziała, co ta kobieta sobie myśli: ona i Nora są podobnego wzrostu i całkiem kształtne, więc jeśli Nora uszyła coś, co dobrze na niej leży, będzie to też wyglądało korzystnie na większości kobiet o podobnej sylwetce.

Kobieta i jej przystojny towarzysz zwolnili i podeszli do stoiska Nory. Mężczyzna zmierzył ją taksującym spojrzeniem, które dobrze знаła, nie miała nic przeciw niemu. Była do niego przyzwyczajona, nawet sprawiało jej przyjemność, bo dobiegała już trzydziestki. Można było uznać owo spojrzenie za bezsłowny komplement.

Zatrzymawszy się przy wieszaku z kreacjami Nory, przystojny facet zachował dystans, natomiast drobna kobieta sięgnęła po zwiewną szatę z szarego kaszmiru i bawełny, z dobranymi do niej chustą i szalem, udrapowanymi na kształt kołnierza. Kobieta była całkiem ładna. Miała blond włosy, ciemniejsze przy skórze i podobne do włosów Nory, a także uderzająco piękne ciemne oczy, nieprzypominające jej błękitnych. Oglądała metkę.

- To pani? - spytała. - Nora N.?

Nora uśmiechnęła się i skinęła głową.

- Ma pani sklep? - spytał przystojniak, zbliżywszy się do stoiska. Był szeroki w barach i nosił starannie przystrzyżoną szpakowatą brodę.

- No, mam parę miejsc, gdzie wystawiam swoje rzeczy - odparła Nora. - Czasami nawet występuję jako modelka własnej marki.

Przystojniak uśmiechnął się. Musiał już mieć swoje lata. Jego żona - czy kimkolwiek była kobieta - wyglądała na dwadzieścia lat młodszą.

- Pracuję w okolicy, gdzie mieszkam, w Village, i sprzedaję swoje rzeczy w takich miejscach jak to, a także przez Internet. To są same unikaty, z tym że ja projektuję dla normalnych ludzi, a nie dla modelek, które mają sześć stóp wzrostu, a ważą sto dwadzieścia funtów...

- No i mają zaburzenia trawienne - zauważył przy stojniak.

Nora uśmiechnęła się.

- Tak, czasami...

- To mi się podoba - oświadczyła drobna kobieta o czarnych oczach, wślizgując się w dopasowany płaszczyk.

Nora przyznała jej rację. Rzeczywiście wyglądała w tym świetnie.

- Jak na panią szyty - powiedziała - choć nie spotkałyśmy się nigdy wcześniej.

Odegrali razem dobrze znaną scenę: Nora zapewniła klientkę, że wygląda w tym stroju fantastycznie, a przy stojniak potwierdził, że tak jest w istocie.

Naprawdę wyglądasz świetnie - pomyślała Nora. Z przyjemnością sprzedawała ten wytwór swoich rąk. Wróciła myślą do pracy przy tej rzeczy, przy projektowaniu i szyciu. Wiedziała, że kobieta chce kupić płaszczyk. A ona, Nora, też wiedziała, czego chce. Pragnęła osiągnąć sukces w branży. Pewnego dnia marka Nora N, zacznie się sprzedawać w najlepszych sklepach. Nie

miała co do tego wątpliwości - musiała tylko nadal usilnie pracować.

I pracowała bez wytchnienia. Była coraz lepsza w projektowaniu i biznesie. Coraz lepiej wiedziała, co i jak sprzedawać.

- Ile to kosztuje? - spytał przystojniak. Mówił jak facet, który chce być hojny dla swojej pani.

- Trzysta dolarów - odparła Nora.

Kształtna kobietka, wyglądająca piekielnie sexy w płaszczu, który chciała mieć, posłała swojemu towarzyszowi zmiękczające spojrzenie. Przystojniak kiwnął głową i uśmiechnął się w sposób, który zdobył mu sympatię Nory.

- W porządku, jeśli ci się podoba...

Facet miał klasę, nie chciał się targować.

Nora posłała mu uśmiech. *Człowieku, ty też uwierzyleś w markę Nora N.*

Przystojniak zapłacił kartą Visa, a Nora odprowadziła wzrokiem parę. Kobieta ścisnęła pod pachą plastikową torbę z płaszczkiem. Na dworze może i padało, ale Nora była wewnątrz, gdzie świeciło słońce.

Do czasu zamknięcia pchłego targu deszcz ustał. Mark Drucker, który sprzedawał odnowione własnoręcznie meble, podwiózł swoim białym dostawczakiem Norę i jej rzeczy do magazynu w pobliżu mieszkania kobiety w Village. Kiedy skończyli wyładowywać

ubrania, wydali część zarobionych pieniędzy na pizzę w K'Noodles, a potem się pożegnali. Drucker pojechał do Chelsea, gdzie mieszkał samotnie, tak jak Nora, a ona posiedziała jeszcze chwilę i wypila drugą dietetyczną colę.

Patrzyła na ludzi przechodzących za oknem, głównie mężczyzn. Myślała o Druckerze i facecie, który zapłacił za płaszcz. Wiedziała, że Drucker, choć nie przypomina obiektu westchnień, jest porządnym człowiekiem. Podobną szlachetność wyczuwała w przystojniaku ze szkoły. *Nie wszyscy mężczyźni są wredni - pomyślała - choć to jednak mężczyźni.*

Nora wróciła myślą do swojego ojca i brata Tenna, który zginął w wypadku samochodowym. Za kierownicą auta, które wpakowało się na Tenna, siedział pijany czarny mężczyzna.

Czarny.

Może kolor skóry tego człowieka stanowił dla niej problem? Nora miała wielu czarnych przyjaciół. Nie uważała, że powinna się do nich odnosić inaczej z powodu tego, co się stało. Nie chodziło o żadną poprawność polityczną. Po prostu rasizm nie miał sensu. Był nielogiczny i stanowił relikט poprzedniego stulecia. Nie była rasistką. Wiedziała to.

A może jednak była? Wyjaśniałoby to parę spraw.

Nagle wyparował z niej optymizm, jaki czuła jeszcze parę chwil wcześniej, gdy Mark wychodził z restauracji

i odjeżdżał swoją rozklekotaną ciężarówką. Nora odstawiła szklankę na mały stoliczek i przestała się przyglądać ludziom za szybą, którzy nie byli do niej podobni i mieli inne problemy. Oparła głowę na dłoniach i zamknęła oczy. O mało się nie rozplakała. Choć przynajmniej nad tym potrafiła zapanować.

Spieprzyłam to!

Byłam taka pewna.

Mój Boże, jak to się mogło stać?

Rozumiała to czy nie - ale *to coś* się zdarzyło. A Nora nie mogła zmienić przeszłości. Nie było już ucieczki od tego, co zrobiła.

Przeszłość była niczym jakieś cholerne sidła.

Gdyby to wszystko wydarzyło się kiedy indziej, przed śmiercią Tenna...

Odjęła ręce od twarzy i wpatrzyła się w połyskliwą wilgoć na dłoniach.

To są łzy.

Ja płaczę.

Rzeczywiście speprzyłam sprawę.

Czy kiedyś przestanę za to płacić?

10.

Pearl i Fedderman przetrząsali mieszkanie Millie Graff w poszukiwaniu jakichś materiałów pornograficznych czy innych dowodów, mogących świadczyć, że wpłatała się w towarzystwo dewiantów. Quinn uprzedził ich, żeby nie mówili Harleyowi Renzowi, co robią i dlaczego - no, chyba żeby coś ważnego znaleźli. Nie było potrzeby niepotrzebnie irytować Harleya.

Nie licząc śladów po morderstwie, mieszkanie było utrzymane bardzo schludnie. Millie znała się widać na prowadzeniu domu. W zlewie nie zalegały żadne brudne naczynia, a w małej pralce, stojącej w łazience, nie znaleźli zmiętoszonych ubrań. Meble zostały rozstawione z geometryczną dokładnością. Na parapecie w kuchni stała ceramiczna rynienka z jaskrawoczerwonymi pelargoniami. Wyglądały świeżo, choć w ostatnim czasie nie było komu się nimi zająć. Pearl pomyślała nawet, żeby je podlać, ale uznała, że na miejscu zbrodni nie robi się takich rzeczy.

- Jest tu coś... - powiedział Fedderman, podnosząc czarne elastyczne rajstopy. - Wyglądają dość... seksownie.

- Pamiętaj, że Millie była nie tylko hostessą w modnej restauracji - zauważyła Pearl. - Była też tancerką. Nie powinniśmy o tym zapominać. Zajrzyj do szafy, a znajdziesz buty na niebotycznych obcasach, wyglądające jak narzędzia tortur, może nawet na metalowych szpilkach.

Może to rzeczywiście były narzędzia tortur? Quinn w ogóle nie znał Millie jako dorosłej kobiety.

- No, a tu jest jeszcze inna elastyczna rzecz... - odezwał się Fedderman.

- To trykot - wyjaśniła Pearl. Miała wrażenie, że to ona powinna przeszukać garderobę Millie.

- Ho, ho, ho! - rzucił znów po paru minutach. - A co powiesz na to?

W ręku trzymał wibrator. Znalazł go w „dmuchanej” kopercie, przyklejonej taśmą do tylnej ścianki szuflady w toalecie. Była to ulubiona skrytka amatorów. Wibrator był niebieski i miał jakieś guziki u podstawy. W ogóle nie wyglądał realistycznie, ale posiadał jakieś rowki i zgrubienia, mające niewątpliwie służyć stymulacji łechtaczki. To znaczy: *niewątpliwie* dla Pearl.

- Czy to jest to, o czym myślę? - spytał Fedderman, unosząc przedmiot w dwóch palcach i demonstrując go Pearl.

- W każdym razie nie wygląda na urządzenie kuchenne - przyznała Pearl.

- Więc Millie się tym zabawiała...
- Tak jak miliony kobiet w Nowym Jorku.
- Słuchaj, Pearl...
- Żadnych pytań - ucięła.

Fedderman usłuchał. Klepnął się po udach i rozejrzał dokoła.

- No to przekopaliśmy to miejsce gruntownie... - Wiedział, że słowo „przekopaliśmy” nie było najodpowiedniejsze, bo mieli zostawić mieszkanie w takim stanie, w jakim je zastali. Jakby sama Millie Graff miała zaaprobować ich pracę. - A więc sprawdziliśmy każdy kąt i tylko to wpadło nam w ręce: to coś, co wygląda jak jakiś dziwny elektryczny ptak o długiej szyi...

- Millie była całkiem normalna, przynajmniej według standardów telewizji kablowej - orzekła Pearl.

Fedderman zrobił kwaśną minę i wskazał na wibrator.

- Quinn tak by chyba nie powiedział...

- Odłóż to tam, skąd wzięłeś - rzuciła Pearl. - Quinn nie byłby wcale zaszokowany. Przecież to żadne kajdanki ani łańcuchy. To po prostu... osobiste akcesoria kobiece.

- Kiedy słyszę o akcesoriach kobiecych, to myślę raczej o torebce albo apaszcze...

- A ja teraz myślę - odcięła się Pearl - o zacisku na męskie jaja...

Fedderman skrzywił się i kiwnął głową w stronę wibratora.

- Powinniśmy coś o tym wiedzieć...

- Owszem - zgodziła się Pearl i nacisnęła jeden z guzików. Wibrator zaczął podskakiwać i drgać tak mocno, że o mało nie wypadł jej z ręki. A na dodatek błyskał niebieskim neonowym światłem.

- To rzeczywiście jest coś - sapnął Fedderman z uznaniem. - I pytam się, jak my, mężczyźni, możemy z czymś takim konkurować?

Pearl wyłączyła wibrator i oddała go Feddermanowi.

- No i już wiemy to, co powinniśmy wiedzieć: baterie nie są wyczerpane i ten... przyrząd jest w pełni sprawny. A teraz odłóż ten cholerny gadżet na miejsce.

- Na tej kopercie, w której był schowany, nie ma żadnych napisów - zauważył Fedderman. - Więc nie była to chyba przesyłka.

- Szkoda. Adres sklepu mógłby się nam przydać.

- Myślę, że pierwszą rzeczą, jaką zrobiła po zakupie, było wyrzucenie metki.

Nagle twarz Feddermana pojaśniała.

- To może powinniśmy poszukać instrukcji, karty gwarancyjnej...

- Odłóż to, do cholery, z powrotem - powtórzyła Pearl. - Powiemy o tym Quinnowi, tak jak powiemy mu,

że nie znaleźliśmy żadnych kajdanków ani rzemieni czy masek. Millie była dobrą dziewczyną - i niech tak już zostanie.

- Dużo wiesz o tych sprawach, Pearl...
- Pracowało się w obyczajówce.
- No tak, każdy z nas...
- Dobra, Feds, czas się zmywać.

Zgodził się bez słowa. Pearl obserwowała, jak chowa wibrator z powrotem do koperty. Potem umieścił wyciągniętą szufladę na miejscu i starannie ją zasunął. Rozejrzeli się ostatni raz po mieszkaniu. Oboje odczuwali dziwny, smutny spokój, którym tchnie zawsze miejsce zbrodni.

Niedługo do tego schludnego mieszkania wprowadzą się nowi lokatorzy. Wszelkie ślady po Millie Graff rozplyną się i pójdą w niepamięć. W jej lodówce pojawi się cudze jedzenie. Ktoś inny będzie spał w jej sypialni, kapał się w jej łazience, odpowiadał na sygnał domofonu. Millie zniknie całkiem z tego cichego miejsca, które stanowiło centrum jej egzystencji. Jej dom stanie się domem kogoś innego.

Pearl pomyślała, że gdyby Millie Graff wiedziała o tym, byłoby jej bardzo przykro.

Quinn nacisnął dzwonek w drzwiach odrestaurowanego domu z piaskowca na Upper West Side - niedaleko od miejsca, gdzie sam mieszkał - i czekał, aż ktoś się odezwie. W domofonie rozległy się jakieś trzaski i męski

głos zapytał, kto tam. Quinn nacisnął odpowiedni guzik i przedstawił się.

Ten sam głos powiedział mu, by wszedł. Odezwał się brzęczyk. Quinn otworzył ciężkie drzwi z wmontowaną żelazną kratą i znalazł się w małym, wyłożonym dywanem holu, zalatującym trochę kocimi siuškami.

Drzwi z boku otworzyły się i zobaczył drobnego człowieka o zaokrąglonych ramionach i ze zmierzwioną grzywą siwych włosów. Quinnowi natychmiast skojarzył się z Albertem Einsteinem, ale zapytał:

- Pan William Turner?

- We własnej osobie. Dla znajomych Bill - odparł mężczyzna wysokim, zaflegmionym głosem. - Pan mówi, że jest detektywem?

- Tak. Moje nazwisko Quinn.

Wodniste oczy staruszka rozjaśniły się.

- Wiem, wiem, ten słynny łowca seryjnych morderców...

- Pan mi pochlebia.

- Podziwiam pańską pracę. A właściwie całą karierę. - Koci zapach, wypełniający pomieszczenie, zdawał się także bić od ubrania Turnera. - Widzi pan, jestem kimś w rodzaju policyjnego kibica czy fana. Zawsze podziwiałem policję... - Wydał z siebie wysoki, niesamowity śmiech. Gdyby ptaki umiały się śmiać, brzmiałoby to chyba podobnie. - Wie pan, za moich czasów miałem dobre układy z policją. - Nagle cofnął się i gestem zaprosił Quinna do środka.

- Nie będę pana prosił o legitymację - powiedział - bo znam pana z wielu zdjęć prasowych.

- Zbiera pan wycinki?

Staruszek zaśmiał się znowu.

- No nie, tak daleko w mojej idolatrii nie zaszedłem...

Quinn wszedł do wnętrza, które należało określić jako salon. Nagle przeniósł się do roku 1885, kiedy mniej więcej zbudowano ten dom. Jego własny też powstał w tym okresie. Pokoje były wysokie na co najmniej dwaście stóp i miały ozdobne sztukaterie na suficie. Długie, drapowane kotary z czerwonego aksamitu zwieszały się aż do układanego we wzory parkietu. Ściany były kremowe, a duży ceglano-kaflowy kominek sąsiadował z obu stron z półkami pełnymi ceramiką, sięgającymi sufitu.

- Zbieram takie rzeczy - powiedział Turner, dostarczając zainteresowanie Quinna. - To wszystko dziewiętnastowieczna Ameryka...

- Wspaniale - powiedział Quinn. Zauważył, że ubranie Turnera jest wprawdzie w świetnym gatunku, ale już znoszone, a przy koszuli brakuje guzika. Wokół wychudłej szyi staruszek zawiązał czerwona apaszkę w fantazyjne wzory.

- Proszę usiąść - powiedział i wskazał wzorzystą beżową sofę z intarsjami przy wyściełanych oparciach.

Quinn usiadł i rozejrzał się wokół.

- Ładnie tu u pana. Sam mam podobny dom z piaskowca i próbuję przywrócić mu wygląd z epoki.

- Warto zachować relikty szlacheckiej przeszłości - rzekł Turner.

Spojrzenie Quinna padło na antyczny gramofon Victrola z korbką i mahoniowymi drzwiczkami.

- Zbiera pan też stare płyty?

- Właściwie to nie. Jeśli nie kupuję ceramiki, to rozglądam się za starymi meblami. Stąd ten gramofon - naprawdę piękny mebel. Takiego spatynowanego drewna już pan dzisiaj nie znajdzie. A na dodatek to urządzenie działa. - Turner szurnął stopami w skórzanych mokasynach, jakby tańczył do dźwięków victroli.

Quinn zauważył, że mokasyny to w istocie domowe pantofle z wełnianą wyściółką.

- Może pan się czegoś napije? - spytał Turner.

- Nie, dziękuję. Prosiłbym tylko o odpowiedź na parę pytań.

Gospodarz uśmiechnął się, ukazując pożółkłe zęby, w jego oczach pojawił się błysk.

Nie był może Einsteinem, ale zachował mimo wieku żywą inteligencję.

- W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych kierował pan klubem Socrates's Cavern na West Side... - zauważył Quinn.

- W samej rzeczy. Byłem jego menedżerem i współwłaścicielem.

Turner umościł się w wielkim klubowym fotelu. Wydawało się, że gdyby usiadł głębiej, mebel by go pochłonał.

- Wie pan, prowadząc taki interes, musiałem poznać mnóstwo gliniarzy. Chciałbym jednak zaznaczyć, że nigdy nie przekroczyliśmy pewnej granicy. Nie robiliśmy nic niezgodnego z prawem. Bywali u nas sami dorośli, i to dobrowolnie. Bardzo tego pilnowaliśmy.

- Widuje pan kogoś ze starych przyjaciół z tamtych czasów?

- Nie, nie... My tylko prowadziliśmy razem ten biznes. Wszystko szło biznesowym trybem. Tak, to był *nasz* biznes - a nie biznes sadomaso. - Wzruszył wątpymi ramionami. - Ale teraz, w czasach Internetu, i tak dalej, wszystko się zmieniło... Teraz sadomaso się zglobalizowało.

- Stało się czymś w rodzaju sieci House of Pancakes... - zauważył Quinn. - A czy w tym mieście działa jeszcze jakiś klub podobny do waszego?

- Wie pan, jak to jest. Sekskluby działają tu i ówdzie... Tak będzie zawsze. Żaden jednak nie może się równać z naszym. Wtedy społeczeństwo było pod wieloma względami bardziej... otwarte niż teraz. - Spojrzał na Quinna. - Pan chyba jeszcze pamięta tamte czasy?

- Pamiętam. Zwłaszcza to miejsce przy Wschodniej Pięćdziesiątej Dziewiątej, gdzie kręcili filmy z autentyczną przemocą, nawet śmiercią.

Turner podniósł obie dłonie.

- Ale w naszym klubie czegoś takiego nie było, w każdym razie nie w realu. - Pokręcił z niesmakiem głową. - Jezu! Niech pan posłucha. Większość takich rzeczy jest robiona przez dorosłych, z dorosłymi i dla dorosłych. Rozumie pan? Alternatywne style życia. My, Amerykanie, lubimy egzekwować swoje prawo do szczęścia na każdy sposób. Dopóki nie narusza to czyjejś wolności i nie są w to zaangażowane dzieci ani zwierzęta, wszystko jest w porządku. Dzięki Bogu, żyjemy w wolnym kraju.

- Amen! - podsumował Quinn.

Turner przyjrzał mu się uważnie, żeby sprawdzić, czy detektyw sobie nie żartuje. Ale uznał chyba, że Quinn mówi poważnie.

- Jestem tu, bo prowadzę dochodzenie w sprawie morderstwa - powiedział detektyw - a nie po to, żeby ustalać, kto kogo walił po tyłku w czasach, gdy ludzie nosili kurtki *à la* Mao.

- Niemniej zapytał mnie pan o klub.

- No tak... Czy nazwisko Philip Wharkin coś panu mówi?

- Nie... nie wydaje mi się.

- Był zarejestrowanym członkiem Socrates's Cavern...

- Przychodziło do nas tylu ludzi...

- Ktoś, może jakiś inny Philip Wharkin, wypisał swoje nazwisko krwią na łazienkowym lustrze w mieszkaniu

Millie Graff po dokonaniu morderstwa.

- Tak pan mówi? Nie czytałem o tym w gazetach.

- Nie puściliśmy tego do prasy.

- W porządku, jeśli pan tak chce, zachowam to dla siebie. Zawsze gotów byłem pracować z policją. Swoją drogą, zdziwiłby się pan, ilu policjantów przychodziło do nas po służbie...

- Ale ja nie - uciął Quinn. - W każdym razie niech pan nie rozpowszechnia nazwiska Philipa Wharkina. Zależałoby mi natomiast, aby spotkał się pan z paroma starymi przyjaciółmi - z którymi teraz się pan, jak słyszę, nie widuje - i zapytał ich, czy wiedzą coś o Millie Graff.

- Jeśli ich znajdę, to oczywiście. Czy ta Millie była niegrzeczną dziewczynką?

- Trzymała się reguł tak prostych, jak Central Park West.

- To jeszcze o niczym nie świadczy - zauważył Turner. - Ludzie spoza świata sadomaso nie mają rozoznania w tych sprawach.

- Dlatego chcę spytać ludzi, którzy w tym siedzą - wyjaśnił Quinn. - Niech pan mi znajdzie jakiś trop.

Wstał z sofy z pewnym trudem. Zrozumiał, czemu Turner nie rozsiadł się głębiej w fotelu. Wręczył Turnrowi swoją wizytówkę.

- Zostaw mi wiadomość, jakby mnie nie było na miejscu. Dobra... Bill?

- Oczywiście. Zrobię tak. Zawsze byłem blisko policji. W tamtych czasach chodziło o zabawę. Może specyficzną, ale zawsze...

Ten wątły wyglądający staruszek podniósł się z zaskakującą sprężystością i odprowadził Quinna do drzwi.

- Słuchaj... - odezwał się, gdy Quinn trzymał już rękę na klamce. - Prowadzisz tę sprawę z polecenia komisarza policji, prawda?

- Owszem.

Turner poprawił barwną apaszkę, zaciskając ją jak pętlę.

- To znaczy, że nie weźmie mnie za dupę, jeśli się dowie, że rozpytuję o tę Millie Graff?

- Na pewno nie - powiedział Quinn. - Jest bardzo wyrozumiały. - I dodał cichszym, choć twardszym głosem: - Tak jak ja.

11.

Hogart, Missouri, 1991

No i trach! Milt Thompson strzelił na bazę na Busch Stadium w St. Louis, a tłum z krzykiem zerwał się z miejsc.

I to samo zrobił przed telewizorem Roy Brannigan.

Beth Brannigan widziała, jak jej mąż usiadł z powrotem i pochłonął ostatnią puszkę piwa, oglądając dalej w telewizji mecz między drużynami Cardinals i Pirates. Rozwalił się na wysiedzianej szarej sofie. Na ścianie za nim wisiał wielki drewniany krucyfiks, wycięty piłą łańcuchową. Kupił go na pchlim targu za dziesięć dolarów. Beth widziała, jak Roy modlił się przed tym krzyżem o zwycięstwo Cardinals. Udawał, że żartuje, ale Beth wiedziała, że dla jej męża nie liczyli się ci kardynałowie z Rzymu - którzy nie umieli nawet strzelić podkręconej piłki - tylko jego prawdziwi Cardinals.

Beth była kobietą o zdecydowanie przyjemnej aparycji i szczerym wejrzeniu. Na jednym oku miała

brązową plamkę, przez co jej spojrzenie zdawało się bardziej intrygujące. Dzięki szczupłej sylwetce dobrze wyglądała w czerwonej bluzce na ramiączkach i w szortach z obciętych dżinsów. Była bosa. Beth podsłuchiwała kiedyś, jak jakiś mężczyzna nazwał ją „pociągającą”. Pomyślała, że to trafne określenie. Ileż to rzeczy musiała „ciągnąć” dla Roya!

Roy rozumiał małżeństwo na modłę starotestamentową i koncepcję tę rozwijał wedle własnej interpretacji. Nalegał, by każdej niedzieli chodzili do kościoła - i tak też było tego ranka. Po kościele następował suty domowy obiad, po którym Beth miała obowiązek pozmywać. Jeśli Cardinals grali mecz - a w sezonie było to niedzielną normą - szybko sprzątała, zanim Roy wypali swoje poobiednie cygaro na ganku, bo gdy wracał, musiało już na niego czekać zimne piwo. Był religijny, ale nie miał wyrzutów sumienia, że żona ciężko pracuje w dzień Pański.

Żarliwa religijność nie przeszkadzała też Royowi w zebraniu pokaźnej, choć starannie ukrywanej kolekcji pornografii, którą skądinąd zdecydowanie potępiał. Miał się za znawcę i krytyka twórczości erotycznej. Od czasu do czasu wysyłał wydawcom pełne oburzenia listy, wypominając im publikowanie takich świństw. Niemniej większość swojego zbioru zakupił drogą pocztową, a często razem z zamówieniem wysyłał taki pełen oburzenia list.

Beth przyzwyczaiła się do zaspokajania potrzeb Roya. Właściwie nie skarżyła się na ciężką pracę, jeśli tylko traktował ją dobrze i był łagodny. Ale nie zawsze tak bywało.

Jej mama i tata z Hawk Point podejrzewali, że Roy wykorzystuje Beth. Jednak tata chorował na raka płuc, a mama obawiała się tak bardzo Roya i niepewnej przyszłości, że ograniczała się do upominania córki, by nie pozwałała na przekraczanie „pewnych granic”. Nigdy jednak nie mówiła jasno, o jakie granice chodzi.

Ale i to anemiczne wsparcie rodziców skończyło się w październiku minionego roku, gdy oboje zginęli w wypadku drogowym na międzystanowej siedemdziesiątce. Zderzyli się czołowo z pick-upem jadącym pod prąd. Kierowca tamtego samochodu także zginął. Sekcja wykazała, że był pijany.

Beth ciężko opłakiwała rodziców, a pociechą był dla niej Roy ze swoją zaczytaną Biblią. Modlili się razem gorąco w domu i w małej kongregacji Kościoła Niebiańskiego Odkupienia.

A potem pewnego dnia Roy postąpił tak, jakby zdecydował, że powinna zakończyć swoją żałobę.

„Życie toczy się dalej” - powiedział jej, przytaczając odpowiedni cytat z Pisma Świętego. Nie mając zamiaru spierać się z autorytetem Biblii, Beth pozwoliła, by jej związek z Royem potoczył się dalej swoim wyboistym traktem.

Smutek stał się mniej bolesny, ale ów „trakt” małżeńskiego pożycia nie zrobił się gładszy. Przywiódł ją tutaj, do zaniedbanego salonu ich zapuszczonego domu - i niedzielnych meczów w telewizji.

- Chcesz jeszcze piwa, kochanie? - zapytała.

W telewizorze podniosła się wrzawa i Roy nie dosłyszał żony. Nagle zerwał się z furią w oczach i cisnął pustą puszką w siatkowe drzwi.

- Ta piłka była w porządku! - wrzasnął, wskazując na ekran. - Cholerny sędzia będzie się smażyć w piekle!

- Oni wszyscy... - zaczęła.

- Taak...

W pierwszej chwili pomyślała, że mąż się z nią zgadza, ale zaraz uświadomiła sobie, że ta zgoda odnosi się do kolejnego piwa.

- Tylko że piwo się skończyło...

- No, kurde, trzeba być ślepym, żeby nie widzieć, że ta piłka była w porządku - powtórzył Roy.

- Pewnie wszyscy sędziowie są ślepi - powiedziała Beth. - To chyba warunek tej pracy.

Roy chodził po pokoju.

- Ślepi albo przekupieni. Tacy są. Pies ich wszystkich...

- Bóg widzi, co wyrabiają - zapewniła. - Albo diabeł - dodała. Jeśli tak było w istocie, to Bóg sprzyjał raczej drużynie Pittsburgh Pirates.

- To mam ci mówić, co trzeba zrobić?

- Nie rozumiem...
- No przecież sama powiedziałaś, że piwo się skończyło. Więc idź i kup. Pieniądze są w moim portfelu. Leży na komodzie.

Beth wyszła bezzwłocznie. Wiedziała, że gniew Roya może się łatwo przenieść z sędziów na nią.

Jej niebieskie japonki klapały po Pick Road, gdy szła do Willis's Pick Market. W tylnej kieszeni szortów miała dziesięciodolarowy banknot. Do sklepu było ze ćwierć mili, a lokalna szosa bywała ruchliwa. Zapadły już ciemności, ale przed sobą widziała oazę światła: sklep i stację benzynową.

Pick Road była wyasfaltowana, nawierzchnia jednak popękała na skrajach. Beth uważała na te szczeliny, ale i tak uderzyła się w palec u nogi i o mało nie skręciła kostki. Ta droga nie nadawała się do spacerów w klapkach. Beth zeszła więc na trawiaste pobocze, ale i po nim szło się niewygodnie.

Wśród ciemnych drzew, rosnących za sklepem, stał jakiś mężczyzna w księżycowej poświacie i przyglądał się nadchodzącej Beth. Miał na sobie obciste dzinsy i trykotową koszulkę bez rękawów. Mężczyzna był masywny, miał długie czarne włosy, spadające na ramiona, i duży brzuch, wylewający się ze spodni.

Obserwując Beth, kręcił ze zdziwienia głową na boczny kark. Co taka sztuka, z takim biustem i nogami, robi tu sama po nocy? Może to dziwka obsługująca

kierowców ciężarówek, zatrzymujących się przy sklepie albo stacji? Możliwe, ale nie wyglądała na prostytutkę, nie poruszała się tak jak one. Nie miała też torebki, a prawie wszystkie dziwki mają.

Nie wyglądała na dziewczynę pracującą przy drodze. Właśnie takiej potrzebował. Pociągnął łyk piwa, przyglądając się miękkiemu ruchom bioder tej kobiety, i uśmiechnął się. *Niezła laska.*

Potem jednak pomyślał: *Do diabła z tym.* Wygląd dziewczyny zapowiadał kłopoty.

Ale kłopoty go pociągały. To stanowiło jego problem przez całe życie. Jakby pakowanie się w nie pozwalało na dowartościowanie takiego nieudacznika, jakim był. Kłopoty przyciągały go jak magnes, nawet jeśli w głębi duszy wiedział, że doprowadzą go do... kolejnych kłopotów.

A ta zgrabna laska w szortach bez wątpienia zapowiadała kłopoty.

Tych przynajmniej można było uniknąć... jeśli mężczyzna potrafiłby uniknąć jej.

Cofnął się głębiej pomiędzy drzewa, żeby nie mogła zobaczyć jego twarzy.

Po co ją płoszyć...

Gdy Beth weszła do sklepu, Willis uśmiechnął się do niej jak zawsze. Mógłby być jej ojcem, ale widziała, w jaki sposób jej się przygląda, więc trzymała go na

dystans. Zachowywała się jak dama. Nie chciała, żeby jakieś złe plotki dotarły do Roya.

- Sześciopak dla ciebie? - spytał Willis, gdy pacnęła zimnym kartonowym pudłem o ladę.

- Dla Roya - odparła.

Willis roześmiał się.

- Może zaczęłby pić jakieś inne piwo, w wygodniejszych kartonach, takich z uchwytyami? Będzie ci ciężko nieść je do domu.

- Niech pan nie żartuje. To tylko sześć małych piw.

Willis westchnął i wpakował karton do dużej papierowej torby, żeby zapewnić kobiecie choć takie udogodnienie.

Beth schowała resztę do tylnej kieszeni w szortach, a potem uśmiechnęła się do Willisa i wyszła ze sklepu z torbą pod pachą. Pod napiętym na jej pupie materiałem widać było zarysy monet.

Ten pobożny osioł Roy nie wie, co posiada - pomyślał Willis, żałując, że nie jest o dwadzieścia lat młodszy.

No, chociażby o dziesięć.

Beth nie uszła daleko, gdy zdała sobie sprawę, że Willis miał rację - piwo zrobiło się naprawdę ciężkie. A Pick Road była równie nieprzyjazna w drodze do domu, jak do sklepu Willisa. Trawiasto-kamieniste pobocze nie stało się wcale gładziej. Od czasu do czasu ostry żwir dostawał się pomiędzy podeszwy kłapek i skórę

bosych stóp. Musiała przez to stawać na jednej nodze, a drugą potrząsać w powietrzu, by pozbyć się kamyków.

Najgorsze jednak było to, że przez powolny marsz zimne piwo, wyjęte z chłodziarki u Willisa, robiło się ciepłe.

Roy nie cierpiał ciepłego piwa. Lubił nawet, gdy było tak zimne, że pływały w nim kryształki lodu.

Zatrzymała się i zerknęła na księżyc. Był w kwadrze i błyszczał niby jakaś lśniąca kłódź. Powinno być dość jasno, żeby pójść skrótem wśród drzew. Może nadzieje się na parę zeschłych badyli, ale dotrze do domu dwa razy szybciej.

Obawiała się trochę ciemnego lasu, lecz jednocześnie karciała się w duchu za to, że się boi. Bała się oczywiście Roya, ale to inna sprawa - był jej mężem. I musiała przyznać, że kary, jakie jej wymierzał, były sprawiedliwe i niezbyt częste. W życiu istniało wiele rzeczy, których Beth powinna lub *mogła* się bać. Ale nocny las nie powinien do nich należeć. Nie.

Zbliżała się już do wąskiej ścieżki, prowadzącej od drogi w stronę lasu. Potem nie było już jak zawrócić. Zresztą to nie miało sensu.

W głowie utkwiała jej myśl: *Stąd nie ma odwrotu.*

Spojrzała jeszcze na księżyc płynący po letnim niebie i weszła między drzewa.

12.

Nowy Jork, obecnie

Nora Noon dojechała metrem do stacji oddalonej o dwie przecznice od jej mieszkania. W zatłoczonym pociągu miała wrażenie, że jest obserwowana. I tak oczywiście było. Każda atrakcyjna kobieta w przepelnionym nowojorskim metrze staje się obiektem męskiej uwagi. Cóż - ciała przywierają do ciał... Czasami, gdy pociąg hamuje albo podskakuje na torach, dochodzi do mniej czy bardziej przypadkowych dotknięć. Nora była do takich sytuacji przyzwyczajona.

Ale tym razem chodziło o coś innego. A może tylko tak jej się zdawało, bo czuła się zmęczona, a człowiek, który ją kiedyś zgwałcił, wyszedł właśnie z więzienia.

Wciąż bardziej wierzyła własnej pamięci niż testom DNA. W tego rodzaju sprawach kryminalnych badania DNA nie są tak niezawodne, jak to wmawiają ludziom adwokaci. Nic - nawet w nauce - nie jest na sto procent pewne. A już w nauce szczególnie. Przecież nie tak znowu dawno uczeni medycy radzili unikać nocnego

powietrza i chodzić do balwierza, by upuścić krew w razie choroby.

Niemniej wszyscy wokół uważali testy DNA za absolutnie pewny dowód i Nora czuła wagę tego powszechnego przekonania. Na skutek jej błędnej identyfikacji niewinny człowiek spędził ponad pięć lat w więzieniu. Powinna za to zapłacić. *Ktoś* powinien za to zapłacić.

Pociąg zakolebał się. Nora zjechała parę cali po śliskiej plastikowej ławce, wpadając w rezultacie na jakiegoś mężczyznę, który czytał „Timesa”, leżącego na jego kolanach. Nie wydawał się jednak zagniewany. Nora przyjrzała się gazecie. Słyszała, że różne zboki z metra używają gazet do ukrycia erekcji.

Nie bądź idiotką! Nie wierz we wszystko, co ludzie mówią. Ten facet to na pewno jakiś urzędnik, księgowy albo wydawca. Wraca metrem do żony i dzieci.

A poza tym - przecież umiem się obronić.

Co do tego ostatniego, nie była taka pewna. Szczęściotgodniowy kurs karate coś może zmienił, ale nie tak znów wiele. I nauczył ją, jak silni - ogólnie rzecz biorąc - są mężczyźni. Nawet byle kurdupel mógł z siebie wykrzesać więcej siły niż postawna kobieta. Wynikało to chyba z procentowej przewagi mięśni w ciele.

Myśliwi. Te sukinkoty to myśliwi.

Olej to, Noro.

Koła zapiszczały na szynach. Pociąg zbliżał się do jej stacji. Odczekała, aż wagon zatrzyma się zupełnie i szarpnie do tyłu, a potem zaczęła się przepychać w kierunku automatycznych drzwi i betonowego peronu.

Strach ją opuścił, gdy przecisnęła się przez metalowy kołowrót i wyszła zaśmieconymi schodami na powierzchnię.

Wieczór był jeszcze jasny i na chodnikach aż buzo-
wało ludzką energią.

Mniej więcej połowa stołów przed Perfect Pizza była zajęta. Nora, kierowana impulsem, przeszła przez lukę w żelaznym ogrodzeniu, oddzielającym teren restauracji od szerokiego chodnika, i znalazła stół pod parasolem. Kelnerka Emma, którą trochę знаła, uśmiechnęła się, by przełamać relację obsługa - klient. Nora ucieszyła się, że tu przyszła. Zamówiła pizzę z szynką i ananasem, a do tego kieliszek burgunda.

Rozsiadła się wygodnie i pozwoliła spojrzeniu błądzić ponad stołami. Tym, co naprawdę mogło sprawić jej przyjemność, było ujrzanie jakiejś kobiety w oryginalnym modelu Nory N. To się już zdarzało: zauważyła w okolicy kobietę w T-shircie z cekinowym wzorem i asymetrycznym dekoltem, a jakiś miesiąc temu właśnie tu, w Perfect Pizza, inna kobieta obnosiła dumnie kreację Nory. Mogło się to znów zdarzyć, choć nieprędko. Podobne uczucie ma pisarz, spostrzegając kogoś, kto czyta jego książkę.

Po zjedzeniu pizzy i wypiciu drugiego kieliszka wina Nora wyszła z restauracji i przeszła niecałe dwa kwartały, dzielące ją od mieszkania. Czuła się teraz lepiej. Obawy gdzieś uleciały. Może wino wypchnęło przykrą niepewność z aktywnej części jej umysłu. Dobra rzecz to wino. Przed położeniem się do łóżka wypije jeszcze kieliszek lub dwa.

Kiedy jednak doszła do swojej kamienicy, wchodziła po wytartych schodach, rozglądając się na prawo i lewo.

Nic podejrzanego, stwierdziła.

Oprócz mnie.

Przypomniała sobie, że postanowiła, iż strach jej nie zniszczy. Ona nie pozwoli na to. Tego się trzymała.

Trzęsła się jednak, manipulując przy trzech zamkach w drzwiach mieszkania. To były solidne zamki. Dwa z nich zatrzaśkiwały się automatycznie. Jeden był ryglowy. Za tymi zamkami czuła się bezpiecznie.

Ostrożnie otworzyła drzwi, zamknęła je za sobą i weszła do kuchni, a potem - wbrew wcześniejszym zamiarom - napełniła szklankę wodą. Marsz po Manhattanie sprawił, że poczuła się spragniona. A może pizza była za słona? Nieważne. Zastanowiła się, jak ludzie żyjący na ulicy mogą się napić.

Jakie to musi być okropne życie! A może się przytrafić każdemu. Właśnie ze względu na to Nora pracowała tak ciężko. Tak jak wielu mieszkańców tego miasta codziennie widziała się na miejscu tragicznych postaci,

żebrzących na chodnikach. Może to dlatego Nowy Jork wydawał się ciągle śpieszyć i błędzić wzrokiem gdzieś wyżej; nikt nie chciał widzieć skutków wypadnięcia z gry.

Jeden pokój w mieszkaniu Nory służył jako magazyn, zapchany rzeczami jej projektu, wiszącymi na stalowych stelażach z kółkami. Pomędzy nimi było przejście, ale czasami Nora musiała przesuwać te metalowe konstrukcje, żeby dostać się do ubrania, którego szukała.

Dzisiaj chciała znaleźć suknię, nad którą zastanawiała się od wielu dni. Po południu doszła do wniosku, że należy w tym modelu podnieść talię. Mogła dokonać poprawek i przymierzyć suknię przed potrójnym lustrem w swojej pracowni. To stanowiło jedną z zalet modeli Nora N. - zaprojektowano je dla kobiet o przeciętnej sylwetce.

W pokoju było jasno, ale panował tu zaduch od nagromadzonych tkanin. Czuło się zapach naftaliny. Choć i tak za słaby, uważała Nora. Większość tkanin zawierała spory procent wełny. Mole były utrapieniem i wrogiem.

Odsunęła dwa załadowane stelaże i znalazła suknię, której szukała. Ciemnozieloną z czarną lamówką. Może ta ciemna lamówka też była błędem? Sięgnęła po wieszak, a wtem spomiędzy ubrań na najbliższym stelażu wysunęła się jakaś ręka.

Odgłosy szamotaniny utonęły między zwałami ubrań. Za każdym razem, gdy próbowała się wyrwać napastnikowi, jej ręce i nogi zaplątywały się w fałdach materiałów. Lekcje karate nie na wiele się zdały. Tak jak jej krzyki, bo usta miała zakneblowane w pięćdziesięciu procentach wełnianym - wiedziała to - kaszmi-rem.

Nora odzyskała przytomność we własnym łóżku. Wciąż nie była w stanie poruszyć ramionami ani nogami. Leżała na plecach, przywiązana za nadgarstki do wezgłowia. Nogi miała szeroko rozwarte, przywiązane za kostki do metalowej ramy pod materacem. Węzły zostały zadziergnięte tak mocno, że straciła czucie w dłoniach i stopach. Chciała coś powiedzieć, ale nie potrafiła wydać z siebie żadnego dźwięku poza słabym jękiem czy skomleniem. Język nie mógł pokonać knebla z materiału - teraz jakby gładszego.

Uniosła głowę, żeby rozejrzeć się wokół. Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że jest naga, i zaczęła się naprawdę bać.

Pokonawszy panikę, opuściła głowę na łóżko. Nie mając żadnej poduszki, widziała tylko zagłówek i ścianę powyżej.

Poruszanie głową wywołało straszliwy ból karku. Nora pamiętała rękę, która ją chwyciła. To był męski chwyt. Żadna kobieca dłoń nie zrobiłaby tego z tak brutalną siłą.

Popatrzyła w prawo i jej spojrzenie padło na jakiś obcy przedmiot na stoliku nocnym. Lokówka. Ale to nie była jej lokówka. Ta miała białą rączkę i biały kabel, niknący gdzieś za stolikiem. Wiedziała, że kabel biegnie pewnie do kontaktu, gdzie podłączona była zwykle lampka nocna. Metalowa podstawka była opuszczona, więc korpus lokówki unosił się na jakiś cal ponad blatem stolika. Na białej rączce migające czerwone światelko - znak, że urządzenie jest włączone do prądu.

Nora wyczuła albo usłyszała jakiś ruch z lewej strony, gdzieś znad wezgłowia łóżka, dokąd nie mogła sięgnąć wzrokiem. Nawet próbowała tam spojrzeć, ale ból karku uniemożliwił jej odwrócenie głowy.

Jej ciało sprężyło się mimowolnie. Opuszki czyichś palców pieściły jej policzki, a potem wrażliwe miejsce pod brodą. Czyjeś palce mierzwiły jej włosy nad czołem.

- No tak, może twoim włoskom przydałaby się lokówka - odezwał się łagodnie jakiś męski głos. - Ale ta lokówka nawet ich nie tknie.

13.

Michelle Roper była piękną kobietą, co czyniło z niej jedną z ulubionych klientek Nory Noon. Michelle miała ciemne włosy i oczy, wyraziste kości policzkowe, szczupłą, lecz krągłą figurę. Choć nie była wysoka, to nosiła się po królewsku. Pewnie jej przodkowie pochodzili z królewskich rodów. Można powiedzieć, że Michelle stanowiła żywą reklamę marki Nora N., prezentując jej kreacje po wszystkich modnych klubach.

- Miałam się spotkać z Norą o dziewiątej - powiedziała Michelle do portiera w kamienicy Nory - a jest już wpół do dziesiątej.

- Pewnie zaraz zejdzie - odparł portier. Był to człowiek w średnim wieku, ubrany w zieloną koszulę roboczą, rozepchniętą przez wydatny brzuch. Nie wydawał się zainteresowany tym, co Michelle mówiła, ale samą Michelle - owszem.

- Tu nie chodzi o wyjście na żaden pokaz - tłumaczyła kobieta. - Miałyśmy się spotkać w jej mieszkaniu,

żeby mogła zobaczyć nowe modele. Potem zamierzałyśmy pójść na śniadanie. Ale ona nie odbiera telefonu, a jej automatyczna sekretarka jest wyłączona. To nie w stylu Nory. Może mógłby pan ją obudzić. Przecież jest tu pan portierem...

- Mam na imię Leonard - poinformował portier.

- Słucham?

- Mam na imię Leonard - powtórzył ze szczerbatym uśmiechem.

- Michelle...

- A więc chciałbym ci pomóc, Michelle - ciągnął Leonard - ale nie mam prawa wkraczać do mieszkań lokatorów tylko dlatego, że nie odbierają telefonów. Próbowalaś zadzwonić na komórkę?

- No pewnie. Też nie odpowiada.

Michelle postanowiła wykorzystać wrażenie, jakie ewidentnie wywarła na portierze. Zrobiła zatroskaną minę.

- Może to zabrzmiało zabawnie, Leonardzie, ale jestem w połowie Czirokezką i mam spore wycucie w tych sprawach. Instynkt. Ja po prostu wiem, że w tym mieszkaniu zdarzyło się coś złego.

Co do czirokeskich korzeni nie kłamała, ale reszta...

- Jesteś Indianką? Nie żartujesz? - Przyjrzał jej się dokładnie. - Właściwie jak się wie, można to zauważyć. - Uśmiechnął się. - Do twarzy ci z tą indiańskością...

- Nora i ja jesteśmy przyjaciółkami, Leonardzie. Wiedziałybym, jeśli by po prostu wyszła z domu. Ale zadzwoniłam do paru naszych wspólnych znajomych i nikt nie widział jej od wczoraj.

Michelle dotknęła ramienia mężczyzny, który się prawie rozplątał pod tym dotknięciem.

- Jeśli Nora ma jakieś kłopoty zdrowotne, zasłała, to przecież nie będziesz chciał ponosić odpowiedzialności za nieudzielenie w porę pomocy, prawda?

- No nie... pewnie, że nie, ale...

- Więc wejdziemy tam i zawołamy ją. Rozejrzemy się po mieszkaniu i upewnimy się, że nic się nie stało. A potem wyjdziemy. Ale może nie jest w stanie odebrać telefonu?

- A co, jeśli ma łańcuch na drzwiach?

- W takim razie zawołamy ją przez szparę. Jeśli się nie odezwie, a my będziemy wiedzieć, że jest w środku, skoro zamknęła drzwi na łańcuch, to należy się spodziewać najgorszego. Może jest nieprzytomna i wymaga pomocy lekarskiej?

Uśmiechnęła się do niego, ukazując idealnie białe zęby.

- Mam rację?

- No, niby tak - przyznał Leonard i sięgnął po ciężki pierścień z kluczami, zawieszony u pasa.

Michelle była jednak zaskoczona, gdy po krótkim pobrzękiwaniu kluczami okazało się, że łańcuch i tak nie pozwala otworzyć drzwi szerzej niż na jakieś cztery

cale. Michelle i Leonard wymienili spojrzenia. Sytuacja robiła się naprawdę niepokojąca.

Michelle przysunęła się do szpary w drzwiach i trzykrotnie zawołała Norę po imieniu. Potem Leonard trącił ją łokciem i sam wsunął twarz w szczelinę.

- Pani Noon! - huknął parę razy.
- Masz nożyce do metalu? - spytała kobieta.

Kiwnął głową.

- Zaraz wracam, Michelle.

Wolał zbiec po schodach, niż czekać na windę, i po paru minutach wrócił z potężnymi nożycami na długich rączkach.

Gruby mosiężny łańcuch nie miał szans. Rozsypał się, a kilka ogniw spadło na parkiet z brzękiem, jakby to były monety. Drzwi stanęły otworem.

Leonard jeszcze raz zawołał Norę po imieniu. Michelle pozwoliła, by wszedł pierwszy.

Klimatyzator w oknie nie był włączony, więc w mieszkaniu panował upał. Michelle zatrzymała się i dotknęła ramienia Leonarda, więc i on się zatrzymał. Oboje czuli silny zapach - tak jakby przypalonego mięsa...

Leonard ruszył do kuchni. W tym zapachu był też ostry akcent amoniaku. Michelle, może dlatego, że wyczuwała coś strasznego, powoli skierowała się do sypialni.

W drzwiach stanęła jak słup soli.

Leonard spojrzał jej przez ramię.

- O Boże... - jęknął i przykucnął z opuszczoną głową.

Michelle odwróciła się i spojrzała na niego.

- Jak chcesz się wyrzygać, to wyjdź na korytarz.

Biorąc głęboki oddech, wyprostował się powoli, starannie unikając spoglądania w głąb pokoju. Pobladł, oblał się potem, a jego twarz się skrzywiła, jakby miał się rozpłakać.

- Nie... zaraz mi przejdzie.

Michelle dawno temu była żoną policjanta. Mąż opowiadał jej o swojej pracy. Może aż za dużo. Nadmiar informacji może zniszczyć małżeństwo. Ale trzeba przyznać, że opowieści małżonka przygotowały Michelle na widok tej areny zbrodni.

Położyła dłoń na ramieniu Leonarda i wyprowadziła go na korytarz.

- Wyjdziemy stąd i zadzwonię z mojej komórki na dziewięćset jedenaście - powiedziała.

- Dobra - sapnął Leonard, jakby mu brakowało tchu.

- Tylko niczego nie dotykaj - ostrzegła.

- Nie musisz mi przypominać.

14.

Hogart, 1991

Las był mroczny, ale Beth dobrze go znała. Szła rażąco wąską ścieżyną, z sześciopakiem dla Roya pod pachą. Wtem usłyszała coś z prawej strony. Dorastała na wsi i spędziła w lesie sporo czasu - nawet tam obozowała jako młoda dziewczyna. Dobrze wiedziała, jakie odgłosy są w lesie naturalne, a jakie nie. Żadne zwierzę nie poruszało się w taki sposób, rozgarniając gałęzie blisko ziemi i rozdzierając pokrycie suchych liści. Żadne zwierzę z wyjątkiem człowieka.

Pewnie zombi - pomyślała Beth i zachichotała. Poprzedniego wieczoru obejrzała w telewizji stary film o zombi. Roy już wtedy spał. Wcześniej nie myślała nigdy o czymś takim jak zombi.

Masz zombi w głowie, dziewczyno.

Uśmiechnęła się trochę na siłę i szła dalej leśną ścieżką.

Odgłos, który usłyszała, został gdzieś z tyłu. Wśród drzew było cicho. Może nawet ciszej niż powinno.

Zrobiła jeszcze kilkanaście kroków i stanęła. Wiedziała, że jest mniej więcej w połowie drogi. Nie czuła nawet najlżejszego wietrzyku, ale kątem oka dostrzegła jakiś ruch.

Między cieniami, gdzieś pod sklepieniem liści przenikającym przez światło księżyca, coś zaśniło. Coś ciemnego i metalicznego.

Beth ujęła mocniej chłodną papierową torbę z piwem i ruszyła powoli przed siebie. Ulżyło jej, gdy w oddali dostrzegła zaparkowany motocykl. Ciemnoniebieski albo czarny harley. Nic nadprzyrodzonego. To nie było zombi. Usłyszała własne westchnienie ulgi.

Coś uderzyło ją od tyłu i znalazła się na ziemi. Upadła, a że torbę trzymała przed sobą, nadzieję miała na brzuchu na sześciopak. Straciła oddech. Zwinęła się, leżąc na boku. Dopiero po chwili, gdy zaczęła sobie zdawać sprawę, co się dzieje, poczuła paralizujący strach.

Tylko przez ułamki sekund mogła dostrzec napastnika zdzierającego z niej szorty i majtki. Próbowwała krzyknąć, ale nie wydała żadnego głosu. Jakby jej płuca nie działały. A on śmiał się gardłowo, wiedząc, że kobieta nie ma żadnej szansy na pomoc ani nawet na głębszy oddech, a już na pewno nie na krzyk. Chciał dobrze wykorzystać swój czas. Działał metodycznie. Miał zamiar się dobrze zabawić.

Zdołała uchwycić wzrokiem jego profil, ale nie był to wyraźny obraz. Miał długie ciemne włosy, opadające w kosmykach, i brodę wokół twarzy. Był ciężki i silny, z brzuchem wylewającym się znad spodni. Jego oddech zalatywał cebulą i benzyną, choć wiedziała, że zapach paliwa dolatuje od strony motocykla.

Mężczyzna odepchnął jej twarz do tyłu, tak że musiała otworzyć usta, a on położył dłoń nad nimi w taki sposób, że nie mogła go ugryźć. Czowała benzynę i jakiś tłuszcz na dłoni mężczyzny. Krawędź jego dłoni przysgniotła jej nozdrza, więc prawie nie mogła oddychać.

A potem mężczyzna znalazł się na niej. Był znacznie cięższy od Roya. Dosłownie zgniatał ją. W pewnej chwili unióśł się, ale jedynie po to, by rozepchnąć na boki jej nogi. Próbowwała wierzgać, lecz kopała tylko powietrze. Słyszała, jak jedna z jej japonek wylądowała w pobliżu lewego ucha.

Jego wolna ręka znalazła się pomiędzy jej nogami. Palce miał lepkie. Późniejsze śledztwo wykazało, że smar posłużył mu jako krem nawilżający podczas gwałtu.

Znów był na niej. *I w niej!* Sięgał głęboko i dźgał mocno, raz za razem... Szybko znalazł desperacki rytm. Wiedziała, że to nie potrwa długo, ale bardzo bolało. Zacisnęła zęby i zdała sobie sprawę, że znów oddycha przez nos. Pozwolił jej na to.

To się nie może stać! Nie ze mną!

Stała się w myślach kimś innym, przeniosła się gdzieś obok, przemieniła w widza, który nie mógł, dzięki Bogu, widzieć w ciemnościach wszystkiego, co się dzieje.

Schowała się przed rzeczywistością. Skryła się w ciemnościach aż do czasu, gdy to się skończy.

W końcu mężczyzna zwałkł się z niej, sapiąc głośno. Potem klepnął ją po gołym udzie, jakby na znak, że odwalił dobrą robotę. Może dziękował, że nie narobiła hałasu? Przecież gwałcona kobieta zwykle wrzeszczy wniebogłosy. Beth słyszała o tym w telewizji, ale wolała sobie nawet nie wyobrażać, co by się stało, gdyby zdołała krzyknąć.

Mężczyzna położył jedną rękę na jej głowie, a drugą na prawym udzie, wykorzystując ją jako podpórkę przy wstawaniu. Nagle poczuła się wolna od jego ciężaru. Błuzkę miała zadartą niemal na głowę.

Leżała na boku, nie próbując się podnieść.

Las był cichy.

Jakby nic się nie stało.

Beth postanowiła krzyknąć, ale tylko się zakrztusiła.

Spróbowała znowu. Tym razem wydała z siebie głośny pisk. A potem jeszcze raz i drugi.

Potężny warkot ogłuszył ją, więc zwinęła się w kłębek. To był odgłos silnika motocyklowego.

Maszyna parsknęła dwukrotnie, jakby posyłając Beth ostatnie ostrzeżenie, a potem zakaszłała nierówno na wąskiej ścieżce. Beth usłyszała jeszcze, jak harley zaryczał triumfalnie, wydostawszy się z lasu. Parę sekund później wydał miarowy pomruk: wjechał na drogę stonową.

Beth pisnęła raz jeszcze, a potem zapadła cisza. Wciąż leżała na boku, bez ruchu. Nie chciała wyjść na świat poza lasem. Ciemność, która była jej wrogiem, stała się teraz sprzymierzeńcem i obrońcą. Czas płynął, ale powoli i jakby w nierównym rytmie.

Willis usłyszał ten pisk, gdy wyszedł ze sklepu, by sięgnąć baner Live Bait. Wiedział, że to nie było żadne zwierzę.

15.

Nowy Jork, obecnie

Mishkin i Vitali zadzwonili do Quinna po drodze na miejsce zabójstwa Nory Noon. Dotarli na miejsce, gdy nie było tam jeszcze nikogo oprócz dwóch mundurowych policjantów, którzy przyjęli wezwanie w radiowozie. Jeden z nich, nazwiskiem Sorkin, pracował już z tymi detektywami i skinął im głową na powitanie. Sorkin miał pociągłą twarz, nakrapianą pieprzykami. Błada cera sprawiała, że były one mocno widoczne na jego spoconej teraz twarzy. Vitali zdał sobie sprawę, że musiało się stać coś wyjątkowego, by wywołać taką reakcję u policyjnego weterana.

Na razie stali wszyscy na korytarzu przed otwartymi drzwiami do mieszkania Noon.

- Mamy martwą kobietę w sypialni - powiedział drugi policjant. Był to czarny mężczyzna ze starannie przystrzyżonym wąsikiem i smutnym spojrzeniem oczu, których czarne źrenice otoczone były dużymi kręgami

białka. Sorkin kiwnął głową, jakby dla okazania, że zgadza się z partnerem.

Przed wejściem do mieszkania Vitali zerknął na jakąś zgrabną, niezwykle atrakcyjną kobietę - brunetkę o wydatnych kościach policzkowych. Przy niej tkwił, jakby dla kontrastu, tłustawy facet w zielonym kombinezonie roboczym. Para stała na korytarzu nieco dalej, jakieś dwadzieścia stóp od nich, poza zasięgiem ich głosów.

- Ta dwójka to tutejszy cieć i przyjaciółka ofiary - wyjaśnił Sorkin.

- To które z nich jest cieciami? - zazgrzytał Vitali swoim metalicznym głosem.

- Sal, nie czas na żarty - skarcił go Mishkin. - Spojrzał na Sorkina. - Zobaczmy, jak się sprawy mają.

Sorkin kiwnął głową.

- Ci ludzie odkryli ciało, kiedy stwierdzili, że łańcuch na drzwiach jest założony, a ze środka nikt nie odpowiada. Michelle, ta kobieta, umówiła się z Noon, ale przyjaciółka się nie pojawiła. Nie odbierała też telefonu ani nie odpowiadała na pukanie do drzwi... I wtedy dozorca - ten facet...

- Wiemy, wiemy - uciął Mishkin.

- No więc dozorca nie mógł otworzyć mieszkania swoimi kluczami z powodu tego łańcucha. Michelle poleciła mu wtedy, żeby przyniósł nożyce do metalu, no i facet przeciął łańcuch...

- Dobrze zrobił - skomentował Vitali.

- Wtedy poczuli zapach dochodzący z sypialni, zresztą czuć go nawet tutaj...

- Ale to nie barbecue - wyjaśnił szybko partner Sorkina.

- Wejdziemy i rzucimy na to okiem - oświadczył Vitali. - Zatrzymaj tę Michelle i dozorcę, żebyśmy mogli z nimi porozmawiać.

- Mam już zeznanie Michelle - poinformował partner Sorkina.

Mishkin posłał mu miażdżące spojrzenie.

- Reszta waszych ludzi w drodze? - spytał Vitali.

Odpowiedział mu Sorkin:

- Oczywiście, już ich wezwaliśmy. Zgodnie z procedurą. Ekipa, która ma zabezpieczyć miejsce zbrodni, jest w drodze, razem z lekarzem sądowym i paroma... prawdziwymi detektywami... przepraszam, Sal, ale wy teraz jesteście prywatni...

- W tej sprawie półprywatni - wyjaśnił Sal.

- A co to konkretnie znaczy? - chciał się dowiedzieć Sorkin.

- Dostaliśmy specjalne pełnomocnictwa do prowadzenia tej sprawy, chociaż kiedyś nas wylali. Rozwiedziony ojciec też ma prawo do widywania się z dzieckiem.

Sorkin uznał chyba to wyjaśnienie za wystarczające.

Mishkin wyjął z kieszeni małą tubkę, wycisnął z niej na palec jakąś substancję i wtarł ją sobie w siwe włosy.

Ostry zapach mentolu przytłumił odór przypalonego mięsa. Bez pomocy maści mentolowej żołądek Mishkina buntował się czasami na widok i zapach zwłok.

- Jesteś gotów, Haroldzie? - spytał Vitali.

Mishkin wytarł chusteczką resztki maści z palca i skinął głową. Weszli do środka.

Pierwszą rzeczą, jaka rzuciła im się w oczy, była krew. Zdawała się pokrywać całe ciało ofiary. Ale szybko zorientowali się, że miejscami to nie krew, tylko czerwone mięso, wyglądające spod ściągniętej skóry. *Oskórowane mięso*. Wyglądało na to, że ofiarę obdzierano ze skóry etapami, i to żywcem. Jej blade płyty zwiisały gdzieś z ciała niby przywiedłe liście o wąskich, skręconych końcówkach. Więcej krwi było na nadgarstkach i kostkach.

Ból bił z każdego rysu twarzy kobiety, jakby wciąż jeszcze cierpiała, nawet po śmierci. Podobnie jak poprzednia ofiara, oczy miała wytrzeszczone z przerażenia i wpatrzone w pustkę. Na szyi ujrzeni srebrny łańcuszek z literą S.

Na nocnym stoliku leżała elektryczna lokówka. Sal zauważył, że jest wyłączona. Dostrzegł też dziesiątki niewielkich czworokątnych oparzeń na nagim ciele ofiary.

Były tam, gdzie musiało boleć najmocniej. *Czy przypalał ją przed obdzieraniem ze skóry, czy po?* Każde z

tych obrażeń wystarczyło, by ofiara straciła przytomność, ale nie dano jej nawet takiej chwili wytchnienia. Podobnie jak przy poprzednim morderstwie, w powietrzu czuć było amoniak.

- Pierdolony sadysta! - rzucił Harold.

- Okno jest uchylone - powiedział Vitali. - To dlatego łańcuch przy drzwiach mógł być założony. Zamknął mieszkanie, zanim zszedł schodami pożarowymi.

Usłyszeli jakieś hałasy i odwrócili się. Pomyśleli, że to ekipa zabezpieczająca albo ci „prawdziwi” detektywi.

Ale to był Quinn.

- Feds jest na korytarzu. Przesłuchuje portiera i tę kobietę, która znalazła zwłoki - wyjaśnił. - Pearl jest w drodze.

Kamiennymi kanionami ulic przetaczały się echem policyjne syreny. Wszyscy przystanęli na chwilę, aż stało się jasne, że wozy jadą w ich kierunku.

Oczywiście, całe to wycie nie oznaczało, że samochody policyjne mkną przez Manhattan dziewięćdziesiąt mil na godzinę. Wozy służb miejskich mogą sobie wyć i trąbić, przeciskając się w żółwym tempie przez zakorkowane ulice.

- Założę się, że Pearl będzie przed nimi - powiedział Sal.

- Nie przyjmuję zakładu, że będzie inaczej. - Quinn pokręcił głową.

Podszedł do ciała, notując coś, a potem przyjrzał się dokładniej jednej ze skrępowanych i zakrwawionych kostek.

- Wygląda to tak, jakby ktoś przejechał czymś, pewnie palcem, po tej krwawej ranie...

Wszyscy trzej rozejrzeli się dookoła, a potem jednocześnie ruszyli w stronę łazienki. Jednak przed drzwiami Vitali i Mishkin zatrzymali się, przepuszczając Quinna.

Umywalka i białe ręczniki zaplamione były na czerwono, ale najwięcej krwi było na lustrze - takim jak z gabinetu lekarskiego. To na nim ktoś namazał krwią coś, co było zapewne nazwiskiem jakiegoś człowieka: *Simon Luttrell*.

Quinn wyszedł z łazienki i przeszedł przez krótki korytarz, wiodący do salonu. Sorkin i jego partner już tam byli. Partner opierał się o drzwi, a Sorkin stał w samym wejściu do mieszkania. Strzegli miejsca zbrodni, choć wciąż rosnące i niezdrowe wpływy Harleja Renza sprowadziły tam Quinna i jego ludzi, jeszcze zanim rozciągnięto żółtą taśmę.

Quinn kiwnął głową na policjantów. Syreny wyły zaraz pod domem, a niektóre już cichły. A więc siły policyjne miały chyba jednak wyprzedzić Pearl.

Fedderman, rozmawiający w korytarzu z Michelle Roper, spojrzał na Quinna.

- Czy któreś z was zna lub znało jakiegoś Simona Luttrella? - zapytał Quinn.

- Taki tu nie mieszka - odpowiedział natychmiast portier.

Natomiast Michelle zastanawiała się parę sekund.

- Nie, chyba nigdy o kimś takim nie słyszałam.

Quinn skinął głową i powiedział:

- Jak to skończysz, wejdź do mieszkania, Feds...

- Mam jeszcze tylko parę pytań - powiedział Federman.

Quinn obszedł łukiem Sorkina oraz jego partnera i wszedł znów do mieszkania Noon. Mishkin był w salonie, Vitali wszedł tam z przedpokoju.

- Ten drugi pokój, gdzie ona nie leży, jest pełen ubrań. Dosłownie pełen. Część wisi na wieszakach, a część leży na podłodze. To są, kurczę, całe stopy ciuchów.

- Może prowadziła jakiś ciuchowy biznes - zaryzykował Mishkin.

- Ale to nie przypomina towaru ze szmateksu...

- No to może była projektantką - skorygował poprzednią sugestię Mishkin.

Sal uśmiechnął się.

- Albo mistrzem przebieranek.

- Chyba raczej mistrzynią przebieranek - zauważył Mishkin.

- A może jakąś dominą albo potajemną kochanką żonatego faceta...

- A nie mogła być jedną i drugą jednocześnie?

Quinn wiedział, skąd to przekomarzenie. Chodziło o higienę psychiczną, o ucieczkę przed upiorami. Gliniarze muszą się tego nauczyć.

Przestał słuchać dowcipasów Vitalego i Mishkina, bo na korytarzu zaczęło się jakieś zamieszanie: pełno brzęku i chrzęstu metalowego sprzętu plus szuranie butami po dywanie. Syreny pod domem już ucichły. Na miejsce zbrodni przybyły doskonale wyposażone siły policyjne. Sorkin i jego partner wycofali się jak przed miażdżącą falą tsunami, otwierając wolną drogę do mieszkania.

Ale w drzwiach pierwsza ukazała się Pearl.

16.

Michelle Roper poinformowała Quinna, że Nora Noon miała siostrę, gdzieś w New Jersey. Znalezienie jej nie zabrało wiele czasu, zresztą mieszkała niedaleko, w Teaneck. Fedderman czekał na Penny Noon nazajutrz w kostnicy. Ściągnięto ją, by zidentyfikowała ciało.

Penny okazała się siostrą przyrodnią ofiary. Była atrakcyjną kobietą z burzą blond włosów, pomiędzy którymi połyskiwały ciemne pasemka, chyba specjalnie ufarbowane. Nie przypominała wyglądem zamordowanej siostry, może dlatego, że ofiara była sporo młodsza. Penny miała pełniejszą twarz, szare oczy z zaczątkami „kurzych łapek” i wydatne usta, pociągnięte błyszczącą szminką. Ale w podbródku miała wyraźny dołek, tak jak Nora. W jej zachowaniu wyczuwało się napięcie, lecz kontrolowane. Panowała nad twarzą o mocnych rysach.

Po wzajemnej prezentacji Penny, Fedderman i człowiek nazwiskiem Clarkson (z biura Renza) odczekali chwilę, aż na monitorze zamontowanym na ścianie - na poziomie oczu - pokaże się pośmiertna fotografia Nory Noon. Clarkson nie miał jeszcze czterdziestki, ubrany był w dobrze skrojony szary garnitur, wykrochmaloną białą koszulę i krawat ze złotą spinką. Fedderman wyglądał przy nim jak... Fedderman.

Pod ścianami pokoju okazań stały krzesła, ale nikt na nich nie usiadł. Penny podziękowała za krzesło, więc obaj mężczyźni czuli się w obowiązku stać razem z nią.

Ustawiła się za facetem od Renza, na prawo od Feddermana, może jakąś stopę od niego. Fedderman przypomniał sobie wytrzeszczone oczy ofiary i zmrożone przerażeniem rysy jej twarzy. Wiedział, co może się teraz stać, i przygotował się na podtrzymanie mdlejącego ciała.

Ale na zdjęciu głowy Nory Noon nie widać było horroru z minionego dnia. Zadziwiające. Oczy miała zamknięte, a mięśnie twarzy układały się w neutralny wyraz. Zdjęcie było kasetowane, więc nie ukazywało żadnych śladów oparzeń na szyi ani poniżej. Nie widać też było żadnego obdarcia ze skóry.

- To ona - powiedziała Penny Noon głosem wydobytym gdzieś z głębi ciała. A potem dodała już bardziej opanowanym tonem:

- Tak, to jest Nora.

Potem wydała z siebie jakiś słaby odgłos - coś pomiędzy westchnieniem i łkaniem - i jej ciało osunęło się w ramiona Feddermana.

Złapał ją na szczęście i pomógł kobiecie usiąść - a właściwie zaniósł ją na jedno z czarnych krzeseł pod ścianą.

Nagle doszła do siebie, jak ktoś, komu podsunięto pod nos sole trzeźwiące. Spojrzała Feddermanowi w oczy, przez co wpadł w kompletną konsternację.

- Już dobrze - usłyszał własny głos. Patrzył, jak jego dłoń poklepuje ramię Penny. Jakby to nie była jego ręka.

Zdał sobie sprawę, że klęczy przed jej krzesłem, niczym jakiś idiota zamierzający się oświadczyć. Poczuł ból kolan, dźwigających jego ciało, wpartych w twarde płytki podłogi. Z jakichś powodów obawiał się spojrzeć jej znów w oczy, jakby część jego osoby wiedziała, że może zdarzyć się coś brzemiennego w skutki. Znów.

Z trzeszczeniem w obolałych kolanach Fedderman podniósł się i jednocześnie odwrócił. Poczuł ulgę, gdy zobaczył pusty monitor, na którym nie było zdjęcia zmarłej.

- Już dobrze - powtórzył. - Mamy to za sobą.

- Nora już wszystko ma za sobą...

Pomyślał, że Penny się rozpłacze, ale ona potrafiła opanować wszelkie przyływy emocji.

- Ma pani rację...
- Chyba każdy by tak powiedział.
- No i miałyby rację.

Rozejrzała się powoli, jakby budząc się stopniowo ze złego snu i odnajdując w jakimś obcym otoczeniu.

- O Boże! - westchnęła, kręcąc głową.
- On tu gdzieś jest - powiedział Fedderman, wiedząc, że to brzmi jak słowa szaleńca.

Spojrzała na niego z uwagą, jakby zapisywała w pamięci rysy jego twarzy. Nie potrafił się jednak odwrócić.

- Pan jest religijnym człowiekiem?
- No... byłem parę razy - odparł Fedderman - jak się porządnie wystraszyłem.

Jej pełne usta uniosły się w lekkim uśmiechu. Ręce miała złożone na kolanach, a same dłonie uniesione, jakby oczekiwała na wyrok losu.

- To tak jak ja... - wyznała.

Człowiek Renza podszedł do Penny Noon i spojrzał na nią z góry.

- Dobrze się pani czuje? - spytał.
- No... w zasadzie...

Skinął głową, uśmiechnął się nic nieznaczącym uśmiechem i wyszedł z pokoju. Jego misja świadka identyfikacji dobiegła końca.

- Widać tu trochę biurokracji - zauważyła Penny.
- No cóż, ja też jestem częścią tej biurokracji - wyznał Fedderman.

- Nie wygląda pan...

Nie bardzo wiedział, jak to rozumieć, ale był pewien, że powinien przytaknąć.

- Chciałabym... - zaczęła Penny.

- Może drinka?

- Czegoś ciepłego. Kawy, bezkofeinowej. Zdaje się, że widziałam automat, kiedy wchodziłam do tego budynku.

- Nie powinna pani niczego tutaj pić - usłyszał swoje słowa Fedderman. - Ale znam takie miejsce, które byłoby odpowiednie...

Chyba zwariowałem.

Patrzyła na niego parę sekund, a potem skinęła głową, jakby potwierdzała jego myśli.

17.

Pomimo wczesnej pory Quinn i Jerry Lido zasiedli za barem w O'Keefe's Oasis. Byli jedynymi gośćmi pijącymi alkohol. Troje pozostałych klientów - dwóch mężczyzn i kobieta - popijało kawę. Quinn wypił zaledwie połowę swojej „mimozy” - mieszanki szampana i soku pomarańczowego - a już zamówił wspaniałomyślnie kolejną szkocką z wodą dla Jerry'ego. To był jego pomysł, żeby tu przyjść.

- Lepiej skończ na tym - powiedział do niego barman, stawiając szklanę na kontuarze.

- Spokojnie, Jim - odparł Jerry z szerokim uśmiechem. - Mam swojego anioła stróża, może niezbyt świętego, ale...

Jim spojrział na Quinna z dezaprobatą, gdy tylko detektyw pojawił się w barze. Lokal znajdował się niedaleko mieszkania Jerry'ego, który był tu stałym gościem. Chyba go lubiano. Miał opinię niezłego gościa, o ile nie wpadał w obsesję samobiczowania.

Quinn sprowokował Jerry'ego do wynurzeń w sprawie śledztwa i jego możliwości komputerowych. Zasugerował opuszczenie baru, aby Jerry mógł się wykazać *on line*. Po drodze do mieszkania Lido wstąpili do sklepu z alkoholem i kupili butelkę J&B, ulubionej szkockiej Jerry'ego. Zapłacił Quinn. Wiedział, że Jerry na trzeźwo jest mistrzem komputera, ale po pijanemu - artystą.

Po jakiejś godzinie Quinn pożegnał się z Jerryem i opuścił jego mieszkanie. Jerry ledwie to zauważył, zagrożony w alkoholowo-informatycznym transie, wpatrzony w monitor.

Gdy Quinn wszedł do biura, Pearl spojrzała na niego z podobnym niesmakiem jak wcześniej barman z O'Keefe's.

- Śmierdzi od ciebie gorzałą - powiedziała.
- Byłem...
- Niech zgadnę... Chłajeś z Jerryem Lido. Gdzie on teraz jest?
- Kto?
- Upiłeś się?
- Ten „ktoś” to pewnie Jerry Lido. Oczywiście jest już zalany w trupa. Ale ja nie jestem zalany. Nie jestem też naćpany ani nic takiego. No, a Jerry jest już dobry...
- Wierzę.
- Pracuje teraz na komputerze. Może do czegoś dojdzie.

- Tak, dojdzie: do marskości wątroby.
- Nie bądź dla niego taka surowa, Pearl.

Wystarczyło, że Pearl na niego spojrziała, a już *czuł się* pijany, chociaż nie był. Ona potrafiła tak zadziać.

- Popracuję przy moim biurku.
- Tylko nie próbuj gdzieś nim pojechać.

Tego popołudnia Quinn był sam biurze, gdy pojawił się niski, krępy mężczyzna w dżinsach i szarym T-shirtcie. Rozejrzył się po wnętrzu, jakby chcąc się upewnić, że trafił we właściwe miejsce. Podeszedł prosto do biurka Quinna. Ten ocenił gościa na pięćdziesiątkę. Dobrą pięćdziesiątkę. Facet włosy miał starannie przycięte i ruchliwą szczękę. Wyglądał na kogoś, kto zaliczył ciężkie dzieciństwo. Nieco dłuższe ręce, i mógłby grać marynarza Popeye'a z kreskówki. Stał przed biurkiem Quinna i utkwiał w nim twarde spojrzenie błękitnych oczu. Z tej odległości Quinn dostrzegł już siatkę zmarszczek na twarzy gościa i skorygował ocenę jego wieku: musiał mieć sześćdziesiątkę z okładem.

- Ty jesteś Quinn... - powiedział mężczyzna tonem zapowiadającym zniewagę.

Quinn pomyślał, że dobrze byłoby zamykać drzwi od ulicy i nie otwierać ich bez korzystania z domofonu.

- A ty?
- Jestem przyjacielem Billa. Wiesz, co to znaczy?

Quinn kiwnął głową. W ten sposób przedstawiają się anonimowi alkoholicy.

- Mój drugi przyjaciel też jest przyjacielem Billa. To Jerry Lido.

- O tak, to jeden z najlepszych przyjaciół Billa - odparł Quinn, zastanawiając się, co jest grane. Miał pewne podejrzenia.

- Słuchaj, Quinn. Jestem opiekunem Jerry'ego w AA. Człowiekiem, do którego przychodzi, gdy ma kłopoty albo kiedy wpadnie w dołek.

- Zdaje się, że wpada głęboko - zauważył Quinn.

- Przez ostatnich parę tygodni był w porządku. Suchy. A teraz...

- Mógł skorzystać z pomocy wszystkich przyjaciół Billa...

- Ale skorzystał z twojej !

Quinn odchylił się na krześle, trzymając w wielkiej dłoni ołówek. Ujmował go za oba końce, zadziwiająco delikatnie.

- No i po co mi to mówisz?

- Wpadłem do Jerry'ego i powiedział mi, co się dzieje. Wiem, czym się zajmujesz. Wiesz, że alkoholik może zrobić albo dowiedzieć się wielu rzeczy po pijanemu, a czasami bywa tak, że potrafi sobie o tym przypomnieć tylko wtedy, gdy znów się napije.

- Świat pijany i świat trzeźwy to inne światy - zgodził się Quinn.

- A ty chcesz, żeby Jerry odwiedził ten swój inny świat, po to, by przywołać pewne wspomnienia...
- I możliwości. Jest geniuszem komputerowym - po pijanemu - powiedział Quinn szczerze.
- Wykorzystujesz Jerry'ego do własnych celów!
Czy ten facet rozmawiał z Pearl?
- Udział Jerry'ego w tym śledztwie może ocalić życie wielu kobiet - wyjaśnił Quinn. - On sam chce pomóc. Właściwie błagał nas, żebyśmy mu pozwolili to zrobić.
- A ty z tego skorzystałeś.
- On myśli, że znajdzie w ten sposób odkupienie - powiedział Quinn.
- Szukał tego w butelce i nie znalazł. Nie znajdzie też, pijąc z tobą, a potem robiąc w Internecie rzeczy, które mogą go zaprowadzić za kratki. - Krępy gość wyglądał na mocno zniesmaczonego. - Mnie się wydaje, że tak naprawdę wcale z nim nie piłeś: pewnie ukradkiem wylewałeś alkohol do jakiejś doniczki.
- Takie rzeczy zdarzają się tylko w filmach - rzucił Quinn.
- Jestem odpowiedzialny za Jerry'ego i przyszłem tu, aby cię poprosić, żebyś go nie podpuszczał, każąc mu wyszukiwać informacje, których potrzebujesz.
- Powiedziałeś, że wykorzystuję Jerry'ego. Tak. Robię to dlatego, że wiem, jaka jest stawka w tej grze. On też wie. Dlatego chce mi pomóc.

- Moim zdaniem, sprawa wygląda o wiele prościej. Jesteś obsesyjnym skurwielem, który nie cofnie się przed niczym...

- ...żeby znaleźć i powstrzymać seryjnego zabójcę... Może i masz rację.

- A ja obsesyjnie bronię Jerry'ego przed butelką.

- W takim razie nasze interesy nie są zbieżne. Jerry to już duży chłopiec. Chce pomóc w śledztwie, a my przyjmujemy jego ofertę.

Quinn wstał zza biurka.

- Obawiam się, że tak właśnie będzie, przynajmniej do czasu, gdy dorwiemy tego mordercę.

Krępy człowieczek jakby urósł o parę cali, choć w ogóle się nie poruszył.

- Proszę cię jak człowieka, najuprzejmiej jak można: zostaw Jerry'ego w spokoju.

- Nie mogę. A poza tym zakładam, że wszystko, co Jerry robi, zależy od niego samego.

Mężczyzna przetarł usta muskularnym przedramieniem, z taką miną, jakby ścierał z nich niesmak po słowach Quinna.

- Nie mogę powiedzieć, żeby to było dla mnie przyjemne spotkanie.

Odwrócił się i ruszył do drzwi.

- To jego sprawa - dorzucił jeszcze Quinn.

Mężczyzna zatrzymał się i odwrócił.

- Jaka sprawa?

- Jerry chce znaleźć ukojenie w tym, co robi.

- Zabijając się alkoholem? Tylko święci znajdują ukojenie w śmierci. A Jerry bynajmniej nie jest świętym.

- I jeszcze jedno - powiedział Quinn, gdy mężczyzna otwierał już drzwi.

- Co takiego?

- Twoje nazwisko. Nie przedstawiłeś się.

- Nazywam się Joe Nethers. Nie zapomnisz tego nazwiska.

18.

Była druga w nocy, gdy w domu z czerwonego piaskowca odezwał się domofon. Quinn zapalił lampkę przy łóżku i zaczął się mocować ze spodniami wiszącymi na oparciu krzesła. Domofon zabrzączał powtórnie, a Quinn nacisnął wreszcie guzik.

- Kto tam?

- To ja, Jerry. Musimy pogadać, znalazłem...

Quinn wpuścił Jerry'ego do środka. Gdy ruszył do drzwi, usłyszał, jak tamten wchodzi po schodach. Z głosu można by wnioskować, że jest trzeźwy, ale odgłosy kroków sugerowały coś innego.

Kiedy Quinn - zaspany facet z kwaśną miną, zaczerwienionymi oczami i potarganymi włosami - otworzył drzwi, znalazł się twarzą w twarz z innym facetem o czerwonych oczach i potarganych włosach, tyle że Lido był w stanie uniesienia.

Wracając w pamięci do tej sceny, Quinn mógł ją określić jedynie jako spotkanie *dwóch opitych psów gończych*.

- Dostałem się do pewnych baz danych... i znalazłem trochę szajsu - powiedział Jerry, odsuwając na bok Quinna i pozostawiając za sobą smugę alkoholowych oparów.

Sukinsyn śmierdzi gorzałą.

- Jest druga w nocy, Jerry.

- Ucieszysz się, Quinn.

Jerry zaczął nerwowo chodzić po pokoju. Quinn zastanawiał się, skąd Lido bierze tyle energii. Pomimo ostrzeżenia Joego Nethersa Quinn wypił z Lido parę drinków ostatniego wieczoru. A dokładnie, to Quinn wypił dwa drinki, Jerry zaś wychylił sześć. No i teraz Quinn czuł się skacowany, Jerry natomiast wyglądał tak, jakby miał skoczyć na księżyc.

Quinn opadł na sofę i skrzyżował wyciągnięte nogi.

- Tak? Z czego mam się ucieszyć?

Jerry przystanął raptownie i rozejrzał się wokół.

- A gdzie jest Pearl?

- W łóżku, u siebie w domu.

- Myślałem, że jesteście razem...

- Niezupełnie.

- Simon Luttrell - rzucił Lido bez żadnych wstępów.

Quinn potrzebował paru sekund, żeby przypomnieć sobie, iż chodzi o nazwisko nabazgrane krwią na lustrze w mieszkaniu ostatniej ofiary. Chyba jeszcze nie całkiem się obudził, a może alkohol wypity wieczorem zamulił mu trochę mózg.

- Znalazłeś Luttrella? - zapytał.

- W pewnym sensie. Ten człowiek ma związek z Philipem Wharkinem. Obydwaj byli członkami Socrates's Cavern. Obydwaj mieli złote klucze.

- Złote klucze?

- No tak. Musiałeś się zapisać, żeby wejść do środka. No i wydać kupę forsy. Członkowie klubu mieli różne klucze: brązowe, srebrne i złote. Złote kosztowały najwięcej. No, ale ich posiadacze dostawali pierwszego drinka za darmo i mogli poruszać się po całym klubie bez ograniczeń.

Lido znów się rozejrzał dokoła, jakby szukał Pearl.

- Słuchaj, Quinn, masz może...

- Mam, Jerry.

Wstał z sofy. Poszedł do kuchni i tam nalał do szklanki whisky - na dwa palce. Wrócił do salonu i podał szklankę Jerry'emu, a potem znów opadł na sofę. Jerry klapnęła z impetem na fotel, rozlewając niechcący trochę alkoholu na dywan. Pociągnął spory łyk i natychmiast go to uspokoiło.

- Luttrell pracował w reklamie na Madison Avenue. Został członkiem Socrates's Cavern w sześćdziesiątym ósmym, w początkach działalności klubu. Był

członkiem do czerwca siedemdziesiątego trzeciego.

- No i co potem? - zapytał Quinn. - Luttrell pozwolił, by jego członkostwo wygasło?

- On sam wygasł - oznajmił Lido. - W restauracji Del Rico, przy Trzeciej Alei. Udławił się kawałkiem steku. Nie wiem, czy ludzie znali już wtedy chwyt Heimlicha. To mogłoby go uratować.

- No to nie ma sensu więcej o nim gadać - zauważył Quinn. Wyciągnął nogi i splótł dłonie na karku.

- Ale te nazwiska na lustrach, łańcuszki z literą S... nasz morderca coraz głębiej tkwi w temacie Socrates's Cavern...

Lido patrzył na niego jak zgłodniały psiak.

- Cholernie dobra robota, Jerry. Ustaliliśmy związek i mamy... motyw przewodni. Nazwiska byłych członków Socrates's Cavern. Teraz musimy odgadnąć, co ten motyw w praktyce znaczy.

- Tacy zboczeni łajdacy zawsze trzymają się utartych zwyczajów - powiedział Lido. - To nałogowcy. Musisz to wiedzieć lepiej niż ktokolwiek inny.

- Może i tak, Jerry.

Quinn przyglądał się, jak Lido dokumentnie osusza szklankę. O tej porze - pomiędzy nocą a świtem - trudno było złapać taksówkę.

- Jak masz zamiar dostać się do domu, Jerry? Powinieneś już być w łóżku, jeśli chcesz się rano nadawać do czegokolwiek.

- Cóż, jeśli nie masz nic przeciwko temu... - rzucił Lido - ...to właśnie siedzisz na moim łóżku.

Quinn wstał i ziewnął.

- Przyniosę ci koc.

- Eee, noc jest ciepła. Nie potrzebuję koca. Ściągnę tylko buty i uderzę w kimono.

Quinn dawno już nie słyszał zwrotu „uderzyć w kimono”.

- Dobra, Jerry, ta kanapa jest cała twoja. No to do rana.

- A kropelka na dobranoc?

Quinn zastanawiał się chwilę.

- Czemu nie...

Wiedział, że Joe Nethers byłby wściekły.

Pearl też byłaby wściekła.

On sam też *powinien być* wściekły.

Rano Quinn wstał wcześniej, niż musiał. Ogolił się, ubrał, potem zjadł tosta i wypił kawę na stojąco, w kuchni. Zostawił Jerry'ego chrapiącego na sofie i przeszedł spacerkiem parę przecznic dzielących go od biura. Chciał sobie przewietrzyć umysł.

W biurze zastał tylko Pearl. Sal i Harold szukali z Feddermanem wszystkich Simonów Luttrellów. Quinn postanowił, że na wszelki wypadek pozwoli im skończyć tę robotę - w imię rzetelności śledztwa. Zresztą mogli znaleźć tego, kogo szukali - przynajmniej teoretycznie - a więc wygrzebać jakiegoś Simona Luttrella,

który miałby pojęcie, dlaczego morderca posłużył się jego nazwiskiem.

- Kawa jest świeżo zaparzona - poinformowała Pearl, uruchamiając komputer.

Quinn nalał sobie kubek i dodał śmietanki. Przysiadł na brzegu biurka Pearl.

- Jerry złożył mi w nocy wizytę - zaczął, a potem opowiedział, co się zdarzyło i czego Jerry się dowiedział.

Gdy skończył, Pearl odchyliła się na krześle i zamyśliła.

- A więc nasz zabójca lokuje się w kręgu Socrates's Cavern - podsumował Quinn. - Ale może tylko po to, by naprowadzić nas na fałszywy ślad.

- No i udało mu się...

- Pewnie. Musimy przesłuchać, a przynajmniej sprawdzić wszystkich Simonów Luttrellów z Nowego Jorku i okolic. Z tych samych względów szukamy wciąż Philipa Wharkina.

- A więc zmusza nas do marnowania czasu - zauważyła Pearl.

- Możliwe - przyznał Quinn.

- Myślisz, że to tylko gra, że sprawa wydaje się zbyt oczywista, żebyśmy na serio ciągnęli ten trop?

Quinn wzruszył masywnymi ramionami.

- Na to wygląda.

- Może i tak, ale zauważ, że seryjni mordercy to osobowości kompulsywne. Nie lubią odchodzić od swoich

rytuałów, nawet po to, by zatrzeć ślady albo zostawić fałszywe.

- Helen mówi to samo.

- Każdy psycholog od profilów ci to powie.

- A co, jeśli nie mamy do czynienia z seryjnym mordercą?

- Myślisz o kimś z logicznym motywem? - Pearl obróciła się na krześle, by patrzeć wprost na Quinna.

- Albo o kimś ze zracjonalizowanym chorym motywem, niewiążącym się z kompulsją.

- Musiałby to być bardzo silny motyw - zauważyła Pearl - zwłaszcza jeśli się weźmie pod uwagę sposób, w jaki te kobiety były torturowane, zanim morderca pozwolił im uciec w śmierć.

- Może on *chce*, żebyśmy tak myśleli.

- To straszna rzecz traktować w taki sposób istoty ludzkie tylko po to, żeby zmylić policję. Niewielu mężczyzn byłoby do tego zdolnych, niezależnie od motywacji, choćby i najsilniejszych.

- *Przeżywa ludzi zło, które czynili**... - zacytował Quinn.

* William Shakespeare, *Juliusz Cezar*, przełożył Maciej Słomczyński.

- Chcesz mi wciskać jakąś religijną ciemnotę, Quinn?

- To Szekspir. - Quinn był zapalonym teatromanem.

- O tak, Szekspir znalazł się na ludziach czyniących zło...

Quinn uśmiechnął się.

- Ja tylko mówię, że nie powinniśmy przyglądać się tej sprawie wyłącznie z jednego punktu widzenia. Ludźmi kierują różne, najdziwniejsze motywy.

Pearl znów odwróciła się do biurka i zaczęła stukać w klawiaturę komputera.

- No a gdzie jest teraz Jerry Lido?

- Śpi na mojej kanapie.

Nie tłumaczył Pearl, że Lido, choć „pod wpływem”, przyniósł użyteczne informacje. Ale Pearl nie trzeba było niczego tłumaczyć.

- Wracając do rzeczy - powiedziała. - Mam zamiar sprawdzić, czy da się namierzyć tego Luttrella. Upewnię się co do odkryć Jerry'ego. Wyeliminuję także przypadkowe osoby.

- Świetnie. Ułatwisz pracę Salowi i Haroldowi. - Sprawdzenie wszystkiego jeszcze raz nie było złym pomysłem. W końcu Lido szukał po pijanemu.

Przez dłuższą chwilę przyglądał się pracującej Pearl, a potem odszedł. Pomyślał, że cudem uniknął zdrowego opieprzu za picie z Jerrym. Zastanawiał się, jak bardzo ją kocha - i dlaczego.

Czy istnieje na to jakieś lekarstwo?

19.

Znów się spotkali, tym razem na śniadaniu.

Fedderman siedział naprzeciw Penny Noon w Silver Star Diner w Columbus, niedaleko Zachodniej Siedemdziesiątej Ósmej. Wybrali miejsce przy wielkim oknie, ze świetnym widokiem na zatłoczony chodnik po drugiej stronie rozgrzanej słońcem szyby. Fedderman często jadał tu śniadania. Wiedział, że dają tutaj dobrze jeść, i dlatego przyprowadził do tego lokalu Penny, choć chciała jedynie napić się gorącej herbaty albo kawy.

I co to jest? Randka? Czy to całkiem etyczne?

No ale ona przyjechała tylko po to, żeby zidentyfikować ciało. Nie jest przecież podejrzana. Tak jak kiedyś Pearl...

- Myślę, że poprzestanę na herbacie - oświadczyła Penny, przerywając duchowe rozterki Feddermana.

Kiedy kelner odszedł, zostawiając ich samych, Fedderman, nie wiedząc, co powiedzieć, kiwnął głową w kierunku swojej filiżanki kawy.

- Za dużo tego piję...
- Więc czemu pan nie przestanie?
- Obawiam się, że jestem uzależniony - przyznał Fedderman. - Dla policjanta to jak chleb powszedni...

Czemu wciskam tej kobiecie takie beznadziejne bzdury? Co ona sobie o mnie pomyśli?

- Pani też projektuje ubrania? - zagadnął „błyskotliwie”. Nie dość, że przypomniał jej o siostrze, którą dopiero co widziała w kostnicy, ale zrobił jakby głupią aluzję do stroju Penny: wytartych džinsów i czystej, choć trochę już znoszonej bluzki bez rękawów.

Westchnął z rezygnacją i uśmiechnął się szeroko. Uczciwość jest najlepszą strategią. Wiedział o tym: był przecież gliniarzem.

- Niech mi pani wybaczy, że robię z siebie takiego dupka. Nie przywykłem rozmawiać z atrakcyjnymi kobietami w takich okolicznościach, no, chyba że zakładam im kajdanki...

Nie! Nie to chciałem powiedzieć!

- Trochę osobliwe podejście...

Spojrzała na niego poważnie, uśmiechnęła się, a potem roześmiała gardłowym głosem, tak jak lubił.

Ich wczorajsza rozmowa w Starbucks, parę przecznic od kostnicy, przebiegała w pewnym napięciu i nie obyło się bez łez Penny. Wyznała Feddermanowi, że sama była zaskoczona, jak mocno dotknęła ją śmierć Nory, chociaż jako przyrodnie siostry nie były z sobą zbyt blisko. Fedderman postanowił dowiedzieć się o

tym więcej, tym bardziej że Penny nie była już w tak depresyjnym nastroju. No i dotyczyło to sprawy. Zyskiwał w ten sposób krzepiące złudzenie, że przebywa tutaj służbowo.

- Wspomniała pani wczoraj, że nie była z Norą zbyt blisko...

- To przesłuchanie?

Feddermana zaskoczyła ta błyskawiczna riposta, ale powiedział:

- No... czasami tak to nazywamy, to znaczy w naszej firmie Quinn i Partnerzy... - Uśmiechnął się. - Oczywiście prowadzimy przesłuchania, ale teraz wcale tego nie robię...

- Bierzesz sobie wolne od tej sprawy?

- Na chwilę. Z tobą.

- Twój szef, Quinn, robi wrażenie... może nawet trochę za silne.

- Jest w trakcie polowania - wyjaśnił Fedderman.

Quinn był ostatnim tematem, który chciałby teraz poruszać.

Kelner przyniósł mleko do herbaty.

- Myślę, że Nora i ja nie byliśmy ze sobą blisko z powodu różnicy wieku - dzieliło nas mniej więcej dziesięć lat. Ojciec opuścił nas parę dni po urodzinach Nory. Był profesorem Uniwersytetu Nowojorskiego. Wyjechał z jedną ze swoich studentek do Meksyku... Miesiąc później oboje zginęli, gdy ich autobus uderzył w barierkę i stoczył się w przepaść...

- Jednak Nora była pani krewną. To coś znaczy.

- Tak, jak się okazało.

Pomyślał, że Penny znów się rozplacze.

- Widywałyśmy się w czasie wakacji albo zjazdów rodzinnych. Pięć lat temu moja mama zmarła na zapalenie płuc, a po pogrzebie widziałam Norę zaledwie parę razy.

Fedderman pociągnął łyk kawy i wpatrzył się w osad na brzegu filiżanki.

Penny wciąż miała uśmiech na twarzy, ale trochę jakby pociągała nosem.

- Jednak ma pan rację. Związki krwi mają znaczenie. Większe, niż myślałam.

- Identyfikacja ofiar zbrodni nigdy nie jest łatwa - powiedział.

Skinęła głową.

- No tak. Ale już po wszystkim. - Wzięła głęboki wdech i uśmiechnęła się tak promiennie, że Fedderman poczuł się kompletnie ugotowany.

Przegadali potem parę godzin. Rozmawiali o wszystkim, tylko nie o Norze i o tym, co ją spotkało. Fedderman dowiedział się, że Penny po skończeniu college'u przewędrowała z plecakiem Europę i chciałaby wrócić kiedyś do Paryża. Penny zaś dowiedziała się, że Fedderman jest od lat wdowcem, ale wciąż zdarza mu się wyciągać rękę w łóżku, jakby szukał obok siebie żony.

Fedderman nadal pielęgnował iluzję, że odbywa spotkanie służbowe. Nigdy nie wiadomo - mówił sobie -

czy coś z pozoru niezwiązanego ze sprawą nie okaże się naprawdę użyteczne.

- Dlaczego wyjechał pan z Florydy? - zapytała.

- Cóż, z początku wydawała mi się rajem, ale po jakimś czasie się nią zmęczyłem. Więc wróciłem tutaj i robię to, co robiłem przez całe życie.

- Próbuje pan tropić złych chłopców?

- Wytropić ich i złapać - potwierdził Fedderman.

To nieco patetyczne wyznanie nie zabrzmiało chyba zbyt głupio? Chyba odzyskiwał równowagę.

Znów zjawił się kelner, by napełnić ich filiżanki. Penny zatopiła saszetkę z herbatą i bawiła się etykietką na nitce, jakby łowiła rybę.

- Nie odpowiedziała mi pani jeszcze, czym się pani zajmuje - zauważył Fedderman. - Założę się, że to coś ciekawego... Może nawet niebezpiecznego. - Nie chciał brnąć dalej, żeby nie uznała go za głupka, jak po tej wypowiedzi o tropieniu złych chłopców.

- Jestem bibliotekarką.

- Poważnie? - Siadł wygodniej i utkwiał w niej tak rozanielone spojrzenie, jakby nigdy wcześniej nie widział prawdziwej bibliotekarki.

- Poważnie. Pracuję w Albert A. Aal Memorial Library przy Wschodniej Pięćdziesiątej Trzeciej.

- Tu, w Nowym Jorku?

- Tak, dojeżdżam z New Jersey, podwozimy się na zmianę, kilka osób...

- To wiele wyjaśnia. Jest pani naprawdę bystra.

- Dlatego że załatwiam sobie w ten sposób dojazd?

- Ach nie, mam na myśli pracę w bibliotece.

- Hmm... - powiedziała i upiła łyk herbaty. - Doceniam, że pan to docenia.

- A co dokładnie robi bibliotekarz w dzisiejszych czasach? - zapytał Fedderman. - Mam na myśli te elektroniczne czytniki, e-booki i tak dalej...

- Czasami wydaje mi się, że siedzimy i czekamy, aż staniemy się niepotrzebni - powiedziała. - Ludzie wciąż czytają papierowe książki i gazety, to fakt. Ale odkąd skomputeryzowaliśmy system katalogów, bibliotekarze nie są już tak niezbędni.

- Te cholerne komputery... - westchnął Fedderman.

- Na pewno ułatwiają panu pracę.

- Tak jak pani.

- Założę się, że wszystkie te bogate wdówki z Flo-
rydy oglądały się za panem.

Fedderman z trudem zwalczył rumieniec.

- Nie zauważyłem.

Zaczęła się znów bawić herbacianą saszetką.

- Jestem pewna, że gdybym była bogatą wdową, zwróciłabym na pana uwagę.

Uśmiechnął się.

- Byłbym zaszczycony.

Przez chwilę siedzieli, milcząc. Fedderman patrzył na Penny, a ona wpatrywała się niby w ludzi za oknem,

ale tak naprawdę zatopiona była we własnych myślach. Promienie słońca, wpadające przez szybę, rozświetlały kosmyki jej włosów i zapalały ogniki w oczach: zadumanych, spokojnych i rozumnych.

Fedderman zdał sobie sprawę, że to, o czym rozmawiali, nie miało w istocie znaczenia. Z jakichś powodów czuli się dobrze w swoim towarzystwie.

Tak, kolacja to nie byłby zły pomysł, pomyślał. Randka.

- O czym myślisz? - zapytał Fedderman.
- O klasyfikacji dziesiątej Deweya.
- No popatrz, nie zgadłem - przyznał się Fedderman.

20.

Hogart, 1991

Willis ze sklepu Quick Pick usłyszał krzyki, zaraz kiedy wyszedł w gorącą letnią noc. Nie miał wątpliwości, że dochodziły z lasu za sklepem.

Ściągnął reklamę Live Bait i położył ją na betonie koło drzwi. Czy nastąpią dalsze odgłosy?

Ale noc była teraz cicha. Stał z rękoma opuszczonymi bezwładnie, a głowę odwrócił trochę w lewo, żeby wykorzystać zdrowsze ucho. Starał się wyłowić inne dźwięki niż brzęczenie owadów w lesie i wokół lamp na stacji benzynowej.

Następną rzeczą, którą dosłyszał, oprócz pieśni cykad, był ryk motoru. Z początku urywany i jakby niepewny, a potem narastający. Wreszcie zobaczył, jakies sto metrów dalej, motocykl wystrzelający z lasu na szosę. Ten przez chwilę jechał bez świateł, ale wkrótce zaryczał pełnym głosem, jakby czarna wstęga drogi dodała mu skrzydeł. To był jakiś duży harley - Willis zorientował się po charakterystycznym odgłosie silnika.

Gdy motocykl wyjeżdżał już z pola widzenia, on zdążył go dojrzeć w świetle księżycy. Maszynę pomalowano na jakiś ciemny kolor, a kierował nią zwały facet, chyba w dżinsach i czarnym T-shircie. Na głowie miał również ciemny kask, spod którego wymykały się długie ciemne włosy, i chyba brodę.

Taki obraz pozostał w głowie Willisa, gdy samotny motocyklista opuścił strefę księżycowego światła i zniknął w ciemnościach.

Potem Willis usłyszał kolejny krzyk. Kobieta. Pomyślał o Beth Brannigan, która dopiero co wyszła z jego sklepu, dźwigając papierową torbę z sześciopakami piwa dla swojego męża, Roya. Odważna Beth mogła wybrać skrót przez las. Roy po drugiej stronie tego lasu gapił się w telewizor ze swego wysiedzanego fotela. Willis zastanowił się, czy on też usłyszał krzyki.

Krzyki trwały jakiś czas, aż skończyły się niemal zwierzęcym skamleniem. Może byli tam jeszcze jacyś inni mężczyźni oprócz motocyklisty? Może to, co działo się w lesie, jeszcze się nie skończyło?

Willis pobiegł do sklepu po remingtona kaliber .12, którego trzymał pod kontuarem.

Sprawdził, czy magazynek jest pełny, po czym zamknął sklep i ruszył w stronę lasu. Poczłł dziwne uniesienie, idąc szybkim krokiem w kierunku, skąd dobiegały krzyki. Trzymał strzelbę w obu rękach, tak jak się nauczył w Wietnamie.

Trzydzieści dwa lata temu. Nie tak dawno.

Szeryf Wayne Westerley deptał pedał gazu swojego forda przez większość drogi do sklepu Quick Pick. Chciał tam być, zanim jeszcze zjawi się mąż Beth Brannigan. Mocny wóz zdawał się ścigać ze snopami światła z reflektorów.

Roy Brannigan potrafił się wkurzyć. To, że był fanatykiem religijnym, nie łagodziło jego zachowań.

Willis zaniósł Beth do sklepu jeszcze przed telefonem do biura szeryfa. Gdyby Brannigan zjawił się tam i dowiedział, co przydarzyło się jego żonie, mógłby zaraz pobiec na miejsce przestępstwa i zadeptać ślady jeszcze skuteczniej, niż zrobił to już zapewne Willis.

Wjeżdżając jednak na wysypyany żwirem parking przy Quick Pick, Westerley nie zauważył nigdzie sfatygowanego plymoutha Brannigana.

Wnętrze sklepu było jasno oświetlone. Gdy Westerley pchnął drzwi, okazało się, że są zamknięte. Zaraz jednak pojawił się Willis i otworzył szeryfowi.

Rzednące włosy Willisa spadały mu na czoło, przez co jego twarz wyglądała w świetle jarzeniówek na jeszcze bardziej zapadniętą. Wyglądał na mocno wystraszonego.

- Ona jest na zapleczu - powiedział od razu.

Westerley lubił Beth Brannigan. Jego zdaniem, taki dupek jak Roy nie zasługiwał na nią. Potrafił się żarliwie modlić i zarazem bronić swojej wizji Boga pięściami.

Westerley zastanawiał się niekiedy, czy Roy nie używa pięści także wobec Beth.

Była w magazynie, siedziała na aluminiowym ogrodowym fotelu; Willis sprzedawał takie w sezonie letnim. Okryta była plażowym ręcznikiem frotte z podobną Elvisa z jego późnych lat w Las Vegas. Jej bosa stopy i kostki wystawały spod głowy Presleya. Podeszwy stóp były brudne i zwrócone do wewnątrz, jedna do drugiej. Obok leżało zwinięte w kłębek ubranie: obcięte dżinsy, podarty T-shirt i różowe majtki.

Westerley nie był zadowolony, że Willis posprzątał miejsce przestępstwa, z drugiej jednak strony wiedział przecież, że sklepikarz nie mógł zostawić Beth w tym stanie. Ubranie mogło kryć ślady. *Nawet teraz.*

Willis zauważył spojrzenie Westerleya.

- Dobra, dobra - powiedział. - To co: miałem kobietę zostawić na ziemi? Musiałem ją czymś przykryć. Ten sukinsyn zerwał z niej ubranie.

Beth nie odezwała się ani słowem. Patrzyła gdzieś przed siebie. Znajdowała się zapewne w szoku. Dygotała, choć w magazynie było ciepło. Pod jej lewym okiem nabierał barw duży siniak.

- Wezwałem ambulans z Fulton - poinformował Westerley. Wiedział, że tam przebadają ją pod kątem gwałtu. Zacznie się zbieranie dowodów, które nabiorą znaczenia przed sądem. *Jeśli uda się znaleźć tego sukinsyna.*

- Zadzwońeś po jej męża? - zapytał szeryf.

- Nie. Myślałem, że najpierw to ty powinieneś tu przyjechać.

Westerley zauważył strzelbę opartą o ścianę przy wejściu na zaplecze.

- Masz zezwolenie, żeby tego użyć?

- W razie czego...

- Willis! Jesteś tu? - To był głos Roya Brannigana. Willis nie zamknął drzwi po wpuszczeniu Westerleya. On i szeryf spojrzeli po sobie. Westerley odpowiedział:

- Tu jesteśmy, na zapleczu, Roy.

Brannigan wszedł i rozejrzał się po magazynie. Zobaczył swoją żonę na ogrodowym fotelu, okrytą jedynie ręcznikiem. Nagle wrzasnął jakimś dzikim i złym głosem:

- Co tu się, na Boga, wyrabia!

- Beth została... zaatakowana - powiedział Westerley. Wyczuł zapach piwa bijący od Brannigana.

Roy patrzył na niego tak, jakby szeryf mówił po chińsku.

- Co jest? Co to znaczy: „zaatakowana”?

- Przykro mi, Roy. Wkrótce po jej wyjściu z tego sklepu, kiedy wracała do domu, Willis usłyszał krzyki w lesie. Poszedł tam, żeby zobaczyć, co się dzieje, i znalazł Beth na ziemi... z obrażeniami. Więc przyniósł ją tutaj i zadzwonił po mnie.

Wykrzywiona twarz Brannigana poczerwieniała; wybałuszył oczy, ale jakby nie dowierzał własnym uszom. Próbował zrozumieć, co szeryf powiedział.

- Co to znaczy „zaatakowana”? - zapytał raz jeszcze.

- Zabierzemy ją do szpitala, Roy - próbował go uspokoić Westerley - i wtedy dowiemy się więcej. Musimy się zorientować, w jakim jest stanie.

Brannigan wpatrywał się w żonę, siedzącą ze wzrokiem wbitym w pustkę, jakby była sama na bezludnej wyspie. Szczękała zębami.

- Mówiłem jej tyle razy, żeby po nocy nie chodziła tym skrótem przez las - rzucił Brannigan. Gniew w nim narastał. Na razie buzował, ale w każdej chwili mógł nastąpić wybuch. - Tylko że one nigdy, cholera, nie słuchają!

Na parkingu zachrząścił żwir - pojawił się następny samochód. Westerley pomyślał, że to ambulans, ale po chwili w drzwiach magazynu pojawił się Billy Noth, zastępca szeryfa. Westerley powiedział mu już, co się stało, więc Billy nie był zdziwiony widokiem Beth. Spojrzał na Brannigana, a potem na Westerleya.

- Nic jej nie jest? - zapytał.

- Niedługo się okaże - odparł Westerley.

- Kto to zrobił?

- Na razie nie wiemy.

- Znajdziemy skurwysyna - rzekł z przekonaniem Billy.

- Lepiej, żeby Bóg się o niego upomniał wcześniej, niż ja to zrobię - rzucił pogroźkę Brannigan.

- Spokojnie - powiedział Westerley, pamiętając o strzelbie Willisa. Wiedział też, że Roy ma kilka sztuk broni.

Za dużo tej cholernej broni.

I znów chrzęst żwiru na parkingu. Tym razem był to ambulans. Metalowe drzwi z obu stron wozu otworzyły się z hałasem niemal jednocześnie i zaraz potem ktoś wszedł do sklepu.

- Jesteśmy na zapleczu! - krzyknął Westerley.

Dwóch postawnych sanitariuszy w białych kitlach wkroczyło do magazynu, który nagle zrobił się jakiś mały, zatłoczony i duszny. Westerley spociał się mocno i poczuł, że wykrochmalona mundurowa koszula lepi mu się do pleców.

Wyjaśnił krótko sanitariuszom, co się stało, a oni pobiegli po nosze na kółkach i ułożyli na nich Beth. Ręcznik się wtedy zsunął. Ukazały się liście i grudki ziemi na jej nagim ciele. Jeden z sanitariuszy rozpostarł nad nią koc i kopniakiem odrzucił ręcznik. Ukazały się oczy Elvisa, nieco zmiętoszone. Zdawały się obserwo- wać sytuację z dość umiarkowanym zainteresowaniem.

- O Boże, Boże! - odezwał się Brannigan urywa- nym głosem. - Jadę z nią do szpitala!

Sanitariusze spojrzeli na Westerleya.

- To jej mąż - wyjaśnił szeryf. Przez chwilę zasta- nawiał się, jak to zabrzmiało, jak by sprawa się miała, gdyby Beth była jego żoną. Bo własna żona Westerleya

odeszła od niego trzy lata temu, mając dość małżeństwa z policjantem.

- Może pan usiąść z tyłu - wyjaśnił Branniganowi jeden z sanitariuszy.

- Tylko dopilnujcie na sto procent, żeby zrobili testy na gwałt - powiedział Westerley.

Sanitariusze wytoczyli nosze ze sklepu, starając się unikać szarpnięć. Wszyscy wyszli za nimi. Noc była ciemna, ale sklep otaczała aura elektrycznego światła. Niebiesko-czerwone migające lampy ambulansu nie pasowały jakby do otoczenia: wielkiej ciemności i ciszy.

Przed reflektorami kotłowały się ćmy, niczym pijane duchy.

Kiedy sanitariusze podnieśli koła noszy i załadowali Beth do ambulansu, Brannigan stał jakieś dziesięć stóp dalej i wpatrywał się w niebo. Nagle wydał z siebie dziwny skowyt, wprawiając wszystkich w osłupienie. Gdy zawył jeszcze raz, jego usta rozwarły się szerzej, a żyły na szyi napięły się jak postronki. I głos był mocniejszy.

A potem spokojnie podszedł do tylnych drzwi ambulansu.

- Bóg nie działa bez przyczyny - ogłosił i wsiadł do samochodu.

Jeden z sanitariuszy zamknął tylne drzwi. Gdy obchodził wóz, by siąść z przodu, spojrział wymownie na Westerleya. Ale ten nie zareagował, myśląc o Beth

Trzej mężczyźni patrzyli, jak ambulans odjeżdża po chrzęszczącym żwirze. Po kilkunastu metrach, już na szosie, w wozie włączyła się syrena.

- Chciałbym wiedzieć, co to za przyczyna - odezwał się Noth. Odwrócił głowę i splunął.

Kiedy ambulansu nie było już widać ani słychać, Westerley położył dłoń na kościstym ramieniu Willisa.

- Pokaż nam teraz, gdzie to się stało.

21.

Nowy Jork, obecnie

- Tak sobie myślałem, że wcześniej czy później zobaczę znów swojego starego znajomego, detektywa Quinna - powiedział William Turner.

Quinn znalazł się ponownie w korytarzu starego domu z piaskowca, załatującego kocią uryną. Turner, były menedżer i współwłaściciel Socrates's Cavern, otworzył drzwi i patrzył na niego z szerokim uśmiechem. Teraz nie przypominał Einsteina. Z mięsistymi ustami i szczerbatym uzębieniem wyglądał na starego lubieżnika. Quinn pomyślał, że Turner nie zapomniał o swoim dawnym biznesie. Tak to wyglądało.

Tego dnia stary nie miał na sobie blezera i apaszki. Był w lśniącym jedwabnym kimonie, ale stopy tkwiły w tych samych domowych pantoflach, co poprzednio. Siwe kręcone włosy chyba wciąż opierały się wszelkim grzebieniom. W oczach znać było rozbawienie, jakby Quinn opowiedział jakiś dobry dowcip.

- Słyszałem, że znalazł pan kolejną ofiarę Rzeźnika
- powiedział Turner. - Spodziewam się więc, że przy-
szedł pan spytać mnie o Simona Luttrella. - Nowojor-
skie media zdążyły już nadać mordercy przydomek
„Rzeźnik”. Stał się atrakcyjnym tematem.

Turner otworzył drzwi szerzej i odsunął się na bok,
by Quinn mógł wejść do środka.

- Niech pan pyta, detektywie...

- Ma pan kota? - zapytał Quinn.

Turner wyszczerzył szczerbate zęby, ale wydawał się
zaskoczony.

- Kota?

- No, kota...

- Nie, nie. Nie przepadam za tymi zwierzakami.

Quinn nie wyjaśnił, czemu zadał to pytanie. No, ale
ten kwaśny zapaszek, wypełniający korytarz... Choć
mógł to być także jakiś płyn czyszczący albo coś takie-
go.

Usiadł, jak poprzednio, na beżowej sofie z widokiem
na kolekcję ceramiki.

- Nie trzeba było długo czekać, by media podały
nazwisko Simona Luttrella... - Turner miał na twarzy
wciąż ten sam uśmiech: domyślny i lubieżny. - Można
się było tego spodziewać, skoro to nazwisko było na-
mazane krwią na lustrze, jak w przypadku poprzedniej
ofiary. A obaj wiemy, skąd się biorą przecieki z nowo-
jorskiej policji.

- Nie każda komora jest wodoszczelna - przyznał Quinn - ale statek płynie dalej.

- Pięknie pan to ujął.

- Pamięta pan Simona Luttrella? - spytał Quinn.

- Nigdy mu się nie przyglądałem, tyle pamiętam. To nic dziwnego. Liczba naszych członków szła w setki.

- Ale on miał złoty klucz.

- A, widzę, że zrobił pan rozpoznanie...

- No więc: przypomina go pan sobie?

- Nie, przykro mi. Członków ze złotymi kluczami też były setki. To nie był tak ekskluzywny klub, jak by się wydawało.

Turner podszedł do fotela i usiadł; kimono się rozchyliło, ukazując cienkie, sinawe kostki stóp. Błyszczący purpurowy materiał był tak naładowany elektrycznością, że niemal iskrzył.

- Wie pan, detektywie Quinn... ten cały Simon Luttrell to dla mnie zamierzchła przeszłość, która nie bardzo mnie już interesuje i którą słabo pamiętam. Ale, o ile wiem, nie jest też częścią obecnego nowojorskiego świata sadomaso.

Kolejny szczerbaty uśmiech. Pojawił się równie łatwo, jak zniknął z mięsistych ust.

- Wie pan, myślę, że ktoś bardzo cwany pogrywa z panem.

- O tak, zgodziliśmy się co do tego - oświadczył Quinn.

- I obydwaj wiemy, że to nie ja. - Turner wzruszył obłąmi, wąskimi ramionami. - Ale kiedy ma pan martwe, zmasakrowane kobiety, jedną za drugą... I takich seksualnych awanturników, jak Philip Wharkin i Simon Luttrell - a może raczej kogoś, kto udaje ich duchy - to do kogo powinien się pan zwrócić, jeśli nie do takiego starego króla porno jak ja? - Westchnął. - Cholera, muszę przyznać, że to naturalne, choć niewłaściwe.

- A skąd pan wie, że Simon Luttrell nie żyje?

- Dopiero co mówiliśmy o nieszczelnym okręcie...

Quinn postanowił tego nie komentować. Wstał, nie specjalnie rozczarowany, że nic nie wskórał.

Turner też się podniósł z fotela. Zabrało mu to chwilę.

- Wie pan, że jakaś część mnie nie ma już nic wspólnego z tymi sprawami?

- Nie wiem i nie bardzo chcę zgadywać, o co konkretnie chodzi - odparł Quinn i ruszył w stronę drzwi.

Zachęciło to Turnera do dalszych proklamacji niewinności.

- Nie mam nic wspólnego z tymi zabójstwami, detektywie Quinn, i nie znam nikogo, kto mógłby ich do końca. Cholera, sam mam córkę!

Skinął głową w stronę fotografii stojącej na półce przed kolekcją ceramiki. Z drewnianej ramki spoglądała na Quinna jasnooka dziewczyna o bujnych ciemnych włosach.

Quinn zastanowił się, czy ta dziewczyna wie o przeszłości ojca. Już miał zapytać, ale uznał, że teraz nie ma to sensu. Może kiedyś.

- My, z branży porno, nie lubimy, tak samo jak inni, kiedy jakieś bydlę śledzi i zabija kobiety. To tylko psuje atmosferę. Jak ta wizyta. A powinien pan skierować wszystkie wysiłki na znalezienie mordercy.

Gdy odprowadzał Quinna do drzwi, kimono szeleściło i puszczało iskierki. Jakby to był celofan, a nie jedwab.

- Mam nadzieję, że pan mi wierzy.

- Nie chodzi o to, że panu nie wierzę - odparł Quinn. - Chodzi raczej o to, że nie jestem pewien, czy mówi pan w imieniu całego przemysłu porno. Tam kobiety są towarem i źródłem zysku.

- Ale nie martwe - zauważył Turner, otwierając drzwi na korytarz. - Bo martwe są raczej źródłem kłopotów.

Wyciągnął rękę na pożegnanie, ale Quinn to zignorował, bojąc się, że złapie go prąd.

Już na zewnątrz Quinn zastanowił się, czy będzie w stanie uwierzyć w cokolwiek, co mu powiedział Turner.

22.

Hogart, 1991

Westerley i Billy włączyli latarki, a i księżyc prześwitujący przez korony drzew trochę im pomógł. Willis trzymał się z boku, jak mu kazano. Kiedy dotarli na miejsce, zgasił swoją latarkę, zabraną ze sklepu. Zresztą nie wiedział, gdzie świecić.

Beth musiała najwyraźniej walczyć. Dywan zeszłorocznych liści był pozdzierany, tak że miejscami prześwitywała goła ziemia. Warstwa liści była jednak dość gruba, by nie zachowały się żadne odciski stóp, także na miejscach odsłoniętych. Westerley zauważył mały skrawek materiału, jakby oderwany od T-shirtu Beth. Oświetlił ten ślad latarką, a Billy podniósł materiałkę i włożył do plastikowego woreczka.

W pobliżu miejsca, gdzie doszło, jak się wydawało, do walki między Beth i gwałcicielem, leżała podarta papierowa torba. A zaraz przy niej sześciopak, też rozdarty, piwa Wild Colt. Westerley przyjrzał mu się z

bliska. Dostrzegł jedynie trzy puszkę. A w pobliżu nie było żadnej pustej. Pomyślał, że gwałcieł najpierw uderzył Beth tym sześciopakiem, żeby ją uciszyć, a potem upchnął trzy puszkę po kieszeniach, bo więcej się nie zmieściło.

- Czy to takie piwo kupiła Beth w Quick Pick? - zapytał Westerley Willisa.

- Tak. Takie piwo pije Roy.

- Czy ten facet, którego widziałeś wyjeżdżającego stąd na motocyklu, miał coś ze sobą?

- Hmm. Chyba nie. Trzymał obie ręce na kierownicy. Tak, jestem pewien. No ale może miał coś w sakwach...

- Może - przytaknęła Westerley, zdając sobie sprawę, że to tylko przypuszczenie, nieoparte na dowodach.

- Ale jestem pewien, że jechał harleyem - rzekł z naciskiem Willis. - Miałem kiedyś takiego i pamiętam, jaki miał gang.

- Naprawdę?

Westerley kazał Billy'emu odgrodzić miejsce przestępstwa żółtą taśmą. Chciał wrócić tu rano i przyjrzeć się wszystkiemu w pełnym świetle. Dopóki wiadomość o gwałcie nie trafi do gazet i TV, żaden ciekawski się tu zapewne nie pojawi. W końcu to nie St. Louis ani Kansas City.

Gdy Bill skończył już ogradzanie terenu żółtą taśmą, rozpiętą na drzewach, trzech mężczyźni wyszli z lasu,

przyświecając sobie latarkami. Willis szedł przodem, jakby był przewodnikiem jakiejś ekspedycji.

Wczesnym rankiem Westerley wrócił sam na miejsce przestępstwa. Przebadał dokładnie pole walki Beth z gwałcicielem. Jakies dziesięć stóp od miejsca, gdzie zapewne doszło do gwałtu, znalazł ślady parkowania motocykla. Pozostały tam wyraźne ślady stopek. Nie udało mu się natomiast odszukać śladów opon.

Miał już odejść, gdy dostrzegł coś, co wyglądało na ciemną plamę na suchym, zbrunatniałym liściu. Przyjrzał się temu dokładnie. To coś miało średnicę nie większą niż pół cala, ale był niemal pewien, że to krew.

Na ciele Beth nie zauważono krwawiących ran, więc nie była to chyba jej krew, lecz napastnika.

Ostrożnie podniósł pęsetą liść i wsunął go do plastikowego woreczka, który następnie starannie zamknął.

W szpitalu nie znaleźli żadnych śladów krwi pod paznokciami Beth, choć twierdziła, że podrapała napastnika. Zatem krew na liściu mogła stanowić cenny dowód, o ile istotnie była krwią podejrzanego.

I o ile znajdzie się jakiś podejrzanym.

Westerley przypomniał sobie słowa pewnego byłego polityka z Missouri pod adresem pięknie sformułowanego, ale żałośnie niekonkretnego projektu ustawy: „Gdybyśmy mieli chleb i musztardę, moglibyśmy sobie

zrobić dobrą kanapkę z szynką - no tak, ale pod warunkiem że mielibyśmy także szynkę”.

23.

Nowy Jork, obecnie

Na polecenie Quinna Vitali i Mishkin odwiedzili raz jeszcze mieszkania Millie Graff i Nory Noon. Bo coś mogło zostać przegapione. Coś, co łączyło jedną lub obie kobiety z nowojorskim światem mrocznego seksu - albo ze sobą nawzajem.

Dwaj detektywi byli teraz w mieszkaniu Nory - ciepłym obecnie i jasnym dzięki światłu słonecznemu, wpadającemu przez okna.

Vitali przekopywał się przez pokój zapchany wiszącymi ubraniami i kuponami materiałów. Mishkin tymczasem przeszukiwał w sypialni zawartość garderoby, w tym bieliznę. Brał w czubki palców jedwabne i koronkowe intymne części damskich fatalasek. Przyglądał się im z pewnym zażenowaniem znad siwych wąsów. Sal widział przez przedpokój, co robi Mishkin, i znów, jak wiele razy wcześniej, dochodził do wniosku, że jego partner nie powinien jednak zostać policjantem. Zbyt

często trafiały mu się takie nudne i żenujące zadania.

Mrówy z nowojorskiej policji przejrzały już zawartość komputerów obu ofiar. Na twardym dysku Millie Graff pełno było tańców i tancerzy. Pracowała, co prawda, jako hostessa w restauracji, ale wciąż widać marzyła o karierze tancerki.

Było tam miejsce poświęcone „sztuce” tańca na ru-
rze, ale chodziło raczej o konkretne techniki niż o ero-
tykę. W skrzynce mailowej znajdowały się głównie
posty dotyczące spraw zawodowych albo sukcesów i
porażek różnych tancerzy i tancerek. Zawartość skrzyn-
ki sugerowała, że Millie nie miała zbyt wielu przyjaciół
w Nowym Jorku i nie pozostawała w żadnym roman-
tycznym związku. Natomiast niemal codziennie wcho-
dziła na Drudge Report i czytała elektroniczną wersję
„New York Timesa”. Czyli wszystko w najlepszym
porządku.

Nora Noon także odwiedzała stronę NYT. W istocie
była to jej domowa strona. W komputerze Nory znaj-
dowały się zdjęcia z kilku magazynów mody, a także z
książki Susan Isaacs. Parę razy odwiedziła serwisy
randkowe, ale bez logowania się. Podobnie jak Millie,
miała swoje prywatne konto e-mailowe, a także skrzyn-
kę służbową. Ta ostatnia rzeczywiście zawierała jedynie
korespondencję biznesową. Zresztą i w prywatnej nie
znajdowało się nic użytecznego dla śledztwa. Nora mia-
ła też swój profil na Facebooku, ale tamtejsze wpisy

były jedynie słabo zawoalowaną korespondencją biznesową.

- Te kobiety - zauważył Mishkin na tyle głośno, by mógł go usłyszeć Vitali - były chyba całkiem normalne, tyle że straszliwie zapracowane.

- Aż dziwne, że znalazły czas na śmierć - sapnął Vitali. Bawełniano-wełniany kurz w powietrzu sprawiał, że ledwie powstrzymywał się od kichnięcia.

- Cóż, chciały zrobić karierę - podsumował Mishkin. - Projektantka i tancerka...

- No, może raczej niedoszła tancerka.

- Eee, to była chyba jedynie kwestia czasu - uznał optymistycznie Harold.

- Każdy robi jakąś karierę, nawet jeśli inni nazywają to tylko robotą.

- Ja myślę, Sal, że to było coś więcej niż robotą. Dlatego obie ofiary prowadziły takie pracowite życie.

Sal wyjrzał z magazynu Nory N. A może była to jedynie przepełniona garderoba. Nie był pewien, jak to nazwać. W każdym razie unosiło się tam mnóstwo tekstylnych kłaczków. Ledwie stamtąd wyszedł, kichnął.

- Na zdrowie! - odezwał się Mishkin. Trzymał w dłoni pasek czarnego materiału. - Ale to już nie może być część kostiumu kąpielowego: za mała.

- Takie rzeczy też się nosi jako bieliznę, Harold. Nazywają to stringi. Pewnie większość kobiet przed siedemdziesiątką ma coś takiego w swojej garderobie.

- A skąd ty wiesz takie rzeczy, Sal?
- Po prostu wiem. Tak jak wiem, że wiele urzędzeń uruchamia się czerwonym guzikiem.

Mishkin znalazł w szufladzie Nory jeszcze coś ciekawego.

- A to co takiego? Wygląda jak połówki kantalupy z jakąś pianką w środku.

- To jest stanik, Haroldzie. Kobiety noszą takie staniki do sukni bez ramiączek.

- Nie wygląda to tak, jakby mogło cokolwiek podtrzymać - zauważył sceptycznie Mishkin.

- Ale działa. Dzięki temu panie mogą prezentować odsłonięte ramiona.

- Aha... rozumiem. To działa jak wspornik. Coś takiego mają w tych domach w Kalifornii, gdzie nieraz pół chałupy wisi nad urwiskiem.

- Wiesz co, Harold...

- Co?

- Zostaw to w cholerę. Schowaj wszystko do szuflady i zmywajmy się stąd.

Mishkin usłuchał partnera i zamykał już szufladę, gdy zauważył coś na podłodze. Był to kawałek papieru, wyglądający, jakby go wydarto z małego kołonoatnika. Podniósł papierek i przyjrzał mu się.

- Tu coś jest, Sal. Musiało wypaść na podłogę, kiedy wyciągałem te ciuchy z szuflady. Coś tutaj zapisało... jakieś nazwisko i numer telefonu. - Kiwnął ręką na Vitalego. - To było chyba w tej samej szufladzie, co ten

sprytny stanik, no i... Może trafiliśmy na coś ważnego, Sal.

- O ile nie są to namiary jakiegoś agenta ubezpieczeniowego albo hydraulika - zauważył Vitali.

Lubił studzić nadzieje Mishkina. Bo Harold ciężko przeżywał rozczarowania. Wpadał nieraz w prawdziwą depresję czy załamanie.

Vitali schował złożony kawałek papieru do kieszonki koszuli, żeby Mishkin za długo się nad nim nie zastanawiał.

24.

Sprawy wyglądały teraz inaczej. Candice Culligan mogła sobie pozwolić na taksówkę z pracy do domu. Została niedawno partnerem zarządzającym w Kraft, Holmes i Deloitte, firmie prawniczej, specjalizującej się w prześwietlaniu korporacji i sporach sądowych.

Candice (nigdy Candy!) mogła się wydawać dziewczyną z show-biznesu ze swoją figurą smukłej klepsydry, nie mówiąc już o wydatnych ustach, które wyglądały jak po wstrzyknięciu botoksu - ale tak nie było. Włosy miała długie, bujne i rude, a oczy duże i błękitne. Lecz w oczach tych było coś, co trzymało facetów na dystans, z wyjątkiem największych chojraków. W lekko wysuniętym podbródku Candice uwidaczniała się pewna duma, podobnie jak w zamaszystym kroku. Ale zalety Candice nie ograniczały się do wyglądu, choć wszędzie robiła wrażenie. Candice była też bezsprzecznie bardzo inteligentna.

Marty Deloitte szybko się zorientował w jej zdolnościach, bo sam miał głowę na karku. W niedługi czas po podjęciu przez Candice pracy w firmie, a było to przed czterema laty, Marty uczynił z niej swoją pupilkę. Oboje ignorowali ironiczne komentarze otoczenia. Marty, już po sześćdziesiątce, z iksowatymi nogami, przez które nawet w garniturach za cztery tysiące dolarów prezentował się jak ofiara losu, cieszył się udanym małżeństwem i czwórką nastoletnich synów, którzy jednak ciągle wpadali w kłopoty, bo ojciec za długo pracował, by ich przypilnować. Jego żona Margie nie skarżyła się na mężowski pracoholizm. Nawet wtedy, gdy już poznała Candice. Nie chodziło o to, że tak bardzo ufała mężowi (choć ufała). Po prostu ich rozbrykani synowie sprawiali, że była zbyt zaabsorbowana wizytami u sąsiadów, w szkołach, a nawet na komisariatach policji, gdzie starała się ich wyciągnąć z poważniejszych kłopotów. Dlatego nie miała czasu, by się martwić ewentualną niewiernością Marty'ego. Sądziła, że gdyby kogoś miał, to i tak by się w końcu dowiedziała - a wtedy zareagowałyby ostro.

Kraft, Holmes i Deloitte była jedną z najbogatszych i cieszących się największym uznaniem firm w tym mieście. Stać ją było na przyzwoite płace. Ale kierownictwo zachowywało się często jak poganiacze niewolników, zmuszając zatrudnionych do pracy po godzinach.

Płacono za to dobrze, ale Candice dostawała dreszczy, słysząc o „nadgodzinach”.

Teraz jednak to jej już nie dotyczyło. Jako partner dostała dużą podwyżkę i premię. A także działkę spraw do poprowadzenia. Na ogół współpracowała z Martym Deloitte. Dzięki temu trafiały do niej głośne sprawy, dotyczące na przykład zatrudniania nieletnich.

Niedawno wprowadziła się do nowego kondominium w SoHo. I zaczęła się spotykać z Rileyem Carterem. Był przystojnym singlem i współproducentem nowego teleturnieju dla kablówek *Palce i paluchy*. Pomysł polegał na tym, że uczestnicy musieli wystukiwać odpowiedzi na klawiaturze, a w razie pomyłki po kolei sklejano im taśmą palce. W rezultacie najslabsi zawodnicy pisali tak, jakby robili to w jednopalczastej rękawicy. Paluchy u nóg nie miały z tym nic wspólnego, choć - jak obłudnie powtarzał prowadzący - można przecież na nich policzyć wygrane. Candice uważała, że program jest idiotyczny i nie nadaje się do oglądania, ale nigdy nie powiedziała o tym Rileyowi. Bo czy powinna? Zresztą oglądalność była wysoka - i o to właśnie chodziło.

Taksówkarz robił, co mógł, by przedrzeć się przez Broadway ku jej domowi. Kluczył i przepychał się wśród fali pojazdów. Candice jednak - ufna w swoje

szczęście - nie spodziewała się żadnej kolizji. Odchyliła głowę i uśmiechnęła się.

Lecz dosłownie pół przecznicy przed jej nowym *condo* ruch pojazdów w godzinach szczytu ostatecznie zakorkował ulice i taksówka wreszcie utknęła na dobre. A może doszło do jakiegoś wypadku czy kolizji? Taksówkarz - młody brodaty facet w turbanie - zdjął dłonie z kierownicy i zaczął bębnić palcami w deskę rozdzielczą. Candy rozumiała jego zniecierpliwienie: sama reagowała podobnie, jeśli coś w jej odczuciu działo się za wolno.

Przez chwilę samochody pełzały jeszcze, zbliżając się do siebie na odległość zaledwie kilku cali, ale potem stanęły zupełnie. Było jasne, że ruch jest zablokowany na amen. I nieprędko się to zmieni.

Candice zapłaciła taksiarzowi - z sutym napiwkem - i wysiadła z wozu. Piechotą dotrze do domu szybciej. Inni pasażerowie taksówek również wpadli na ten pomysł. No cóż - o tej porze dnia to norma. A metro też miało swoje wady. Wieczorny spacer nie był więc najgorszym wyjściem.

Idąc chodnikiem, Candice łapała kątem oka swoje odbicia w szybach wystawowych. Uśmiechała się coraz szerzej do uśmiechniętej kobiety w oknach. Po prostu nie mogła się powstrzymać. W końcu miała świetną pracę, ciekawe życie osobiste, kupę forsy i nowy apartament, o którym niedawno mogła tylko pomarzyć.

I otwierała się przed nią przyszłość tak piękna, że wprost nie do uwierzenia.

Candice to rozumiała i w pełni doceniała swój szczęśliwy los. Miała wszystko, czego mogłaby pragnąć w tym najwspanialszym mieście świata.

Ale szedł za nią także pewien cień. I ten cień miał nóż.

25.

Hogart, 1991

Nazajutrz rano po gwałcie na Beth Brannigan szeryf Wayne Westerley umieścił skromne zdobycze z miejsca przestępstwa w bagażniku swego wozu patrolowego. Zbiór ten składał się z serii polaroidowych zdjęć, plastikowego odlewu śladów stopek motocyklowych i woreczka z zeschniętym liściem, na którym widniała plama krwi. Nie było tego wiele, nawet gdyby mieli już podejrzanego. Westerley wiedział, że z każdą godziną szanse na znalezienie gwałciciela maleją nieodwołalnie.

Po raz ostatni rzucił okiem na miejsce przestępstwa. Dziwnie przejmująco czuło się tutaj wielką przemoc. Jakby samo powietrze przesyciła jakaś ogromna nieprawość, wykraczająca nawet poza dramat jednej ofiary. Westerley próbował sobie wyobrazić, co działo się w umyśle Beth Brannigan ostatniej nocy, ale uznał, że nie potrafi tego odtworzyć. Zresztą powinien zrobić coś innego: wczuć się w myślenie sprawcy. To mogłoby

naprowadzić na trop gwałciciela jeszcze sprzed popełnienia gwałtu.

Ledwie usiadł za kierownicą i przekręcił kluczyk, usłyszał wezwanie przez radio. To nie była jego dyspozytorka Ella, tylko Billy Noth.

- Szeryfie, Ella przyjęła wezwanie patrolu drogowego - powiedział Billy. - Jakieś chłopaki, łązące po lesie w poszukiwaniu grotów strzał, znalazły faceta leżącego na wznak. Myśleli, że coś mu się stało, więc pobiegli po ojca, który czekał przy samochodzie. Poszedł z nimi na to miejsce i zobaczył faceta - pijanego albo naćpanego, czy coś w tym rodzaju. Rysopis się zgadza. Gość wrócił do samochodu i podjechał z dziećmi do telefonu przy szosie. Wezwał patrol. Już są w drodze.

- A gdzie to było dokładnie? - spytał Westerley, czując, że tętno mu skacze.

- Przy drodze stanowej GG, zaraz na wschód od zjazdu z międzystanowej czterdziestki czwórki. Ich dyspozytor powiedział, że facet leży za jakąś wielką opuszczoną stodołą, ze sto jardów w głąb lasu.

- To mniej niż pięć mil ode mnie - powiedział Westerley.

Nie dosłyszał już odpowiedzi Billa. Zawrócił wóz i włączył syrenę.

Po paru milach wyłączył sygnał, ale zostawił świecącego koguta na dachu. To wystarczało, żeby nie

utrudniano mu jazdy. Po paru minutach skręcił na wąską asfaltową drogę: stanową GG.

Prawie od razu dostrzegł stodołę, zaraz po lewej. Była ogromna, poszarzała i pod wpływem wiatru chyliła się tak bardzo, że mogła runąć w każdej chwili. Pomiedzy deskami migotały pionowe pasma światła.

Westerley zaparkował jakieś dwadzieścia stóp od stodoły, w pobliżu jej mroczonej i krzywej czeluści, którą kiedyś zamykały wrota. Zgasił silnik i wysiadł z samochodu, nie zatrzaszkując za sobą drzwi.

Nagle zrobiło się bardzo cicho. Westerley stał bez ruchu w wysokiej trawie, słysząc tylko brzęczenie owadów i - od czasu do czasu - samochody przejeżdżające po międzystanowej, ale to już za drzewami. Wiał łagodny wietrzyk, od którego falowały trawy i skrzypiały belki stodoły. Zrozumiał, czemu ktoś szukający wytchnienia albo snu wołał las od sąsiedztwa tej ruiny, która nie dawała w istocie żadnej ochrony, a mogła się w każdej chwili zawalić. Wiatr powiał mocniej i Westerley zauważył, że budowla naprawdę się chwieje.

Niewykluczone jednak, że podejrzany ocknął się i schował teraz w stodole, ale Westerley uważał to za mało prawdopodobne. Wyjął z kabury swojego kolta 45 i sprawdził, czy rewolwer jest naładowany, a potem obrócił bębenek tak, by przy zamku nie znalazła się pusta komora, trzymana ze względów bezpieczeństwa.

Obrócił głowę i nadśluchiwał. Nie słyszał żadnych syren. Oczywiście nie musiało to znaczyć, że w pobliżu

nie było żadnego patrolu. Mogli, tak jak Westerley, zbliżyć się po cichu do miejsca, gdzie widziano podejrzanego.

Trzymając broń przy prawym udzie, okrążył stodołę i wszedł do lasu.

Znalazł się na wąskiej ścieżce, trochę już zarośniętej, ale wyraźnej. Przeszło nią zapewne kilka ekspedycji poszukujących grotów strzał, może też odbyło się tu parę schadzek. Wśród drzew było chłodniej niż w wystawionej na słońce stodole - i spokojniej.

Najpierw dostrzegł motocykl: był to granatowy harley-davidson, stojący na stopkach na małej polance, nietkniętej prawie słońcem. Na środku polanki, przy pojedynczej plamie światła, leżał masywny mężczyzna z ciemną brodą. Był w czarnym T-shircie, brudnych dżinsach i wysokich brązowych, skórzanych butach ze zdartymi obcasami. Przy jego prawej dłoni leżała puszcza po piwie. Dwie identyczne zauważył szeryf na ziemi koło motocykla. To było piwo Wild Colt. Takie samo kupiła Beth w Quick Pick, zanim ją zgwałcono.

Westerley usłyszał chrapanie i sam odetchnął głębiej. Facet spał głęboko. Właśnie tego trzeba było szeryfowi. Sięgnął po kajdanki u pasa i ruszył naprzód. Po drodze przyjrzał się dokładniej twarzy podejrzanego. Patrzył, jak za każdym chrapaniem poruszają się kosmyki długiej i zmierzwionej brody.

Gdy jednak zbliżył się na jakieś pięć stóp, zauważył nagle lypnięcie bieli. Białko oka. Prawe oko mężczyzny było półotwarte.

Westerley zdał sobie sprawę, że sen i chrapanie były udawane,, ale facet wciąż przecież leżał u jego stóp. Nagle jednak zerwał się, strząsając liście. Widział, że Westerley jest w mundurze, ale nie dostrzegł chyba broni.

Szeryf był tuż za nim. Mężczyzna błyskawicznie otrząsnął się ze snu. W biegu jego długie włosy kolebały się jak metronom.

- Stać! - krzyknął Westerley. - Urząd szeryfa! Będę strzelał! Odstrzelę ci jaja!

Podejrzany zaczął biec jeszcze szybciej.

Cholera!

Westerley zatrzymał się i stanął w rozkroku. Wyciągnął broń przed siebie, a potem uniósł ją nieco, by oddać strzał ostrzegawczy.

I wtedy właśnie uciekający obejrzał się, by zobaczyć, gdzie jest szeryf - i wpadł na drzewo. Był podchmielony i podnosił się dopiero z ziemi, gdy Westerley dobiegł do niego, podciął mu nogi i założył kajdanki.

- Jak wyrznięłeś w to drzewo, to aż zadudniło - powiedział.

- No fakt, pieprznięłem aż miło - odparł mężczyzna, posapując. Obydwaj z trudem chwyтали powietrze.

- Już ci miałem posłać kulkę - wyznał Westerley, unosząc rewolwer.

- A niby za co? Za spanie pod drzewem?

Westerley trzymał gościa mocno za koszulkę i pasek. Teraz popchnął go energicznie.

- Co pan robi? - zapytał mężczyzna.

- Idź prosto w kierunku stodoły - rzucił Westerley.

- Czemu mnie pan ścigał?

- A czemu uciekałeś?

- Dokąd idziemy? - Pytanie za pytaniem zamiast odpowiedzi. Tak się zachowują ludzie winni.

- Idź!

- Mam swoje prawa!

- Wiem - przyznał Westerley. - Jak tylko złapię oddech, wymienię ci je.

Jeszcze zanim dotarli do wozu patrolowego, Westerley zapoznał podejrzanego z „prawami pana Mirandy”. Wsadził go na tylne siedzenie wozu, za kratkę, a sam siadł za kierownicą.

Nie upłynęła nawet minuta, od kiedy zjechał z GG na drogę międzystanową, gdy zobaczył patrol drogówki. To były cztery wozy z włączonymi kogutami, ale bez syren. Pędziły na łeb na szyję.

- A co z moim motocyklem? - zapytał podejrzanym.

- Nie sądzę, by jeszcze kiedyś był ci potrzebny - odparł Westerley.

26.

Nowy Jork, obecnie

Quinn i Pearl zjedli lunch w domu Quinna przy Zachodniej Siedemdziesiątej Piątej. Często tak robili, bo od biura była to tylko chwila spaceru, a po drodze zwykle kupowali w *deli* jedzenie na wynos.

W tym starym domu z piaskowca mogli się trochę zrelaksować i swobodnie porozmawiać, co w agencji nie zawsze było możliwe. Czasami gawędzili o wymianie szaf łazienkowych, o wykładzinach albo płytkach, jakie należałoby położyć w holu wejściowym. Quinn mógł zerknąć na wiadomości w TV, jeśli miał ochotę. A Pearl mogła zrzucić pantofle i wyciągnąć się na sofie, by uciąć sobie poobiednią drzemkę. Takich przyjemności nie oferowała żadna restauracja.

Niekiedy po lunchu wspinali się wąskimi schodami na wyższe kondygnacje, żeby przyjrzeć się postępowi prac renowacyjnych.

Pearl coraz bardziej się w to angażowała. Quinn miał nadzieję, że wynikało to z rosnącego zainteresowania

tym kamiennym domem, a może i chęci wprowadzenia się tu na stałe. Jego zdaniem, byłoby to bardzo sensowne posunięcie - i to z mnóstwa powodów. Nie był tylko pewien, czy i ona tak uważa.

Dziś jednak nie zabawili tu długo. Nawet przez grube ściany i stropy słyszeli stukanie i nieznośne wycie elektrycznych narzędzi budowlanych. Zdawało się, że robotnicy chcą poprzewiercać ściany i stropy. W takich warunkach trudno o relaks.

Znalazłszy się znów w biurze, Quinn i Pearl szybko wpadli w rytm pracy. Quinn siedział już za swoim biurkiem, a Pearl przy komputerze, gdy pojawili się Vitali i Mishkin. Obaj mieli podwinięte rękawy koszul i rozluźnione krawaty. Mishkin trochę mniej - i ze swoimi wąsami, jakby umaczanymi w zupie, wyglądał niczym Mr. Milquetoast.

- Przeszukiwanie mieszkań ofiar zakończone? - spytał Quinn.

Obaj mężczyźni kiwnęli głowami. Mishkin podszedł do małej lodówki i wyjął butelkę wody. Vitali nalał sobie filiżankę kawy, ale nie dodał śmietanki.

- Pokaż im, co znaleźliśmy, Sal - powiedział Mishkin.

Vitali wyciągnął z kieszeni koszuli złożoną na pół karteczkę i podał ją Quinnowi. Pearl wstała zza biurka, by zajrzeć szefowi przez ramię.

- Nie znaleźliśmy niczego, co zostałyby wcześniej przeoczone, a mogłoby dowodzić, że ofiary obracały się w, kręgach sadomaso albo miały jakieś powiązania z czymkolwiek o nazwie Socrates's Cavern - powiedział Vitali. - Ale znaleźliśmy to...

Quinn przyglądał się kawałkowi papieru, wyglądającemu na kartkę wydartą z kołonoatnika. Na niej ciemnoniebieskim atramentem wypisane było nazwisko „Andy Drubb”, a dalej numer telefonu.

- To było w szufladzie bieliźniarki Noon - wyjaśnił Mishkin. - Razem ze stringami i takim dziwacznym biustonoszem...

Pearl spojrzała na niego uważnie.

- Dlaczego dziwacznym?

- Wcale nie był dziwaczny - wtrącił się Sal. - To był po prostu model bez ramiączek. Harold nie zna się na takich patentach.

- Chodzi o taki stanik - zaczął się tłumaczyć Mishkin - który podnosi biust jak jakiś wspornik czy coś takiego.

Pearl przewróciła oczami.

- Sprawdziliście tego Drubba? Macie jego adres? - zapytał Quinn.

- Tak - odparł Vitali. - Mieszka niedaleko, w Village. Zadzwoniliśmy pod ten numer, ale nikt nie odpowiedział, nawet automatyczna sekretarka. Dzwoniliśmy na wszelki wypadek z automatu, żeby nie mógł nas namierzyć.

- Idźcie się z nim zobaczyć - polecił Quinn. - Ale nie dzwońcie wcześniej. Zobaczycie, jak wygląda zaszkodzony.

- Tak właśnie zamierzaliśmy zrobić - powiedział Sal. - Chcieliśmy to tylko uzgodnić z tobą.

- Może ten Drubb był w jakichś szczególnych stosunkach sadosmaso z Norą Noon - zasugerował Mishkin.

- Mam na myśli te stringi i biustonosz...

Zerknął na Pearl. Jego spojrzenie prześliznęło się po jej dużym biuście.

Pearl wlepiła w niego wzrok.

- Mówisz poważnie, Harold?

- A co? Byłem tylko ciekaw...

- Zapomnij, Harold! - rzucili unisono Quinn i Vitali.

Nikt nie miał ochoty oglądać kolejnego wybuchu Pearl.

- Mamy wydruk listy członków Socrates's Cavern - powiedziała kobieta. - Sprawdzę, czy figuruje tam jakiś Drubb. - Podeszła do biurka i wyjęła z szuflady plik kartek połączonych zszywaczem. - Jest w porządku alfabetycznym, więc za chwilę będziemy wiedzieli.

- Ten facet byłby chyba za młody - zauważył Sal.

- Ale może będzie tam jego ojciec - rzuciła Pearl.

- Coś okropnego! - jęknął Mishkin.

- Ale nawet jeśli to ten, to co z tego wynika?

- Nie ma się co zastanawiać - ucięła Pearl. - Żadnego Drubba nie ma na liście.

- Jeśli nie zastaniecie tego Andy'ego Drubba w domu

- powiedział Quinn - to popytajcie po sąsiadach. Może się czegoś o nim dowiecie. Nie zaszkodzi zresztą, jak o tym usłyszycie: zrobi się nerwowy. - Spojrzał na zegarek. - No dobra. Po drodze zjedzcie jakiś lunch...

- A może zjesz z nami? - spytał Vitali.
- Już zjedliśmy u mnie - wyjaśnił Quinn.
- Tak w środku dnia? - zdziwił się Mishkin.
- Właśnie wtedy jada się lunch, Harold - uciszył go

Vitali.

Mishkin znów gapił się na piersi Pearl. Woląta nie wiedzieć dlaczego.

Budynek Albert A. Aal Library wyglądał jak miniaturowy sąd. Fasada nie była zbyt szeroka, ale prowadziły do niej szerokie betonowe schody, dochodzące do sześciu kolumn, między którymi mieściło się pięćdziesiąt wysokich drewnianych drzwi z mosiężnymi tabliczkami i okuciami. Na jednych drzwiach było ostrzeżenie, że są otwierane automatycznie - jakby ktoś, kto podszedł za blisko, mógł zostać strącony do podnóża schodów. Fedderman wybrał właśnie te drzwi. Pozostałe wydawały się nie do otwarcia.

Wewnątrz biblioteka okazała się zadziwiająco przestronna i dobrze oświetlona. Choć budynek był wąski, to jednak długi, z rzędami stalowych półek, wypełnionych książkami. Przy jednej ze ścian urządzono kącik z fotelami i drewnianymi stelażami na prasę. Jakiś blon-
dynek, który chyba powinien teraz siedzieć w szkole,

póллеżał na fotelu i czytał jakiś magazyn motoryzacyjny. Oprócz niego Fedderman zauważył na sali jeszcze tylko parę osób.

Za drewnianym kontuarem, gdzie wydawano i odbierano książki, siedziała siwa kobieta, długa i wąska jak ta biblioteka. Miała okrągłe okulary w metalowych oprawkach, przyczepione cienkim łańcuszkiem do guzika bluzki. Dzięki temu nie posieje nigdzie swoich szkieleł, pomyślał Fedderman. Kiedyś sam sprawił sobie okulary do czytania, ale ciągle je gubił, aż wreszcie przestał szukać. Znalazły się ostatecznie, gdy na nie nadepnął. Zresztą wciąż jeszcze mógł całkiem nieźle czytać bez okularów, jeśli trzymał tekst na odległość ramienia i zmrużył nieco oczy. Ale gdyby miał takie okulary, jak ta kobieta...

- Pomóc w czymś? - zapytała bibliotekarka.

Fedderman zdał sobie sprawę, że pracownica przygląda mu się zmrużonymi oczyma, mimo okularów. Z jej miny wnioskował, że nie jest specjalnie zachwycona jego wizytą.

- Szukam czegoś... - powiedział Fedderman.

Czuł skrępowanie wobec bibliotekarzy. Zostało mu to jeszcze z dawnych lat, gdy jako nastolatek oddał *Kochanka lady Chatterley* trzy miesiące po terminie.

- A dokładniej?

Fedderman nie miał zupełnie ochoty się przed nią spowiadać.

- Chodzi o jedną starą gazetę...

Przyglądała mu się tak, jakby był insektem - mało zresztą interesującym.

- Gazety mamy na mikrofilmach - oznajmiła. - Proszę iść prosto, a na końcu sali skręci pan w lewo. Tam ktoś panu pomoże.

Fedderman podziękował i ruszył przed siebie zgodnie z instrukcją. Co prawda, nigdy nie przykładał się za bardzo do nauki, ale lubił tę szczególną, lekko zatęchłą woń starych książek. A na półkach wokół było ich mnóstwo. Tylko mniej więcej połowa miała jeszcze obwoluty, niektóre już mocno wyblakłe.

Bez problemu znalazł wskazane miejsce. Zobaczył trzy ściany i cztery czytniki. Jedna ze ścian pokryta była aż po sufit stelażami; na nich piętrzyły się małe tekturowe pudełka z etykietami, na których czarnym mazakiem wypisano zawartość.

Jakiś mężczyzna o profesorskim wyglądzie, w workowatej brązowej marynarce ze sztruksu i z białym jak zawiazanym różowym krawatem, siedział przy jednym z czytników. Wydawał się całkowicie pochłonięty tym, co przesuwa się przez jego ekran. Fedderman zauważył, że na marynarce faceta na łokciach naszyto skórzane łaty. On sam nigdy czegoś takiego nie miał.

W drugim końcu pomieszczenia stała bibliotekarka, która miała pomóc Feddermanowi. Sięgała właśnie po jakieś pudełko z mikrofilmem, gdy dostrzegła przybyłego i uśmiechnęła się.

To była Penny Noon.

Wyglądała bardziej współcześnie niż jej koleżanka z głównej sali. Miała na sobie lekkie szare spodnie, ciemniejszy blezer, a przy białej bluzce coś, co przypominało miniaturową wersję męskiego krawata. Do klapy blezera przypięła okrągły biały znaczek z czerwonym napisem „Brońcie książki”.

- Jakies nowe pytania w sprawie Nory? - spytała.

- Zna mnie pani dobrze - powiedział Fedderman, choć Penny wcale go dobrze nie знаła. - Zawsze w pracy...

- Tak to wygląda.

- Pomyślałem... że powinniśmy sobie bardziej zaufać, może spotkać się jeszcze raz...

- Też o tym myślałam. Ale jestem przecież przyrodnią siostrą ofiary... Czy nie wchodzi tu w grę konflikt interesów?

- Jeśli nawet... - oświadczył Fedderman - nic mnie to nie obchodzi. Kiedy zdarzają się pewne sytuacje, kiedy spotyka się pewnych... wyjątkowych ludzi, trzeba to wykorzystać.

- Wyjątkowych ludzi?

Poczuł nagle przyływ zakłopotania i irytacji.

- Nazywa się to chyba przejęzyczeniem?

- Nie. To sposób na omijanie istoty rzeczy. A tą rzeczą jesteśmy my, czy raczej nasza znajomość, krótka, co prawda... Przepraszam, teraz to ja zaczynam owijać w bawełnę, a pan jest bezpośredni.

- Człowiek nie ma wiele czasu, by powiedzieć, co dzieje się w duszy - powiedział Fedderman. - My też nie mamy. Wiem to dzięki mojej pracy. Pani również powinna to wiedzieć z racji tego... co się stało.

Zamilkli na chwilę. Oboje myśleli o Norze. Oboje także wiedzieli, że ostatnią sprawą, o której Fedderman chciał pomówić, przychodząc tutaj, była sprawa zabójstwa.

Fedderman zaczął się pocić. Musiał przerwać tę ciszę, zmienić temat. Nie był dobry w lekkiej konwersacji, zwłaszcza w obecności kobiety, przy której język mu stawał kołkiem.

- Książka... - zaczął, skinąwszy głową w stronę znaczka na blezerze Penny. - Kto ma jej bronić i przed czym?

- Och, potrzeba pomocy wielu ludzi. Zwłaszcza dla tych, którzy czytają e-booki.

- Proszę?

- No, wersje elektroniczne, do czytników.

- To na pewno żadna przyjemność - zauważył Fedderman.

- Ktoś z pańskiego najbliższego otoczenia mógłby się nie zgodzić...

- A jak się na czymś takim przewraca strony?

- Obawiam się, że strony odchodzą do lamusa. Tak jak bibliotekarze.

- Brońmy więc bibliotekarzy - rzucił Fedderman.

Facet w sztruksowej marynarce posłał im rozzłoszczone spojrzenie, jakby chciał coś warknąć albo przynajmniej ich ofuknąć. Nie zrobił tego jednak, tylko zebrał swoje papiery, spojrzał wymownie na Penny, a potem wstał i wyszedł. Coś takiego... Czyżby rozmawiali za głośno?

Penny wyłączyła czytnik porzucony przez Pana Sztruksowego. Fedderman wydawał się ubawiony.

- Przyszedł pan bronić właśnie mnie? - spytała Penny.

- Tak. Przed elektronicznymi książkami.

- To właśnie powiedział pan panie Culver?

- Tej kobiecie za kontuarem? Nie. Powiedziałem jej, że szukam jakiejś starej gazety.

Uśmiechnęła się i zbliżyła do niego. Poczuł, że używa perfum. Nie potrafił ich zidentyfikować, ale pachniały przyjemniej niż stare książki.

- Czy to było kłamstwo?

- A któż by mógł oszukać pannę Culver?

- Założę się, że pan mógłby.

Odruchowo zapięła mu mankiet przy koszuli, a potem uniosła się na palcach i pocałowała go lekko w policzek.

Objął Penny i przyciągnął do siebie. Pocałował ją w usta; poczuł jej język, ciepły i miękki.

Dłońmi wodzili po swoich ciałach.

27.

Do mieszkania Candice Culligan nietrudno było się dostać. Gdy portier łąpał akurat przy ulicy taksówkę dla któregoś z lokatorów, Rzeźnik wszedł po prostu do holu i wszedł do windy. Gdyby nawet portier wrócił natychmiast na swoje stanowisko, nie zobaczyłby mordercy, bo windy były za załomem korytarza, niewidoczne z wejścia do budynku. Zabójca wszedł zatem spokojnie do windy, zamknął kabinę i nacisnął guzik z numerem piętra Candice. Oparł się plecami o tylną ścianę kabiny i zrelaksował się nieco w trakcie jazdy.

Nowy Jork, Nowy Jork, to takie bezbronne miasto.

Rzeźnik przeprowadził najpierw rozpoznanie terenu. Uzyskanie adresu Candice nie było trudne.

Następny krok - dostanie się do jej mieszkania - okazał się łatwiejszy, niż mężczyzna się spodziewał. To była jego druga wizyta w tym budynku. Za pierwszym razem zaobserwował, jak Candice staje na palcach i

sięga do nadproża, gdzie zostawiała klucz. Uśmiechnął się, gdy zobaczył, że tym samym kluczem otwiera oba zamki. A więc dwa zamki, a oprócz tego może jeszcze łańcuch.

Nie wiesz, co to ostrożność, pomyślał, patrząc, jak Candice odkłada klucz tam, skąd go wzięła.

Tego dnia klucz był na swoim miejscu.

Nowy Jork, Nowy Jork...

Rzeźnik wziął klucz i odcisnął go w wosku. W jakimś innym mieście każe sobie zrobić duplikat.

Wiedząc, że Candice haruje do późna w firmie Kraft, Holmes i Deloitte, przespacerował się bez pośpiechu po jej mieszkaniu. Wprowadziła się tu niedawno i dlatego nie było ono jeszcze całkowicie umeblowane. Tym łatwiej było znaleźć dokumenty i inne ważne papiery dziewczyny, zyskać *poczucie*, że nie zabija się kogoś obcego. Z początku nie podchodził do sprawy w ten sposób, ale z czasem zabijanie zaczęło mu sprawiać przyjemność, zwłaszcza jeśli znał ofiarę osobiście. Postrzeganie kobiet jedynie jako wymienialnych obiektów seksualnych nie zawsze działa. Natomiast uczucie absolutnej kontroli, panowania nad kobietą, którą znasz, odgrywanie Boga wobec głupców, którzy w Boga wierzą - o, to już jest coś.

Unikał niepotrzebnego dotykania sprzętów i zostawiania odcisków palców.

Minęła godzina, a on wciąż nie wiedział, gdzie Candice zapisała hasło dostępu do swoich kont internetowych.

Dokumenty zapisane w Wordzie były dostępne, ale składały się głównie z jakichś pism procesowych i listów. *Nuda*. Świadczyły jednak o jej charakterze - musiała być dokładna i dobrze zorganizowana. Te jej cechy przejdą wkrótce do historii, podobnie jak wszystkie inne. Candice żyła wciąż jedynie z jego łaski.

Kiedy miał już wyjść, rozejrzał się wokół. Był wystarczająco ostrożny. Dziewczyna nie będzie podejrzewać, że ktoś przebywał w domu pod jej nieobecność.

Ale czy rzeczywiście mu na tym zależało?

Następnym razem będzie już miał klucz, więc jaka to różnica, co ona sobie pomyśli? Że się zaniepokoi czymś, co uzna za zły omen, którego nie powinna zignorować?

Wrócił do sypialni Candice i rzucił się z rozmachem na sam środek bielutkiej kołdry na jej iście królewskim łóżu. Poleżał tak parę minut bez ruchu, a potem podniósł się ostrożnie i spojrzał na łóżko, na odcisk swego ciała na pościeli. Candice to zauważy i domyśli się, że gdy była w pracy, ktoś leżał na jej łóżku. Ktoś większy od niej. Odciskięte wgłębienie zaświadczy o obecności mężczyzny w jej sypialni. Na jej nieskazitelnej pościeli.

Niech sobie nad tym łamie głowę.

Wychodząc, nie zamknął drzwi, ale klucz umieścił dokładnie tam, skąd go wziął. Gdy Candice przekona się, że drzwi są otwarte, pomyśli, że zapomniała je

zamknąć, wychodząc do pracy. Nie będzie więc z początku zbyt zaniepokojona. Lecz gdy wejdzie do sypialni i zobaczy odcisk jego ciała na swoim łóżku...

Uśmiechnął się, wyobrażając sobie wyraz jej twarzy, strach, który ją przeszyje.

Wiedział, co Candice zrobi potem. Uspokoi się i przeszuka wszystkie pokoje, by się upewnić, że nikogo nie ma w mieszkaniu. Upewni się, że jest sama.

Ale będzie wiedziała, że ktoś tu był.

Niech się nad tym zastanowi.

Raz, drugi, trzeci...

28.

- Wiesz, że nie lubię na ciebie naciskać - powiedział Harley Renz do Quinna - ale rozumiesz, jak to działa. To jest nie do opanowania, jak puszczenie bąków.

Quinn doceniał barwność Renzowskich porównań.

- A kto naciska na ciebie?

- Chyba każdy, kto w tym pieprzonym mieście nosi garnitur i krawat. - Renz siedział po drugiej stronie biurka Quinna. Klapnął na jeden z foteli dla klientów, a różowe podgardle wylewało mu się znad białego kołnierzyka. - Nikt, dosłownie nikt, nie chce, żeby Rzeźnik dorwał następną ofiarę.

- A już zwłaszcza ta ofiara - zauważył Quinn.

- Nie utrudniaj mi życia, Quinn. Ja tylko zrobię to, co zawsze: zdejmę małpę ze swoich pleców, żeby mogła choć przez chwilę pojeździć na twoich.

- To ciężki małpiszon.

- No właśnie. A ty, żeby się pozbyć tego ciężaru, przetrzucisz go na barki swoich ludzi...

- Na Pearl?
- Na Pearl to może akurat nie.

Quinn zastanawiał się nad jakąś ciętą odpowiedzią, ale przypomniał sobie, że pierwszą ofiarę tego zbrodźca, Millie Graff, łączyły specjalne więzy z Harleyem i wieloma innymi policjantami. A teraz łączyło ich szczególne pragnienie wymierzenia zbrodniarzowi sprawiedliwości.

- Robimy wszystko, co się da - zapewnił Quinn pojednawczym tonem. - Sprawdzamy każdy trop, rozmawiamy ze wszystkimi...

- To znaczy?

- Z przyjaciółkami ofiar, ich koleżankami, sąsiadami, krewnymi, z ludźmi, którzy z jakichkolwiek powodów mogą skojarzyć ofiarę z mordercą. Taki na przykład William Turner... Pamiętasz go?

- Czekaj, czekaj...

- No, pejcze i orgazmy, jakieś trzydzieści lat temu.

- Ten facet z Socrates's Cavern? To było jeszcze dawniej. Jezu! Czarne skóry, ludzie w klatkach albo związani... Tracisz czas. Millie nie miała nic wspólnego z takimi pieprzonymi zbrodniami.

- Nigdy nic nie wiadomo...

- Słuchaj, Quinn. Muszę przekonać ludzi nade mną, że jesteś prawdziwym A-Rodem, że inwestycja w ciebie się opłaci. Więc radzę ci, dla naszego wspólnego dobra, żebyś wreszcie przyszedł z czymś, co można pokazać ludziom.

Quinn odchylił się na krześle i skrzyżował ramiona.

- Bo co? Nowojorska policja mnie wyleje? Jeszcze raz? Albo wniesie przeciw mnie oskarżenie? Znowu? A może mi nie zapłaci?

- No właśnie! Myślisz, że to puste groźby?

- Które konkretnie?

- Myślisz, że to miasto płaci wszystkim, którym coś wisi? Czytaj gazety, Quinn. Ty na liście wypląt jesteś gdzieś za Roach Control.

Quinn westchnął i usiadł prosto.

- Wiesz, Harley, myślę, że naprawdę są na ciebie naciski, ale większość presji na mnie pochodzi bezpośrednio od ciebie.

Renz wstał i ruszył do drzwi. Odwrócił się i spojrzał na Quinna.

- Presja to presja - powiedział. - Nieważne, skąd pochodzi. Grunt, że między sprawy. I ludzi.

Quinn siedział bez słowa i patrzył, jak Renz zamyka za sobą drzwi.

Dobra, Harley, graj twardziela. Może na twoim miejscu sam bym tak robił. A co do presji: masz rację.

Vitali i Mishkin dochodzili już do drzwi kamienicy bez windy, w której mieszkał Andy Drubb, gdy zobaczyli szczupłego ciemnowłosego czterdziestolatka, wbiegającego na schody przed wejściem. Poruszał się szybko, jakby się ścigał z własnym cieniem. Po drodze grzebał

w kieszeni - chyba szukał klucza. Wszystko to sugerowało, że jest mieszkańcem tego domu.

- Czy to możliwe, żebyśmy mieli tyle szczęścia? - zapytał Sala Mishkin.

- Zaslugujemy na to - odparł Sal. - W tym domu jest tylko sześć lokali.

- Zatem nasza szansa wynosi jeden do pięciu.

- Mówisz, jakbyś grał na wyścigach. Wiem coś o tym, niestety.

- Czy oni, myślę o graczach, czasami wychodzą na swoje, Sal?

- Nigdy.

- W takim razie to pewnie Drubb wchodzi do tego domu - podsumował Mishkin. - Nie można wiecznie przegrywać. To niezgodne z rachunkiem prawdopodobieństwa.

To właśnie lubił Vitali w Haroldzie. On naprawdę tak myślał.

No i miał rację. Teoria prawdopodobieństwa zyskała nowe potwierdzenie.

Do budynku weszli razem z Drubbem, odczekali chwilę, aż sprawdzi, czy nie ma dla niego jakiejś poczty (nie było), a potem ruszyli za nim, aż do samych drzwi jego mieszkania.

Gdy zauważył, że są tak blisko, i zrozumiał, że nie idą przypadkowo w tym samym kierunku, jakby się wystraszył.

- Jeśli chcecie pieniędzy... - zaczął z otwartymi szeroko oczyma. W tym mieście codziennie dochodzi do rabunków, więc może nadszedł czas na niego?

Pokazali mu swoje legitymacje.

- A jeśli chcemy pieniędzy, to co? - spytał Mishkin.

Vitali spojrział na niego ze zdziwieniem.

- To trafiliście pod zły adres - wyjaśnił Drubb.

- Przypuszczałem, że tak powiesz - oświadczył Mishkin. - Teoria prawdopodobieństwa.

Vitali posłał Mishkinowi ostrzegawcze spojrzenie.

- Chcielibyśmy z panem porozmawiać kilka minut, panie Drubb, o ile zaprosi nas pan do środka.

Drubb skończył otwierać drzwi, a potem odsunął się i puścił ich przodem. Vitali rzeczywiście wszedł pierwszy, ale Mishkin zwlekał moment, przepuszczając gospodarza.

- Chodzi o Norę Noon - pierwszy odezwał się Drubb.

- Skąd pan wie? - spytał Mishkin.

- Teoria...

- Usiądźmy na chwilę i załatwmy sprawę - przerwał Sal swoim chropawym głosem. Stanowczy ton zadziałał u tak niewysokiego człowieka. To tak jakby zamontować sygnał ciężarówki w samochodzie sportowym.

Mishkin usiadł na podniszczonym fotelu, Vitali na drewnianym krześle z zaokrąglonymi podłokietnikami, które kiedyś stało zapewne w jakiejś jadalni, a Drubb w rogu kremowej sofy, wymagającej solidnego czyszczenia.

W mieszkaniu panował bałagan. Na podłodze obok sofy leżała sterta gazet, na stole stał niedopity kubek kawy. Panował za to przyjemny chłód. Klimatyzator, wyglądający na nowy, pracował skutecznie. Na podłodze pod klimatyzatorem stała para porządnie znoszonych butów do joggingu. Właściwie to jeden leżał, przewrócony na bok.

- Chyba zauważyli panowie, że jestem kawalerem - powiedział Drubb. Był niewysokim, ale atletycznie zbudowanym mężczyzną o szeroko rozstawionych błękitnych oczach i szczęce wyglądającej tak, jakby mogła przegryźć stal. Chyba nie miał jeszcze czterdziestki. Nie wyglądał wcale źle. Kształtna głowa z czarnymi włosami, zaczesanymi do tyłu z pomocą jakiegoś żelu. Prosty nos, równe zęby.

- Już to wiemy - powiedział Vitali. - Sprawdziliśmy po znalezieniu tego. - Wyciągnął kartkę z nazwiskiem Drubba i numerem telefonu.

Drubb przyjrzał się kartce, a potem uniósł brwi ze zdziwienia. Mishkin zaczął nagle podejrzewać, że facet ma ufarbowane włosy i brwi.

- Znaleźliśmy to w szufladzie bieliźniarki Nory - poinformował Mishkin. - Razem z pewnymi innymi rzeczami...

Drubb podniósł się nieco z sofy, żeby oddać kartkę Vitalemu.

- To musi mieć przynajmniej rok.
- A dlaczego? - zapytał Vitali.

- Bo co najmniej od roku nie widziałem Nory.
- Byliście przyjaciółmi?
- Więcej.
- Byliście w związku?
- Chodzi o seks? Tak.
- Traktowaliście się serio?
- Ja traktowałem ją serio. Ona traktowała serio swoją pracę.
- Jak się poznaliście?
- Przez pracę. Sprzedaję tkaniny dla pewnej hurtowni. Sprzedałem Norze parę kuponów materiału... i tak to się zaczęło.
- Kto kogo zostawił?
- Nora to zerwała. Powiedziała mi, że nie jest tak emocjonalnie zaangażowana jak dawniej. Powiedziała, że nic nie może na to poradzić. Uwierzyłem jej. Już od jakiegoś miesiąca czułem, że przestałem ją interesować.
- Jak pan to wyczuł?
- No, wie pan... Jakby mniej ją obchodziło to, co mówię, a czasami patrzyła gdzieś w bok, myśląc najwyraźniej o czymś innym. Wyglądało na to, że już nie obchodził jej *nasz* związek. - Spojrzał na Mishkina i Vitalego. - Przypuszczam, że dostarczyłem panom motywu, ale sądzę, że i tak dowiedzielibyście się wszystkiego. Więc raczej nie mam wyboru - muszę mówić wam prawdę.
- A skłamałby pan, gdyby mógł? - dociekał Mishkin.

Na twarzy Drubba ukazał się wymuszony uśmiech.

- Tylko wtedy, gdybym wiedział, że mi się uda i nikogo przy tym nie skrzywdzę.

Mishkin spojrzał na Vitalego.

- To chyba uczciwa odpowiedź, Sal...

- Nie sądzę jednak, by mój motyw był wystarczająco silny - ciągnął Drubb. - To nie jest tak, że Nora mnie rzuciła dla innego, a ja zrobiłem się zazdrosny i z górą rok później ją zabiłem.

- O, zdziwiłby się pan - wtrącił Mishkin. - Biorąc procentowo...

- Powinniśmy zadać panu kilka osobistych pytań - przerwał partnerowi Vitali, chcąc utrzymać rozmowę na właściwych torach.

Drubb wzruszył ramionami.

- To wszystko działo się tak dawno, że pytania o moje kontakty z Norą nie wydają się już osobiste. Poza tym ona nie żyje. Chciałbym pomóc w przyskrzynieniu tego sukinsyna, który ją zabił.

- No właśnie... Kiedy wasz romans jeszcze trwał - zaczął Vitali - to czy obejmował również jakieś sprawy, które ludzie... o tradycyjnych poglądach uznaliby za perwersję?

Drubb wybuchnął krótkim śmiechem, niemal parsknął.

- Perwersyjny seks z Norą? W żadnym wypadku, detektywie. Wszystko było jak z nauk kościelnych. Ale

nie chodzi o to, że ona była oziębła. Była po prostu dobrą katoliczką.

- Jak Maria?

Drubb wiedział, co Sal miał na myśli.

- No nie, nie była dziewicą. I nie chcę sugerować, że była głęboko religijna. Chodzi raczej o to, że... w projektowaniu strojów miała artystyczną fantazję, a jeśli chodzi o uprawianie miłości, nie była już taka pomyślowa.

Sal zaznaczył sobie w pamięci wyrażenie: „uprawianie miłości”. Mordercy nie określają w ten sposób seksu ze swoją ofiarą.

Mishkin musiał pomyśleć podobnie.

- Czy jest pan w niej wciąż zakochany? - zapytał.

- Nie - odparł Drubb. - Oboje wiedzieliśmy, że jest już po wszystkim. Jestem teraz w innym związku.

- Z większą dozą... pomyślowości? - zapytał Mishkin.

- Zdecydowanie.

- Sądzę, że poznał pan jakichś przyjaciół Nory. Czy o którymś z nich plotkowano, że jest... perwersyjny?

- O Boże! Oczywiście. To przecież wszystko ludzie z kręgów mody. Tylko Nora była inna.

- A czy Nora nie wspominała, że w przeszłości była zmuszana wbrew swojej woli do jakiegokolwiek perwersyjnego seksu?

- Absolutnie nie - oświadczył Drubb. - Ona miała w głowie tylko wątki i osnowy.

Mishkin zdawał się zastanawiać, czy to nie jakieś seksualne praktyki, o których nie słyszał.

- Chodzi o krzyżujące się nici w materiale - wyjaśnił Drubb, zauważwszy konfuzję Mishkina.

- Wątek i osnowa... - powtórzył Mishkin, jakby musiał przetrwać tę informację. - Musi pan dużo wiedzieć o tkaninach, takich jak te w mieszkaniu Nory.

- Owszem.

Vitali westchnął i wstał z niewygodnego krzesła.

- Chcielibyśmy, żeby dał nam pan listę nazwisk ludzi, których pamięta pan jako znajomych Nory.

- Zrobię, co w mojej mocy.

Drubb wstał i podszedł do małego biurka, które zostało chyba celowo obdrapane, żeby wyglądało na antyk. Poodkładał różne szpargały, a potem wyjął z szuflady notes z adresami, długopis i papier.

- Dam wam też adresy i numery telefonów, jeśli je mam.

- Będziemy wdzięczni - powiedział Vitali.

Drubb wziął się do pracy, a oni patrzyli.

- Będziemy może pana później potrzebowali jako świadka... w znaczeniu materialnym - powiedział Mishkin.

Vitali spojrział na niego ze zdumieniem.

29.

Jefferson City, Missouri, 1991

Jack Murray, obrońca z urzędu Vincenta Salasa, nigdy jeszcze nie bronił gwałciciela. Domniemanego gwałciciela. Przebiegły stary lis, prokurator Maurice Givens, miał niezły ubaw z młodego obrońcy.

Murray, sympatyczny facet, niepozbawiony zdolności przekonywania, zdołał doprowadzić do zmiany miejsca rozprawy, argumentując, że w Hogart i całym hrabstwie wszyscy pragną śmierci Salasa. Dlatego zachodziła obawa co do bezstronności ławy przysięgłych.

Lecz i w Jefferson City proces nie układał się po myśli Murraya - jak również jego klienta, Vincenta Salasa.

Salas zresztą bynajmniej nie pomagał własnej sprawie. Odmówił ścięcia włosów i zgolenia brody. Murray nie zdołał go też przekonać do włożenia marynarki i krawata. Z jakichś powodów Salas odrzucił prostą strategię odcięcia się od wizerunku motocyklowego zbira, który zgwałcił młodą gospodynię domową.

Salas występował w sądzie ubrany w błękitną koszulę roboczą, czyste dżinsy i ciężkie buty na wibracie. Dobrze, że je wyczyścił. Murray był zadowolony, że namówił go przynajmniej do tego.

- Tak więc - oświadczył Givens ze śpiewnym akcentem z południowego Missouri - rzeczywistym problemem obrony jest niezbity fakt, że wszystkie dowody wskazują na oskarżonego.

Murray był szczupłym młodym blondynem o niesfornych krótkich włosach. Aż podskoczył, żeby zaprotestować. Wydawał się zresztą podskakiwać przy każdej okazji. Ale jeszcze zanim zgłosił sprzeciw, usłyszał znudzone „podtrzymany” sędziego. Ława przysięgłych zdążyła jednak usłyszeć opinię prokuratora. Zresztą Murray musiał przyznać, że Givens miał rację: Vincent Salas był pogrzebany pod istną górą dowodów.

Givens zwrócił się teraz do Beth Brannigan, ubranej w długą do kostek fałdzistą spódnicę i zapiętą pod szyją białą bluzkę z zakładkami.

- Droga pani Brannigan - powiedział nieco głośniej. - Czy mężczyzna, który panią zgwałcił, jest dziś obecny na tej sali?

Beth była tak zdenerwowana, że musiała wielkim wysiłkiem woli wydobyć słowa z gardła.

- Tak, proszę pana. On tu jest.
- Niech go nam pani wskaże.

Ramię Beth wystrzeliło w górę, choć jej dłoń, wraz z palcem wskazującym, trzęsła się cały czas.

Wskazała na Vincenta Salasa, który patrzył na nią z drwiącym, niewzruszonym wyrazem twarzy człowieka, który wie, że rozgrywka jest ustawiona i że przegrał, jeszcze zanim rozdano karty.

- Niech przemówią fakty! - zaintonował Givens.

Jack Murray wiedział od początku, że sprawa jest beznadziejna. Jego klient został znaleziony - śpiący i podpity - parę mil od miejsca, gdzie dokonano gwałtu, a wokół niego leżały puszki po takim samym piwie, jakie skradziono ofierze. W pobliżu stał jego motocykl, harley-davidson - taki, jak opisany przez świadka, który widział uciekającego gwałciciela. Klient Murraya odpowiadał rysopisowi podanemu przez ofiarę gwałtu. Na twarzy Salasa widoczne były ślady zadrapań - a kobieta zeznała, że podrapała napastnika. I teraz, na ławie oskarżonych, wciąż miał takie same ciemne włosy i brodę, jak to opisała ofiara. Powołany przez oskarżenie ekspert ustalił już, że grupa krwi Salasa odpowiada próbce znalezionej na miejscu gwałtu. Sam oskarżony twierdził, że podrapał go zdziczały kot.

- Zdziczały kot, coś takiego... - mruknął Givens, tak by dosłyszała go ława przysięgłych.

Salas robił, co mógł, by pogorszyć swoją sytuację.

Dzień wcześniej Murray przesłuchiwał szeryfa Wayne'a Westerleya, który był bohaterem swojego hrabstwa i dwa lata temu z miażdżącą przewagą uzyskał reelekcję na ten urząd. Szeryf, przystojny mężczyzna w świetnie skrojonym mundurze, wyglądał jak gwiazdor filmowy, przez co Murray poczuł się jak paparazzo. Westerley siedział sobie spokojnie, a Murray podskakiwał wokół niego jak nakręcony. Przysięgli nie przeoczyli tego kontrastu. Gdy Murray zerknął na nich, odniósł wrażenie, że ich zdaniem niepotrzebnie dręczą Westerleya, który jedynie stwierdza fakty.

Dobrze chociaż, że gdy Westerley skończył swoje druzgocące zeznania i przechodził obok ławy przysięgłych, w drodze do wyjścia nikt nie poprosił go o autograf.

Powinienem raczej, pomyślał Murray, pójść na politechnikę. Budowałbym teraz mosty i takie rzeczy. Albo zostać komediantem. Parę razy udało mu się doprowadzić przysięgłych do śmiechu.

Gdy przysięgli wydali werdykt „winny”, Givens wziął Murraya na stronę i powiedział, żeby się nie martwił, bo to była jego pierwsza tak fatalna sprawa. Murray był młody i miał - zdaniem Givensa - zadatki na świetnego prawnika sądowego.

W następnym tygodniu, już po ogłoszeniu wyroku, Givens znów podszedł do Murraya przed gmachem sądu i poklepał go po plecach.

- Gdyby to bydłę miało jakiegoś innego obrońcę - z wyjątkiem mnie, ma się rozumieć - to dostałby pięćdziesiąt pięć albo i sześćdziesiąt lat.

Salasa skazano na trzydzieści pięć lat zamknięcia w więzieniu stanowym w Jefferson City. Jeśli przetrwa, będzie to dla niego wieczność. Murray nie czuł się dobrze z tą myślą.

- Głowa do góry - rzucił mu Givens na pożegnanie.
- Obaj wiemy, że ten skurwiel jest winny.

Trudno powiedzieć, jak Salas przyjął ten wymiar kary. W momencie odczytywania wyroku miał ten sam stoicki wyraz twarzy, jak w chwili gdy uznawano go za winnego. Wydawał się niemal znudzony. Nawet kiedy Murray odwiedził go potem za kratkami i rozmawiali o apelacji, Salas nie wydawał się zbytnio zainteresowany. Obydwaj wiedzieli, że to droga donikąd.

Murray powiedział sobie, że Givens miał rację. Nie co do jego zadatków na świetnego obrońcę, ale w sprawie winy Salasa: faktycznie była oczywista. Dowody okazały się naprawdę mocne, a Salas zachowywał się jak człowiek winny. Jednak apelację należało złożyć. Ot, nic nieznacząca formalność.

Czas dopisać sobie tę sprawę do życiorysu i pomyśleć o przyszłości, zdecydował Murray. Ale jeszcze nie tego wieczoru, bo umówił się akurat z pewną seksowną stenotypistką sądową.

Za dwa tygodnie miał bronić paru członków organizacji o nazwie Komandosi Ludzkości, którzy bez jasnej

przyczyny wysadzili w powietrze kurnik razem z kurczakami. ACLU* się do tego nie weźmie, więc „komandosi” będą mieli za obrońcę Murraya.

To był mały kurnik. Zginęło tylko parę kurczaków.

Murray pomyślał, że ma szansę na sukces.

* ACLU (American Civil Liberties Union) - Amerykańska Unia Wolności Obywatelskich, organizacja zajmująca się obroną praw jednostki.

30.

Nowy Jork, obecnie

Wszedłszy do swojego apartamentu, Candice Culligan zorientowała się momentalnie, że ktoś tu był. Poczowała to, zanim jeszcze ta myśl pojawiła się w jej głowie. Jakieś niedostrzegalne poruszenie powietrza, cień zapachu, geometria sprzętów nieuchwytnie inna od tej, która panowała rano. Szmery bardziej wyczuwalne niż słyszalne.

Po tym, jak zobaczyła coś, *co mogło* być odciskiem męskiego ciała na jej łóżku, Candice zrobiła się ostrożniejsza we wszystkim. Zadziwiająco, co strach może zrobić z człowiekiem. Przebojowa i pewna siebie kobieta stała się jakaś potulniejsza i jakby przygaszona. W swoim mieszkaniu widziała coraz bardziej azyl, schronienie przed strachem.

Wrażenia, które ją opadły tego wieczoru, były tak mocne, że odwróciła się, by wyjść. Sięgała już do klamki, gdy usłyszała męski głos:

- Jak już tu jesteś, to mogłabyś zostać chwilę...

Na resztę twojego życia.

Wciąż była sparaliżowana strachem, gdy ten człowiek zbliżył się do niej. Na karku poczuła ciepło jego oddechu. Nie miała nawet czasu, by się wywinąć i zobaczyć, kto do niej mówi.

Mężczyzna odwrócił ją powoli, używając tylko czubków palców jednej dłoni. Prawie jak w tańcu. Wraz z tym delikatnym ruchem poczuła, że się mniej boi.

Candice przełożyła teczkę do lewej dłoni, gdy otwierała drzwi mieszkania. Teraz, kiedy się odwróciła, wzięła ją w prawą rękę. Teczka był ciężka, z mosiężnymi okuciami, wypchana papierami. Jak broń. Candice wzięła oddech, planując, że obróci się nagle i zamachnie z całej siły teczką. Szybko, mocno. *Wyobraź to sobie i zrób.*

Raz, dwa, trzy!

Gdy napięła ciało i szykowała się już do obrotu, jej wzrok padł na nóż, tuż przed jej twarzą. Miał drewnianą rączkę i krótkie, szerokie ostrze, mocno zakrzywione i zakończone ostrym czubkiem.

Wyobraź to sobie.

W jej mózgu pojawił się obraz tego noża, rozcinającego jej ciało i upuszczającego potoki krwi.

Gdyby nie ten nóż, mogłaby się bronić, ale w tej sytuacji zrezygnowała. Wypuściła teczkę z ręki i zaczęła popłakiwać. Przez łzy nie widziała dokładnie rysów

twarży napastnika, ale zauważyła, że się uśmiecha. Była sparaliżowana.

Niech go diabli, on się uśmiecha!

Siła jej woli zdawała się topnieć wprost proporcjonalnie do jego sadystycznego rozbawienia.

Oto czym dla niego jestem: zwykłą zabawką.

Kopniakiem odrzucił teczkę Candice pod ścianę.

- Ja też przyniosłem teczkę pełną fajnych rzeczy - oznajmił. - Jest w sypialni. Chodźmy tam, to ci pokażę.

Poprowadził ją powoli, ale stanowczo w kierunku krótkiego korytarza, wiodącego do jej sypialni. Trzymał ją mocno za przegub, przyłożywszy do jej szyi chłodne ostrze noża.

Zerknęła do tyłu i rzuciła okiem na jego twarz. Nie wyglądał jak mężczyzna, którego przed laty omyłkowo zidentyfikowała jako swego gwałciciela. Ani też - o ile mogła to osądzić - jak ten, który ją rzeczywiście zgwałcił. A jednak...

Umysł potrafi płatać takie figle.

Jego palce wpiły się w jej ramię, a ona znów załkała, choć w tej samej chwili poczuła gdzieś w środku żar gniewu. Nie pozwoli się tak prowadzić niczym potulnej jagnię na rzeź.

Znam przecież taekwondo, przeszłam intensywni kurs samoobrony. Potrafię pobić takiego skurwieli w uczciwej walce.

Ale był też jeszcze ten dziwny nóż. I w tej chwili czuła tylko przerażenie. Wystarczy jeden szybki ruch jego ręki - i z jej ciała poleje się krew.

Z iskry gniewu nie buchnął płomień. Robiła, co jej kazał. To była jej jedyna szansa na przetrwanie. Uczepiła się tej wiary, że jednak ma jakąś szansę. Że jutro opowie wszystko na policji, że będzie nawet zeznawać przeciw temu człowiekowi w sądzie.

Próbowała mu powiedzieć, że robiąc to, co zamierzył, rujnuje własne życie - ale słowa nie wydobyły się z jej ust. A właściwie skąd mogła wiedzieć, co napastnik zamierza? Jakie przestępstwo chce popełnić?

Gwałt? Morderstwo? Jedno i drugie?

Może wie, jakie ryzyko podejmuje, ale chce tego, bo to nie jest jego pierwszy raz. Może już to robił? Może to ten morderca? Rzeźnik?

Walczyła ze sobą, żeby coś wykrztusić, żeby go ubłagać, ale w gardle czuła taką suchość, że tylko chrypiała. Słyszając te dźwięki, znów się uśmiechnął. Od tego uśmiechu drętwiała i traciła mowę. Ten uśmiech zyskiwał mu pełną kontrolę nad ofiarą. Tego właśnie chciał. Bo tego chcą wszystkie dupki na świecie. I dlatego też ona została prawnikiem. Bo prawo kontroluje każdego. Tak było uczciwie, a przynajmniej logicznie. Reprezentowała prawo.

Ten zaś człowiek, który ją trzymał, był reprezentantem diabła. Emanowała z niego jakaś nadnaturalna siła,

która dusiła w zarodku wszelkie jej wysiłki i czyniła je daremnymi.

Posadził ją na łóżku i pchnął do tyłu. Zabójcza prawniczka miała się stać w rękach prawdziwego zabójcy człekokształtną lalką. Jego zabawką. Na łóżku leżała teczka, o której wspomniął, dość podobna do tej, której sama używała. Z wyjątkiem zawartości, bo teczka była otwarta, tak by mógł z niej szybko wyjąć to, czego potrzebował.

Szybкими, wprawnymi ruchami oderwał długi pasek srebrnej taśmy izolacyjnej i skrępował jej kostki nóg, a potem obrócił ją na brzuch i unieruchomił ręce na plecach. Potem znów ją odwrócił, tak że leżała na plecach, patrząc w sufit.

Na chwilę zniknął dziewczynie z pola widzenia, a jej siła woli i odwaga zaczęły powściągać nieco przerażenie. Mogła zrobić coś więcej, niż tylko chrypieć. Mogła krzyczeć. Mogła krzyczeć głośno!

Zaczerpnęła powietrza i spróbowała krzyknąć, lecz tylko zaskomliła cicho.

Usłyszała jego śmiech.

Wrócił, ale wciąż miała szansę, by krzyczeć. Widziała, że był w garderobie i przyniósł stamtąd parę pantofli na zabójczych szpilkach. Kiedy otworzyła usta, by wrzasnąć, wcisnął jej czubek buta do gardła. Język miała unieruchomiony brudną, szorstką podszewą. Teraz mogła jedynie coś bełkotać, a nie krzyczeć.

Wepchnął jej but jeszcze głębiej, tak że miała nos w pięcie pantofla. Ledwie mogła oddychać, a twarda podszwa działała jak dźwignia, spychając dolną szczękę tak bardzo, że niewiele brakowało, by wyskoczyła ze stawów.

Szybko obwiązał but, wraz z jej głową, taśmą, tak że całość trzymała się mocno, a nacisk rozwierający usta był niustanny.

Staął teraz nieco z tyłu, z założonymi rękoma, i przyglądał się swemu dziełu. Solidnie umocowany but był nie do ruszenia, a obcas sterczał nad jej czołem jak róg jednorożca. Ledwie coś widziała po obu stronach buta.

Uśmiechnął się na myśl, co by było, gdyby użył więcej taśmy - wtedy wyglądałaby jak mumia jednorożca. A tak przypominała raczej kozę z ułamanym rogiem.

Wyciągnął z kieszeni długi srebrny łańcuszek z dynadającą srebrną literą S. Trzymał ten łańcuszek przed jej twarzą, by mogła go zobaczyć, a potem założył go jej przez obwiązaną taśmą głowę. Poczwała na gołej skórze chłód metalu.

Potem mężczyzna, jakby nie zwracając na nią uwagi, zaczął się rozbierać.

Gdy był już nagi, użył noża, by i ją pozbawić ubrania. Wtedy zamknęła oczy i umysł; odpłynęła gdzieś indziej. To wszystko nie działo się z nią, po prostu nie mogło. To się przytrafiło komuś innemu. Ktoś inny leżał na tym łóżku.

Na moim łóżku!

Candice poczuła, że jej pęcherz nie wytrzymał. Ciepło uryny między udami podziałało na nią dziwnie kojąco.

Ale gdy trzymał nóż przed jej oczami, ogarniało ją coraz głębsze i głębsze przerażenie, tak że z radością przyjęłaby utratę przytomności. Nie pragnęła niczego więcej niż pogrążenia się w nicości.

Niemal natychmiast zaczęła się dławić pod kneblem. Smród amoniaku wywołał u niej mdłości. Widziała tę buteleczkę w jego dłoni, z bawełnianym tamponem, wetkniętym w szyjkę. Od razu zrozumiała, co zrobił. Mogła sobie wyobrazić, jak trzyma tę buteleczkę pod jej nosem, przy zdeformowanym bucie.

Ściągnął mnie z powrotem! Szlag by go trafił!

Ściągnął mnie z powrotem!

- Nie chcę, żebyś cokolwiek przegapiła - powiedział, czytając w jej myślach. Posłał Candice wniebowzięty uśmiech. - Nie jest ci przykro z powodu tego, co zrobiłaś?

Odstawił buteleczkę z amoniakiem na nocny stolik, żeby mieć go pod ręką, i zabrał się do pracy nożem.

Był szybki, zręczny, skupiony.

Nawet kiedy ból ryczał spod płynącej krwi, przypomniała sobie jeszcze sprawę pewnej kobiety, której rozcięto gardło, ale nie dość głęboko, by ją zabić. Krew ofiary krzepła szybciej i silniej, niż to zwykle bywa - i kobieta przeżyła.

To się *mogło* zdarzyć.

I to była ta słaba nadzieja, której się trzymała, gdy zapadała w nieświadomość i znów była z niej wyciągana. Raz po razie. Ucieczki od bólu - i powroty.

Na okrągło.

Całkiem spokojnie wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów i zapalił jednego. Jak aktor ze starego filmu, trzymał dyndającego papierosa w kąciku ust. Dym tytoniowy zmieszał się z wonią amoniaku.

- Fajnie jest, no nie? - usłyszała jego głos. - Teraz chcemy tego samego. Żebyś jak najdłużej pozostała przy życiu.

Jęknęła.

Zachichotał.

Podniósł zakrwawiony nóż, żeby mogła go zobaczyć w jego dłoni, obciążonej gumową rękawiczką.

- Nie jest ci przykro z powodu tego, co zrobiłaś?

Oglądała ten nóż tylko przez chwilę. W chwilach przytomności nie mogła odwrócić wzroku od jego oczu.

CZEŚĆ II

Piekło jest puste, a wszystkie diabły są tutaj.

William Shakespeare, *Burza*

31.

Quinn i Pearl stali wśród techników z ekipy zabezpieczającej miejsce zbrodni. Był też lekarz sądowy i fotograf policyjny. Wszyscy przyglądali się martwemu ciału Candice Culligan. Quinn kątem oka widział, że Pearl zatopiona jest we własnych myślach. Pewnie odmawiała jakieś katolickie modlitwy.

Lekarz Julius Nift wciąż pochylał się nad łóżkiem, na którym leżała Candice. Mierzył wszystko i sprawdzał. Usta miał zaciśnięte, wzrok skupiony. Quinn uważał go, co prawda, za odrażającego typu, ale nie wątpił w jego kompetencje.

- To było koło północy... może ze dwie godziny wcześniej albo później - poinformował Nift, odpowiadając na pytanie Quinna o czas śmierci. - To wszystko, co mogę teraz powiedzieć. Wygląda na to, że morderca zaczął parę godzin wcześniej.

- Zdzierając z niej skórę - uzupełniła Pearl przez zaciśnięte zęby.

- Torturując ofiarę metodycznie, choć z przytępieniem wściekłości. Wskazuje na to sposób, w jaki okleił jej głowę taśmą. A z drugiej strony, spójrzcie, jak precyzyjnie poodcinał górne warstwy skóry, żeby zwisały jak frędzle. Jakby chodziło mu o przyozdobienie ofiary.

Quinn zmusił się, by spojrzeć jeszcze raz na to, co zostało z Candice Culligan.

- Zauważcie, że te małe nacięcia i przypalenia papierosem zostały zrobione z rozmysłem - ciągnął Nift. - A teraz spójrzcie na okolicę łonową, na sposób, w jaki została pocięta. Te długie, zakrzywione cięcia. To była zbrodnia z namiętności. Może zimnej, ale jednak namiętności.

- A co z tym butem użytym jako knebel? - spytał Quinn.

Nift wzruszył ramionami.

- Niech pan sam mi to wyjaśni.

- Sposób, w jaki okleił jej głowę, z butem wepchniętym w usta i sterzącym w górę obcasem, sprawił, że przypominała jednorożca.

- Ale dlaczego nie użył tym razem majtek? - spytał Nift.

- Samo sprawianie bólu już mu nie wystarcza -- powiedziała Pearl. - Chce upokorzyć swoje ofiary.

Robi się coraz brutalniejszy, coraz bardziej niebezpieczny, o ile to możliwe.

- A skąd ta zaschnięta krew wokół ust? - spytał Quinn Nifta.

- But mógł być wbity tak mocno, że wyleciały zęby. Ale będę wiedział więcej, kiedy dostanę ciało na stół i zapoznamy się z nim dokładniej.

Pearl poczuła, że żołądek staje jej dęba. Wszystko, co mogła teraz zrobić, to wziąć się w garść i nie rzucić się z pięściami na Nifta.

- Tym razem na lustrze jest nazwisko Nathana Devlinera - powiedział Fedderman, wracając do przestronnej sypialni. Był w innych częściach mieszkania, szukając napisów krwią. - Coś mi się wydaje, że musimy się znów przyjrzeć liście członków Socrates's Cavern.

- No i znów mamy łańcuszek z literą S.

- Zastanówmy się nad tym pantoflem, wepchniętym w jej usta i przyklejonym taśmą do głowy w taki sposób, że szpilka wygląda jak róg.

- Róg jednorożca - odezwał się Fedderman.

Pearl zerknęła na Quinna.

- Wybitne umysły nadają na jednej fali - oznajmił detektyw. - Ten obcas rzeczywiście przypomina róg jednorożca.

- A może to jakaś aluzja do kozła - zastanowił się Fedderman. - Jednorożec to chyba właśnie kozioł...

- Kozioł ofiarny - dodała Pearl. Spojrzała na Quinna i Feddermana. - Kto wie, co takim świram chodzi po głowie...

- A nie chodzi tu o baranka ofiarnego? - zasugerował Fedderman.

- Jagnięta nie mają rogów - przypomniała Pearl.
- Ale baranki mają - upierał się Nift.
- Przestańcie! - powiedział Fedderman.
- Może ten morderca miał akurat pantofel pod ręką i uznał, że będzie z niego dobry knebel.

- Szafka z butami stoi w garderobie - powiedział Quinn. - Musiał mieć chwilę, pewnie kiedy była nieprzytomna albo zbyt przerażona, by krzyczeć, żeby wybrać odpowiedni but na szpilce i przynieść go do sypialni. Chodziło mu o efekt. Ale trudno powiedzieć, czy szło mu o kozła ofiarnego, czy baranka...

- ...albo jednoroźca - wtrąciła Pearl. - To zwierzę mitologiczne i niewykluczone, że nasz morderca chce się stać postacią mityczną. Tak jak większość seryjnych morderców... - Zrobiła pauzę, a potem posłała Feddermanowi pełne uznania spojrzenie. - Co to za nowe ubranie, Feds? Trochę mi brak tego twojego brązowego workowatego garniaka. Jak będziesz dalej nosił ciuchy od Armaniego, to ludzie przestaną cię uważać za taką modową masakrę. A chodziły już plotki, że specjalnie łąchasz swoje garnitury przed założeniem, żeby wyglądać jak podejrzany po nocy spędzonej na dołku. Dzięki temu menele mają cię za swojego i więcej ci śpiewają...

- To tylko mit - odparł Fedderman.

Quinn przyjrzał się dokładniej Feddermanowi. Też zauważył zmianę w wyglądzie tego niezgrabnego chudzielca z brzuszkiem. Jego niewątpliwie drogi niebieski

garnitur sprawiał, że nawet takie nieproporcjonalne ciało wyglądało całkiem zgrabnie. Dobre krawiectwo czyni cuda.

Ale garnitur to pestka. Quinn mógł się domyślić kilku powodów, dla których Fedderman przeobraził się nagle w dandysa. I żaden z tych powodów mu się nie podobał.

Kiedy technicy już sobie poszli, Quinn i jego detektywi zlustrowali metodycznie całe mieszkanie. Byli pewni, że laboranci nie znajdą żadnych użytecznych odcisków palców czy dłoni, a w śladach po gumowych rękawiczkach, noszonych przez mordercę, też nie będzie nic szczególnego. Rzeźnik był ostrożny - to trzeba mu przyznać.

Quinn sprawdził notes Candice Culligan. Nie było tam żadnego Nathana Devlinera. Nazwisko to nie figurowało również w żadnej nowojorskiej książce telefonicznej.

- Daj mi minutę - powiedziała Pearl. Siedziała na sofie ze swoim laptopem na kolanach. - Sprawdzę tę listę członków Socrates's Cavern, którą dał nam Lido.

Pochyliła się nad komputerem, a reszta detektywów stała wokół niej.

- A, jest! - odezwała się po paru minutach. - Devliner był członkiem.

Podniosła palec, prosząc o więcej czasu.

Tym razem było to więcej niż kilka minut.

- W porządku - powiedziała wreszcie, odrywając na chwilę wzrok od komputera. - Nathan Ernest Devliner miał złoty klucz w Socrates's Cavern od stycznia roku siedemdziesiątego do września siedemdziesiątego piątego, kiedy wyprowadził się z miasta. Zmarł w Kingdom City w Arizonie, w kwietniu osiemdziesiąt sześć. Wylew krwi do mózgu. Miał siedemdziesiąt cztery lata. Pewnie przeszedł na emeryturę i przeniósł się na zachód.

- W każdym razie to nie on torturował i zabił Candice Culligan. Czego nie zrobił on, zrobił Rzeźnik.

I zostawił ich z jeszcze większą zagadką.

32.

Jock Sanderson zarobił ładne parę latek za zgwałcenie Judith Blaney. To nie był łatwy czas. Ten drobny mężczyzna o regularnych rysach i muskularnej budowie padł w więzieniu ofiarą przemocy seksualnej. Z pół tuzina gangsterów uważało go za swoją własność, handlując nim bez skrępułów

To był prawdziwy koszmar, który trwał aż do chwili, gdy zespół prawników z Legal Aid obalił mylne zeznania świadków i użył testów DNA do wykazania, że Judith Blaney została zgwałcona przez kogoś innego.

Pod koniec ubiegłego roku Jock Sanderson został uniewinniony.

Dowody od początku były słabe. Po prostu Jock znalazł się w niewłaściwym miejscu o złym czasie, a Judith Blaney była kobietą omylną.

Mylnie zidentyfikowała go na policji, a potem jeszcze raz w sądzie. Bardziej niż ktokolwiek inny przyczyniła

się do koszmaru, jaki przeżył. Do koszmaru, który musiał przeżywać przez ponad pięć lat.

Co miał potem począć w świecie, który wciąż uważał go za śmiecia? Zaczął pić i wkrótce się uzależnił. Ale teraz chodził regularnie na mityngi AA i od miesiący pozostawał suchy.

Jedyną pracą, jaką zdołał znaleźć, była robota w Sweep 'Em Up Janitorial Service, firmie, która zajmowała się zmiataniem i oczyszczaniem terenów po różnych imprezach - od meczów sportowych po przedstawienia na Broadwayu i off-Broadwayu.

Stała tygodniówka umożliwiła mu opuszczenie przytułku dla uzależnionych i odcięcie się od ciągłego nacisku organizacji kościelnych, które próbowały go nawrócić na chrześcijaństwo. Jock reagował na to w sposób, w jaki, jego zdaniem, robiła to większość chrześcijan - udawał, że ulega presji. Więzienie nauczyło go dobrze, jak się to robi. Czasami potrafił oszukiwać i ogłupiać sam siebie. Przyszło mu do głowy, że ktoś jest mu coś winien. Konkretnie: Judith Blaney.

Nie zgwałcił Judith. Tego wieczoru leżał sam w łóżku, bo miał grypę. A więc brakowało oczywiście świadka, który potwierdziłby jego alibi. Gdy człowiek leży plackiem z gorączką i zapchanym nosem, nie ma zwykle ochoty na towarzystwo.

Przed aresztowaniem Jock nigdy nie widział Judith. Ale wiele o niej myślał w więzieniu. Twarz kobiety śniła

mu się po nocach. Jej koszmar współżył z jego koszmarem.

Często robił Judith we śnie to samo, co z nim robiono w więzieniu. Jego stłumione krzyki stawały się jej krzykami. Tak jak jego upokorzenie. Jego ból. Błagała, żeby przestał, ale on nie przestawał. Takie były jego sny.

Czasami w snach może się kryć jakieś znaczenie, myślał.

Jock chodził za Judith prawie trzy miesiące. Nawet się nie martwił, że czasami mogła go zauważyć. A niech tam... niech pomyśli... że...

Po pierwszym miesiącu załatwiła zakaz zbliżania się do niej. Jockowi oficjalnie zabroniono nękania jej, a nawet zbliżania się na odległość mniejszą niż sto stóp. Wiedział dobrze, ile to jest sto stóp. Potrafił zmierzyć tę odległość oczyma. Chodził więc dalej za Judith, trzymał się jednak na taką odległość, żeby nie mogła się na niego poskarżyć. Ale by wiedziała zarazem, że on jest w pobliżu. Może nie zawsze, ale na ogół nie mogła być pewna, kiedy ją obserwuje. Czasami zapominała o nim i czuła się bezpiecznie. Wtedy oglądała się za siebie i na zatłoczonym chodniku albo po drugiej stronie ulicy ukazywał się jej oczom, a wówczas wszelka radość zniknęła z jej twarzy, zastąpiona czymś, co można było interpretować jako strach. Sprawiało mu to zimną satysfakcję.

Jednak przez większość czasu nie wiedziała chyba, że ją śledzi. To także dawało mu zadowolenie. Stawał się ekspertem od jej potajemnego śledzenia. Czasami nawet zbliżał się do niej na mniej niż sto stóp. Pozwalał sobie na takie wykroczenie.

Tak jak tego wieczoru. Jechał tym samym zatłoczonym wagonem metra, a potem znalazł się zaledwie o dziesięć stóp od niej na zapchanym peronie. Był też przy niej na ruchomych schodach. Ale po drodze do jej mieszkania trzymał się na chodniku w bezpiecznej odległości. Kobieta często oglądała się za siebie, szczególnie po zmroku, gdy na ulicach nie było już tłoczno.

Dziś szedł tak blisko niej, że słyszał dobrze stukanie jej wysokich obcasów. Trzymając się ścian domów, uważając na sekwencje cienia i światła, mógł ją ścigać niczym duch, którego obecności nie była w stanie wy-czuć.

Lecz od czasu do czasu specjalnie pozwalał jej się zobaczyć. Niech wie, że nie jest sama w tym groźnym świecie, zamieszkiwanym jedynie przez nich dwoje i zrodzonym w dużej mierze za jej sprawą.

Jock znał Judith lepiej, niż mogłaby sobie wyobrazić. Tropiciciel zna przecież doskonale swoją zwierzynę.

To było jakąś godzinę po zmroku. Mijali długi kwar-tał domów, ulica już opustoszała. Tylko ich dwoje. Stuk, stuk, stuk - stukały jej obcasy na twardym betonie. Odbijały się echem wokół oraz w jego umyśle.

Czy czujesz moje spojrzenie na sobie?

Czy czujesz moje myśli?

Ja już zapłaciłem za gwałt na tobie. Może teraz mógłbym to mieć za darmo... Albo nawet coś więcej niż gwałt. Ja już zapłaciłem. Teraz to ty powinnaś wreszcie zapłacić.

Jej krok był żwawy i rytmiczny, ale nie panicznie szybki. Jeszcze nie.

Stuk, stuk, stuk.

Teraz jakby przyspieszyła. Czegoś się przestraszyła. Czy wiedziała, że on tu jest? Nie, nie mogła. A w każdym razie nie mogła mieć pewności.

On zaś był przekonany, że go nie namierzyła. Zwiększył dystans, zaniepokojony trochę jej podenerwowaniem. I zobaczył jakąś postać, wyłaniającą się z mroku i ruszającą za Judith. To był mężczyzna. Średniego wzrostu, średniej budowy ciała. Tylko tyle dało się zauważyć z tej odległości.

Jock zwolnił i przyjrzał się facetowi, który szedł za Judith. Owa tajemnicza postać starała się niewątpliwie nie rzucać w oczy. Czego ten człowiek chciał? A może Judith dostała tajniaka do ochrony? Może udało jej się znów zainteresować policję jego osobą?

Ale nie. Policjant podszedłby do niego albo przyszedł do mieszkania i ostrzegł go. Od dnia, kiedy Judith wskazała na niego palcem podczas „okazania”, zdążył dobrze poznać policję, system więzienny, zbirów rzekomo strzegących porządku w zakładzie karnym. Wszyscy

oni byli sobie warci i podobni do siebie.

Czasem nosili mundury, czasem nie. Ale nie miał wątpliwości, że facet idący za Judith nie jest policjantem. Policja nie działa w ten sposób. Policjanci tak nie wyglądają. Są inni.

Jock zauważył, że mężczyzna zatrzymał się po drugiej stronie ulicy, gdy Judith weszła do swojej kamienicy.

Po chwili zadarł głowę i wpatrzył się we właściwe okno. Czekał, aż się zapali światło. A potem wsadził ręce do kieszeni i poszedł sobie. Teraz jednak jego krok stał się inny, swobodniejszy. Gość nie był już tak czujny w ruchach.

Przez ciało Jocka przebiegła fala podniecenia - coś jakby dreszcz. Wydarzyło się coś dziwnego. Ktoś nowy wszedł do ich prywatnego, pełnego lęków świata.

Nie był już jedynym tropicielem Judith.

33.

To było nazajutrz, parę minut po jedenastej. Quinn siedział sam w biurze, w swoim zacisznym kokonie pośród manhattańskiego zgiełku. Poderwał się na ostry dzwonek telefonu. Zerknął na wyświetlacz. To był Nift z kostnicy. Quinn podniósł słuchawkę.

- Nie będę pana trzymał w napięciu - powiedział lekarz. - Stwierdzoną przyczyną śmierci Candice był atak serca.

Quinn był trochę zaskoczony.

- Czy to z bólu?

- Raczej z myśli o dalszym bólu. Tak to jest. Podczas takich tortur, jakie ona przeszła, ciało i umysł mówią czasami: dość. Nie mogą wytrzymać dłużej.

Ale gdyby Candy nie dostała tego ataku, to wkrótce i tak wykrwawiłaby się na śmierć od ran zadanych nożem. To było częściowe oskórowanie ciała.

Candy. Nie po raz pierwszy Nift używał zdrobniałego imienia ofiary na określenie kobiecych zwłok. Quinn

zastanawiał się czasami nad relacją łączącą Nifta z kobiecymi obiektami jego badań. Pearl na głos wyrażała swoje podejrzenia co do tego odrażającego medyka, a miała irytujący zwyczaj trafnego oceniania ludzi.

- A co pan powie o podejrzeniu gardła? Jak to zrobił? - zapytał Quinn, próbując się otrząsnąć z koszmarnych wizji, jakie go czasami osaczały podczas rozmów z Niftem.

- To był jakiś ostry, szeroki i zakrzywiony nóż. Morderca załatwił sprawę dwoma krzyżującymi się cięciami, wykonanymi zapewne powoli. Cięcia nie były tak głębokie i zabójcze, jak się na pierwszy rzut oka wydaje. Rana na gardle mogła być ostatnią z zadanych i morderca pewnie uznał, że to *coup de grâce*. Ale w chwili gdy poderznął ofierze gardło, ta była już bliska śmierci. Powiedziałem „bliska śmierci”, gdyż w chwili zadania tej rany jej serce wciąż pompowało krew. Świadczy o tym krwawienie z rany.

- Czy wszystkie te rany zadano tym samym nożem?

- Wygląda na to, że tak. To było jakieś poręczne, nieduże ostrze. Co ciekawe, nie ma na ciele łańcuszka z literą S. Choć wydaje się, że morderca włożył go ofierze przed śmiercią.

- Sprawca nie pozostawił, jak sądzę, żadnych śladów na zwłokach?

- Nawet włoska. A cała krew na ciele ofiary należy do niej. Nie ma też żadnych śladów pod jej paznokciami. Żadnej śliny ani spermy. Tylko ślady długich i ciężkich

tortur, przede wszystkim obdarcia warstwy skóry z pozostawieniem skrawków w postaci frędzli. To trwało aż do chwili, gdy serce się poddało. Zbadałem każdy cal jej ciała i mogę powiedzieć, że ta dupcia miała ciężką śmierć.

Dupcia! O Jezu, Nift.

- Na jej ciele jest dwanaście starannie dobranych miejsc, od których zaczynał się proces skórowania, oraz dwadzieścia siedem ran klutych na obszarze łonowym i wokół. Co najmniej dwukrotnie nóż spenetrował jej waginę. Niezbyt głęboko, ale rany były poważne.

- Zgwałcona ostrzem noża... - powiedział Quinn. - Czy w tym czasie już nie żyła?

- Nie, to są rany przedśmiertne.

- To jakiś chory sukinsyn. A co z tą krwią wokół ust? To przez ten but?

- Nie - odparł Nift. - Odciął jej język.

- O Boże! Mam nadzieję, że przynajmniej tego nie zrobił jej na żywca.

- Nie, była już wtedy martwa, bo inaczej byłoby jeszcze więcej krwi. Cóż, może mielibyśmy szczęście, gdyby zdołała go ugryźć. Wtedy dysponowalibyśmy jakąś próbką DNA. Ale on jest bardzo ostrożnym mordercą, Quinn.

- I wściekłym.

- Język mógł zostać wycięty tym samym nożem, którym ponacinał skórę. Właściwie nie sprawiło mu to wiele kłopotu, bo takie zakrzywione ostrze świetnie się nadaje do wycięcia języka.

- Ludzie jedzą cielęce ozorki. Czy w rzeźniach używa się do tych języków specjalnych noży?

- Nie wiem. To już pańska działka. Nie znam się na cielęcinnie. Jakby pan miał jeszcze jakieś pytania, to pogadamy później, bo teraz mam inne ważne spotkanie. Wie pan - gorąca sprawa.

- Dobra, zadzwonię do pana, jak coś mi przyjdzie do głowy.

- Tak tylko powiedziałem... nic więcej - zakończył Nift i odłożył słuchawkę.

Otworzyły się drzwi od ulicy. Wraz z podmuchem ciepłego powietrza zjawił się Fedderman. Był w swoim nowiutkim garniturze i świeżej białej koszuli.

- W żadnej nowojorskiej książce telefonicznej nie ma Nathana Devlinera - oznajmił.

- To żadna niespodzianka - odparł Quinn.

- Poza tym rozmawiałem ze wszystkimi lokatorami z domu Candice Culligan. I nic. - Nalał sobie kubek kawy, uważając, by nie popłamić mankietów. - To bydlę nie robiło hałasu.

Fedderman podszedł do swojego biurka i padł na krzesło, gniotąc garnitur i rujnując efekt szpanerskiego odzienia. Znów był takim Feddermanem jak zwykle. Quinn opowiedział mu o telefonie od Nifta.

- Wyciął jej język? - Fedderman skrzywił się, jakby sam doświadczył czegoś podobnego.

- Niestety - potwierdził Quinn. - Zdaniem Nifta Rzeźnik dokonał tego bez większego trudu, zapewne tym samym nożem, którym zadał pozostałe rany. To było już po jej śmierci. Zabójca zapewne wiedział, że gdyby zrobił to wcześniej, byłoby za dużo krwi. A poza tym mogłaby go ugryźć.

- Cwany skurwiel - ocenił Fedderman. - Nie pozostawia nam żadnego punktu zaczepienia. Ustawia nas, jak chce.

- Tak, naprowadza nas na Socrates's Cavern - przytaknął Quinn.

- Nazwiska członków wypisane krwią, litera S na zwłokach, a może nawet upodobnienie ofiary do zwierzęcia ofiarnego... To wszystko aż nazbyt wyraźnie wskazuje ten kierunek. Teraz morderca musi się dowiedzieć, że nie łykamy tej zmyły.

- Bo ja wiem - zastanowił się Fedderman. - Może on uważa, że nie jesteśmy za bystry...

- Nie mam pojęcia, skąd by mu to mogło przyjść do głowy. Chyba że coś facetowi odbiło.

- Może wierzy w duchy. Wszyscy podejrzani, których nam podstawił, nie żyją.

Fedderman wstał z krzesła jakoś niezbornie, jakby nie panował nad całokształtem ciała. Był taki jak zaw sze, nawet garnitur od Armaniego nie zdołał tego ukryć. Podszedł do wieszaka, zdjął marynarkę i powiesił ją starannie.

- A po co ci ten nowy ciuch? - zapytał Quinn, gdy Fedderman wrócił za biurko.

Feds wziął do ręki jakieś papiery, obrzucił je niewidzącym wzrokiem i odłożył, jakby nie dostyszał pytania Quinna.

- Pomyślałem, że już czas - powiedział w końcu.

- Nie zauważyłem, żebyś na starym ubraniu miał jakieś łaty.

Fedderman westchnął i napotkał wzrok Quinna.

- Coś ci to przeszkadza? Tobie albo Pearl?

Quinn uśmiechnął się.

- Daj spokój, Feds. Przepraszam.

- No dobrze, zainteresowałem się kimś, a ona chyba też jest zainteresowana... Ze względu na nią pomyślałem, że trzeba by się pożegnać chociaż z jedną sztuką starej odzieży detektywa.

- Można by pomyśleć, że poza pracą przeistaczasz się w jakiegoś supergościa...

- Poza pracą?

- Punkt dla ciebie. Tak naprawdę to myślę, że potrzebujesz jeszcze jednego garnituru.

Fedderman wrzucił ramionami.

- Na razie mam parę sportowych marynarek.

- Czy ktoś z nas zna tę kobietę, dla której tak zdecydowanie zmieniłeś styl?

- Nie sądzę. - Fedderman pokręcił się nerwowo na krześle. - Ale wiesz, jak ma na imię: Penny.

- Nie przypominam sobie... chociaż... Czy to Penny Noon?

- Spotkaliśmy się parę razy - wyznał Fedderman i machnął ręką, jakby to nie było nic ważnego.

Quinn widział sprawę inaczej.

- Czy ja wiem, Feds... To siostra ofiary, bądź co bądź...

- Czy to wbrew przepisom albo zasadom?

- No, nie... - Quinn odchylił się na krzesło tak mocno, że mało nie upadł. Splótł ręce na brzuchu. Fedderman miał rację. Penny Noon znajdowała się z dala od tego, co przydarzyło się jej siostrze, Norze. Tak się w każdym razie wydawało. Nie była ani podejrzana, ani naocznym świadkiem. Zresztą nie pracowali w nowojorskiej policji. Podniósł stopy i pozwolił krzesłu opaść do przodu. - Nie ma sprawy, Feds. Życzę szczęścia.

- Dzięki serdeczne waszej dostojności...

- Za co? - spytała nagle Pearl.

Żaden z mężczyzn jej nie zauważył. Przeszła przez biuro i nalala sobie kawy. Prawdę mówiąc, był to już trzeci kubek. Jej błyszczące czarne włosy pozostawały w nieładzie, niemal w takim stanie, w jakim były tego ranka, gdy Quinn wyszedł z domu, a ona zwlekała się dopiero z łóżka.

Podchodząc do swojego biurka, zerknęła na wieszak, a potem na Feddermana.

- Masz fular do tego gajera?

- Nie potrzebuję niczego takiego - odburknął Fedderman.

Kłapnęła za biurkiem, udając ostentacyjnie, że nie interesuje jej, co Feds powie. Wzięła szwajcarski scyzoryk, który trzymała w szufladzie i którego używała do otwierania listów. Zgrabnie rozcięła kopertę wydobytą ze swojej skrzynki pocztowej w drodze do pracy. Wyglądało, jakby zamierzała zapomnieć o strzępie rozmowy, którą podsłuchiwała, wchodząc do biura.

- Dzięki za co? - ponowiła jednak pytanie.

Quinn nie odezwał się. Zdawał sobie sprawę, tak jak Fedderman, że Pearl coś węszy i chce wydobyć z nich odpowiedź.

- Chodzi o Penny Noon - oświadczył Fedderman w akcie nagłej kapitulacji.

- Co za Penny Noon? - drążyła Pearl .

- Siostrę Nory Noon - odparł Quinn. - Feds się z nią widuje.

- No i co z tego? Jest niewidzialna?

- Nie. On się z nią *widuje*.

- W jakiś romantyczny sposób?

- Tak.

- A, to wyjaśnia ten obłądny garnitur - orzekła Pearl. Zmiała kopertę i cisnęła ją do kosza. Obrzuciła Feddermana śmiertelnie poważnym spojrzeniem. - Penny to zdrobnienie od Penelope?

- Nie wiem - przyznał Fedderman.

Quinn pomyślał, że już najwyższy czas zmienić temat, zanim Feds wystartuje z jakąś ostrą ripostą.

- Nift dzwonił po sekcji - zwrócił się do Pearl. Opowiedział jej o telefonie i o tym, że Candice Culligan wycięto język.

Pearl zbladła, gdy usłyszała o języku. Ale szybko odzyskała równowagę - tak się przynajmniej wydawało.

- Przecież to jakiś świr...

- Wiem, ale niewiele z tego wynika. Ofiara była metodycznie torturowana i została ugodzona dwadzieścia siedem razy w okolicę łonową.

- Cóż, takie rzeczy robi się z miłości - brzmiała odzywka Pearl.

34.

Przez chwilę wszyscy milczeli. Pearl odpaliła swój komputer i wgrała do niego coś z pendrive'a, którego przyniosła ze sobą. Zachowywała się tak, jakby w pokoju nie było nikogo oprócz niej.

Quinn zastanawiał się, czemu musiała tak ciągle czepiać się Feddermana. Zresztą zachowywała się tak niemal wobec wszystkich. Quinn był w stanie ją pokochać, bo rozumiał, że to w gruncie rzeczy postawa obronna. Atak wyprzedzający - ale w obronie.

Na szczęście osobowość Pearl miała też inne, przyjemniejsze aspekty. Przede wszystkim ta kobieta była cholernie inteligentna. I to sprawiało, że koledzy detektywi znosili jej fochy, choć nie bez trudności. Nikt nie zaprzeczał, że Pearl ma talent. I upór.

Jednak uprzykrzała wciąż życie Feddermanowi. A także Vitalemu i Mishkinowi, kiedy akurat nie mogli jej zejść z oczu.

I nie ukrywajmy - czasami także Quinnowi.

- Przed pracą posiedziałam parę godzin nad moim laptopem - oznajmiła. - I coś odkryłam.

- W sprawie naszej ostatniej ofiary? - spytał Quinn.

- Tak. Sześć lat temu Candice Culligan została pobita i zgwałcona. Złapano tego faceta i dostał piętnaście do dwudziestu lat w Elmirze. Pięć miesięcy temu zwolnili go, bo testy DNA wykazały, że nie mógł być gwałtciwielem, choć ona go zidentyfikowała.

Pearl powoli upiła długi łyk kawy. Quinn wiedział, że chce powiedzieć coś jeszcze, ale się powstrzymała.

Fedderman patrzył na nią, wciąż jakby urażony jej pytaniem o pełne imię Penny Noon.

- A zatem została zgwałcona... - odezwał się teraz.

- Tak jak pozostałe.

- Powiedz to jeszcze raz, Pearl.

- Wszystkie ofiary z odnośnikami do Socrates's Cavern zostały kiedyś zgwałcone. A oskarżeni i skazani za gwałt na nich wyszli z więzienia, gdy badanie DNA wykazało, że są niewinni.

- A więc mamy ważny wspólny mianownik - uznał Quinn.

- Ale nie jest nim Socrates's Cavern...

- Na to wygląda - przyznała Pearl.

- Ten sukinsyn nas ograł - stwierdził Fedderman. - Używając starej listy członkowskiej Socrates's Cavern, wyprowadził nas w pole.

- Podejrzewaliśmy to - powiedziała Pearl. - W każdym razie ja.

Quinn splótł dłonie na karku i odchylił się głęboko na swoim obrotowym krześle. Pearl i Fedderman byli przyzwyczajeni do takich wyczynów szefa. Jeszcze się nie zdarzyło, by upadł.

- No i co? Dupa blada?

- Na to wygląda - przyznał Quinn. - Ale to podejrzane, że wszyscy ci fałszywie oskarżeni i uwolnieni gwałciciele zabrali się nagle do zabijania kobiet, które posłały ich za kratki.

- I zrujnowały tym facetom życie - dodał Fedderman. - Rozbiły ich rodziny, zszargały reputację, pozbawiły pracy...

- Tak, tak - rzuciła niecierpliwie Pearl. - Sądysz, że tym wszystkim facetom nagle odbiło i postanowili wyrównać rachunki z kobietami, które spaprały im życie? Przecież pakowaliby się w jeszcze gorsze kłopoty.

- Rzeczywiście, to mało prawdopodobne - przyznał Fedderman, choć bez przekonania.

Pearl wyjęła z torebki grzebień i przeciągnęła nim po włosach.

- Mówimy o seryjnym mordercy, Feds. Człowieku, który torturuje swoje ofiary. Niewielu ludzi - nawet fałszywie oskarżonych facetów - kryje pod skórą taką bestię.

- Ale jeden z nich widać tak - powiedział Quinn. - To człowiek, który wie, że będzie głównym podejrzanym, gdy jego oskarżycielka zostanie zamordowana.

Pierwsze ofiary i ich rzekome związki z Socrates's Cavern to zmyła. Las, w którym nie zauważyliśmy drzew. On zabija wciąż nowe kobiety, zaś następna ofiara będzie po prostu jeszcze jednym ciałem, kolejnym ogniwem w łańcuchu.

- A jeśli w dodatku uda mu się zorganizować niezłe alibi, to nigdy go nie dorwiemy - uzupełniła Pearl.

- E, nie - zaprotestował Quinn. - Wcześniej czy później złapiemy drania.

- Pomarzyć dobra rzecz - zauważyła Pearl.

- Ciekaw jestem, ile kobiet znajduje się w tej sytuacji - wtrącił Fedderman. - Falszywie zidentyfikowały gwałcicieli, oni wyszli na wolność...

- Według Krwi i Sprawiedliwości... - zaczęła Pearl.

- A co to takiego? - spytał Quinn.

- To organizacja prawników, którzy za pomocą testów DNA prostują mylne wyroki. Zajrzałam do statystyk na ich stronie internetowej. Otóż w ciągu ostatnich pięciu lat w okręgu nowojorskim mylnie zidentyfikowano i niesłusznie skazano trzydziestu dwóch mężczyzn, oskarżonych o gwałt.

- Żartujesz? - rzucił Fedderman.

Pearl skończyła się czesać i schowała grzebień do torebki. Ale włosy wciąż miała w nieładzie.

- DNA to nie żarty.

- Jeśli przyjmiemy, że wszystkie te kobiety są nadal w mieście - rzekł Quinn - to każdej z nich grozi niebezpieczeństwo. Powinniśmy z nimi porozmawiać.

- I z tymi facetami, którzy zarobili przez nie parę latek - zauważył Fedderman. - Pewnie jednym z nich jest Rzeźnik.

- Wydrukuję listę tych kobiet - powiedziała Pearl.

- A potem przygotuję listę ich uniewinnionych rze-
komych gwałcicieli.

- Nazwiska, adresy, wszystko, co uda ci się znaleźć - sprecyzował Quinn.

Pearl uśmiechnęła się.

- Pomyślałam, że najbezpieczniejszą z tych kobiet jest ta, której morderca nie chce zaatakować do czasu, gdy będzie gotów ściągnąć na siebie uwagę - to znaczy kobieta, która mylnie zidentyfikowała samego Rzeźnika.

- O ile ona jeszcze żyje - zauważył Fedderman. - To mogła być jedna z pierwszych ofiar.

Quinn pokręcił głową.

- Ten facet odczeka trochę, żeby się zabezpieczyć, i dopadnie ją gdzieś w połowie stawki. Będzie potrzebował kamuflażu.

- Zwariowany świat... - mruknął Fedderman.

- Tak to jest. Sam wariujesz na temat Penelope - rzuciła Pearl.

Fedderman już miał jej coś odpowiedzieć, gdy Quinn złapał jego spojrzenie. Feds wziął głęboki oddech i znów usiadł za biurkiem. Jego mina mówiła, że *są rzeczy, które trzeba znosić*.

Należały do nich Pearl i paskudna pogoda.

- Pierwsza rzecz, którą powinniśmy zrobić - powiedział Quinn - to porozmawiać z tymi trzema mężczyznami, których fałszywie oskarżono o zgwałcenie pierwszych ofiar.

- Nie zapominając o tym - dodała Pearl - że część naszych rozważań jest głównie warta i że możemy rozmawiać z mordercą.

Dosadna Pearl.

- Jest jeszcze inna robota, o której pomyślałem dla Fedsa - poinformował Quinn. - Ktoś musi pójść do rzeźni i sprawdzić, czy używają tam specjalnego noża do wycinania cielakom języków. A jeśli tak, niech ci taki dadzą - to znaczy, mam na myśli nóż.

- Quinn się uśmiechnął.

Fedderman powstał, włożył marynarkę i zapiął ją starannie, jak model pragnący należycie zaprezentować markowy garnitur.

- No tak, ktoś musi sprawdzić tę rzecz do ozorków, więc czemu nie ja?

- Dzięki temu nie będziesz tyle myślał o Penelope - oświadczył Quinn.

- O Boże! Życzę ci tego z całego serca! - rzuciła Pearl.

Gdy Fedderman już sobie poszedł, Quinn zadzwonił do Renza na One Police Plaza.

- Jest jakiś przełom w sprawie Rzeźnika? - zainteresował się od razu Renz.

- Jeszcze nie wiem - odparł Quinn. - Rozmawiałeś z Niftem albo czytałeś jego raport?

- Taak, ta sprawa z językiem to może być coś nowego... Powiedział ci o swoich pomysłach?

- Może to mieć znaczenie symboliczne - powiedział Quinn. - Ofiary zeznawały podczas procesów i posłały za kraty facetów, którzy ich wcale nie zgwałcili.

- *Wszystkie* ofiary? - chciał się upewnić Renz.

- Tak, w każdym razie wszystkie zamordowane do tej pory. No i jest jeszcze dwadzieścia dziewięć innych kobiet, które mogą pasować do tego schematu. Trzeba by im dać ochronę...

- Załatwię to - zadeklarował Renz.

Potem w słuchawce zapadła parosekundowa cisza.

- A więc cały ten cholerny łańcuch morderstw ma podłoże symboliczne... - znów odezwał się Renz.

- Nie sądzę jednak, byśmy powinni skupiać się na tym języku...

- Ale dla zabójcy język ofiary ma najwidoczniej istotne znaczenie. Może chodzi o coś więcej - upierał się Quinn.

- Albo i nie. - Renz myślał już o czymś innym: całodobowa ochrona dwudziestu dziewięciu kobiet to ciężka sprawa. Trzy ośmiogodzinne zmiany razy dwadzieścia dziewięć. *Cholera, skąd ja wezmę osiemdziesięciu siedmiu wolnych policjantów dziennie?*

Jednak gotów był zrobić, co w jego mocy.

- W każdym razie - ostrzegł Quinn - przypilnuj, żeby ta historia nie przedostała się do mediów. Tylko

Rzeźnik i my będziemy wiedzieć o sprawie. Ułatwi to nam weryfikację fałszywych zeznań i bajek różnych świrów.

- Dobry pomysł, Quinn. Bo inaczej nasze telefony rozgrzeją się do czerwoności. Dzwoniłoby całe miasto, wszyscy z wyjątkiem prawdziwego mordercy. Dlaczego, do cholery, ludzie tacy są?

- Pewnie potrzebują się wygadać. Może z tej samej przyczyny chodzą w kościele do spowiedzi - zasugerował Quinn.

- Coś okropnego - podsumował Renz.

Ale Quinn myślał już o rzeczach znacznie okropniejszych.

35.

Hogart, 1991

- *W czym ty jesteś?* - zapytał żonę Roy Brannigan i zerwał się ze swojego fotela jak wystrzelony z procy.

To był ciepły letni wieczór. Na niebie wciąż jeszcze widać było ślady purpury, ale pomiędzy drzewami zmierzch rozpościerał całun zupełnego mroku. Grały świerszcze. Beth i Roy siedzieli na ganku. Beth myślała, że to dobre miejsce i czas, żeby mu powiedzieć.

W każdym razie równie dobre jak każde. Udawała, że popija wodę z lodem, a Roy skończył właśnie swoje drugie piwo. Kobieta sądziła, że po drugim piwie mąż rozluźni się na tyle, że nie wybuchnie, gdy go zaskoczy. Nie miała ochoty czekać na kolejny dobry moment, gdy Roy będzie już po piątej albo szóstej puszcze.

Powiedziała to raz jeszcze, zdając sobie sprawę, że jej słowa zadziałają jak wrzucenie kamienia do cichej sadzawki.

- *W ciąży...*

Roy zaczął chodzić po ganku, bez celu, ale robiąc dużo hałasu.

- Na miłość boską! Beth!

Ona siedziała wciąż na bujanym fotelu, wiedząc, że jeśli wstanie, sytuacja może się wymknąć spod kontroli.

- Proszę cię, Roy... To przecież nie moja wina.

Zatrzymał się nad nią. Pięści miał przyciśnięte do bioder.

- A jak byłaś wtedy ubrana? Po co wkładałaś te szorty? Mówiłem ci tyle razy, żebyś ich nie nosiła. Zwłaszcza po nocy. I jak to się właściwie stało, że wpadłaś na tego Vincenta Salasa?

- Skąd wiesz...

- ...że to nie moje dziecko? - Odwrócił głowę i splunął. - Nawet cię nie dotknąłem od czasu, kiedy stałaś się nieczysta w oczach Pana. Nie tknąłem cię na miesiąc przed tym... Salasem.

Ty mnie nigdy nie tknąłeś jak trzeba - pomyślała i zaraz zawstydziała się tą myślą.

- Masz w sobie dziecko ze znamieniem tej bestii - oświadczył Roy.

- Nie mów tak, Roy. Potrzebuję cię.

- Dostałaś, czego chciałaś. Ubrałaś się jak dziwka, niosłaś na widoku torbę z alkoholem i spacerowałaś sobie po ciemnym lesie. To się teraz nie dziw, że stało się, co się stało. Sama się prosiłaś.

- Przecież ja nie chciałam. Przysięgam!

- Nie masz co przysięgać - uciał Roy i cisnął w ciemność puszkę po piwie.

- Gwałt to jest taka rzecz, która się po prostu człowiekowi przytrafia - ciągnęła Beth, przywołując słowa pielęgniarki z pogotowia. - Nie ma się nad tym żadnej kontroli.

- A pewnie! Człowiek nie kontroluje wielu rzeczy, od kiedy zaczyna kusić los i diabła...

- Ale ja nie kusiłam...

Wmaszerował do domu i zatrzasnął za sobą drzwi. Zabrzmiało to jak wystrzał z karabinu. Jak egzekucja.

Parę minut później zajrzała do środka przez okno frontowe. Siedział przy biurku i czytał Biblię. Dłoń, której nie używał do przewracania kartek, miał zaciśniętą w pięść.

Dla Roya diabeł był istotą bardzo realną.

Nie zamienili już ani słowa do czasu, gdy położyli się spać, odwróceny do siebie plecami. Beth nie umiała się powstrzymać od płaczu. Łzy zmoczyły jej poduszkę. Na zewnątrz domu brzęczały i bzykały owady, jakby ją o coś oskarżały, jakby dawały wyraz pretensji o jej ciążę. Cała natura miała jej to za złe.

Gdy się obudziła, był już jasny poranek. Minęło ledwie parę sekund i jakiś mroczny strach zaczął ją znów przenikać, dławiąc gardło i ściskając żołądek.

To dziecko...

Prawą dłonią wyczuwała coś, co zdawało się wypychać brzuch.

Ale to za wcześnie. To jeszcze niemożliwe.

Jakiś nieznaczny hałas sprawił, że uniosła głowę i rozejrzała się dokoła. Była w łóżku sama. Roy, całkowicie ubrany, stał koło szafy. Na krześle położył otwartą walizkę, do której wkładał ubrania.

- Co ty robisz, Roy?

- A nie widać?

- Pakujesz się?

- Właśnie - odparł, nie spojrzawszy nawet na Beth.

- Pakuję się.

Po pięciu minutach usłyszała trzaśnięcie drzwi frontowych, a potem odgłos zapalnego silnika samochodowego.

Zaraz potem silnik zaryczał i wóz ruszył z kopyta, wyrzucając spod kół fontanny żwiru i błota. Wszystko to było słychać.

Gdy te odgłosy ucichły, Beth wygrzebała się z łóżka i powlokła do salonu. W domu było tak cicho i spokojnie, jakby nawet *jej* nie było.

Niezupełnie jeszcze obudzona, przesunęła palcami po meblach, przekonując się, że są najzupełniej realne, podobnie jak cała sytuacja. Podeszła do biurka i wyciągnęła górną szufladę.

Biblia - w edycji króla Jakuba - oprawiona w wytartą skórę nie leżała na zwykłym miejscu, w prawym przednim rogu szuflady.

Beth wysunęła dolną szufladę. Nie było w niej śladu po dużych żółtych kopertach, zawierających pornograficzną kolekcję Roya.

Roy odszedł.

Została sama.

36.

Nowy Jork, obecnie

Adam Wright mieszkał w suterenie domu na Dolnym Manhattanie, ale nawet szczury nie garnęły się do tego lokum. Był mężczyzną ledwie po czterdziestce, wyglądał jednak na więcej. Miał twarz koloru łupku. Jego oczy były tylko o ton ciemniejsze i wciąż niespokojne, choć zawsze spuszczone. Kości policzkowe здаwały się niemal przebijać skórę, sugerując, że Wright mógł być kiedyś przystojnym mężczyzną. Ale teraz był wyniszczony, jakby jakąś chroniczną chorobą.

Gdy Pearl zapukała do jego drzwi i pokazała swoją legitymację, zaferował jej jedyne krzesło w mieszkaniu. Był to rozklekotany mebel z chwiejnymi poręczami na ręce. Na nim leżała niebieska wysiedziana podkładka z wyblakłym logo New York Mets. Pearl usiadła ostrożnie, mając nadzieję, że krzesło się nie rozleci. Wyciągnęła notatnik i ogryziony żółty ołówek. Wright

przycupnął na skraju niepościelonego łóżka. Pearl nie musiała mu tłumaczyć, dlaczego przyszła.

- Byłem wstrząśnięty jak każdy, kiedy się dowiedziałem, że zamordowano Millie Graff - powiedział.

- A jak się pan o tym dowiedział? - spytała Pearl.

Smród stęchlizny i czegoś jeszcze, czego nie potrafiła zidentyfikować, sprawiał, że miała wielką ochotę uciec z tej nory. Nie było tu żadnego pieca, tylko gazowa kuchenka, na której stał stary szybkar. Może Wright pichcił w nim coś, co wydzielalo taki wstrętny zapach zgnilizny.

- Przeczytałem o tym w gazecie, którą ktoś wyrzucił. Zaraz jak to przeczytałem, zacząłem się bać... chyba pani rozumie dlaczego...

- Jak to było? - spytała Pearl.

- Z tym morderstwem? - Jego wodniste oczy wciąż były spuszczone, ale poruszały się w taki sposób, jakby starał się nie gapić na jej biust.

Odczekała cierpliwie, aż spojrzy jej w oczy.

- Nie chodzi mi o morderstwo - wyjaśniła. - Jak to się stało, że oskarżono pana o gwałt?

Znów opuścił oczy. Wpatrywał się teraz w jakiś punkt na prawo od jej kolan.

- Ano, robiłem wtedy w ekipie budowlanej na Dziesiątej Ulicy. Reperowaliśmy tam kamienną fasadę. Zajęcie było ciężkie, ale dobrze płatne. Właśnie mnie tam przenieśli po trzech miesiącach robót dekarских w SoHo. Pozostali zasuwali tam już od tygodnia. Chłopaki,

z którymi pracowałem, nawijali dużo o Millie Graff, chociaż żaden z nas nie wiedział wtedy, że ona tak się nazywa. Mówili, że ma świetne nogi. Za każdym razem, kiedy przechodziła, urządzała dla nas show. Chciała wywołać naszą reakcję... Zdziwiłaby się pani, ile kobiet tak robi.

Pearl nie była zaskoczona, że wielu budowlańców właśnie tak *myśli*.

- Może tak się wam tylko zdawało. Była zawodową tancerką, więc nic dziwnego, że miała piękne nogi i umiała się ładnie ruszać.

- No tak, to jasne. Ale pewnego dnia chłopaki mi ją pokazali, a mnie się wydawało, że posłała w moją stronę takie... spojrzenie.

Pearl uniosła brwi.

- *Takie* spojrzenie?

- Właśnie. To sobie pomyślałem, że ona nie będzie miała nic przeciwko temu, żebym zrobił jakiś ruch, no, zagadał do niej czy coś...

- Według zeznań sądowych zasugerował jej pan seks oralny - tylko nie sformułował pan tego tak kulturalnie.

- No tak, za daleko się posunąłem...

- I głupio pan zrobił.

- Fakt. Ale nie zasłużyłem na pięć lat w więzieniu za zbrodnię, której nie popełniłem. - Jego oczy nie wydawały się już tak rozbiegane. Więcej w nich było bólu niż gniewu.

- Co do tego zgoda.
- Trochę za późno...
- Przeprosiłabym pana, gdyby to mogło coś zmienić... - powiedziała Pearl.

Jakby wbrew sobie zaczynała odczuwać sympatię do Adama Wrighta. A przynajmniej nie odczuwać do niego antypatii. Nietrudno się było domyślić, jaki był kiedyś i jakim mógłby wciąż być, gdyby miał więcej szczęścia. Poza aurą tutejszego brudu i zaduchu był porządnym człowiekiem w przedwczesnym zmierzchu wieku średniego, znajdującym się nad przepaścią, której się boją wszyscy ludzie.

Cios losu sprowadził go do tego marnego życia, a przeszłość nie zapowiadała się lepiej.

- Jak sobie teraz radzisz, Adamie? - spytała.
- Jak sobie radzę? Masz na myśli przetrwanie? Do-
staję zasiłek z Social Security, bo parę miesięcy temu
spadłem z drabiny, myjąc okna. Stukłem sobie plecy.

- A... co jest w tym worku?

Zaraz pożałowała swojego pytania. Wright zaczął się trząść. Próbował się uśmiechnąć.

- Ma pani nakaz rewizji?
- Nie jest mi potrzebny, bo nie zamierzam do ni-
czego zaglądać.

Sama zrobiła oczywisty show, ostentacyjnie *nie za-
pisując* niczego w notesie. Niech ją diabli, jeśli miałyby
złożyć raport na tego biedaka, który dorabia sobie do

zasilku sprzedają aluminiowych puszek. Przecież musi zapłacić czynsz za tę norę.

Wright skłonił głowę z wdzięczności. Spróbował wzruszyć ramionami, ale nawet na to brakowało mu już chyba sił.

- Jak człowiek wychodzi z pierdła, nawet na podstawie testów DNA, to ludzie i tak kojarzą go z gwałtem. No a teraz nawet z morderstwem. Na budowie miałem dobrą robotę, ale w tej chwili nie mogę niczego znaleźć. Wiem dlaczego, nawet to rozumiem. Sam bym pewnie siebie nie zatrudnił, do kurwy nędzy...

Wyglądał, jakby chciał splunąć z obrzydzenia - i pewnie by to zrobił, gdyby nie obecność Pearl. Przeciągnął po wargach dłonią o brudnych, połamanych paznokciach.

- Łatwiej stracić reputację, niż ją zyskać.

- A co pan robił tej nocy, kiedy zamordowano Millie? - spytała Pearl.

- Byłem w szpitalu i oglądałem godzinami powtórki *South Park*.

- O Boże!

- Nie zabiłem też Kenny. Ani razu.

- Bądź poważny, Adamie.

- No dobra. Tego wieczoru trafił mi się rzadki fuks. Wcześniej schyliłem się, żeby podnieść... no, nieważne co. Ale potem nie mogłem się wyprostować. To było w rejonie Pięćdziesiątej Czwartej i Lexington. Wokół mnie

zebrało się pełno ludzi. Jakiś facet zadzwonił z komórki po pogotowie i zabrali mnie do szpitala. Tam mi pomogli, ale nie za bardzo. Spędziłem w szpitalu całą noc, oglądając telewizję i doprowadzając do szału pielęgniarki, bo chciałem więcej proszków przeciwbólowych. To są dopiero „siostry miłosierdzia”... niech je szlag trafi!

- Mogą się jeszcze okazać siostrami miłosierdzia - zauważyła Pearl - jeśli ci dadzą pewne alibi.

- Ten drugi gliniarz też mi to powiedział.

Pearl przestała notować.

- Co to był za gliniarz?

- No, to było parę dni po zamordowaniu Millie Graff...

- Ale jak on się nazywał?

- To była ona... A jak się nazywała? Nie pamiętam... Wyglądała całkiem do rzeczy, jak ty. Ale miała odznakę NYPD. Zjawiła się całkiem służbowo...

- Nie inaczej niż ja - zastrzegła się Pearl.

- No, niby tak, psze pani...

- Zaczynam rozumieć, jak wpakowałeś się w te kłopoty.

Wright po raz pierwszy się uśmiechnął. Przez moment wyglądał na dziesięć lat młodszego i Pearl znów zobaczyła, jak mógłby teraz wyglądać. Ten widok ją przeraził. Schowała ołówek i notes do torebki i wstała, uważając, by nie potraktować przy tym zbyt obcesowo starego krzesła.

- Coś jeszcze? - zapytał Wright.

- Już nic.

Wyglądał na rozczarowanego. Pewnie nikt go tu nie odwiedzał, chyba że ktoś z sąsiedztwa został zgwałcony albo zamordowany.

- Podobno mam sprawdzone alibi - powiedział, jakby się starał za wszelką cenę kontynuować rozmowę, zatrzymać Pearl u siebie. Głód kontaktów międzyludzkich pokonał jego strach. Pearl znów poczuła przyływ współczucia. Bycie takim wyrzutkiem musiało być straszne.

Ale co mogła na to poradzić? Nie potrafiła zwrócić mu reputacji. Tych pięciu lat...

- A co teraz z twoimi plecami? - zapytała.

- Nie za dobrze. Potrzebuję operacji, żeby mi zreperowali parę kręgów. Ale co? Czy miasto da mi na to pieniądze?

- Na ich miejscu bym dała.

- Dzięki, ale oni nie dadzą.

- Cóż, chyba nie - zgodziła się Pearl, zostawiając go w zapuszczonej norze.

- Wright to biedny mamlas - powiedziała, siadając za swoim biurkiem. - Coś w środku mówi mi, że nie potrafiłby nikogo zabić.

- W pewnych sytuacjach każdy może zabić każdego - oświadczył Quinn. Stał ze spuszczoneymi rękawami koszuli, popijając dietetyczną colę.

- Naprawdę w to wierzysz? - spytała Pearl.

Quinn potarł szczękę i przyjrzał się jej z uwagą, zastanawiając się, jak ona może myśleć inaczej, zważywszy na jej policyjne doświadczenie.

- Tak. Nie podoba mi się to, ale tak właśnie uważam.

Pearl wiedziała, że Quinn ma rację, ale nie chciała dać mu satysfakcji. A poza tym wciąż było jej żal Adama Wrighta.

- Tego wieczoru, gdy została zabita Millie Graff, Wright był w szpitalu - powiedziała. - Coś mu się porobiło z kręgosłupem, a gość trudni się zbieraniem puszek.

- To jest jego alibi? Coś mu się zrobiło z plecami, kiedy podnosił aluminiową puszkę?

- Właściwie to mi się nie przyznał, że jest zbieraczem, ale nie mam co do tego wątpliwości. Ważne jest to, że uszkodził sobie kręgosłup, a w czasie gdy zginęła Millie, przebywał w szpitalu.

- Tak mu współczujesz, Pearl?

- Ma teraz główne życie. Ważniejsze jednak, że naprawdę posiada alibi.

- Sprawdziłaś tę jego gadkę?

- Jeszcze nie. Ale sprawdzę. - Pearl nie wątpiła, że rejestry szpitalne wraz z zeznaniami naocznych świadków potwierdzą alibi Adama Wrighta. Mimo to powinna się była powstrzymać od tak kategorycznych ocen przed weryfikacją alibi. Co ją tak rozmiękczyło?

- Wymiękasz, Pearl...

Cholera! Poczula się niemal tak, jakby naruszono jej prywatność.

- Powinnaś się ze mną stale konsultować - oświadczył Quinn. - Powinniśmy być jak stare małżeństwo, gdzie każdy z małżonków potrafi dokończyć...

- ...zdanie tego drugiego - wtrąciła Pearl. Uśmiechnęła się i pokręciła głową. - Ale ja tak nie uważam, Quinn.

- Ostatecznie sypiamy razem od czasu do czasu, choć utrzymujemy celibat. *Yancy Taggart, choć nie żyje, jest wciąż w drodze...*

- No, może nie do końca jest to celibat - zauważyła Pearl. Ostatnio sprawy trochę się zmieniły i wciąż się zmieniały, choć powolutku.

- No, w każdym razie coś tam *utrzymujemy* - spreyczował Quinn. - I odnawiam dla ciebie dom.

- To inwestycja - przypomniała Pearl. - W końcu przyniesie zysk. Dlatego to robisz.

Quinn uśmiechnął się.

- Możesz wybrać pokój i kolor farby.

- Jeśli chodzi o twój pokój, to powinien być czarny. - Roześmiała się. - Ale nie przejmuj się. Zresztą nawet gdybym się do ciebie przeniosła, to moja mama tego nie zaaprobuje. Ona takie związki nazywa życiem na kocią łapę. Jakbym była młodą Barbarą Stanwyck w jednym z tych starych filmów, gdzie straszyla na krześle elektrycznym.

- Wszystko możliwe - powiedział Quinn. - Tylko przypomnij sobie, że w tych filmach sytuacja odwraca się o sto osiemdziesiąt stopni w ostatniej chwili.

- Owszem. Ale poza tym czuję, że Adam Wright nikogo nie zabił.

Quinn westchnął, na tyle głośno, by nie mieć wątpliwości, że Pearl usłyszy.

- No dobrze. Tylko sprawdź jego wersję, zanim wykreślisz go z listy.

- Oczywiście - zgodziła się Pearl. - Quinn?

- Co takiego?

- Wiesz, ten twój kamienny dom to nie jest najgorszy pomysł na dzisiejszy wieczór...

- A co, zepsuł ci się klimatyzator?

- Sama go rozwalę, jeśli zechcesz.

37.

Hogart, 1992

Ten dzień zaczął się niezwykle jak na tę porę roku powiewem ciepła. Krótkie ataki śnieżycy z deszczem pokrywały szybę półzamarzniętymi grudami, tak że od czasu do czasu trzeba było włączać wycieraczki.

Szeryf Westerley skierował swojego forda crown vie na wyboistą drogę dojazdową, łączącą lokalną szosę z walącym się drewnianym domem Beth Brannigan.

Droga ta była kiedyś wysypana żwirem, ale teraz błoto i chwasty pochłonęły większość skalenia.

Gdyby Roy Brannigan nie porzucił żony, gdy dowiedział się, że jest w ciąży, Westerley wezwałby go urzędowo do naprawy tego kawałka drogi. Ale teraz nie chciał pisać choćby słówka, by nie przysparzać Beth kolejnych kłopotów.

Zaparkował przed lichym gankiem i posiedział jeszcze przez chwilę za kierownicą; śnieżne krupy waliły w przednią szybę niemal horyzontalnie, niesione ostrym

wiatrem. Dopiero gdy gałęzie drzew przestały już tak tańczyć, otworzył drzwi i wysiadł.

Beth usłyszała, że nadjeżdża, i wyszła na ganek. Była w workowatym niebieskim dresie, zwisającym z ramion skulonych z zimna. Zobaczył, że kobieta ma na nogach domowe pantofle ze sztucznego futerka. We włosach, tam gdzie padały promienie zimnego światła, migotały czerwone pasemka. Nie zauważył na jej twarzy żadnego makijażu. Normalnie była to atrakcyjna kobieta, ale teraz stała jakaś zawstydzona, na szeroko rozstawionych stopach. Cięża była już mocno widoczna.

Obchodząc samochód, szeryf włożył służbową czapkę.

Beth się uśmiechnęła.

- Szeryfie, nie musi pan wkładać czapki, wchodząc do domu.

Westerley też się uśmiechnął. Ta kobieta, niezależnie od wszystkiego, co przeszła i jak wyglądała w tamten wieczór gwałtu, a potem w sądzie, sprawiała, że czuł ucisk w gardle i niełatwo mu było wydobyć słowa.

- Skoro zadzwoniłaś i zostawiłaś wiadomość u dyspozytora - odparł - to pomyślałem sobie, że to służbowa wizyta.

- No i chyba jest. Ale bez przesady: może się obejść bez czapki.

Przytrzymała mu drzwi frontowe i wśliznął się do środka obok niej, wyczuwając świeżą nutę perfumowanego

mydła albo szamponu. Uderzyło go, że taka kobieta jak Beth pozostała samotna po odejściu męża. Ale zaraz skarcił sam siebie za tę myśl, choć Roy był niewątpliwie dupkiem pierwszej klasy, skoro zostawił żonę właśnie wtedy, gdy go najbardziej potrzebowała. Westerley przypomniał sobie, że to jednak wizyta służbowa - niezależnie od tego, czy w czapce, czy bez niej.

- Napiłby się pan gorącej herbaty z cytryną? - zapytała. - Zagotowałam właśnie wodę.

- Z przyjemnością.

Westerley siadł na sofie pokrytej popękany zielonym plastikiem i patrzył, jak Beth krząta się w kuchni.

Po paru minutach wróciła z tacą, na której parowały dwie filiżanki. Na tacy leżała też serwetka, a na niej pięć ciasteczek Oreo.

Podawała mu filiżankę, podziękował. Postawiła tacę na stole, w zasięgu jego ręki, po czym wzięła drugą filiżankę. Westerley upił łyk i zrobił wszystko, by mimiką wyrazić uznanie.

Uśmiechnęła się szeroko. Szeryf zauważył, że Beth nie spróbowała herbaty, tylko odstawiała filiżankę z powrotem na tacę. Może miało to jakiś związek z ciążą? Mimowolnie dotknęła swojego nabrzmiałego brzucha.

- Wspominałaś przez telefon o jakichś kłopotach - zaczął Westerley. - O co konkretnie chodzi?

- O listy.

Sięgnęła do kieszeni dresu i wyjęła plik białych kopert, ściągniętych gumką.

- Są z więzienia - powiedziała, wręczając je szeryfowi.

Westerley pochylił się i odstawił filiżankę na tacę.

- Od Vincenta Salasa?

- Niestety.

W sumie było tych listów dziewięć. Szeryf zdjął gumkę i zobaczył, że pierwszych pięć kopert jest schludnie rozciętych. Pozostałe były wciąż nieotwarte.

- On pisze regularnie. W pierwszych błagał mnie, żebym zmieniła zeznania. Twierdził, że jest niewinny. Przysięgłabym, że sam w to wierzy.

- Nie daj się nabrać - ostrzegł Westerley.

Wyciągnął z koperty pierwszy list i zaczął czytać. List napisany był eleganckim charakterem pisma, przy użyciu niebieskiego cienkopisu. Pierwsza część zawierała litanię żalów na niedogodności, jakich nadawca doświadczał w więzieniu. Reszta zaś była desperackim błaganiem, by Beth zmieniła zeznania i umożliwiła mu pomyślną apelację. Na końcu widniał zgrabny podpis Salasa.

- W liście, który otrzymałam w zeszłym tygodniu - opowiadała Beth - wydawał się już pozbawiony wszelkich nadziei na wydostanie się z więzienia i obwinał mnie o coś, co nazywał swoim „ciężkim położeniem”. Ale potem ton listu robił się nieprzyjemny. Salas mi groził, szeryfie. Potem nie otwierałam już kolejnych

listów. On jednak wciąż je pisał, więc zadzwoniłam do pańskiego biura.

- I bardzo słusznie - pochwalił kobietę Westerley. - On nie ma prawa nękać cię w ten sposób. Zajmę się tym. A jeśli chodzi o następne listy, które mogą już być w drodze, masz je po prostu zignorować. W ogóle nie otwierać. Porozmawiam z naczelnikiem więzienia w Jeff City i dopilnuję, żeby Salas przestał do ciebie pisać.

Nie powiedział, że ma zamiar porozmawiać z Salasem osobiście. Pogonić mu kota.

- Nie chciałam do pana wydzwaniać - powiedziała Beth. Znów dotknęła brzucha. - Ale pomyślałam sobie, że nie powinnam się dłużej stresować tymi listami. W każdym razie nie w takim stanie.

- Nie ma powodu się stresować. Salas nic ci nie może zrobić, pozostając tam, gdzie jest. - Westerley złożył listy i ściągnął je gumką. - Takie rzeczy nie są niczym niezwykłym. Nieudacznicy w rodzaju Salasa lądują zwykle w miejscu, na jakie zasługują, i wcale im się to nie podoba. Zrozumiało. Nie mają nic do roboty i do stracenia, więc piszą listy. Może on próbuje pozyskać cię do współpracy, kłamiąc albo strasząc, i skłonić do odpisania, a wtedy jego adwokat mógłby wykorzystać twój list, żeby zrobić wrażenie na sądzie apelacyjnym albo komisji do spraw zwolnień warunkowych. Taką zagrywkę stosuje wielu skazanych. Dobrze, że do mnie zadzwoniłaś. - Wziął do ręki plik kopert i pomachał

nimi. - Zapomnij już o tym. Nie będziesz więcej dostawać takich listów. To nie będzie już twój problem. Dla ciebie Vincent Salas to przeszłość.

Beth patrzyła na niego, jakby głosił kazanie i obwieszczał, że jest zbawiona.

Szeryf uśmiechnął się, nieco zakłopotany.

- Przepraszam, nie chciałem tu wygłaszać przemówień.

- Ale ja to właśnie chciałam usłyszeć.

Westerley dokończył herbatę, sięgnął po czapkę i wstał z sofy.

- Dziękuję, szeryfie.

Wziął czapkę w obie ręce, uśmiechnął się szeroko i skinął głową w kierunku jej wydatnego brzucha.

- Nie wątpię, że wkrótce się zobaczymy. A jeśli nie będę akurat na służbie, to mój zastępca Billy Noth zawiezie cię do kliniki.

- To byłoby bardzo miło z pana strony, szeryfie. I ze strony Billa.

- W końcu jesteś podatnikiem - odparł Westerley.

Nagle zdał sobie sprawę, że palnął głupstwo. Beth była z pewnością na zasiłku, odkąd Roy ją zostawił. Westerley wątpił, czy facet wykupił żonie jakiekolwiek ubezpieczenie medyczne. Wolał raczej gadać o dobroczynności, niż ją praktykować.

Westerley ruszył ku drzwiom i naciągnął czapkę prawie na oczy. Beth się nie ruszyła. Trzymając już ręce

na kłance, szeryf spojrział na nią. Kiwnął jeszcze raz głową w kierunku jej sterczącego brzucha.

- A z tym... wszystko w porządku?

Uśmiechnęła się na swój sposób. Tak jak dawniej, nim się *to* stało. Malutka ciemna plamka w lewym oku złapała światło.

- Nie może być lepiej - powiedziała. - Ale dzięki, że pan pyta...

- Tu nie chodzi o zwykłą ciekawość.

- To będzie chłopiec - dodała.

Westerley nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć. Obrzucił kobietę długim spojrzeniem, jakby zapisując ją w pamięci. Potem wyszedł.

Znów padał śnieg. Tym razem znacznie obfitszy. To był taki rodzaj śnieżycy, która oblepia wszystko, czyniąc świat czystym i zimnym - choć nie na zawsze.

38.

Nowy Jork, obecnie

Tego ranka Harley Renz zaciął się brzytwą przy goleniu. A Quinn był w dobrym humorze.

Na wylewających się różowych fałdach podgardla Renza widniały dwa plasterki. Były małe i mogłyby nie rzucać się w oczy, gdyby Renz był śniadym Latynosem. Ale nie był. I może właśnie przez te zacięcia wpadł w tak zły nastrój.

W biurze było okno wychodzące na drzewo w donicy. Jego liście zdawały się tak nieruchome jak na obrazie olejnym. Poranne słońce rzucało złotą poświatę przez żaluzje i łagodnie grzało odsłonięte przedramiona Quinna, spoczywające na oparciach fotela stojącego przed biurkiem Renza.

Renz, zanim zaczął, wziął głęboki oddech, nadymając policzki. Przez moment wyglądał jak wielka żaba, mająca właśnie zaskrzeczeć.

- Jestem dostatecznie wkurwiony tym, co się teraz dzieje, a ty na dodatek zwracasz mi dupę, że gwałciciel

Millie Graff został przesłuchany bez twojej wiedzy.

Quinn, jeśli bywał wkurwiony, to raczej tego nie okazywał. Czasami odgrywał gniew, ale trudno było wyczuć, ile w tym autentycznych emocji. To była jedna z tych rzeczy, która doprowadzała Renza do furii. Tego ranka Quinn mówił spokojnie, starannie modulowanym głosem. Ale nietrudno było wyczuć, że czuje się olany.

- Dokładniej: uniewinniony domniemany gwałcień - sprecyzował Quinn.

- Tak, tak, to kogo jeszcze miałby zgwałcić?

Quinn wzruszył ramionami. Nie chciał się wdawać w dyskusję z Renzem. Harley nie był jedynym policjantem, wyznającym zasadę, że każdy ma coś na sumieniu.

- Tak samo jak ty, czuję się podle z powodu gównianego losu, jaki spotkał Millie Graff - oświadczył Renz.

Quinn wiedział, że to prawda.

- No a co z pozostałymi oskarżonymi o gwałt na późniejszych ofiarach Rzeźnika?

- To znaczy?

- Wiesz, co mam na myśli - powiedział Quinn.

Renz zabębnił palcami o blat biurka. Chciał już zakończyć tę wizytę.

- Weaver skończyła ich przesłuchiwać. - Wyprostował się w fotelu.

- Chodzi o *Nancy Weaver*? - chciał się upewnić Quinn.

- Właśnie. - Renz zmrużył oczy i odchrząknął.

Najwyraźniej już żałował, że wymienił nazwisko Weaver.

- O Jezu, Harley! Myślisz, że Weaver nie puści tych zeznań do mediów? Ona utrzymuje stosunki towarzyskie, delikatnie mówiąc, z połową dziennikarzy w tym mieście.

- Pamiętaj, że porucznik Weaver jest obecnie moją adiutantką.

- Harley...

- No co? Zasłużyła sobie na to stanowisko, Quinn. I nie w taki sposób, jak pewnie sobie roisz w swoim brudnym umyśle.

- *Moim* brudnym umyśle? To ty dostałeś kopa w tyłek i poszedłeś na wszystko, żeby znów awansować.

- Pamiętliwy jesteś...

- Wiem, że Weaver dobrze wykonuje swoją pracę, i nie obchodzi mnie jej erotyczne przygody. Ale wkurza mnie, że miesza się do śledztwa, które przydzieliłeś *mnie*.

Renz pomyślał, że to może dobry moment, by udać gniew.

- Słuchaj, Quinn. To ja jestem cholernym komisarzem policji. Jeśli zechcę nadzorować bieg śledztwa, to mogę to zrobić, a tobie nic do tego.

- Zgoda, ale muszę o tym wiedzieć, Harley. Jeśli mam prowadzić dochodzenie, to niech jedna ręka wie, co robi druga - i czy jest jeszcze jakaś trzecia.

- To brzmi rozsądnie, Quinn, jednak musisz zrozumieć, że w grę wchodzi jeszcze względy polityczne. W tej sprawie ciągle siedzą mi na głowie. Możesz się upierać, żeby wszystko było po twojemu, ale to i tak idzie na mój rachunek, i jeśli skończy się kłapą - wylecę na zbity pysk.

- Biorąc pod uwagę charakter tych morderstw, nie sądzę, żeby względy polityczne miały tu jakieś znaczenie. Ciekawe, co by na to powiedziały Millie i te inne.

- Założę się, że by zrozumiały. W tym mieście zawsze chodzi się po śladach innych. Trzeba tańczyć tak jak oni.

- Nie zaprzeczam - rzucił Quinn.

- Powiem ci, że Millie i te inne kobiety nie chciałyby, żebym dostał kopa od jakiegoś przygłupa, sprzedajnego dupka o ambicjach burmistrza, tylko dlatego, że spotkało je to, co spotkało.

- No ale ty nie jesteś przygłupem.

Renz pochylił się nad biurkiem i oparł na łokciach.

- Posłuchaj, Quinn. Dwóch z tych wypuszczonych gwałcicieli...

- Niesłusznie skazanych ludzi...

- No dobrze. Dwóch z nich ma naprawdę mocne alibi na czas śmierci przynajmniej jednej ofiary Rzeźnika. Jeden jest teraz znów w więzieniu za rozbój. Drugi

powiesił się w zeszłym roku w jakiejś stodole w Iowa. W jego kieszeni znaleziono cukierny list. Twierdził, że nie mógł znaleźć pracy, że po wyjściu z więzienia nie potrafił się dostosować do społeczeństwa i rzuciła go jego kobieta.

- Biedny skurwiol.

- Sentymentalny nieudacznik - zgodził się Renz. - Ale nie o tym mówimy. Kiedy czyta się notatki Weaver i słucha jej rozmów, człowiek zaczyna myśleć, że ten cały temat Socrates's Cavern to tylko zmyśl. Zabójca chce poświęcić parę przypadkowych ofiar, żeby dorwać się do swojego prawdziwego celu.

- Przejrzeliśmy już tę jego grę - oznajmił Quinn. - On jest jednym ze skazanych za gwałt, których wypuszczono na podstawie testów DNA. Chce się zemścić za siebie i za innych. Chce też zwrócić uwagę na pewien problem.

- A zatem może to być każdy z tłumu - zauważył Renz. - Został już pokrzywdzony, więc znajdzie pięprzoną sympatię ławy przysięgłych.

- Weaver ci to powiedziała?

- Weaver przedstawiła mi fakty. Przekazuję je tobie. To ty prowadzisz to śledztwo. Wyciągnij wnioski.

- Myślę, że Weaver ma rację. My doszliśmy do tych samych konkluzji. Poza tym morderca jest inteligentny. Wie, że już wpadliśmy na związek między ofiarami i mężczyznami zwolnionymi na podstawie testów DNA. Ale to go nie zatrzyma. Socrates's Cavern to

kamuflaż. Będzie nadal zabijał, aż do czasu gdy zrealizuje w pełni swój plan. Każda ofiara będzie miała innego domniemanego zabójcę. Jednym z nich będzie Rzeźnik, ale nie zdołamy go wyróżnić z grona podejrzanych. No, chyba że popełni jakiś błąd.

- Nie lubię takiego defetystycznego gadania.

- Kochasz fakty, a takim faktem jest, że mamy nowy punkt wyjścia, bo do tej pory mordercy udało się nas zaprowadzić w ślepą uliczkę.

- Dokładnie mówiąc: *ciebie*.

- Ale pod twoim nadzorem i na twój rachunek, Harley.

Renz wydał usta i pokręcił głową, od czego zatrzęsło mu się podgardle. Jeden z plasterków odpadł od skóry, odsłaniając ślad po paskudnym zacięciu brzytwą. Quinn miał nadzieję, że było bolesne.

Siedział bez słowa, czekając na reakcję Renza.

- Nauka! - powiedział ten w końcu. - Szlag by trafił tę naukę. Mamy przez nią same kłopoty.

Quinn nie miał już ochoty wysłuchiwać kolejnych „złotych myśli” Renza. Wstał i ruszył do wyjścia.

Usłyszał jeszcze za sobą:

- Mam nową komórkę i nie wiem nawet, jak to cholerstwo działa!

Witamy w klubie.

39.

Gdy Quinn wrócił do biura, czekała tam już na niego Weaver.

Pearl posadziła ją na najgorszym miejscu, obok ekspresu do kawy.

- Renz będzie chciał z tobą porozmawiać - rzuciła.

Na widok Quinna Weaver wstała. Podeszła do niego z kubkiem parującej kawy w dłoni. Niosła go przed sobą, z kciukiem na brzegu, żeby był stabilniejszy. Quinn uśmiechnął się w duchu, widząc, że Weaver wzięła kubek Pearl, z jej inicjałami. A trzymała go właśnie tak, by te inicjały były dobrze widoczne.

Quinn zwinnie zasłonił gościa, żeby Pearl nie mogła dojrzeć tej manifestacji, a może i prowokacji. Wskazał Weaver jedno z krzeseł naprzeciwko swojego biurka. Obróciła się wdzięcznie na swoich wysokich obcasach i usiadła. Ubrana była w luźne ciemne spodnie, białą bluzkę i niebieski zakiet. Pearl też ubierała się często w

podobny komplet. Chwała Bogu - nie dzisiaj.

Weaver nie była klasyczną piękną, ale niewątpliwie mogła się podobać: dobrze zbudowana (podobnie jak Pearl, tylko nie tak biuściasta), atrakcyjna, z błyskiem w brązowych oczach, sugerującym śmiałość. Gdy Quinn usiadł za biurkiem, twarzą w twarz z Weaver, wyczuł cytrynową nutę jej perfum.

- O ile wiem, robiłaś to i owo za moimi plecami - powiedział.

- Seks to seks - odparła Weaver. I znów ten błysk w jej oczach.

- Doceniam twoje poczucie humoru. Powierzyłem tę sprawę Pearl i to wystarczy.

- No dobrze, punkt dla ciebie, przepraszam. Ale wykonuję polecenia mojego przełożonego.

- To znaczy?

- Nie miałam wyboru. Ale tę część swojego zadania już odrobiłam. Przyszłam tu, żeby poinformować, że od teraz to ja pełnię funkcję oficera łącznikowego między tobą a komisarzem Renzem.

- „Oficer łącznikowy”... Czy to eleganckie określenie na kapusia?

- Nie w tym wypadku. Teraz nasze wszystkie sprawy będą załatwiane oficjalną drogą, a ja mam być integralnym uczestnikiem dochodzenia. Komisarz doszedł do wniosku, że potrzebujesz pomocy.

- Widziałem się z Renzem dziś rano i nic mi o tym nie wspominał.

- Wiem. Powiadomił mnie o tym porannym spotkaniu.

Weaver upiła łyk kawy, a potem pochyliła się i postawiła kubek na podłodze, żeby nie zrobić śladu na biurku.

- Posłuchaj, Quinn. Nie mam zamiaru grać ci na nerwach. Lubię cię. Byłeś jednym z niewielu przyjaciół, jakich miałam na służbie. Chciałabym, żebyśmy pozostali przyjaciółmi. Zawsze mnie rozumiałeś. Mam mocne libido - ale co z tego? Inni ludzie są rudzi albo leworęczni - i nic. Jest mnóstwo policjantów mężczyzn, którzy prowadzą bujne życie erotyczne i nie mają z tego powodu kłopotów z awansem. Nie podobają mi się podwójne standardy.

- Cóż. Chyba nauczyłaś się z tym żyć.

- Nauczyłam. I zostałam porucznikiem.

Quinn nie był ciekaw szczegółów.

- Więc Renz cię rozumie?

- Rozumie moją ambicję.

- Bo sam jest ambitny.

- Bo oboje jesteśmy ambitni na ten sam sposób.

Quinn odchylił się w krześle i spojrzał jej w oczy.

- Mogę ci zaufać, Nancy?

- Oczywiście, że nie. Oboje wiemy, że pracuję dla Renza i zamierzam stać zawsze po jego stronie. Ale mogę obiecać, że nie będę ci niepotrzebnie utrudniać

życia. - Posłała mu blady uśmiech. - Tak wygląda nasza sytuacja.

- Rozumiem - odparł Quinn i odpowiedział jej równie zdawkowym uśmiechem. - Nauczymy się koegzystencji.

- No tak, ale miałabym jeden warunek - oświadczyła Weaver. - Nie chcę, żebyś mnie wykorzystywał do dezinformowania komisarza.

- A zatem zawarliśmy układ.

- Mam jeszcze jedno pytanie, ale to tak na marginesie...

Quinn czekał.

- Widziałam Feddermana. Czemu on się tak odpi-cował jak szczur na otwarcie kanału?

Quinn uśmiechnął się.

- Jego stare ciuchy w końcu się podarły.

Czyż to nie była prawda? Częściowa.

To właśnie wprawia w ruch ten świat: częściowe prawdy.

Quinn i Weaver rozmawiali długo przy jego biurku, niemal głowa przy głowie, a potem wyszli na wczesny lunch. Spytali Pearl, czy chce się przyłączyć. Odpowiedziała, że tylko z własnym nożem.

Quinn posłał jej takie spojrzenie, jakby był dyrektorem szkoły, a ona dwunastolatką przyłapaną przez woźnego na lekturze pisemek pornograficznych.

Zdecydowawszy się na samotny posiłek, Pearl wyszła z biura i udała się w kierunku wejścia do parku

przy Osiemdziesiątej Trzeciej, gdzie na ulicznym straganie mogła kupić hot doga i dietetyczną colę, a potem zjeść lunch na ławce i pomyśleć w spokoju.

To głównie z powodu wizyty Nancy Weaver była w tak marnym nastroju. *Markotna*. Czowała jakiś niepokój. Matka zawsze tak o niej mówiła, gdy Pearl była jeszcze dzieckiem. Słyszała, jak matka informuje swoje koleżanki:

To takie bystre dziecko, tylko markotne. Czasami jest drażliwa jak księżniczka na ziarnku grochu.

Mężczyzna, którego kochała (często) i z którym mieszkała (czasami), był teraz na lunchu z profesjonalną seksmaszyną. A Pearl pomyślała o swojej matce.

I, jak to często się zdarzało - albo przynajmniej tak jej się wydawało - matka zadzwoniła właśnie wtedy, gdy Pearl o niej myślała.

Kiedy usłyszała pierwsze cztery nuty z serialu *Obława* i wyłowiła z torebki telefon, nie była wcale zdziwiona, że dzwoniło do niej z Golden Sunset Assisted Living.

Westchnęła, a może nawet jęknęła. Otworzyła telefon i przycisnęła do ucha tak mocno, że aż zabolalo.

- Cześć, mammo.

- Pearl, dzwonię i dzwonię z tego zadupia, a twoja automatyczna sekretarka wydaje taki sygnał, jakby była przepełniona. Zaczęłam się strasznie o ciebie martwić. Już myślałam, że leżysz martwa na podłodze.

- To trzeba było zadzwonić na komórkę, mamó.

Zanim zapchałaś mi sekretarkę.

- No więc dzwonię, Pearl. Widziałam w telewizji, tu, w tym przytułku...

- Domu seniora... - poprawiła Pearl.

- Jak zwał, tak zwał, ale to przystanek w drodze do śmierci. No więc widziałam, jak jeden doktor wyjaśniał, że kiedy kobieta zbliża się do czterdziestki, rodzenie dzieci staje się coraz bardziej skomplikowane, nawet niebezpieczne.

- Masz na myśli wnuczkę - powiedziała Pearl. - *Twoją* wnuczkę.

- Tak, tę małą Rebeke... czekającą jeszcze za kulisami, że się tak wyrażę.

- *Za moimi* kulisami - zauważyła Pearl, zastanawiając się, ile kobiet zna imię dziecka, którego nie było nawet w planach. Pearl miała już dość tej Rebeki.

- Ale nie myśl, że ty nie jesteś moim droгим aniołkiem, Pearl. Matczyna miłość ogarnia wszystko i wszystko wybacza.

- A co konkretnie?

- Oj, wiele rzeczy...

Pearl przycisnęła jeszcze mocniej telefon, przez co uruchomił się aparat fotograficzny i zrobił zdjęcie jej włosów.

- A co z kapitanem Quinnem?

- On już nie jest kapitanem, mamó.

- I nie będzie już młodszy...

- Przekażę mu tę uwagę.
- On to zrozumie. Ten twój kapitan Quinn to odpowiedzialny człowiek i na pewno byłby świetnym ojcem. Zwiążaliście się już... romantycznie, więc sądzę, że małżeństwo widać na horyzoncie.
- Nie wydaje mi się.
- A kiedy to się stanie, z boską pomocą, to wciąż jeszcze będzie czas, choć już najwyższy, by postarać się o coś tak drogiego, jak ty jesteś droga dla mnie.
- Quinn i ja jesteśmy zadowoleni z tego, co jest, mamo.
- Tylko tak ci się wydaje, kochanie. Ja i ojciec też tak myśleliśmy, zanim się urodziłaś. A kiedy urodzi się mała Rebeka...
- Mamo, daj już spokój. Jeśli zajdę w ciążę, dowiesz się o tym pierwsza.
- Nie, to *ty* będziesz pierwsza wiedziała, i zaraz zrozumiesz każde słowo, jakie do ciebie teraz mówię - a są to najlepsze życzenia, jakie może mieć matka wobec ukochanej córki. Zobaczysz, że nagle to wszystko stanie się dla ciebie jasne jak słońce.
- Naprawdę nie mam czasu na dłuższą rozmowę, mamo. Pomagam wyśledzić mordercę, który zabił...
- Twoje jajeczka, Pearl.
- Moje *co*?
- Czy sprawdziłaś, że jesteś płodna? To znaczy: u lekarza.
- Nie chcę rozmawiać o moich komórkach jajowych.

- Bo moim zdaniem, możemy spokojnie założyć, że ten krzepki kapitan Quinn...
- Chcesz, żebyśmy się znów rozłączyły?
- Jest coś, o czym chciałabym z tobą porozmawiać...
- To znaczy?
- Chodzi o ciebie i kapitana Quinna. I ten wasz... układ.
- Jaki układ?
- No, to życie na kocią łapę, Pearl. Może to za ostro powiedziane, ale nie bez podstaw. Bo jeśli chcesz mieć dziecko...
- Ale ja nie jestem w ciąży, mamó. A zresztą Quinn i ja nie mieszkamy razem.
- Ale żyjecie ze sobą...
- Czasami - przyznała Pearl.
- To znaczy, że masz swoje rzeczy w jego szafie.
- Mamó...
- Zrób więc tę łaskę swojej matce, a nie proszę cię o to często, i porozmawiaj z tym niezwykłym człowiekiem...
- To znaczy z kim?
- Z rabbim Robertem Goldem.
- Rabbi Gold i ja nie mamy sobie nic do powiedzenia.
- Chodzi o to, że się z nim nie spotkasz?
- Tak, właśnie o to - potwierdziła Pearl.
- Ależ Pearl, pewnego dnia Rebeka...

Pearl wyłączyła telefon.

Rozmowa z matką była jak proces przed inkwizycją hiszpańską. Winny czy niewinny - tortury i tak się należały.

40.

Jefferson City, 1992

Pokój był kwadratowy, mały i szary. Prostokątny drewniany stół i dwa drewniane krzesła, przymocowane do betonowej podłogi. Światła dostarczały dwie brzęczące świetlówki w drucianych plecionkach. To światło było blade i widmowe, za to temperatura wysoka. Śmierdziało mieszaniną potu i strachu.

Vincent Salas siedział dokładnie naprzeciwko Westerleya. Strażnik w przyciasnym mundurze stał za pojedynczymi drzwiami z wysokim, wąskim oknem, dzięki któremu mógł obserwować wszystko, co dzieje się wewnątrz.

Westerley zapewnił go, że wszystko w porządku, i poprosił, by zdjąć Salasowi kajdanki. Nie było żadnych podstaw, by sądzić, że Salas będzie sprawiał jakieś kłopoty. A zresztą - gdyby nawet, to Westerley sobie poradzi.

Salas schudł od czasu procesu i nabrał specyficznej, szarawej bladości, charakterystycznej dla skazanych na

długie wyroki. Włosy miał teraz obcięte krótko, po woj-skowemu, a wokół jego smutnych ciemnych oczu poja-wiły się zmarszczki. Westerley pomyślał, że Salas nale-ży do tych więźniów, którzy szybko starzeją się za mu-rami.

- Przyszedł pan tu w sprawie mojego zwolnienia warunkowego? - zapytał Salas matowym głosem. Naj-widoczniej zachował resztki poczucia humoru.

- Chodzi o twoje listy...

- Papierosy, chciał pan powiedzieć?

Westerley uśmiechnął się szeroko i wyjął z kieszeni dwie paczki cameli. Położył je przed Salasem. Od-wieczne formy więziennego przekupstwa... A może stały się już tylko oznaką dobrych manier.

- Jestem zaopatrzony - stwierdził Salas. Sięgnął po papierosy i schował je pod koszulą.

- Nie podziękowałeś - zauważył Westerley.

- Wiem przecież, że nie dostałem ich za friko.

- Za friko nie wykorzystuje się też pocztą Stanów Zjednoczonych do nękania Beth Brannigan.

Salas wyprostował się na krześle.

- Myślę, że mam prawo do korespondowania, z kim chcę, za murami, o ile moje listy przejdą przez cen-zurę.

- Zamierzam sprawdzić, czy rzeczywiście przeszły. A ty z nikim nie korespondowałeś. To były listy w jed-ną stronę.

Salas przyglądał mu się uważnie.

- Wcisnąłeś ten kit Beth? Bo ja go nie łykam.

- No pewnie, jesteś niewinny. Jak prawie wszyscy tutaj.

Salas dotknął palcami piersi.

- Ale ja rzeczywiście jestem niewinny.

Westerley pochylił się ku niemu.

- Nie napiszesz już żadnego listu. W każdym razie do Beth Brannigan.

- A co, jeśli dostanę prawnika i będę się upierał przy moich prawach?

- Ten prawnik szybko ci wytłumaczy, że ze względów praktycznych powinieneś wyrzucić długopis do kibla.

- „Praktycznych” to znaczy prawnych?

- Czasami. A czasami nie. My tu, w Missouri, mamy pewne tradycje. Powiedzmy, że będziesz się dobrze sprawował i przetrzymasz te dziesięć czy piętnaście lat. Ja już wtedy pewnie nie będę szeryfem. Ale mój następca albo jego następca i tak sprawią, że pożałujesz wysłania jeszcze jednego listu do Beth.

Salas nie okazał żadnej reakcji. *Ma już więzienną twarz*, pomyślał Westerley.

- Założę się, że popełnisz jakiś mały błąd, który zostanie potraktowany jako naruszenie zasad zwolnienia warunkowego - dodał Westerley - i wrócisz tu jak bumerang. Oczywiście, tak się stanie tylko wtedy, jeśli komisja do spraw zwolnień warunkowych w ogóle pozwoli ci wyjść przed czasem. A stanie się tak jedynie w przypadku, gdy nie zobaczy tych listów. Inaczej zestajesz się w tych murach.

- Domyślam się, że te listy są w pańskim posiadaniu.

- Jasne. Zamierzam je zatrzymać. A jeśli przybędzie choć jeden, to nie będziesz musiał czekać dziesięć lat, żebyś pożałował, że w ogóle nauczyłeś się pisać.

- Groźba?

- Bingo! Prawdziwe fizyczne zagrożenie. Ale to sprawa między mną a tobą.

- A może Beth polubiła moje listy? Może jest we mnie zakochana?

- Tak jak w śmieciach.

- Niektóre kobiety kochają śmieci.

- Gdyby ona była taka, nie zjawiłbym się tutaj. Nawiasem mówiąc, przeczytała tylko kilka pierwszych. Pozostałe oddała mi nieotwarte.

- Ale pan je otworzył.

- Oczywiście. Jestem szeryfem.

Salas przymknął oczy, jakby nie chciał, by Westerley widział jego myśli. A potem je otworzył i uśmiechnął się. Westerleyowi coraz mniej podobał się jego uśmiech.

- Mogę tu zapalić? - zapytał Salas.

- Nie ma sprawy, i tak zaraz wychodzę.

Westerley wychylił się i wbił wzrok w Salasa. Trwał tak, póki nie wygrał tego starcia na spojrzenia. Gdy Salas odwrócił się, szeryf chwycił go dwoma palcami za brodę i skierował twarz Salasa z powrotem ku sobie.

- Napiszesz jeszcze jeden list, to spotkamy się sam na sam w innym pokoju, gdzie nie będzie strażnika w zasięgu twojego głosu, a właściwie krzyku. Rozumiemy się?

Salas nie wyglądał na wystraszonego, ale słuchał szeryfa z uwagą.

Westerley mocniej wykręcił brodę Salasa i posłał mu ponury uśmiech.

- To co, doszliśmy do porozumienia?

Salas burknął coś, co zabrzmiało jak: „Nooo...”.

Westerley w końcu puścił jego brodę, ale wciąż kontrolował spojrzenie.

Tym razem Salas nie odwrócił wzroku. Jego ciemne oczy były nieruchome i pozbawione emocji, może takie same jak wtedy, gdy gwałcił Beth. Westerley wiedział, że za tym obojętnym spojrzeniem czai się demon zła.

- Skoro i tak ich nie otwiera - odezwał się Salas - to nie ma sensu pisać następnych.

- Cieszę się, że myślisz rozsądnie.

Westerley wstał i zapukał do drzwi na znak, że chce już wyjść.

- Nie krępuj się tymi fajkami - rzucił Salasowi na odchodne. - Na zewnątrz papierosy zabijają tłumy takich szczurów.

41.

Nowy Jork, obecnie

Rzeźnik dość łatwo poznał zwyczaje portiera.

Ów facet w absurdalnym quasi-wojskowym uniformie zostawił swoją placówkę bez nadzoru, by wyskoczyć za róg i złapać taksówkę dla kogoś wychodzącego z budynku. W czasie gdy wsadzał swoich gości do taksówki i odbierał hojny napiwek, Rzeźnik, przez nikogo niezauważony, dostał się do windy. Zresztą nikt by nie zwrócił na niego uwagi, gdyż ubrany był w mundur posłańca. Pasował do otoczenia jak te rośliny w doniczkach - i równie mało kogokolwiek obchodził.

Wyostrzoną kartą kredytową otworzył bez trudu zamek przy klamce. Potem popracował trochę wytrychem przy zamku ryglowym - ale i to nie trwało długo.

Nie był zaskoczony, gdy uchyliwszy drzwi, przekonał się, że łańcuch nie jest zapięty. Wiedział, że Judith Blaney jadła obiad z przyjaciółkami w innej dzielnicy.

Po obiedzie wpadną gdzieś zapewne na drinka. Gdy

wróci do domu, będzie przyjemnie zmęczona i zechce tylko zrzucić buty i położyć się do łóżka. Jej dzisiejsze towarzystwo składało się z samych kobiet, więc niemal na pewno wróci do domu sama.

Zdziwi się, gdy zamknie za sobą drzwi i okaże się, że w domu jest ktoś jeszcze. Rzeźnik, prawdziwy ekspert w swoim makabrycznym fachu, wykorzysta w pełni atut zaskoczenia i nie pozwoli jej nawet krzyknąć.

Poprawił pod pachą pudełko, w którym miał taśmę i narzędzia, i rozejrzawszy się po korytarzu, wszedł do mieszkania.

Zamknął za sobą drzwi, ale nie założył łańcucha, żeby było dokładnie tak, jak w chwili gdy Judith wyszła z domu. Niech myśli, że mieszkanie jest nietknięte i czeka na nią z całym swym komfortem i bezpieczeństwem. Jej świat miał się wydawać stabilny, bezpieczny i nienaruszony.

Morderca wiedział, jak ważna była ta iluzja *nienaruszoności*.

Swojskość była często mylona z bezpieczeństwem. To złudzenie utrzymywało się do końca. No, prawie do końca.

Rzeźnik uśmiechnął się, odwrócił, zrobił dwa kroki - i dech mu zaparło.

Stał bez ruchu, wpatrując się w mężczyznę siedzącego na sofie w swobodnej pozie. Mężczyzna założył ręce na brzuchu, skrzyżował nogi i patrzył na intruza.

Cóż, to nie jakieś byczysko, skonstatował Rzeźnik. Szczupły, choć z wyraźnie zaznaczonymi mięśniami, sugerującymi żylastą siłę. Na sobie miał szare spodnie i czarną kurtkę. Nie nosił krawata. Niemal obojętnym ruchem sięgnął do bocznej kieszeni kurtki. Wiadomo, co mógł z niej wyciągnąć. Pistolet.

Umysł Rzeźnika przeprowadzał pośpieszne kalkulacje.

To glina? Jak na to wpadli, że Judith Blaney będzie następną?

*Ale nie. Nie widzę odznaki. Zresztą to tylko pojedyn-
czy facet.*

I niezbyt groźny. Ale jeśli to nie gliniarz, to kto?

Potem przypomniał sobie tego drugiego faceta, którego widział w pobliżu Judith. Czyżby dwóch myśli-
wych tropiło tę samą zwierzynę?

Możliwe.

A nawet prawdopodobne, biorąc pod uwagę okolicz-
ności. Rzeźnik poczuł się znów pewniej. Może nie pa-
nował całkiem nad sytuacją, ale poczuł, że może posta-
wić na swoim, nawet jeśli nie całkiem rozumie, co jest
grane.

- Miałem tu dostarczyć przesyłkę - wyjaśnił
grzecznie.

Mężczyzna na sofie roześmiał się. Miał regularne ry-
sy twarzy i od biedy można go było uznać za przystoj-
nego. Faliste czarne włosy zaczesał do tyłu, jakby wiatr
wiał mu stale w twarz.

- Co w tym zabawnego? - zapytał Rzeźnik.
- Przychodzisz tu z przesyłką, a ja przyszedłem, żeby ci coś dać.
- Co takiego?
- Alibi.
- Na co?
- Na morderstwo Judith Blaney.
- Odbiło ci?
- Tak jak tobie. Ale chcemy tego samego.
- To znaczy?
- Śmierci Judith Blaney.

Pokój nagle zaczął pulsować własnym tętnem. Rzeźnik oddychał równo i spokojnie. Ten pokój jakby zapowiadał piekło, które miało nastąpić. Ale wciąż mógł zapanować nad sytuacją, nawet jeśli oznaczałoby to pozostawienie w mieszkaniu nie jednego, ale dwóch ciał.

- Zwolnili mnie z więzienia sześć miesięcy temu. Odsiedziałem kupę czasu za gwałt, którego nie popełniłem - wyjaśnił mężczyzna na sofie.

- Wiem, kim jesteś - oznajmił morderca. - Judith Blaney wskazała na ciebie jako na mężczyznę, który ją zaatakował. Uniewinnili cię na podstawie testów DNA.

- A ja wiem, kim ty jesteś - odparł mężczyzna na sofie. - Wiem, co robisz, i szczerze to pochwalam. Wiem, że potrzebujesz alibi na te... kilka nocy. Mogę ci je zapewnić.

- Dlaczego to robisz?
- Bo chcesz uczynić Judith Blaney to, czego i ja chcę.

Wyciągnął z kieszeni... nie pistolet, tylko bilet teatralny. Położył go na oparciu sofy i starannie rozprostował, żeby wyglądał jak prosto z kasy.

- To jest bilet na sztukę *Wirujące stoliki* w Berman Theater. Widziałeś tę sztukę?

- Nie. Nie przepadam za teatrem.

- Kupiłem go w kasie za gotówkę. To na dzisiejsze przedstawienie. Wciąż jeszcze masz mnóstwo czasu, żeby tam zdążyć, zanim kurtyna pójdzie w górę.

- A dlaczego niby mam oglądać jakąś sztukę, skoro nie lubię teatru?

- Bo jeśli policja zada ci pytanie o morderstwo Judith Blaney i gdzie byłeś *jutrzejszego* wieczoru, będziesz wiedział, co nawijać, wspominając o *Wirujących stolikach*.

- Wyprzedzasz wydarzenia czy jak?

- Owszem. Z powodu Judith Blaney miałem prze-rąbane w więzieniu. Chcę, żeby umarła. Nie mogę jej sam zabić, bo policja zwali mi się na głowę, jak tylko ona wyzionie ducha.

- W takim razie to ty potrzebujesz alibi, a nie ja.

- I mam, bo dokładnie wiem, kiedy ona umrze.

- Umiesz to przewidzieć?

- Tak. Nie dosłyszałeś? To się stanie jutro wieczorem. Będę miał solidne alibi. A ty jutro wieczorem będziesz czekał wraz z innymi posiadaczami biletów przed

Berman Theater albo w przedsionku i zrobisz coś, żeby cię zauważono i zapamiętano. Możesz się wdać na przykład w małą pyskówkę. Coś takiego.

Przerwał, czekając, aż Rzeźnik się odezwie. On jednak milczał.

- Ale nie wejdiesz na widownię - powiedział mężczyzna na sofie.

- Bo i po co? Skoro już widziałem tę sztukę poprzedniego wieczoru... Czyli dziś.

- Otóż to. Zamiast tego przemkniesz się nieopstrzeżenie przez tłum, przyjdiesz tu i poczekasz na Judith.

- A potem?

- Potem się zabawisz. Zrobisz to, co miałeś zrobić dzisiaj. Tyle że będziesz w stanie udowodnić, że byłeś w tym czasie w teatrze. Przynajmniej parę osób z teatru cię zapamięta. No i potrafisz streścić sztukę. A co najważniejsze: przedstawiś skasowany bilet.

- Ale nie na jutrzejsze przedstawienie.

- Ależ tak, na jutrzejsze. Dam ci go. Będzie na nim kod kreskowy. Drukują takie, żeby utrudnić fałszowanie biletów albo powtórne ich wykorzystywanie. Istnieje tylko jeden autentyczny bilet na dane miejsce w danym dniu. Zostanie wykorzystany - i trafi do ciebie.

- A co z widzami z sąsiednich miejsc?

- Będą pamiętać, że ktoś na tym miejscu siedział, ale nie przypomną sobie, kto konkretnie. W każdym razie w czasie, gdy zjawi się policja, żeby cię przesłuchać. Poza tym będziesz miał ten przedarty bilet. Kupiony

za gotówkę, a listy kupujących za gotówkę się nie prowadzi.

- No a skąd weźmiesz przedarty bilet?

- To nie ma teraz znaczenia. Zdobędę go, a ty go będziesz miał. Spotkamy się nazajutrz po zamordowaniu Judith i dam ci go.

- A co ty będziesz z tego miał?

- Śmierć Judith. Jako główny podejrzany nie mogę tego zrobić sam.

- Ale wiesz przecież, że i tak zamierzam ją zabić.

- Oczywiście.

Rzeźnik przyglądał się mężczyźnie na sofie przez dłuższą chwilę. Wreszcie doszedł do pewnego wniosku i uśmiechnął się.

- Ty nie masz jaj, żeby ją zabić.

- Hmm... to też. Po tych wszystkich latach więzienia...

- Założę się - powiedział Rzeźnik - że pomiędzy tobą i Judith coś się zawiązało.

- Bo ja wiem... Chodziłem za Judith, próbując ją wystraszyć, to fakt. Ale ona wie, że nie zrobiłbym jej krzywdy. Nie mogę. Jeszcze zanim jej ciało upadłoby na ziemię, już miałbym na głowie policję. Kiedy zauważyłem, że ty też ją śledzisz, domyśliłem się, kim jesteś. Uznałem, że coś, jakiś cel, nas łączy i że żaden z nas nie będzie potem o tym gadał, bo pograżylibyśmy się obydwaj. A obaj możemy być bezpieczni. Ja już nie będę rozmyślał o Judith, a ty zyskasz alibi na czas jej

śmierci. Może nie doskonale, ale wystarczająco dobre, jeśli gliny nie znajdą żadnych dowodów. Czytałem o tobie, pisali, że nie zostawiasz śladów.

- Nie zostawiam.

- Jak do tej pory... - rzucił mężczyzna na sofie. - Ale nie zaszkodzi się zabezpieczyć.

- Mógłbyś się po prostu nie mieszać, tylko zapewnić sobie alibi na czas, gdy Judith opuści ten świat.

- Ja się wolę ubezpieczyć. Nie zamierzam wrócić do więzienia. Nigdy.

Rzeźnik przemyślał sprawę i doszedł do wniosku, że w gruncie rzeczy właściwie nie ma wyboru. Nie chciał zabijać tego pedzia. To by tylko niepotrzebnie komplikowało sprawę. Lepiej wejść z nim w komitywę i zneutralizować go.

Podszedł do sofy. Ten facecik nie miał jaj, ale nie wyglądał na strachliwego. Raczej ciekawskiego. Może tak wygląda facet, który już stracił wszystko, co miał.

Rzeźnik wziął bilet z oparcia sofy i wcisnął go do kieszeni koszuli.

- To co, zgoda? - upewnił się mężczyzna na sofie.

Rzeźnik ruszył do drzwi.

- Baw się dobrze na sztuce i zapamiętaj ją - dodał tamten. - To jest musical.

- O Boże! - jęknął Rzeźnik i opuścił mieszkanie Judith Blaney.

42.

Hogart 1992

Beth Brannigan nigdy jeszcze nie czuła takiego bólu. Skurcze były coraz częstsze i tak mocne, że ledwie mogła oddychać.

Dziecko próbuje się wydostać. Próbuje się urodzić.

Beth była przerażona i zdziwiona, jakby się nie spodziewała tego, co miało nastąpić. Jakby przez te wszystkie miesiące nie czuła w sobie nowego życia.

Kompletne zaskoczenie.

Okno sypialni rozjaśniło się światłem odległej błyskawicy. Nadciągała burza. Tylko tego brakowało...

Ciemność za oknem zadudniła gromem. Parę dużych kropel zastukało w okno, a potem zaczęło się miarowe bębnienie.

Beth zapaliła lampę przy łóżku i spojrzała na zegar w radiu. Wpół do trzeciej. Dzieci wybierają najgorszy czas, by się urodzić.

O ile to wszystko dzieje się naprawdę.

A jeśli nawet nie, to na co miałyby czekać? Aż jej wody odejdą przed wezwaniem pomocy? Sięgnęła po stacjonarny telefon przy łóżku i wykręciła 911. Ale zaraz doszła do przekonania, że lepiej wezwać szeryfa Westerleya albo jego zastępcę, Bilia Notha.

Uświadomiła sobie, że wołałaby, aby to Westerley był przy niej teraz.

Odłożyła słuchawkę i zaczęła grzebać w szufladzie nocnej szafki, aż znalazła numer.

Kolejna błyskawica rozerwała ciemność. Deszcz zmienił się w ulewę.

Gdy Beth znów podniosła słuchawkę, zdarzyło się coś dziwnego. Wyzbyła się części strachu, a na to miejsce pojawiło się uniesienie. To wszystko działo się naprawdę. Miała zostać matką.

Zadzwoniła do Westerleya. Zdaje się, że mocno spał, ale szybko się rozbudził.

- Jesteś pewna?
- Nie dzwoniłabym, gdybym nie była - powiedziała Beth. - Mówił mi pan...
- O cholera!
- Co się stało?
- Nic, nic. Wkładałem spodnie. Jak częste są te skurcze?
- Mniej więcej co piętnaście minut.
- Więc mamy jeszcze trochę czasu. Zachowaj spokój.
- Dobrze, że zna się pan na tym. Ale co się stało?

- Przewróciłem lampę.
- Szeryfie... Wayne, nic ci się nie stało?
- Nic, tylko uderzyłem się w palec u nogi. Zachowaj spokój, a ja będę u ciebie, zanim się spostrzeżesz.
- Wayne...
- Już wychodzę, Zaraz u ciebie będę.

Rozłączył się.

Beth leżała w łóżku i uśmiechała się - aż do następnych skurczów.

Dziecko - siedem funtów i cztery uncje - urodziło się o 6.07. To był chłopiec. Poród przebiegł bez komplikacji. Oczywiście nie był łatwy dla Beth, ale mniej bolesny, niż się spodziewała.

Szeryf Westerley pozostał w klinice na czas tej ciężkiej próby. Wszedł do jej pokoju parę minut po tym, jak pielęgniarki podały Beth dziecko.

Pochylił się nad łóżkiem, a ona pomyślała, że mógłby ją pocałować w czoło. Ale nie - wyprostował się i tylko uśmiechnął.

- Wygląda na to, że wygrał ten mecz - zażartował.

Roześmiała się. Zabolało ją trochę, ale ból nie umniejszał jej ulgi i euforii.

- Chciałabym, żebyś został jego ojcem chrzestnym...

- Bardzo chętnie - zgodził się od razu Westerley. - To dla mnie prawdziwy zaszczyt.

Na świadectwie urodzenia Beth kazała wpisać swoje nazwisko panieńskie: Colson. W rubryce „Ojciec” wpisano: „Nieznany”. Beth dała dziecku imiona Edward Hand, po swoim dziadku. Jej syn miał się zatem nazywać Edward Hand Colson.

Leżąc w łóżku z zamkniętymi oczami i spokojem w sercu - o którym nawet nie marzyła - myślała już o swoim Eddiem.

43.

Nowy Jork, obecnie

Fedderman i Penny Noon jedli makaron w Vito's Restaurant na Dolnym Manhattanie. Jedzenie było znakomite, znacznie lepsze niż okolica.

- Ten makaron „anielskie włosy” jest naprawdę świetny - oświadczyła Penny, okręcając na widelcu kolejną porcję. - Ale sama nie odważyłabym się raczej tu przyjść.

- No tak, te ulice... - odparł Fedderman. Miał na sobie nowy garnitur i wyglądał lepiej niż porządnie.

Penny uniosła brew.

- Czytałeś Chandlera?

- Fiammetta też - powiedział Fedderman. - My, detektywi, lubimy kryminały. Dzięki nim mamy odskok od rzeczywistości.

- A co, te powieści nie są realistyczne?

- No, czasami bywają, ale na ogół nie za bardzo - ocenił Fedderman. - Kiedy mieszkałem na Florydzie i

gdy łowiłem ryby, a niczego nie mogłem złapać, mnóstwo czytałem.

- Powieści kryminalne?

- Na ogół. Connelly, Grafton, Parker, Paretsky, Mosley...

- To świetni pisarze.

- No tak, ale mało który z nich ma kontakt z realiami. Chociaż jest taki facet z St. Louis...

- No tak... - zauważyła Penny. - Kiedy się poznaliśmy, od razu wyczułam, że masz słabość do literatury.

Fedderman upił łyk taniego domowego czerwonego wina. Nigdy nie myślał w ten sposób o sobie. Zdawał sobie sprawę, że Penny mu pochlebia, komplementując go ponad miarę.

- Czasami twój szef, Quinn, wydaje się bohaterem jakiejś powieści.

- Dobrej?

- Najlepszej. Coś w sobie ma. Można mu zaufać. Jest przystojny w taki... nienachalny sposób. Może nawet w trochę łobuzerskim stylu, ale widać, że to facet z głową. Ludzie go szanują. A czasami pewnie się boją.

- Sam nieraz tak mam - wyznał Fedderman.

- Widziałeś, żeby Quinn się kiedyś wściekał?

- No pewnie. A czasami jest naprawdę zły, tylko tego nie okazuje. I to jest groźne. Jego złość kryje się gdzieś głębiej, pod skórą.

- Widać, że go szanujesz.

- Ja go znam. To porządny człowiek. Jesteśmy przyjaciółmi od wielu lat. W dawnych czasach jeździliśmy razem radiowozem.

- Praca policjanta bardzo się zmieniła od tamtej pory?

- Społeczeństwo się zmieniło. No a robota w policji razem z nim.

Penny miała zapytać Feddermana, co konkretnie ma na myśli, ale odezwał się jego telefon.

- Przepraszam - powiedział z uśmiechem, wyciągając z kieszeni komórkę i sprawdzając, kto dzwoni.

- To Quinn...

Ha! Widać wyczuł, że o nim mowa.

Fedderman nacisnął przycisk „Talk”. Na wypadek gdyby to była rozmowa, której Penny nie powinna słyszeć, gotów był w każdej chwili zdjąć serwetkę z kolan i odejść od stołu.

Ale sprawa okazała się krótka.

- Mamy kolejną ofiarę Rzeźnika, Feds. Nazywa się Judith Blaney - poinformował Quinn i podał Feddermanowi adres.

- Jestem niedaleko, zaraz tam będę.

Schowawszy telefon, Fedderman oświadczył:

- Są jednak w pracy policjanta elementy, które się nie zmieniają. Dostajemy telefon, za dnia czy w nocy, i musimy się stawić na wezwanie. - Wyciągnął rękę przez stół i dotknął dłoni Penny. Bardzo delikatnie.

- Tak mi przykro...

- Mnie też - odpowiedziała. - Ale rozumiem.

Fedderman zauważył, że prawy mankiet jego koszuli jest rozpięty. Podniósł rękę, by go zapiąć, a jednocześnie przywołać kelnera.

- Wsadzę cię do taksówki, bo sam pewnie będę musiał pojeździć trochę po mieście. - Przywiózł ją do restauracji nieoznakowanym wozem i zaparkował go koło hydrantu pożarowego.

Kelner zjawił się z rachunkiem i rzucił okiem na ich niedojedzone porcje.

- Życzą sobie państwo zapakować to na wynos?

Fedderman, który planował spędzenie wieczoru z Penny w jej mieszkaniu, już chciał powiedzieć „tak”, ale powiedział „nie”. Miał ochotę dać komuś wycisk.

Natomiast Penny przystała na propozycję kelnera, bo chodziło jej raczej o makaron niż dołożenie komukolwiek.

44.

Gdy Quinn rozejrzał się po pokoju i po tym, co zostało z Judith Blaney, zobaczył wchodzącego Feddermana. Był w tym swoim szpanerskim garniturze, przez co paru mundurowych policjantów i techników w białych fartuchach spojrzało na niego z nowym szacunkiem. Może Fedderman awansował, a oni jeszcze o tym nie wiedzieli?

Dobrze, że mieszkanie ofiary było przestronne. Vitali i Mishkin też już tam byli, podobnie Pearl. Zjawiła się również Nancy Weaver, po cywilnemu. Nift pracował przy zwłokach. Obok uwijali się technicy w białych rękawiczkach. Przy wejściu stało dwóch mundurowych policjantów, kontrolując wchodzących i wychodzących z mieszkania. Byli to Bob Stanze i Paul Goldak, jedni z najlepszych w NYPD. Fedderman zastanawiał się, czy tak się tylko złożyło, że to właśnie oni odebrali wezwanie, czy też wysłano ich tu, bo Judith Blaney okazała się kimś ważnym. Apartament był duży

i w drogiej okolicy - ale byli na Manhattanie i droższe.

- Czy to królowa czegoś tam? - zapytał Fedderman Boba Stanze'a, gdy ten młody i przystojny policjant zablokował znów wejście.

- Kierowała biurem Bleaker and Sunshine przy Mad Ave.

Fedderman zrobił minę, jakby nie wiedział, o co chodzi.

- No wie pan, to ci specjaliści od wciskania kitu - sprecyzował Stanze.

- A tak... reklamy Southern Morgan Bank...

- Blaney musiała wiedzieć wszystko, co te cwaniaki będą gęgać - dodał Goldak. Był niewysokim mężczyzną o wielkim sercu. Wyglądał trochę dziecinnie i nigdy nie było wiadomo, kiedy żartuje, a kiedy na serio sugeruje motyw.

Quinn zainteresował się, o czym rozmawiają, i gestem przywołał Feddermana do siebie.

- Co ci mówili, Feds?

- Że ofiara zajmowała się wciskaniem kitu... Taka więcej gęgawa...

Quinn westchnął. Czy talent do detektywistycznej roboty szedł w parze ze spaczonym obrazem świata?

Jak u mordercy?

- Tym razem mamy mnóstwo artystycznego wycinankarstwa - poinformował Quinn, spoglądając znów na ofiarę. Srebrną literę S i łańcuszek, na którym wisiała,

założono na czoło Blaney, a nie, jak u wcześniejszych ofiar, na szyję i biust. Wynikało to po części z faktu, że Rzeźnik usunął tym razem obie piersi i włożył je pod pachy ofiary. Na skórze widniały zawile nacięcia. Jakieś wzory. No i ta dzika jatka na brzuchu i w okolicy łonowej. Koło ofiary leżał knebel z majtek, wyjęty pewnie przez Nifta, a usta Judith były otwarte, lecz oblepione zakrzepłą krwią, która wydobyła się widać z gardła zamiast krzyku.

- No, ale tutaj nie mamy żadnego buta w ustach - zauważył Nift.

- Jednak to ten sam morderca - stwierdził Quinn. - Chce nas wykukać. Oni czasami tak robią.

- A może po prostu nie znalazł odpowiedniego obuwia - dodał Fedderman. - Takiego, które by przypominało róg jednorożca.

Nift odgarnął włosy Judith i Quinn zobaczył po raz pierwszy coś białego w jej uchu.

- Co to jest?

- Niedopałek papierosa - wyjaśnił Nift. - Wetknął jej papierosy do obojga uszu. Stało się to chyba jeszcze przed jej śmiercią.

- Matko Boska! - westchnął jeden z techników, który to usłyszał.

- I ona niewiele by tu pomogła... - odezwała się Weaver.

- Czy ktoś się już czegoś domyślił, jeśli chodzi o te nacięcia bądź symbole?

- Tylko Rzeźnik wie, co znaczą - prychnął Vitali.
- Litera S pojawiła się kolejny raz - zauważyła Weaver. - Ale możliwe że tylko dlatego, że Rzeźnik lubi takie faliste cięcia nożem.
- Albo dlatego, że się ich spodziewamy - powiedział Quinn.
- Te znaki mogą mieć jakieś znaczenie religijne - powiedziała Pearl. - Litera S na łańcuszku może pochodzić od „Szatana”. - Zamyśliła się na chwilę.
- Albo od kozła ofiarnego: ofiary sakralnej. But przymocowany do głowy poprzedniej ofiary wyglądał jak róg.

Weaver skwitowała tę „burzę mózgu” w wykonaniu Pearl kpiącym „uhmm...”. Quinn wiedział, że Pearl jest wkurzona. Przypomnił sobie, że powinien trzymać kobiety jak najdalej od siebie nawzajem. Tylko że nie było to takie łatwe, gdy Weaver została oficerem łącznikowym Renza.

Trzeba im przykręcić śrubę, pomyślał. Muszą się za sobą jakoś dogadać, bo tak nie da się pracować.

Ale bardziej chciał się oczywiście ułożyć z Pearl. Najlepiej dosłownie.

Weaver mogła mieć rację, że Pearl doszukuje się Bóg wie czego w przypadkowych nacięciach. Bo dość trudno było dostrzec w nich coś znaczącego, choć wyglądały bardzo interesująco, jakby morderca znajdował w ich wyszukanej formie jakąś chorą satysfakcję.

- Czy to wszystko zrobiono tym samym nożem, co resztę obrażeń? - zapytał Nifta Quinn.

Mały lekarz sądowy, ostrzyżony na starego Napoleona, zastanawiał się przez chwilę.

- Taak... chyba możemy przyjąć, że to ten sam nóż, którym morderca zrobił wszystko, z obcięciem piersi włącznie. No i sutków, bo znalazłem je pod piersiami. Dziwna rzecz.

Nift wyprostował się i dotknął nadgarstkiem okolic swojego obojczyka. Quinn pomyślał z początku, że medyk chce wsunąć dłoń pod koszulę w słynnym napoleońskim geście. Ale miał przecież zakrwawione rękawiczki.

- Tym, co uwidacznia się tym razem, jest szczególnie nienawiść. Można powiedzieć: namiętność. Ten dziwny entuzjazm w fantazyjnym szatkowaniu ciała.

Jakby morderca dobrze się bawił, a nie dokonywał ponurej zemsty. Poza tym cięcia nie są głębokie. Ona wciąż żyła i czuła wszystko, co z nią wyrabiał. Ten Rzeźnik musi to naprawdę lubić!

Quinn odwrócił się i wymienił spojrzenia z Pearl. Głos Nifta brzmiał tak, jakby on sam także entuzjazmował się tą zbrodnią. Niedobrze się robiło od słuchania tego.

- Kiedy oni wreszcie... - zaczęła Pearl, lecz Quinn podniósł rękę, żeby ją uciszyć, a potem wyprowadził ją z pokoju.

- Zastanawiałam się po prostu, kiedy go wreszcie wywalą z tej roboty - szepnęła Pearl do Quinna.

- To miasto go zatrudnia - odparł Quinn. - Trzeba przyznać, że facet zna sekrety zmarłych. - Podał Pearl ramię i lekko uściśnął jej rękę, by się upewnić, że go słucha. - W końcu to nasz kolega.

Pearl mruknęła coś o parszywych psach i odeszła dalej. Quinn wiedział, że jest wściekła.

- Panienska ci podskakuje, co? - usłyszał za sobą.

To była Nancy Weaver, która zauważyła ich sprzeczkę.

- Niech każdy pilnuje własnej roboty, Nancy - upomniał ją Quinn. I wrócił do zwłok.

Rzeźnik obserwował mężczyznę, którego spotkał niedawno w mieszkaniu Judith Blaney. Popijał właśnie czekoladową latte przy stoliku na zewnątrz lokalu. Ledwie parę metrów dalej gnały już samochody. Rzeźnik nie przejmował się jednak zapachem spalin, który tu docierał. Nad stołem umieszczono zielony parasol, dzięki któremu słońce nie raziło w oczy, za to przyjemnie grzało odsłonięte przedramiona.

Mężczyzna podszedł do stołu Rzeźnika i stanął w pobliżu, ale nie zdecydował się usiąść. Zresztą Rzeźnik wcale go do tego nie zachęcał.

Facet sięgnął do kieszeni i położył na stole, obok kubka z kawą, skasowany bilet teatralny.

- Twoje alibi - powiedział. - I nie ma sposobu, żeby udowodnić, że cię tam nie było w czasie... - Przerwał i rozejrzał się dookoła. Ale nikt nie siedział dość blisko, by podsłuchać rozmowę. Uśmiechnął się i dodał: - Nie ma potrzeby mówić o tym głośno.

- Ta sztuka była faktycznie do dupy - oznajmił Rzeźnik. On też się uśmiechnął, choć równie obłudnie. - Za to przedstawienie na bis - pierwsza klasa.

- Cieszę się, że się dobrze bawiłeś. - Mężczyzna odwrócił się, by odejść, ale zawahał się.

- Lubisz bejsbol?

- Jak własną mamę i placek z jabłkami. A zwłaszcza mamę. Czemu pytasz?

- Widzę, że sztuka niezbyt ci się podobała, więc może następnym razem moglibyśmy pomyśleć o meczu?

Rzeźnik nie chciał tego słuchać. W ogóle. Żaden „następny raz” do spółki z potencjalnym szantażystą nie wchodził w grę. On działał sam. Tajemnica, którą zna dwóch ludzi, przestaje być tajemnicą. Nie lubił takich mend i pasożytów. Po co w ogóle żyją?

Z drugiej strony, takie mendy były zwykle sprytnie i nie mełły niepotrzebnie ozorem. Informacje zawsze trzymał ktoś inny: przeważnie chodziło o list zdeponowany u jakiegoś papugi albo umieszczony w sejfie bankowym. Zabezpieczali się dobrze. Ta wredna parowa wiedziała, że Rzeźnikowi nie trzeba nawet wspominać o

takich zabezpieczeniach. Obydwaj wiedzieli, że facet jest dobrze kryty.

Mężczyzna zrobił parę kroków wzdłuż krawężnika, jakby chciał złapać taksówkę, i znów zbliżył się do stolika.

Jakaś taksówka rzeczywiście się zatrzymała, a on wskazał palcem na Rzeźnika. Kciuk miał podniesiony, jakby strzelał z rewolweru. Ale zaraz opuścił palec i powiedział:

- Jankesi górą, no nie?

Rzeźnik w milczeniu patrzył, jak gość wsiada do taksówki i odjeżdża.

Nadęty skurwysyn. Ale dostanie jeszcze nauczkę.

45.

Quinn siedział na sofie w swoim domu, studiując dokładnie zdjęcia z sekcji Judith Blaney. Piętro wyżej hałasowali robotnicy z ekipy remontowej. Dobrze, że grube ściany i strop tłumiły nieco te odgłosy.

Pearl stała za sofą, zaglądając Quinnowi przez ramię. Dłonie oparła na jego ramionach, ale leciutko, jakby to były małe ptaszki. Quinn nie był pewien, czy szukała równowagi, czy też chciała okazać uczucie.

Mieli zamiar przygotować sobie lunch - lazanie, których nie zjedli poprzedniego wieczoru w Ricco's Restaurant. Okropne zdjęcia Judith nie zepsuły im apetytu, przez co Quinn zaczął się zastanawiać, czy nie pracują już za długo w tym interesie.

Odwrócił się i zerknął na Pearl, a potem złożył zdjęcia i odłożył je na stolik do kawy. Pearl obesza sofę i usiadła na fotelu naprzeciwko.

- Przyglądałem się tym falistym cięciom na jej tułowiu i biodrach... - powiedział Quinn.

- Ja też.
- No i rozumiesz coś z tego? Czy jest w tym jakiś przekaz lub coś w tym rodzaju?
 - Przekaz jest taki, że Rzeźnik to chory frajer. Sadysta.
- Quinn westchnął i rozsiadł się wygodniej.
- Jak myślisz, jakim nożem można było zrobić takie cięcia?
 - Musiał być naprawdę ostry i ze spiczastym czubkiem. Może to jakiś nóż specjalistyczny. Albo skalpel...
 - Nift tak nie uważa. Jego zdaniem, morderca nie używa żadnych narzędzi chirurgicznych. Ale przynajmniej, że pewności nie ma.
 - A może to nóż do oprawiania ryb?
 - Mało prawdopodobne.
 - Albo kolejna zmyła, tak jak z tymi członkami Socrates's Cavern? Nie mówiąc już o bucie w ustach ofiary.
 - No tak, to mogą być zmyłki, ale wciąż musimy tracić czas na ich sprawdzanie.
 - No więc może on chce, żebyśmy dostali kręćka, próbując odczytać te „znaki” na ciele ofiary. Znaki, które może nic nie znaczą.
 - Jest jednak coś nowego - zauważył Quinn. - Morderca najwidoczniej dobrze się bawił, wycinając te wzory na ciele Judith Blaney. Musiał na to poświęcić mnóstwo czasu.

- A więc to zarówno zmyłka, jak chora zabawa. Sprawa mężczyzn niesłusznie skazanych za gwałt to jedyny mocny wątek tej sprawy. Jestem pewna, że do-
szukamy się go również w morderstwie Judith Blaney.

- Z początku morderca próbował to ukryć - zauwa-
żył Quinn. - Musiał sobie zdawać sprawę, że do tego
dojdziemy.

- A nie sądzisz - zapytała Pearl - że on może wyko-
rzystywać kwestię błędnych identyfikacji jako kolejną
zmyłkę, tak jak sprawę Socrates's Cavern?

- Uważasz, że może być jeszcze jakiś inny, praw-
dziwy motyw? Pearl, znęcasz się nad moim biednym
mózgiem - powiedział Quinn, choć musiał po raz kolej-
ny uznać, że jego przyjaciółka jest wyjątkowo dociekli-
wą kobietą. - Ale taka strategia wymaga mnożenia ofiar,
a każda ofiara to zwiększenie ryzyka.

- Przecież to psychol - przypomniała Pearl. - Mógł
nie przeprowadzać żadnej analizy ryzyka i nie określił
punktu krytycznego.

- O nie, założę się, że to zrobił. Akurat pod tym
względem możemy na nim polegać.

Spojrzała na Quinna z ukosa. Nieposłuszny kosmyk
ciemnych włosów nad lewym okiem nadawał jej twarzy
trochę łobuzerski, a zarazem seksowny wygląd.

- Sądzisz, że jesteśmy bliżej? - Głos Pearl za-
brzmiał matowo.

Quinn nie chciał jej źle zrozumieć.

- Mordercy?

- Oczywiście - odparła całkiem oficjalnym tonem.

Spojrzał na nią. Chyba nawet nie zauważyła dwuznaczności swojego pytania. A może tylko udawała. Quinn żałował, że Pearl nie spędzi z nim tego popołudnia w łóżku, że nie będą się kochać, że nie spróbuje raz jeszcze przekonać jej, by się do niego wprowadziła. Yancy Taggart nie żył już od tak dawna, że pamięć o nim nie powinna stanowić przeszkody. Quinn był o tym przekonany. Tylko żeby ona potrafiła przestawić swój umysł. I serce.

- Czuję, że się do niego zbliżamy - odpowiedział Quinn - ale nie umiem ci jeszcze wyjaśnić dlaczego.

Z kuchni doleciało przeciągłe dzwonicie. To kuchenka mikrofalowa.

- Pearl - odezwał się Quinn. - Może byś została u mnie po lunchu? Może zostaniesz na noc?

- Łazanie są już gotowe - powiedziała Pearl. - Ale ja nie.

Gdy prawie kończyli jeść, odezwał się telefon. To był znowu Nift.

- Pomyślałem, że powinienem przekazać, co odkryłem, gdy oczyściłem z krwi usta i gardło Judith Blaney.

Quinn rzucił okiem na resztki swojego lunchu.

- Wygląda na to, że język został usunięty - oświadczył Nift.

- Usunięty?
- No, wycięty. Zaraz przy podstawie. Bardzo fachowa robota.

Quinn nic nie odpowiedział.

- Może dzwonię nie w porę? - spytał Nift.
- Nie, nie, w porządku. Dziękuję. - Quinn odłożył słuchawkę. Spojrzał na Pearl.

- Coś ważnego? - zapytała.

- Powiem ci, jak skończysz jeść.

W kąciku ust Pearl pojawiła się kropla sosu marinara. Momentalnie zlizła ją językiem.

- Nie przejmuj się, mów...

Pearl, Pearl...

46.

Pearl była zadowolona, że podjęła się tego zadania. Rozmowa z Jockiem Sandersonem mogła jej dać wiele do myślenia. Jej zdaniem, znajdowali się już na obszarze, gdzie obracała się główna ofiara Rzeźnika, niewyróżniająca się jednak spośród innych, jakby była jedną z wielu. Podobnie żaden z podejrzanych nie różnił się znacząco od innych. W każdym razie jako potencjalny morderca. Gdy Rzeźnik poczuje się już pewnie w tym tłumie, uśmierci właściwy obiekt swojego szaleństwa.

I oczywiście ten prawdziwy obiekt nie będzie ostatnią ofiarą, bo to wskazywałoby na istotny motyw. Możliwe jednak, że tym prawdziwym obiektem była Judith Blaney.

Sanderson wydawał się zaskoczony widokiem Pearl. Zastanawiała się, czy nie wolałby, żeby przesłuchał go mężczyzna. Może kobieta szukająca zabójcy kobiet robiła na nim dziwne wrażenie? Ale tym lepiej.

Obawiał się kobiet? Czasami takie odludki obawiają się wszystkiego.

Jock Sanderson był mężczyzną średniego wzrostu, a nieco krępa budowa sprawiała, że wydawał się niższy niż w rzeczywistości. Pearl wiedziała z doświadczenia, że ludzie o takim wyglądzie bywają zaskakująco silni. Ale na przykład Quinn był wysoki i smukły, a jednak niezwykle silny, nawet jak na swój wzrost.

Pearl uważała, żeby nie kategoryzować ludzi na podstawie sylwetki, bo w jej profesji mogło się to skończyć fatalną w skutkach pomyłką.

Sanderson miał oczy tego rodzaju, że barwą emanowały na twarz, i burzę zmierzwionych czarnych włosów. Można by go od biedy uznać za przystojniaka, gdyby w jego rysach nie czaiła się jakaś pokrętność, która psuła efekt. Ale miał miły uśmiech.

- Proszę do środka - powiedział z dwornym gestem dłoni. Mieszkanie było skromne, on jednak zachowywał się jak lokaj w pałacu.

Choć było tu rzeczywiście skromnie, nie można by powiedzieć, że brudno. Meble nosiły ślady długiego użytkowania i przypadkowego doboru, ale w sumie wszystko wyglądało całkiem porządnie. Do tego stopnia, że Pearl uznała w duchu Sandersona za pedanta.

Gdy mijala go w drzwiach, wykonał zgrabny manewr, by ją przepuścić. Chciał chyba pozostawić cały czas w zasięgu jej uwagi, ale nie za blisko.

Pearl przeszła przez salon i siadła na sofie przykrytej narzutą w różany wzór. Przypomniała się jej sofa w mieszkaniu mamy, z czasów dzieciństwa. Ale na tej narzucie były ślady wyglądające na wypalone papierosem.

- Czy jest tu dla pani wystarczająco porządnie? - spytał Sanderson, uśmiechając się po raz trzeci od czasu, gdy Pearl się u niego pojawiła. Facet miał nawet białe zęby, które najwyraźniej lubił prezentować.

- Jak najbardziej - odpowiedziała Pearl. Choć było dopiero po jedenastej, a na zewnątrz nie zaczął się jeszcze upał, klimatyzator buczał już na pełny regulator. W mieszkaniu wyczuwało się jakiś słaby zapach, jakby ktoś niedawno smażył rybę. Wyjęła notes z kieszeni lnianego żakietu i ołówek z uchwyty skózanego etui. Otworzyła notatnik na pierwszej niezapisanej stronie.

- Powiedział pan przez telefon, że już wie o śmierci Judith Blaney.

- To prawda - przyznał Sanderson. - Zawsze oglądam poranne wiadomości lokalne przed pójściem do łóżka. - Przysiadł na poręczu fotela. - Morderstwo pięknej kobiety... Kolejna ofiara Rzeźnika... Takie rzeczy szybko stają się newsami.

- Powiedział pan, że ogląda pan poranne wiadomości *przed* położeniem się do łóżka?

- No tak... - Czyżby Pearl zyskała kolejne potwierdzenie? Następny biały uśmiech. - Bo ja pracuję w nocy. Zwykle wracam do domu gdzieś koło szóstej rano. Potem biorę prysznic, golę się, jem jakieś zdrowe śniadanie - i do łóżka.

Coś za dużo tych szczegółów, pomyślała Pearl. *Czy on kłamie?*

- Co pan czuł, słysząc o śmierci Judith Blaney? - zapytała.

- Ucieszyłem się. - Jego prawie przystojna twarz pozostała nieporuszona.

- Przed śmiercią była torturowana.

- Sporo wiem o torturach.

Pearl uniosła brew.

- Byłem w więzieniu - wyjaśnił Sanderson.

- A kto pana torturował?

- Zdziwi się pani. Gwałciciel nie stoi wysoko w więziennej hierarchii. Zarówno wśród więźniów, jak i strażników. Niektórzy chcą mu pokazać, jak to jest być gwałconym. A w więzieniu, wbrew pozorom, istnieje wiele niestrzeżonych miejsc. Nikt nie powstrzyma takich ludzi przed zrobieniem tego, czego chcą.

- Był pan gwałcony w więzieniu?

- Więcej niż raz. Wiele więcej razy. - Odchrząknął głośno. I zrobił taką minę, że Pearl poczuła się głupio.

- Bardzo mi przykro... choć wiem, że to już nic nie pomoże. Ale naprawdę panu współczuję.

To trochę dziwne, że tak od razu przedstawił się jako pokrzywdzony. Nie wspomniał, co prawda, że musiał przez to przejść za sprawą Judith Blaney, ale rzecz była oczywista. Tylko czy nie rozumiał, że sam się w ten sposób obciąża?

- Kiedy mnie zamknęli, byłem człowiekiem, którego pani uznałaby może za atrakcyjnego - powiedział Sanderson. - Ale w więzieniu wciąż byłem bity, tak jak inni cwele. I dlatego wyglądałem tak, jak wyglądam: niczym emerytowany bokser.

Pearl nie wpadła na takie porównanie. Ale nie chciała, żeby przestał się wywnętrzać. Miał chyba zbyt delikatne ręce, by skleić kogoś taśmą i używać dłoni w charakterze tępych narzędzi.

- Zaciekawia mnie pan - powiedziała.

- Nie jestem gejem. Nigdy nie byłem. - Sanderson wziął głęboki oddech, jakby się chciał uspokoić. - Ale nie o tym chyba pani chciała ze mną rozmawiać.

- Nie - przyznała Pearl. Sprawdziła, czy ołówek jest odpowiednio zatemperowany. - Judith Blaney została zamordowana około jedenastej wczorajszego wieczoru...

- Zaparzyłem właśnie kawę... Napije się pani?

- Nie, dziękuję - odmówiła Pearl. Ten facet to był ktoś. - Chciałabym uzyskać od pana kilka konkretnych odpowiedzi. Ekwilibrystyka słowna nie bardzo mnie interesuje.

- Tak, tak, rozumiem. Bardzo przepraszam. - Wyglądał na rzeczywiście zakłopotanego. - No więc od

dziesiątej poprzedniego wieczoru pracowałem w ekipie sprzątającej stary Superior Theater na Zachodniej Czterdziestej Szóstej. Tę salę wynajął akurat jakiś Kościół czy coś w tym rodzaju. Impreza przeciągnęła się trochę i skończyła po dziesiątej. Zaczekaliśmy chwilę i wzięliśmy się do roboty, kiedy tylko ludzie wyszli. - Poprawił się na poręczy fotela. - Zna pani Superior? Jako kino nie działa już od lat, ale wciąż urządza się tam różne imprezy.

- Wiem - powiedziała Pearl. - W ostatnich latach służył jako teatr porno.

- Ano tak, rzeczywiście... Trochę wstyd...

- A kto pana zatrudnia, panie Sanderson?

- Jest taka firma, nazywa się Sweep 'Em Up. Zajmuje się sprzątaniami po różnych imprezach - wykładach, wiecach politycznych... i tak dalej. Widząc to mieszkanie, powie pani, że nie płacą za dobrze, ale nie można przebierać w ofertach pracy, jak się ma więzienie w życiorysie.

- W jaki sposób pan dostał tę robotę?

- Jest taka służba, załatwiająca pracę dla byłych więźniów. A właściwie organizacja charytatywna. No i mój sponsor z AA, Dave, poręczył za mnie. Jak na razie zdaje to egzamin, choć pewnego dnia chciałbym się załapać na coś lepszego. Ruszyć się gdzieś daleko, jak najdalej stąd.

Kolejny podejrzany z problemem alkoholowym. No, ale to nie powinno być niespodzianką.

- A co jeszcze sprząta Sweep 'Em Up? - spytała Pearl.

- O, wiele miejsc. Sprzątamy teatry na Broadwayu i off-Broadwayu, sale balowe w hotelach...

- A od jak dawna pan tam pracuje?

- No, już parę lat. To jedyna robota, jaką udało się znaleźć. Pomogła mi złapać równowagę, utrzymać się z dala od kłopotów.

- Chodzi pan regularnie na mityngi AA?

- Od czasu do czasu. Teraz od dziewięciu miesięcy jestem suchy. Ale nie chcę pani wstawiać kitu. Parę razy zapiłem. Jednak Dave i wyższa siła, w którą wierzę, wyciągnęli mnie z dołka i teraz jestem trzeźwy.

- To świetnie - powiedziała Pearl.

- W każdym razie próbuję żyć na trzeźwo. - Znow szeroki, biały uśmiech. - I zamierzam próbować dalej.

- Czy ktoś może zaświadczyć, że był pan w pracy od dziesiątej do rana?

- Naturalnie. Cała ekipa. Sześciu ludzi, nie licząc mnie. Firma zamyka nas w sprzętym obiekcie, zaraz jak tylko zabieramy się do pracy. To dla naszego dobra. Dla bezpieczeństwa. Żeby w razie gdy coś zginie, nie było na nas. Ale przed drzwiami zostawiają strażnika, żeby w razie pożaru nas wypuścić.

- Pracował pan przez całą noc?

- Ktoś tego pilnuje. Jest na miejscu. A my zamiatamy i wrzucamy do worków te wszystkie śmieci, butelki i kondomy. Taak... kondomy znajdujemy nawet po imprezach religijnych. Zdziwiłaby się pani.

- Chyba nie - zaprzeczyła Pearl, myśląc z jakichś powodów o Nancy Weaver. Udawała, że coś skrobie w notesie. - Pogadam w Sweep 'Em Up, żeby sprawdzić pańską historię.

- Doskonale.

- Mówił pan, że się ucieszył, słysząc, że Judith Blaney została zamordowana. Czy może pan powiedzieć o tym coś więcej?

- A co tu jest do gadania. Ta suka zrujnowała mi życie. Po tym, co przeszedłem, nie byłbym chyba człowiekiem, gdybym nie ucieszył się na wieść, co ją spotkało.

Pearl uśmiechnęła się.

- Ma pan chyba świadomość, że przypisuje pan sobie motyw?

- Tak, ale dzięki Bogu mam też alibi.

- Niech pan mi powie, panie Sanderson, czy kiedy uznano pana za niewinnego i wypuszczono z więzienia, nie myślał pan, żeby...

- ...zabić Judith Blaney?

Skrzyżował ramiona, uwidaczniając muskuły. W więzieniu nie był chyba taką bezbronną ciotą... Ale przychodził czas, gdy kumple spod celi przeobrażali się w bezwzględne bestie. Taki zwykły człowiek jak Sanderson nie miał szans, żeby się obronić bez czyjegoś wsparcia. Tymczasem w więziennej hierarchii poniżej gwałcicieli stali już tylko pedofile.

- Szczerze mówiąc - powiedział - myślałem, żeby ją zabić.

- Naprawdę?

- No nie, to były tylko takie rojenia. Żeby kogoś zabić, trzeba mieć jaja, a ja je straciłem w więzieniu - że się tak obrazowo wyrażę.

Myślała, że znów zobaczy lśniący białą uśmiech, ale się nie pojawił.

Schowała notes i ołówek, wstała i podziękowała Sandersonowi. On też podniósł się z poręczy fotela.

Wręczyła mu wizytówkę.

- Jeśli coś się panu przypomni...

- Nie przypomni. Nie mam zamiaru myśleć o Judith Blaney. Żywej czy martwej.

Gdy Pearl opuściła mieszkanie Sandersona, postanowiła go o nic nie oskarżać.

- Sprawdziłam jego historię - powiedziała Quinnowi jeszcze tego samego dnia w biurze. - Nie ma wątpliwości, gdzie był w czasie śmierci Judith Blaney. Jego alibi potwierdziło siedmiu świadków, w tym ochroniarz.

- A więc możemy skreślić z listy kolejne nazwisko - uznał Quinn. - Jock Sanderson nie jest Rzeźnikiem.

- Ale za to kolejnym facetem z problemem alkoholowym.

Quinn pokiwał głową znad biurka.

- To, co spotkało tych mężczyzn, niesłuszne skazanie za gwałt, a potem wieloletnie więzienie, sprawiło, że zaczęli pić, gdy odzyskali wolność, ale zarazem zdali sobie sprawę, że wciąż noszą znamię przestępcy.

- Uważam, że to skomplikowany problem z prostym, choć cholernie trudnym rozwiązaniem - oświadczyła Pearl.

- Pewnie większość facetów z twojej listy trzydziestu dwóch ma kłopoty z alkoholem albo prochami.

- I może Rzeźnik też ma taki problem.

- Nie - zaprzeczył Quinn. - Domyślam się, dlaczego jest taki napalony.

Pearl przypomniała sobie, że Quinn sam był kiedyś fałszywie oskarżony o gwałt.

- Fałszywe oskarżenie o jakieś ohydne przestępstwo pozostawia ślady w psychice - wytłumaczył Quinn. - Rzeźnik nie pije, nie ćpa, tylko zabija.

- A Jerry Lido został maniakiem komputerowym.

- No, fakt...

- Jak nie jedno uzależnienie, to drugie, a czasami oba.

- Tak to wygląda.

- A ty?

- Ja?

- Twoje uzależnienie polega na tym, że potrzebujesz koniecznie jakiejś misji - uświadomiła mu Pearl. - Co sobie w ten sposób kompensujesz?

- Nic.

- Nie udawaj.
- Uśmiechnął się.
- Może brak kubańskich cygar albo ciebie.
 - Kubańskie cygara masz przecież w biurku.
 - A co z resztą, Pearl?

Jock Sanderson wyszedł sam z mitingu AA. Odbywał się on w salce nad restauracją. Na jednym końcu było podwyższenie, a przed nim stały w rzędach składane metalowe krzeselka. Na jednej ze ścian wisiało duże oprawione zdjęcie uśmiechniętego prezydenta Kennedy'ego. Nikt nie wiedział, dlaczego się tam znalazło. Salka miała oddzielne wejście, prowadziły do niego schody bezpośrednio z ulicy.

Tego wieczoru żaden z uczestników nie budził takiego zainteresowania jak Jock. Opowiadał wszystko o morderstwie Judith. No, prawie wszystko. Zdołał niemal przekonać sam siebie, że to zabójstwo i tortury były dla niego kompletnym zaskoczeniem. Arcydzieło fałszywej szczerości.

Dave, jego sponsor, wyszedł z mitingu trochę wcześniej i czekał na Jocka na chodniku.

- Będzie dobrze, Jock? - zapytał z troską na zniszczonej alkoholem twarzy.

- Jest dobrze - odparł Jock. - Miewam pokusy, ale trzymam się w karbach. Będzie dobrze.

- Diabeł tylko czeka, żebyś mu dał choć cień szansy - ostrzegł go Dave.

- Wiem o tym. Ale mam Boga po swojej stronie.
- To dobrze. Może wstąpilibyśmy gdzieś na kawę?
- Dzięki, ale chcę побыć trochę sam, Dave. Uporać się z gorzkimi myślami...

- Czujesz zgryzotę po śmierci kobiety, która fałszywie oskarżyła cię o gwałt?

- Tak. Chodzi o sposób, w jaki ją zabito. To straszne. To może zrozumieć tylko Bóg, ale i ja spróbuję. Judith Blaney nie wyrządziła mi krzywdy umyślnie. Po prostu się pomyliła.

- Jesteś tego pewien?

- Tak. Nie miała żadnego powodu, żeby kłamać.

Dave cofnął się o krok i obrzucił Jocka spojrzeniem.

- Myślę, że będzie z tobą dobrze.

- Tak.

- Ale pilnuj się. - Dave uśmiechnął się, odwrócił i poszedł sobie.

- Będę się pilnował - rzucił za nim Sanderson.

Pomyślał przy tym, że są osoby, które powinny się pilnować jeszcze bardziej niż on.

47.

Hogart, 2005

Beth Colson patrzyła, jak kanciasty żółty zad szkolnego autobusu trzęsie się na wybojach polnej drogi, zmierzając ku szosie. Przez chwilę jakaś blada twarz wyglądała przez tylną szybę. Ale nie był to Eddie. Na pewno.

Kurz podniesiony przez autobus nie zdążył jeszcze opaść na dobre, gdy wóz patrolowy szeryfa Westerleya zwolnił i skręcił w prawo, w zjazd z szosy. To był szary SUV z napisem „Sheriff” po obu stronach i mnóstwem świateł na dachu. Z przodu samochodu znajdowały się dwa bardzo silne reflektory w drucianych osłonach.

Ten potężny wóz bez problemów pokonał gruntową drogę na swych wielkich, szerokich kołach. Beth stała na ganku, gdy Westerley zaparkował w pobliżu starych dębów, pokrytych złotymi jesiennymi liśćmi.

Wysiadł z suwa i podszedł z uśmiechem do Beth, a ta mimo woli pomyślała, jaki jest przystojny i schludny w tym swoim orzechowym mundurze z czarnym pasem

i kaburą. Miał dzisiaj nawet czarny krawat, wciśnięty pomiędzy górne guziki koszuli.

Beth zawsze uważała, że mundurowi w dziwny sposób noszą krawaty - albo chce się je nosić, albo ukryć, a nie coś takiego.

- Czy to jakaś specjalna okazja? - spytała Westerleya z uśmiechem.

Uśmiechnął się szeroko, jakby zmieszany.

- Świetnie wyglądasz w tym mundurze.

- Dla mnie to zawsze specjalna okazja, kiedy do ciebie przyjeżdżam, Beth.

Zdjął czapkę z czarnym daszkiem i stanął kilka stóp przed nią. Kurz za nim wciąż tańczył w powietrzu. Jakiś ptak rozpoczął swoje trele w koronie dębu.

- Widziałem po drodze autobus. Eddie pojechał do szkoły?

Beth uśmiechnęła się.

- W tym roku znów jest na liście wyróżnionych. Uwierzyłbyś?

- No pewnie. To wspaniały chłopak.

- Rzeczywiście.

- Mam pewne wieści - powiedział Westerley. - Pomyślałem, że najlepiej będzie, gdy do ciebie przyjadę i przekażę ci je osobiście.

Beth poczuła kamień na żołądku.

- Czy to są złe wieści?

Szeryf wzruszył ramionami.

- To zależy...
- Od czego?
- Od ciebie. - Trzymał czapkę w obu dłoniach na wysokości krocza, jakby zapomniał zapiąć rozpiorek.

- Teraz testy DNA dają pewność przy identyfikacji, nawet po kilku latach. Jest taka organizacja prawników, co to jeżdżą po kraju i wznawiają sprawy, w których dowodami były próbki krwi. Te próbki, pobrane w celu ustalenia grupy krwi, są wciąż w starych aktach.

Ptak przestał śpiewać i las wokół domu zrobił się cichy.

- Słyszałam o tym - powiedziała Beth. - Zaczęli robić takie testy po sprawie Simpsona.

- No tak, ale teraz ta metoda poszła bardzo do przodu. I jest wykorzystywana do zwalniania niesłusznie skazanych więźniów.

- To nic złego - zauważyła Beth.

- No tak... Otóż ta organizacja zajęła się też sprawą... Vincenta Salasa.

Westerley podszedł nieco bliżej, jakby chciał ją podtrzymać w razie upadku. - I ustalili, że Salas nie mógł być człowiekiem... który cię zgwałcił.

Beth zakręciło się w głowie. Niebo, drzewa, sam szeryf - wszystko to zawirowało na parę sekund, jakby zatrzęsła się ziemia. Poczwała na ramieniu dłoń Westerleya. Wróciła do równowagi.

- To niemożliwe - usłyszała swój głos.

- A jednak, Beth. Testy DNA to udowodniły. Adwokat Salasa pojechał do stolicy stanu, żeby jak najszybciej załatwić sprawę. Nie będą trzymać niewinnego człowieka ani dnia dłużej niż to konieczne ze względów formalnych.

- Niewinnego? - Pewna myśl przeleciała jej przez głowę jak błyskawica. - Jeśli to nie Salas mnie zgwałcił, to *kto*?

- Nie martw się o to. Minęło już tyle lat... Sprawa się przedawniła. Ten sukinsyn, który to zrobił, może już nie żyć, bo ludzie tego rodzaju żyją szybko i niebezpiecznie. Czas leczy rany. Niech ta część życia zniknie z twojej pamięci, Beth.

Westerley ujął ją za obie ręce.

- Musiałaś się pomylić przy identyfikacji. To się zdarza. Nie zrobiłaś tego specjalnie. Nie zrobiłaś nic złego.

- Oprócz wsadzenia za kraty niewinnego człowieka...

- Świadczyło przeciw niemu jeszcze mnóstwo innych dowodów.

- Jakim cudem, skoro był niewinny?

- Taki jest świat, Beth. Sędziowie muszą pokonywać wątpliwości. W twojej sprawie ława przysięgłych uznała, że nie ma żadnych uzasadnionych wątpliwości co do tego, że Salas był gwałcicielem.

- Kiedy go wypuszczą?

- Za trzy dni.

Beth rozplakała się.

- Co ja narobiłam! O Boże, co ja narobiłam...

- Zrobiłaś, co mogłaś - odparł Westerley. - Byłaś przekonana, że to Salas cię zgwałcił. Inaczej nie wskażałabyś go na okazaniu i na sali sądowej. Ale nie jesteś absolutnie temu winna.

- Wszystko to moja wina.

Nagle przytuliła się do Westerleya, a on otoczył ją ramieniem.

- Chcesz, żebym był z tobą, kiedy go wypuszczą?

- Myślisz, że będzie na mnie wściekły?

- Nie wiem. Skąd mam wiedzieć, co będzie czuł?

Ale wiem, że porozmawiam z nim zaraz po zwolnieniu.

Nie musisz się niczego bać.

- Ale się boję, Wayne. I wiem dlaczego.

- Przecież nie mogłaś się zachować inaczej, Beth.

- Powinnaś się upewnić.

- Łatwo tak mówić po fakcie. A biorąc pod uwagę to, co widziałaś i co myślałaś, nie miałaś większego wyboru.

Spojrzała zamglonymi oczami.

- Naprawdę tak myślisz?

- Jestem o tym przekonany.

Wziął ją pod rękę. Drżała od szlochów. Drzewa zaczęły rozbrzmiewać muzyką owadów. Wokół ciepłego domu było ich więcej niż w lesie. Powiewy wiatru szarpały liście i podnosiły tumany kurzu.

- Chcesz, żebym z tobą został?

Ścisnęła mocniej jego rękę.

- Tak. Chcę, żebyś ze mną został.

Zostanę i nie zostanę.

48.

Nowy Jork, obecnie

Jock Sanderson uporał się z wyłożoną płytkami damską toaletą w Uptown Diamond Theater, a potem wycisnął mopa w kuble.

Oparł się na jego drewnianej rączce, upewniając się, że wszystko zrobił jak należy. Popękane płytki lśniły najmocniej, jak mogły po tylu latach służby. Metalowe przegrody kabin były właściwie wolne od graffiti - jeśli nie podeszło się zbyt blisko do śladów wykonanego szminką rysunku gigantycznego fallusa. To, co kobiety wypisywały i rysowały w publicznych toaletach, nigdy nie przestawało zadziwiać Jocka.

Upewnił się, że włożył nowy plastikowy worek do kosza na śmieci przy drzwiach. Ostatni raz rozejrzał się wokół i opuścił toaletę. Ciągnął za sobą kubeł na kółkach z mopem. Sprawdził, czy z kubła nic się nie wylewa. Dobrze było opuścić sferę dezynfekcyjnego środka amoniakowego, którym przecierał te stare ściany i podłogi.

Całe szczęście, że jego nos funkcjonował jak do tej pory właściwie.

Uptown dopiero niedawno został znów otwarty. Służył off-broadwayowskim produkcjom. Repertuarowy teatr, który tam występował, dawał obecnie *Hamleta*. To nie była sztuka w guście Jocka. Zbyt melancholijna. Nie chodziło o to, że Jock często chodził ze smętnym uśmiechem, przylepionym do twarzy. Rzecz w tym, że jego zdaniem ludzie mogą i powinni dokonać czegoś w życiu, stworzyć swój własny świat. Kiedy siedział w więzieniu za gwałt, starał się w ogóle nie uczestniczyć w rzeczywistości, do której trafił. Za murami zrobił sobie nóż z kawałka znalezionej szkła. Obrobił go na betonie i ukrył w zakładce spodni.

Użył go przeciw pierwszemu współwięźniowi, który próbował go zgwałcić. A potem podeptał tę szklaną broń na okruchy, na których nie mogły się zachować żadne odciski palców. Nikt się nigdy nie dowiedział, kto rozciął napastnikowi brzuch tak brutalnie, że wymagał trzydziestu szwów.

Jock dostał się pod ochronę gangu skinheadów.

Dzięki temu był bezpieczny przynajmniej przed atakami gangów czarnych i Latynosów. Musiał tylko trzymać język za zębami i zrobić sobie parę długopisowych tatuży, które informowały, że lepiej go się nie czepiać bez naprawdę poważnego powodu.

Nie znaczy to, że czas spędzony za kratkami nie był dla niego piekłem. Był. Musiał być dla takiego faceta jak

Jock. Ale Sanderson szybko się uczył i potrafił się dostosować.

Musiał się uśmiechać, ciągnąc swój kubek z mopem przez widownię Uptown. Dobrze uważał, żeby woda ze środkiem czyszczącym nie wylała się na wykładzinę. Trzeba siedzieć cicho, nie wychylać się, nie ujawniać swoich atutów - tego nauczył się w więzieniu. I przydało mu się to też na wolności. Pozwalało na załatwienie różnych spraw.

Takich jak z Judith Blaney.

Wylał zawartość kubła do zlewu na zapleczu sceny, a potem zaciągnął swój sprzęt do holu. Szykował się do wyjścia. Dochodziła szósta rano i na zewnątrz było już jasno i ciepło.

Potem pomógł zapakować sprzęt do samochodu Sweep 'Em Up, pożegnał się z resztą ekipy sprzątającej i ruszył niespiesznym krokiem w kierunku stacji metra. Miał przejechać przez Manhattan do domu. Było ciepło, bo o tej porze roku betonowe kaniony nie mogą całkiem wystygnąć podczas parnych nocy. W metrze nie pachniał może po pracy zbyt dobrze, ale potrafił unikać nieprzyjaznych spojrzeń, trzymając się na dystans od innych pasażerów.

W podziemnej stacji panował chłód. Peron był już zatłoczony. Czekali na pociąg ludzie pracy, tacy jak Jock, zmęczeni po nocnej harówce. Ujrzał też paru pijaczków, śmierdzących jeszcze gorzej niż on sam.

Ale widać też było sporo ludzi ubranych jak do biura;

niektórzy z teczkami, inni ze zwiniętymi gazetami. Zaczynali wcześniej. Chcieli się utrzymać w pracy, gdy gospodarka kulała.

Wszyscy się ożywili, gdy przez peron przetoczyła się fala powietrza. Zbliżał się pociąg, popychając przed sobą powietrze w wąskim ciemnym tunelu. Gdzieś w oddali zamigotały światła, a tłum przesunął się ku krawędzi peronu, chcąc przypuścić szturm do wagonów, gdy tylko otworzą się drzwi.

Jock nagle zorientował się, że jakiś człowiek, stojący tuż obok, trąca go łokciem. Odwrócił się, by obrzucić natręta gniewnym spojrzeniem - i zobaczył, że stoi twarzą w twarz z Rzeźnikiem.

Jock wziął głęboki oddech.

- Co, do cholery...

Rzeźnik uśmiechnął się ponuro i wręczył mu małe tekturowe pudełko, przypominające etui do taniej biżuterii.

- Pomyślałem, że powinieneś to mieć - wytłumaczył Rzeźnik - jako przypomnienie, że najlepiej będzie, jeśli nasz sekret zachowamy wyłącznie dla siebie.

Odwrócił się na pięcie i odszedł, znikając w ciżbie ludzkiej.

Jock wiedział, że zaraz będzie musiał zawalczyć o miejsce w wagonie. Pociąg już hamował. Podniósł wieczko pudełka i z początku nie wiedział, na co właściwie patrzy. Coś w rodzaju ślimaka... tylko dziwnie dużego. Dotknął tego czegoś palcem wskazującym. Było

zimne i miękkie. Czy to jakiś owoc morza? Dzięki Bogu, że już martwy.

Potem rozpoznał kontur i kolor tego czegoś - i nagle dotarło do niego, że to ludzki język.

Język Judith Blaney!

Nic innego!

Przekaz był pośredni, ale jasny: *To się stanie ludziom, którzy będą zeznawać przeciw Rzeźnikowi; tym, którzy nie potrafią dochować tajemnicy.*

Jock gwałtownie zamknął wieczko i przełknął mocno ślinę, by utrzymać w żołądku pączki zjedzone ostatniej nocy. Trochę pomogło. Musiał zacisnąć wargi i zęby, aby zdusić falę żółci, wzbierającą w przełyku.

Opadł na twarde plastikowe siedzenie, zaprojektowane jakby z myślą o tyłkach kosmitów. Pociąg dudnił w ciemnościach, a Jock trzymał pudełeczko na kolanach, w obu dłoniach, przez całą drogę do swojej stacji.

Kiedy wydostał się schodami na poziom ulicy, ruszył prędko chodnikiem, który nie zdążył się jeszcze wypełnić pieszymi. Przez cienkie podeszwy butów czuł twardość betonu.

Wrzucił pudełko do pierwszego kosza na śmieci, jaki zobaczył po drodze. I tyle. Nie obejrzał się nawet za siebie.

Dopiero później zwolnił kroku.

Był mocno spocony. Odór własnego potu przyprawił go o mdłości. Znowu poczuł przypływ żółci.

Język Judith Blaney. O Jezu!

Na chwilę - ale tylko na chwilę - zrobiło mu się jej żal. Potem pomyślał o tej kobiecie detektywie, która go przepytowała w mieszkaniu. Nie mógł sobie przypomnieć jej nazwiska. Pamiętał tylko czarne włosy i oczy, no i wielkie cycki. Choć z wyglądu tak kobieca, miała w sobie jakąś twardość. Powiedziała mu, żeby do niej zadzwonił, jeśli coś sobie przypomni albo dowie się czegoś nowego. Co by się stało, gdyby zadzwonił do niej w tej sprawie? A potem wręczył jej pudełko i oświadczył, że znalazł je w swojej skrzynce pocztowej? „Może to by coś pani powiedziało” - zasugerowałby bez uśmiechu, z nieruchomą twarzą. Twarzą więźnia. Zachowałby taki wyraz twarzy przez cały czas, obserwując jej minę, podczas gdy ona powoli zdawałaby sobie sprawę z tego, co trzyma w rękach. Pearl... No tak, tak ma na imię. Pearl jakoś tam. Pracując w takiej branży, widziała już pewnie niemało, więc może ten język nie zrobiłby na niej większego wrażenia, za to naprowadziłby ją na jakiś trop. Cholera: z babami nigdy nic nie wiadomo.

Ale nie miał ochoty wrócić i dotknąć choćby tego pudełka jeszcze raz. Chciał je wyrzucić ze swojego życia. Na zawsze.

A jednak myśl o wręczeniu go owej cycatej policjantce bawiła go. Nawet się uśmiechnął.

Rzeźnik siedział na ławce w Central Parku i wertował „Timesa” i „Post”, jak zawsze po upolowaniu kolejnej

ofiary. Oglądał też uważnie lokalne wiadomości w telewizji.

I znów nie wspomniano o wyciętym języku. Tak samo było po śmierci Candice.

Nie skąpiono jednak innych szczegółów, zwłaszcza w „Post”. Przejrzał też darmową gazetkę „City Beat”. Mimo badiuszowego papieru można tam było znaleźć pierwszorzędną ploty z Nowego Jorku. Musieli mieć szpiegów i płatnych informatorów w całym mieście. Ale nazywali to dumnie „dziennikarstwem”.

Wiedział oczywiście, skąd ten brak wzmianek o wyciętych językach. Policja blokowała informację, żeby mieć pewność, że namierzy właściwego podejrzanego. Tylko gliny i zabójca wiedzieli o brakujących językach. *Taka nasza mała tajemnica*. To mógł być atut podczas przesłuchania. Test na weryfikację podejrzanego.

Może byłaby z tego niezła zabawa, gdyby się skontaktował z policją albo jakąś gazetą czy kablówką i sam wspomniał o tych językach. Oczywiście zachowując anonimowość. Mógłby sobie zrobić jaja z policji - i z Quinna, którego uważano za jakiegoś superłowcę seryjnych morderców.

Ale nie, zdecydował. Niech się ludzą, że prowadzą w tej rozgrywce. Albo jeszcze lepiej: wpuszczę ich w kanał. To by było nawet podniecające. Udowodnię, że Quinn nie jest nawet w połowie tak sprytny, za jakiego się uważa.

W gruncie rzeczy fakt, że Quinn kieruje śledztwem, był szczęśliwym zrządzeniem losu. Rzeźnik doceniał Quinna. Ten słynny łowca seryjnych morderców był trudniejszym i ciekawszym przeciwnikiem od trutni z nowojorskiego wydziału policji. Przeciwnikiem z najwyższej półki.

Rzeźnik wyciągnął nogi, odchylił się na oparcie ławki i przymknął oczy. Poranne słońce cudownie ogrzewało mu twarz. Stwierdził, że jest dobrze. Wciśnięcie języka Jockowi Sandersonowi poszło gładko. Ten mały skurwysynek zamknie dziób na amen. Nie będzie paplał niewłaściwym ludziom o niewłaściwych rzeczach.

Oczywiście już wcześniej miał powody, by nie mówić za dużo. Ale zawsze lepiej, gdy ludzie w typie Sandersona mocno *czują*, czego im nie wolno. Krętacz i wazeliniarz bez cienia etyki czy wstydu. Oportunista. Bez poczucia honoru, bez jaj. Chodzi mu tylko o bezpieczeństwo własnej dupy. Ten odcięty język musiał na nim zrobić zamierzone wrażenie.

Było w tym też coś zabawnego: może właśnie tym językiem Judith Blaney zaszkodziła Sandersonowi najbardziej. Więc niech chłop ma. Zasłużył sobie po latach niezawinionej odsiadki.

Rzeźnik relaksował się dalej na słoneczku, czując, jak wyparowuje z niego napięcie.

Upewnił się w duchu, że w świecie panuje porządek i sprawiedliwość, a przeznaczenie jest po jego stronie.

- Teraz zafiksowany jest na tym - oświadczyła Helen Iman. Tyczkowata psycholożka, specjalistka od profilów, pochyliła się swoimi sześcioma stopami wzrostu nad biurkiem Quinna. Rozpostarte dłonie oparła na blacie. Quinn zastanawiał się, jaką długość mogą mieć jej palce. To były bez wątpienia ręce koszykarki.

- Zatem będzie wycinał języki wszystkim następnym ofiarom? - chciał wiedzieć Quinn.

Helen skinęła głową.

- W podobnych okolicznościach tak to zazwyczaj wygląda. Dwa następujące po sobie przypadki już tworzą trend.

- Fedderman popytał w rzeźniach. Ale tam nie używa się do wycinania cielakom języków tego rodzaju noży, jaki został wykorzystany przy zabójstwie ofiar.

- Masz na myśli ofiary ludzkie - zauważyła Helen. Quinn spojrzał na nią uważnie.

- Jesteś weganką, Helen?

- Nie, nie. Jestem tradycyjnie wszystkożerna. Ale kiedy się pomyśli, z czego powstają niektóre potrawy...

- Dowcip polega na tym, żeby nie myśleć za dużo o tym, co się je - pouczył ją Quinn.

- Może Rzeźnik jest w tym dobry.

Z początku Quinn nie rozumiał, o czym Helen mówi. Ale zaraz się domyślił.

- O Jezu! Nie myślisz chyba...
- ...że zabójca zjada te języki? Że to dla niego prawdziwy przysmak?
- Ha, widziałem już wiele rzeczy, które kiedyś wydawały mi się niemożliwe - przyznał Quinn.
- Nie sądzę, żeby był prawdziwym kanibalem, ale nie możemy tego wykluczyć. Wiem natomiast, że gdyby nawet nim nie był, to zdrowo by się wkurzył, słysząc w wiadomościach, że zapewne zjada fragmenty ciał swoich ofiar. Bo nawet kanibale nie lubią, gdy się ich tak nazywa. A będąc fałszywie oskarżonym, może wpaść we wściekłość i popełnić jakiś błąd.
- Tak, to mogłoby go poruszyć - zgodził się Quinn - niezależnie od tego, czy rzeczywiście zjada części ciał ofiar, czy nie.
- A więc tak czy siak mamy korzyść.
- Sądzisz zatem, że byłoby dla nas lepiej nie blokować mediom dostępu do tej informacji?
- To ty tutaj decydujesz...

Quinn popatrzył na kościstą twarz Helen. Na razie psycholożka była atrakcyjną kobietą, ale z upływem lat jej rysy zrobią się zbyt ostre i suche. Uśmiechnęła się do Quinna z wysokości swej sylwetki, podwyższonej jeszcze przez trzycalowe obcasy. Powinna być gwiazdą kobiecej koszykówki albo siatkówki. A może nawet brylować na wybiegach podczas pokazów mody.

Uśmiechnął się.

- Spotykasz się z kimś, Helen?
- A co? Jesteś zainteresowany?
- Cóż, pytam, czy to ktoś wart twojego zainteresowania...
- Ktoś taki jak świeżo odpicowany Fedderman?
- O, Feds jest porządnym człowiekiem - zapewnił Quinn.

Dowiedział się, że Helen zadaje się z pewnym prawnikiem, specjalizującym się w reprezentowaniu wdów po policjantach w sprawach o odszkodowania. A czasami robi nawet więcej, niż tylko reprezentuje. Quinn zawsze się dziwił, że kobiety nie potrafią przejrzeć takich gości, nawet w trudnych dla siebie momentach. Może to właśnie dlatego, że te momenty są trudne, a one potrzebują wówczas kogoś, komu mogłyby zaufać.

Kobiety... - pomyślał. Tak łatwo je ogłupić, choć tak trudno oszukać na co dzień.

- Może chciałabyś numer telefonu Fedsa?

Helen wyprostowała się i uśmiechnęła.

- Ja już mam jego numer, Quinn. I niepotrzebne mi żadne kombinacje.

Quinn zastanawiał się, czy zadzwonić do Renza i pogadać z nim o upublicznieniu informacji na temat języków ofiar, razem z hipotezą, że Rzeźnik jest nie tylko mordercą, ale też kanibalem. Jeśli Helen Iman ma rację, ten rodzaj „sławy” może wyprowadzić Rzeźnika

z równowagi. Sprawić, że morderca, który swą taktykę i ostrożność doprowadził do prawdziwej perfekcji, dopełni ten jeden błąd, którego tak bardzo potrzebuje Quinn i jego ekipa.

Renz mógł się zgodzić, ale mógł też nie chcieć wziąć na siebie dodatkowego ryzyka. Mógł się bać ewentualnej krytyki, że nie potrafi rozgryźć takiej bestii jak Rzeźnik.

Quinn przysunął do siebie telefon. Ale nie zadzwonił do Renza, tylko do Cindy Sellers z redakcji „City Beat”.

Sellers nie miała żadnych skrupułów i potrafiła dochować tajemnicy. Renz zapewne karmił ją już informacjami o zbrodniach Rzeźnika; była jego ulubioną sojuzniczką i totumfacką ze świata mediów. Już w wielu sprawach użył jej do rozmaitych wrzutek i manipulacji. Ale to bez znaczenia. Tych dwoje nie było przyjaciółmi. Żadne z nich nie miało prawdziwych przyjaciół. A Sellers nie brzydziła się podwójną grą. Coś takiego odwoływało się wszakże do niskich instynktów.

A tych jej chyba nie brakowało.

49.

Hogart, 2005

Z biegiem dni poczucie winy coraz bardziej ciążyło Beth. Wayne Westerley powiedział jej, gdzie teraz mieszka Salas - był to jakiś zapuszczony parking dla przyczep kempingowych koło Lorenton. Z tego co wiedział szeryf, Salas nie miał pracy.

Co więc robił? Beth to bardzo interesowało. Czy tylko leżał i nienawidził jej, oskarżając nie bez powodu o zmarnowanie mu życia?

Kobieta nie mogła tego znieść. Chciała koniecznie wiedzieć, co Salas myśli o tej całej tragedii. O pomyłce - jeśli wierzył, że to była tylko pomyłka - która kosztowała go dobre imię i parę najlepszych lat życia.

Siedziała na ganku, w bujanym fotelu, który Westerley kupił jej w restauracji Cracker Barrel, i rozmyślała o tej sprawie, a myśli kotłowały się Beth w głowie niczym muchy w zakorkowanej butelce. Nie miała innego wyjścia, niż samej spróbować dociec prawdy.

Gdy tak bujała się w fotelu, ściskając poręcze, że aż jej palce pobieleały, usłyszała samochód szeryfa Westerleya. Poznała wóz po charakterystycznym odgłosie potężnego silnika.

Słońce już zachodziło, a Beth spodziewała się tego wieczoru wizyty szeryfa. Siedziała spokojnie, kołysząc się lekko w fotelu.

Westerley z daleka posłał jej uśmiech i zaparkował swój wielki wóz tam, gdzie zwykle - za domem, gdzie był niewidoczny od strony szosy.

Usłyszała trzaśnięcie drzwiami samochodu, a potem buty Westerleya zachrzęściły na żwirze.

Beth rozjaśniła twarz, gdy wchodził na ganek. Pochylił się nad nią, a ona zatrzymała fotel. Westerley pocałował ją w czoło.

- O czym tak rozmyślałaś?
- Wolałbyś nie wiedzieć.
- Chyba nie - odparł, przyglądając się jej uważnie.

Spojrzała na pomarańczową kulę słońca, zapadającą się powoli za odległą ścianę lasu.

- Eddie w domu? - zapytał Westerley.
- Chyba już ci mówiłam, że pojechał odwiedzić swoją cioteczną babcię w St. Louis.
- A rzeczywiście, coś wspominałaś...

Wszedł do domu i po chwili wrócił z puszką piwa w rękę. Zatrzasnęły się za nim siatkowe drzwi.

- Napijesz się?

- Nie, dziękuję. - Zakołysała się znowu. Bieguny fotela zaskrzyphiały na deskach ganku.

- Nie musisz się martwić o Salasa - odezwał się Westerley. - Rozmawiałem z nim dzień po jego zwolnieniu. Nie będzie cię nękał.

- Powiedział, że mi wybaczył?

- Nie, tego nie mogę potwierdzić. W ogóle nie wspominał o swoich emocjach względem ciebie. Myślę, że tak znenawidził stan Missouri, że nie pozostało mu w sercu miejsca na nic innego. Uważa, że to stan jest mu coś winny.

- Też tak sędzę.

- Może i tak, ale nie nam o tym decydować, z wyjątkiem dnia kolejnych wyborów.

Przez chwilę bujała się w milczeniu.

- W każdym razie - podjął rozmowę - zaczynam się czuć zaniepokojony, gdy ty jesteś sama, a Eddie gdzieś daleko.

- A mnie jest dobrze - odparła Beth. Po co miała mu mówić o koszmarach sennych, wśród których żyła niby w jakimś alternatywnym świecie, i winie, co ciążyła jej niby ołowiany fartuch, używany przez dentystów podczas prześwietlania zębów.

- Słońce już się prawie schowało - zauważył Westerley. - Powinniśmy podjechać do autostrady i kupić coś do jedzenia...

- A potem tu wrócić?

- Myślałem o tym. - Uśmiechnął się do Beth. - Ty też?

- Nie musimy nigdzie jeździć. Rozmroziłam parę steków - powiedziała. - Zrobię sałatkę, a ty w tym czasie upieczesz je na grillu przed domem.

- Twój plan jest rzeczywiście lepszy - przyznał Westerley.

Podszedł do niej, pochylił się i raz jeszcze ją pocałował. Zmierzchało.

Gdy nazajutrz rano Beth obudziła sójka robiąca zamieszanie za oknem, Westerleya już nie było. Jasność dnia wyostrzała kontury nocnych cieni. Kobieta nie pamiętała, co jej się śniło, ale coś musiało. Dłonie miała czerwone i obolałe.

Pamiętała za to dobrze miniony wieczór. Odruchowo wyciągnęła rękę do miejsca, gdzie leżał Westerley, ale jej palce musnęły jedynie chłodne płótno.

Gdyby tylko jej życie zaczęło się ostatniej nocy, a nie...

Ale wspomnienia dotyku Westerleya, jego ciepłego oddechu przy jej uchu... rozplynęły się. Natychmiast zmarkotniała.

Salas. Nie mogła wytrzymać kwadransa, żeby nie pomyśleć o Vincencie Salasie - i o tym, co mu zrobiła. Nikt, nawet Westerley, nie mógł tego zmienić. Dźwigała na sobie to jarzmo przeszłości i nie potrafiła się od niego uwolnić.

Poczuła, że jej twarz drętwieje i wykrzywia się. Zanosiło się na niespodziewany i niekontrolowany atak szloch. Coś takiego nie trwało nigdy dłużej niż minutę czy dwie, ale przydarzało się coraz częściej. Wzięła głęboki oddech i wstrzymała powietrze tak długo, aż poczuła, że wraca do równowagi. Odruch płaczu ustąpił. Wiedziała, że musi coś z tym zrobić. To mogło ją dopaść wśród ludzi. A nie mogła sobie na to pozwolić.

Staw czoło swoim lękom.

Tak jej powiedziała psycholożka przysłana przez władze stanowe. Bardzo jej pomogła po tym, jak Salas... to znaczy: jak została zgwałcona.

I to właśnie postanowiła zrobić Beth owego ranka: stawić czoło swoim lękom i żalom w osobie Vincenta Salasa. Wiedziała, tak jak Salas, że nic już nie zaleczy krzywd, jakie wyniknęły z jej fałszywego zarzutu.

Pozostawało jedynie wyjaśnić temu człowiekowi, jak strasznie się Beth czuje od czasu, gdy wyszło na jaw... gdy się okazało, co uczyniła. To nie był jakiś epizod bez znaczenia, jak krótki letni deszcz. Musiała Salasa za to przeprosić. Przynajmniej tyle mogła dla niego zrobić. Nawet jeśli nie przyjmie przeprosin, może przynajmniej jej to ulży i nie będzie się tak męczyć w bezsenne noce.

A więc robię to dla siebie?

Może. A może dla nas obojga. Może to jakoś ułoży nasze relacje.

Wzięła prysznic, ubrała się szybko i uczesała. Zda-
wało jej się, że więcej niż zwykle włosów pozostało na
grzebieniu. Czy przez ten strach i wyrzuty sumienia
zaczęła tracić włosy? Widziała coś takiego u pewnej
nieszczęśliwej kobiety, która prowadziła kiedyś salon
piękności w Hogart.

Nie była głodna, ale zmusiła się do przełknięcia tosta
i wypicia kawy. Przed wyjściem z domu przejrzała się
dłużej w lustrze. Zobaczyła kobietę wychudłą, starszą,
niż pamiętała, jakby coś ją toczyło od wewnątrz. Poczucie
winy było niczym kwas zżerający ją żywcem.

Tak, trzeba było działać. *Coś* zrobić.

Zamknęła za sobą drzwi frontowe i poszła do garażu.
Szerokie drewniane odrzwia otwarły się na bok, a kiedy
odciągała drugą połąć, zawieszoną na zardzewiałych
zawiasach, coś przeleciało z głośnym buczeniem tuż
koło jej ucha, aż się wzdrygnęła. Szerszenie zbudowały
sobie gniazdo w garażu, tak jak wina zadomowiła się w
jej umyśle.

Gdy Roy od niej odszedł, zabrał ze sobą stosunkowo
nowego forda pick-upa. Beth została ze starym plymou-
them. Wciąż nim jeździła, choć na liczniku miał już
ponad dwieście tysięcy mil. Ale nadal wyglądał porząd-
nie i sprawował się nieźle - nie licząc monotonnego
pisku, wydobywającego się gdzieś spod deski rozdziel-
czej. Westerley powiedział Beth, żeby się tym nie
przejmowała, bo to nic poważnego.

Teraz wsiadła do samochodu i poczuła ulgę, choć nie zaskoczenie, gdy wóz od razu zapalił. Przez parę minut trzymała go na jałowym biegu, a potem wyprowadziła z garażu. Poranek był pogodny, ale o tej porze roku z pogodą nigdy nic nie wiadomo. Wsiadła z wozu i starannie zamknęła garaż na wypadek burzy albo ulewy.

Na szosie poczuła się lepiej. Nie zanosilo się na deszcz. Wyglądało na to, że utrzyma się piękna pogoda, a ona i Vincent Salas odbędą cywilizowaną rozmowę i dojdą do porozumienia.

Wyjechawszy na między stanową, dostała się do Lorenton w czasie krótszym niż godzina. Dochodziła dziesiąta, więc Salas powinien być już na chodzie. Westerley powiedział, gdzie mężczyzna dokładnie mieszka - w przyczepie trzeciej na lewo od wejścia. Była podobno szara z niebieskim pasem.

To *wrak*, określił Westerley tę przyczepę. Beth pomyślała, że człowiek wychodzący z więzienia nie może sobie pozwolić na nic lepszego. Ciekawiło ją, czy Salas znalazł jakąś robotę. Jeśli nie, mogłaby mu pomóc, a przynajmniej zaoferować pomoc.

Było tyle rzeczy do zrobienia. I do obgadania.

Kiedy honda wypłynęła gładko na asfaltową autostradę, w głowie Beth wciąż kotłowały się myśli. Układała sobie rozmowę, zastanawiając się, jak nią sterować we właściwym kierunku.

Na jakiś smętny sposób ona i Salas potrzebowali się nawzajem. On mógł skorzystać z pomocy Beth w

odnalezieniu się znów w otaczającej rzeczywistości, a jej pomogłoby jego wybaczenie.

Ale nie powinien się w tym dopatrywać jakiegoś układu, transakcji wymiennej.

W Lorenton Beth bez trudu znalazła parking dla przyczep. Nosił nazwę Siedlisko pod Dębami. Brzmiało to całkiem elegancko.

Ale nie było tu wcale elegancko. Beth zauważyła jedynie trochę bluszczy wśród anemicznych klonów. Brama, przez którą wjechała, nie była właściwie bramą, tylko metalowym, przeżartym przez rdzę łukiem z polamanymi ślimacznicami, porośniętymi winoroślą.

Zobaczyła przyczepę Salasa: brudnoszarą z wyblakłym niebieskim szlaczkiem. Jej koła osłonięto drewnianą kratownicą, obrośniętą taką samą winoroślą jak brama. Drewniane schody prowadziły do drzwi z siatkowym ekranem. Wszystkie okna przyczepy były zamalowane albo zasłonięte. Wyglądała na opuszczoną.

Beth wysiadła z wozu i podeszła do schodów. Przy najniższym stopniu pełno było petów, jakby ktoś miał zwyczaj przesiadywać tu i palić. Poczowała, jak ciężkie brzemie winy zmienia się nagle w strach. Chyba zwaśniowała, żeby tu przyjeżdżać. Ten mężczyzna miał wszelkie powody, by jej nienawidzić, a nawet zrobić jej krzywdę.

Mogła jeszcze zawrócić i wsiąść do samochodu, ale usłyszała jakiś kobiecy głos: „On tam jest”.

Odwróciła się i zobaczyła kręłą kobietę o zmierzwionych siwych włosach, zmierzającą ku niej. Poruszała się powoli, jakby bolała ją noga. Dźwigała niebieski jajowaty prodiż bez wieczka.

Kobieta zatrzymała się jakieś dwadzieścia stóp od Beth, trzymając prodiż w obu rękach. Za nią stała przyczepa, z której musiała wyjść. Jej drzwi były otwarte. Zawieszono w nich postrzępioną zieloną zastonkę. Nad dwoma oknami umocowano jakby nowsze markizy. Koło schodów leżał na boku zardzewiały trójkołowy rower.

- No dalej, zapukaj - zachęciła kobieta. - On tam jest. Słyszałam, jak wrócił w nocy. Nie dało się tego nie słyszeć. - Odeszła parę kroków w bok i wylała w krzaki tłustą ciecz z prodiża. - On tam jest - powtórzyła, ukazując kolekcję złotych pieńków w ustach. Obrzuciła Beth wzrokiem. - Chyba ma jakieś towarzystwo - dodała i wróciła do swojej przyczepy.

Beth postanowiła się nie wycofywać. Weszła na schodki przyczepy i nacisnęła dzwonek. Tak jak przypuszczała, nie działał. Zastukała trzy razy w metalową ramę siatkowych drzwi.

Usłyszała jakieś słabe odgłosy z wnętrza. Potem otworzyły się drzwi za siatką i ukazał się Salas. Wpatrywał się w Beth.

Przez gęstą siatkę widać było tylko ogólny zarys sylwetki. Nie była tak potężna, jak ją kobieta zapamiętała, ale wciąż masywna. W więzieniu Salas zachował

chyba masę mięśniową gdzie trzeba. Gdyby nie miał na sobie białego podkoszulka bez rękawów, byłby prawie niewidoczny.

- Czego chcesz? - spytał zachrypniętym głosem, sugerującym, że chyba go jednak obudziła.

Próbowała wydobyć z siebie słowa, by przemówić do tej groźnej ciemnej postaci, spoglądającej na nią z góry ze spokojem znamionującym wewnętrzną równowagę i swego rodzaju poczucie wyższości. To *ona* kłamała. To *ona* spowodowała tę tragedię. Nawet jej mąż Roy tak powiedział, nim ją zostawił.

Salas nie ruszył się, żeby otworzyć drzwi albo zaprosić ją do środka. Nie wyszedł też na zewnątrz. Nie tak to sobie wszystko wyobrażała.

- Ja jestem... - wyjąkała.

- Wiem, kim jesteś.

- Pomyślałam, że chyba powinniśmy pomówić.

Milczał chwilę.

- No to mów.

- Przyjechałam tu, żeby cię zapewnić...

O Boże, czy to miało jakiś sens?

Mroczna postać za drzwiami nie odzywała się.

Beth nie poddała się. Przecież po to tu przyjechała.

- Kiedy cię zidentyfikowałam podczas policyjnego okazania, no i w sądzie, mogłabym przysiąc, że wskazałam właściwego człowieka...

- No i przysięgłaś.

- Nie wiem, jak mogłam popełnić taką pomyłkę. Więc... - zrobiła głęboki oddech - ...naprawdę cię przepaszam.

Nic nie odpowiedział. Nawet się nie poruszył.

- Strasznie... strasznie mi przykro - dodała Beth. - Wiem, że to dla ciebie niewiele znaczy, wzięwszy pod uwagę wszystko, co się stało, ale chciałam, żebyś wiedział...

Zamknął drzwi przyczepy i stała teraz sama na schodach.

Tkwiła tam przez minutę czy nawet dłużej, z rękoma wzdłuż boków i opuszczoną głową, jakby czekała na zmiłowanie jakiegoś boga.

Gdy schodziła ze stopni, potknęła się i o mało nie upadła na twardą, spaloną ziemię.

Ledwie pamiętała drogę powrotną. Wydawało jej się, że w jakiś niezwykły sposób znalazła się przed własnym garażem, w samochodzie z wyłączonym silnikiem.

I zdała sobie sprawę, że płacze.

Wiedziała, że nic się nie zmieniło, ale że wszystko musi się zmienić.

Zaparkowała samochód i trzasnęła drzwiami - a potem musiała uciekać przed szerszeniami.

50.

Nowy Jork, obecnie

Rzeźnik siedział zgarbiony nad swoją czekoladową latte przy stoliku na zewnątrz Starbucks i wpatrywał się w egzemplarz „City Beat”, wyciągnięty z dystrybutora przy sąsiedniej ulicy. Ta darmowa gazetka leżała na stosiku innych gazet, które kupił tego ranka. Rozwścieczył go nagłówek:

„Rzeźnik - rozpruwacz i kanibal”.

Co jest?!

Czytał, nie zważając na potok ludzi, mijających go na chodniku, hałas i spaliny samochodów, a także poranne słońce, które coraz mocniej nagrzewało okrągły metalowy stolik. Nie mógł się oderwać od lektury.

...przedstawiciele władz, pragnący zachować anonimowość... ujawnili... wycinał swoim ofiarom języki w celu ich ugotowania i spożycia.

Zrobiło mu się niedobrze. Odsunął od siebie kawę i oparł się łokciami o gorący metalowy stolik. Jak ktoś

mógł w *coś takiego* uwierzyć? Na jakiej podstawie ktoś wyciągnął takie wnioski? Tak kłamać na jego temat?!

Kanibalizm! Chore sukinsyny!

Quinn! To musi być jego robota. On dobrze wie, że to nieprawda. Nie ma żadnych podstaw do rozpowszechniania takich bredni.

To czyste kurewstwo!

A więc Quinn. Udało mu się puścić w świat tę bujdę. I uzyskał reakcję dokładnie taką, jakiej oczekiwał. Przecież jego zamiarem było zaleźć Rzeźnikowi za skórę. *Za skórę Rzeźnika.*

Ale niedoczekanie jego... To się Quinnowi nie udało!

Uspokoił się, gdy zrozumiał, a przynajmniej wysunął hipotezę, dlaczego obciążono go tak absurdalnym zarzutem. Teraz musiał opracować strategię dalszych działań. Co powinien zrobić? Pozwać Quinna o zniesławienie? *Nie, Wysoki Sądzie! Co jak co, ale nigdy nie zjadalem języków tych kobiet.*

Uśmiechnął się do siebie. Da sobie radę.

To był chytry cios poniżej pasa. Quinn chciał go niewątpliwie wkurzyć, żeby przestał być taki ostrożny.

Ale to nie zadziała. Niech sobie gazety drukują, co chcą. Niech te gadające głowy w telewizji gęgają, co im ślina na język przyniesie. Rzeźnik zna przecież prawdę. I Quinn też ją zna. Dwóch mężczyzn toczyło śmiertelną walkę, której areną było to miasto.

Jak do tej pory Rzeźnik był górą.

I pragnął, żeby tak zostało.

Teraz, gdy zyskał jakąś orientację w sytuacji, oddychał już spokojniej. Jego wściekłość zrobiła się lodowata.

Pomyślał o swojej latte.

Zaniósł kubek do środka lokalu i oświadczył przyczatemu chłopakowi za kontuarem, że kawa była zimna już w chwili podania. Chłopak usłyszał jego głos, spojrzął mu w twarz i bez protestów postawił przed klientem świeżą, bardzo gorącą.

Rzeźnik wrócił do stolika i jeszcze przez chwilę przeglądał gazety. *Prawdziwe* gazety, takie jak „Times”, „Post” czy „Daily News”, nie złapały się jeszcze na ten ludożerczy haczyk. Ale Rzeźnik wiedział, że to tylko kwestia czasu. To było nieuniknione. Potem tę sensację podchwycą telewizje (o ile już tego nie zrobiły), a ludzie będą o tym gadać jak najęci.

Dopiero zacznie się mielenie językami na temat tych języków.

Rzeźnik roześmiał się, ubawiony tą przypadkową grą słów.

Śmiech! Czy na to liczyłeś, Quinti?

- To prawda? - zapytał Quinna Jerry Lido.

Byli w biurze. Klimatyzator nie radził sobie z upałem. Vitali i Mishkin dopiero co wyszli, żeby przepytac kolejnych dwóch mężczyzn z listy trzydziestu dwóch

potencjalnych morderców. Lido właśnie przyszedł. Tego ranka wyglądał całkiem schludnie - przynajmniej jak na Jerry'ego Lido. Miał na sobie granatową żeglarską marynarkę, białą koszulę i krawat w ukośne czerwone, niebieskie i szare paski, w którym wyglądał jak uczeń jakiejś szanownej brytyjskiej szkoły. Nawet spodnie miał wyprasowane.

- No, to o Rzeźniku i językach... - naciskał. - O kanibalizmie. Słyszałem to w wiadomościach telewizyjnych.

Tak szybko?

- Cóż, rzeczywiście. To może być prawda.

- Ale my się chyba nie zajmujemy rzeczami, które *mogą* być prawdą.

- Przynajmniej staramy się tego nie robić.

- No więc?

Quinn spojrzał na niego.

- Co „więc”?

Lido zrozumiał.

- Cicho sza - powiedział. - Nie powinienem pytać.

- Kto pyta, nie błądzi - rzucił Quinn.

- Też tak myślałem, zanim się ożeniłem.

- No cóż...

Lido przysiadł na skraju biurka Pearl. Czuł się tu coraz bardziej jak w domu.

- A co z tobą i Pearl?

- Pod jakim względem? - spytał Quinn. - Masz na myśli małżeństwo? Pearl się jakoś do tego nie pali...

- A ty?
- Cicho sza! - powtórzył Quinn za Jerrym z przy-
mrużeniem oka.
- Aha! - Lido rozejrzał się dokoła, jakby się nagle
zdziwił, że jest w tym miejscu.
- Quinn znał to spojrzenie. Wiedział, co znaczy.
- Jadłeś już śniadanie, Quinn?
- Oczywiście.
- Zatem nie będzie za wcześnie wyskoczyć za róg
na małego drinka.
- Jerry, jest dziesiąta rano...
- W *tej* strefie czasowej.

Quinn się zastanowił. Pearl niedługo tu będzie. To mogło być dobre posunięcie: wyjść we dwóch, zanim ona tutaj wparuje. O ile zdecydują się zignorować strefy czasowe.

Pearl nie byłaby zachwycona drinkami o dziesiątej rano. Wciąż nie podobało jej się to, co Quinn robił w towarzystwie Jerry'ego Lido. I *dla* Jerry'ego Lido. Może i miała swoje racje, ale zdaniem Quinna niedostateczne. Ginęły kobiety i niemal na pewno pojawią się dalsze ofiary. A od Quinna i jego zespołu oczekiwano, że po-
łożą temu kres.

Proste?

- Czemu nie? - zdecydował się. - Jeden drink nas
nie zabije.
- Ani dwa...

Quinn zostawił dla Pearl wiadomość, że niedługo wróci. Nie wspomniał, dokąd się wybiera.

Fedderman wkradł się niepostrzeżenie i zaskoczył Penny w dziale biografii. Chyba ucieszyła się na jego widok. Tego dnia nosiła dopasowaną fioletową letnią sukienkę i białe czółenka na niskim obcasie. Na szyi miała jakiś cienki srebrny łańcuszek. Fedderman był w garniturze.

Penny pachniała cynamonem, starymi książkami i perfumowanym szamponem. Fedderman wciągnął w nozdrza ten zapach i zapisał go w pamięci.

Pocałował Penny w czoło. Jej skóra była lekko wilgotna, choć w bibliotece nie było wcale gorąco.

- Myślałem, że pracujesz w dziale informacji...

- Jestem pracownikiem uniwersalnym - poinformowała Penny - My, bibliotekarze, zostaliśmy do tego zmuszeni w obliczu całego tego postępu technicznego.

- Znów narzekasz?

- Nie powinnam. Przecież wciąż mam pracę.

Dotknęła lekko wierzchu jego dłoni.

- I mam dla kogo żyć. Myślę, że oboje mamy.

- Właśnie dlatego przyszedłem się z tobą zobaczyć.

- Taak? - Spojrzała na niego z zainteresowaniem i oczekiwaniem.

- Właśnie tak - potwierdził Fedderman. - Dlatego tu jestem.

Penny roześmiała się.

- A mnie się wydawało, że już od paru godzin powinienes być w pracy.

- Nasz czas pracy nie jest regulowany. - Uniósł brew. - Ja też jestem elastyczny.

Penny pokręciła głową.

- Wciąż dostrzegam w tobie nowe cechy, Feds. Cechy, które lubię. Ale to nie znaczy, że lubię wszystkie twoje żarty.

Rozejrzała się po czytelnii, wzięła jakąś książkę z wózka i wsunęła ją we właściwe miejsce na półce, pomiędzy biografiami Truffauta i Trumana.

- Może nie powinnam o to pytać, ale czy nasza znajomość nie odwraca zanadto twojej uwagi od śledztwa?

- Od Rzeźnika? Myślę, że ty, Penny, jesteś ważniejsza.

- Nie sądzę. Nie zapominaj, Feds, że on zamordował moją siostrę.

Fedderman zawstydził się. Oczywiście miała rację. Tyle się spodziewał po ich związku, że zapomniął, iż poznali się niejako kosztem życia Nory Noon.

- Masz rację, Pen. Cholerka... Przepraszam.

- Nie ma za co. Ale po prostu w tej akurat chwili nie chciałabym cię odrywać od pracy. Zwłaszcza że chodzi o powstrzymanie bestii, która zamordowała Norę.

- Dużo o tym myślisz? - spytał Fedderman.

- Co chwila. I ciężko mi z myślą, że morderca chodzi sobie wolno, śledząc pewnie kolejne kobiety. Może nawet mnie.

Fedderman uścisnął jej ramię.

- Sama w to nie wierzysz, Pen...

- A dlaczego nie? Zabił moją siostrę.

- My wiemy, jak działają seryjni mordercy. Oni zabijają pod wpływem wewnętrznego przymusu. Ten impuls jest wyzwalany w sposób, którego oni sami nie rozumieją. W przypadku seryjnego mordercy zaatakowanie sióstr jest wysoce nieprawdopodobne.

- Mówisz, że on działa pod wpływem wewnętrznego przymusu. Może dojrzał w Norze coś, co kazało mu ją zabić. To samo mógł dostrzec we mnie.

- Pen, to po prostu nocne koszmary. Nie przenosisz ich na jawę.

- Czasami się boję - wyznała Penny. - Wiem, że to głupio brzmi, ale...

Pochylił się i musnął ustami jej wargi.

- Nie, to wcale nie brzmi głupio. To brzmi po ludzku. Nic dziwnego, że tak to odczuwasz. Ale uwierz mi, Pen, to nieprawdopodobne.

Fedderman musiał jednak przyznać, że w jej rozumowaniu coś jest. Nigdy wcześniej nie zwrócił na to uwagi. Ale rozumiał, że w sytuacji Penny, w żalu za siostrą, można tak myśleć.

- To się wydaje możliwe tylko w nocy, po ciemku - powiedziała.

- Jak wiele innych rzeczy - zauważył Fedderman, myśląc o własnym świecie koszmarów, usytuowanym gdzieś między snem a jawą, o obrazach przemocy, jakie wtedy widywał, o krwi i twarzach zmarłych. Z upływem lat te wizje ukazywały się coraz częściej.

Penny posłała Fedsowi uśmiech, który jakby sfrunął z jej twarzy.

- Nie chcę, żebyś się o mnie martwił.
- Dziwna rzecz, ale ja chcę się o ciebie martwić.

Westchnęła.

- No tak. Tak to działa. A ja chcę się martwić o ciebie. Miłość i strach to papużki nierozłączki.

Spróbował znów ją pocałować, ale uchyliła się z uśmiechem.

- Myślę, że powinieneś wracać do pracy, Feds.
- Naprawdę tak myślisz?
- Zdrowy rozsądek mi to podpowiada.
- Całe życie wmawiałem sobie, że trzeba go słuchać. - Spojrzał jej w oczy. - Nie chcę, żebyś poruszała się w ciągłym strachu.

- Nie. Ruszam się ciągle, żeby mieć nadal pracę.

Pokiwał głową, zadowolony, że wciąż ją stać na żarty. Ktoś wszedł do czytelní, więc nie pocałowali się na pożegnanie, lecz tylko dotknęli dłońmi.

Gdy Fedderman przechodził do wyjścia, panna Culver posłała mu znad okularów pełne przygany spojrzenie. Czyniła tak zresztą zawsze, gdy wchodził do biblioteki lub ją opuszczał. Zastanawiał się, czy panna

Culver robi to rozmyślnie. Czy rzeczywiście darzy go taką niechęcią?

Może wiedziała o nim więcej niż on sam?

51.

Weaver włożyła tani plastikowy płaszcz przeciwdeszczowy. Ale tak musiało być. Nie przejmowała się przynajmniej, że nie ma parasolki, by ochronić się przed kapuśniaczkim padającym wciąż z ciemnego nieba. Parasolka mogłaby zwrócić czyjąś uwagę.

Wieczór był wciąż ciepły, ale wiatr ciągnący kamiennymi kanionami miasta niósł chłód. Weaver znalazła suche - na razie - miejsce: wnękę bramy w opuszczonym budynku naprzeciw domu Jocka Sandersona. Pomyślała, że tę jego ruderę powinni rozebrać już parę dziesięcioleci temu.

Weaver przeczytała notatki i raport Pearl. Była zniechęcona jej sprawozdaniem z rozmowy z Sandersonem.

Jock Sanderson miał wszelkie powody, by zabić Judith Blaney. Weaver dostała nawet nakaz jego zatrzymania. Owszem, posiadał mocne alibi na czas śmierci Blaney, ale co z tego? Weaver nie wątpiła, że Pearl

okazała się wobec niego zbyt wielkoduszna, by nie powiedzieć: łatwowierna.

Nietrudno to było wyczytać między wierszami. Zamiast opisać drobnego pijaczka w gównianym mieszkanku, Pearl nakreśliła postać romantycznego outsidera, ukrywającego się przed bezdusznym społeczeństwem. Zdaniem Weaver, ten dupek zagrał na Pearl jak na fortepianie, wzbudzając jej współczucie i przeciągając ją krok po kroku na swoją stronę.

No i jak się skończyła ich rozmowa? Pearl niemal przeproszała, że niepokoiła zanego obywatela w jego skromnym azylu.

Może zresztą miała rację, zakładając tak pochopnie niewinność Sandersona. Weaver jednak sądziła, że mogło być inaczej i że to Sanderson zabił Judith Blaney. Czy był Rzeźnikiem - to już inna sprawa. Mógł sam wpaść na to obcinanie języków i podszyć się pod Rzeźnika, żeby morderstwo Judith Blaney wyglądało na kolejną zbrodnię seryjnego mordercy.

Weaver postanowiła sama rozstrzygnąć te wątpliwości.

Oczywiście uważała to też za sposobność, by wykazać się inicjatywą i dowieść paru innym detektywom - a szczególnie Pearl - że nie należą do najbardziej kompetentnych. Jeśli udałoby jej się zadziałać na własny rachunek i przyskrzynić Rzeźnika, miałyby karierę w kieszeni. Renz w każdym razie tak by to widział.

Pearl dała się nabrać. Trafia się więc dobra okazja, którą Weaver zamierzała wykorzystać.

Wyprostowała się i zamarła w bezruchu na widok ciemnej sylwetki wynurzającej się z kamienicy. Mężczyzna. Miał na sobie czarny lub granatowy płaszcz przeciwdeszczowy i beret czy jakieś podobne nakrycie głowy, w każdym razie też ciemne. Zbiegł po schodach na chodnik szybkimi, zręcznymi susami, sugerującymi, że dobrze zna te betonowe, teraz mokre, stopnie.

Gdy się odwrócił i przeszedł pod latarnią uliczną, Weaver była już pewna, że to Jock Sanderson.

Przyśpieszył kroku i Weaver musiała się mocno śpieszyć, by go nie zgubić. Prawie nie zauważyła, że deszczówka wlewa jej się za kołnierz.

Sanderson zszedł na stację metra i posługując się MetroCard, przeszedł przez bramkę. Weaver tuż za nim.

Peron był zatłoczony, a pociąg wjechał z hukiem i gwizdem hamulców, zatrzymując się raptownie, tak że wagony się zatrzęśły. Weaver wiedziała, że zaraz znacznie się szturm do drzwi.

Skład zatrzymał się z dudnieniem i sykiem. Drzwi się rozsunęły i do środka wlały się potoki pasażerów. Niektórzy czekali cierpliwie na swoją kolej, inni wpychali się z boku.

Było wiele zamieszania. Weaver rozejrzała się wokół i zobaczyła, że Sanderson wsiada do wagonu za nią.

Wywinęła się z kolejki, żeby znaleźć się w jego wagonie. I wepchnęła się tam, razem z masą ludzi chwytających się wszelkich poręczy i słupków. Zrobiła to tak energicznie, że kilka osób zwróciło na nią uwagę. Jakaś kobieta, przyciskająca do piersi parę toreb z zakupami, pokazała nawet Weaver środkowy palec.

Ale ona miała to gdzieś. Martwiło ją tylko, że nie mogła dojrzeć Sandersona. Pociąg ruszył i masa ciał zafalowała. Weaver nie lubiła tych wszystkich nieświeżych oddechów, tego smrodu ciał zmieszanego z zapachem mokrych ubrań i włosów. Żałowała, że Sanderson nie wziął taksówki. Mogłaby za nim pojechać w drugiej - cieplej i suchej. Jak to się robi w książkach albo filmach.

Pociąg kołysał się i trząsł na zakrętach, aż pewien mężczyzna nadepnął Weaver na duży palec u stopy. Inny niemal stracił równowagę i oparł się na niej. Ale nie wyglądało, żeby miał ochotę się wyprostować. Stwierdziła, że to on jest źródłem paskudnego oddechu.

Pociąg zatrzymał się i zabrał jeszcze więcej pasażerów. Weaver obserwowała jak najuważniej drzwi, ale nie zauważyła wysiadającego Sandersona. Wyglądała za otwarte drzwi i przez okno, ale go nie zobaczyła.

Następna stacja była pod Czterdziestą Drugą. Panował tu duży ruch. Wysiadło tylko paru pasażerów, za to dobiło mnóstwo. Ale nie do wagonu Weaver, bo ten był

już zapchany do maksimum. Widziała, że parę osób próbowało się wdrzeć, ale zmieniło zdanie i ruszyło ku innym wagonom.

Podobnie wyglądało również na kolejnych stacjach. Lecz powoli pasażerowie wysiadający stali się liczniejsi od wsiadających. Weaver upewniła się, że Sanderson wciąż siedzi z tyłu wagonu.

Zgubiła go pod Trzydziestą Czwartą. Zerwał się z siedzenia i ruszył do drzwi niemal natychmiast, gdy się otworzyły. Weaver potrzebowała natomiast paru sekund, by przepchnąć się do najbliższego wyjścia i wy dostać na peron.

Było tam zbyt wielu ludzi, by mogła odszukać go wzrokiem. Podeszła do schodów wiodących na ulicę, ale ani na schodach, ani na ulicy nie dostrzegła ani śladu Sandersona.

Weaver rozejrzała się na wszystkie strony, a potem stanęła. Czuła krople chłodnego deszczu na twarzy i zastanawiała się, co dalej robić.

A potem spostrzegła nagle Sandersona po drugiej stronie Trzydziestej Czwartej. Szedł pod wiatr, trzymając parasol przed sobą, jak wiatrochron.

Sunął chodnikiem powoli, mimo deszczu nie śpieszył się. Jakby spacerował bez wyraźnego celu, zatrzymywał się od czasu do czasu przed wystawami sklepów.

Weaver ruszyła za nim, udając, że też ogląda witryny.

Minęli tak parę przecznic. Weaver trzymała dystans, by Sanderson jej nie zauważył. W śledzeniu była dobra i nie obawiała się, że Jock zorientuje się, co jest grane. Nie zachowywał się zresztą jak ktoś, kto chce zgubić „ogon”, ale nie poruszał się też całkiem naturalnie. Było coś szczególnego w sposobie, w jaki kroczył - lekko pochylony, z parasolem trzymanym wciąż pod tym samym kątem, skupiony na czymś przed sobą.

Sanderson za kimś szedł, całkowicie skupiony na tym, żeby tego kogoś nie stracić z oczu. Był tak skoncentrowany na swoim celu, jakby od tego zależało jego życie. Albo życie kogoś innego.

Zrozumiała to teraz. On też kogoś śledził.

Weaver trochę przyśpieszyła. Serce również jej biło szybciej. Sanderson kogoś śledził. W porządku. Nie szedł za kimś, tylko go śledził. Widać to było po jego kroku i zachowaniu. Weaver wytrzymała wzrok, by w zapadających ciemnościach i nieustającym deszczu dojrzeć osobę, którą tropi Sanderson, ale bez powodzenia.

Ktoś taki jednak musiał być, tylko ta pogoda...

Skręcili parę razy. Tu już nie było wystaw sklepowych. Minęli zamkniętą pralnię chemiczną, nieczynną restaurację i jakiś dawny lokal partyjny, teraz do wynajęcia. Podarty plakat z uśmiechniętym kandydatem przypomniał Weaver, że przyszłość nie zawsze bywa

taka różowa, jak nam się wydaje. Facet przegrał z krete-
sem w ostatnich wyborach.

Na ulicy było ledwie kilku przechodniów.

A potem Weaver zauważyła, że została sama.

Nie, nie sama!

Usłyszała jakiś szelest i wyczuła ruch za sobą, po
lewej. Już się odwracała, ale nie zdążyła. Coś walnęło ją
w kark i upadła na mokry trotuar.

Spojrzała w górę i zobaczyła mężczyznę w ciemnym
płaszczu i kominiarce skrywającej całą twarz prócz
oczu i ust. W prawej ręce dzierżył jakąś pałkę czy kij.

Gdy spróbowała się podnieść, szturchnął ją mocno tą
pałką pod żebra. Ból przeszył prawy bok Weaver, ale
nie powalił jej znów na ziemię. Wręcz przeciwnie, rzu-
ciła się z pazurami do twarzy napastnika. Nie trafiła, co
prawda, w jego oczy, ale czuła, że przeorała mu skórę.

Znów był nad nią z tą pałką - chyba policyjną!

Czy ten facet fest glina?

Niezależnie od tego, kim był, zwinął się mocno.
Jeszcze raz trzasnął Weaver w poprzek pleców. Od sa-
mego odgłosu zrobiło jej się słabo. Ale znów się po-
dźwignęła i spróbowała złapać oddech. Momentalnie
dopadł ją ból.

A potem jeszcze większy ból eksplodował z tyłu
głowy. Zrobiło jej się ciemno przed oczami, jakby
uliczne latarnie gasły jedna po drugiej.

Poczuła coś jakby amoniak. Ktoś trzymał ją za rękę. Przez chwilę myślała, że ją ratują, wyciągają z ciemności, w którą wpadła. Ale zaraz potem zdała sobie sprawę, że to napastnik czyści jej paznokcie, żeby nie zachowały się tam ślady jego DNA. Nie chciał, by je odnaleźli w kostnicy.

O Boże! W kostnicy!

Gdy zapadła się w ciemność, jej ostatnim wspomnieniem było błotniste mlaskanie podeszew na mokrym betonie i cichy, ale rytmiczny chlupot deszczu.

Słyszała ten odgłos często i potrafiła go rozpoznać.

Ktoś uciekał.

Przed laty jakiś sezonowy robotnik ostrzegł Weaver, żeby uważała, co mówi, gdy jej matka umierała na szpitalnym łóżku.

Bo samo *brzmienie* niektórych słów jest ostatecznym sygnałem, żeby odejść.

Czy ja umieram?

52.

Rzeźnik siedział w CityGroup Atrium, popijając egg cream. W tym niby-jajecznym kremie nie było żadnych jajek - i to było jednym z powodów, dla których Rzeźnik tak lubił ten koktajl. Bo był pomysłowy i zwodniczy. Możliwe, że większość ludzi, którzy go pili, zwłaszcza tych spoza miasta, sądziła, że konsumuje jajka. Uśmiechnął się. Panowało wiele przesądów na temat potraw, które ludzie spożywają w tym mieście.

Popijał i smakował. Tak, ten „jajeczny” krem był mylący. Symbolizował zwodniczy i fałszywy świat, w którym ludzie żyli, a w każdym razie - w którym wydawało im się, że żyją. On nauczył się jednak już dawno, że ilu ludzi, tyle światów. Każdy, kto miał dość oleju w głowie, wpadał szybko na myśl, by stworzyć sobie własny świat i w nim żyć. I świat ten nie był wcale mniej zobowiązujący od tak zwanej rzeczywistości. To był jednostkowy świat ducha i umysłu. Nie było w

tym nie mistycznego - po prostu inna rzeczywistość, którą się wybierało. Nie wchodziło się w powszechne złudzenia. Znaczenie miało jedynie kilka pierwotnych, odwiecznych zasad. Tylko prawdziwa realność, zagrzebana głęboko w ludzkiej psychce, w psychce każdej żyjącej istoty.

Wyssał do końca plastikową słomkę, aż do gulgozającego dźwięku, obwieszczającego, że egg cream definitywnie się skończył.

Postanowił, że czas przestać myśleć o takich głupstwach. Nie czas to ani miejsce na snucie egzystencjalnych hipotez. Trzeba się skupić na rzeczywistości Quinna, utrzymać tego cwane go gliniarza w świecie kontrolowanym przez Rzeźnika. Różni ludzie mają różne światy. A jeśli świat Quinna i jego wejdą w styczność w określonej sytuacji, wszystko dobrze się ułoży.

Zastanawiał się, czy policjantka, którą pobił, przeżyła. I czy - jeśli żyje - zrozumiała lekcję, jakiej jej udzielił. Czy zdoła jeszcze wrócić do gry? Czy też Quinn stracił jednego ze swoich ludzi?

Rzeźnik pobił ją pałką do opon. To narzędzie używane przez kierowców ciężarówek do kontrolowania ciśnienia w oponach. Kupił je na stacji benzynowej, gdzie mieściła się restauracja, odwiedzana licznie przez kierowców (co świadczyło, że dają tam dobrze jeść). Przyrząd spodobał mu się, bo przypominał staroświecką pałkę policyjną. Miał nawet dociążony koniec i skórzaną pętlę, żeby nie wypadła z ręki. Broń nieskomplikowana,

ale skuteczna. Wystarczyło spytać tę policjantkę.

Zebrał ze stołu serwetkę, filiżankę i pogniecione opakowanie po słomce. Szykował się już do wyjścia. Może jeszcze wstąpi po drodze do księgarni i kupi coś do czytania. Jakiś thriller. Żeby się rozerwać.

Po drodze do pojemnika na śmieci zauważył dwóch mężczyzn, siedzących naprzeciwko siebie przy małym stoliku. Mieli ściągnięte brwi i skupione spojrzenia, a między nimi leżała szachownica.

Oni też przebywali we własnym świecie.

Quinn dyżurował czujnie, niczym toporny bezskrzydły anioł, nad szpitalnym łóżkiem Nancy Weaver. Ręce opuścił bezwładnie. Czuł się bezużyteczny. Bezradny. To był problem dla chirurgów, dla ich dłoni i skalpeli, a nie dla policyjnych pięści i pistoletów. Weaver była wciąż nieprzytomna, ale chyba wracała do świadomości. Quinn widział, jak jej posiniaczona twarz krzywi się z bólu, a ciało skręca w poszukiwaniu jakiejś wygodniejszej pozycji, której nie mogła przyjąć, gdyż została przymocowana pasami do łóżka, żeby odciążać poranione plecy. Jęczała i próbowała otworzyć oczy, ale nie była w stanie.

Quinn sprawdził pojemniki z kroplówką, a potem delikatnie poprawił plastikowy zaworek. Poczekał jeszcze parę minut, następnie wyszedł na korytarz i zatrzymał przechodzącą pielęgniarkę.

- Wydaje mi się, że odzyskuje świadomość - powiedział.

Pielęgniarka, korpulentna kobieta w średnim wieku, o wydatnych policzkach i błyszczących oczach, posłała mu podejrzliwe spojrzenie. Identyfikator na fartuchu zdradzał, że ma na imię Rose.

- Chodzi o pacjentkę z pokoju dwieście pięć?

- Tak. Funkcjonariuszka Nancy Weaver.

- A, ta policjantka... - Rose przejrzała kilka kart chorobowych, które akurat niosła, znalazła właściwą i spojrzała na dane.

- Hmm... Jest pan pewien, że odzyskuje świadomość?

- Próbowaliśmy coś powiedzieć - wyjaśnił Quinn. - To było bardzo niewyraźne, ale było...

- A kim pan właściwie jest?

Quinn pokazał jej swoją legitymację.

Rose spojrzała mu prosto w oczy.

- Pan myśli, że ona jest przytomna? Dostała środek uspokajający oraz glukozę. Próbujemy ją nawodnić. Odniosła kilka poważnych obrażeń.

Quinn podszedł bliżej do Rose.

- Muszę z nią porozmawiać. To sprawa najwyższej wagi. W grę wchodzi ludzkie życie, i to niejedno.

Rose wysłuchiwała go, ale pokręciła głową.

- Zrobimy wszystko, żeby ocalić życie funkcjonariuszce Weaver. Jak już będzie bezpieczna, będzie mógł pan z nią porozmawiać i zapytać, kto jej to zrobił.

Quinn położył swoją wielką łapę na ramieniu siostry Rose - ale tak delikatnie, jakby to było piórko.

- Nie, nie, kochana pani. Myśmy się chyba nie zrozumieli. W jej interesie, tak jak w moim i pani, jest sprawić, by do Nancy Weaver nie dołączyła kolejna ofiara z podobnymi, a może jeszcze cięższymi obrażeniami, zadanymi przez tego samego bydlaka. Na tym polega nagłący charakter tej sytuacji.

Rose pokręciła stanowczo głową.

- Nie mogę wziąć na siebie odpowiedzialności...

- Ale ją pani i tak poniesie, Rose. Będzie pani odpowiedzialna za następną kobietę, która będzie cierpieć jak teraz funkcjonariuszka Weaver. A stanie się tak, jeśli nie pozwoli mi pani zamienić z Nancy kilku słów. Potem pacjentka sobie wypocznie, nawet lepiej, bo z lekkim sercem, wiedząc, że spełniła swój obowiązek, a my dowiemy się, kto zrobił tę ohydną rzecz. Błagam panią, Rose, niech pani pozwoli jej dokończyć zadanie, którego się dziś podjęła.

Rose posłała Quinnowi długie, bezradne spojrzenie. Nie był pewien, czy oznaczało kapitulację, czy też irytację. Trudno to było wyczytać z twarzy Rose.

Quinn przybliżył się do niej jeszcze bardziej i zniżył głos.

- Pani jest jeszcze bardzo młoda, ale mam wrażenie, że pracuje pani jako pielęgniarka już od jakiegoś czasu. Musi pani wiedzieć, że ponosi pewną odpowiedzialność

nawet w takich wątpliwych... można powiedzieć: szarych sytuacjach. Nie wszystko jest czarno-białe. Ale te szare strefy też mogą mieć życiowe znaczenie. Wszyscy wiemy, że czasami trzeba naruszyć zasady, żeby zapobiec tragedii.

- Wciska mi pan kit - oświadczyła Rose.

Ta uwaga nie zgasiła jednak promiennego uśmiechu na twarzy Quinna.

- Może być pani obecna podczas naszej rozmowy...

- O, tego niech pan będzie pewien - zastrzegła Rose i ruszyła w stronę pokoju Weaver.

Gdy się już tam znaleźli, Rose sprawdziła kroplówkę. Weaver zamrugła oczami.

- Quinn... - odezwała się zachrypniętym głosem.

Dotknął delikatnie jej czoła.

- Nie mów za dużo, Nancy. Odpowiadaj tylko na moje pytania.

- Strasznie mnie boli. Ten skurwysyn rąbnął mnie czymś, co wyglądało jak pałka policyjna.

- A kto to był, Nancy?

- Szłam za Jockiem Sandersonem...

- Za Sandersonem? A po co?

- Przeczytałam notatki Pearl z rozmowy z nim. Nie byłam zachwycona. Ten facet okręcił ją sobie dookoła palca. Wciskał jej jakieś ciemnoty, zamiast odpowiadać jasno na pytania.

Quinn też czytał te notatki, ale nie odniósł takiego wrażenia. A owinięcie sobie Pearl dookoła palca nie było rzeczą łatwą.

- Naprawdę tak myślisz?

- Owszem. Wiec postanowiłam śledzić Sandersona i czegoś się dowiedzieć. Tymczasem miałam wrażenie, że on też kogoś śledzi. Ją.

- Ją?

- Tak się domyślałam - powiedziała Weaver. Wzięła głęboki oddech. - Cholera, ale mnie boli!

- Sanderson ci to zrobił?

- A kto? Śledziłam go, ale w pewnej chwili zgubiłam. Zaszedł mnie od tyłu i walnął tą pałą.

- Widziałś jego twarz?

- Nie. Było już ciemno, a on miał na twarzy kominiarkę. Widziałam tylko jego oczy i usta.

- A więc nie możesz go zidentyfikować na sto procent?

- Nie. Chyba nie.

Głos Weaver zrobił się drżący. Najwyraźniej traciła siły.

- Już wystarczy - upomniała Rose.

- Nie - odparła Weaver. Próbowała chwycić Quinna za rękę, ale brakło jej sił. - Ja mu mocno podrapałam twarz pod tą kominiarką. Pamiętam to na pewno. A potem poczułam amoniak.

- Amoniak?

- Tak. Wyczyścił mi amoniakiem paznokcie - wyjaśniła Weaver.

Rose poprawiła plastikowy zaworek.

- To mógł być nasz Rzeźnik - dodała Weaver.

- Rzeźnik? - wtrąciła się Rose. - Ta bestia, która zabiła już tyle kobiet?

Quinn skinął głową.

- Ten sam. - Spojrzał na Weaver, która znów zamknęła oczy.

- Nancy?

Oddech Weaver uspokoił się, a rysy twarzy rozluźniły.

- Odpoczywa - powiedziała Rose. - I powinna. A jeśli jeszcze raz zobaczę, że dotyka pan sprzętu medycznego w pokoju pacjenta, zaraz wezwę przełożonych, żeby wyrzucili pana na zbity łeb. I nie będzie mnie pan prosił o żadne łamanie zasad. Wykluczone. Ani prywatnie, ani służbowo.

- Ale ja chciałem...

- Niech pan nie kręci. Nasłuchałam się już dość kłamstw.

Westchnęła głośno. To był chyba jej sposób na wyrażanie emocji.

- Ma pan kartę, panie Quinn?

Spojrzał na nią trochę zdezorientowany.

- No, służbową wizytówkę... - Znów westchnęła.

Quinn wyciągnął z kieszeni portfel i wyjął wizytówkę swojego biura.

Rose wcisnęła ją do kieszeni fartucha.

- Kiedy pacjentka odzyska przytomność i będzie zdolna do rozmowy, zaraz do pana zadzwonię.

- Dziękuję, Rose. Załatwię strażnika, który będzie dyżurował przed pokojem Weaver. Będzie mu można ufać jak mnie.

- Mam nadzieję, że złapie pan tego psychola.

- Złapiemy go - zapewnił Quinn. Ruszył do windy, a Rose razem z nim. Przy drzwiach dźwigu zatrzymali się. Quinn przywołał swój arcysłodki uśmiech i skłonił głowę.

- Dobrze pani zrobiła...

- Słyszałam takie głodne kawałki po pozamałżeńskim seksie. Wtedy to było kłamstwo - i teraz też.

53.

Edmundsville, Missouri, 2006

- O mało nie upadłaś na swoją niewymowną - stwierdziła May Ann.

Beth potknęła się podczas zwrotu pod rękę na zatłoczonym parkiecie. May Ann zjawiała się w grupie ostatnia i wciąż odgrywała cnotkę z katolickiej szkoły, tyle że już dorosła. Beth wiedziała, że zmieni się to diametralnie po paru drinkach. Na razie May Ann śmiała się tylko zbyt głośno i trzepotała rzęsami.

Lokal nazywał się 66 Road House, choć nie znajdował się w pobliżu ani starej, ani nowej sześćdziesiątki szóstki. Grali akurat starego Hanka Williamsa. Na parkiecie leżały trociny, a garażowa kapela, która występowała w 66, grała głośno i prawie równo. Beth tańczyła ze swoją przyjaciółką May Ann Plunkert. Dwie inne przyjaciółki, Gloria Trish i Sami Toyner, siedziały przy stole pod reklamą Stag Beer i sęczyły burbona z wodą i lodem. W tej knajpie nie podawali zresztą wiele więcej

- jeszcze tylko szkocką i piwo. Tu nikt nie przepadał za drinkami z parasolką.

Pracując w Arch Manufacturing, Beth zaprzyjaźniła się z paroma koleżankami. Pracowało tam wiele samotnych kobiet. Tworzyły się liczne kółka towarzyskie i istniały różne sposoby spędzenia wolnego czasu, jeśli nie było się zbyt zmęczoną po pracy. Beth znalazła się w grupie jakiegoś tuzina kobiet, które nazywały siebie Prawdziwymi Siostrami. Nie rozrabiały szczególnie, ale potrafiły się zabawić.

Beth nie miała żadnego bliskiego przyjaciela, ale chodziła od czasu do czasu na randki. Jednak trudno było jej się zaangażować w jakąś poważniejszą znajomość. Mężczyźni, których interesowało coś więcej niż seks, zrywali z nią, kiedy się dowiadywali, że ma czterastoletniego syna. Dla nich stanowiło to niepotrzebny balast.

Beth naprawdę kochała Eddiego. Tego wieczoru wybrał się akurat na biwak ze swoim najlepszym kumplem Lesem i ojcem Lesa. Eddie stawał się prawdziwym włóczykijem. Szczególnie lubił łowienie ryb.

Odkąd opuściła Hogart, życie lepiej jej się układało. Miała pracę, dom, własne życie. Lubiała to wszystko, nawet robotę w Arch, ale zaczęła myśleć, że powinna zdobyć w tym życiu coś więcej.

Na przykład kogoś takiego jak Wayne Westerley.

Czy postąpiła głupio, zrywając romans z Wayne'em?

Jakaś jej część wciąż tego żałowała, ale z drugiej strony Beth wiedziała, że jeśli chce znaleźć trochę szczęścia i uchować Eddiego przed echami przeszłości, musi opuścić Hogart.

Zresztą nie było tam wiele do zostawienia. Stacja i sklep przy drodze międzystanowej, no i tuzin ulic zabudowanych domami, które można by uznać za zabytkowe, bo od chwili gdy je wzniesiono, były rozpadającymi się ruderami z byle czego.

Od czasu do czasu tęskniła za Wayne'em, i to nie tylko za seksem z nim, ale też za tymi spokojnymi chwilami na ganku albo na spacerach nad Trout Lake. Pomógł jej wrócić do równowagi i nie było jego winą, że ta równowaga wciąż pozostawała dość chwiejna.

Westerley przyjechał do Beth parę razy po jej przeprowadzce do Edmundsville, ale ona postanowiła z tym skończyć, bo przywoził ze sobą jakby kawałek przeszłości, a ona chciała od przeszłości uciec. Jedyłą jej częścią, jaką chciała zachować i przenieść w przyszłość, był Eddie.

Beth pracowała w Arch na taśmie, przy produkcji ortopedycznych wkładek do butów. Część tych wkładek, w trzech rozmiarach, przeznaczano do sprzedaży detalicznej. Inne przygotowywano na specjalne zamówienia lekarzy. Takie zamówienia wymagały sporego doświadczenia i wkładu pracy, ale też ich cena była wyższa. Beth miała nadzieję, że gdy nabierze większej wprawy, przeniosą ją do tej lepiej płatnej roboty. Wiedziała jednak,

że nie jest to bliska perspektywa.

Pośliznęła się znów i omal nie upadła. Usłyszała chichot May Ann. *Za dużo tych trocin na podłodze.*

Muzyka ucichła, z czego Beth się ucieszyła. Była już spocona, a kosmyk włosów opadł jej na czoło i drażnił oko. Razem z May Ann ruszyła przez parkiet do stolika. Jakiś facet w białym stetsonie usiadł na estradzie przed kapelą, zaczął brzdąkać na gitarze akustycznej i śpiewać. Przypominał Hanka Williamsa.

Beth napotkała jego spojrzenie. Nawet wyglądał jak Hank Williams.

Ktoś klepnął ją po ramieniu. Odwróciła się. Facet uśmiechał się do niej. Na głowie miał biały kowbojski kapelusz. Był średniego wzrostu, a z twarzy przypominał Williamsa nawet bardziej niż mężczyzna z estrady.

Ta sama ciemnooka słodycz w miękkich rysach twarzy. Cienki, dość długi nos i mocno zarysowana szczęka z wąskimi ustami. Ciemne brwi załamywały się pod ostrym kątem, co nadawało mu wygląd kpiarza. Pomyślała, że ta twarz nie wyróżnia się niczym szczególnym, ale jej poszczególne elementy dobrze do siebie pasują.

- Lubię to - powiedział.

Beth nie była pewna, czy ma ochotę na flirt po zaledwie jednym drinku.

- To znaczy: *co?*

- Sposób, w jaki mierzysz mnie spojrzeniem. Wi-
dać, że jesteś zainteresowana.

- Pomyślałam, że przypominasz trochę Hanka Wil-
liamsa.

- Już mi to mówili. Szkoda, że nie umiem śpiewać
jak on. - Uśmiechnął się szeroko. Miał ładne zęby.

- Ale i tak byłbym chyba lepszy od tego kolesia na
scenie.

Beth uśmiechnęła się.

- A jakże... - przytaknęła ironicznie. Jednak w tym
facecie coś było. Czowała się przy nim dobrze, może na
jakiś siostrzany sposób. No, ale to mogło się oczywiście
zmienić. Może...

Nie. Z pewnością okaże się taki sam jak wszyscy.

- A teraz w twoim głosie pojawił się jakiś nieprzy-
jemny ton - zauważył. Dotknął jej ramienia i poprowa-
dził ją z dala od May Ann, na skraj parkietu, który za-
czął się zapelniać amatorami tańców przytulańców.

- Nie podoba mi się to marszczenie brwi, kiedy na
mnie patrzysz. Nie jestem wcale takim złym piosenka-
rzem. Słowo daję.

Wziął ją w ramiona. Zaczęli tańczyć, jakby to była
najbardziej naturalna rzecz na świecie. Co prawda, led-
wie się poruszali, ale jednak tańczyli.

- Nazywam się Lincoln Evans - przedstawił się.

- Przyjaciele mówią mi Link, więc dla ciebie też
jestem Link.

- Beth Colson.
- No to już się znamy.

Link chciał, żeby Beth wyszła z nim z 66, ale ona wyjaśniła, że jest w towarzystwie. Wzięła go nawet za rękę i przedstawiła przyjaciółkom.

- Pracujemy tu wszystkie w fabryce - wyjaśniła jakby nieco zakłopotana, ale też zadowolona z zazdrośnych spojrzeń koleżanek.

Dotknął rónda kapelusza i uśmiechnął się do nich wszystkich, jakby chciał się przysiąść i uwieść je wszystkie opowieścią o przygodach na rodeo. Ale zamiast tego zaprowadził Beth znów na parkiet. Teraz trzymał się jej jeszcze bliżej.

- Wszystkie pracujecie w fabryce? - zapytał.
- W Arch Manufacturing. Robimy wkładki.
- Poważnie? A do czego? - dopytywał się, jakby go to naprawdę interesowało.
- Do butów - wyjaśniła Beth.
- A, to ciekawe...

Czy z niej żartował? Beth nie wiedziała, jak odpowiedzieć. Ich rozmowa utknęła w martwym punkcie, jak to bywa na pierwszej randce.

- Nie, ta praca nie jest specjalnie ciekawa - odparła.
- A ty co robisz? Chwileczkę, nie mów. Niech zgadnę... Jesteś kowbojem. Takim prawdziwym.

- Prawdziwym to ja jestem bezrobotnym - sprostował. - Kręcę się moim pick-upem po Missouri i szukam roboty.

- Jakiej?
- Każdej. Biorę, co leci. Z pracą jest teraz ciężko.
- Słyszałam. - Przez chwilę tańczyli w milczeniu. -
Posłuchaj - odezwała się znowu. - Mam swoje małe układy w Arch... Bardzo małe. Ale mogłabym ci przynajmniej powiedzieć, kiedy będą kogoś szukali, i szepnąć za tobą słówko.

Spojrzał na nią niedowierzająco.

- Naprawdę zrobiłabyś to dla mnie?

To, i więcej.

- No pewnie. Czemu nie?

- Przecież mnie prawie nie znasz...

- Mam co do ciebie dobre przeczucia, Link.

- Ja co do ciebie też.

Tańczyli coraz wolniej. W końcu stanęli spleceni ramionami, a on ją pocałował.

Beth zmieniła zdanie i nie chciała już opuścić lokalu wraz z koleżankami. Gdy muzyka ucichła, podeszła do stolika i powiedziała May Ann i innym, że nie będzie na nie czekać. Ma zresztą samochód, więc sobie poradzi.

Czuła na sobie ich spojrzenia, gdy wychodziła z knajpy z Linkiem Evansem.

Wsiadli do jego zakurzonego i sfatygowanego pick-upa. Przez dłuższą chwilę się całowali. Potem przyciągnął ją do siebie i Beth poczuła dłoń Linka pod bluzką, na swojej prawej piersi. Jego palce tańczyły na sutku, a potem go leciutko uszczypnęły.

O Boże! Facet zna się na rzeczy.

Kiedy jednak zaczął rozpinać jej bluzkę, zdała sobie sprawę, że nieświadomie mu się opiera.

Puścił ją natychmiast.

- Nie chcę być natrętny, Beth. Nie z tobą.
- Przepraszam, tak jakoś wyszło...
- Jeśli nie jesteś w nastroju, to zaczekam... Nie chcę cię do niczego zmuszać.

- Jest coś, co powinieneś wiedzieć...

- Co takiego? Jesteś mężatką?

- Nie. Jestem rozwiedziona.

- No więc?

- Mam czternastoletniego syna.

Odsunął się nieco, jakby potrzebował dystansu, by objąć ją całą wzrokiem.

- Żartujesz!

Wyjął paczkę papierosów i zapalił jednego. Ale zaczął kasłać i wyrzucił go przez okno. Ognik zatoczył łuk i przepadł gdzieś w ciemności, niczym miniaturowa spadająca gwiazda.

- Ma na imię Eddie...

- Ten Eddie to ma fajnie. Z taką mamą...

- A co z tobą, Link? Ty też masz fajnie?

Link się roześmiał.

- Muszę przyznać, że chciałbym spróbować fajnego życia.

- Wiesz, o co mi chodzi. Czy to, co ci powiedziałam, zmieniło coś między nami?

Zmieszał się, ale na krótko.

- A co miało zmienić? Bardzo bym chciał poznać Eddiego.

Pocałowali się jeszcze raz. Znow poczuła jego palce, majstrujące przy jej bluzce. Tym razem sama pomogła mu przy guzikach.

Później, już w pokoju Linka w motelu przy międzystanowej, Beth zastanawiała się nad tym, co między nimi się zaczęło. Był wspaniałym, delikatnym kochankiem i wydawało się, że on też jest nią zachwycony.

Z drugiej jednak strony Beth czuła niepokój. To, co się wydarzyło, wymagało jakiegoś zaangażowania. U niego coś takiego chyba wyczuwała, ale co do siebie nie była już taka przekonana.

W pokoju nad nimi ktoś chodził w kółko, chyba utykając. Potem stapanie ucichło. Słyszeć było tylko przeciągłe zawrozczenie ciężarówek na obwodnicy Edmondsville. Beth pomyślała, że żaden odgłos nie wyraża tak dojmującej samotności. O mało się nie rozpłakała.

Hanku Williams, w co ty mnie wpędzilesz?

Sześć tygodni później wzięli ślub w Las Vegas i spędzili luksusowy tydzień w MGM Grand. Beth czuła, że narusza jakieś granice, nawet grzeszy. Link pograł godzinę przy automacie i wygrał prawie tysiąc dolarów. Pocałował ją i oświadczył, że to dobra wróżba dla ich małżeństwa.

Potem już nie grał. To jedyny sposób, by wygrać z kasynem, powiedział. Beth zgodziła się z jego decyzją. Doszła do wniosku, że jeśli nie będą kusić losu, ich szczęście przetrwa.

54.

Nowy Jork, obecnie

Jakaś kobieta, która odebrała telefon w Sweep 'Em Up, powiedziała Quinnowi, że Jock Sanderson jest akurat wraz z resztą ekipy sprzątającej w śródmieściu, w gmachu YMCA. Doprowadzali tam do porządku auditorium, gdzie ostatniego wieczoru jakiś autor opowiadał o swojej książce. Książka była o tym, jak to telewizyjni mędrkowie zatruwają umysły amerykańskiego społeczeństwa.

- Chyba ją czytałem - powiedział Quinn i poprosił kobietę, by - jeśli Sanderson zadzwoni - nie wspominała mu o rozmowie z nim.

- O, nie będzie miał czasu dzwonić. Musi solidnie zasuwać mopem i miotłą - oświadczyła kobieta. - Zresztą mało kto z ekip sprzątających tu wydzwania.

- Czy Sanderson pracował ostatniej nocy?

- Nie, miał akurat wolny wieczór. I dlatego ma teraz zmianę dzienną. Klienci mniej płacą za sprzątanie

w ciągu dnia, a w takich miejscach jak YMCA nie odbywa się aż tyle imprez, żeby trzeba było sprzątać po nocy.

- Jak długo zwykle trwa sprzątanie takiego obiektu?

- Chodzi panu o to, kiedy Sanderson skończy?

- Czyta pani w moich myślach.

- Zaczęli dość późno, więc pewnie zejdzie im do jakiejś piątej. Jak chce pan z nim porozmawiać wcześniej, to może go pan złapać podczas przerwy na lunch, tak koło południa. Ale byłoby dla niego lepiej, gdyby szef i reszta ekipy nie widzieli, że odwiedza go policja.

Quinn podziękował za dobrą radę, zaraz jednak po odłożeniu słuchawki wyruszył do YMCA, gdzie pracował teraz Sanderson. Nie zastanawiał się specjalnie, co szef Jocka i jego koledzy pomyślą o przesłuchaniu Sandersona przez policję.

Gmach YMCA był nowoczesnym, szarym, przeszklonym sześcianem, stojącym wśród starszych, odnawianych budynków. Jakiś facet w za ciasnym podkoszulku, podobny do Schwarzeneggera, skierował Quinna do audytorium.

Detektyw wszedł do holu o szklanych ścianach, za którymi widać było basen i siłownię pełną ludzi. Popchnął drewniane drzwi z pneumatycznym zamknięciem i wszedł do małego lobby. Za kolejnymi, takimi samymi drzwiami znajdowało się audytorium.

Panował tam półmrok i choć pomieszczenie było puste,

nie wyglądało na szczególnie duże. Powietrze wydawało się trochę stęchłe - jak zwykle w takich salach. Quinn ocenił, że mogło się tu pomieścić jakieś pięćset osób. Zastanawiał się, ilu słuchaczy mógł mieć wczoraj autor opowiadający o telewizyjnych mądralach. Pewnie zależało to od tego, czy wstęp był wolny.

Dwóch mężczyzn w szarych roboczych kombinezonach wynosiło jakieś rupiecie z małej estrady za kulisy. Dwaj inni zamiatali pomalowaną na szaro betonową podłogę między rzędami siedzeń. Jeden z tych facetów odpowiadał rysopisowi Sandersona. Quinn podszedł do końca rzędu i czekał, aż ten podniesie wzrok i go zauważy. Wyjął legitymację i kiwnął na sprzątacza.

Jakby wdzięczny za możliwość odsapnięcia, Sanderson wepchnął swoją miotłę pomiędzy siedzenia. Podszedł do Quinna w taki sposób, jakby miejsca były zajęte i bał się komuś nadepnąć na nogę. Quinn wiedział dlaczego. Siedzenia na końcu rzędu nie zostały jeszcze podniesione i nie posprzątano pod nimi.

Sanderson zatrzymał się i stanął przy ostatnim siedzeniu w rzędzie, patrząc wyczekująco na Quinna. Z bliska wyglądał na niższego niż z daleka, ale był dobrze zbudowany - postawny, jak mawiali starzy policjanci. Quinn poczuł się rozczarowany, nie dostrzegłszy na jego twarzy żadnych zadrapań. Weaver przeorała przecież napastnikowi twarz tak mocno, że mogła mieć pod paznokciami resztki jego skóry.

Quinn przedstawił się.

- Już rozmawiałem z jedną policjantką - powiedział Jock. - Nazywała się Pearl... jakoś tam.

- W porządku - skwitował informację Quinn, jakby Sanderson potrzebował usprawiedliwienia. - Mnie chodzi o coś innego. Pewna kobieta została paskudnie pobita ostatniego wieczoru niedaleko twojego domu.

Sanderson zachował twarz pokerzysty i wzruszył ramionami.

- Co zrobić, to nie jest najbezpieczniejsza okolica. Sam myślę, żeby się stamtąd wynieść.

Quinn spojrzał na niego znacząco.

- Chodźmy do holu. Pogadamy o tym.

- Dobra, ale pamiętaj, że jestem w pracy. Za parę godzin musimy skończyć sprzątanie.

- To nie zajmie wiele czasu.

- Tak mówią człowiekowi, gdy chcą go powiesić.

Quinn domyślił się, że miał to być dowcip, i zmusił się do uśmiechu. Pamiętał pewną kobietę, która przed laty powiesiła się w sypialni, ale zrobiła to bardzo niefachowo. No i umierała przez parę godzin w pętli, która była zbyt luźna, na końcu liny, która z kolei była zbyt krótka. Zdaniem Quinna, samobójcy powinni się najpierw dobrze zastanowić, jak chcą się zabić, a to przez wzgląd na nerwy ludzi, którzy odnajdą ich ciała.

Duży hol był wielokątny, z czerwoną wykładziną na podłodze, i przeszkłony niczym szklarnia, a wrazenie

jasności potęgowały jeszcze świetlówki pod sufitem.

Pod jedną ze ścian stała czarna sofa, ale ani Quinn, ani Sanderson nawet nie próbowali usiąść. Quinn miał to, czego chciał: dokładny, dobrze oświetlony widok twarzy Sandersona. Nie dojrzał na niej żadnych zadrapań czy szram ani też śladów maskującego je make-upu. To nie był mężczyzna pokaleczony przez Weaver.

Nie znaczyło to jednak, że Sanderson nie ma nic wspólnego z napadem.

- Musimy mieć czas na posprzątanie tego - powiedział Sanderson, wskazując na drzwi z międzynarodowym symbolem - sylwetką kobiety w sztywnej kloszowej spódnicy.

- Będziecie go mieli - odparł Quinn. - Gdzie byłeś wczoraj między siódmą i dziesiątą wieczorem?

Sanderson potarł szczękę, demonstrując, jak usilnie próbuje sobie przypomnieć.

- Nie wiem, czy będę dość precyzyjny, ale około siódmej trzydzieści wybrałem się na spacer. Chodziłem sobie jakiś czas.

- A dokładnie?

- Bo ja wiem... ze dwie, trzy godziny.

- Niezły z ciebie wędrowniczek...

- To prawda. Chodzenie pomaga mi się uwolnić od stresu.

- A co cię tak stresuje?

- Wielu ludzi stresuje się z tych samych powodów. Na przykład z obawy o pracę. Bo nie jest łatwo znaleźć

nową robotę, jeśli spędziło się parę lat za kratkami.

- A kłopoty z kobietami?
- Co takiego?
- Nie wspomniałeś o kłopotach z kobietami.
- Teraz nie mam żadnych kłopotów z kobietami.

Owszem, kiedyś miałem mnóstwo... ale wiecie o tym wszystko.

- A może nie wszystko?

Sanderson wzruszył jednym ramieniem w szarym kombinezonie.

- To już nie moja sprawa.
- Czy ktoś cię widział podczas tego spaceru?
- Pewnie setki ludzi. Wiesz, jak to jest w Nowym Jorku. Ale wątpię, by ktoś zwrócił na mnie uwagę. - Sanderson uśmiechnął się. - Zresztą ja też nikogo nie zapamiętałem.

- Może wstąpiłeś gdzieś na kawę albo zatrzymałeś się, żeby kupić gazetę czy coś takiego?

Sanderson zastanawiał się przez dłuższą chwilę, znów pokazując, jak bardzo stara się znaleźć odpowiedź w pamięci.

- Nie - odparł w końcu. - Nigdzie się nie zatrzymałem ani nie zrobiłem niczego, co ktoś mógłby zapamiętać.

- A te twoje spacery... chodzisz w określonym kierunku?

- Nie, nigdy. I dlatego mogę rozładować stres.

- A może ktoś przypadkowo wpada ci w oko i idziesz potem za nim? Tak po prostu, żeby mieć jakiś cel?

Sanderson wydawał się zaszokowany tym nagłym zwrotem w rozmowie.

- Iść za kimś? Po co? To jakaś głupota.

Quinn uśmiechnął się.

- Też tak myślę.

Wyciągnął rękę, żeby się pożegnać z Sandersonem.

- Możesz wracać do roboty. Dziękuję za poświęcony czas.

- Nie ma sprawy. - Sanderson ucisnął wyciągniętą dłoń Quinna.

Ale Quinn nie puścił jego ręki od razu. Zacisnął swoją powoli i mocno. Nie z całej siły, jak by mógł, ale jednak. Wystarczająco, by dać Sandersonowi do zrozumienia, że zdołałby bez trudu połamać mu palce.

- To znaczy, że nie miałeś nic wspólnego z tym pobiciem kobiety wczoraj wieczorem?

Sanderson był zbyt dumny, by okazać, że zabolęła go ręka. Nauczył się w więzieniu nie okazywać słabości.

- A to nie była ta policjantka Pearl?

- Czemu ci to przyszło do głowy?

- No... nie wiem. Pytam, bo właściwie ją polubiłem. Była sympatyczna. Nie chciałbym, żeby coś takiego ją spotkało. - Wziął głęboki oddech, ale nie zmienił wyrazu twarzy. - Hej, chcesz mi urwać rękę, czy co?

Quinn udał zaskoczonego, że wciąż ściska dłoń Jocka.

- Och, przepraszam. - Puścił wreszcie dłoń Sandersona.

Jock uśmiechnął się szeroko.

- Ta ręka potrzebna mi jest do pracy.

- No tak, skoro nie masz już żadnych problemów z kobietami, myślisz tylko o pracy - powiedział Quinn z przymrużeniem oka.

- Myślę też o Pearl - odparł Sanderson.

Quinna zdenerwowała ta odpowiedź i zatrzymał się w drzwiach.

- Bo nie powiedziałeś mi w końcu, czy to ją pobito wczoraj wieczorem...

- Nie, kogoś innego.

- To dobrze. Bo gdyby chodziło o Pearl, sam bym się chciał dowiedzieć, kto to zrobił.

Quinn przyjrzał się Sandersonowi i pomyślał, że ten mały sukinkot jest może bystrzejszy, niż na to wygląda.

- A, cóż... chyba wezmę się za sprzątanie - rzucił Sanderson.

Quinn skinął głową.

- Tak będzie najrozsądniej.

Opuszczając gmach YMCA, Quinn lepiej rozumiał, dlaczego, zdaniem Weaver, warto było obserwować Sandersona.

A jednak Nancy zapewne się myliła. Sanderson miał niepodważalne alibi na czas śmierci Judith Blaney. Poza tym nie był z pewnością człowiekiem, który zaatakował Weaver, lecz po prostu kolejnym cwany ekswiężniem, patrzącym na świat z pełnym sceptycyzmu dystansem, co wynikało zapewne z wysokiego mniemania o własnej inteligencji.

Zatem podejrzenia Weaver były zasadne, ale wnioski - błędne. A tego właśnie starał się unikać Quinn przez dużą część życia.

Nie lekcewał jednak intuicji, którą Nancy wykazała się już niejednokrotnie przy innych śledztwach.

Więc pomysł, by przez jakiś czas pochodzić za Sandersonem, nie był taki zły.

Zawsze lepiej się upewnić, co i jak.

55.

Verna Pound przeszła przez poczekalnię, gdy nikt na nią nie patrzył. Potem podeszła do drucianego kosza na odpadki, przypiętego łańcuchem do latarni, i zaczęła przeszukiwać jego zawartość. Zobaczyła karalucha uciekającego z białego styropianowego pudełka. To był mały pojemnik, do którego nie mogło się zmieścić dużo jedzenia, ale warto było jednak zajrzeć do środka.

Odgoniła dalej karalucha i otworzyła pudełko. Wewnątrz znalazła połówkę hamburgera, no i jeszcze jednego karalucha, który uciekł, zanim zdążyła go przepędzić.

Była zadowolona. Nawet jeśli niczego więcej nie znajdzie, wystarczy jej to do jutrzejszego śniadania w kościele.

Skuliła się i pokuśtykała dalej od kosza na śmieci. Chciała znaleźć jakieś spokojne miejsce, żeby usiąść i zjeść to, co znalazła, popijając jedną trzecią butelki wina,

które kupiła od przyjaciółki. Potem pójdzie przez miasto do noclegowni. Parę przecznic przed noclegownią spróbuje wyżebrać kilka dolarów. To był najlepszy plan na przeczekanie do jutrzejszego ranka. O ile zdoła ukryć pieniądze przed złodziejami. To stanowiło problem w noclegowniach. Drugim był seks. Vernie nie mieściło się w głowie, jak te zboki mogą zmuszać do seksu biedne i sponiewierane kobiety, które muszą spać w takich miejscach. I że żadna z tych kobiet, żyjących na ulicy, nie próbowała się oprzeć tym bezdomnym, pozbawionym nadziei i dostępu do łazienki facetom, którzy też sypiali w noclegowniach. Brud i rozpacz nie sprzyjały intymności. Nie mówiąc już o głodzie.

Oczywiście zdarzały się też wyjątki. Za swoich lepszych czasów Verna lubiła tak myśleć o sobie. No i że może wśród tych obszarpańców jest mężczyzna wart tej wiedzy, że pod smutną zewnętrżnością kryje się wewnętrzne piękno Verny.

Niektóre kobiety - a może wszystkie - nigdy nie tracą nadziei.

Verna zapamiętała mężczyznę, który wcześniej dał jej pięciodolarówkę. Dzięki temu mogła sobie pozwolić na łóżko w noclegowni. Wydawało się, że jest naprawdę zainteresowany jej losem. Garnitur miał stary i wyświechtany, ale buty porządne, choć już trochę zdarte. Ten facet zaczynał może swój długi i stromy życiowy zjazd. Oczywiście nie mógł sobie pozwolić na taką

pięciodolarową jałmużnę. Verna przez chwilę miała nawet ochotę oddać mu banknot. Ale tylko przez chwilę.

Obserwowała go, gdy odchodził. Z daleka wyglądał jeszcze jako tako. Może nie jak bogacz, ale jak facet ze stałą pracą.

Myślała jeszcze o hojnej jałmużnie, gdy przy krawężniku obok niej zatrzymał się czarny sedan. Serce zabiło jej mocniej. *Policja? Ale nie stoję przecież w jednym miejscu. I nie żebrzę teraz. Nie jestem tak źle ubrana, żeby... Co jest, u diabła?*

Powiedziała sobie, że ten samochód nie ma z nią nic wspólnego.

Ale gdy ruszyła dalej, przyspieszając kroku, prawie biegnąc i patrząc wprost przed siebie, jakiś człowiek zawołał ją po nazwisku. Obejrzała się i zobaczyła tego hojnego gościa, stojącego przy otwartych drzwiach samochodu po stronie kierowcy.

- Verna Pound! - zawołał jeszcze raz. Uśmiechał się przy tym od ucha do ucha.

- Czy ja cię znam? - spytała Verna.

- A te pięć dolców?

Teraz zrozumiała, czego oczekuje za swoje pieniądze.

- Ja niczego nie sprzedaję - rzuciła obronnym tonem.

- Nie oczekuję rewanzu, Verna. Dar nie wymaga zapłaty. Chciałbym po prostu z tobą porozmawiać.

Verna podeszła trochę bliżej. Zatrzymała się jakieś dziesięć stóp od mężczyzny.

- A skąd wiesz, jak ja się nazywam?

Nie odpowiedział, tylko zatrzasnął drzwi samochodu i przeszedł na chodnik. Elektronicznym kluczem zamknął wóz i zgasił światła.

- Pamiętasz mnie?

- Pamiętam tę pięciodolarówkę - odparła Verna. Nie powiedziała mu o swojej zaćmie. Teraz, gdy mężczyzna był blisko niej, jego sylwetka trochę się rozmyła.

Szedł obok niej przez dłuższą chwilę. Zbliżali się do kamiennego kościoła za remontowanym ceglany domem. Między budynkami było przejście tonące w ciemności. Verna usiłowała zmienić nieco kierunek marszu, żeby oddalić się od ciemnego pasażu, ale mężczyzna szedł dalej prosto i pozwolił, by wpadła na niego. Teraz zaczęła się naprawdę bać.

- Skąd wiesz, kim jestem? - zapytała.

- Zobaczyłem twoje nazwisko w gazecie... Próbowałem znaleźć również adres, ale okazało się, że nie masz żadnego adresu.

- No i co z tego. Czy jestem ci winna jakieś pieniądze?

- W związku z tym, co się teraz dzieje, mogłabyś podpisać umowę na książkę.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Ja? Czy ja jestem kimś sławnym? A może przepiękałam swoje piętnaście minut?

- Nie czytasz gazet, nie oglądasz wiadomości w telewizji?

- Ha! Nie czytam i nie czytałam żadnej gazety od miesiąca, a jeśli widziałeś coś w TV, to mi powiedz. Nie jestem w stanie zapłacić za prąd.

- A jednak powinnaś czytać gazety - powiedział mężczyzna. - Piszą tam o gwałtocielu, który odsiedział parę latek za zbrodnię, choć jej nie popełnił.

- A co ja mam z tym wspólnego?

- Naprawdę nie pamiętasz?

- Jestem szczęśliwa, jeśli pamiętam, czy włożyłam skarpetki. - Szli dalej, trochę tylko wolniej. - A powiedz mi, skąd wiedziałeś, gdzie mnie znaleźć?

- To nie było takie trudne.

- No to skąd?

- Jestem gliną - oświadczył mężczyzna. Błysnął odznaką w skórzanym etui. - Potrafimy znaleźć każdego.

- To mi nie wygląda na policyjną odznakę...

- Ale jest.

- Nie wiem, co jest grane - oświadczyła Verna. Nie wierzyła w nic i nikomu, a szczególnie temu facetowi.

Dostrzegła jego nazwisko, gdy wyciągnął odznakę, ale niezbyt wyraźnie. Te jej oczy... W każdym razie policjanci reprezentowali władzę, a władza doprowadziła Vernę do miejsca, gdzie się teraz znajdowała.

Mężczyzna uśmiechnął się do niej.

- Słuchaj, jeśli nie zwolnimy, to braknie mi tchu, żeby zadać ci parę pytań.

- Pytań o co?

Byli teraz przy pasażu pomiędzy katedrą a sąsiednim budynkiem.

- Chodź tutaj, tu jest spokojnie i będziemy sami. Powiem ci wszystko.

- Nie mam ochoty.

Uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

Zza rogu wyjechał nagle policyjny wóz.

A jednak cuda się zdarzają.

Nie żeby Verna była w poważnych kłopotach. Ale mogło to powściągnąć tego faceta.

Pewności jednak nie miała.

Zauważyła, że nie trzyma jej już za ramię. Gdy się odwróciła, gościa nie było.

Pewnie uciekł tym ciemnym przejściem koło kościoła. Wpatrzyła się w mrok, wiedziała jednak, że swoimi marnymi oczyma go nie dojrzy, nawet gdyby się znów do niej zbliżył.

No, ale nie miała najmniejszego zamiaru go śledzić.

Śmiało podniosła głowę i minęła przejeżdżający radiowóz. Policjant za kierownicą spojrzał na nią i trochę zwolnił, chociaż nie zatrzymał się. Verna była zadowolona. Może facet, który trzymał ją za ramię, to tajniak, a samochód przyjechał tylko po to, żeby go podrzucić

gdzieś dalej. Gliny tak zwykle pracują - we dwóch.

Verna nie miała ochoty pozostawać dłużej na widoku. Chciała tylko znaleźć jakieś spokojne miejsce, żeby usiąść i zjeść resztkę hamburgera, którą znalazła. Ale to było twarde, nieczułe miasto. Nie chciało jej ofiarować nawet tego.

Przypomniała sobie jednak o pięciu dolcach i pomyślała, że mimo wszystko nie jest najgorzej.

56.

Trzeba było mieć oczy wiecznie otwarte.

Vitali i Mishkin od paru dni obserwowali Jocka Sandersona, choć nie siedzieli mu na ogonie. Facet prowadził monotonne życie. Wychodził z domu do pracy około dziesiątej wieczorem, ubrany w szary kombinezon roboczy. Czasami był w codziennych ciuchach, a kombinezon miał w niewielkim plecaku. Potem jeden z detektywów szedł za nim na stację metra.

Drugi jechał w tym czasie pod Sweep 'Em Up i parkował w pobliżu biura. Był tam już, gdy zjawiał się Sanderson. Następnie obaj detektywi śledzili białego vana, którym Sanderson, wraz z resztą ekipy sprzątającej, udawał się do pracy.

Później nadchodziła długa nudna noc. Spali na zmianę. Vitali i Mishkin wykonywali takie zadania mnóstwo razy i byli do tego przyzwyczajeni - o ile można się do czegoś takiego przyzwyczaić. Obaj nauczyli się policyjnej techniki płytkiego snu, kiedy jakaś część mózgu

wciąż czuwa, a oczy nigdy nie są całkiem zamknięte.

Vitalemu udawało się zwykle nie wkurzyć do rana na Mishkina, w każdym razie nie za bardzo, i nie zranić delikatnych uczuć partnera. Ani jego samego. Mishkin natomiast wychodził z takich nocy bez emocji, tyle że dosyć zmęczony.

A potem następowało odwrócenie porządku działań. Sanderson wracał do domu. Czasami jechał tam bezpośrednio, kiedy indziej zaś najpierw białym vanem do Sweep 'Em Up, a dopiero stamtąd do domu.

To było normalne, monotonne życie. A robota detektywów nie przypominała w niczym śledzenia gwiazdy mediów.

- To nie obserwacja celebrytki, cholera - zauważył Mishkin, obserwując kątem oka nieruchomego białego vana.

- Przecież my nigdy nie śledziliśmy żadnej gwiazdy - zauważył Vitali.

- Tak sobie tylko pomyślałem - odparł Mishkin.

- Swoją drogą, musisz tego spróbować, Sal.

- Zdziwiłbyś się, Harold, jakie rzeczy chodzą mi po głowie.

Od czasu do czasu Sanderson robił zakupy. Często brał jedzenie na wynos w pobliskich *deli*. Czasem wstępował do jakiegoś małego spożywczaka i kupował proste dania, które mógł sobie odgrzać w mikrofalówce. Przeważnie coś z makaronem.

Vitali i Mishkin byli cierpliwi. Stosując się do procedur, korzystali z niewielkiego nocnego ruchu, który ułatwiał śledzenie Sandersona z nieoznakowanego klimatyzowanego wozu nawet wtedy, gdy pieszo zmierzał do swojej stacji metra. Dzięki temu w gorące, parne wieczory nie musieli za nim wiele chodzić. Z drugiej strony, zdarzało się, że gdy trafili na korek, Sanderson wyprzedzał ich na chwilę. Ale łapali go znów na światłach. Taki rodzaj pracy wymaga cierpliwości oraz umiejętności radzenia sobie z nudą.

Tej nocy za kierownicą nieoznakowanego niebieskiego forda siedział Vitali. Czuł się już zmęczony i zły. Zaczynał wątpić, czy Sanderson jest kimś więcej niż tylko biednym ekswieźniem, którego życie zawałiło się wskutek mylnej identyfikacji przez ofiarę. Kręcił się w beznadziejnym kieracie - a oni obaj razem z nim.

Mishkin, wyciągnięty w fotelu obok kierowcy, odezwał się:

- Tak sobie myślę, Sal... - obserwował cały czas niepodejrzewającego nic Sandersona przez owiewkę okna - ...czy nie byłoby fajnie, gdyby to śledzenie dało jakieś zaskakujące efekty i skończyło się czymś... No wiesz, powiedzmy, że Sanderson spotyka jakąś tajemniczą piękną kobietę, gdzieś sobie idą, dzielą się sekretami, a może jeszcze z rąk do rąk przechodzi jakaś brązowa paczuszka, owinięta sznurkiem...

- To taki MacGuffin - zauważył Vitali.

- Co?
- Hitchcock nazywał tak jakiś wątek poboczny akcji...
- Kto to był MacGuffin?
- Cholera wie, Harold.
- No, ale ja myślę o jakiejś romantycznej awanturce...
- Nic z tego, Harold.
- W książkach tak bywa...
- No tak, ale my nie jesteśmy bohaterami książki.

Pamiętaj o tym.

- A skąd wiesz, Sal?
- Co?
- Że nie jesteśmy bohaterami powieści?

Vitali nic nie odpowiedział. Ręce miał zaciśnięte na kierownicy. Spojrzeniem wyszukiwał Sandersona. Wiedział, że dopóki wykonują zadanie, musi znieść fantazjowanie Mishkina. I już.

- Wiesz, że ten sławny sportowiec wpadł w kłopoty, bo był uzależniony od seksu? - spytał Mishkin.
- Mówisz o kimś, kogo znam?
- No...

Vitali rozbudził się na dobre. Sanderson zatrzymał się i oglądał witrynę sklepu z elektroniką. Ale trwało to tylko kilka sekund. Potem znów w samochodzie zapanaowała nuda.

- Ten sportowiec sam się zgłosił do kliniki. Myślałeś kiedyś o klinice dla uzależnionych od seksu?
- Chodzi ci o mnie?

- Nie wygłupiaj się, Sal.

Vitali nic nie odpowiedział.

- Zastanawiałem się, jak wyglądają takie miejsca. Choćby z zewnątrz.

- Pewnie to coś w rodzaju szpitala.

- To znaczy?

- Mnóstwo wieżyczek i tak dalej - wyjaśnił Vitali.

Nie odwrócił głowy. Prawą dłoń trzymał wciąż na kierownicy.

- Taak... Myślałem o wejściu. Ale co z wyjściem?

Vitali spojrzał na Mishkina.

- Myślę, że tam są mansardowe okna, Sal. Pełno mansardowych okien. No i mają dużo ludzi od ochrony. Nikomu nie pozwolą wyjść tak łatwo.

- Nie wiem, Harold. Ale sądzę, że o wyjściu decydują lekarze i reszta personelu medycznego.

- A co z pacjentami, Sal? Jakie mają pokoje? Czy z automatycznymi zamkami w drzwiach? A może w drzwiach są judasze?

Sanderson doszedł do swojej stacji metra. Zwinnie zbiegł po betonowych schodach i zniknął pod ziemią. Jak królik chowający się w norze - Vitali nie mógł się oprzeć temu skojarzeniu.

Mishkin otworzył drzwi i wysiadł z samochodu. Teraz przyszła jego kolej na piesze śledzenie Sandersona.

- Zabiorę cię spod Sweep 'Em Up - rzucił za nim Vitali.

- Spróbuj zaparkować tam, gdzie poprzednio - poprosił Mishkin i pobiegł ku schodom do metra.

Vitali patrzył, jak Harold znika pod ziemią.

Kolejny królik.

A może raczej terier zaganiający ofiarę do nory.

Po pięciu dniach obserwacji Vitali powiedział Quinnowi:

- Jesteśmy pewni, że Sanderson jest czysty.

Quinn pokiwał głową znad biurka. Już wcześniej postanowił zakończyć to śledzenie. I tak było zbyt wielu podejrzanych w tej sprawie. To stanowiło rzeczywisty problem - zgodnie z planem Rzeźnika.

- No dobra, teraz się wyśpijcie, a potem dam wam coś innego do roboty.

- Może lepiej zatrudnić do tego jakichś wynajętych ludzi - zasugerował Vitali.

- Weaver nie byłaby zachwycona, gdyby się dowiedziała, że dostała jej się za nic, a my nie ciągniemy tej sprawy.

- No właśnie, co z nią? - spytał Vitali.

- Wyjdzie niedługo ze szpitala. Ale jest jeszcze pokierszowana i wciąż boli ją głowa. Renz wysłał ją na zwolnienie. Dziewczyna posiedzi trochę u siostry.

- No to póki co wypadła z gry...

- Tak jak Sanderson - zauważył Quinn.

57.

Edmundsville, 2008

Rekomendacja Beth zadziałała. Link Evans dostał pracę w Arch Manufacturing. Przez krótki czas pracował przy taśmie, ale szefostwo szybko się zorientowało, że można mu powierzyć poważniejszą robotę. Został operatorem wózka widłowego. Beth była zadowolona. Link zaś nie był specjalnie zmęczony po powrocie z fabryki i mógł więcej czasu spędzać z Eddiem.

Beth nie miała wątpliwości, że Link pokochał Eddiego. Wieczorami grywali w piłkę tak długo, dopóki Eddie nie miał dość. Link był przekonany, że Eddie ma talent do bejsbolu. Może i tak. Beth się na tym nie znała.

Ale z upływem czasu sportowe zdolności Eddiego nie rozwinęły się zgodnie z oczekiwaniami Linka. Co prawda, wciąż był dobrym zawodnikiem, ale prawdziwą smykałkę miał raczej do nauki. Był prymusem w swojej podstawówce, a poza tym miłym chłopakiem, lubianym

zarówno przez nauczycieli, jak i kolegów.

W szkole średniej nauka także nie sprawiała mu trudności.

Miał wciąż dobre relacje z Linkiem, który chwalił się jego sukcesami. Było oczywiste, że Eddie wyrasta raczej na intelektualistę niż sportowca. Ale nie przestali grać w bejsbol.

A właściwie to grali nawet częściej niż wtedy, gdy Eddie był młodszy.

W tej ciągłej grze coś jest, myślała Beth. To jakby nieustanne przeciąganie liny między ojcem i synem. Kobiety tego nie rozumieją. Ona też. Mogło to mieć coś wspólnego z ofiarowywaniem i przyjmowaniem, a potem oddawaniem. Beth zastanawiała się, czy mężczyźni zawsze tak grają ze swoimi synami. Czy ludzie pierwotni też tak grali kamieniami?

Była przekonana, że tak.

Dla Beth mężczyźni wciąż stanowili zagadkę.

- Czy wam się to nigdy nie znudzi? - spytała pewnego wieczoru, siedząc w fotelu w stylu Adirondack, pomalowanym przez Linka i Eddiego.

Bęc! Piłka trafiła do rękawicy chłopaka, który się rozpromienił i odesłał ją z powrotem. *Bęc!*

- Znudzi? Co się ma znudzić? - zapytał Link. Przytył parę funtów, odkąd pracował i jadał regularnie, ale wciąż był dosyć smukły i wysportowany.

- No, ta gra...

- Nie. To jest coś naturalnego. - Odpowiadając Beth, zgubił piłkę. Podniósł ją i cisnął mocno.

Bęc!

- To coś naturalnego, mamo! - potwierdził Eddie z jakąś chętnością w głosie.

Beth przymknęła oczy, pociągnęła łyk lemoniady i wsłuchiwała się w rytm lata i dojrzwiania. Pomyślała, że ma teraz dobre życie.

Spokój - z wyjątkiem jakichś drobnych problemów od czasu do czasu...

Bęc!

No dobrze - właściwie chodziło wciąż o to samo.

To było coś, co nie wykrystalizowało się w jej umyśle, nie przeobraziło w faktyczne podejrzenie. Jej myśli tańczyły jedynie wokół tego tematu i tylko czasami dopuszczała go bliżej świadomości. Zdarzało się to przy specyficznym oświeceniu albo tonie głosu.

To wszystko cechy nabyte - mówiła sobie Pearl. *To wszystko może być nabyte.*

No, ale nie owal twarzy, brwi i te ciemne oczy.

Złudzenie?

Beth nie wiedziała, co myśleć, co zrobić, jeśli dopuści do siebie te podejrzenia. I znajdują się podstawy do nich. Poważne.

Uderzenia piłki trafiającej z jednej rękawicy do drugiej czasami milkły - jakby w porządku kosmicznym pojawiała się jakaś luka - a potem znów się odzywały.

To było przed laty, w innym świecie, i uchwyciła tylko niewyraźny obraz człowieka, który ją wtedy napadł. A ludzie się zmieniają, zwłaszcza gdy tyją lub chudną. Link *był* w odpowiednim wieku. A do gwałtu doszło w nocy. Gwałtociela widziała jedynie w świetle księżycowej poświaty.

Było jednak prawdą - jak czasami sobie mówiła (czy też przyznawała) - że gdyby Link przybrał trochę na wadze i zapuścił ciemną brodę, mógłby odpowiadać rysopisowi Vincenta Salasa.

Beth próbowała, może aż za często, przypomnieć sobie majaczące jej przed oczyma obrazy twarzy gwałtociela sprzed lat. Przywoływała wciąż wspomnienia ciężaru jego ciała, szybkiego ruchu ręki, która chwyciła ją w pasie i powaliła na ziemię, zarysu brodatej szczęki, błysku oczu w świetle księżyca.

Szaleństwo!

Beth kierowała myśli w innym kierunku. Powinna się przecież cieszyć, że Link i Eddie tak dobrze się dogadują. Link był cudownym, kochającym i troskliwym ojcem. No i mężem.

Zainteresował Eddiego czymś jeszcze poza bejsbolem i wędkarstwem - mianowicie numizmatyką. Bo Link stał się poważnym kolekcjonerem monet, znacznie powyżej poziomu zbieractwa „pszenicznych” jednocentówek i srebrnych dolarówek. Zaczął nawet uczestniczyć w spotkaniach poważnych kolekcjonerów, a z

każdego przywoził jakieś monety dla siebie (jako inwestycje) i dla Eddiego.

Monety. Eddie i Link mogli godzinami gadać o swoich zbiorach, o romantyce tkwiącej - zdaniem Linka - w starych rzadkich monetach. Beth widziała w tym kolejną więź pomiędzy swoim synem i Linkiem. Te więzi były tak mocne, że bała się o swoją pozycję - że znajdzie się gdzieś na bocznym torze.

Czy ja się boję? Czy się obawiam, że zostanę starą kobietą na uboczu?

Roześmiała się na tę myśl, trochę rozbawiona, a trochę zawstydzona.

- Co cię tak bawi? - zapytał Link.

- Śmieję się z samej siebie - odparła Beth. - To nic ciekawego dla facetów.

Przymknęła oczy, pociągnęła znów łyk lemoniady i wsłuchiwała się w odgłos piłki krążącej pomiędzy nasmarowanymi skórzanymi rękawicami. Tam i z powrotem, tam i z powrotem...

Tylko tyle.

58.

Nowy Jork, obecnie

Verna Pound wydała w *deli* wszystkie pieniądze. Starczyło jej tylko na śmieciowe jedzenie z półki. Ciemnoskóra kobieta za ladą - może z Indii albo Środkowego Wschodu - nie przejęła się nawet tym, że Vernie zabrakło trzech centów za wczorajsze babeczki i ciasto z jabłkiem. Chciała jak najszybciej pozbyć się jej ze sklepu, więc nie robiła z tego problemu.

Wychodząc, Verna ukradła plastikową butelkę z wodą. Ciemnoskóra ekspedientka może coś tam mruczała, ale ona nie miała zamiaru tego słuchać. Zresztą w pewnych okolicach Manhattanu trzeba się liczyć z takimi stratami, jeśli się chce prowadzić sklep. Poza tym woda to rzecz, która należy się każdemu.

Wyszła na ulicę z białą plastikową torbą, w której miała jeden z najlepszych posiłków od paru dni. Ruszyła w stronę Ben's for Men's. To był duży sklep z męską odzieżą. Nie za drogi, ale porządny. Wchodziło się tam przez tunel z witryn, w których wystawiano płaszcze,

garnitury i inne męskie ubrania. Sklep już zamknięto i światła w witrynach pogaszono, ale głęboki, tonący teraz w ciemności tunel był dostępny. To było jedno z niewielu miejsc w okolicy, gdzie Verna czuła się niemal całkowicie bezpieczna.

Choć zapadał dopiero zmierzch i było jeszcze dość wcześnie, czuła się wyczerpana. Ale cóż - to był jej zwykły stan. Odczekała, aż nikt nie będzie na nią patrzył, a potem wśliznęła się do tunelu wystawowego. Chciała się skryć jak najgłębiej, ale bez dotykania - broń Boże! - szklanych drzwi sklepu. Bo tam na pewno zainstalowano system alarmowy.

Verna przysiadła na ceglany murku pod witryną. Westchnęła ciężko, zastanawiając się, czy inni ludzie też bywają tak zmęczeni. Życie, jakie prowadziła, wpływało na jej zdrowie. Czuła się już stara, choć nie miała jeszcze czterdziestki.

Kiedyś...

Nie, upomniała Verna samą siebie. Kiedyś to było dzisiaj, a jutro nie rysowało się wcale w jaśniejszych barwach. Nadzieja potrafiła być okrutna. W jej sytuacji lepiej nie mieć żadnych marzeń. Wiedziała, że na nadzieję nie ma co liczyć. Nie da się nią żyć.

Głodna i zmęczona pochłonęła żarłocznie czekoladową babeczkę i popiła wodą.

Zesztywniała na widok jednego z cieni mijających wejście. Chociaż może to był po prostu zwykły przechodzień, którego sylwetkę otoczyła poświata ulicy.

Ale wiedziała, że to nieprawda. Skryła się za występem ukształtowanej zygzakowato szyby.

Cień poruszył się i przemienił w człowieka.

Z miejsca, gdzie siedziała, wydawał się wysoki. Ubrany na ciemno, chyba na czarno. W marynarce, chociaż wieczór był bardzo ciepły. Na ramieniu miał plecak.

Najwidoczniej spodziewał się ją tu zastać. Musiał ją śledzić i obserwować, jak kryje się u wejścia do Ben's. Potem odczekał na właściwy moment, by do niej podejść. Było już prawie zupełnie ciemno - dobra pora, by do gry weszły potwory.

Verna się nie ruszyła, ale zmierzyła wzrokiem mężczyznę. Chyba go nie знаła. Nie był jednym z miejscowych ludzi ulicy.

A może go jednak znała? Wyglądał jakoś znajomo.

Podszedł do niej i położył na murku swój mały plecak. Uśmiechnął się do niej, a potem otworzył plecak i sięgnął do środka. Spostrzegła, że na dłoniach miał cielistego koloru gumowe rękawiczki.

Gdy jego ręka wyłoniła się z plecaka, Verna dostrzegła w niej nóż z dziwnym ostrzem. Jeszcze takiego nie widziała. Było krótkie i zakrzywione. Wyglądało na ostre i precyzyjne.

Verna wiedziała, że jeśli zacznie krzyczeć, to zginie po paru sekundach. Zresztą nie miała siły na krzyk.

Na żaden opór.

- Wiesz, kim jestem? - spytał mężczyzna.

Odstawiła ostrożnie butelkę z wodą, tak by nic się nie wylało.

- Czytam gazety - powiedziała. - Chociaż czasami sprzed paru dni. Wiem, kim jesteś.

Znów sięgnął do plecaczka.

- Zamierzam przykleić trochę taśmy na twoich ustach. Tak na wszelki wypadek. Spróbuj się tym za bardzo nie przejmować.

- Nie musisz tego robić. Nie będę krzyczeć.

Sprawnie zakleił jej usta. Gdy podniosła rękę, by zerwać taśmę, chwycił ją za nadgarstek, a potem skrepił taśmą obie ręce. Długim kawałkiem taśmy przytrzymał je do pasa, tak żeby nie mogła unieść dłoni do twarzy. Jej prawa noga uniosła się odruchowo, by go kopnąć, ale przechwycił ten ruch i przycisnął jej kolano do ziemi.

- Będziesz krzyczeć - zapowiedział. - Ale nie za głośno, zaręczam ci. - Docisnął jej kolano do betonu. Była już bezradna. Potem się uśmiechnął.

- No, a teraz możesz się już bać. Masz czego.

Verna spuściła głowę i zamknęła oczy. Ten facet nie wiedział, że mało czego już się bała. Przez ostatnie lata nauczyła się wytrzymywać naprawdę wiele. Na tym polegała jej siła - niech się na nią wali, co chce, a ona i tak to zniesie. Dopiero później oceni straty. Z każdego szaleństwa, przez które przejdzie, wyniesie jakieś resztki duszy i ciała.

A jeśli nie będzie już żadnego „potem” - tym lepiej. Doczeka się wreszcie miłosierdzia.

Ostry zapach amoniaku zmusił ją do otwarcia oczu. Zaczęła kasłać. Ciało jej zeszywniało, bo zwoje taśmy nie pozwalały na swobodny kaszel ani krzyk.

Z gardła wydobywało się tylko coś w rodzaju zduszonego szczekania. Mocne dłonie mężczyzny trzymały ją, dopóki nie przestała kaszleć. Powiedziała sobie, że to wytrzyma. Oczywiście jeśli zachowa spokój. Skupiła się na miarowym oddychaniu przez nos. W powietrzu wciąż unosił się mdlący zapach amoniaku.

Mężczyzna spoglądał na nią, jakby mu jej było żal. Mógł być aniołem wyzwalającym ją od wszystkiego, co zgotował jej świat. *Jest aniołem*, powiedziała sobie.

Może o tym nie wiesz, ale jesteś moim zbawieniem.

Potem sobie przypomniała. To było już jakiś czas temu, ale sobie przypomniała. To ten facet, który chciał z nią porozmawiać koło kościoła.

Znam cię. Jesteś gliną! Daleś mi pięć dolarów. Pomogłeś mi!

Uległość dawała jakąś szansę. Przynajmniej na mniej bolesną śmierć.

Starła się patrzeć na niego błagalnie, niby jakaś aktorka filmowa. Nadzieja była silniejsza, niż się spodziewała. Silniejsza od niej.

To nie był jednak gliniarz. Ale dał jej pięć dolców. Co fakt, to fakt.

- To nie będą dla ciebie łatwe chwile.

Metodycznie zdjął z niej ubranie, a potem mocno skleił taśmą nogi.

Jesteś przyjacielem! Pomogłeś mi! Pomóż mi! Pomóż!

Jego zdrada ją załamała.

Zrozumiała, że jednak nie jest obojętna na ból.

Ale jakimś cudem powstrzymała się przed wpadnięciem w panikę. Obojętność, kompletny brak myśli zmienił ją w istotę podludzką. Powtarzała sobie, że to wytrzyma. Mimo taśmy na ustach próbowała błagać o litość, ale była w stanie wydawać jedynie głuche pomruki.

- To moja ulubiona melodia - powiedział mężczyzna i zabrał się do niej z nożem.

Z początku pracował dość niedbale, ale potem się skupił i wbijał nóż coraz głębiej, w stałym rytmie.

Pomimo bólu i przerażenia zauważyła, że mężczyzna znalazł chwilę na papierosa.

59.

Quinn zadzwonił do Pearl i podał jej adres. Jechała akurat nieoznakowanym wozem i dotarła na miejsce zbrodni jeszcze przed nim.

Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyła, gdy zaparkowała przy krawężniku, był zamknięty żółtą taśmą odcinek chodnika po prawej. Pod napisem „BEN'S FOR MEN'S” stał potężny mundurowy policjant. Ręce miał skrzyżowane na piersiach, a głowę odwróconą w bok, jakby kontemlował garnitury wystawione w sąsiedniej witrynie.

Pearl wysiadła z samochodu na letni skwar i przeszła pod blokadą z taśmy.

Gdy mundurowy oderwał się wreszcie od garniturów i podszedł do niej, pokazała mu legitymację. Policjant zagłębił się w gęstym mroku tunelu i skinął na Pearl ręką.

Weszła w ciemność pełną szyb i zmieszanych głosów. Ten szklany labirynt wydawał się odległy od reszty miasta i zalatywał stęchlizną. Ale był tam też inny zapach,

który Pearl od razu wyczuła, a nawet jakby uchwyciła jego smak. Śmierć atakowała wszystkie zmysły.

Ekipa techniczna pracowała w skupieniu. Doktor Julius Nift, ten odpychający medyk sądowy, siedział w kucki przy ciele jakiejś kobiety. Wyglądał jak lubieżny troll.

Obok leżała jego otwarta lekarska walizeczka. Skórzana, czarna.

Nift zerknął na Pearl i pokiwał głową.

- Ten wasz seryjny schodzi na psy...

Pearl przyjrzała się temu, co zostało z ciała ofiary. Wychudzona kobieta w strzępach ubrania. To musiała być mieszkanka ulicy. Z kącika jej rozwartych, zalepionych skrzepłą krwią ust zwisał kawałek szarej taśmy klejącej.

- Ta nasza robota bywa zabawna. Prawda? - powiedział Nift. Wyciągnął jakiś srebrzysty przedmiot ze swojej walizki i zaczął nim grzebać w ciele.

- Dotknął pan tej taśmy? - spytała Pearl.

- Oczywiście, że nie. Zostawiłem to prawdziwym detektywom, żeby mogli na tej podstawie sformułować jakąś błyskotliwą teorię.

Za pomocą pesety wyjął skrawek tkanki z brzucha ofiary.

- To jakiś szajbus - zaopiniował bezbarwnym głosem.

- Co, wreszcie trafił pan na jakieś kobiece ciało, które nie wywołuje w panu żadnych emocji seksualnych? - powiedziała z przekąsem Pearl. Kątem oka

zauważyła, że jeden z techników spojrział na nią zdumionym wzrokiem.

Nift uśmiechnął się niewyraźnie.

- No, może gdybym ją umył...
- Ależ z pana dupek!

Nift wzruszył ramionami.

- Spytała pani, więc odpowiedziałem.

Quinn właśnie się zjawił i usłyszał końcówkę rozmowy.

- Wolę nie wiedzieć, jakie pytanie zadałaś - rzucił i posłał Pearl ostrzegawcze spojrzenie.

W tunelu pojawił się też ten wielki mundurowy gli-niarz i stanął z kamienną twarzą parę stóp za Quinnem. Wyglądał tak, jakby miał nos złamany prawie tyle razy, ile Quinn.

- Umarła wieczorem. Gdzieś pomiędzy dziewiątą i północą - oznajmił Nift, szczęśliwy, że może zmienić temat. - Jeszcze dziś ustalę dokładniejszy czas.

Quinn podszedł do ciała, żeby mu się lepiej przyjrzeć.

- Zanedbana - orzekł.
- Już to zauważyłem - potwierdził Nift.
- Ale torturowana tak jak inne. Te same cięcia nożem, przypalanie papierosem...
- Ten sam rodzaj ran, ten sam rodzaj noża - uzupełnił Nift. - Krótki i wygięty, ostry jak brzytwa.
- Ale to nie jest narzędzie chirurgiczne?

- Takich śladów nie zostawia żadne narzędzie chirurgiczne, jakie znam. To może być przyrząd do rzeźbienia, modelowania czegoś dużego.

- Taśma na jej ustach jest w takim stanie, w jakim była, gdy tę kobietę znalazł ekspedient mający otworzyć sklep - wyjaśnił mundurowy. - Przypilnowałem, żeby nikt jej nie dotykał przed przyjazdem ekipy technicznej i lekarza.

Pearl zobaczyła, że nieopodal stoi jeszcze jeden policjant w mundurze. Poza tym zbliżał się jakiś rudy facet w tanim garniturze, którego Pearl rozpoznała jako policyjnego fotografa. Morderstwa działają niczym magnes. Ściągają wszystkie siły policyjne.

- A jej język...? - Quinn kiwnął głową w kierunku krwawej jamy, którą stały się usta ofiary.

- Został usunięty - powiedział Nift. - Moim zdaniem, bardzo umiejętnie. No, ale muszę najpierw oczyścić usta, żeby się upewnić. Morderca zabrał go chyba ze sobą, o ile nie leży gdzieś pod ciałem...

- Sądzę, że raczej go zabrał - zgodził się Quinn. Sprawdził dokładnie, czy ofiara nie miała przy sobie czegoś, co ułatwiłoby identyfikację. Ale nie było nic. Żadnego dokumentu w porwanych kieszeniach. Spojrzał na potargane, pokrwawione włosy ofiary i doszedł do wniosku, że były potargane jeszcze przed śmiercią. Za połamanymi paznokciami miała brud, ale nic nie wskazywało, by się broniła przed mordercą.

- Miała torebkę?

- Kiedy tu dotarliśmy, nic takiego nie było - poinformował mundurowy policjant.

- Kolejna kobieta żyjąca na ulicy - podsumował Nift.

- Chcę mieć jak najszybciej jej odciski palców - oświadczył Quinn, wstając. Poczul to w nogach.

- Mój Boże! - odezwał się głos za nim.

Quinn odwrócił się i zobaczył szczupłego przystojnego mężczyznę z nastroszonymi blond włosami, w okrągłych okularach. Miał na sobie szykowny kremowy garnitur, który skojarzył się Quinnowi z niepoprawnym entuzjastą Sporting Life z opery *Porgy and Bess*.

Tyczkowaty facet był przynajmniej o trzy cale wyższy od Quinna i używał jakiejś szczególnej wody kolońskiej, która nie mieszała się z miedziowym zapachem śmierci.

- Ten funkcjonariusz powiedział mi, że mogę tu wejść - powiedział mężczyzna. - Jestem Ben. No wie pan: Ben's for Men's. - Wyciągnął rękę, a Quinn ją uściśnął, zauważając przy okazji, że ten „patyczak” jest zaskakująco silny.

Quinnowi przyszło na myśl, by wejść z Benem do sklepu i tam przesłuchać sprzedawcę, który znalazł ciało, ale to oznaczałoby zostawienie Pearl z Niftem, a także z mnóstwem innych ludzi, wobec których nie miałyby już żadnych hamulców. Zerknął na zegarek.

Mishkin pojechał do Weaver, do szpitala, ale Fedderman i Sal Vitali powinni się niedługo zjawić.

- Chodźmy do sklepu - powiedział do Bena. Chciałbym porozmawiać z pańskim pracownikiem.

Ben ruszył przodem, a Quinn obejrzał się jeszcze na Pearl. Znała to spojrzenie. Mówiło: „Zachowuj się”.

Pearl spróbowała.

60.

Edmundsville, 2008

Beth siedziała w zajeździe 66 i patrzyła, jak Link tańczy z jej przyjaciółką Annette Brazel. Annette była niewysoką, ale atrakcyjną kobietą, która na awanse Linka była podatna jak betonowy słupek. W fabryce pracowała przy wycinarce do skóry i miała męża, który występował w miejskim teatrze w Edmundsville i cieszył się opinią skąpej mendy. Beth w żadnym razie nie czuła się zazdrosna.

Nigdy nie obawiała się o tę stronę swojego małżeństwa. Co prawda, napiętność z ich związku trochę już wyparowała, ale coś jednak zostało. Dobrze wiedziała, że Link nigdy jej nie opuści, bo to by oznaczało zostawienie Eddiego. Oczywiście Eddie już niedługo będzie mężczyzną. Za parę lat pójdzie do college'u. Trudno było w to uwierzyć, bo wciąż często wyglądał i zachowywał się jak dzieciak.

Beth siedziała, popijając swojego bud lighta. Obserwowała tańczących. Uderzyło ją, jak wyraźnie i często

ujawniało się podobieństwo Linka i Eddiego. A może tylko jej się zdawało?

Ale nie. Miała co do tego pewność. Gdy Link odwracał się i światło padało na jego twarz pod pewnym kątem, wyglądał niemal jak starsza wersja Eddiego. Prawie jakby...

Jezu! Co ci przychodzi do głowy, kobieto!

Skończyli grać jakąś współczesną muzykę country i kapela zaczęła starą piosenkę Hanka Williamsa. Beth przypomniała się chwila, gdy spotkała Linka. Tu, w 66, przy tej samej, a w każdym razie podobnej, piosence Hanka.

Hank Williams śpiewający o miłości, która źle się potoczyła.

Link i Annette byli wciąż na parkiecie. Link korzystał z wolnego tempa melodii. Tańczyli blisko siebie - ale nie za blisko. Annette zerkała na Beth i puszczała do niej oko.

W pewnej chwili Beth zauważyła puszkę piwa na stole przed krzesłem Linka. To było piwo Wild Colt - to samo, które znaleziono przy motocyklu Vincenta Salasa na drugi dzień po...

O Boże, nie!

Ale w tych okolicach była to bardzo popularna marka. Połowa mężczyzn w 66 piła to piwo. Badania DNA wykazały, że Vincent Salas przypadkowo również je pił.

DNA może potwierdzić, ale i wykluczyć wiele rzeczy.

- Annette obtarła sobie nogę - powiedział Link, siadając na swoim krześle, przy otwartej puszcce colta.

- Nic sobie nie obtarłam, tylko palec mnie boli, bo mi nadepnąłeś na czubek buta - sprostowała Annette.

Link uśmiechnął się.

- Może, ale to dlatego, że poplątały ci się nogi, gdy zastosowałem mój upojny krok...

- Co takiego? - zainteresowała się Beth.

- Mumbo jumbo.

- Co? - spytała jeszcze raz.

- Mumbo jumbo - powiedziała Annette. - On tak mówi, kiedy wie, że źle zrobił.

- Zraniłaś mnie - poskarżył się Link.

- Zraniona to jestem ja, a dokładniej, mój duży palec u nogi. - Annette spojrzała na Beth. - Przyszłabyś jutro na lunch? Podobno ma padać cały dzień.

- Jak to w soboty - zauważył Link. - Przecież ten facet od pogody wie, że w weekendy mamy wolne.

- Ten facet od pogody to sukinsyn - oświadczyła Annette.

- Dobra - zgodziła się Beth. - Zadzwoń do ciebie.

- A ja nie jestem zaproszony? - spytał Link.

- Jakbyś zgadł - potwierdziła Annette.

- On i tak jedzie do Kansas City na jakąś wystawę monet - wyjaśniła Beth.

Zainteresowanie Linka numizmatyką ostatnio jeszcze wzrosło.

- Będzie aukcja srebrnych monet sprzed wojny. Jakiś bogaty właściciel ziemski sprzedaje swoją kolekcję.

- Nie wiem, co ty widzisz w tym starym złomie - zakpiła Annette.

Link pociągnął łyk piwa.

- To jest historia. I sztuka. A poza tym dobra inwestycja.

- I obsesja - dodała Beth.

Link wzruszył ramionami.

- Może i tak, ale niegroźna. Nikogo nie rani.

- Wiesz, zaciekawileś mnie - przyznała Annette.

Kapela zaczęła przygrywać w ulubionym stylu Beth.

Link napił się jeszcze piwa, a potem wstał i podał jej rękę.

- Zatańczymy? Niech palec Annette tymczasem dojdzie do siebie.

Beth uśmiechnęła się.

- No pewnie.

Próbowała się dostosować do nastroju chwili. Zrzucić z siebie podejrzenia, które dla niej samej były toksyczne.

Link zaprowadził ją na parkiet i zaczęli jakiegoś two-stepa z okręcaniem pod ręką. Po paru chwilach parkiet był już zbyt zatłoczony na takie figury i zaczęli tańczyć blisko siebie.

Objmował ją łagodnie, ale pewnie. Była jego żoną, kochanką, jego własnością. Kochał ją nawet bardziej od

tych monet w wyścielanych aksamitem klaserach.

Ale nie bardziej od swojego pasierba.

Annette zdjęła pantofel i siedziała na krześle, masując sobie duży palec u nogi. Beth widziała, jak jej koleżanka zazdrośnie zerka na nią i Linka. Annette i jej mąż Mark nie mieli dzieci i z tego co Beth wiedziała, wcale ich nie chcieli. A tu widziała Beth z mężem, który kocha ją i chłopaka. Kochali go oboje.

Beth pomyślała, że ma to wszystko, co kobiety od początku ludzkości zawsze chciały mieć: mężczyznę, dziecko, dom - by tym wypełniać sobie emocjonalną pustkę. Była więc wygrana.

Tak to musiało wyglądać z zewnątrz.

Link objął Beth mocniej. Przyciągnął ją do siebie. Ale ona miała wrażenie, że istnieje teraz granica ich bliskości.

61.

Nowy Jork, obecnie

Krótki deszcz ochłodził miasto, a słońce, które rychno wyjrzało zza skłębionych chmur, sprawiło, że wszystko zaczęło jaśnieć połyskliwą wilgocią. Quinn i Pearl nie mogli się powstrzymać od krótkiego spaceru z biura na lunch w domu (jak sama Pearl zaczęła nazywać w myślach ten budynek z piaskowca). Poza tym ekipa remontowa zajęta była wykańczaniem piętra, gdzie kiedyś była jadalnia. Quinn i Pearl mogli więc sprawdzić postęp prac, gdy w mikrofalówce podgrzewała się pizza.

Szli Amsterdam Avenue i widzieli po twarzach przechodniów, że większość z nich czuła to samo co oni. To była jedna z tych rzadkich chwil po deszczu, gdy czas zdawał się zwalniać, by dać ludziom szansę na rozejście się po świeżej i mokrej rzeczywistości.

Mieli przed oczami miasto, które kochali. Dziewiętnastowieczne budynki o krok od betonowo-szklanych wież, pnących się ku niebu. Quinn napawał się widokami,

zapachami i dźwiękami, które go otaczały. Plastikowymi workami na śmieci przy krawężnikach, spalinami wiszącymi nad jezdnią, odległymi odgłosami syren policyjnych i strażackich, kłótnią dwóch facetów, spierających się, który z nich pierwszy zatrzymał taksówkę. A także muzyką skrzypiec - niepewną, docierającą gdzieś z daleka. Quinn i Pearl wymieniali spojrzenia, wiedząc, co myśli partner.

Wewnątrz domu z piaskowca było cicho, dopóki Pearl nie przeszła przez salon i nie włączyła zamontowanego w oknie klimatyzatora. Z góry nie dochodziły żadne hałasy. Może robotnicy wyszli wcześniej na lunch.

Pearl i Quinn postanowili, że najpierw sami zjedzą, a kiedy skończą, robotnicy może znów się pojawią.

Pearl włożyła do kuchenki mikrofalowej mrożoną pizzę z kiełbasą i grzybami, a potem wyjęła z lodówki torbę z obranymi i umyтыми warzywami, pomidora, trochę szczypiorku i sos winegret. Podczas gdy przyrządzała z tego wszystkiego sałatkę, Quinn nakrył do stołu.

Siadł potem na krześle w kuchni i patrzył na krzątającą się Pearl. Zaglądała do kuchenki, jakby chciała pogonić pizzę, pomieszała raz i drugi sałatkę, dodała do niej wiórki cheddara. I szczyptę soli. Działała jak urodzona kucharka.

Zadzwoił telefon w kuchni, zakłócając ciszę i domowy nastrój. Quinn przesunął krzesło i sięgnął po słuchawkę. Na wyświetlaczu ukazało się nazwisko. To

był Vitali. Dzwonił z kostnicy. Quinn poinformował Pearl, kto dzwoni. Patrzyła z ciekawością w jego twarz.

- Nie ma cię w biurze - wytłumaczył się Vitali - i masz wyłączoną komórkę, więc pomyślałem, że złapię cię w domu...

- Co masz? - zapytał Quinn, zerkając w stronę mikrofalówki.

- Zidentyfikowali odciski tej kobiety spod Ben's for Men's. To Verna Pound, trzydzieści sześć lat, dwa lata temu zatrzymana za kradzież w sklepie.

- Jest na naszej liście?

- Tak. W dwa tysiące piątym oskarżyła niejakiego Tyrone'a Ringo, że ją zgwałcił. Skazano go. Facet odsiedział parę lat, a dwa lata temu został uniewinniony i zwolniony.

- To nie tak dawno - zauważył Quinn. - Może to jego sprawka?

- Nie - odparł Vitali. - Dziewięć miesięcy temu zmarł na gruźlicę, której nabawił się w więzieniu.

- Coś ciekawego wynikło z badań pośmiertnych?

- Nie bardzo. Wiadomo, że była torturowana przez ponad godzinę. To musiał być jakiś szajbus. Ten chory sukinsyn sprawił, że miała jeszcze gorszą śmierć niż życie. Zresztą przeczytaj sobie, bo dostaniesz raport faksem do biura.

- Ostateczna przyczyna śmierci? - spytał Quinn, który nie miał ochoty zbyt szybko wracać do biura.

- Utrata krwi z ran zadanych nożem. Do tego było mnóstwo przypaleń papierosem.

- Mamy przynajmniej te odciski - zauważył Quinn.

- Może znajdzie się jakaś rodzina...

- Wątpię. Ledwie wegetowała na ulicy. Nie miała szczęścia. Próbowła ukraść płaszcz, ale pechowo wybrała taki z kołnierzem z norek, więc wartość była znaczna. Zasadzili jej nadzór kuratora, ale zniknęła. Pojawiła się znów dopiero w kostnicy. Zastrane życie.

- Próbowła zwędzić płaszcz... - powtórzył Quinn.

- No tak. To było w styczniu, tu, w Nowym Jorku. Chciała jakoś przetrwać zimę.

- Zastrane życie... - zgodził się Quinn. Odłożył słuchawkę.

- O czym rozmawialiście? - spytała Pearl.

- O śmierci.

Kuchenka zaczęła ostrzegawczo brzęczeć, więc Pearl zerwała się, by wyjąć pizzę.

Po jedzeniu popitym zimnym heinekenem Quinn i Pearl wspięli się po drewnianych schodach piętro wyżej. Robotnicy już tam byli. Położyli już ponad połowę wykładziny podłogowej. Była jasnobeżowa. Dzięki niej pomieszczenie wydawało się zaskakująco przestronne. I wyciszone. Quinn zrozumiał, czemu nie słyszał, kiedy robotnicy powrócili do pracy.

- Myślisz, że dobrze dobraliśmy kolor? - spytał Quinn.

- Na pewno - odparła Pearl, choć szczerze mówiąc, miała to gdzieś. Wiedziała jednak, że Quinn był szczęśliwy, gdy wchodziła w te domowe klimaty i wykazywała zainteresowanie kolorystyką i umeblowaniem. Cóż, nie bardzo sobie przypominała nawet wykładzinę we własnym mieszkaniu, zajmowanym od lat. Wiedziała, że jest w jakiś rzucik, ale nie była pewna, czy nie pojawił się przypadkowo, ze starości.

- W takim razie jestem spokojny - powiedział.

- Brzmi to jak „amen” - zauważyła.

Spojrzał na nią. Wzruszyła ramionami.

- Można już po tym chodzić? - spytał Quinn jedno z robotników, niejakiego Cliffa, który wydawał się we wszystkim zorientowany.

- Od tego to jest - odparł Cliff, układając na klęczkach kolejny fragment wykładziny.

Quinn rozglądał się za Wallace'em, kierownikiem ekipy. On też na kolanach układał wykładzinę przy drzwiach do sąsiedniego pokoju.

Wallace uniósł głowę i skinął na Quinna.

- Wyjdzie bardzo ładnie - powiedział, zanim Quinn zdążył go o cokolwiek zapytać. Przycinał teraz wykładzinę przed położeniem jej na surowej podłodze.

Nagle Quinna przeszły ciarki.

- Co to za nóż, którego pan używa?!

W głosie Quinna było coś, co sprawiło, że Wallace przerwał pracę i wyprostował się, choć nie podniósł się

z kłeczek. Pokazał swój nóż. Miał prostą drewnianą rączkę, wyglądającą jak balasek od łóżka z baldachimem, i mocno zakrzywione, niczym sępi dziób, ostrze, długie na jakieś pięć cali.

- To nóż do przycinania wykładziny - objaśnił. - Przypomina na oko nóż do linoleum, ale się od niego różni. Nadaje się do precyzyjnej roboty wokół listew przypodłogowych i progów... no, w każdym miejscu, gdzie wymagana jest precyzja, bo noże do długich prostych cięć wyglądają zupełnie inaczej.

Pearl zorientowała się, w czym rzecz, i podeszła do nich bezgłośnie po nowej wykładzinie.

- Wygląda na bardzo ostry - powiedziała, wskazując na nóż.

Wallace uśmiechnął się.

- Musi taki być, bo dywany i wykładziny ciężko się kroi, zwłaszcza gdy trzeba coś dokładnie dopasować, a nie ciąć byle jak.

- O Jezu, Quinn! - westchnęła Pearl.

Wallace spojrzał na nią zdumiony.

- Gdzie się kupuje takie noże? - spytał Quinn.

Wallace, wciąż na kolanach, wzruszył ramionami.

- No, w sklepach z narzędziami. Można też zamówić. Ja swój kupiłem przed laty w takim jednym miejscu w New Jersey, które mieli likwidować...

- A ile taki nóż kosztuje?

- Taki porządniejszy to z pięćdziesiąt, sześćdziesiąt dolców. Coś koło tego.

- Dam ci za twój siedemdziesiąt pięć.

Wallace zmrużył jedno oko. Co tu jest grane? Co takiego Quinn zobaczył w zwykłym nożu do wykładzin?

- No nie, szefie. To za dużo...

Quinn uśmiechnął się.

- W takim razie dostaniesz dwadzieścia pięć.

Wallace posłał mu chytry uśmieszek.

- No to pięć dych - rzucił Quinn.

- Niech stracę - zgodził się Wallace.

Quinn wyciągnął z portfela banknoty i wręczył je Wallace'owi w zamian za nóż. Pearl obserwowała, jak Quinnowi chodziły mięśnie szczęki, gdy brał do potężnej dłoni to niewielkie, ale zabójcze narzędzie.

- Skończ robotę bez niego - wyjaśnił Wallace. - Cliff ma jeszcze jeden w swojej skrzynce.

- I to tańszy - wtrącił Cliff. - Mogę go panu opchnąć za dwie dychy.

- Trzeba było powiedzieć wcześniej - odparł Quinn. Skinął głową Wallace'owi i ruszył w stronę schodów.

Pearl posłała Cliffowi groźne spojrzenie i podążyła za Quinnem.

Wróciwszy do kuchni, Quinn dopił piwo, które zdążyło się już zagrzać, i zadzwonił na komórkę do Sala Vitalego.

- Będę miał robotę dla ciebie i Harolda - oznajmił, gdy Sal odebrał telefon. - Chcę, żebyście się rozejrzeli

po sklepach, gdzie handluje się narzędziami budowlanymi.

- A co budujemy? - zdziwił się Sal.
- Potrzask - odparł Quinn.

62.

Gdy wracali do biura, w telefonie Pearl odezwał się dzwonek z motywem z *Oblawy*. Wciąż jeszcze myślała o tym nożu do wykładzin, który teraz, owinięty w papierowy ręcznik, spoczywał w kieszeni Quinna. Machinalnie podniosła klapkę komórki i odebrała telefon, nie sprawdzając nawet, kto dzwoni.

Gdy zobaczyła, że to połączenie z Golden Sunset, było już za późno.

- Pearl, myślałam o tobie - odezwała się matka - i doszłam do wniosku, że powinnam zadzwonić.

- Tylko że teraz jestem trochę zajęta, mam. Wiesz, ten morderca...

- Ty ciągle jesteś zajęta, ale kiedy usłyszałam o czymś, co może odmienić twoje życie - niebezpieczne życie - wiedziałam, że moim matczynym obowiązkiem jest się upewnić, że moja kochana córka wie o tej ofercie...

- O jakiej ofercie, mam?

- Pracy, kochanie.
- Ale ja mam pracę, mamo. I właśnie teraz próbuję ją wykonywać.

Quinn odchrząknął.

- Jesteś z kapitanem Quinnem?
- Prawdę mówiąc: tak. Ale on nie jest już...
- Tra ta ta ta. Mogłaś wpaść znacznie gorzej. A nawet już wpadłaś.

Pearl pomyślała, że jeśli matka wymieni imię Yancy'ego, ona przerwie tę rozmowę. Albo wyłączy komórkę.

- No, ale nie ma co do tego wracać, Pearl. W każdym razie to ciekawe i dobrze płatne zajęcie, które pozwoli ci skończyć z tą robotą policjantki.

- Detektywa, mamo.
- Jak zwał, tak zwał...
- Czy to twoja matka? - zapytał Quinn.

Pearl kiwnęła głową.

- Przekaż jej pozdrowienia.

Srutututu, pomyślała Pearl.

- Słyszałam - odezwała się w telefonie matka. - Przekaż mu, żeby się ożenił z moją córką. Koniec z tym życiem na kocią łapę. To wstyd w oczach Boga i ludzi. Czego wy się boicie? Przysiąc sobie nawzajem, tak jak zrobiliśmy to z twoim ojcem? A owocem tego jesteś - dzięki Bogu - ty, Pearl.

Quinn posłał Pearl promienny uśmiech. Zastanawiała się, jaką by miał minę na jej miejscu.

- Kobiety w twoim wieku - ciągnęła matka - wciąż tryskają żywotnością i nie są wcale za stare na rodzenie dzieci. Ale istnieje naturalny porządek rzeczy, Pearl, a życie na kocią łapę do niego nie należy. Co innego wnuki!

- Na miłość boską! Mamo! Przecież dobrze wiesz, że mam swoje mieszkanie.

- W którym rzadko bywasz, sądząc z tego, że prawie nigdy nie odbierasz telefonu. Być może Bóg da, że kapitan Quinn też będzie zadowolony z małżeństwa z kobietą, która ma inną pracę, bezpieczną i pewną mimo kryzysu gospodarczego.

- Ile razy mam ci mówić, że on nie jest już „kapitanem Quinnem”...

- Ale jest właścicielem nieruchomości, która w chwili ślubu stanie się także twoja. No dobra... Powiem ci o tej pracy, o której mówiła mi pani Katzman...

- ...z domu seniora...

- Powiem ci to w największym zaufaniu. Otóż miałabyś świetną sytuację, bo pracowałabyś dla ukochanego syna pani Katzman, Aarona, który jest wielkim producentem.

- Co to znaczy „wielkim”? Jest taki gruby?

- Pearl!

- Przepraszam. No więc czym on się zajmuje?

- Sztukami,

- Na Broadwayu?

- Blisko Broadwayu. A poza tym nie jest wcale gruby, tylko szczupły i męski, no, może z wyjątkiem tego

kucyka z tyłu. Jest mniej więcej w twoim wieku. Kiedy pokazałam im obojgu twoje zdjęcie - no wiesz, to, na którym wychodzisz w T-shircie z basenu i wyglądasz jak Sophia Loren...

- Mamo, miałam wtedy osiemnaście lat...

- W każdym razie kiedy Aaron Katzman zobaczył to zdjęcie, powiedział... zaraz, jak to on się dokładnie wyraził...

- Nieważne, mamo...

- Sens był taki, że mógłby ci zagwarantować stanowisko asystentki reżysera. To na początek...

Pearl wiedziała, co będzie potem. Postanowiła wrócić najkrótszą drogą do rzeczywistości.

- Pomyślę o tym, mamo. Naprawdę. Możesz powiedzieć pani Katzman, że rozważę tę propozycję i że bardzo jej dziękuję. Podziękuj też Alanowi.

- Aaronowi. Z Aaron Katzman Productions.

- Okay, Aaronowi.

- Czuję, Pearl, że chętnie byś już skończyła tę rozmowę.

- Mamo, ja naprawdę nie chcę...

- Rozumiem, Pearl. Ty żyjesz własnym życiem, a ja jestem już na bocznym torze, na przystanku w drodze do piekła.

- Przecież ty nie wierzysz w piekło, mamo...

- Nie wierzyłam, Pearl, dopóki nie znalazłam się w jego przedsiönku.

- Mamo...

- Już ci powiedziałam, że cię rozumiem. Pozdrów ode mnie kapitana Quinna.

- On nie jest...

Ale matka już przerwała rozmowę. Coś takiego nie zdarzało się często. Zwykle to Pearl miała więcej siły i determinacji, by przerwać połączenie.

Teraz została chyba trochę zlekceważona. Ale z drugiej strony, sama zraniła przecież matkę i czuła się winna jak diabli. Wiedziała, że rano do niej zadzwoni. W każdym razie jutro.

- Co u twojej matki? - spytał Quinn, patrząc, jak Pearl zamyka telefon i wkłada go do kieszeni.

- Czuje się jak w piekle - odparła Pearl. - Ja zresztą też.

Quinn pokiwał głową.

- Jak my wszyscy, czyż nie?

- Nie ma się nad czym zastanawiać - oświadczyła Pearl, myśląc właśnie o tym.

Fedderman przesiedział w pokoju Weaver, albo w pobliżu, ostatnie sześć godzin. Weaver znajdowała się wciąż pod wpływem środków znieczulających i nawet kiedy próbowała coś powiedzieć, nie miało to sensu. Fedderman jej współczuł, ale był już mocno zmęczony tym czuwaniem. Zresztą w szpitalu rzadko zdarzają się napaści - co najwyżej na lekarzy, którzy objęli się na studiach. Oczywiście w powieściach i na filmach takich napaści bywa mnóstwo, ale w życiu - niewiele.

Na końcu korytarza, przy wejściu do strefy zamkniętej, zobaczył mundurowego policjanta.

Fedderman go znał. To był Jesse Jones, zdolny i dobroduszny czarny policjant z wąsami cienkimi jak ołówek. Jones był dość delikatnej budowy, ale Fedderman wiedział, że jest mocny jak pleciony skórzany bicz. Przez krótki czas pracował z Jonesem w wydziale włamań i wysoko go cenił.

Patrzył na zbliżającego się Jonesa. Pięćdziesiąt stóp od krzesła Feddermana policjant zademonstrował swój lśniący biały uśmiech.

- Może mi pan przekazać służbę, sir. Dopilnuję wszystkiego.

Feddermanowi podobało się to „sir”. Jones nie był jednym z tych zarozumiałych szczeniaków, którym się wydawało, że pozjadali wszystkie rozумы. Feds też szanował starszych, a jako emerytowany funkcjonariusz policji *był* starszy, choć faktyczna różnica wieku mogła wynosić parę lat. Tak to w każdym razie wyglądało w oczach Feddermana.

Podniósł się powoli z krzesła i przeciągnął, aż usłyszał pyknięcie w karku, a jego ciało się rozluźniło.

- Bardzo dobrze, bo już mam trochę dość - powiedział, wpatrując się w głąb długiego korytarza za plecami Jonesa. Było tam bez liku identycznych drzwi. Morderca musiałby naprawdę dobrze znać rozkład szpitala, żeby znaleźć Weaver. Fedderman pomyślał, że nie

istnieją chyba bardziej zagmatwane miejsca niż szpitalne labirynty.

Prostując grzbiet, zdał sobie sprawę, jak bardzo jest zmęczony. Spojrzał na zegarek, jakby nie wierzył, że to już koniec jego dyżuru.

No tak - Jones przyszedł go zmienić pięć minut przed czasem.

- Rzućmy jeszcze razem okiem na wszystko i spadam stąd - powiedział.

Otworzył drzwi do pokoju Weaver i przepuścił Jonesa przed sobą.

Jedynym dźwiękiem w tym cichym pomieszczeniu był szmer oddechu Weaver, leżącej na plecach, z zamkniętymi oczami. Była podłączona do kroplówki i jakichś urządzeń monitorujących. Zwykle opalona i pełna życia, wyglądała teraz niczym gipsowy odlew samej siebie, okryty białym prześcieradłem, podciągniętym pod szyję.

- Lepiej z nią?

- Widzisz to, co ja widziałem przez większość dnia.

- To skurwysyn - westchnął Jones cicho, jakby bał się obudzić Weaver. - Połamał jej nie tylko kości, ale i ducha.

- No nie - zaprotestował Fedderman. - Ducha to w niej zostało dość.

Jones uśmiechnął się.

- Dzielna z niej kobieta.
- Racja. Wyjdzie z tego na pewno. Teraz musimy tylko dobrze jej pilnować - powiedział Fedderman.
- Dzisiaj nic złego się nie zdarzy, gwarantuję - zapewnił Jones.

Obaj wyszli z pokoju. Na korytarzu policjant usiadł na krześle, na którym Fedderman przesiedział kilka ostatnich godzin. Usadowił się wygodnie, jak pasażer przed długim lotem. Ze stojaka wyciągnął dobrze już sfatygowany numer „People”.

- Nie chciałbyś czegoś jeszcze do czytania? Załatwiłbym ci, póki tu jestem... - zaproponował Fedderman.

Jones pokręcił głową. W dłoniach trzymał „People”.

- Nie trzeba mi nic więcej, tu jest wszystko. Niech pan idzie do domu i zapomni na jakiś czas o tym miejscu.

Fedderman skinął głową i ruszył w kierunku windy. Cóż - nie rozpoznawał większości ludzi, o których pisało w „People”. A poza tym wszyscy oni wyglądali jak dzieciaki.

Opuściwszy szpital, mógł wreszcie odetchnąć powietrzem, które nie zalaływało mentolem. Zatrzymał się przed małym sklepem jubilerskim przy następnej przecznicy, który mieścił się tu od lat. Stał przed witryną i zaczął uważnie oglądać długie rzędy pierścionków. Pierścionki zaręczynowe były wystawione osobno, na

wyłożonej aksamitem półeczce, i tak oświetlone, że złoto i srebro, z których je zrobiono, wyglądało jak świeżo wypolerowane.

Wszystkie były drogie jak diabli, z wyjątkiem dwóch na dole.

Fedderman miał godzinę do umówionego spotkania z Penny. Nigdy nie kierował się impulsem, ale teraz miał na sobie garnitur od Armaniego i oglądał pierścionki zaręczynowe. Penny go odmieniła.

Znów zaczął kalkulacje, którymi zajmował się już w szpitalu. Emerytowani policjanci nie należeli do bogaczy - o ile byli uczciwi. Ale on żył oszczędnie i miał przyzwoitą sumkę na funduszu emerytalnym.

Zastanawiał się jeszcze chwilę, skupiwszy uwagę na jednym z pierścionków u dołu wystawy, a potem wkroczył do sklepu, czując się tak jak w dzieciństwie, gdy skakał do nieznanego jeziora.

Podeksytowany, ale i pełen obaw przed utonięciem.

63.

Edmundsville, 2010

Odkąd Eddie wyjechał do szkoły w Iowa, Link coraz częściej wybierał się na rozmaite aukcje i wystawy numizmatyczne. Zmienił zajęcie i pracował teraz dla Krupke Currency Exchange, dużej firmy, zajmującej się obrotem monetami i metalami szlachetnymi. Wiele spraw załatwiał przez Internet, ale sporo też podróżował. Wciąż często kontaktował się e-mailowo z Eddiem, wymieniając opinie o monetach. Eddie szukał pewnych okazów, a Link zwykle miał okazję je znaleźć i kupić. Gdy wracał do domu, wkładał monety do szuflady z klaserami Eddiego.

Beth patrzyła przez okno, jak Link wychodzi na ganek, a potem idzie do zaparkowanego przed domem samochodu Kia. Czasami brał ten samochód, a czasami pick-upa - i zostawiał go na parkingu przy lotnisku w Kansas City. Potem leciał gdzieś w interesach. Tym razem wybierał się na wystawę i aukcję do Cedar Rapids w stanie Iowa. Położył walizkę na fotelu pasażera,

a potem obszedł samochód i siadł za kierownicą. Sportowy płaszcz miał spakowany, a teraz był w samej białej koszuli z miękkim krawatem w prążki. Beth zauważyła, że w ciągu ostatnich lat przybrał trochę na wadze i nie poruszał się już tak zwinnie.

Rozgrzany w słońcu czerwony wóz zaryczał chrapliwie. Link zawrócił w kierunku wysypanego żwirem zjazdu z autostrady. Beth stała w oknie, aż do chwili gdy opadły tumany kurzu za samochodem.

Chociaż nie miała wcale mokrych rąk, wytarła je w ścierkę do naczyń, którą właśnie trzymała. Potem zadzwoniła do szeryfa Wayne'a Westerleya.

Dwie godziny później Westerley zaparkował swoje go suwa z czerwonymi i niebieskimi światłami na dachu oraz wielką odznaką szeryfa, wymalowaną na drzwiach, w tym samym miejscu, gdzie niedawno stała kia Linka.

Wysiadł z samochodu i dopiął pas z kaburą i innymi atrybutami strażnika prawa. Beth spodziewała się, że i on będzie miał już trochę brzuszka, ale nic z tego. Poruszał się żwawo i z dawną sprężystością wszedł po schodach na ganek.

Beth otworzyła frontowe drzwi i przez chwilę przyglądali się sobie nawzajem. Beth poczuła, że coś ścisną ją za serce. Nie spodziewała się tego. A może jednak tak?

Westerley był spocony, jakby w jego wozie wysiadła klimatyzacja. Uśmiechnął się.

- Kopę lat...

- No właśnie - powiedziała Beth. Zrobiło się jej głupio, że nie pomyślała o zrobieniu jakiejś lemoniady, czegokolwiek.

- Może się czegoś napijesz? Szklanka wody z lodem dobrze ci zrobi w taki upał.

- Z przyjemnością. - Zdjął kapelusz. Jego ciemne faliste włosy nic się nie zmieniły. Nie było w nich nawet śladu siwizny.

Gdy wchodziła do kuchni, zobaczyła, że usiadł na sofie, odłożywszy kapelusz na stolik do kawy. Wydawało jej się, że się cofnęła w czasie. Było to uczucie przyjemne, ale też trochę krępujące.

Wróciła ze szklanką wody, w której pływały kostki lodu. Dla siebie nic nie przyniosła. Podała Westerleyowi wysoką szklankę i usiadła na bujanym fotelu, stojącym bokiem do sofy.

Szeryf upił łyk wody i uśmiechnął się.

- Tego mi było trzeba. - Rozejrzał się wokoło.

- A gdzie Link?

- Pojechał do Cedar Rapids na jakąś wystawę numizmatyczną.

- Wciąż w tym siedzi?

- O tak. Pracuje nawet dla takiej firmy, która handluje monetami i metalami szlachetnymi. Większość spraw załatwia w domu, przy komputerze, ale też sporo jeździ.

- A Eddie?

- Jest w szkole. *Jesteśmy tylko we dwoje.*

Westerley wypił kolejny łyk. Beth obserwowwała, jak porusza się jabłko Adama na jego mocnym gardle.

On patrzył na nią z półuśmiechem, jakby to było zwyczajne spotkanie starych znajomych.

Wiedział, że wcale tak nie jest, ale też nie miał pojęcia, do czego to wszystko zmierza.

Odstawił szklankę na egzemplarz „Coin Universe”.

- Mówiłaś, że masz jakiś problem, Beth...

- Tak powiedziałam?

- W każdym razie odniosłem takie wrażenie.

Westerley przeżywał trudne chwile, odwracając wzrok od rowka między piersiami Beth, ukazującego się w dekolcie białej bluzki. Oprócz tego miała na sobie dzinsy. Spodnie były sprane i obciste. Podkreślały jej figurę. Czy specjalnie ubrała się tak uwodzicielsko? Usłyszał swój przyspieszony oddech. Napił się jeszcze wody.

Beth wierciła się na fotelu. Dla niej też była to trudna rozmowa.

- No, rzeczywiście, mam pewien problem, szeryfie...

- Wayne, mam na imię Wayne... Zapomniałaś?

Zaczęła machinalnie wykręcać dłonie na kolanach. Zauważył, że jej ręce wyglądają starzej. Dawno się nie widzieli, choć z Hogart do Edmundsville nie było daleko. Obie miejscowości leżały w tym samym hrabstwie.

- Więc mam problem, Wayne...

Jasne, masz przecież syna w college'u - taka była jego pierwsza myśl.

- Z Eddiem?

- Nie.

- To może z tym sukinsynem Salasem?

- Nie... chociaż może tak. A bardziej z Linkiem.

Westerley oparł się wygodniej i założył nogę na nogę. Miał wyglansowane czarne buty.

- Spróbuj się uspokoić i powiedz mi dokładnie, o co chodzi.

Beth pochyliła się lekko do przodu.

- Zauważyłeś... jak bardzo Eddie przypomina Linka?

Westerley wziął głęboki oddech i spojrzał jej w oczy. Bo *zauważył* już to podobieństwo, choć nigdy nie komentował tego faktu.

- No, istnieje między nimi pewne fizyczne podobieństwo - przyznał - ale ludzie zwykle upodabniają się do swojego otoczenia, do tych, wśród których dorastają.

- To coś więcej, Wayne. Sam powiedziałeś, że to jest podobieństwo *fizyczne*.

- Zdajesz sobie sprawę, co sugerujesz?

- Tak. Ale nie mówiłam o tym z nikim oprócz ciebie.

- Dlaczego?

- Nie wiem, Wayne. Jeśli moje podejrzania są słuszne, to Link powinien ci o tym powiedzieć.

- Jezu, Beth! Co miałbym zrobić, twoim zdaniem?

Pokręciła głową, jakby ją nagle rozboleła.

- Nie jestem pewna. Pomyślałam, że to ty mi może poradzisz, co zrobić.

- Dobrze pomyślałaś. Cieszę się, że zadzwoniłaś.

- Ja też.

- Wiesz, Beth, oboje zdajemy sobie sprawę, że istnieje sposób, żeby się upewnić. Badanie DNA. Ustalenie ojcostwa.

- Nie mogę tak po prostu poprosić Linka, by się na to zgodził.

- Nie musisz prosić. Znam ludzi ze stanowego laboratorium, gdzie robi się takie testy. Tylko że to może trochę potrwać. Zawsze są zajęci.

Przejechał palcem po brzegu szklanki, jakby oczekiwał, że zaśpiewa niby kryształ.

- Czy jesteś pewna, że tego chcesz?

- Czego potrzebujesz? - odpowiedziała pytaniem.

- Próbek DNA Linka i Eddiego.

- Coś się znajdzie, jestem pewna. Ich włosy z cebulkami...

Westerley znów sięgnął po wodę. *A więc już coś czytała na ten temat.*

Beth ciągnęła:

- Niedopałki papierosów Linka są wciąż w popielnicze na ganku i może gdzieś jeszcze w domu. Eddie trzyma w domu swoją szczoteczkę do zębów. Używa jej, kiedy przyjeżdża ze szkoły... A może nawet udałoby się znaleźć ścinki paznokci ich obu.

Westerley pokiwał głową. Pewnie już zebrała to wszystko.

- Czy Link nie był dobrym ojcem dla Eddiego?

- Najlepszym - potwierdziła Beth. - Boże, przebac, ale to właśnie wzbudziło moje podejrzenia. Link zawsze traktował Eddiego jak własnego syna. Jakby Link cały czas wiedział o jego istnieniu i nie był w stanie trzymać się od niego z dala. I dlatego się ze mną ożenił, by go wychowywać.

- A więc człowiek, który cię zgwałcił, chciał zostać prawdziwym ojcem twojego syna?

- To byłby w końcu także *jego* syn.

Westerley wyduł usta i o mało nie gwizdnął.

- To się chyba nigdy nie stało, Beth.

- Ale *mogło* się stać, Wayne!

Westerley dojrzał na jej twarzy łzy, choć włosy zasłaniały oczy.

- Albo to ja zwariowałam i dałam się ponieść podejrzeniom.

- Nie zwariowałaś, Beth. Słusznie zastanawiasz się nad tym, co możliwe.

Znów podniósł szklanę, upił duży łyk zimnej wody. Drobinę skroplonej na szkle cieczy spadły mu na spódnie.

- Muszę sprawdzić, czy zostały jeszcze te próbki krwi z miejsca przestępstwa. Są konieczne do badań porównawczych. To byłyby twarde dowody.

- Zrób, co możesz, Wayne.

- Nie, zrobię to, czego ty chcesz, Beth.

Wzięła kilka głębokich oddechów i wyciągnęła rękę z rozpostartymi niepewnie palcami, jakby próbowała odnaleźć równowagę.

- Chcę wiedzieć wszystko, Wayne.

Podniosła oczy. Nie było już w nich łez.

- Nawet jeśli będzie to znaczyło, że Link jest biologicznym ojcem Eddiego, a człowiek, którego pokochałam i z którym żyję, kiedyś mnie zgwałcił.

- Konsekwencje byłyby poważne - zauważył Westerley. - Jesteś na to gotowa?

- Pewnie, że nie. Ale chcę prawdy.

- Prawda nie zawsze wyzwala.

- Ale nie zabija cię powoli, tak jak kłamstwo.

Gdy Westerley wrócił do swojego biura, zastał tam Billy'ego Notha i jakiegoś chłopaczka, wyglądającego na czternaście lat, który instalował nowy system komputerowy. Poprzedni miał zaledwie pięć lat i Westerley był z niego zadowolony, ale okazało się, że jest już bezнадziejnie przestarzały.

Chłopak wyszczerzył zęby do Westerleya.

- Spodoba się panu, szeryfie. Zajrzy pan do głów złych koleśi.

- O to mi właśnie chodzi.

- Potrzebuje trochę więcej pamięci - wyjaśnił Jimmy - ale będzie idealny do wyszukiwania danych.

Westerley nie był pewien, czy chłopak już się golił.

- Cóż, skoro akurat tu jestem - oświadczył Jimmy - to zrobię panu od razu krótkie szkolenie. No a kiedy będzie miał pan jakieś wątpliwości, wystarczy nacisnąć „Help”.

I dopiero wtedy nie będę nic wiedział - pomyślał Westerley.

Ale nie było tak źle. Nowy program przypominał stary, tylko miał więcej mocy i szybkości. Ledwie jednak Jimmy skończył instruktaż, Westerley zapomniał, jak wykorzystywać nowe możliwości.

- Kiedy człowiek ma więcej niż czternaście lat, ciężko mu się połapać w tym gipsie - rzekł z uśmiechem Billy Noth.

- To niedobrze - rzucił Westerley - bo zrobię cię naszym specjalistą od IT.

- A co to takiego?

Jimmy spojrzał na jednego i drugiego, a potem pokręcił z rezygnacją głową.

- Zostałbym i wyjaśnił wszystko dokładniej, ale przed lunchem muszę zainstalować oprogramowanie w innym komputerze... Aha! Chciałbym tylko sprawdzić, zanim odjadę, czy wiecie panowie, gdzie jest przycisk „Help”.

- Jaki przycisk?

Po wyjściu Jimmy'ego Westerley pobawił się jeszcze trochę komputerem, próbując odtworzyć parę procedur, które mu pokazano. Na pewno program okaże się nader przydatny, gdy Westerley czy Billy go opanują. Problem

w tym, że ten dzień wydawał się bardzo odległy.

Westerley zostawił teraz komputer Billowi, a sam poszedł na lunch. Był przekonany, że Billy wie, gdzie szukać przycisku „Help”.

Norbert Vanderbilt (niestety, nie z tych Vanderbil-tów), właściciel Hogart Diner i kucharz zarazem, musiał wysłuchać białolenia szeryfa na komputerowe czasy.

- Skoro naprawdę potrzebujesz pomocy w tych sprawach - powiedział Norbert - to powinieneś pogadać z kuzynem mojej żony. Ten chłopak jest genialny. Nazywa się Mathew Wellman.

- Jeśli chodzi o technikę, to najważniejsza jest młodość - westchnął szeryf.

Norbert skinął głową.

- Mathew ma dopiero dwadzieścia dwa lata i już zrobił doktorat na Cal Tech.

- To droga uczelnia - zauważył Westerley. - Chce pracować naukowo?

- Wiesz, jak się do tego podejdzie od strony finansowej, to ta nauka mu się opłaciła.

- A więc pewnie naprawdę zna się na tych rzeczach.

Norbert klepnął się po udzie.

- Jeszcze jak! Jak zaczniesz rozprawiać o komputerach i Internecie, to nikt go nie rozumie.

- Brzmi zachęcająco, nie ma co.

- Ma teraz urlop naukowy, siedzi w domu, więc jeśli chcesz, powiem mu, żeby do ciebie wpadł.

- Naukowy? Nie wiedziałem, że studentom przysługują takie urlopy...

- A nie, on jest już wykładowcą na Cal Tech. Jak na takiego młodego człowieka, zarabia fortunę.

- Mój Boże! - westchnął Westerley, myśląc, jak to dobrze mieć urlop naukowy, nie mówiąc już o fortunie. Kiedyś był na dłuższym zwolnieniu lekarskim, bo nadwerżył sobie kark. Nie było źle.

- To poproś, żeby Mathew wpadł do mojego biura, jak będzie miał chwilę - powiedział. - Dam mu całą listę rzeczy, z którymi nie mogę sobie poradzić, i Billy też.

- Będzie zachwycony, że się przyda. On lubi pytania prawie tak samo jak odpowiedzi.

64.

Nowy Jork, obecnie

Fedderman po wyjściu ze szpitala nie poszedł prosto do domu. Udał się do Albert A. Aal Memorial Library, gdzie pracowała Penny. Starając się uniknąć badawczego spojrzenia czcigodnej panny Culver, siadł w kącie działu periodyków i udawał, że czyta „Popular Science”.

Po jakichś pięciu minutach przysnął. Ocknął się, gdy Penny niezbyt mocno, ale skutecznie szturchnęła go w ramię. Fedderman wyprostował się w fotelu i rozejrzał dookoła. On i Penny byli jedynymi osobami w dziale prasy. Podniósł do oczu dłoń z zegarkiem.

Dobry Boże! Już prawie dziewiąta!

- Zaraz zamykamy, Feds - powiedziała łagodnym głosem.

- To znaczy, że możesz już wyjść?

Skinęła głową.

- Jesteś głodna? - spytał.

- Umieram z głodu.

- Ja też.

Przypomniął sobie o czasopiśmie na kolanach i odłożył je na sąsiednie krzesło. Potem rozprostował tyczkowane ciało i dotknął ramienia Penny bardzo lekko, jakby chciał się upewnić, czy jest realne. Poklepał się po wszystkich kieszeniach nowego garnituru, by się przekonać, że nic z nich nie wypadło, a potem spojrział jeszcze w dół, na siedzenie fotela.

- Co byś powiedziała na coś włoskiego?
- Świetnie.

Panna Culver siedziała wciąż za głównym kontuarrem, na szczęście jednak odwrócona do nich plecami. Feddermanowi wydawało się, że ta kobieta specjalnie udaje, że czegoś szuka, by nie musieć go oglądać.

Chyba się nie mylił.

Poszli do Delio's, stosunkowo nowej restauracji w lobby jakiegoś wysokiego biurowca. Sztuczne świece - ale dobrze udające naturalne - oświetlały środek każdego stołu, nakrytego białym obrusem. Gdzieś na uboczu ktoś grał na fortepianie, a jakiś facet w garniturze i szarej fedorze na głowie kręcił się po sali, podśpiewując utwory z repertuaru Sinatry. Feddermanowi przypomniał raczej piosenkarza Bobby'ego Darina, a kapelusz kojarzył się z powieścią Mickeya Spillane'a.

- No i jak idzie śledztwo? - spytała Penny, gdy już złożyli zamówienie i popijali wino.

Fedderman zaczął z odpowiedzią, aż śpiewak wyniesie się do innej sali restauracyjnej. Uważał, że jego

nowy garnitur przebija ubranko tego koleśia, nawet bez fedory.

- Ano, jak zwykle. Posuwamy się do przodu, powoli, ale krok za krokiem - powiedział. Uznał, że lepiej nie wspominać o nożu do wykładzin. W każdym razie przed jedzeniem.

- A jak porucznik Weaver?

- Nie za dobrze. Ciągłe śpi. To się budzi, to znów zapada w sen.

- I nie zidentyfikowała napastnika?

- Nie... właściwie nie.

- Ale ty się domyślasz, kto to mógł być?

- Niezupełnie. To, co mówi Weaver, nie trzyma się kupy. Jej umysł nie pracuje jeszcze jak należy. Kto wie, czy dziewczyna w ogóle wróci do pełnej sprawności.

Penny pokręciła głową.

- Boże, co to za świat!

- Chociaż myślę, że Weaver jednak dojdzie do siebie - powiedział Fedderman. - To twarda sztuka.

- Uważasz, że to Rzeźnik ją napadł?

- To by miało sens. Seryjni mordercy czasem tak robią, prowokują policję.

- Ale czemu próbował ją zabić w taki właśnie sposób?

- Może wcale nie próbował jej zabić.

- Czemu? Dlaczego ją tylko pobił, a nie potraktował tak, jak swoje inne ofiary?

Fedderman sam zadawał sobie to pytanie. Odpowiedział Penny zgodnie ze swoimi domysłami:

- Bo to wariat.

- A może zrobił to tylko dlatego, żebyście nie myśleli, że to on napadł Weaver?

Fedderman spojrział na Penny. *Może to życie wśród księżek dało jej tyle mądrości?*

- Taak... to też możliwe.

Penny pociągnęła łyk caberneta.

- Myślisz, że naprawdę chce dokończyć swoją rozprawę z Weaver w szpitalu?

- Wątpię. Wiem, że takie rzeczy zdarzają się często w kryminałach, ale w rzeczywistości szpital to całkiem bezpieczne miejsce. - Spojrział na nią z zaciekawieniem.

- A czemu ty się tak przejmujesz tą Weaver?

Wydawała się trochę zaskoczona pytaniem.

- Ja nie myślę teraz o Weaver. Ja się martwię o ciebie, Feds. Morderca musiałby się najpierw rozprawić z tobą, żeby dostać się do Weaver.

Wyciągnęła rękę w poprzek stołu i ujęła go za przegub.

Fedderman nie wiedział, co powiedzieć. Przy tej kobiecie często zapominał języka w gębie. Wolną ręką sięgnął do kieszeni i wyciągnął małe, wyłożone aksamitem pudełeczko od jubilera. Podał je Penny. Było jasne, że w środku jest pierścionek. Penny odgadła to natychmiast i oczy jej się zaokrągliły. Puściła jego rękę i wzięła pudełeczko. Otworzyła je powoli i zajrzała do środka. Uśmiechnęła się promiennie.

- Czy to oznacza „tak”? - spytał Fedderman. Zabrzmiało to jak głos kogoś innego. *Czy ja to naprawdę robię?*

- Tak. To oznacza „tak”, Feds. A pierścionek jest śliczny. - Wsunęła zaręczynowy pierścionek na palec.

Feddermanowi wydał się odrobinę za duży. Penny podniosła dłoń z wyprostowanymi palcami, jak to robią kobiety, prezentując pierścionki.

- Jest śliczny - powtórzyła.

- Tak jak ty - wykrztusił Fedderman przez ściśnięte gardło.

Penny podniosła się z krzesła i płynnym ruchem okrążyła stół, a potem pocałowała Feddermana w policzek i wróciła na swoje miejsce. Zrobiła to tak dyskretnie, że chyba nikt z gości obok tego nie zauważył.

Czy kobiety ćwiczą takie manewry? Penny wciąż się uśmiechała. Imitator Sinatry znów się pojawił w ich części restauracji. Wydaje się, że coś wyczuwał, bo dryfował w stronę ich stolika. Śpiewał *My Way*. Oświadczyzny Feddermana i prezentacja pierścionka zwróciły jednak czyjąś uwagę, czego on tak się obawiał.

Penny jednak wciąż wydawała się rozbawiona, teraz po części zakłopotaniem Feddermana.

- Dobrze, że nie zaśpiewał *The Lady is a Tramp* - szepnęła.

Fedderman już wiedział, że jego życie zmieniło się na zawsze.

Jock Sanderson czekał na światłach, by przejść przez ulicę. Cały dzień miał straszną ochotę się napić, ale jakoś przetrwał na sucho. Był z siebie dumny, a jednocześnie poirytowany. Czuł swoją słabość, tęsknotę za alkoholem - a nie lubił myśleć o sobie jak o człowieku słabym. Pod żadnym względem. Zwykle to on panował nad sytuacją. Wyczuwał słabości innych i je wykorzystywał. Już wkrótce miał się o tym przekonać ten złamas Rzeźnik: dowie się, że musi tańczyć jak mu Jock zagra. Dostarczył Rzeźnikowi alibi, a teraz morderca wiedział, że jeśli cokolwiek złego przydarzy się Jockowi, sprawa wyjdzie na jaw.

U prawników i w skrytkach depozytowych znajdują się odpowiednie listy. Rzeźnik znalazł się na czołówkach gazet, ale to Jock pociągał za sznurki, tylko tamten jeszcze o tym nie wiedział.

Zapaliło się zielone światło. Sanderson ruszył wśród tłumu. Był w džinsach i koszuli z krótkim rękawem, kupionej w Wear it Again. Ale w przyszłości nie zamierzał się ubierać w second handach. Miał inne plany.

Może zamieszka w jakimś kraju Ameryki Południowej, który nie podpisał umowy o ekstradycji z USA? Albo gdzieś na Karaibach. Słyszał, że ludzie, którzy się tam zaszyli, żyją po królewsku. Jeśli się nie będzie wychylał, nie znajdą go nigdy.

Tak się pograżył w swoich myślach, że nie zauważył nadchodzącego z przeciwka mężczyzny, który jakby

najwyraźniej miał zamiar wpaść wprost na niego. A kiedy go w końcu zauważył, udał, że faceta nie poznaje. Pochylił tylko głowę, mając nadzieję, że mężczyzna go wyminie, ale tak się nie stało.

Jock zatrzymał się raptownie, by uniknąć zderzenia, i już chciał coś powiedzieć, ale znalazł się twarzą w twarz z Rzeźnikiem. W jego oczach było coś - poza okrucieństwem i siłą - co zmroziło Jocka. Bo Rzeźnik uśmiechał się lekko, jakby w oddali dostrzegł coś zabawnego.

- Jezu! Przestraszyłeś mnie! - powiedział Jock.

Stali naprzeciwko siebie tak blisko, że Sanderson machinalnie spojrział w dół, by sprawdzić, czy Rzeźnik nie ma w ręce broni. Taki człowiek mógł zabić nawet na zatłoczonym chodniku.

Ale dłonie Rzeźnika były puste. To znaczy: niezupełnie, bo w prawej trzymał małe białe pudełko.

Jock cofnął się. *O Boże! Tylko nie to!*

- Weź to - powiedział Rzeźnik. - Dołącz do swojej kolekcji.

Jock trzymał jednak ręce przy sobie.

- Nie mam żadnej kolekcji. I nie chcę mieć.

Rzeźnik wzruszył ramionami, jakby go to nic nie obchodziło.

- Nie chcesz chyba robić tego... bez końca? - spytał Jock.

Rzeźnik tym razem jakby się zastanowił.

- No, tylko wtedy, kiedy uznam, że to niezbędne.

- Niezbędne do czego?
- Do przypomnienia - Rzeźnik wyciągnął pudełko bliżej Jocka i coś zmieniło się w jego spojrzeniu - że ludzie, którzy nie potrafią zapanować nad swoim językiem, mogą go stracić. - Uśmiechnął się szeroko. - I to nie przez przypadek, rozumiesz chyba.

- Rozumiem.
- Więc może jednak zostaniesz kolekcjonerem.
- Już ci powiedziałem: nie! I nie ma powodu, by to ciągnąć.

Rzeźnik zignorował protesty Jocka.

- Tylko trzymaj go w chłodnym miejscu, żeby się nie zepsuł. Ta biedna kobieta, do której należał, tak bardzo próbowała użyć go aż do końca, że miałyby wiele do powiedzenia. - Rzeźnik zrobił minę jak przy dobrym dowcipie. Bawił się z Jockiem. *Sadystyczny złamas!* - Wierzysz w życie po śmierci, Jock?

- Nie jestem nawet pewien co do *życia przed* śmiercią.

- Cokolwiek postanowisz zrobić z tymi kłopotliwymi upominkami, może przemówią do ciebie w twoich snach albo i na jawie, w chwili gdy najmniej będziesz się tego spodziewał. Myślę zwłaszcza o języku Judith Blaney. Wcale bym się nie dziwił.

- A ja tak.
- Pomyśl, do czego ten język był zdolny za życia... Miał wiele talentów. Judith nie była grzeczną dziewczynką.

Jock pozbył się częściowo swojego początkowego strachu. Czuł, że sam robił się zły, a może sfrustrowany. To on powinien teraz być górą, a tymczasem ten dupek miał czelność zatrzymać go na ulicy i wtykać mu do rąk czyjś odcięty język. Zbok pierdoło...

Jock postanowił przejąć kontrolę nad sytuacją.

- Słuchaj... - zaczął. - Jeśli myślisz...

Urwał, bo Rzeźnik po prostu się odwrócił i poszedł sobie, posyłając mu na pożegnanie uśmiechnięte spojrzenie, jakby go zapisywał w pamięci.

Jock w pierwszym odruchu chciał pójść za nim, położyć dłoń na jego ramieniu i odwrócić go, a potem oddać mu to cholerne pudełko. Ale czuł się sparaliżowany tym, co dostrzegł w oczach Rzeźnika.

Ruszył przed siebie, szedł coraz szybciej, ściskając w prawej dłoni białe pudełko. Maszerował energicznie. Mógł się spóźnić do pracy, a przecież nie pozwoli, by go wyrzucono przez psychola, który obcina ludziom języki.

Ludzkie języki!

W gazetach i TV spekulowano, że Rzeźnik wycina języki dlatego, że jest kanibalem i pewnie je uważa za przysmak. Jock może jedyny znał prawdę.

Oczywiście, mogło być i tak, że ginęły również inne części ciał ofiar, tylko policja o tym nie informowała. Gliny czasami tak robią, żeby łatwiej weryfikować fałszywe zeznania różnych nawiedzonych szajbusów. Więc może i coś było w tych plotkach o ludożerstwie.

Poznawszy Rzeźnika, Jock nie odrzucał wcale takiej ewentualności.

Zauważył na rogu kosz na śmieci. Podeszedł do niego i nie zatrzymując się, wrzucił pudełko. Niech szczerze tak jak pierwsze.

Poczuł się trochę pewniej, gdy sobie przypomniał, że wie o Rzeźniku więcej, niż ten psychopata sobie wyobraża. Warto będzie o tym przypomnieć przy następnym spotkaniu. Może to powstrzyma tego świra od wtykania mu kolejnych ludzkich języków. Albo czegoś jeszcze bardziej osobistego.

Dotarł do stacji metra i niemal nie zwalniając kroku, zagłębił się w wilgotną czeluść betonowych schodów. Od czasu do czasu zerkał za siebie.

Może powinienem wytrzeć swoje odciski palców z pudełka... Z obu pudełek!

Poczuł, że wraca mu ochota, żeby się napić.

65.

Vitali i Mishkin spędzili większość tego dnia w samochodzie. Telefoniczne sprawdzanie nie na wiele się zdało. Musieli sami jeździć po sklepach i hurtowniach z narzędziami, pokazując sprzedawcom rysunek noża do wykładzin - bliskiego kuzyna noża do linoleum.

Odwiedzili sklepy w Queens, potem wrócili do biura i telefonicznie zdobyli kolejne adresy, po południu zaś zajęli się Brooklynem.

Gdy złożyli Quinnowi raport ze zmarnowanego dnia, ten kazał im objąć poszukiwaniami New Jersey. I tak znaleźli się tutaj, na autostradzie w Garden State, jadąc do miejsca zwanego Underfoot Carpet Supplies, gdzie podobno sprzedawano takie noże.

W zwykłych sklepach z narzędziami sprzedawcy nie mieli pojęcia, czego właściwie szukają Vitali i Mishkin.

Z upływem czasu wewnątrz ich samochodu wydawało się coraz ciasniejsze, a Vitali coraz gorzej znosił gadaninę

Harolda. Mishkin zdawał się nie dostrzegać, że irytuje partnera, choć był on naprawdę niespotykanie cierpliwym człowiekiem.

Po raz piąty w ciągu pięciu minut Mishkin oznajmił Vitalemu, że jest głodny. Nagle, niczym miraż zrodzony z rozpacz, wyrosła przed nimi reklama Doughnut Heaven.

- Wiem, o czym myślisz, gdy przesuwasz wzrok z drogi na tę reklamę - przytruł znów Mishkin.

- Obaj myślimy o tym samym. Zajedziemy tam na parę pączków - powiedział Vitali i zaczął zwalniać, by wjechać na parking przed lokalem.

W gruncie rzeczy był to baraczek obsługujący wyłącznie klientów w samochodach. Przy okienku przybito menu. Figurowało tam ze sto różnych odmian pączków z dziurką.

Nie było tu jednak żadnych innych wozów, co Vitalemu wydało się podejrzane.

- Jest tego za dużo na twój rozum, Sal - przygadał mu znów Mishkin, studiując menu.

- Poproszę tuzin różnych pączków, byle świeżych - zwrócił się Vitali do chudego chłopaka w okienku, który miał na głowie kucharską czapkę, założoną tak bardzo na bakier, że mogła spaść w każdym momencie. - I dwie kawy ze śmietanką - dodał.

Chłopak błyskawicznie wymienił pieniądze na parujące kubki i zatłuszczoną torbę z pączkami.

- Dodałem panu parę dziurek do pączków jako bonus - powiedział, szczerząc zęby.

- Jestem zobowiązany - odparł Vitali.

- To nasza specjalność - wyjaśnił chłopak.

Gdy wyjechali znów na autostradę, Mishkin wyciągnął słodzik w malutkiej zielonej torebce. Nosił takie zawsze w kieszeni. Kubki nie miały pokrywek i podczas jazdy kawa zaczęła się przelewać przez brzegi. Vitali siorbnął ostrożnie i odstawił zaraz kubek do uchwytu, bo napój był niemal wrzący. Poparzył sobie język. Nie poprawiło mu to humoru.

- Powinniśmy sprawdzić w Internecie, gdzie sprzedają noże do wykładzin - oznajmił Mishkin, otwierając torbę z pączkami.

- Nie wiem, co by nam to mogło dać, Harold. Przecież noże do wykładzin nie są rejestrowane jak broń.

- Ale założę się, że sprzedaje się ich mniej, dużo mniej niż pistoletów. Dlatego ktoś mógłby zapamiętać klientów, którzy kupowali ostatnio coś takiego.

- Ktoś w Bangadel, Indie... - powiedział Vitali, myśląc, jak trudno porozumieć się telefonicznie z firmami bazującymi na Internecie. Zauważył, że Mishkin ma już wąsy oszronione cukrem pudrem.

- A gdzie to dokładnie jest? - spytał Harold.

- Indie? - *Odplacę mu pięknym za nadobne*, pomyślał Vitali.

- Daj spokój, myślę o tym Bangadel.

- A bo ja wiem... tak mi się tylko powiedziało.

- Hmm...

Jak załatwić to Underfoot Carpet, pomyślał Vitali, to zjrzą może potem jeszcze do paru innych sklepów i wrócą do miasta. Na siedzeniu obok Mishkin buszował w torbie z pączkami. Torba trzeszczała i szeleściła, a Vitali miał ochotę wysiąść z samochodu i rzucić to wszystko w diabły.

Zobaczył przed sobą stację benzynową i spojrzał na wskaźnik paliwa. Zostało mniej niż ćwierć baku.

Wlekli się dwadzieścia mil na godzinę, ale na stację Vitali zajechał z piskiem opon, jakby to był wyścig Grand Prix.

- Zatakuj, Harold. Ja poszukam jakiegoś miejsca, gdzie będzie dobry sygnał, i spróbuję dodzwonić się do Quinna.

Odszedł o jakieś sto stóp, za stojak z używanymi oponami.

Quinn odebrał niemal od razu.

- Nic nie osiągniemy tym jeżdżeniem po sklepach - poinformował go Vitali. - Myślę, że więcej zwojujemy, pracując przy telefonie i komputerze. Trzeba podzwonić do ludzi od robót wykończeniowych, popytać, czy używają takich noży i gdzie je kupili.

- Zaprząłem już do komputera Jerry'ego Lido - odparł Quinn. - A Pearl pracowała przy telefonie.

- I co?

- Na razie nic. Zresztą niektóre noże do wykładzin zupełnie nie przypominają tych do linoleum, a ostrze mają tak obudowane, że nie nadają się do zadawania ran.

- Czyli szukamy czegoś rzadkiego...

- Właśnie, i dlatego ważne jest znalezienie sklepu, gdzie to mają. Może przechowują jakieś faktury czy rachunki... Przez Internet coś się znalazło, ale jak dotąd nie w okolicach, gdzie się obracają ludzie z kręgu naszych podejrzanych.

- A więc Internet, telefon i zasuwanie po mieście - podsumował Vitali. - No tak, tak to trzeba rozpracować. I wcale nie lekceważę pracy Jerry'ego. Gdyby ten gość tyle nie chlał, to byłby z niego drugi Bill Gates.

- Albo pracowałby nadal w policji. Ale jeśli dzisiaj nic nie znajdziecie, to nie będziemy chyba tracić więcej czasu na to jeżdżenie na ślepo, Sal.

- Tak myślę. Przecież w każdym sklepie, do którego wpadniemy, mają chyba telefon.

- Taak... A jeśli Rzeźnik zapłacił za nóż gotówką, to zapewne nie da się go namierzyć. Może też kupił go razem z innymi rzeczami, a na rachunku będzie kwota za całość, bez wyszczególniania pozycji - nawet jeśli zapłacił kartą.

- Też tak to widzę. Ale wiesz, jak to jest: potrzebna informacja może leżeć na samym wierzchu, a my będziemy sobie pluć w brodę, jak się okaże, żeśmy olali

jakieś źródło informacji. Jutro możemy pomóc Pearl w tych telefonicznych poszukiwaniach.

- Dzięki, Sal. Muszę już kończyć, bo dzwoni drugi telefon. Coś jeszcze?

- Nie wiem, czy zaraz nie zamorduję Harolda...

- Panuj nad emocjami, Sal - doradził Quinn i rozłączył się.

Vitali wrócił do samochodu. Mishkin zapłacił za paliwo służbową kartą i rozsiadł się znów na fotelu dla pasażera. Okna w wozie były zamknięte. Klimatyzacja pracowała.

Vitali odetchnął głęboko i siadł za kierownicą. Rozejrzył się na obie strony i włączył się do ruchu, wypychając się ostro przed ciągnik z naczepą.

- Coś się stało, Sal?

- Quinn powiedział, że znaleźli przez Internet parę miejsc, gdzie sprzedają takie noże, jakich szukamy, ale nie ma śladów, by któryś trafił do naszych podejrzanych.

- Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że my byliśmy w tych samych sklepach. Niepotrzebne dublowanie wysiłków.

- Za pieniądze podatnika... - uzupełnił Vitali.

- Jakbyśmy znów byli w policji - westchnął Mishkin.

Jechali przez chwilę w milczeniu.

- Dziurki do pączków... Sal. Coś ci to mówi?

- Nie, Harold.

- Dziurka to jest przecież... nic.
- No...
- Czyli?
- To jest oksymoron. Jak jumbo...
- Wiesz, daj mi taką jedną dziurkę od pączka, Harold.

66.

Tanya Moody wyłoniła się jak prawdziwa miss ulicy z Breaverson Arms na Wschodniej Pięćdziesiątej Czwartej, ubrana w granatowe szorty, T-shirt bez rękawów i niebiesko-białe tenisówki. Niosła błękitną sportową torbę. Zaczęła się pocić zaraz po wyjściu z chłodnego lobby na poranny upał ulicy. Odgarnęła z twarzy kosmyk długich kasztanowych włosów. Dzisiaj miało być jeszcze goręcej niż wczoraj. Wyjęła z torby okulary przeciwsłoneczne od Gucciego i ruszyła w stronę stacji metra przy Pięćdziesiątej Trzeciej i Lexington Avenue.

Idąc zacienioną stroną ulicy, Tanya zwracała na siebie uwagę. Miała pięć stóp i dziesięć cali wzrostu; była szczupła, ale umięśniona. Przy każdym kroku jej mięśnie grały. Miała wydatny biust, a że przy tym jędrny, nie kołysał się niepotrzebnie. Na długich, zgrabnych nogach szybko pokonywała odległość.

Zbiegła po schodach na peron, zrobiła to zaś tak efektownie, że jakiś mężczyzna zapatrzył się na nią i potknął, uderzając boleśnie nogą w betonowy stopień. Tanya usłyszała jęk faceta i obejrzała się za siebie, rozbawiona tym, co go spotkało.

Ale za chwilę wyjęła z kieszeni MetroCard i ruszyła w stronę kołowrotów. Była w pełni świadoma wrażenia, jakie robiła na mężczyznach i niektórych kobietach. Sprawiało jej to przyjemność. W jej biznesie - a była pracującą na własny rachunek trenerką osobistą - wygląd stanowił najlepszą reklamę.

Wyszła właśnie od bogatej pięćdziesięcioletniej wdowy, pragnącej popisać się modną szczupłą sylwetką. Kobieta ta, odkąd zatrudniła Tanyę dwa miesiące temu, straciła na wadze dziesięć funtów i była szczególnie zadowolona z faktu, że Tanya prowadzi zajęcia w domach klientów. Większość z nich, zachęcona początkowymi sukcesami, kupowała własny sprzęt do ćwiczeń w firmie, która dawała Tanyi hojną prowizję za pośrednictwo. W sumie więc Tanya nie mogła narzekać. Jej biznes od kilku lat kwitł.

Wdowa przygotowywała się do powrotu na arenę towarzyską, gdyż od śmierci jej męża minęło już ponad pół roku. Ćwiczyła mięśnie piersiowe, by podnieść biust. Trzy serie takich ćwiczeń z umiarkowanym obciążeniem, wykonywane co trzeci dzień, wystarczyły, by obwód jej biustu zwiększył się o cal.

Tanya jedna z pierwszych dostała się do wagonu. Znalazła miejsce z tyłu, skąd łatwiej było wysiąść przy większym tłoku. Ledwie usiadła i położyła sobie torbę na kolanach, pociąg szarpnął, zapiszczał i ruszył. Ruch sprawił, że zerknęła w lewo i dostrzegła mężczyznę, który za nią chodził od jakiegoś tygodnia.

Nie była z tego zadowolona. Ale nie miała dość pewności siebie, żeby otwarcie zaprotestować. Poza tym była przyzwyczajona, że mężczyźni zwracają na nią uwagę. Niektórzy byli żonaci albo zbyt nieśmiali, żeby się do niej odezwać. Trzymali się zwykle na dystans. Tylko od czasu do czasu któryś zdobywał się na odwagę, by podejść. Tanya wiedziała, że nie mają złych zamiarów. I szczerze mówiąc, ich podziw jej schlebiał.

Ale w tym facecie było coś, co nie pasowało do tego wzorca. Gość wcale nie udawał braku zainteresowania i nie przyglądał się jej ukradkiem, jak większość jej anonimowych admiratorów. Nie - on ją zupełnie ignorował, chwilę zaś potem przypatrywał się jej badawczo, jakby był lotniskowym skanerem, a z drugiej strony beznamiętnie, jak martwemu przedmiotowi. W jego spojrzeniu było coś odrażającego.

Jednak poza tym dziwactwem wyglądał całkiem przeciętnie. Zawsze miał coś na głowie, ale zmieniał te nakrycia prawie codziennie. Jakby się łudził, że zmiana kapelusza czy czapki odmieni jego aparycję; sprawi, że nikt go nie rozpozna. Dziś miał na głowie bejsbolówkę Milwaukee Brewers. Jutro może włoży beret. Zdała

sobie sprawę, że widuje go głównie w weekendy, gdy ma najwięcej pracy, bo klienci dysponują wolnym czasem. Więc niewykluczone, że facet w tygodniu pracuje. Pomyślała, uśmiechając się lekko, że dobrze przynajmniej, iż zwraca na siebie uwagę pracujących facetów, a nie bezrobotnych nieudaczników.

Chwała Bogu, że *nie* wyglądał jak Tom Stopp. Tak się nazywał mężczyzna, którego Tanya mylnie zidentyfikowała jako swego gwałciciela. To było dziesięć lat temu, wkrótce potem, jak przeniosła się do Nowego Jorku. Była wtedy w jakimś klubie, wypijała za dużo z ludźmi, których nie знаła - i odpłynęła. Nigdy wcześniej nic podobnego jej się nie zdarzyło. Najpierw bawiła się świetnie, dopiero później nabrała podejrzeń. Może ktoś wrzucił jej do drinka tabletkę gwałtu, a może po prostu nie była przyzwyczajona do tak ostrego picia.

Obudziła się - albo odzyskała świadomość - następnego ranka. Leżał na niej jakiś facet. Wpadła w przerażenie i wściekłość, zrzuciła go z siebie i pobiegła do drzwi. Jakoś udało się jej chwycić dzinsy i bluzkę. W windzie zdołała się ubrać. Czowała ból w miejscu, gdzie nie powinno jej boleć.

Natychmiast zrozumiała, co się stało.

O Boże! Czy to był tylko ten jeden?

Przewinięła taśmę pamięci i trafiła na puste fragmenty. W ogólnych zarysach pamiętała trzech mężczyzn i

dwie kobiety - swoich „nowych przyjaciół”, z którymi piła w Arthur's Lounge przy Szóstej Alei. A może przy Siódmej? Umysł płatał jej figle. Jakieś dziwne.

Gdy drzwi windy otworzyły się w holu, jakaś kobieta z małym brązowym pieskiem na ręku spojrzała na Tanyę i powiedziała po prostu: „Nie masz butów, kochanie”. Tanya pośpieszyła do wyjścia. Słyszała kogoś zbiegającego po schodach. Pomyślała, że to Tom Stopp wybiegł za nią.

Tom Stopp. Pamiętam to jego nazwisko.

Znalazszy się na ulicy, pomachała desperacko ręką i jakaś taksówka podjechała do niej. W tej samej chwili w drzwiach apartamentowca pojawił się Stopp.

Zaczął krzyczeć i biec w jej kierunku.

Taksówkarz pogmerał przy swoim radiu, a ona wskoczyła na tylne siedzenie i zatrasnęła drzwi.

Stopp za sekundę już tam był i zaczął szarpać za klamkę drzwi taksówki.

- Drzwi, okno, wszystko zamknięte - powiedział taksówkarz z akcentem, którego Tanya nie rozpoznała.

Stopp zaczął walić w szybę. Nie wiadomo dlaczego taksówkarz nie ruszał. Siedział po prostu za kierownicą, zerkając tylko, czy wysiłki Stoppa nie dają jakichś rezultatów.

Nagle Tanya zrozumiała, czemu taksówkarz nie odjeżdża: tuż przed nimi zatrzymał się radiowóz policyjny. Dwóch mundurowych policjantów pojawiło się po obu

stronach Stoppa i zaciągnęło go do wozu.

Tanya obejrzała się i zobaczyła, że za taksówką zaparkował drugi policyjny samochód.

Stopp zniknął z jej pola widzenia. Tylne drzwi taksówki otworzyły się i jeden z policjantów zajrzał do środka.

- Wszystko w porządku?

Tanya nie była w stanie odpowiedzieć.

Policjant przyjrzał jej się uważnie, uśmiechnął się i pokiwał głową.

- Niech pani tu jeszcze trochę posiedzi, dobrze? Dopóki nie wyjaśnimy sprawy.

Zgodziła się bez słowa. Była ogłuszona tym, co się stało. Co się musiało wydarzyć minionej nocy.

Tanya opowiedziała swoją wersję wydarzeń na policji. Tom Stopp także. Twierdził, że cały wieczór spędził sam w domu, w innym mieszkaniu niż to, z którego uciekła Tanya. Było ono na tym samym piętrze, ale dalej. Usłyszał jakieś niepokojące odgłosy, więc wyszedł na korytarz i zobaczył wybiegającą Tanyę. Pobiegnął za nią, by jej pomóc.

Problem polegał na tym, że w mieszkaniu, gdzie doszło do gwałtu, znaleziono odciski palców Stoppa.

To był niezamieszkały umeblowany apartament i Stopp tłumaczył, że był tam istotnie jakiś tydzień wcześniej, by go obejrzyć, bo zastanawiał się nad wynajęciem jakiegoś większego lokalu. Administrator budynku

to potwierdził, ale co z tego? Łóżko w apartamencie było niezasłane, prześcieradła w nieładzie. Do tego ewidentne ślady gwałtu. Jeśli to nie Stopp odurzył i zgwałcił Tanyę, to kto?

I kto mógł zaświadczyć, że Stopp był sam w swoim mieszkaniu, a nie w innym, o którym wiedział, że stoi puste i jest idealnym miejscem do popełnienia przestępstwa?

Gwoździem do trumny Stoppa było to, że Tanya wskazała go jako jednego z mężczyzn, którzy wcześniej byli z nią w barze. Tamtejszy barman również go rozpoznał, choć już nie z taką pewnością. Współczująca ława przysięgłych plus pełen zapału prokurator plus ślamazarny obrońca plus przedstawione dowody dały razem wyrok piętnastu do dwudziestu lat więzienia dla Toma Stoppa.

Wszystko to przydarzyło się dziesięć lat temu młodej i naiwnej Tanyi Moody. Teraz była już dojrzałą i samodzielną kobietą z własnym biznesem.

Tom Stopp też był już starszy. Czterdziestoletni ekswięzień został uniewinniony dzięki testom DNA, przeprowadzonym na próbkach zebranych po gwałcie na Tanyi, które przeleżały dziesięć lat w pudełku z materiałem dowodowym. Zwolniono go w minionym roku. Był wolny.

Tanyę Moody zgwałcił ktoś inny - i ten ktoś również przebywał gdzieś na wolności.

Policja zawiadomiła Tanyę o wypuszczeniu Stoppa z więzienia. Powiedziano jej, że zamieszkał w New Jersey i wydaje się nie żywić do niej wrogości. Poza tym miał alibi na czas przynajmniej dwóch okrutnych morderstw, dokonanych przez Rzeźnika.

Poradzono Tanyi, by zachowywała ostrożność i zadzwoniła na policję, jeśli tylko zauważy gdzieś koło siebie Toma Stoppa.

Tylko że to nie Stopp łąził za nią ostatnio. Wątpiła też, czy ten mężczyzna był jej prawdziwym gwałcicielem. Nie przypominał żadnego z mężczyzn, którzy byli z nią w barze tamtego feralnego wieczoru, a gwałciciel nie miałby żadnego interesu, by znów pojawiać się w jej życiu. Znacznie mniej ryzykowałby, gwałcąc inną kobietę.

Rzeźnik i ten dziwny mężczyzna, który - jak się jej przynajmniej zdawało - mógł ją śledzić, odnowili w jej pamięci czas gwałtu. Sądziła już, że się oczyściła z tych wspomnień, a w każdym razie odseparowała od nich. Ale ten człowiek, którego widywała w metrze lub na ulicy, stał się regularnym gościem jej snów.

Tanya miała mały pistolet kaliber .22. Zdobyła go nielegalnie. Był prezentem od pewnego faceta, z którym się spotykała po procesie. Całe lata broń przeleżała w głębi szuflady, owinięta w natłuszczoną szmatkę i zamknięta w metalowej kasetce.

Jakiś tydzień temu wyjęła pistolet i sprawdziła, czy jest sprawny. Postanowiła nosić go ze sobą. Wiedziała,

że to niezgodne z prawem, ale miała gdzieś ustawę Sulivana. Gdy w grę wchodziło jej życie, liczyło się tylko przetrwanie. Nosiła też w torebce pojemnik z gazem pieprzowym, a poza tym odbyła kiedyś kurs kick-boxingu. Wiedziała jednak, że w bezpośrednim starciu niewiele jej to da. A pistolet dawał poczucie bezpieczeństwa.

Nie sądziła, aby były dostateczne podstawy, żeby zadzwonić na policję w sprawie faceta, który tak często pojawiał się w jej pobliżu. Poza tym nie wiedziała, jak policja mogłaby się z nim skontaktować - no, chyba żeby przydzielili jej tajniaka, który by jej towarzyszył aż do czasu, gdy wskaże im tego typu. Ale na pewno tego nie zrobią. Zresztą odkąd się okazało, że wsadziła na długie lata do więzienia Toma Stoppa, nie paliła się do identyfikowania kogokolwiek. Oko ludzkie nie jest wiarygodnym partnerem pamięci.

Tanya mogła się więc tylko zastanawiać, czy ten mężczyzna *naprawdę* ją śledzi.

A jeśli tak, to dlaczego?

W każdym razie musiała być czujna.

CZEŚĆ III

Prawdę poznajemy nie tylko rozumem,
ale i sercem.

Blaise Pascal, *Myśli*

Mą Radość sekretem uczynię
A twarz pod maską troski skryję...

William Henry Davies, *Radość łowiecka*

67.

Do południa Quinn dowiedział się sporo dzięki zarejestrowanym zakupom noży do wykładowców. Niestety, nie były to wiadomości, na jakie liczył. Okazało się, że sklepy z narzędziami sprzedają też takie noże w zestawach, razem z innym sprzętem.

Dobra wiadomość była taka, że Weaver miała wyjść ze szpitala. Nie była jeszcze całkiem wyleczona, ale rekonwalescencja mogła się odbywać w warunkach domowych. Zresztą mijał jej czas ubezpieczenia. Oprócz matki w Pittsburghu miała siostrę w Filadelfii, która pracowała w administracji tamtejszego szpitala. Tak więc zdrowy rozsądek i prosty rachunek ekonomiczny wskazywały, że Weaver powinna przejść rekonwalescencję w Filadelfii.

Quinn zabrał Weaver ze szpitala przed południem i zawiózł ją do jej mieszkania, by mogła się spakować, a potem na lotnisko LaGuardia, gdzie troskliwa siostra zarezerwowała jej miejsce w samolocie. Zdaniem

Quinna Weaver wyglądała całkiem dobrze, ale wciąż zachowywała się dziwnie. Przed przekroczeniem granicy strefy bezpieczeństwa pocałowała go w usta i obejrzała się na niego, przechodząc przez bramkę do wykrywania metalu. W tym spojrzeniu było coś, co sugerowało, że już się nie zobaczą.

W każdym razie Quinn poczuł się całkiem do dupy. Nie zważając na porę, zadzwonił do Jerry'ego Lido, by go zaprosić na lunch. Wiedział, co oznacza lunch dla Jerry'ego. I to był właśnie ten rodzaj lunchu, jakiego Quinn teraz potrzebował.

Quinn miał się spotkać z Pearl na kolacji, a potem mieli pójść razem do domu z piaskowca. Siedziała sama przy stole, popijając bezkofeinową kawę, której miała już po dziurki w nosie, bo była to trzecia filiżanka. Zdaniem Pearl trzy filiżanki bezkofeinowej równały się jednej filiżance zwykłej kawy, a to wystarczało, by czekała ją bezsenna noc.

Wiedziała, że Quinn wybrał się na lunch z Jerrym Lido. I wiedziała, jak to się skończy.

Cholerny Quinn!

Gdy postanowiła w końcu sprawdzić telefon, czuła się już tak, jakby pływała w kawie.

Aha... Quinn jednak do niej dzwonił, ale z jakiegoś powodu nie usłyszała dzwonka. Nie zostawił wiadomości, ale wysłał jej esemesa. Tekst był podpisany jego nazwiskiem, jednak ogólnie był bez sensu. Wiedziała,

że Quinn nie bardzo ma pojęcie, jak się wysyła esemesy. Zauważyła, że dzwonił z aparatu Jerry'ego.

To wyjaśniało wiele rzeczy.

Pearl zapłaciła za swój ocean kawy i wyszła z restauracji, by złapać taksówkę.

Musiała stukać do mieszkania Jerry'ego przez długi czas. Z drzwi po drugiej stronie korytarza wychyliła się jakaś kobieta w dziwnej fryzurze; przypominała spaniela. Przyjrzała się Pearl, a ona odpowiedziała podobnym spojrzeniem. Kobieta pokręciła głową i zniknęła za drzwiami.

Gdy Pearl się odwróciła, spostrzegła, że jej pukanie odniosło wreszcie skutek. Drzwi mieszkania były otwarte. Stał w nich Jerry Lido w bokserkach i podkoszulku. Był na bosaka i śmierdział jak beczka dżinu.

Za nim, w głębi salonu, Quinn chrapał na sofie. Był ubrany podobnie jak Lido, tyle że na szyi miał jeszcze krawat. Na stoliku do kawy stała butelka gilby's. Trzy inne flaszki leżały na podłodze. Pearl poczuła się tak, jakby wtargnęła do gawry, gdzie dwa niedźwiedzie przesypiają zimę.

- Widzę, że była dziś niezła impreza - zagadnęła.

- Raczej *tête-à-tête* - sprostował Lido, zaskakując Pearl wyszukany słownictwem, zwłaszcza że najwyraźniej był wciąż pijany.

- To wygląda raczej, jakbyście się stoczyli z wysokiej góry.

Weszła do środka, wytrzymując dzielnie śmiercionośny chuch Jerry'ego.

- Dalej pijecie...
- Tak trochę, po maluchu...

Pearl przeszła przez pokój i spojrzała na Quinna. Wyglądał nie lepiej niż Lido, ale jego pierś unosiła się miarowo. Przynajmniej przestał chrapać.

- Pracowaliśmy przy komputerze - wyjaśnił Lido, jakby w desperackiej obronie stanu, w jakim ich znalazła.

Pearl nie była tym zaskoczona. Quinn pozwalał Jerry'emu pić, żeby ten komputerowy geniusz energiczniej polował na Rzeźnika. Była ciekawa, czy to popołudnie przyniosło jakieś wyniki. Puściła oko do Lido.

- No i co, czego się dowiedzieliście?

Chętnie zaprowadził ją do stołu z dużym pecetem. Obok leżał laptop. Stały tam też dwa płaskie monitory. Jeden był wyłączony, na drugim pokazywał się wygaszacz, wyglądający jak rozciągające się w nieskończoność rurki z PCV. Monitor ożył, gdy tylko Jerry siadł za komputerem i ruszył myszą.

- Dowiedzieliśmy się jedynie, gdzie nie sprzedają noży do wykładzin - poinformował. - Ale gdy leżałem na łóżku, a może na podłodze, przyszło mi do głowy coś innego...

- Co takiego?
- Połączenie czasu i miejsca.

- Wciąż jesteś nawalony...

Lido posłał jej ów nieśmiały uśmiech, który sprawiał, że wyglądał tak poczciwie.

- No może, ale nie tak jak on... - Wskazał na Quinna, który obrócił się we śnie i wyglądał, jakby miał zaraz spaść z sofy.

- Wiemy, że do morderstw dochodzi zazwyczaj w weekendy - ciągnął Lido. - No, czasami w piątki albo w poniedziałki. Więc pomyślałem, że jeśli byśmy sprawdzili rezerwacje w nowojorskich hotelach w tych terminach, to może jakieś nazwiska by się powtórzyły.

Jakie to proste, pomyślała Pearl. Jak wszystkie genialne pomysły. Po raz pierwszy uznała i doceniła komputerowy geniusz Jerry'ego. Zrozumiała, dlaczego Quinn godził się, żeby Lido pił przy pracy.

Jerry wziął głęboki oddech, niby pianista przed występem. I grał na klawiaturze jak na fortepianie, dostrajając myszą uzyskane tony. Nie było w nim żadnego wahania, nic nie zakłócało rytmu jego działania. Umysł Jerry'ego zdawał się tworzyć jedność z tym niewiarygodnie szybkim komputerem. Działali w sferach, do których Pearl nie miała dostępu.

Godzina upłynęła szybko niczym minuta. Nagle rozległo się tąpnięcie - to Quinn spadł z sofy. Zaalarmowała to Pearl, ale on dalej spał w najlepsze na podłodze. Wróciła więc do swojej - a raczej Jerry'ego - pracy. To Quinn powinien być na jej miejscu. Zbyt ochoczo towarzyszył

Jerry'emu przy butelce. Pearl wiedziała, że nie pierwszy raz. To się musi skończyć.

Ale jeszcze nie teraz, pomyślała. Lido pił tak czy inaczej, więc czemu tego nie wykorzystać?

Pojawiły się nazwiska dwóch mężczyzn, którzy korzystali z nowojorskich hoteli w czasie większości morderstw Rzeźnika. Pearl obserwowała zdumiona, jak Lido wykorzystuje całą moc Internetu, by dowiedzieć się wszystkiego o tych facetach. Wiedziała, że przynajmniej połowa tych wejść była w istocie włamaniami. Naruszali prawo tak samo, jakby włamywali się do mieszkań.

Nie po raz pierwszy, pomyślała Pearl.

W końcu Lido oderwał się od komputera. Jeden z mężczyzn był siedemdziesięciodwuletnim doradcą finansowym, mieszkającym wraz z żoną w Atlancie, ale niemal stale w podróży, gdyż odwiedzał klientów w całym kraju. Drugi natomiast był projektantem mody, a z materiałów internetowych wynikało jednoznacznie, że także gejem.

- Cholera - rzucił Lido, wyraźnie rozczarowany.

Rozparł się na krześle. Wyglądał, jakby miał zaraz przysnąć. Pearl, wciąż odczuwając niekiedy wpływ młodzieńczej przygody z wiarą katolicką, pokonała opory i znalazłszy butelkę dzinu, nałała Jerry'emu solidną porcję.

Przebacz mi, choć dobrze wiem, co czynię...

Wlał w siebie całego drinka, jakby to była woda.

- Czy istniał jakiś gej seryjny morderca, który mordował kobiety?

- Nie słyszałam. - Pearl też sobie naląła, ale mało. -
Przynajmniej o żadnym zadeklarowanym geju.

Lido znów zajął się komputerem.

- Ho, ho...

- Co takiego?

- On jest nie tylko gejem, ale wziął ślub... czy coś w tym rodzaju.

- Bywa...

- Z innym facetem - wyjaśnił Jerry.

- Aha...

- Ale w chwili śmierci Verny Pound był w Paryżu.

- To może mamy dwóch morderców, którzy się wymieniają - zasugerowała Pearl. Pociągnęła ze szklan-ki.

Lido jakby oklapł, ale tylko na moment. Nagle wrócił do życia. Dżin dał mu kopa.

- Należesz mi jeszcze jednego? - spytał.

- Popracujmy chwilę, to ci naleję - obiecała Pearl.

Kij i marchewka.

Czuła się podle, wykorzystując tak tego faceta. Wiedziała, że nie jest wcale lepsza od Quinna, który teraz spał smacznie na dywanie. Miała ochotę skrócić mu kark, ale chciała też wycisnąć z Jerry'ego, co się da.

- Mam pewien pomysł - powiedziała. - Rezerwacje hotelowe to nie wszystko, nawet jeśli nasz morderca rzeczywiście je robił. Mógł ich dokonywać na różne

nazwiska. Ale jeśli podróżujesz samotnie i płacisz za bilet lotniczy gotówką, władze mają cię na oku. A nasz morderca starałby się za wszelką cenę uniknąć czegoś takiego, więc zapłaciliby raczej kartą kredytową. Może więc powinniśmy przejrzeć rejestry kart kredytowych, jeśli możesz.

- No pewnie, że mogę - odparł Lido. - Ale łatwiej będzie sprawdzić loty do Nowego Jorku i poszukać pasażerów lecących samotnie, którzy zapłacili za bilet gotówką albo kartą kredytową czy debetową.

Pearl wiedziała, że Jerry ma rację.

- Jest tylko jedna sprawa. Wchodzisz w konflikt z Homeland Security, włamując się nielegalnie na listy linii lotniczych.

- E tam... robię to często.

- Nie chcę tego słuchać, Jerry.

- Pobuszuję, nie zostawiając żadnych elektronicznych odcisków - wyjaśnił konfidencjonalnym tonem.

- Wiesz, Jerry...

- Czasami robię to dla sportu - odparł z uśmiechem. - LaGuardia, Newark, Kennedy. Porównuję, ile tam pasażerowie płacą za bilety. Pearl, to jest zabawa. Boże! To jest tylko zabawa!

- Chcesz drinka? - spytała Pearl.

Minęła już druga w nocy, gdy zdołała z pomocą Jerry'ego sprowadzić Quinna po schodach i wsadzić go do taksówki. Godzinę później Quinn leżał w swoim łóżku,

a Pearl skuliła się przy nim. Oboje spali mocno, jeśli tylko nie męczyły ich sny.

Rano obudziła się, słysząc, jak Quinn rozmawia przez telefon z Jerrym. Obydwaj, zdaje się, zdychali od kaca.

Pearl przekręciła się na brzuch i ukryła twarz w poduszce. Czuła się winna, że tak wykorzystała słabość Jerry'ego.

Po chwili poczuła, że łóżko znów ugina się pod ciężarem Quinna, a na jej ramieniu spoczęła delikatnie jego wielka dłoń.

- I co z Jerrym? W porządku?
- Chyba tak.
- Wciąż mi głupio z powodu tego, co robiliśmy.

Czuję się...

- Winna?
- Tak.
- Dobra katolicka dziewczynka... - powiedział Quinn.

- Przynajmniej czasami - uściśliła Pearl.

Obróciła się na plecy i spojrzała na niego.

- Płakałaś - stwierdził i pocałował ją w czubek nosa.

- Muszą być jakieś zasady, Quinn. Nazwij to prawami albo przykazaniami. Jak chcesz. Ale nawet w tym skurwionym świecie muszą być jakieś zasady.

- I są - zapewnił. - Ale pokręcone.

Tego samego ranka, tylko trochę później, kiedy wszyscy prócz Weaver byli już w Q and A, Fedderman stanął za swoim biurkiem i odchrząknął.

Wszystkie oczy skierowały się na niego.

Ale poczuł, że to byłby błąd.

Utwierdził się zatem raz jeszcze w przekonaniu, że Penny i on powinni zachować swoje zaręczyny w sekrecie, dopóki nie skończy się śledztwo w sprawie Rzeźnika. Fedderman wiedział, że nie robi nic nieetycznego, ale po co dodatkowo komplikować sytuację?

Więc odchrząknął ponownie, podszedł do ekspresu i nalał sobie świeżej kawy.

Wszyscy wrócili do swoich zajęć. Tylko Pearl patrzyła na niego dziwnie, czując, że chciał jednak powiedzieć coś ważnego.

Bo ona chciała.

68.

Policja nie uwierzyła, że Tom Stopp próbował pomóc Tanyi Moddy tego dnia, gdy został aresztowany. Że usłyszał jakieś podejrzane hałasy, wyszedł ze swojego mieszkania i zobaczył ją półnagą, jak wybiegała z niezamieszkanego apartamentu po drugiej stronie korytarza. A ona, pośród desperackich wysiłków, by wciągnąć na siebie coś z ubrania, dostała się jakoś do windy.

Kierował nim ślepy instynkt. Skoro najwyraźniej znalazła się w kłopotach, musiał kobietę obronić i jej pomóc. Zawołał za nią, starając się ją zatrzymać i wyjaśnić, co się właściwie stało. A ona odwróciła się, przerażona, i uciekła. Przed *nim*!

Nie! Musiała się mylić. Nie mógł pozwolić, by myślała o nim w ten sposób. *Nie mógł!*

Biegł więc na złamanie karku, by jej pomóc, by jej wyjaśnić. A oni mu nie uwierzyli. Nie uwierzyli w scenę przed jego apartamentowcem. Nie uwierzyli w zamkniętym pomieszczeniu, gdzie odczytano mu jego prawa i przesłuchano go.

Już po chwili spędzonej w policyjnym zamknięciu nie wierzył własnym oczom i uszom. Nie zwrócili żadnej uwagi na jego słowa, że próbował zatrzymać Tanyę, by ją przekonać, że w żaden sposób jej nie zagraża. A może jej pomóc.

Później, kiedy odzyskała równowagę, Tanya podała policjantom swoją wersję wydarzeń. To, co według niej było prawdą. Stopp miał przechlapane. Materiał dowodowy przeciw niemu wystarczał, żeby go skazać dziesięć razy.

Mężczyzna, który naprawdę zgwałcił Tanyę Mood, był już daleko. A Tom Stopp przez następne kilka miesięcy siedział w areszcie i wciąż dowiadywał się, co zrobił i gdzie był, kiedy faktycznie leżał we własnym łóżku.

Im dłużej prokurator i przysięgli słuchali jego wersji wydarzeń, tym mniej w nią wierzyli. Co dziwne, sam Stopp zaczynał czuć się winny. Skoro tak wielu ludzi w coś nie wierzy, to może faktycznie to nieprawda? Tak działa ten system.

W więzieniu śmiano się z niego. Czasami wydawało mu się, że jest jednym ze strażników - w mundurze i z uprawnieniami. Te żarty prowadziły nieraz do przemocy. Kiedy próbował zapędzać innych więźniów do ich cel, został ciężko pobity.

Niewykluczone, że Stopp miał ten problem już wcześniej, ale tego nie pamiętał. Stawał się kimś innym

i zapominał, kim jest naprawdę. I w sprzyjających okolicznościach ta inna osoba mogła przejąć nad nim kontrolę. Człowiek nazwiskiem Tom Stopp coś sobie przypominał z tego, co się stało, ale jakby przez mgłę i na krótko. Koniec końców, przyjmował za swoją wersję innych ludzi.

Więzienny lekarz sugerował, że Stopp cierpi na chorobę psychiczną, może schizofrenię. Ale był lekarzem ogólnym i radził, żeby przebadał Stoppa specjalista. Jednak władze więzienne uważały, że Stopp zwyczajnie symuluje, by poprawić swoją sytuację i szybciej wyjść na wolność.

Tak więc nie został przebadany przez żadnego psychiatrę. Pozostał więźniem numer 14337645. A pewnej nocy, gdy uznał, że sam jest psychiatrą, wywołał więcej śmiechu niż troski.

Na wolności szukał pracy, a tymczasem żył z ceków z opieki społecznej i z pieniędzy, jakie dostawał od czasu do czasu od siostry i brata, mieszkających w Kalifornii. Miał stanowczy zamiar kiedyś im je zwrócić.

Stopp chciał koniecznie spłacić długi, nawet jeśli oznaczałoby to wejście na drogę przestępstwa czy zwykłą kradzież. Był to winien swemu bratu Marvowi, scenarzyście, i siostrze Terri, pracującej jako kosmetyczka. Bo Tom Stopp był facetem, który spłaca swoje długi. Może pewnego dnia jego brat napisze o tym scenariusz telewizyjny. Stopp uważał, że jego życie to świetny materiał na film.

Wiedział jednak, że owa determinacja pozostanie na razie raczej w sferze planów niż realizacji. Sześć miesięcy temu zdiagnozowano u niego zastoinową niewydolność serca. Nie było to takie straszne, jak sugerowała nazwa - ale zawsze. Mówiąc prościej, jego serce nie potrafiło wypompować z siebie tyle krwi, ile zassało. Drobną operacją trochę pomogła, ale tylko trochę. Lekarze powiedzieli mu, że może żyć ze swoją chorobą całe lata, jeśli nie będzie się forsował, będzie brał leki, na które nie było go stać, i miał zawsze pod ręką kapsułkę z nitrogliceryną.

Nie miał specjalnych szans, by się forsować, bo w jego sytuacji - i przy kulejącej gospodarce - i tak nie mógł znaleźć pracy. Źródłem jego stresu był przede wszystkim żal. Nie obwinał tej dziewczyny, Tanyi. Była wtedy naćpana i narąbana. Co innego ten skurwiel, który ją naprawdę zgwałcił... Stopp rzeczywiście czuł do niego nienawiść, tylko że nie miał pojęcia, kto to był.

Tak więc kręcił się dzień za dniem bez celu. Czas zabijał go swym powolnym rytmem. A lekarze wróżyli mu całe lata, jeśli będzie na siebie uważał. Wałęsając się po Canal Street, Stopp omal się nie roześmiał, patrząc na sprzedawców w kioskach z pamiątkami dla turystów. Sam wyglądał jak jeden z tych fałszywych roleksów - na pierwszy rzut oka prezentował się nieźle, ale bez szans na dłuższe działanie. Pokręcił głową.

Rzeczywistość zawsze skrywa swe prawdziwe oblicze.

Lata, lata...

Tom Stopp nie był tego taki pewny. Sądził, że coś złego mu się przytrafi, i to już niedługo. Czuł to. Jak wtedy w Szwecji, gdy wylali go z roboty w warsztacie zegarmistrzowskim.

Wrócił do swojego lichego mieszkania w suterenie, wyciągnął się na łóżku i zaczął się przyglądać karaluchom na ścianie. Na zewnątrz słońce przegrywało właśnie bitwę z mrokiem. Ciemność nadciągała niby armia okupacyjna. Stopp nie dostrzegał już karaluchów.

Pomyślał, że dobrze byłoby coś wypić. Ale nie miał pieniędzy na alkohol, a żebrać nie chciał. Próbował kiedyś tego, uznał jednak, że mimo wszystko mniej poniżające jest napisanie do brata z prośbą o kolejną pożyczkę.

Zerwał się z łóżka i wyszedł z domu, by pochodzić trochę po niebezpiecznych ulicach. Właściwie nie pochodzić, tylko się wybiegać, by uspokoić umęczoną psychikę.

Przejrzał jakąś wczorajszą gazetę, wetkniętą do kosa na śmieci. Mógł wrócić do domu i położyć się znów na łóżku, obserwując cienie pełzające po ścianie i nasłuchując niepewnego rytmu swojego serca.

Kanibalizm.

Takie plotki mają twarde życie.

Rzeźnik cisnął w kąt zwinięty numer „Post” i pociągnął łyk espresso. Nie było wątpliwości, że źródłem tych plotek był Quinn: chciał go wyprowadzić z równowagi.

Wydawało się jednak, że wystraszył przede wszystkim mieszkanki Nowego Jorku. Zanim rozeszły się pogłoski o kanibalizmie, Rzeźnik czuł niepewność tych kobiet w ciemnych lub zatłoczonych miejscach, w metrze albo w wąskich ulicach. Słuchał, jak rozmawiają z przejęciem, idąc szerokimi chodnikami. Wchodził między nie, napawając się ich strachem.

Ale teraz ten strach nowojorskich kobiet zrobił się inny - jakiś cichy i głęboki. Były naprawdę przerażone - i sprawił to Quinn. Media, oczywiście, z nim współpracowały, wciskając czytelnikom i widzom, że odcinanie języków musi się wiązać z kanibalizmem. Bo dziennikarze raczej tylko udawali, że w to wierzą. W ogóle Rzeźnik odnosił wrażenie, że jedynym rzeczywistym elementem tego show jest on sam.

Zerknął na zegarek.

Tom Stopp spał u siebie w domu, może w otępieniu alkoholowym. Rzeźnik widział faceta, jak dreptał do swojej nędznej nory, którą dzielił z karaluchami. Nie pojawi się aż do jutrzejszego poranka. Takie miał zwyczaje. Był tam, gdzie miał być, zawsze na swoim polu szachownicy. I wykonywał przewidywalne ruchy.

Był już czas, żeby opuścić restaurację i zrobić coś bardzo konkretnego.

Coś, o czym Quinn będzie mógł przeczytać w gazetach.

69.

Edmundsville, obecnie

Beth wyjęła zakupy z samochodu, gdy od tyłu podjechał suv Westerleya ze światłami na dachu i oznaczeniami urzędu szeryfa. Wóz Beth był już w garażu, ale bagażnik, gdzie miała zakupy, pozostawał wciąż oświetlony słońcem.

Westerley wysiadł ze swojego samochodu i uśmiechnął się do niej.

- Pomogę ci z tym wszystkim - powiedział.

Pocałowała go w policzek, gdy zabierał od niej wypchaną plastikową torbę z półgalonowym pojemnikiem mleka i różnymi puszkami.

Postawił ją na kuchennym stole, a potem wrócił po resztę sprawunków. Wyciągnąwszy wszystkie torby, zatrzasnął klapę bagażnika i wszedł do domu Beth.

Nie zamknął jednak drzwi od garażu, bo jego suv zaparkował za blisko używanej kii, którą Beth kupiła, gdy jej stara honda ostatecznie odmówiła współpracy.

Uwinęła się z pierwszym rzutem zakupów, ale na kuchennym stole leżało więcej rzeczy, a drzwi lodówki wciąż były otwarte. Westerley stał przy stole i podawał jej puszki i torby z mrożonymi warzywami, które Beth pakowała do kredensu albo lodówki.

- Eddie w domu? - zapytał, znając odpowiedź.
- Nie, w Iowa, na letnich wykładach na uniwersytecie. Chce nadrobić pewne zaległości z czasu, gdy chorował w zimie na gripę.
- Dzielny chłopak. A co z Linkiem?
- Nie będzie go w domu przez parę dni. W Kansas City odbywa się jakaś wielka impreza numizmatyczna.
- A ja o tym nic nie wiem?
- Nie musisz zajmować się ludźmi zbierającymi jakieś tam „pszeniczne” centy.

Beth skończyła upychać zakupy, zamknęła lodówkę i oparła się o stół. W kuchni było gorąco. Czowała, że się poci. Westerley pomyślał, że Beth pięknie wygląda z tą lekko wilgotną cerą. Podszedł do niej i pocałował ją w czoło. Było chłodne. Lubił smak jej spoconej skóry.

Odwróciła się od niego, jakby czuła się zmęczona zakupami i nie miała ochoty, żeby sprawy zaszły za daleko. Przynajmniej na razie.

- Są już jakieś wyniki? - spytała. Minęły dwa tygodnie, odkąd Westerley wysłał próbki do analizy DNA.
- Jeszcze nie - odparł szeryf. - Ci ludzie z laboratorium mają widać pilniejsze sprawy, Beth. Nie mam dość

siły perswazji, żeby ich przekonać do zmiany priorytetów.

Uśmiechnęła się.

- Ale co do mnie, masz wielką siłę perswazji.

Otarła ręką czoło.

- Napijesz się czegoś? Może piwa?

- Idź do salonu i odpocznij, sam się tym zajmę.

- A mnie przynieś wodę z lodem.

Kiwnął głową. Patrzył, jak wychodzi z kuchni. Potem otworzył lodówkę. Zimna puszka piwa kryła się za pojemnikiem z mlekiem. Wyciągnął ją i otworzył, czując syknięcie zimnej piany na palcach. Beth krzątała się w salonie. Usłyszał stamtąd brzęczenie klimatyzatora. Nie słyszał natomiast, jak wyszła na korytarz, ale po chwili brzęczenie klimatyzatora odezwało się od strony sypialni. Westerley uśmiechnął się i wrzucił do szklanki parę kostek lodu. Wziął z lodówki trochę przefiltrowanej wody, nalał ją na lód i zaniósł puszkę i szklankę do salonu.

Beth siedziała na sofie z podwiniętymi nogami.

Kusa sukienka, którą na sobie miała, powędrowała w górę. Widok jej nagich kolan i ud podniecił go. Podał jej szklankę z wodą i usiadł obok. Beth wzięła łyk i oparła głowę na ramieniu Westerleya.

Przez chwilę siedzieli tak, milcząc i ciesząc się nawzajem swoją obecnością. Czuli, że powietrze w salonie wyraźnie się ochłodziło.

- Myślisz, że w sypialni też jest już chłodniej? - spytał Westerley.

- Powinno być...

- Trzeba to jakoś wykorzystać - powiedział.

Beth wstała pierwsza i wyciągnęła do niego rękę, jakby zamierzała go poprowadzić.

Leżeli potem, nadzy i spoceni, na łóżku, czując, jak chłodne powietrze z klimatyzatora pieści ich ciała. W wibracjach urządzenia dało się słyszeć drobne wariacje, jakby powtarzające się wciąż trzy nuty. Oboje przyjmowali to jako coś relaksującego, a nie irytującego. Koc i wierzchnie prześcieradło leżały na ziemi, a zmięte prześcieradło pod nimi wciąż było wilgotne i emanowało seksem.

Dłoń Beth przesunęła się lekko po udzie Westerleya.

- Chciałabym, żeby tak było zawsze...

Oboje wpatrywali się w sufit, przyglądając się tym samym pęknięciom tynku.

- No ale chciałabyś jednak dostać te testy DNA - zauważył Westerley.

- Nie... To znaczy: tak. Ale chciałabym też, żeby obecna chwila trwała wiecznie.

- Żeby nie było żadnych wojen ani zbrodni...

- I żadnych szeryfów...

Beth roześmiała się i poruszyła ręką, ściskając go delikatnie tam, gdzie w ogóle nie chciał być ściskany.

- Czasami myślisz zbyt praktycznie - zauważyła.
- Ktoś musi. - Odwrócił się do niej, pocałował ją w usta i zmienił pozycję ciała, żeby usiąść na brzegu materaca.

- Ale jeszcze się nie zbierasz, prawda?

- No cóż, Beth, obawiam się, że nasz idealny świat nie jest wieczny. Jeśli nie wrócę i nie zabiorę się do pracy, hrabstwo może sobie wybrać innego szeryfa.

Uśmiechnęła się szeroko.

- Nigdy do tego nie dojdzie. Jesteś w tym za dobry, żeby ktoś mógł cię zastąpić.

Wyciągnęła do niego rękę, ale on już wstał z łóżka.

- Bądźmy poważni. Wezmę zaraz prysznic i pojedę, żeby wystawić parę mandatów za przekroczenie prędkości.

- Twój zastępca może to zrobić.

- Billy? On nie lubi sprawiać ludziom przykrości. Nie ma do tego serca. Jest za miękki.

- A ty nie?

- Nie.

Westerley poszedł na bosaka do łazienki i wziął szybki zimny prysznic.

Kiedy wrócił do sypialni, łóżko już było zaścielane, a na pościeli leżały jakieś ubrania. Beth miała na sobie szorty z obciętych dżinsów i białą bluzkę, której nawet nie zapięła. Po odjeździe Westerleya sama zamierzała wziąć prysznic i ubrać się. W rękę trzymała jakąś kartkę.

- Co to jest? - spytał Westerley, wycierając głowę ręcznikiem.

- Rachunek z restauracji.

- I co?

- Jest z jakiejś restauracji w Nowym Jorku. Sprzed dwóch tygodni. Link miał być wtedy w Houston.

Westerley wziął rachunek i przyjrzał mu się. Ktoś zapłacił trzydzieści sześć dolarów za posiłek w restauracji Danny's przy Dziesiątej Ulicy. Szeryf zwrócił rachunek Beth.

- Znalazłam to w garniturze Linka - wyjaśniła Beth i kiwnęła głową w kierunku ubrań leżących na łóżku. - Miałam go zanieść razem z resztą ciuchów do pralni i pomyślałam, że lepiej sprawdzić kieszenie, bo ostatnim razem w jego ubraniu został długopis i po praniu zrobiła się plama.

- Houston leży kawał drogi od Nowego Jorku - powiedział Westerley.

- Więc jakim cudem ten rachunek znalazł się w kieszeni Linka?

- Nie wiem. Nie mam zamiaru występować jako adwokat twojego męża, ale takie rzeczy się zdarzają, choć raczej trudno w to uwierzyć. Może to jakaś restauracja sieciowa z centralą w Nowym Jorku i ten adres drukują na wszystkich rachunkach? Tak jak w przypadku hot dogów Nathan's? Albo drukarka miała źle ustawiony datownik? A może chodziło o jakieś sekretne

spotkanie... Myślisz, że ta ostatnia ewentualność wchodzi w grę?

Beth zmięła rachunek i wrzuciła go do kosza na śmieci.

- Moim zdaniem, to raczej drukarka - powiedziała.

- A ja założę się, że to czyjś stary rachunek, a Link wziął go przez przypadek i schował ze swoimi papierami.

- No tak, to też możliwe.

Jednak tak naprawdę myśleli o tym samym. Może to zresztą nie będzie miało znaczenia, gdy przyjdą wreszcie wyniki DNA.

Kiedy Westerley wrócił do biura, zastał Billy'ego Notha przy komputerze. Z kącika ust wystawał mu koniuszek języka - jak zawsze, gdy był na czymś mocno skupiony. Za nim stał Mathew Wellman, przyglądając się jego poczynaniom. Chłopak uśmiechnął się. Powitał Westerleya ze swoją zwykłą uprzejmością.

- Dzień dobry, szeryfie. Billy ma smykałkę do tych rzeczy...

- Dobrze, że ktoś w tym biurze ją ma - odparł Westerley.

- Ten program przysłany przez władze stanowe nadaje się idealnie do przeszukiwania danych - ocenił Mathew.

- A my tym się właśnie zajmujemy - powiedział Westerley. - Przekopujemy się przez hałdy informacji...

- ...w poszukiwaniu samorodków złota, mogących posłużyć jako materiał dowodowy - uzupełnił Billy.

Westerley zastanowił się, czy jego zastępca nie spędza aby za dużo czasu z Wellmanem.

Przez chwilę rozważał, czy Mathew nie mógłby wykorzystać tego nowego cudownego programu do włamania się do komputera stanowego laboratorium i sprawdzenia, co się dzieje z próbkami do badań DNA, które wysłał dwa tygodnie temu.

Ale coś takiego byłoby niezgodne z prawem.

A Westerley był przecież szeryfem.

70.

Nowy Jork, obecnie

Quinn nie był zaskoczony, gdy podniósł słuchawkę telefonu na swoim biurku i usłyszał Nancy Weaver, dzwoniącą z Filadelfii.

W biurze zjawił się tego dnia pierwszy, co się zresztą często zdarzało. Spodziewał się, że Weaver zadzwoni wcześniej, gdy on będzie jeszcze sam, nim pochłoną go bieżące sprawy.

Quinn zauważył, że głos jej się zmienił - zrobił się ochryply, jakby z trudem wydobywał się z gardła.

- Sądząc z tego, co można wyczytać w prasie i usłyszeć w telewizji, nie robicie większych postępów...
- zauważyła.

Uśmiechnął się.

- Dzwonisz, żeby nas opieprzyć?

- Nie. Przede wszystkim chcę ci podziękować. Zająłeś się mną. Wyciągnąłeś mnie z tego kieratu, w którym biegałam coraz szybciej, choć nie zdawałam sobie nawet z tego sprawy.

- No a teraz, kiedy zwolniłaś, jak się czujesz?
- Czuję się lepiej, ale wciąż niewiele pamiętam z czasu pomiędzy pierwszym ciosem w głowę a chwilą, gdy się obudziłam w szpitalu. Każdej nocy, leżąc w łóżku, próbuję sobie coś przypomnieć, ale nie sądzę, żebym odzyskała jasny obraz człowieka, który mnie napadł. Nie mogę powiedzieć, że to na pewno był Sanderson.

- To już nie ma znaczenia, w każdym razie dla ciebie, Nancy. Jesteś poza tym wszystkim, dopóki nie wrócisz całkiem do siebie.

- Wróciłam już na tyle, żeby z dystansu patrzeć na to, co się dzieje. Nie możesz cofnąć się przed niczym, byle tylko przyskrzynieć tego dupka.

Quinn zastanawiał się, czy to, co powiedziała Weaver, świadczy o powrocie do pełnego zdrowia psychicznego. A może wpadł po prostu w pułapkę amatorskiego psychologizowania.

- Zrobimy co trzeba - powiedział. - Dostaniemy go. A ty dbaj o siebie i resztę zostaw nam.

Usłyszał, jak otwierają się drzwi - najpierw te od ulicy, potem do biura.

- Quinn, jesteś tam? - spytała Weaver. - Coś się stało?

- Właśnie weszła Pearl...

- To pozdrów ją ode mnie - rzuciła Weaver i rozłączyła się.

- Kto to był? - spytała Pearl, zatrzymując się przy ekspresie do kawy.

- Weaver.
- Jej mózg wrócił do normy?
- O tyle o ile...

Drzwi znów wydały łoskocząco-syczący odgłos. Na kamiennej posadzce rozległy się kroki i drzwi biura kolejny raz się otwarły.

Quinn spodziewał się ujrzeć Feddermana, ale zamiast niego wparował do środka Jerry Lido. Jego spodnie koloru khaki były wyjątkowo pogniecione, a koszula krzywo zapięta. Kosmyki rozczochranych włosów spadały mu na uszy. Za to twarz promieniała od środka jak dyniowa głowa na Halloween.

- Mam coś! - wykrzyczał niemal łamiącym się głosem, jak młodociany chórzysta po mutacji.

- Mam nadzieję, że to nic zakaźnego - rzuciła Pearl.

Obrócił do niej rozgorączkowaną twarz i plasnął dłonią w blat jej biurka.

- Nalej mi kawy, Pearl.
- Spojrzała na niego jak na wariata.
- Kawa jest zaparzona, nalej sobie sam!

Lido nie zwrócił uwagi na jej reakcję i swój płonący wzrok skierował na Quinna. Westchnął, jakby wreszcie udało mu się zaczerpnąć tchu.

- Mam coś - powtórzył niewiele ciszej.
- Coś poza delirium tremens? - spytała Pearl.

Quinn spojrział na nią i uczynił ręką znak, by dała Jerry'emu spokój. Chciał poznać przyczynę jego podniecenia. Znał go dobrze i wiedział, że nie gorączkuje się tak bez powodu. Poza tym był pewien, że Lido nie jest tym razem pijany ani na kacu. Umiał rozpoznawać charakterystyczne symptomy.

Lido spojrział na Quinna i Pearl pałającym wzrokiem.

- Całą noc siedziałem w Internecie i znalazłem nazwisko.

Na parę sekund zapadło milczenie.

- Nazwisko człowieka, którego szukamy? - spytała Pearl.

Lido kiwnął głową.

- Mamy jego nazwisko. To pewne.

Pearl podeszła do ekspresu i naląła Jerry'emu filiżankę kawy.

Tanya Moddy zasnęła. Pierwszą rzeczą, o której pomyślała, gdy otworzyła oczy, było to, że nie powinna ostatniego wieczoru brać dodatkowych proszków nasennych, by uspokoić nerwy. Światło słoneczne wlewało się do sypialni. Zostawiła podniesione żaluzje na otwartym oknie, żeby zyskać trochę nocnego chłodu, pierwszego od paru tygodni.

Druga myśl Tanyi była taka, że spóźni się do pracy, a zaraz potem zdała sobie sprawę, że coś z nią jest nie w porządku. Nie mogła się ruszyć. Oddychała jedynie przez nos, a gdy to sobie uświadomiła, oddychanie w ogóle zrobiło się bardzo trudne.

Spróbowała poruszyć językiem, ale i on był unieruchomiony. Usta miała wypchane jakimś materiałem. Jedwab? Jeszcze raz próbowała poruszyć językiem. Tym razem udało jej się leciutko rozchylić usta i za warstwą materiału poczuła lepką powierzchnię... Taśma klejąca!

A materiał w ustach to był istotnie jedwab.

Od razu zrozumiała, co się stało. Uchylone okno, o którym sądziła, że jest dostatecznie oddalone od schodów pożarowych, wcale takie nie było.

Miała gości.

Ogarnęła ją panika, jakby potraktowano ją paralizatorem. Jej ciało zadrżało i zaczęła się rzucać na łóżku, ale wciąż leżała na brzuchu, z nadgarstkami sklejonymi ciasno na plecach, a nogi przywierały ściśle jedna do drugiej. Też były skrępowane taśmą.

W końcu panika ją opuściła, ale przerażenie pozostało.

Z jakiegoś powodu pomyślała o syrenach. Syreny nie mają nóg, tylko rybi ogon, którym bezradnie uderzają wokół, gdy znajdują się na łodzi. Ale mogą przynajmniej mówić. Jej wepchnięto do ust majtki, a wargi zaklejono

taśmą. Mogła jedynie mruczeć.

- Cieszę się, że się obudziłaś - odezwał się jakiś męski głos.

Udało jej się wykręcić głowę w kierunku głosu. Aż ją zakłuło w karku. Na tle plamy słonecznego światła, odbijającego się od białej zasłony, ujrzała sylwetkę mężczyzny.

Kiedy ruszył ku niej, dostrzegła, że trzyma w dłoni jakieś krótkie i zakrzywione narzędzie. Ze sposobu, w jaki je niósł - z dala od własnego ciała, ostrożnie - domyśliła się, że to ostry nóż.

Jednym zręcznym ruchem ściągnął z niej prześciera-dło.

Nagle zrobiło jej się zimno, a zarazem poczuła pod sobą ciepłą wilgoć. Do tej pory tylko jej się wydawało, że wie, co to strach.

Delikatnie przykrył jej głowę prześcieradłem, tak żeby nie mogła zobaczyć, na co się zanosi. Wiedziała, że mężczyzna chce, by każdy kolejny akt cierpienia był dla niej niespodzianką.

Dwie czy trzy krople jakiegoś płynu spadły na prześcieradło i poczuła ostry zapach amoniaku. Potem usłyszała dźwięk. Rozpoznała go - to było pyknięcie zapalniczki - a następnie pojawił się nowy zapach: mężczyzna zapalił papierosa.

Jeśli do tej pory mogła mieć jakieś wątpliwości, kto to jest, teraz sprawa była jasna.

Tanya zaczęła wrzeszczeć, ale brzmiało to raczej jak buczenie pszczoły uwięzionej w zamkniętym dzbanku.

Jej stłumiony krzyk mógł dosłyszeć tylko jeden człowiek, który nie miał najmniejszego zamiaru jej pomóc.

71.

- Oto czego się dowiedziałem... - zaczął Lido, podnosząc się z krzesła Pearl, na które przedtem ciężko opadł.

Do biura wszedł Fedderman. Na znak ręki Quinna stanął jednak bez ruchu i słowa. W siedzibie Q and A byli już wszyscy detektywi prócz Vitalego i Mishkina, którzy wciąż pałętali się po mieście w bezowocnych poszukiwaniach miejsca, gdzie morderca mógł się zaoptrzeć w nóż do wykładin.

Lido, tym razem upojony raczej adrenaliną niż alkoholem, zaczął przechadzać się po biurze - trzy kroki w przód, potem nagły, jakby taneczny zwrot, i trzy kroki w tył.

- Zająłem się listami pasażerów. Szukałem mężczyzn w wieku dwudziestu pięciu do pięćdziesięciu lat, podróżujących samotnie.

- To takie rzeczy są w Internecie? - zaintrygował się Fedderman.

Lido spojrział na niego, ale nie zawracał sobie głowy odpowiedzią. Quinn posłał Feddermanowi ostrzegawcze spojrzenie.

Jerry kontynuował:

- Otóż pasażer nazwiskiem Lincoln Evans z Kansas City w Missouri latał do Hartford w Connecticut dwa razy w ciągu ostatnich trzech miesięcy. Hartford leży w odległości zaledwie dziewięćdziesięciu dwóch mil od Nowego Jorku. Za każdym razem loty i powroty pasowały do terminów morderstw Rzeźnika. Za każdym też razem miał przesiadkę w St. Louis. Evans płacił gotówką i przy obu lotach linia lotnicza odnotowała jego nazwisko i adres w swojej bazie danych i przesłała je do Homeland Security. Otóż ten Evans mieszka, lub mieszkał, w miasteczku Edmundsville w Missouri.

Lido umilkł i spojrział na detektywów, jakby oczekując ich reakcji.

- I co z tego wynika? - spytała Pearl.
- Jeszcze nie chwytasz?
- Nie.

Lido wyszczerzył zęby.

- Bo jeszcze nie skończyłem! Potem rozejrzałem się po Internecie - zerknął na Feddermana - żeby się zorientować w wypożyczalniach samochodów.

Quinn wiedział, że z prawnego punktu widzenia to były mocno wątpliwe bazy danych. Miał nadzieję, że nikt nie zapyta Jerry'ego o legalność jego internetowych poszukiwań. Nie bardzo też można było wykorzystać

taki materiał dowodowy w sądzie. Quinn już się zastanawiał, jak przerzucić tę „małpę” na barki Renza, dla którego liczyła się tylko skuteczność owocująca zyskami politycznymi.

- Podczas obu pobytów w Hartford - ciągnął Lido - Lincoln Evans wynajmował średniej wielkości samochody, płacąc gotówką i legitymując się prawem jazdy. Ale udało mi się pogrzebać głębiej w danych z wypożyczalni...

- Włamałeś się do nich? - zapytał Fedderman.

- Zaraz „włamałeś”... nie przepadam za takim słownictwem - obruszył się Lido. - W każdym razie wypożyczalnie prowadzą dokładne rejestry przebiegu swoich wozów. Za jednym i drugim razem Evans przejechał tyle mil, żeby dotrzeć do Nowego Jorku i wrócić do Hartford.

Lido znów usiadł na krześle Pearl i rozejrzał się wokół ze zmęczonym, ale triumfalnym uśmiechem.

Pearl odpowiedziała na ten uśmiech.

- Teraz już chwytam. Nasz morderca zaciera ślady, po prostu ich nie zostawiając. Lata do sąsiednich miast i dopiero z nich dojeżdża do Nowego Jorku. To jego teren łowiecki...

- A potem w ten sam sposób opuszcza Nowy Jork. Nie sprawdziłem jeszcze lotów do innych miast, ale to już pójdzie łatwo, bo znamy jego nazwisko.

- Lincoln Evans... - powtórzyła Pearl, jakby sam dźwięk tego nazwiska pozostawiał w ustach niesmak.

- Świetna robota! - pochwalił Quinn. I naprawdę tak to oceniał. Był przekonany, że nie może raczej chodzić o kogoś innego, bo kryteria były bardzo zawężone. Oczywiście, teoretycznie mógł to być jakiś handlowiec, mający klientów w Hartford i Nowym Jorku. Może płacił gotówką, bo nie miał zaufania do kart płatniczych. Lub może akurat cofnięto mu kartę. Wszystko to razem wydawało się jednak mało prawdopodobne. To był raczej seryjny morderca, zacierający ślady w drodze do i z miejsca zbrodni.

Choć informacje Jerry'ego nie były same w sobie dostatecznym dowodem, to w kontekście całego śledztwa miały naprawdę duże znaczenie.

Pearl stała oparta ramieniem o ścianę. Najwyraźniej rewelacje Jerry'ego zrobiły na niej wrażenie. Jego relacja była może trochę gorączkowa, ale przekonująca.

Fedderman wciąż stał jak słup soli, zastanawiając się nad sensem tego, co usłyszał.

W biurze zapanowała atmosfera odrętwienia. Quinn spojrzał na Jerry'ego.

- Jadłeś już śniadanie?

Lido pokręcił głową.

- Nie było kiedy.

No i byłeś zbyt podniecony, pomyślał Quinn. Dla Jerry'ego to był poważny sukces. Ten zdyskredytowany, odrzucony alkoholik dotarł do nazwiska, którego tak szukali. Mieli więc już coś, na czym można budować.

Ale w tej chwili Lido potrzebował czegoś, co sprowadziłoby jego puls do normalnego tempa.

Quinn wiedział, że Jerry musiał się przy pracy czymś wzmacniać - czymś, co akurat miał pod ręką. Ale to nie był czas, by o tym wspominać.

Lido musiał się domyślić, co chodzi Quinnowi po głowie, bo uśmiechnął się wstydliwie i wzruszył ramionami.

- Czas więc na prawdziwy posiłek - odezwał się Quinn. - Jajka, tosty, parówki...

Lido znał ten ton w jego głosie.

- Okay. I trochę kawy.

- Bezkofeinowej - uściślił Quinn.

Ucieszył się, widząc, że Pearl odprowadza ich uśmiechem.

72.

Edmundsville, obecnie

Edna Wellman była bardzo podekscytowana, dzwoniąc do biura szeryfa, więc Billy Noth przekazał zaraz słuchawkę Westerleyowi. Szeryf i mąż Edny, Joe, byli starymi kumplami i polowali wspólnie aż do nieszczęsnego ataku serca, który skosił Joego pięć lat temu.

- Chodzi o Mathew... - powiedziała Edna jakimś dziwnym sopranem, wywołanym przez niedowierzanie, a może nawet gniew.

- Spotkaliśmy się dzisiaj - opowiedział Westerley, starając się uspokoić Ednę. - To sympatyczny chłopak...

- Nie myślałbyś tak, gdybyś wiedział...

- Co wiedział? - Westerley nie miał ochoty na zgadywanki. Miał na głowie ważniejsze sprawy, choćby statystyki przestępstw.

- Gdybyś do mnie przyjechał, zrozumiałbyś lepiej, w czym rzecz.

Westerley westchnął, mając nadzieję, że Edna tego nie usłyszy.

- W porządku, Edna. Zaraz u ciebie będę.

Dom Edny - ceglany budynek w ranczerskim stylu z lat siedemdziesiątych z garażem na dwa samochody - stał zaledwie trzy przecznice od biura Westerleya. Edna czekała już w otwartych drzwiach.

Była po pięćdziesiątce i mocno utyla od śmierci Joe-go. Jej sympatyczna pełna twarz zmarszczona była teraz ze zgryzoty.

- Dziękuję za przybycie, szeryfie.

Nie powiedziała *Wayne* - sprawa wyglądała bardzo oficjalnie.

- Ktoś się próbował do ciebie włamać? - spytał Westerley. W ciągu ostatniego pół roku doszło w tej okolicy do kilku włamań.

- Gorzej - jęknęła Edna.

Zaprowadziła Westerleya do ustronnego pokoiku, gdzie kiedyś Joe zwykł popalać cygara. Pokój nie zmienił się specjalnie od tamtych czasów, tyle że na starym klonowym biurku stał teraz duży monitor.

Na monitorze widać było postawną blondynę, zabawiającą się wielkim ogórkiem. Westerley zauważył, że na ogórek naciągnięta była prezerwatywa, co przyjął z aprobatą.

- To jeszcze nic - oświadczyła Edna Wellman, odwracając wzrok od Westerleya i monitora - w porównaniu z pewnymi innymi stronami, które Mathew odwiedza.

Westerley odchrząknął.

- No cóż, jest dorosły...
 - A takie rzeczy są legalne? - spytała Edna.
 - Jeśli nie uczestniczą w nich niepełnoletni...
 - Jestem pewna, że na niektórych stronach widać niepełnoletnich - odparła Edna.
 - Obejrzałaś te strony?
 - Tak. Pomyślałam, że powinnam wiedzieć, o czym mówię, skoro mam stawić czoło Mathew.
 - Słusznie. On nie jest głupi.
 - Przysięgam ci, Wayne, nie uwierzyłbyś, co może zobaczyć dziesięciolatek, gdy zadeklaruje, że ma dwadzieścia jeden lat. Owszem, są takie programy, chroniące nieletnich, ale jest wiele dzieciaków, które wiedzą o komputerach więcej niż ludzie, którzy takie programy robią.
 - Czasami ludzie produkujący taki szajs zatrudniają pełnoletnich aktorów, wyglądających jednak znacznie młodziej - poinformował Westerley. Spojrzał jeszcze raz na kobietę na ekranie. Nie wydawała się szczególnie zadowolona. - A Mathew ma już dwadzieścia dwa lata, prawda?
 - No tak.
 - Czyli jest pełnoletni.
- Edna wymierzyła w Westerleya twarde spojrzenie.
- A więc co możemy *zrobić*, Wayne?
 - Gdzie jest teraz Mathew?

- Gdzieś sobie poszedł zaraz po tym, jak go nakryłam przy oglądaniu tych świństw. Zrobiło mu się głupio. I słusznie.

- Na pewno mu głupio. - Westerley przeciągnął kursorem po szeregu niebieskich numerków na ekranie i kliknął na jeden z nich. Jakaś brunetka z grzywką uprawiała seks oralny, ale bynajmniej nie z warzywem. Rzeczywiście wyglądała młodo, ale trudno by było określić, czy jest niepełnoletnia.

- Rozejrzę się po okolicy, może go gdzieś znajdę. Jeśli nie, a Mathew wróci do domu, przekaż mu, że chciałbym z nim porozmawiać.

- Tak zrobię. I dziękuję. - Edna pokręciła głową. - A wygląda jak normalny młody człowiek.

- No i taki jest - powiedział Westerley. - Jest młody i ciekawy różnych rzeczy, to wszystko.

- A więc nie sądzisz, że dla chłopca - no, młodzieńca - w jego wieku odwiedzanie takich stron jest czymś nienormalnym?

- Tak już jest - odparł Westerley. - Strony pornograficzne są najczęściej odwiedzanymi miejscami w Internecie.

- Ale przecież kobiety z tych zdjęć, a przynajmniej niektóre z nich, muszą mieć rodziców, mężów, może nawet dzieci.

- Czego się nie robi dla pieniędzy... - mruknął Westerley.

Edna skrzywiła się z niesmakiem.

- Ten świat schodzi na psy...
- Chyba tak - zgodził się Westerley.

73.

Beth zeszkrobała szarą, matową farbę z podłogi na ganku. Wbiła do środka wszystkie wystające gwoździe. Wyszorowała podłogę tak dokładnie, że w przejściu do drzwi zaczęło wyglądać na zewnątrz surowe drewno. Teraz musiała tylko nalać na tackę farby i pociągnąć nią deski. To nie zajmie wiele czasu, choć powierzchnia jest spora.

Zatrzymała się, gdy usłyszała, jak jakiś samochód zwalnia na szosie i zjeżdża w kierunku jej domu.

To była ciężarówka, a właściwie ciągnik siodłowy.

Słyszała basowy dźwięk dużego dieslowskiego silnika.

Patrzyła, jak szara, zakurzona ciężarówka parkuje koło krótkiego, wysypanego żwirem podjazdu do domu. To był taki wypasiony ciągnik z dwiema rurami wydechowymi, sterczącymi pionowo po obu stronach kabiny. Na ich osmolonych końcówkach zamontowano pokrywki, które tańczyły, gdy silnik pracował na jałowym biegu. Za szoferką była tylko goła rama, jakieś przewody

i brudnoszare, oblepione smarem „siodło” do zamocowania naczepy. Ale naczepy nie było. Na drzwiach widniały jakieś numery, Beth jednak nic one nie mówiły. Stała i patrzyła, z pędzlem w dłoni.

Drzwi szoferki się otworzyły i z samochodu wyłonił się Roy Brannigan.

Beth zabrakło tchu w piersi. Jakby zwała się na nią powracająca fala czasu, porywając ją z bezwzględną siłą.

Nie widzieli się od lat. Beth była zaskoczona, jak jej eksmąż nabrał ciała, choć nie zrobił się wcale tłusty. Raczej muskularny, jakby regularnie ćwiczył na siłowni. A może to prowadzenie ciężarówki albo jej załadowywanie i rozładowywanie ukształtowało tę sylwetkę. Poznała go jednak od razu, pomimo ostrzyżonych krótko włosów i ciemnych okularów przeciwsłonecznych.

Zdjął te okulary i uśmiechnął się do niej, a potem zrobił kilka niepewnych kroków w stronę ganku. Zostawił samochód na jałowym biegu. Silnik pomrukiwał niczym serce wielkiej bestii - potężnej i niezniszczalnej.

Beth podeszła do szczytu schodów i stała tam, patrząc na Roya. Nie wiadomo dlaczego, ale z pędzlem w dłoni czuła się jakoś pewniej, jakby mogła nim wymazać Roya ze swego życia, gdyby zaczął sprawiać kłopoty.

Zbliżył się jeszcze o kilka kroków, tak że mogli już rozmawiać.

- Kopę lat, Beth... - odezwał się.

Nic nie odpowiedziała.

- Jestem teraz kierowcą ciężarówki, jeżdżę na długich trasach. Tak wypadło, że przejeżdżałem przez okolicę, gdzie teraz mieszkasz, więc pomyślałem, że wpadnę i zobaczę, co u ciebie słychać.

- Dobrze mi się wiedzie, Roy.

- Ja też nie narzekam.

- U Eddiego też wszystko w porządku.

Z początku chyba nie zorientował się, o kim mowa, ale zaraz dodał:

- To świetnie. Właśnie chciałem zapytać...

Akurat.

- Dobrze wyglądasz, naprawdę - powiedział, jakby mu zabrakło słów. Pogrzebał w żwirze nogą w wysokim czarnym bucie. - Wiesz, Beth, chciałem, żebyś wiedziała, że jest mi bardzo przykro z powodu tego wszystkiego. Jak się zachowałem... jak to wyszło. Zostawiłem cię z powodu mojej religii...

- Ciągle jesteś taki religijny, Roy?

- Tak, ale nie sądzę już ludzi tak surowo. To znaczy... chodzi mi o to, że zmądrzałem, jak każdy z upływem lat. Przepraszam, że tak się wtedy uniosłem, no wiesz, kiedy to się stało...

Beth przygryzła dolną wargę, słuchając basowego warkotu silnika.

- Ja mam męża, Roy - powiedziała po chwili.

Uśmiechnął się.

- Wiem. Dowiedziałem się. Jeden koleś w mieście wspomniał, że twój Link jest teraz w podróży... Bo on się nazywa Link, prawda?

Wspomniał, bo go o to pytales.

- Tak. Tak ma na imię. - Beth poczuła pierwsze zimne dotknięcie strachu. - Czego ty właściwie chcesz, Roy?

- Nie zamierzam się grzebać w przeszłości. Chciałbym tylko wiedzieć, że mi wybaczyłaś... może nawet nie wybaczyłaś, tylko... Wiesz, kiedyś myślałem bardziej bezkompromisowo. Teraz już nie wierzę, że Bóg to pochwalił. Przeprosiłem Jego i chciałbym przeprosić ciebie. Nie miałem prawa postąpić tak, jak postąpiłem. Naprawdę żałuję.

Przyglądała mu się uważnie. Mówił chyba szczerze.

- W porządku, Roy. Nie mogę ci wybaczyć, ale mogę zrozumieć.

Myślała, jak by tu wejść do domu, gdyby próbował się zanadto zbliżyć, i zatrzymać go na zewnątrz dostatecznie długo, żeby zadzwonić do Wayne'a Westerleya. Tylko że Wayne był w Hogart. Minęłaby godzina, zanimby się tu zjawiał.

- Słyszałem, że wypuścili tego Vincenta Salasa - powiedział Roy. - Denerwujesz się z tego powodu?

- Właściwie to nie - skłamała Beth.

- Jeśli chcesz, mógłbym z nim pogadać.
- Nie miałby chyba ochoty...
- Nie wiesz, jak sprawy wyglądają. Może jego dusza potrzebuje wsparcia, jeśli nie ocalenia...

- Wolalabym, Roy, żebyś się do tego nie mieszał. Niech przeszłość pozostanie przeszłością.

Wydawało się, że Roy sobie odpuścił.

- W porządku, Beth, jak sobie życzysz. Ale mam jedno pytanie... - Roy zbliżył się jeszcze o kilka kroków - Sprawy potoczyły się, jak się potoczyły, i czasu się nie cofnie... Czy jednak mimo wszystko moglibyśmy być przyjaciółmi?

Beth zacisnęła dłoń na rączce pędzla.

- Nie wydaje mi się, żebym tego chciała, Roy. Nie mam zamiaru myśleć o tobie źle co dnia... i nie wiem, co by mogło wynikać dobrego z powracania do złych wspomnień, a nawet dobrych, ale związanych z tymi złymi. Mam nowe życie i ty chyba też. Niech tak już zostanie.

Roy zrobił kolejny krok.

- Jesteś pewna, że tego właśnie chcesz?

Zbliżył swoje nowe, potężne ciało do Beth.

Wtem koło ciężarówki Roya zachrzęścił żwir. To był suv Eileen Millvany, mieszkającej dwa domy dalej. Zwolniła koło domu Beth, wyjrzała przez okno samochodu i ruszyła dalej.

Zobaczyła jednak Roya i jego ciągnik. Roy to wiedział. Beth poczuła się lepiej, bezpieczniej.

- Jestem pewna, i to się nie zmieni.

Roy stał i patrzył na nią z jakimś zagadkowym wyrazem twarzy, a potem kiwnął głową, odwrócił się i odszedł powoli w stronę swojego samochodu. Nigdy nie widziała u niego takiej niepewnej miny. Pamiętała, że kiedy byli razem, nie miewał żadnych wątpliwości. Ten młodszy Roy uważał, że zna wszystkie odpowiedzi, jeszcze zanim usłyszy pytanie.

Wspiął się do kabiny, wrzucił bieg i wóz potoczył się w stronę szosy. Nic po nim nie zostało oprócz kurzu tańczącego w powietrzu i szurania opon po żwirze - coraz cichszego, gdy ciężarówka zbliżała się do szosy.

Beth próbowała przekonać samą siebie, że pojawienie się Roya nie było złudzeniem. Wydawało się takie dziwne i nieoczekiwane - jak jego przemiana.

Spojrzała na pędzel i zobaczyła, że farba zgęstniała, zlepiając włosie. Musi włożyć pędzel do terpentyny, zanim przystąpi do malowania oczyszczonej podłogi na ganku.

Ale to jeszcze nie teraz.

Wetknęła pędzel do słoja z terpentyną i weszła do domu.

Musiała zadzwonić.

74.

Nowy Jork, obecnie

- To kwestia przynajmniej paru dni - powiedział doktor Julius Nift. - Stąd ten zapach. Ale są też inne symptomy: zasinienie, dość zaawansowany - jak na umiarkowane ostatnio temperatury - proces gnilny...

- Dobrze, dobrze - rzucił Quinn. To on zapytał, od kiedy ta kobieta jest martwa.

- Oczywiście będę mógł określić dokładniej czas zgonu, gdy dostanę ją na...

- Wiem, wiem - przerwał mu Quinn.

Pearl stała niebezpiecznie blisko Nifta, spoglądając przez jego ramię na ciało Tanyi Moody. Quinn pochwycił jej spojrzenie i posłał grymas, który miał podzielać jak ostrzeżenie. Przynajmniej na to liczył. Nawet w stanie rozkładu ciało świadczyło, że Tanya Moody była piękną kobietą. Nift miał pewnie na końcu języka jakąś uwagę, która wyprowadziłaby Pearl z równowagi.

Ekipa techniczna pracowała w stylowym, choć bez rozrzutności urządzonym mieszkaniu. Dużo tu było

politurowanego drewna i czarnego winylu. Czarne kędziorzy Tanyi zdawały się pasować w jakiś posepny sposób do wystroju mieszkania. Była naga, a to, co kiedyś było jej piękną powłoką cielesną, nosiło ślady przypalania papierosem i wyszukanych nacięć. Usta miała rozwarłe, ale sklezione zaschlą krwią. Jakiś kłębek materiału, chyba jej majtki, leżał przy lewym ramieniu. Na podłodze było mnóstwo krwi. Wyraz twarzy ofiary sugerował, że umierała w niewyobrażalnych mękach.

Quinn wyczuł słabą woń amoniaku, wciąż uchwytną w powietrzu. Pochylił się, żeby sprawdzić, czy wydobywa się ze zmiętych majtek, czy też z zawartości opróżnionego pęcherza ofiary.

Nift go obserwował.

- Bardzo słusznie, detektywie. To nie pachnie jak uryna. Zabójca musiał wyciągać Tanyę z miłosiernych objęć nieświadomości, wylewając po parę kropel amoniaku na majtki kneblujące jej usta. Musiała wciągać opary przez nos. Bardzo skuteczna metoda.

- A może jej pan zamknąć oczy? - spytał Quinn.

- Dlaczego? Już nie może nic zobaczyć...

- Niech pan jej zamknie oczy! - powtórzył Quinn.

Nift pogrzebał w swoim neseserze, wyciągnął co trzeba i zamknął oczy ofiary.

- Kto ją znalazł? - zapytał głośno Quinn.

Odpowiedział jakiś bardzo wysoki mundurowy policjant, stojący przy drzwiach sypialni:

- Pewna kobieta, mieszkająca po drugiej stronie ulicy. Tanya miała do niej przyjść, ale nie zjawiała się, więc ta kobieta przyszła sprawdzić, co się stało. Nikt nie odpowiadał na pukanie, a kiedy wyczuła ten zapach, wezwała portiera. Dzwonili, stukali, ale bez rezultatu. Więc portier użył swojego klucza i trafił na to, co pan widzi. No i zadzwonili po nas.

- A jaki charakter miało mieć to spotkanie? - spytała Pearl.

- Chodziło o ćwiczenia fizyczne. Zamordowana pracowała jako osobisty trener. Odwiedzała klientów w domach, a także sprzedawała im sprzęt treningowy.

- Tak sobie myślałem, że musiała pewnie zajmować się sportem - rzekł Nift. - Z takimi nogami...

- Gdzie jest teraz kobieta, która znalazła ciało? I portier? - zapytał szybko Quinn, zerkając jednocześnie na Pearl.

- Portier jest w swoim mieszkaniu na parterze. A Dianne Cross, ta kobieta, która była umówiona na trening, jest na dole, w holu. Mój partner ją przesłuchuje.

Quinn spojrzał na Nifta.

- A co z językiem ofiary?

- Zajrzałem tam - poinformował Nift. - Na razie mogę powiedzieć tylko tyle, że został wycięty i zniknął.

- Ten skurwiel będzie się smażyć w piekle! - rzucił wysoki policjant.

- Amen - zakończyła Pearl.
- Może ją pan odwrócić? - spytał Quinn.
- Chyba nie będzie protestować - odparł Nift.

Ostrożnie przekręcił zwłoki, próbując jak najmniej zmienić ich pozycję. Stężenie pośmiertne już ustąpiło. Na plecach ofiary również widniały okrągłe przypalenia i skomplikowane nacięcia. Nadgarstki miała związane taśmą na plecach, a w okolicach krzyża, gdzie unieruchomiono jej dłonie, widać było znaki, które mogły świadczyć, że próbowała coś napisać własną krwią.

Quinnowi wydawało się, że mogą to być litery T i S - albo ślady całkiem przypadkowych ruchów palców.

Quinn zawołał Pearl i pokazał jej te ślady. Przyjrzeni im się razem dokładnie.

- No i co ci to przypomina? - spytał Quinn.
- Nie jestem pewna... - odparła Pearl z wahaniem.
- Jeśli mogę się przyłączyć do tego testu Rorschacha - wtrącił się Nift - wygląda mi to na litery TS. Wiadomość od umierającej...

- Ale pisząc to na swoich plecach - zauważyła Pearl - mogła litery zapisać odwrotnie i wtedy byłyby to ST.

- No dobrze, ale w takim razie S również byłyby odwrócone - zastanawiał się głośno Quinn.

- No, może... - przyznała Pearl.
- Sprawdziłem już lustro w łazience - odezwał się Nift. - Ale nie ma tam żadnego napisu. Na innych lustrach też.

- Znow pan się bawił w detektywa - zauważył Quinn.

- Czasem trzeba.

Nift jął sondować zwiotczalą pierś ofiary jakimś błyszczącym instrumentem. Gdy koniuszek skalpela przeciął skórę, Quinn musiał się odwrócić. Usłyszał, jak Pearl bierze głęboki oddech.

- To nic gorszego niż szczepienie przeciw grypie - rzucił rozbawiony Nift. - Po prostu lekkie ukłucie.

- Pan tu jest najbardziej kłujący - oświadczyła Pearl. - Nawet jeśli nie jest pan specjalnie ostry.

Nift spojrział na nią poważnie.

- Była pani szczepiona przeciwko grypie?

- A kopnął ktoś kiedyś pana w coś? - spytała Pearl.

Właśnie wtedy zjawili się Vitali i Mishkin. Sal był jak zwykle trochę hałaśliwy, Mishkin natomiast cichy i jakby trochę chory. Na wąsach miał ślady maści mentolowej, której używał, gdy musiał przebywać blisko zwłok.

Quinn polecił Pearl, by wprowadziła obu współpracowników w sprawę, a sam zjechał na dół, by porozmawiać z Dianne Cross.

Był jeszcze w windzie, gdy raptem go olśniło. TS.

Zerknął na pomietą już kartkę, którą trzymał w portfelu. To były inicjały Toma Stoppa, mężczyzny zwolnionego po testach DNA, który odsiedział parę lat w wyniku mylnej identyfikacji, dokonanej przez Tanyę Moody.

Quinn zastanowił się, czy Tom Stopp będzie miał jakieś alibi na czas śmierci Tanyi.

Czy sprawa może być naprawdę tak prosta?

Czyżby ofiara wypisała własną krew inicjały swojego zabójcy?

Istniały sposoby, żeby się o tym przekonać. Powinni znaleźć Stoppa i mocno go przycisnąć. Prawdę będzie można wyczytać z jego reakcji, z oczu. Niedługo się przekonają, czy ten ukryty przekaz kryje prawdę, czy też nie ma żadnego znaczenia.

Tom Stopp miał alibi. Wczesnym wieczorem, parę godzin przed śmiercią Tanyi Moody, został przewieziony do szpitala po ataku serca. Przeprowadzono operację. Nie mógł jeszcze wstawać z łóżka.

- Czuję się, jakby słoń mi usiadł na piersi - powiedział, gdy Quinn odwiedził go w szpitalu Truman Rehabilitation Center. - Tak to opisujemy my, którzyśmy przeżyli atak serca.

- Stwierdzili dokładnie, co było jego przyczyną? - spytał Quinn.

Stopp kiwnął głową.

- Mam jakiś defekt lewej komory serca. Próbowali to leczyć pigułkami, ale bez rezultatu, więc wszczepili mi takie urządzenie, które daje elektryczny impuls mojemu sercu, gdyby zaczęło pracować nieregularnie. O to chyba chodzi, ale nie znam się za dobrze na tych sprawach. Wciąż czuję się słabo.

- Na twoim miejscu bym nie narzekał - powiedział Quinn.

- No pewnie, i tak nie jest najgorzej.

Spojrzał na Quinna.

- Przyszedłeś z powodu Tanyi Moody...

- Skąd wiesz?

- Oglądam wiadomości. - Wskazał oczyma na mały telewizor zawieszony na wysięgniku pod sufitem. - Ten świat stacza się w przepaść. W otchłań piekielną.

- Nic nowego - zauważył Quinn.

Stopp podniósł rękę z podłączoną kroplówką.

- Posłuchaj, człowieku. Mam doskonałe alibi, ale nie o to chodzi. Nigdy nic nie zrobiłem tej kobiecie. To, co ją spotkało - no, ten gwałt - to była paskudna sprawa, ale ja nie miałem z tym nic wspólnego. A ona pomyliła się przy identyfikacji. Nie mam jej zresztą tego za złe.

- No, może trochę... - sprecyzował Quinn.

- Tak bym ci powiedział, gdybym był sprawcą jej śmierci i próbował grać niewinnego. Ale ja w tym wszystkim widzę kolejny przykład, jak zły los psuje mi życie od samego początku... bo to się zaczęło od porodu pośladowkowego.

- Cóż, bywa...

- Wierzysz w astrologię?

- No tak, gwiazdy chyba nad tobą czuwają. Twoje życie zostało uratowane w tym samym mniej więcej czasie, gdy jej zostało odebrane...

- Widać przyszła na nią kolej - zauważył Stopp. Ale nie wydawał się uradowany tym faktem.

Quinn kiwnął głową na do widzenia i ruszył do drzwi. Przystanął jednak i odwrócił się.

- A tak przy okazji, czy Stopp to twoje prawdziwe nazwisko?

Stopp wydawał się zmieszany.

- A o co chodzi?

- No, czy to nie jakiś skrót... Jak brzmi twoje pełne nazwisko?

- Lance Thomas Stopp...

- Nie żartuj. Lance to imię dla szpanera. Twoja matka musiała to wiedzieć.

- Nie wiem, jak to było. Ale i ona, i ojciec zawsze mówili do mnie „Tom”, nawet kiedy jeszcze nosiłem pieluchy. Może dlatego miałem takie porąbane życie.

- Ano, bywa. - Quinn pokiwał głową. Zaciekało go, czy Stopp posiada jakieś rodzeństwo.

- Masz brata albo siostrę?

- Brata Marviną i siostrę Terri. Mieszkają w Kalifornii. To wszystko. Ale nie bardzo mnie chcą znać. Może dlatego, że wiszę im więcej forsę, niż mógłbym kiedykolwiek oddać.

Quinn pomyślał, że depresyjny nastrój Stoppa może być zaraźliwy.

- W każdym razie uważaj na siebie - rzucił i wyszedł, zanim dopadło go przygnębienie.

- Już za późno... - odpowiedział Stopp, gdy drzwi zamknęły się za Quinnem.

Sanderson poczuł ból, gdy rozpoznał głos w telefonie. Spacerował akurat po Zachodnim Central Parku. Na wyświetlaczu pojawił się napis: „Numer nieznany”.

- Nie lubię, gdy sprawy nie idą zgodnie z planem - oświadczył Rzeźnik.

Sanderson zatrzymał się i skrył w parkowej altanie, gdzie czuł się osłonięty przed oczami przechodniów.

- O czym ty mówisz? Tak... Robota wykonana. Gadają o tym w wiadomościach.

- Nie to mam na myśli.

- Dałem ci ten skasowany bilet na mecz, tak jak się umówiliśmy...

- Ale to może nie wystarczyć. Umówiliśmy się też co do tego frajera. Obiecałeś mi, że Stopp nie będzie miał alibi, że będzie wtedy sam, że będzie gnił we własnym łóżku.

Sanderson nie wiedział, co odpowiedzieć. Śledził Stoppa, znał jego nawyki i codzienne zwyczaje.

- A co, nie było go w domu?

- Nie. Sprawdziłem to. Ja zawsze wszystko sprawdzam. Kiedy kobieta, o której rozmawiamy, przegrywała już swoją ostatnią życiową bitwę, Stopp też był bliski

śmierci. Miał atak serca i odwieźli go karetką do szpitala. Mnóstwo ludzi w białych fartuchach może zaświadczyć, że nie było go w pobliżu mieszkania tej...

- Miał atak serca? Poważnie?

- Ją zawsze mówię poważnie. Sam wiesz.

Konsternacja Sandersona przemieniła się rychło w złość. Jego strach i gniew tonowane były jednak faktem, że Rzeźnik był gdzieś daleko, po drugiej stronie linii telefonicznej.

Czy aby na pewno?

Sanderson badał wzrokiem okolicę. *Numer nieznany*. W każdym z budynków wokół mógł być automat telefoniczny. Zresztą działało też mnóstwo tanich komórek na kartę, które nie podawały namiarów.

- Słuchaj, nic nie wiedziałem o tym ataku serca. To było poza zasięgiem mojej kontroli.

Śmiech w słuchawce zmroził Sandersonowi krew.

- A co niby jest w zasięgu twojej kontroli? Jesteś jak myśliwy, który tropi tygrysa aż do jego kryjówki, a potem odkrywa, że nie ma naboju w strzelbie.

- Posłuchaj...

Rzeźnik się rozłączył.

Tygrys... kryjówka...

Sanderson stał. Kręciło mu się w głowie. To porównanie z kiepskim myśliwym wystraszyło go jak diabli.

Stopp miał być zabezpieczeniem, frajerem trzymanym w rezerwie, pierwszym podejrzanym w sprawie

Moody, który posiadał silny motyw, by ją zabić, za to żadnego alibi. Natomiast skasowany bilet z meczu, datowany na czas śmierci Tanyi, miał zapewnić mocne alibi Rzeźnikowi. Ale zamiast dać się wykorzystać, Stopp pozwolił sobie na atak serca.

Skąd Sanderson miał wiedzieć, że coś takiego może się zdarzyć? Jak mógł to przewidzieć? A może jednak powinien przygotować jakiś plan B, znaleźć sposób na odzyskanie kontroli nad sytuacją, gdyby wydarzyło się coś nieprzewidzianego?

No cóż, pewnie tak...

Więc Rzeźnik miał rację? Czy Sanderson panował w ogóle nad czymkolwiek?

Czymkolwiek?

Sanderson nie mógł przestać rozglądać się wokół, przeczesywać otoczenie czujnym wzrokiem. Od dawna nie czuł się tak zdenerwowany. O mało nie upuścił telefonu, próbując go wsunąć z powrotem do kieszeni. Dopiero po paru minutach przestały mu drżeć ręce.

Rzeźnik odszedł od automatu telefonicznego w holu Clarington Hotel. Dwie przecznice dalej wszedł do innego hotelu i udał się do baru, gdzie zamówił szklaniczkę whisky Dewar's z lodem i odrobiną wody. Usiadł o trzy stoliki dalej od jakichś dwóch mężczyzn i kobiety, oglądających stary, czarno-biały serial *Miodowe lata* w telewizorze nad barem. Gleason, jako Ralph,

w swoim mundurze kierowcy autobusu, pieklił się głośno, Art Carrey zaś, jako kanalarz Norton, cierpliwie starał się go uspokoić. Jednak Gleason wciąż się pieklił, tracąc kontrolę nad sobą.

Rzeźnik się uśmiechnął. *Kontrola.*

Wrócił w pamięci do rozmowy z Sandersonem. Oczywiście Sanderson miał rację, jak mógłby przewidzieć coś tak nieprzewidywalnego, jak atak serca? To był problem. Nie chodziło nawet o to, że przestał Sandersonowi ufać. Do tej pory Jock pozwalał sobą kierować. Ale gdyby przestał się bać, mógłby spróbować szantażu, chociaż przy okazji sam by się wplątał w współudział w morderstwie.

W przyszłości jednak wszystko mogło się zdarzyć. Problem z Sandersonem polegał na tym, że ten stawał się komplikacją, a nie tylko współnikiem. Stwarzał zagrożenie.

Rzeźnik potrzebował - nie: żądał - perfekcji w planowaniu i realizacji. Całkowitej kontroli nad wszystkim. Imponderabilia tylko przeszkadzały. Sanderson to pasyżyt, którym Rzeźnik nie musiał się przejmować, przydatny, póki był z niego jakiś pożytek. Może nie taki, jakiego by sobie życzył, ale zawsze. Tylko że teraz Sanderson sam przyznał, że nie kontroluje biegu spraw. A to oznaczało, że i on, Rzeźnik, nie może mieć kontroli nad Sandersonem.

Z drugiej strony, gdyby skasował Sandersona, otworzyłyby to zupełnie nowy trop w śledztwie. Do tej chwili Sanderson i jego bilety *były* użyteczne. Ale kto wie, jak Sanderson się zabezpieczył? Może istnieją jakieś puszkki Pandory, które otworzą się automatycznie w razie jego śmierci? To mogły być jakieś zapieczętowane listy, zdeponowane u prawników, albo nagrania wideo, pozostawione w sejfach bankowych, które po śmierci Sandersona zostałyby otwarte, a ich zawartość przejrzana.

Na ekranie Alice weszła do szaroburej kuchni z torbą zakupów, a Norton szybko znalazł się pomiędzy nią a Ralphem, żeby nie dopuścić do starcia. Gleason zacisnął pięści, przewrócił oczyma, a potem siadł za pustym stołem i ukrył twarz w ramionach. Rozpłakał się z frustracji.

Rzeźnik pociągnął łyk szkockiej.

Ludzie bliżej baru, oglądający serial, roześmiali się z czegoś, co Norton powiedział sześćdziesiąt lat temu.

Rzeźnik rozważał opcje, które mu pozostały.

75.

Hogart, obecnie

- Chcesz, żebym za nim pojechał? - zapytał Westerley, kiedy Beth zrelacjonowała mu niespodziewaną wizytę Roya Brannigana.

- Nie - odparła Beth przez telefon. - Właściwie to mnie nie wystraszył, był tu przejazdem...

- Jeśli ta cała jego gadka nie była wciskaniem kitu... - zauważył Westerley.

- Wierzę mu co do tej roboty za kółkiem. Widziałam przecież prawdziwą ciężarówkę. To był taki wielki ciągnik dieslowski. Kierowcy zostawiają je na chodzie nawet wtedy, gdy idą na lunch.

- Kiedy Link ma wrócić do domu?

- Za dwa dni...

- Nie podoba mi się, że będziesz sama, zwłaszcza tej nocy, gdy Roy jest jeszcze w pobliżu. Mógłbym porozmawiać z patrolem stanowym. Może wyślą samochód i pokręcą się w okolicy.

- Powiedzą ci, że nie ma dostatecznych podstaw. Nawet ja rozumiem, że nie mają dość ludzi, by ochraniać każdą kobietę, która podejrzewa, że grozi jej niebezpieczeństwo.

- Masz rację - przyznał Westerley. - A jakie wrażenie zrobił na tobie Roy po tych wszystkich latach? - Szeryf próbował uzyskać jakieś dane, by ocenić, czy Roy Brannigan rzeczywiście stanowił zagrożenie. W końcu od całej tej historii z gwałtem i procesem minęło już dużo czasu. A czas może nie leczy całkiem ran, ale je łagodzi, tak jak emocje.

- Fizycznie niewiele się zmienił. Zmęźniał tylko. I sądzę, że trochę wyluzował, jeśli chodzi o przekonania religijne.

- Czy jego przeprosiny wydały ci się szczerze?

Beth zawahała się.

- Czy ja wiem, Wayne...

Westerley zastanowił się.

- Wiesz, mogę posłać Billy'ego Notha, żeby miał na ciebie oko aż do rana.

- Twój zastępca pewnie wprost kocha siedzieć całą noc w samochodzie - zazartowała Beth. - Albo chować się gdzieś wśród drzew.

- Mógłby się zdrzemnąć na kanapie. Billy ma lekki sen.

Beth milczała przez dłuższą chwilę.

- Wayne...

- Tak?
- A nie mógłbyś sam przyjechać?
- I przespać się na kanapie? - spytał Westerley.
- Nie próbuj być dowcipny na siłę, Wayne.

Tej nocy nie wydarzyło się jednak nic nadzwyczajnego. A Westerley nie musiał spać na kanapie.

Gdy rano wstali, zabrał Beth do Boba Evansa przy drodze międzystanowej i tam zjedli śniadanie. Westerley zamówił jajka i biskwity, a Beth gofra i parówki.

- Dziękuję, że do mnie przyjechałeś - powiedziała.
- Dowody wdzięczności już odebrałem - odparł

Westerley z uśmiechem.

Coś zadudniło za oknem. Na parking wtoczyła się wielka dziewięcioosiowa ciężarówka z zakurzoną czarną kabiną. Zaparkowała w pewnej odległości, z głośnym sykiem hamulców pneumatycznych. Spojrzeli po sobie i zobaczyli niskiego blondyna, schodzącego z kabiny, a potem idącego rozkołysanym krokiem w stronę restauracji. Nie przypominał zupełnie Roya Brannigana.

- Wciąż się denerwuję - wyznała Beth.
- Powiniennem do ciebie wrócić wieczorem - powiedział Westerley.

Beth uśmiechnęła się i pogłaskała nagie przedramię Wayne'a. Włoski na jego skórze zjeżyły się.

- Zrobiłbyś to wszystko jeszcze raz?

Kiwnął głową.

- Ale dzisiaj chyba nikogo nie potrzebuję - odparła Beth. - Roy jest już pewnie ze dwa stany stąd. A poza tym - masz przecież jeszcze inne sprawy na głowie.

- Hogart Bank nie został obrabowany od czterdziestu lat...

- Więc może przyszedł na niego czas...

- Czy Link ma broń?

- Strzelbę trzyma w garażu.

- Miałem na myśli pistolet czy rewolwer.

- Tak. W szafce. To stary kolt, półautomatyczny.

Umiem się nim posługiwać.

- Więc trzymaj go dzisiejszej nocy przy łóżku.

- Tak zrobię. Obiecuję.

Po śniadaniu Westerley pojechał do Hogart, ale wcześniej sprawdził, czy Beth bezpiecznie wylądowała w domu.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobił po powrocie do miasta, było wezwanie do biura Billy'ego Notha. Dał mu wolne na resztę dnia i polecił pojechać wieczorem pod dom Beth. Miał go obserwować przez całą noc, ale jej nic o tym nie mówić.

- Ja już prawie nie pamiętam, jak wygląda Roy Brannigan - powiedział Billy.

- Miejmy nadzieję, że nie będziesz go musiał sobie przypominać tej nocy. A przy okazji: Beth ma broń, trzyma ją przy łóżku.

- To świetnie - oświadczył zastępca szeryfa. A potem się roześmiał: - Ostrzega mnie pan na wszelki wypadek, szeryfie?

- Zmykaj już, Billy - odparł Westerley

Gdy Billy już sobie poszedł, Westerley zadzwonił do swojego znajomego w laboratorium stanowym i spytał, co z próbkami do badań DNA, które im przesłał. Okazało się, że teraz najpilniejsza jest sprawa jakiegoś rodzinnego zabójstwa w St. Louis.

Potem wezwał dyspozytorkę Bobi Gregory. Poprosił, żeby przyjmowała telefony do niego i zadzwoniła, gdyby zdarzyło się coś ważnego. Miał być niedaleko, w Jefferson City, gdzie odbył się proces Vincenta Salasa.

Już od czasu gwałtu i procesu Salasa szeryfa męczyła pewna wątpliwość, ale nie potrafił sobie dokładnie uświadomić, w czym rzecz.

Większość przedpołudnia spędził w archiwum ratusza, czytając protokoły z procesu. I tym razem Salas wydał mu się winny.

A przecież nie był. Nie według testów DNA.

Westerley poszedł zatem do innego wydziału i uzyskał dostęp do archiwum, gdzie przechowywano materiały dowodowy sprzed lat. Bez problemu znalazł pudełko z dowodami w sprawie Salasa.

Poczuł się nieswojo, dotykając podartych majtek Beth i trzech puszek po piwie Wild Colt. Salas nigdy nie zażył zwrotu zawartości swoich kieszeni. Umieszczono te

rzeczy w oddzielnej brązowej kopercie. Westerley sprawdził, co tam było, i nie dziwił się już Salasowi. W kopercie był kieszonkowy grzebień, jakiś marny scyzoryk i sześćdziesiąt dwa centy w drobnym bilonie. W wytartym skórzanym portfelu znajdowały się dwie jednodolarówki, karta uprawniająca do trzech darmowych kaw w restauracji we Flagstaff, Arizona, i nieważne już prawo jazdy, wydane w Missouri. Jedna z monet zwróciła uwagę szeryfa. To była niklowa pięciocentówka z 1919 albo 1918 roku, tak zdarta, że nie można było odczytać daty. Westerley przez chwilę trzymał ją palcami, a potem wrzucił wraz z resztą rzeczy do koperty, którą następnie wsadził do pudełka. Odstawił je na zakurzoną metalową półkę.

Gdy już wychodził, uderzyło go, nie po raz pierwszy, jak wiele przemocy i chaosu daje się pomieścić w takich równych szeregach pudełek, wyłączonych jakby spod niszczącego działania czasu.

76.

Gdy wrócił do Hogart i wszedł do swojego biura, zobaczył Bobi Gregory siedzącą za biurkiem pod oknem. Naprzeciwko niej, na składanym winylowym krześle, siedział Mathew Wellman. Mathew udawał, że jest pogrążony w lekturze jakiegoś tabloidu z supermarketu. Na pierwszej stronie widać było prezydenta USA uśmiechającego się i machającego ręką przy wejściu na pokład latającego spodka.

- Przysłała mnie ciotka Edna... - powiedział.

Westerley przez moment nie wiedział, o co chodzi, ale zaraz sobie przypomniał pornograficzne fotki z komputera Wellmana. Ruchem głowy poprosił go do swojego gabinetu.

Siadłszy za biurkiem, powiedział Wellmanowi, żeby usiadł na krześle obok, dokładnie takim samym, jak to po drugiej stronie drzwi.

Mathew spuścił oczy.

- Wszystko, co mogę powiedzieć, to wyznać, jak mi przykro z powodu tego, co się stało, szeryfie. Nigdy się nie spodziewałem, że ciotka trafi na ten szajs.

- Tego akurat jestem pewien - zgodził się Westerley. - Niektóre z tych kobiet wyglądały na mocno niepełnoletnie...

- No, to chyba sprawa charakteryzacji. Ma pan pewnie na myśli to zdjęcie z...

- Takie strony internetowe stanowią naruszenie prawa - orzekł Westerley. - Są nielegalne.

- Fakt - przyznał Mathew.

- Porozmawiam z twoją ciotką i zapewnię ją, że zaspokajałeś po prostu młodzieńczą ciekawość i nie jesteś jakimś maniakiem seksualnym.

Mathew wydawał się zaskoczony tym nagłym zakończeniem sprawy. Spodziewał się długiej bombastycznej tyrady przedstawiciela prawa. Nie był pewien, jak zareagować.

- Wiem, że od pornografii można się uzależnić...

- Tak, tak - przerwał mu Westerley, widząc, że Mathew zachowuje się jak pokorny uczeń. - Wierzysz w te głupoty?

- Co do pornografii i uzależnienia?

- Nie, w tę historyjkę o prezydencie i latającym spodku.

Mathew wiedział, że nie jest to właściwe pytanie.

- No cóż, niczego z góry nie odrzucam...

- Widziałeś ten komputer w pokoju obok?

- Tak. Szybki i mocny. Z dużą pamięcią. Ma ten nowy procesor, niesamowicie szybki. Gdyby chciał pan pograć w jakieś gry...

- Owszem, chodzi mi o coś w tym rodzaju - przytaknął Westerley.

Mathew uśmiechnął się szeroko.

- A jaki rodzaj gier pana interesuje?

- To zależy od możliwości - twoich i tego komputera. Ja go wciąż nie potrafię w pełni wykorzystać. To pewnie kwestia pokoleniowa. Wygląda jednak na to, że młodzi ludzie dobrze się na tym znają. Im młodszy, tym lepiej... o ile nie są już oseskami...

- Oseškami?

- A, to takie stare słowo. Podobnie jak „kalka do maszyny”.

- Nabija się pan ze mnie.

- Bynajmniej. Ludzie, którzy przekroczyli pewien wiek, mają jakieś zahamowania w stosunku do komputera. Taka Bobi, ta, co siedzi pod oknem, ściąga tylko przepisy kulinarne i wysyła maile. Billy Noth jest z epoki pierwszego lotu Enterprise. Potrzebuję kogoś, kto potrafi naprawdę wykorzystać tę kosztowną, zaawansowaną technologię.

- To mógłbym być ja - podsunął Mathew.

- Jakbym mógł, sam znalazłbym kogoś młodszego... - usprawiedliwił się Westerley.

- Widać znalazłem się we właściwym miejscu o właściwym czasie.

- No właśnie... Mathew. Jesteś rzeczywiście na miejscu - przyznał Westerley.

- Chciałbym coś zrobić - powiedział Mathew - żeby podziękować panu za wyciągnięcie mnie z kłopotów z ciotką, no i z prawem... Dzięki panu wybrnąłem z bardzo kłopotliwej sytuacji.

Taki młody, a już taki cwany - pomyślał Westerley.

- Na razie jeszcze nic nie zrobiłem - zauważył.

Mathew kiwnął głową, ale nie odezwał się ani słowem. Z jego twarzy nie dawało się niczego wyczytać. Ten chłopak daleko zajdzie.

- Jak to się nazywa, gdy człowiek wchodzi w takie miejsce w Internecie, gdzie nie ma prawa wchodzić? - zapytał Westerley. - To znaczy: nie chodzi mi o strony porno, tylko jak się nazywa ktoś taki...

- Haker - wyjaśnił Mathew.

- A ty potrafisz coś takiego? Opanowałeś ten fach?

- To raczej sztuka niż fach.

- A więc jesteś artystą?

Mathew uśmiechnął się.

- Jak Picasso.

Westerley wstał i obszedł swoje biurko.

- To chodź ze mną do drugiego pokoju i zapoznaj się z tym komputerem. Wyślę Bobi do domu, niech piecze te swoje ciasta, a potem pójdę porozmawiać z twoją ciotką. Jak wrócę, powiem ci, na czym mi zależy.

Mathew wstał i uśmiechnął się.

- Ciekawe, co by sobie ciotka Edna pomyślała, gdyby wiedziała, że jesteśmy współnikami w przestępstwie.

Westerley nie odpowiedział mu uśmiechem.

- Nie rób sobie jaj, Mathew. Musisz się jeszcze wiele nauczyć.

Westerley zdawał sobie jednak sprawę, że Mathew nie całkiem żartował. Rozszyfrował wyraz twarzy tego młodego kujona, to jego zgrywanie głupka. Może to była przykrywka dla pornograficznego hobby. Może tajna broń.

Westerley pokręcił głową. Wspaniale, nie ma co! Stałem się obiektem kpin dzieciaka sprytniejszego ode mnie.

Gdy Link wrócił do domu, na powitanie pocałował Beth w policzek. Starła się nie reagować zbyt gwałtownie, ale sama się zastanawiała, czy nie zauważył jej rezerwy, lekkiego cofnięcia i naprężenia ciała.

Jednak nawet jeśli tak było, nie dał tego po sobie poznać. Westchnął z zadowoleniem, jak człowiek szczęśliwy, że znów jest w domu. Wyniósł z samochodu swoją niebieską nylonową torbę podróżną i zaniósł ją do sypialni. To była naprawdę pakowna torba, z mnóstwem przegródek i kieszeni, zamykanych na zamki błyskawiczne. Ale dawała się tak złożyć, że można ją było

uznać za bagaż podręczny, mieszczący się w schowku nad fotelem w samolocie.

Beth poszła za Linkiem do sypialni i obserwowała, jak się rozpakowuje.

- Dodałeś coś do swojej kolekcji? - spytała.

Uśmiechnął się i rzucił parę skarpetek na stos rzeczy do prania.

- Do mojej własnej nie. Ale dla firmy znalazłem parę cennych monet sprzed wojny secesyjnej.

Zauważyła, nie po raz pierwszy w ciągu ostatnich kilku lat, że Link zaczął nawet mówić w trochę inny sposób, jak ktoś wykształcony, a nie jak ten nieskomplikowany wieśniak, którego poznała przed laty w zajeździe z parkingiem pełnym pick-upów.

Oczywiście odkąd pracował w garniturze i w krawacie, mógł wyszlifować swój język.

- To będą zadowoleni...

- Na ogół są, Beth. I dlatego wysyłają mnie wciąż w delegacje. Zanosi się, że i w następny weekend będę musiał wyjechać. Jest duża impreza numizmatyczna w Denver.

- Ale nie koło Nowego Jorku? - rzuciła Beth.

Link przerwał rozpakowywanie i spojrzał na nią podejrzliwie.

- O co ci chodzi?

- O nic. Tak mi się powiedziało. Byłeś chyba w Nowym Jorku wiele razy?

- Właśnie że bywam tam raczej rzadko. To miasto jest jakieś takie... męczące. Nie lubię go.

Wzruszyła ramionami.

- Zatem tym razem do Denver...

Zbliżył się do niej.

- Myślisz, że ja lubię wyjeżdżać tak często? - spytał.

- Wiem, że lubisz podróże.

- W zasadzie tak. Ale nie lubię się rozstawać z tobą. Poza tym z musu podróżuje się gorzej. Nieźle nam się powodzi dzięki mojej pracy, ale postanowiłem tak ułożyć sprawy, by wyjeżdżać rzadziej. A może w ogóle zmienię zajęcie...

Beth zmusiła się, by oprzeć głowę na jego ramieniu.

- Oczywiście, masz rację.

Pocałował ją w czoło, jakby to miało załatwić sprawę, a potem zajął się znów rozpakowywaniem rzeczy.

- Masz jakieś wieści od Eddiego?

- Przysłał e-maila. Potrzebuje pieniędzy.

Link się uśmiechnął.

- A kto ich nie potrzebuje?

Wyłożył większość ubrań, jakie miał ze sobą w podróży, na stos na podłodze. Beth zebrała wszystko.

- Wsadzę to do pralki.

- Dzięki, kochanie.

- Pewnie część tych rzeczy będziesz chciał wziąć do Denver...

- Chyba tak - przytaknął i uśmiechnął się do Beth.

- Zobaczę tego e-maila, a potem wezmę sobie piwo i posiedzę na ganku, póki pralka będzie się kręcić. Powiedz mi, kiedy ciśnienie wody zrobi się wystarczające, żebym mógł wziąć prysznic.

- No, no, jaki ścisły plan - rzuciła Beth.

Ostatnio wszystko wydawało się ściśle zaplanowane.

77.

Nowy Jork, obecnie

Ten niebieskooki facet naprawdę umiał tańczyć mambo. Jane Nixon musiała to przyznać. Wydawał się nie wiedzieć, co to zmęczenie. Już od prawie pół godziny byli na parkiecie w Salsa Caliente. Mogła trochę odpocząć przy merengue, chociaż nie za bardzo.

Zmusił ją do wysiłku, ale nikt nie mógł powiedzieć, że Jane źle się prezentuje.

Większość dnia spędzała w restauracji Davida's w Village, będąc stale na nogach i obsługując klientów przy stolikach. Większość zaś pieniędzy wydawała na lekcje tańca albo tańczyła tu, w Salsa Caliente lub w Move On. Oba kluby znajdowały się niedaleko jej mieszkania, wystarczyła chwila spaceru. Od kiedy pół roku temu wzięła się ostro do tańca, straciła na wadze dziesięć funtów, a jej sylwetka nabrała gibkiej wyrazistości.

Ale ten niebieskooki facet przesadzał.

Przestała tańczyć i zrobiła krok do tyłu. Odetchnęła głęboko. Czuła ból z tyłu nóg.

- Uff... - sapnęła.

- Wszystko w porządku? - spytał, patrząc jej w oczy. Był wysoki i zbudowany jak posąg w muzeum, o ile można sobie wyobrazić posąg ubrany w luźne spodnie z zakładkami i jasnoczerwony T-shirt z napisem „SALSA” wykonanym z cekinów.

- Zmęczyłam się, to wszystko - odparła z uśmiechem.

Odprowadził ją do stolika, przy którym siedzieli z pół tuzinem jego przyjaciół. Teraz jednak wszyscy oni byli na parkiecie. Niebieskooki podniósł dłoń, by zwrócić uwagę kelnera, i zamówił dla nich obojga jacka danielsa z wodą. Oboje wiedzieli, co piją, ale nie zapytali o swoje imiona. Przyszli tu, żeby tańczyć, to wszystko.

- Ja mam już dość - oświadczyła Jane, wypiwszy do połowy swojego drinka. - Czas pójść do domu i paść na łóżko.

Uśmiechnął się do niej.

- Możemy paść razem.

- Wszystko, co o tobie wiem, to to, że jesteś świetnym tancerzem...

- A to nie wystarczy?

Roześmiała się.

- Może kiedyś.

- Jestem Martin - przedstawił się. Przeczesał palcami lekko spoconą blond czuprynę.

Jane roześmiała się głośniej.

- Pewnie, pewnie... wyglądasz na stuprocentowego Latynosa.

- Gerhardt Martin - uzupełnił.

- Bardzo mi przyjemnie. - Klepnęła go po wierzchu spoconej dłoni i wstała, by wyjść.

- Przyjdiesz potańczyć jutro wieczorem?

Uśmiechnęła się szeroko.

- Do zobaczenia, Gerhardcie...

- Do zobaczenia. - Uniósł szklankę w jej stronę, gdy szła skrajem parkietu.

Przy drzwiach lokalu sprawdziła torebkę. Chyba niczego nie brakowało. Wyszła na uliczny upał.

Ulice były niemal opustoszałe, ale nie musiała iść daleko. Pozostało jej dość sił w nogach, by wejść na trzecie piętro, gdzie mieszkała.

Otworzyła już drzwi, gdy wyczuła jakiś ruch za plecami. Nie miała czasu na reakcję. Czyjaś dłoń pchnęła ją w plecy, pomiędzy łopatkami; Jane znalazła się w półmroku swojego mieszkania.

Dorastała w dość podłej dzielnicy Detroit i niełatwo ją było zastraszyć. Nie straciła głowy i zaraz poczuła przypływ adrenaliny. Jane tancerka stała się Jane wojowniczką.

Usłyszała za sobą szcęknięcie rygła w drzwiach.

Napastnik zasunął go, spodziewając się, że Jane będzie

sparaliżowana strachem. W chwili ataku chowała klucz do torebki. I wciąż trzymała dłoń wewnątrz niej.

Obróciła się, a on podszedł bliżej, jak się spodziewała. Ciemna sylwetka w ciemnym pokoju. W rękę coś trzymał: krótki, zakrzywiony i zakończony spiczasto nóż.

Jezu!

Czytała gazety, oglądała wiadomości, więc wiedziała, kto to musi być.

I na ułamek sekundy faktycznie sparaliżował ją strach.

Ten niebieskooki facet? Gerhardt?

Nie, za niski. I inaczej się porusza.

Pożałowała teraz, że nie skorzystała z oferty niebieskookiego i sama wróciła do domu.

Gdy ciemna postać z nożem w rękę zbliżała się do niej, Jane zmusiła się do wyczekiwania, do spokoju. Jej dłoń, zanurzona w torebce, pocila się, ale ona trzymała w niej mocno pojemnik z gazem. Odbezpieczyła dzwignię i czekała, czekała... Dzięki szkoleniu, jakie przeszła, wiedziała, że napastnik musi podejść naprawdę blisko. Uniosła ramiona i odwróciła się nieco, niby to całkowicie wystraszona i bezradna.

A gdy był już tak blisko, że mógł ją niemalże dosięgnąć nożem, okręciła się i wyprostowała z energią, która nawet ją zaskoczyła. Wyciągnęła z impetem przed siebie rękę z pojemnikiem.

Tylko zadziałaj, proszę! Zadziałaj!

Pojemnik był zaledwie o stopę od jego twarzy, gdy nacisnęła spust i strumień gryzącego sprayu uderzył go prosto w oczy.

Niespodzianka, ty pojebany skurwysynie!

Wydał z siebie zduszony jęk i wyrzucił do przodu ręce, chwytając ją za nadgarstek z taką siłą, że pojemnik wypadł jej z dłoni. Poczula zaraz jakieś palenie w oczach, a kiedy spróbowała odetchnąć, jej nos i gardło odmówiły posłuszeństwa. Z oczu pociekły łzy. Zrozumiała, że sama łyknęła trochę tej żrącej substancji.

Widziała jednak na tyle dobrze, żeby trafić w drzwi do sypialni. Pobieгла tam i zamknęła je za sobą. Powinny go zatrzymać na jakieś pięć sekund.

Usłyszała hałas, dobiegający z salonu. Coś upadło na ziemię. Sądząc z odgłosu, to była lampa.

Drzwi wejściowe otworzyły się i zamknęły z hukiem. Usłyszała kroki na drewnianych schodach. Nie były rytmiczne. Brzmiały raczej, jakby kopał w ściany i poręcz.

Dzięki Bogu! Poszedł sobie!

Kaszłąc i charcząc, Jane zawlokła się do telefonu przy łóżku. Zobaczyła krew na swojej spódnicy. Jej lewe przedramię, którego instynktownie użyła, by się osłonić, krwawiło.

Zauważyła, że krew kapła jej z małego nacięcia, które nie będzie nawet wymagało szwów. Dopiero teraz

uświadomiła sobie, co mogło się stać. I to jej odebrało siły. Usiadła na podłodze, opierając się o ścianę. Telefon wzięła na kolana.

Mrużąc załzawione oczy, próbowała wybrać 911, ale wciąż się myliła.

78.

Oczy Rzeźnika wciąż łzawiły. Od dwóch godzin siedział na parkowej ławce.

Na szczęście miał przy sobie przeciwsłoneczne okulary. Gdyby ktoś zauważył łzy na jego twarzy, mógłby się nim niepotrzebnie zainteresować. A tak wydawał się po prostu jeszcze jednym nowojorczykiem, rozkoszującym się pięknym porankiem.

Ostatnia noc była koszmarem. Jedynie cudem - a może dzięki szczęściu wspomaganemu przez pomysłowość - dotarł do tego parku. Dostawszy gazem - pieprzowym czy muszkatołowym, wszystko jedno - prosto w oczy, nic prawie nie widział, a łzawienie było nie do opanowania.

Właściwie to z początku widział, choć marnie, ale kiedy wyszedł już z budynku, łzawienie stało się tak intensywne, że niemal oślepl. A łzy były żrące jak kwas.

Ruszył ostro przed siebie, nie zważając na potrącane przedmioty, by uciec jak najdalej od krzyków, które, jak sądził, były nieuchronne.

No i rzeczywiście Jane Nixon zaczęła krzyczeć. Ale wtedy znajdował się już przecznicę dalej i ledwie te krzyki słyszał. Dziabnięcie nożem musiało ją na chwilę uciszyć.

Nie zastanawiał się nad tym specjalnie, tylko zaraz wyciągnął z kieszeni okulary i zaczął udawać niewidomego.

No bo kto w Nowym Jorku mógł nosić ciemne okulary o drugiej w nocy? Tylko niewidomy.

Udało mu się ubłagać jakiegoś miłosiernego taksówkarza, który zatrzymał się przy chodniku i usadził go na tylnym siedzeniu.

Rzeźnik podziękował mu i poprosił o zawieszenie w pewne miejsce przy Central Parku.

Po przejechaniu paru przecznic taksówkarz zapytał:

- Po co pan chodzi sam po mieście... nic nie widząc?

- Jestem niewidomy od dziesiątego roku życia - wyjaśnił Rzeźnik. - Poza tym funkcjonuję jednak całkiem dobrze. Może pan nie uwierzy, ale moja dziewczyna wyrzuciła mnie ze swojego mieszkania.

- W środku nocy? Nad ranem? Co z niej za kobieta!

- Właściwie to sam jestem sobie winien. Wybrałem nieodpowiedni moment, żeby jej się przyznać, że spałem z jej... Wstyd to powiedzieć...

- Niech się pan nie krępuje - zachęcił taksówkarz. - Słyszałem już chyba wszystko. Taksówki są jak konfesyjonały na kółkach.

- ...z jej matką.

Taksówkarz pokręcił głową i roześmiał się.

- Przepraszam, wiem, że nic w tym śmiesznego. Ale rozumiem, jak to się mogło stać. Moja teściowa... zresztą to nieważne... Tylko po diabła jej pan to powiedział?

- Sumienie - wyjaśnił Rzeźnik. - Zawsze dręczy mnie sumienie. Niech pan nigdy nie dopuszcza go do głosu. Inaczej sam pan zobaczy, dokąd to pana zaprowadzi.

- Proszę się o mnie nie martwić - odparł taksówkarz.

Przez chwilę jechali w milczeniu.

- Chciałbym tylko zapytać, która...

- Matka - oświadczył Rzeźnik.

- No tak, większe doświadczenie... - Taksówkarz znów się roześmiał.

Skręcili w lewo, w stronę parku.

- Chyba nie powtórzy pan tego błędu?

- Żadnych błędów - powiedział Rzeźnik, przesuwając się trochę, by kierowca nie mógł mu się przyjrzeć w lusterku. Uniósł okulary i przetarł oczy rękawem koszuli.

Kiedy się już dostanie do parku i zaszyje gdzieś poza zasięgiem ciekawskich spojrzeń, będzie mógł spokojnie odczekać, aż świństwo, którym psiknęła mu w oczy Jane, przestanie działać.

Gdy taksówkarz się zatrzymał i podał Rzeźnikowi należność za kurs, ten wręczył kierowcy dwudziestodolarówkę i powiedział, że reszty nie trzeba.

- Jest pan pewien? - zapytał taksówkarz.

- Tak - odparł Rzeźnik i otworzył drzwi samochodu.

- Potrzebuje pan pomocy?

- Nie. Tylko znajdę to ogrodzenie i dalej dam sobie radę. To jest moja okolica, znam ją jak własną kieszeń. Zaraz złapię kierunek.

- Myśli pan pozytywnie...

- Owszem - potwierdził Rzeźnik. - Nie chcę ucho-
dzić za upartego osła, ale lubię myśleć, że nie jestem tak
całkiem bezradny.

- W porządku. Rozumiem. Powodzenia, przyjacielu.

Rzeźnik odczekał chwilę, aż taksówkarz odjedzie. Potem jednak nie ruszył w stronę pobliskich apartamentowców, tylko do Central Parku.

Mówi się, że w nocy nie jest to specjalnie bezpieczne miejsce...

Rzeźnik nie mógł opanować uśmiechu.

Feddermanowi nie chciało się wstać z łóżka i pójść do pracy. A przede wszystkim nie miał ochoty opuszczać Penny. Patrzył na nią przez białą przestrzeń poduszki. To było takie naturalne: obudzić się obok niej, czuć zapach jej perfum, ciepło jej ciała. Jakby to przeżywał od lat, a nie od paru dni.

Penny oddychała głęboko i miarowo, z delikatnie rozchylonymi ustami. Fedderman nie był pewien, ale wydawało mu się, że Penny uśmiecha się przez sen.

Jest w tym jakaś ironia losu, pomyślał. Z czegoś tak tragicznego jak morderstwo wyniknął jego związek z Penny. Wydawałoby się, że śmierć jej siostry wytworzy raczej barierę między nimi, bo należał przecież do zespołu śledczego. Tymczasem stało się wręcz odwrotnie - to tragiczne wydarzenie jakby ich do siebie zbliżyło. Jakby zawiązało między nimi coś głębszego.

Rozumieli kapryśną naturę śmierci i dzięki temu bardziej doceniali nawzajem swoje istnienie. Świadomość, jak realna jest śmierć, sprawiła, że tym mocniej odczuwali własne życie.

Telefon Feddermana zaczął dzwonić, podskakując na gładkim blacie nocnego stolika. Wiedział, że jeśli go zaraz nie podniesie, komórka zacznie tańczyć jeszcze mocniej, aż w końcu spadnie na podłogę. A jeśli nie trafi na dywan, to może się rozbić o twardą podłogę.

Wyciągnął rękę, objął telefon dłonią i podniósł do ucha. Komórka drżała w jego dłoni niby jakiś ptaszek.

Penny uniosła brew, jakby była ciekawa, kto dzwoni.

Fedderman zerknął na wyświetlacz i nacisnął przycisk „Talk”, a jednocześnie odwrócił się od Penny, która znów opadła spokojnie na poduszkę. Nie chciał jej obudzić.

- Gdzie ty jesteś, Feds? - odezwał się Quinn.

- Jestem, gdzie jestem. - *Gównno cię to obchodzi.*

Fedderman poczuł lekkie dotknięcie palców Penny na nagim brzuchu, a potem na udzie.

- Dobra, dobra, nie denerwuj się - powiedział Quinn. - Chodzi mi o to, gdzie powinieneś być. Przychodź do biura. Jak najszybciej! Dzieje się coś ciekawego.

Coś ciekawego to się dzieje tutaj.

- A o co właściwie chodzi? - spytał Fedderman.

Ale Quinn już się rozłączył.

- Cholera!

- Stało się coś złego? - zapytała Penny.

- Złe jest to, że będę musiał się ubrać i wyjść.

Fedderman nie wspomniał jednak, że kiedy już obudził się na dobre, poczuł rosnącą ciekawość: chciał czym prędzej poznać przyczynę telefonu Quinna. W głosie szefa było coś, co przypominało powściągane podniecenie drapieżnika, zbliżającego się do ofiary. Fedderman to wychwytał. A Penny i tak nie mogłaby tego zrozumieć.

Wiedział, że od znalezienia ciała Tanyi Moddy minął już ponad tydzień. Był więc czas, aby Rzeźnik zasadził się na nową zdobycz, wytoczył świeżą krew. Działał według klasycznego schematu seryjnych zabójców, uderzając coraz częściej i z coraz większym okrucieństwem.

Fedderman wygrzebał się z pościeli, stanął na chłodnej podłodze i rozejrzał się wokół. Schylił się nawet, by zajrzeć pod łóżko.

Gdzie, u diabła...

- Co się dzieje? - spytała Penny, unosząc się na łokciach.

- Gdzie są moje bokserki? - zapytał Fedderman. - Nie mogę ich znaleźć.

- Idź do łazienki i weź prysznic - powiedziała Penny. - Znajdę ci twoje bokserki. A jak nie, to możesz włożyć jakieś moje majtki.

Dopiero po chwili dotarło do Feddermana, że Penny sobie z niego żartuje.

Idąc chodnikiem, czuł podniecającą odmienność od mijających go ludzi. Oni szli do pracy, niektórzy wracali może do domu po nocnej zmianie. Robili zwykle rzeczy, myśleli o przyziemnych sprawach.

Fedderman wiedział, że wygląda jak jeden z nich, ale tego ranka był kimś innym.

Bo zostawił kobietę, którą kochał, seksualnie zaspokojoną - a teraz wyruszał na łowy. Jakiś atawizm

wywoływał w nim takie myśli. Jeśli z tonu Quinna dało się coś wyczytać, to przeczucie, że są już blisko mordercy.

Fedderman potarł nadgarstkiem o udo i rozpiął mu się przy tym mankiet koszuli. Ale nawet tego nie zauważył. Przyśpieszył jeszcze kroku.

79.

W biurze powietrze było gorące, ale suche. Z zewnątrz nie przedostawało się za wiele ulicznego hałasu. Nastrój oczekiwania naładował atmosferę elektrycznością.

Quinn czekał, aż pojawi się Fedderman. Dopiero potem zamierzał wprowadzić w szczegóły Vitalego, Mishkina i Pearl.

Quinn spojrział Feddermanowi w oczy. *Udaje, że nic się nie dzieje, ale już wpadł na całego.*

- Powiedziałeś przez telefon, że masz coś ciekawego - odezwał się Fedderman. - Ktoś został aresztowany?

- On cię nabrał - wyjaśniła Pearl. - A czy była jakaś osobista przyczyna, dla której tak trudno było ci się zjawić w pracy trochę wcześniej?

Pearl ma intuicję, pomyślał Fedderman. Ale z drugiej strony, nie trzeba geniusza, żeby się domyślić. Penny jest atrakcyjną kobietą.

Quinn, wiedząc, co Pearl ma na myśli, uśmiechnął się do niej.

Cholerny Quinn!

Fedderman podszedł do ekspresu do kawy, jakby nie dosłyszał pytania Pearl. Nalał sobie kubek i dodał śmietanki. Zamieszał płyn plastikową łyżeczką.

Wszyscy czekali cierpliwie, aż do nich dołączy. W końcu przysiadł na brzegu biurka. Cała reszta też przycupnęła jak ptaki na drutach telefonicznych. Tylko Quinn siedział za swoim biurkiem.

- Ostatniej nocy - zaczął wreszcie - pewna trzydziestoletnia kobieta nazwiskiem Jane Nixon wyszła sama z klubu tanecznego, by wrócić do domu. Tam otworzyła drzwi swojego mieszkania i wchodziła już do środka, gdy nagle zbliżył się do niej jakiś mężczyzna i wtargnął do mieszkania za nią, po czym zamknął za sobą drzwi.

- To był ten nasz? - spytał Fedderman.

- Tak przypuszczam - odparł Quinn. - Sprawdził, czy drzwi są dobrze zamknięte, by nie mogła uciec, nawet gdyby udało jej się do nich dobiec, a potem podszedł do niej z czymś, co opisała jako „niewielki zakrzywiony nóż”.

Quinn spojrzął po czwórce swoich detektywów.

- Wszystko rozegrało się w ciągu paru sekund - kontynuował. - Nixon wciąż trzymała rękę w torebce, gdzie chowała akurat klucz. Ale był tam też mały pojemnik z gazem muskatołowym, który zawsze nosiła.

- Sprytna dziewczyna - pochwalił Vitali.
- Napastnik myślał, że kobieta jest sparaliżowana strachem. Tymczasem ona odczekała, aż on się do niej zbliży, i nagle puściła mu gaz prosto w oczy, z odległości mniej więcej stopy, tak że mało nie oślepl. Potem odwróciła się i pobiegła do sypialni, a on zawrócił do drzwi wejściowych. Widział jeszcze na tyle, by wydość się z budynku, Nixon natomiast zadzwoniła po chwili na 911.
- I co? - zapytała Pearl. - Widziała jego twarz?
- Niestety, niezbyt dokładnie, bo kiedy psiknęła mu z bliska w oczy tym gazem, sama też zaczęła łzawić. Była na wpół ślepa, gdy mundurowi zjawili się w jej mieszkaniu.
- Ale nie została ranna? - chciał wiedzieć Vitali.
- No, miała tylko małe cięcie nożem na przedramieniu. Tak więc wszystko się zgadza - podsumował Quinn. - Miało być jak poprzednio, ale na szczęście się nie udało.
- A czy ktoś widział, jak ten świr ucieka z budynku? - spytał znów Vitali.
- Niewykluczone... - odparł Quinn. - Mamy taksówkarza, który mniej więcej w tym czasie zabrał jakiegoś faceta niedaleko domu, gdzie mieszka Nixon. To miał być niewidomy w ciemnych okularach, wpadający na różne rzeczy, ale nie miał psa przewodnika ani laski. Taksówkarz zawiózł go pod jedno z wejść do Central Parku i tam zostawił.

- Zostawił w nocy niewidomego pod Central Parkiem? - zdziwił się Fedderman.

- Naprzeciwko Zachodniego Central Parku są duże apartamentowce z oknami wychodzącymi na park. Taksiarz sądził, że jego pasażer wejdzie do jednego z nich. Facet zasunął mu gadkę, jak to lubi czuć się samodzielny i sam trafi do swojego domu.

- No proszę, jaki twardziel - wtrącił Vitali.

- Tak właśnie się wyraził taksówkarz. Wysadził gościa i odjechał.

- To najrozsądniejsza rzecz, jaką w życiu zrobił - zauważył Fedderman.

- Miał chłop szczęście - dodała Pearl.

- Powiedział, że spojrział jeszcze w lusterko, gdy już przejechał kawałek drogi. Podobno ten niewidomy ostrożnie szedł ulicą.

Quinn spojrzął po swoich ludziach i nie zauważył na ich twarzach oznak entuzjazmu.

- Nixon została zgwałcona sześć lat temu - ciągnął - i zidentyfikowała napastnika podczas okazania. Człowiek, którego fałszywie oskarżyła, wyszedł z więzienia przed niecałym rokiem dzięki testom DNA. Ma alibi.

- Najgorsze, że ta Nixon nie przyjrzała się napastnikowi.

- Powiedziała, że jej zdaniem był średniego wzrostu i średniej budowy ciała. A „średni” niewiele znaczy.

- Ale to zawsze coś - odezwał się Fedderman.
- No, a co z tym Linkiem Evansem? - spytał Vitali.
- To inna sprawa. Jego żona w Missouri powiedziała, że był na dużej imprezie numizmatycznej w Denver.

- Chodzi o zbieranie monet? - chciał się upewnić Vitali.

Quinn kiwnął głową.

- Trzymajmy się faktów: tu nie musi chodzić koniecznie o monety, Sal. To mogą być również inne środki płatnicze - odezwał się.

Vitali spojrział na niego gniewnie. Wciąż był nim zmęczony.

- O co ci chodzi, do diabła, Harold?

- No, o banknoty.

- Nie o tym mówię. O co ci chodzi z tym „trzymaniem się faktów”?

- Że w tym wypadku miał szczęście - wtrąciła się Pearl.

- Niekoniecznie - rzekł Quinn. - Bo, jak się zdaje, żadnej wystawy numizmatycznej nie było w Denver od wielu tygodni...

Nastrój w biurze zmienił się natychmiast.

Pearl podniosła się zza biurka.

- No to trafiliśmy gnoja!

- Jeszcze nie - ostudził ją Quinn. - Nadal nie mamy pewności, że to Rzeźnik.

- Może *ty* nie masz - rzuciła Pearl - ale ja...

Nagle drzwi otworzyły się z hukiem i do biura wtończył się Jerry Lido.

Jedna z klap jego prochowca była zawinięta, a krawat zarzucony na ramię, jakby Lido mocował się z wiatrem w otwartym kokpicie starego dwupłatowca. W nieogolonej twarzy jego oczy przypominały oliwki faszzerowane papryką.

- Wyglądasz jak kawał gówna - oceniła Pearl.
- Byłem zajęty - odparł Jerry, kręcąc stopą w przepływie jakiejś nerwowej energii.
- Przy butelce? - atakowała dalej.
- Wypiłem tylko tyle, żeby mieć siłę tu przyjść - powiedział. - Siedziałem przy komputerze. - Wykrzywił się w niepewnym uśmiechu. - No i znalazłem parę rzeczy.
- Już im powiedziałem o tej wystawie numizmatycznej w Denver, której nie było...
- Jest jeszcze coś. Dwa dni temu Link Evans wyleciał z Kansas City, ale nie do Denver, tylko do Filadelfii.
- A więc Denver to była zmyłka - rzucił Vitali.
- Wynajął samochód w Filadelfii? - spytała Pearl.
- Nie - przyznał Lido - ale nie musiał, bo miał dobre połączenie kolejowe. A jeśli zapłacił za bilet gotówką, nie ma sposobu, by to sprawdzić.
- Nagrania z kamer bezpieczeństwa... - wtrąciła Pearl.
- No, może, ale to by zajęło tygodnie, jeśli nie miesiąc. Zresztą kamera mogła go przegapić, bo była

ustawiona pod nieodpowiednim kątem. Wiecie, jak to jest z tymi kamerami...

Pearl wiedziała.

Quinn uspokoił Jerry'ego na tyle, by mu opowiedzieć o napaści na Jane Nixon.

- No dobra - powiedział Lido, wciąż jednak rozdygotany z podniecenia. - To wszystko pasuje do siebie. Myślę, że Evans przyjechał pociągiem do Nowego Jorku i złożył wizytę Jane Nixon. Potem, spędziwszy resztę nocy w Nowym Jorku, pojechał znów do Filadelfii.

- Albo do jakiegoś innego miasta w pobliżu - zauważyła Pearl.

Lido pokręcił głową.

- Sprawdziłem jego bilet powrotny. Jutro o dziesiątej rano będzie w Kansas City.

- Możemy się z nim spotkać, gdy będzie przechodził przez bramkę bezpieczeństwa - zaproponował Quinn.

- To zadzwońmy do policji w Kansas City - podsunął Vitali.

- Myślisz, jakbyś wciąż pracował w NYPD - zauważył Fedderman. - Poza tym musimy być pewni, że to ten facet.

- Jak poczuje gliny, skoczy do metra i tyle go zobaczymy - przyznał Vitali.

- No dobra - zdecydował Quinn. - Pearl i ja polecimy do Missouri i spotkamy się z nim w Edmundsville, kiedy już wróci do domu. Chcę wcześniej porozmawiać

z jego żoną, ustalić pewne fakty, żebyśmy nie wyszli na idiotów.

- Jeśli to Rzeźnik - włączyła się Pearl - żona będzie to wiedziała. Może do tej pory nie chciała dopuścić do siebie tej myśli. A jeśli potwierdzi, będziemy mieli pewność.

Uśmiechnęła się lekko do Quinna. Pearl i Quinn znów myśleli podobnie.

- Wejdź na Internet albo zadzwoń gdzie trzeba i załatw nam bilety gdzieś najbliżej Edmondsville - zwrócił się Quinn do Pearl. - Sprawdź, czy w okolicy jest jakiś motel, nadający się na bazę. Jutro wczesnym rankiem pojedziemy na miejsce i porozmawiamy z żoną, zanim zjawi się mążulek.

- Nie dałbym pięciu centów, że się wywinie - powiedział Vitali.

- Ale założę się, że on dobrze wie, ile taka pięciocentówka może być warta - zauważył Mishkin.

80.

Hogart, obecnie

Mathew Wellman jadł lody czekoladowe. Wkładał je do ust łyżeczką trzymaną w jednej ręce, a drugą manipulował przy myszy i klawiaturze komputera Westerleya. Za zgodą szeryfa dodał jeszcze trochę pamięci i funkcje, o których Westerley do tej pory nie słyszał i wciąż nie rozumiał.

Bobi polubiła młodego Wellmana i od czasu do czasu przynosiła mu jakieś przekąski, nawet jeśli nie miała akurat dyżuru.

Westerley siedział przy swoim biurku i podziwiał taniec nieco lepkich palców chłopaka po klawiaturze. Szeryf nie mógł śledzić, co się dzieje na monitorze, bo światło słoneczne tak się załamywało na bambusowej storze, kupionej przez Bobi, że od strony biurka nie było nic widać.

Po jakimś czasie Westerley wypowiedział na głos to, co mu leżało na sercu:

- Wszystko to pięknie, ale czy te techniczne sztuczki, które szczerze podziwiam, dokąds nas doprowadzą, Mathew?

Mathew nie odpowiedział, dopóki nie przełknął lodów, które tak zgrabnie pakował sobie do ust.

- Taak, szeryfie - odparł w końcu, odkładając łyżeczkę do pucharka, ale przy okazji poplamiał sobie niebieski T-shirt z wizerunkiem Stephena Hawkinga. Pytanie Westerleya wybiło Wellmana z rytmu.

- I co? - spytał szeryf.

Mathew Wellman zaczął opowiadać Westerleyowi to wszystko, co Jerry Lido opowiedział Quinnowi i jego detektywom.

Gdy Mathew skończył, Westerley przysiadł na chwilę, by przemyśleć to, co usłyszał.

Wreszcie wstał i założył pas z kaburą. Potem, z wieoletniego nawyku, poprawił cały ekwipunek, przymocowany do pasa. Narzędzia jego fachu.

- Zadzwon do Bobi i powiedz, że każę jej tu przyjść. - Uśmiechnął się. - Odwalileś kawał porządnej roboty, Mathew.

Wellman się rozpromienił.

Szeryf zdjął kapelusz z wieszaka na ścianie.

- Jeśli ktoś będzie się chciał ze mną skontaktować, niech dzwoni na moją komórkę. Jadę do domu pani Evans.

- Wszystko przekażę Bobi, szeryfie.

Mathew patrzył, jak Westerley wychodzi, a potem wyjrzał przez okno i obserwował szeryfa idącego do samochodu. Dobrze się prezentował w mundurze i z tymi wszystkimi policyjnymi gadżetami u pasa. Kabura, telefon komórkowy z GPS, notatnik w skórzanej oprawie, teleskopowa pałka. Nawet kajdanki.

Jechał do domu pani Evans. *Pani Evans*. Kogo chciał nabrać na takie formalne tytułowanie? Mathew nie potępiał Westerleya. Widział kiedyś tę panią Evans. Niezła sztuka.

Mathew zadzwonił do Bobi Gregory, a potem zaczął oglądać jakieś szwedzkie porno w Internecie. Mógł to wyłączyć paroma kliknięciami, gdyby pojawiła się Bobi.

Zresztą czuł się bezpieczny, bo korzystał z komputera w biurze szeryfa.

Szwedki to zwykle blondynki, a on lubił blondynki.

81.

Nowy Jork, obecnie

Samolot, którym lecieli Pearl i Quinn, wystartował z LaGuardia o szóstej po południu. Lotniskiem położonym najbliżej Edmundsville było St. Louis. Tam mogli wynająć samochód, wydostać się na międzystanową siedemdziesiątkę i pojechać na zachód.

W środkowym Missouri zamierzali się zatrzymać w Hampton Inn, zaraz przy siedemdziesiątce, a stamtąd rano dotrzeć w mniej niż godzinę do domu Evansa. Tak więc nawet wyjeżdżając o wpół do dziesiątej rano, byłiby na miejscu sporo przed Linkiem Evansem. Samolot Evansa miał lądować w Kansas o dziesiątej, a z tamtejszego lotniska miał do Edmundsville dalej niż oni. Pozostawało więc sporo czasu na rozmowę z Beth Evans, zanim zjawi się jej mąż.

Lot z LaGuardia do St. Louis wydawał się dłuższy, niż był w istocie - może z powodu siedzącego za Quinnem dzieciaka, który z jakiegoś powodu przebierał

zimnymi i lepkimi paluszkami po karku detektywa. Gdy już wysiadali z samolotu, brzdąc uśmiechnął się z ramiem mamy, jakby dzielił z Quinnem pewien sekret: że jedni ludzie zatruwają życie innym i mają z tego powodu dobry ubaw.

Quinn i Pearl nie mieli innego bagażu prócz walizek na kółkach. Kiedy przechodzili do terminalu, gdzie znajdowała się wypożyczalnia samochodów, Quinn powiedział:

- Ten bachor robił mnie w konia.
- O nie, ta dziewczynka była wspaniała - zaprotestowała Pearl. - Chyba się nawet nie zsikała.
- A skąd wiesz, że to dziewczynka?
- Bo była ubrana na różowo.

Gdy skręcali, by opuścić strefę bezpieczeństwa, walizka Pearl uderzyła w palec u nogi Quinna. Był niemal pewien, że Pearl zrobiła to naumyślnie.

Jazda samochodem do Edmundsville okazała się przyjemniejsza niż lot do St. Louis. Mieli zarezerwowany pokój w motelu, więc nie musieli się śpieszyć. Niebo było bezchmurne i już zabarwione wieczorną purpurą. W ciągu dnia panował upał, ale teraz Quinn z przyjemnością opuściłby szyby w oknach wynajętego forda taurusa. Nie zrobił tego jednak, bo wiedział, że Pearl zaraz by się poskarżyła, że wiatr targa jej włosy. Nie wiedziała, że zdaniem Quinna wygląda najbardziej seksownie właśnie z rozwianymi włosami. A może i wiedziała, ale Quinn dał w biurze jasno do zrozumienia, że

to podróż ściśle służbowa. Niech więc obejdzie się smakiem.

Motel był tak dobrze utrzymany, że wyglądał, jakby go wczoraj zbudowano, chociaż architektonicznie należał do innej epoki. Ganek opierał się na wysokich kolumnach, niczym wejście do greckiej świątyni - tyle że przed motelem stały zaparkowane samochody, a nie rydwany.

Wzięli kartę magnetyczną do pokoju z „królewskim łóżem” - to był pomysł Quinna - a potem pociągnęli swoje walizki długim korytarzem ku windom i wjechali na drugie piętro.

- Zauważyłem, że serwują tu śniadania - powiedział Quinn. - To znaczy, że możemy jutro dłużej po-
spać, gdybyśmy dziś trochę zabalowali.

- Zabalowali?

- No, pod względem erotycznym...

- Skąd ci to przyszło do głowy? - zapytała Pearl.

- Zdziwiłabyś się, co mi chodzi po głowie - odparł Quinn, otwierając kartą zamek.

Ledwie weszli do pokoju i położyli walizki na łóżku, odezwał się telefon. Quinn zaklął pod nosem. Nie wróżyło to nic dobrego. Nie chodziło nawet o to, że Pearl jest nie w sosie. Bo czy kiedyś bywało inaczej?

Quinn podniósł słuchawkę w nadziei, że usłyszysz głos recepcjonisty pytającego, czy wszystko w porządku.

Ale zamiast tego usłyszał Feddermana:

- Sprawy się trochę zmieniły, Quinn. Jutrzejszy lot Lincolna Evansa został anulowany. Zarezerwował sobie miejsce w innym samolocie, który odleciał dziś wieczór. Facet jest teraz w powietrzu. Będzie miał przesiadkę w Pittsburghu i doleci do Kansas dziś wieczorem, o wpół do dziesiątej.

- A więc około wpół do jedenastej będzie w domu.

- No tak, mniej więcej - potwierdził Fedderman.

Quinn zerknął na budzik w radiu przy łóżku.

- Teraz jest już prawie dziewiąta.

- Chodzi o dziewiątą czasu środkowoamerykańskiego - sprecyzował Fedderman z dalekiej strefy czasu wschodniego. Więc wszystko się zgadza.

- No to jesteście ugotowani - podsumował Quinn.

Poczuł łowieckie podniecenie w sercu. Wszystko przyspieszyło, jak to czasami bywa. I wszystko się teraz mogło zdarzyć, a oni musieli być na to gotowi.

- Jest jeszcze jedna sprawa - powiedział Fedderman. - Tom Stopp rzeczywiście ma brata Marvina, który mieszka w Kalifornii i pisze dla telewizji i filmu. W każdym razie próbuje. Ma też siostrę Terri. Kosmetyczka, niezamężna, lubi panie.

- Dziękuję, że to sprawdziłeś, Feds. - *To było na tyle, jeśli chodzi o potwierdzenie ich interpretacji TS - o ile Tanya Moody rzeczywiście napisała te dwie litery swoją krwią.* - Dzwon na moją komórkę, gdyby się coś wydarzyło. Bo teraz będziemy w ruchu.

- To życzę powodzenia i wszystkiego, co się wam może przydać.

Quinn odłożył słuchawkę. Pearl stała przy oknie, ale nie przyglądała się już basenowi na dole, tylko wpatrywała się w Quinna. Zorientowała się, że plan polowania niespodziewanie się zmienił. Spojrzenie jej ciemnych oczu było teraz szczególnie intensywne.

Rozwiewały się nadzieje na motelowy seks.

- Zbieramy się - zarządził Quinn. - Czeka nas dużo jeżdżenia po nocy.

Przekazał jej informacje Feddermana.

Nawet nie otworzywszy walizek, zdjęli je z łóżka i ruszyli do wyjścia. Zjeżdżając windą, milczeli. Myślni byli godzinę jazdy stąd i przy tuzinie spraw jednocześnie. Tak bywa w końcowej fazie rozgrywki.

Nie zwracali sobie głowy wymeldowaniem. Ich rezerwacja i tak wygaśnie automatycznie nazajutrz rano, a recepcjonista już pobrał pieniądze z ich firmowej karty.

Gdy wytaczali walizki z holu, Pearl zauważyła:

- Przepada nam darmowe śniadanie.

Ale nie zabrzmiało to tak, jakby była zmartwiona.

82.

Wayne Westerley drzemał na łóżku Beth. Jej głowa spoczywała w zgięciu jego ramienia. Słyszał jej lekki oddech. Oboje byli nadzy, pozwalając, by klimatyzator ostudził atmosferę w sypialni po ich gorącym miłosnym zwarcium. Westerley uznał leniwie, że obniżająca się stopniowo temperatura osiągnęła optymalny poziom. Poczuł się całkiem usatysfakcjonowany i uciął sobie jeszcze krótką drzemkę.

Nagle na nocnym stoliku zaczął podrygiwać jego telefon komórkowy. Beth poruszyła się, ale nie obudziła. Wolną ręką Westerley wziął telefon i spojrzał na wyświetlacz. To z biura szeryfa. Ale przecież lwia część biura szeryfa leżała teraz nago w łóżku z Beth.

Trochę go to rozbawiło. Włączył jednak telefon i przycisnął go do ucha.

- Szeryf?

To był Billy Noth, jego zastępca.

- Co jest, Billy? - zapytał Westerley ściszonego głosem.

- Dzwonili z policji nowojorskiej...

Westerley rozbudził się natychmiast, ale nie rozumiał, co jest grane.

- W jakiej sprawie?

- Mają nakaz aresztowania Linka Evansa jako podejrzanego o zabójstwa. Jest podobno tym Rzeźnikiem, słyszał pan, tym wariatem, który...

- Tak, tak, Billy.

- Pomyślałem, że chciałby pan o tym wiedzieć - wytłumaczył się Billy.

- I tak, i nie... - westchnął Westerley.

- Wiem, co pan ma na myśli, szeryfie.

Westerley przerwał połączenie.

Był trochę oszołomiony. Starał się zebrać myśli.

Beth powiedziała mu, że Link nie wróci do rana z numizmatycznej wystawy w Denver. Odtworzył w pamięci swoją rozmowę z Billym Nothem.

Rzeźnik?

Link?

Westerley zastanawiał się, czy nie powinien od razu skontaktować się z policją nowojorską. Ale zdał sobie sprawę, że będą mogli ustalić miejsce, skąd dzwonił. Co więcej, jeśli jego biuro dostało tę wiadomość z Nowego Jorku, to niemal na pewno otrzymała ją też policja stanowa z Missouri. Dopiero będą mieli ubaw, gdy się

okaże, że Westerley leży sobie w łóżku z żoną podejrzanego.

Wstał, budząc tym razem Beth i zapalając lampkę przy łóżku.

Kobieta leżała na boku i uśmiechała się do niego sennie.

- Stało się coś, kochanie?
- Owszem, i to niejedno.

Link Evans był zadowolony, że uwinął się tak szybko. Nie zdarzało się to zbyt często. Wizyta u tej kobiety w Nowym Jorku zajęła mu mniej czasu, niż się spodziewał. Pomyślał, że jeśli będzie miał szczęście, dotrze do domu przed wpół do jedenastej. Zrobi Beth niespodziankę.

Shczęście Linkowi wciąż dopisywało. Samolot dwa razy podskoczył delikatnie przy lądowaniu, a potem zwolnił gwałtownie, gdy silniki przeszły na wsteczny ciąg. Kiedy ich huk ucichł, pilot ogłosił, że mieli wiatr w ogon i przylecieli dziesięć minut przed czasem.

Opuszczenie lotniska poszło gładko, Link nie musiał czekać na bagaż, więc szybko wyszedł z głównego terminalu i znalazł na parkingu swoją kię. Tym razem w domu zostawił pick-upa.

Była 22.20, gdy Link zwolnił, zjeżdżając ze stanowej na drogę dojazdową do domu. W oknach nie świeciło się światło. Widać Beth wcześniej się dziś położyła. Nie

chciał jej budzić, więc zaparkował nieco dalej od domu niż zwykle.

Nie miał też zamiaru rozpakowywać się wieczorem, zostawił zatem walizkę w bagażniku, sprawdzivszy tylko, czy wóz jest należycie zamknięty.

Podszedłszy bliżej, zauważył jakiegoś suwa zaparkowanego za domem. Od strony szosy ani dojazdu nie było go widać. Dom nie był tak całkiem ciemny. Zauważył jakąś miękką poświatę. Zbliżył się do miejsca, skąd sączyło się to światło. Odchylił gałęzie wybijanej forsycji. Pochylił się, zajrzał ostrożnie przez okno.

A było to okno sypialni.

Quinn starał się nie patrzeć na zegar w desce rozdzielczej ani na zegarek na ręce. Na fotelu obok wierciła się Pearl. Stracili już sporo czasu w korkach przed wjazdem na międzystanową. I teraz nie było lepiej - wlekli się ze dwadzieścia mil na godzinę.

- Ze wskazań GPS wynika - odezwała się Pearl - że do zjazdu mamy jeszcze tylko kilka mil.

- A czy ten GPS nie powie nam, dlaczego się tak wlecemy? - spytał Quinn.

- Nawet gdybyś go grzecznie zapytał...

Szosa skręcała lekko i Quinn zobaczył przed sobą długą wstęgę czerwonych i niebieskich świateł. Po ciemku trudno się było zorientować, ale wydawało się, że na tym odcinku ruch odbywa się jednym pasem.

Jednak nie. Kiedy przyjrzał się uważniej, stwierdził, że ten pojedynczy pas rozdzielił się znów na dwa.

Na poboczu stał wóz patrolowy policji stanowej.

- Wygląda to na wypadek - powiedział. - Zdaje się, że ściągają wrak z szosy.

Ruch zaczął odzyskiwać zwykły rytm.

Robili teraz pięćdziesiąt mil na godzinę i przyśpieszali, mijając pociętą masę blachy, która jeszcze niedawno była samochodem. Jakies prześcieradło, czy coś w tym rodzaju, okrywało ciało leżące na poboczu. Żółte światła pobłyskiwały na dachu lawety, która z trudem przebijała się pod prąd do rozbitego wozu. Jakiś policjant stanowy machał jak szalony ręką, jakby zachęcał kierowców, by przejeżdżali szybciej, nie oglądając się na ślady wypadku. Gdzieś z oddali dochodziło wycie syreny ambulansu.

- Tylko nie wpadnij na karetkę - mruknęła Pearl, wyciągając szyję i przyglądając się mijanemu ciału.

Quinn nie skomentował tego, a i ona nic więcej nie powiedziała. Oboje wiedzieli, że dla każdego z nich był to zły omen.

Ukryty za krzewem forsycji Link wstrzymywał oddech, patrząc, jak Westerley podnosi się goły z jego, Linka, łóżka. Obok ujrzał Beth. Była naga. Leżała na boku, z jednym kolaniem lekko wysuniętym, ukazując krągłe i gładkie biodra. To była poza, którą Link widział na dziesiątkach starych obrazów. Gdy Westerley się

prostował, Beth pogłaskała go pieszczotliwie po plecach.

Link zacisnął szczęki, aż go zęby zaboląły.

Westerley poruszał się w sposób, który szczególnie drażnił Linka - z gracją i swobodą jakiegoś zwierzęcia. Jakby dobrze znał otoczenie, jakby był u siebie w domu, w swoim łóżku i z własną żoną. Pokazywał, że na wiele można sobie pozwolić, gdy się nosi odznakę szeryfa.

Uważając, by nie narobić hałasu, Link odszedł powoli spod okna. Akurat wtedy ciemne chmury przepłynęły w poprzek tarczy księżyca, zmieniając kształty przedmiotów i wprawiając je jakby w ruch. Pozostając w cieniu, Link podkraść się do garażu.

Była tam stalowa szafka z szyfrowym zamkiem. A w środku strzelba: „pompka” Remingtona, dwunastka.

83.

Westerleyowi udało się gładko wsunąć jedną nogę w spodnie od munduru, ale druga utkwiała gdzieś w połowie drogi. Przez chwilę balansował na bosej stopie.

Do czasu gdy uporał się całkowicie z wciągnięciem i zapinaniem spodni, Beth miała już na sobie nocną koszulę i w pośpiechu porządkowała pościel, tak by wyglądało, że spała w niej tylko ona.

Doprowadziwszy łóżko do porządku, podeszła do okna i odchyliła szybę, tak by móc wyrzeć na zewnątrz.

- Usłyszemy ich, kiedy przyjadą - powiedział Westerley, próbując uspokoić Beth i siebie.

- Powinieneś się zmyć stąd jak najszybciej, Wayne.
- Beth nie wydawała się uspokojona.

- Masz chyba rację...

Włożył kapelusz, wiedząc, jak głupio w nim wygląda, nie mając na sobie koszuli ani butów, ale nie chciał zapomnieć o służbowym nakryciu głowy. Nie bawił się

jednak w zapinanie koszuli, a buty wciągnął na bose stopy, bez skarpetek. Najważniejsze teraz było dostać się do samochodu i odjechać jak najdalej, nim pokaże się policja stanowa. Inaczej będzie się musiał gęsto tłumaczyć.

- O cholera! - krzyknęła cicho Beth, stojąc wciąż przy oknie. - Wayne!

Westerley stanął jak wryty.

- Co jest?

- Link tu jest! On ma broń. Trzyma strzelbę w garażu.

- Przecież spodziewałaś się go dopiero jutro.

- Tak, ale teraz jest tutaj ! - Wpatrywała się w Westerleya przerażonymi oczami. - Pamiętaj, że to Rzeźnik, Wayne. To morderca!

Westerley pamiętał, że zostawił swój pistolet kaliber .9 w kaburze przy pasie wiszącym na oparciu kuchennego krzesła. Wystartował niczym z procy, ale potknął się i runął jak długi na podłogę.

Zaczął się podnosić, ale upadł znów, gdy ramię przeszył mu, niby prąd, ból promieniujący z prawego łokcia, w który się uderzył:

Cholera, nie miałem gdzie się walnąć!

Będę strzelał lewą ręką.

Znów spróbował wstać i prawie mu się udało, gdy wtem usłyszał głośny brzęk mosiężnego łańcucha w drzwiach frontowych. Potem łańcuch odezwał się

jeszcze głośniej, jakby Link testował wytrzymałość drzwi.

Przez chwilę Westerley zastanawiał się, czyby nie chwycić broni z kuchni, a potem wymknąć się tylnymi drzwiami. Byłby uzbrojony i mógłby w ciemnościach nocy obmyślić jakiś plan.

W najgorszym razie odciągnąłby chociaż Linka od domu. Nie zamierzał zostawiać Beth sam na sam z mordercą i jego strzelbą.

Ale szeryf nie miał tyle czasu, na ile liczył. Link kopniakiem otworzył drzwi i wpadł do środka ze strzelbą w garści. Spojrzał na Westerleya oczami, które mogłyby należeć do rekina.

Quinn przyhamował i skręcił ostro w zjazd ze stownej. Po kilkuset metrach wpadł prawie na nieoświetlony samochód, zaparkowany na trawie niedaleko domu.

- Patrz, co się dzieje! - krzyknęła Pearl, wskazując przed siebie.

Oboje zobaczyli ciemną sylwetkę jakiegoś mężczyzny, otwierającego kopniakiem drzwi frontowe. W rękach miał karabin czy strzelbę.

- Chodźmy do kuchni. Tam będziemy mogli usiąść i pogadać jak ludzie - powiedział Westerley. Mówił spokojnym głosem, choć w głowie czuł gonitwę myśli. Musiał jakoś rozładować sytuację. - Wypijemy parę piw...

- Nie mam ochoty częstować cię moim piwem - odparł Link.

Przeładował broń i na podłogę wypadł jeden nabój, zataczając półkole po deskach.

- Mam więcej w magazynku - wyjaśnił.

- Nie ruszaj się! - odezwał się jakiś męski głos za plecami Linka. Głos był władczy. Mężczyzna mówił powoli i wyraźnie. - Znajdujesz się na celowniku dwóch pistoletów, a jesteśmy za blisko, żeby chybić.

Link nie ruszał się. Strzelba wciąż wymierzona była w Westerleya.

Westerley spojrział na niego z chłodnym wyrazem twarzy.

- Opuść broń, Link.

- Chodź tu, Beth! - polecił Link.

Quinn usłyszał lekkie szuranie po gołych deskach podłogi, a potem ujrzał drobną kobietę o ładnej, choć jakby trochę wymizerowanej twarzy, która na sztywnych ze strachu nogach wyszła z sypialni. Miała na sobie tylko nocną koszulę i różowe puchate papucie.

Od chwili gdy Quinn i Pearl weszli do domu, Link nie poruszył ani jednym mięśniem. Wciąż był nieruchomy.

- Chodź do mnie, Beth. Chodź do swojego męża.

- Lepiej tego nie rób - ostrzegł ją Westerley.

Link się roześmiał. Zabrzmiało to jak gardłowe szczenięcie psa.

- Jeśli tego nie zrobi, to wywalę ci serce na plecy jednym strzałem.

- Myślę, że i tak masz zamiar to zrobić - odparł Westerley tak spokojnie, że Link zapragnął zabić go natychmiast.

- Śmierć to nie spacer po parku, gnoju!

- Wszyscy to wiemy, Evans - powiedział Quinn. Ton jego głosu był wciąż zrównoważony, prawie normalny.

Evans odwrócił się lekko, ale nie na tyle, by spojrzeć na Quinna i Pearl. Na swój sposób lekcewał ich. Stanowili dla niego część gry, przewidywalną i dającą się kontrolować. Był gotów na śmierć, jeśli nadejdzie jego czas. Quinn to wiedział. Wiedział, jak niebezpieczny jest Link Evans.

Beth ze wzrokiem utkwionym w mężu poruszała się powoli i miękko, jakby nie chciała zbudzić kogoś śpiącego lekkim snem. Po chwili stanęła ledwie parę stóp od Linka. Widać było, że stara się opanować drzenie. Zrobiło jej się zimno ze strachu.

- Masz w kieszeni spodni kluczyki od swojego samochodu?

Westerley kiwnął głową.

- Wyjmij je, żebym się mógł przekonać.

Westerley zrobił to, trzymając kluczyki w wyciągniętej ręce, na wysokości pasa.

Lufa strzelby zaskakująco zwinnie skierowała się na Beth.

- Wyjdziemy tylnymi drzwiami, przez kuchnię - powiedział Link. - Ty, ja i Beth. Prowadź, szeryfie.

Quinn i Pearl obserwowali, jak cała trójka gęsiego idzie do kuchni, a lufa strzelby cały czas obraca się za Beth. Nie schodziła z celu ani na moment. Podążała za Beth jak igła kompasu za magnetyczną północą.

Gdy już znaleźli się w kuchni, Link Evans zerknął szybko na Quinna i Pearl. Zamykając za sobą kuchenne drzwi, posłał im lekki uśmiezek.

Quinn usłyszał jakieś metaliczne stuknięcie. Brzmiało to tak, jakby ktoś zablokował krzesłem klamkę.

On i Pearl byli teraz odcięci od kuchni.

Pearl spojrzała na Quinna i wymruczała pod nosem jakieś przekleństwo.

Skinął na Pearl, żeby ruszyła za nim. Wybiegli przez drzwi frontowe, a potem dookoła domu, tam gdzie, jak pamiętali, zaparkowany był suv Westerleya.

Quinn sądził, że Evans posadzi szeryfa za kierownicą, a Beth obok, na fotelu pasażera, sam zaś usiądzie z tyłu, trzymając ich na muszce i wymuszając tym samym posłuszeństwo.

Teraz Quinn desperacko potrzebował jakiegoś planu.

84.

Link dał ruchem strzelby znak, by wyszli z domu tylnymi drzwiami. Był taki moment, gdy odchylenie lufy dawało nikłą, ale jednak szansę, by skoczyć na Linka. Szansa ta jednak przeminęła, nim Westerley zdążył z niej skorzystać.

Beth trzymała Westerleya za prawe ramię. Ścisnęła mocno. Nie przynosiło to ulgi jego obolałemu łokciowi.

Link dał jej kuksańca i dłoń Beth odskoczyła od ręki Wayne'a. Ten gest Linka sprawił, że lufa jego strzelby na moment opadła. Tymczasem Beth nerwowo mocowała się z łańcuchem na tylnych drzwiach, odwracając na chwilę uwagę Linka od Westerleya.

Tym razem szeryf skorzystał z okazji. W tej rozgrywce nie miał nic do stracenia. Link wszedł do domu, żeby ich zabić. Żyli jeszcze tylko dlatego, że przedstawiali pewną wartość jako zakładnicy.

Westerley rzucił się do krzesła, z którego zwieszał się jego czarny pas z kaburą kryjącą pistolet. Krzesło się przewróciło, ale nie przygniotło pasa. Westerley poturlał się po podłodze, starając się być jak najtrudniejszym celem dla Linka. Jednocześnie wyciągał z kabury swojego ciężkiego glocka. Ledwie słyszał wrzask Beth i to, co Link wykrzykiwał do niego. To wszystko wydawało mu się jakby odległą senną wizją.

Znalazł się w jakiejś niszy czasoprzestrzeni, w której mógł wyciągnąć pistolet z kabury i skierować broń przeciw Linkowi.

Ręka Westerleya wciąż drżała w okolicy stłuczonego łokcia. Serce mu zamarło, gdy zdał sobie sprawę, że podnosi glocka wolniej, niż Link obraca przeciw niemu lufę swojej strzelby. Westerley wystrzelił, ale kula z opuszczonej lufy weszła w podłogę. Tymczasem ruch strzelby był precyzyjny i nieubłagany, niczym los.

Nastąpiła eksplozja siły i światła. Coś walnęło w pierś i prawe ramię Westerleya z siłą lokomotywy.

Podłoga uderzyła go w plecy i nagle ujrzał kuchenny sufit ze świetlówkami. Ten sufit nie był jednak nieruchomy - zdawał się raczej dnem jakiegoś prostokątnego obiektu pływającego, kołyszącego się na morskich falach. Westerley obrócił głowę i zobaczył, jak Link wypycha Beth przez otwarte drzwi kuchenne.

Nawet się nie obejrzał, by sprawdzić, co z Wayne'em.

Westerley zdał sobie nagle sprawę, że jego głowa, którą uniósł nieco, by dojrzeć wychodzących, jest jakaś

niewiarygodnie ciężka. Opuścił ją znów na podłogę. W kuchni zrobiło się całkiem ciemno.

Westerley zrozumiał, dlaczego Link Evans nawet nie obejrzał się za nim. Po prostu wyrzucił go z równania tej strasznej nocy. I pewnie to samo zrobiła Beth.

Myślę, że już nie żyję albo umieram.

Chyba mają rację.

Quinn był przed Pearl, gdy usłyszał ryk wielkiego silnika suva. Samochód obrócił się niemal w miejscu na żwirowej nawierzchni, przodem do wyjazdu na szosę. Quinn przyklęknął na jedno kolano, trzymając swoją dobrą, starą policyjną spluwę w obu dłoniach i celując uważnie. Wiedział, że tuż za nim robi to samo Pearl.

Spod szerokich opon suva wystrzeliły fontanny żwiru. Parę kamyczków uderzyło w prawy policzek Quinna. Skrzywił się, ale nie miało to znaczenia.

Znaczenie miało co innego: kąt strzału był nieodpowiedni. Ledwie przez sekundę czy dwie Quinn i Pearl mieli możliwość strzelić do Linka Evansa, który skulił się za kierownicą. Beth siedziała na fotelu pasażera, między nimi i swoim mężem. Gdyby nawet udało się wycelować obok niej, Link zdążyłby jeszcze wypalić do żony ze swojej strzelby.

Suv minął Quinna i Pearl tak szybko, że zostało po nim jedynie coś w rodzaju zdjęcia w ich umysłach:

rozpędzony samochód, kierowca pochylony nad kierownicą, sztywna sylwetka Beth, jej usta szeroko otwarte w bezgłośnym krzyku. Studium prędkości i desperacji.

Quinn wciąż klęczał, ale zrezygnował z pozycji i strzelił trzykrotnie w tylne opony suva. Usłyszał, że i glock Pearl szczeknął dwukrotnie. Ona również celowała w koła, leżąc wyciągnięta na żwirze, aby pociski miały jak najniższą trajektorię.

Ale suv zdawał nic sobie nie robić z tego ostrzału.

Gdy był już blisko wjazdu na szosę, zabłysły jego światła stopu, bo Link zwolnił, żeby włączyć się do ruchu.

Tymczasem Quinn i Pearl popędzili do swojego taurusa.

Wiedzieli, że nie będą w stanie dogonić suva Westerleya, który bez wątpienia mógł wyprzedzić każdy wóz z wypożyczalni. Już na tej gruntowej drodze dojazdowej stało się jasne, że ich taurus ma po prostu za mało koni mechanicznych. Link pomrugał im tylko tylnymi światłami i zniknął.

Potem jednak zobaczyli go znowu. W pewnej chwili opony taurusa straciły kontakt z nawierzchnią i samochód zaczął tańczyć niczym na lodzie. Quinn mocował się z kierownicą, a Pearl prawie spadła z fotela.

Rzucił jej krótkie spojrzenie.

- Zapnij pasy, do cholery, Pearl!

Usiadła głębiej w fotelu, wsunęła glocka pod udo i zapięła pasy. Spojrzała na Quinna i zauważyła, że on pasów nie zapiął.

W końcu odzyskał panowanie nad samochodem. Pearl była blada jak ściana, ale nic już nie powiedziała.

Szosa stanowa wyprostowała się przed połączeniem z autostradą międzystanową, ale podwójne czerwone oczy suwa były coraz dalej. Quinn dociskał pedał gazu do podłogi i taurus zbliżał się do granic swych możliwości. Jechali teraz ponad dziewięćdziesiąt mil na godzinę. Wiedzieli, że nie dogonią suwa, ale chodziło o to, by utrzymać się w rozsądnej odległości od Evansa. Przed nimi zamigotały czerwone i niebieskie światła. Coś zbliżało się do nich z naprzeciwnika.

I to szybko. Quinn pomyślał, że może to być policja stanowa, pędząca do domu Evansów.

Zaczął migać światłami.

Policjanci stanowi szybko złapali informację. Musieli. Suv Westerleya minął ich z przeciwnego kierunku z prędkością ponad stu mil na godzinę. Quinn zauważył, że dwa wozy patrolowe zawróciły i rozpoczęły pościg.

Z międzystanowej zjechały kolejne migające światła. Następny wóz patrolowy. Jechał naprzeciwko zbliżającego się suwa. W ciągu dwudziestu sekund samochody musiały się wyminąć albo zderzyć.

Wóz patrolowy nagle wszedł w poślizg i zatrzymał się, blokując drogę. Żeby go ominąć, Evans musiał zjechać na pobocze.

Gdy Quinn zbliżył się do obu samochodów, zobaczył, że mundurowy policjant z patrolu wyskoczył ze swojego wozu, zostawiając go z zapalonymi światłami na linii środkowej, i pochylony pobiegł na pobocze, gdzie przykucnął. Zaraz potem nadjechał suv.

Zapaliły się jego światła hamowania i zwolnił. Quinn i Pearl zbliżali się do niego szybko. Ale potem suv znów przyspieszył. Quinn wiedział, że Evans będzie chciał ominąć przeszkodę. Zjechał z jezdni, wybierając tę stronę, gdzie zaczął się policjant.

To był jego błąd.

Quinn i Pearl obserwowali, jak suv skręca ostro i objeżdża poboczem stojący na jezdni wóz patrolowy.

Okazało się jednak, że w poprzek tej luki leżała kółczatka, którą położył policjant. Suv wydostał się, co prawda, z powrotem na drogę, ale zataczał się po niej, a w powietrze wystrzeliły jakieś strzępy, wyglądające na resztki opon.

Inne patrole oraz Quinn i Pearl w swoim taurusie zbliżali się szybko, gdy suv wyleciał z drogi po jej lewej stronie.

- Wypadł! - krzyknęła Pearl.

Suv zjechał po skarpie i zniknął w ciemnym lesie. Ale światła na jego dachu wciąż pracowały.

Ta scena nastąpiła szybciej, niż się spodziewali, choć byli przecież jej uczestnikami.

- Zatrzymaj się, do cholery! - wrzasnęła Pearl.
Quinn dociskał z całej siły pedał hamulca.

85.

Zatrzymał ostatecznie taurusa na skraju stromej skarpy. Dwa boczne koła były już poza drogą. Z trudem wy dostał się z samochodu. Pearl miała łatwiej.

Wokół stało z pół tuzina wozów patrolowych z włączonymi światłami. Sylwetki policjantów przemykały w poprzek zablokowanej szosy i nikięły w lesie.

- Jesteś w jednym kawałku? - spytał Quinn.

Pearl uniosła swojego glocka.

- Gotowa? - zapytał znów Quinn, ale Pearl już biegła wraz z innymi w stronę drzew. Szczęki się zaciskały. Słysać było głośnie oddechy, ale nikt nic nie mówił. Policjanci stanowi przekazywali sobie rozkazy gestami.

Połamane gałęzie i zgniecione poszycie wskazywały drogę suwa.

Nikt dokładnie nie wiedział, co będzie, gdy go znajdą.

Beth miała świadomość, że boli ją lewa strona ciała. Później zdała sobie sprawę, że leży w jakiejś dziwacznej pozycji na Linku.

Suv Westerleya leżał na boku. Jeśli miała się z niego wydostać, musiała wspiąć się do wybitego okna z prawej strony samochodu. Ale gdyby udało się otworzyć drzwi, uniknęłaby wychodzenia przez okno i ryzyka pokaleczenia się o odłamki szyby.

Pamiętała, jak suv zjechał z drogi, a potem przekoziółkował w lesie. Link, w zapiętych pasach, wciąż tkwił w fotelu kierowcy, ale leżał bezwładnie - bez przytomności, a może i życia.

Beth kilka razy uderzyła się boleśnie, ale nie miała pojęcia, jakie obrażenia odniosła.

Bojaźliwie spróbowała poruszyć członkami i stwierdzić, w jakim są stanie. Na pewno miała wiele zadrapań, a nad prawym uchem wyczuła bolesną opuchliznę. Gorszy był jednak ból w lewym boku. Każdy ruch odbierał jej dosłownie dech. Może złamała zebro?

A może zebro przebiło jej płuco?

Udało jej się zmienić nieco pozycję ciała. Wyprostowała jedną nogę. Chwyliła zagłówek fotela nad sobą i próbowała się podciągnąć. Coś jednak blokowało jej prawą rękę.

To była strzelba Linka.

Teraz nie stanowiła już żadnego zagrożenia. Beth chwyciła za lufę i odepchnęła od siebie broń.

Miała teraz trochę więcej swobody. Oparła stopę na kierownicy, chwyciła się zagłówka i zaczęła podnosić, by sprawdzić, czy da się przecisnąć przez okno. Poczowała dym. A także benzynę. Słyszała nawet ciurkanie paliwa z baku samochodu. Suv w każdej chwili mógł się zapalić. Przemienić w pomarańczową kulę ognia. Widziała takie sceny w telewizji i na filmach. Musiała się wy dostać, zanim do tego dojdzie. Pomyślała o Linku. Może już nie żył? Beth postanowiła się nim nie przejmować po tym, czego się o nim dowiedziała. Co zrobił. I zabił też Wayne'a.

Mój Boże! On zabił Wayne'a!

Wzięła głęboki oddech i znalazła siłę, by się podnieść. Przeszył ją ból w lewym boku, ale zrobiła jednak pewien postęp. Udało jej się uchwycić mocno wyścielany podłokietnik na drzwiach samochodu. Mogła się podciągnąć i sprawdzić, czy klamka nie jest zablokowana.

Wtem na jej kostce zacisnęła się, niczym pułapka, ręka Linka.

Przewrócony suv nie wybuchł. Przynajmniej na razie. Ale się palił. Z przedziału silnikowego wydobywał się szary dym, który jednak niknął pod baldachimem liści i czarnego nieba.

Quinn i Pearl zatrzymali się, gdy Beth Evans wyszła chwiejnym krokiem zza leżącego na boku wielkiego samochodu. Upadła na kolana.

Quinn szturchnął Pearl i dał jej znak głową. Odeszli na bok, gdy policjanci z patrolu zbliżyli się ostrożnie do kobiety. Wystarczyła chwila, by się zorientować, że w przewróconym suwie nikogo nie ma.

Wskazując na ślady krwi na ciemnych liściach, Quinn spróbował ustalić dalszą drogę Linka. Uważał, że w chwili gdy samochód się przewrócił, koła wciąż się kręciły.

- Link musiał być w szoku, nie rozumował logicznie. Chociaż wiedział, nawet jeśli się do tego sam przed sobą nie przyznawał, że to już koniec. Gdyby myślał jasno, gdyby odczuwał ból i zmęczenie, zatrzymałby się. Parę minut, a nawet godzin więcej nie miałyby już dla niego znaczenia...

- No i? - spytała Pearl.

- Mówię, zatrzymałby się. Zawróciłby już tam, na szosie. Ale on nie: próbował jechać jeszcze przez las, a gdy samochód się przewrócił, uciekł gdzieś między drzewa.

Kolejna syrena policyjna rozdarła ciszę. Link musiał wiedzieć, że jest otoczony. Nie miał już drogi ucieczki.

Quinn szedł przez las, a jego toporne czarne buty miażdżyły poszycie, oczyszczając drogę dla Pearl. Zaczęły im dokuczać komary. Choć zlany potem, Quinn żałował, że nie zabrał z samochodu marynarki. Jakiś komar próbował mu wlecieć do ucha. Quinn klapnął się po nim, a owad zaatakował z kolei jego nos.

Pewien odgłos kazał mu się nagle zatrzymać. Quinn poznał go. Stał bez ruchu, tylko powoli rozpostarł ręce, żeby dać sygnał Pearl.

- Ma strzelbę - szepnął Quinn. - Słyszałem, jak ją przeladowuje.

Pearl nie odpowiedziała. Stała jak słup soli. Nie reagowała nawet na komary.

Byli na skraju małej polany. Quinn domyślił się, że Link Evans ukrył się po jej drugiej stronie. Jego ucieczka dobiegła końca.

Zrobiło się głośno. Za Quinnem trzaskały gałązki. Nadciągała policja stanowa. Jeden za drugim, po obu stronach Quinna i Pearl, zaczęli się na linii drzew wynurzać policjanci.

Jakiś funkcjonariusz nazwiskiem Gulliver, który tu chyba dowodził, podszedł do miejsca, gdzie za dwoma blisko rosnącymi drzewami ukryli się Quinn i Pearl.

Gulliver był patykowatym facetem z wystającym jabłkiem Adama. Miał długie, chude nogi, więc górował nad resztą wzrostem.

- Myślę, że jest na wprost nas - powiedział Quinn cicho - i że ma strzelbę.

- O strzelbie wiemy - odparł Gulliver. - Zniknęła z suwa.

- A co z jego żoną?

- Trochę połamana, ale moim zdaniem, nic poważnego. Powiedziała, że Evans trzymał ją jako zakładniczkę. Chciał, żeby razem uciekli głębiej w las, ale

akurat myśmy się pojawili. Mówiła, że próbowała go przekonać, żeby się poddał, kiedy jednak się odwróciła, już go nie było. Zostawił ją.

- Jest ranna i spowolniłaby ucieczkę - zauważył Quinn - tymczasem pozostawienie jej spowolniło pościg.

- No tak. Oczywiście, nie był to nagły przyptyw współczucia. - Gulliver badał wzrokiem polanę i okoliczne drzewa, a także ciemny gąszcz za drzewami.

- Przypadł do ziemi - odezwał się Quinn. - Ma już dość. Myślę, że jeśli porozmawiamy z nim jak trzeba, to się...

Urwał. Nie wierzył własnym oczom: Link Evans wyłonił się spomiędzy drzew po drugiej stronie polany. Strzelba spoczywała w zagięciu ręki, lufą do ziemi, jakby polował na króliki. Wiedział widać, że nie ma już na co liczyć, i zamierzał zakończyć całą sprawę.

- Nie wygląda, jakby chciał słuchać czyichkolwiek rad.

Quinn ruszył się i wyszedł na polanę oświetloną słabym księżycowym światłem. Poczul jeszcze rękę Pearl na ramieniu.

Link Evans wyglądał na wyczerpanego. Koszulę miał podartą, zwisała mu w strzępach z ramion. Jego twarz była spocona i brudna. Ciemne oczy przypominały ślepią zaszczutego zwierzęcia. Tylko białka oczu połyskiwały w półmroku.

- Wykonałeś zły ruch... - odezwał się Quinn.

Link pokręcił głową.

- To bez znaczenia. Gra skończona.

- Możesz zachować milczenie, a wszystko, co...

Wtem spomiędzy drzew wyłonił się Wayne Westerley. Był zakrwawiony. Od Linka dzieliło go nie więcej niż trzydzieści stóp. W rękach trzymał policyjną strzelbę gładkolufową, wymierzoną w brzuch Linka. Wyglądał, jakby miał zaraz upaść, ale broń trzymał pewnie.

Link uśmiechnął się szeroko.

- Czasami modlitwy bywają wysłuchane...

- Niektórzy ludzie się modlą, a i tak idą do piekła - rzucił Westerley.

- Nie możesz pociągnąć za spust - powiedział Link.

- Jesteś zbyt uczciwy i głupi, by zabić męża kobiety, którą mu ukradłeś. To wbrew twoim zasadom. Wiesz, że postąpiłeś źle, więc nie zrobisz tego po raz drugi.

Westerley nic nie odpowiedział. Twarz miał zakrwawioną.

- Zamierzam zestrzelić z ciebie to gówno, szeryfie Westerley, bo ty sam, taki porządny człowiek, nic przecież nie zrobisz. Sam wiesz, że na to zasłużyłeś.

Strzelba Westerleya huknęła w ciemnościach. Pociągnął za spust dwukrotnie. Po strzale z tak niewielkiej odległości większość loftek uderzyła w Linka zwartym strumieniem. Jego ciało wyglądało tak, jakby się miało

przełamać w połowie. Zatoczył się, zrobił trzy kroki do tyłu i padł niczym szmaciana lalka.

Westerley stał nieruchomo i patrzył, jak policjanci otaczają kręgiem to, co zostało z Linka Evansa. A potem, wspierając się na strzelbie, usiadł ciężko na ziemi. Zobaczywszy, że podchodzą do niego Quinn i Pearl, wyznał:

- Sprowokował mnie, cholera...
- I o to mu chodziło - powiedział Quinn.

86.

Tymczasową bazę operacyjną policji stanowej urządzono w namiocie ustawionym koło domu Beth i Linka Evansów w Edmundsville. Quinn był tam razem z ekspertem śledczym Wellingtonem, przeglądali zawartość portfela Evansa. Znaleźli w nim karty Visa i American Express, prawo jazdy z Missouri, trzy wizytówki z nazwiskiem Evansa, kartę AAA, kartę ubezpieczenia medycznego i osiemdziesiąt sześć dolarów w gotówce, głównie w dwudziestodolarówkach.

W wytartej skórzanej walizce, znalezionej w bagażniku samochodu Linka, znaleźli lotniczą kartę pokładową i potwierdzenie lotu z Filadelfii do Kansas City.

To był ostatni lot w życiu Evansa.

Wypadłszy z kolein ścisłego planowania i rytuałów, Rzeźnik odszedł w głośniejszym niesławie, której tak wielu seryjnych morderców po cichu pragnie. Marzy im się spektakularna klęska ostatniej, najefektowniejszej próby przechytrzenia osaczającej ich obławy.

Chcą przegrać z fasonem, stać się celebrytami zła.

Beth obudziła się w szpitalu w Jefferson City. Żebra miała obandażowane, a prawe kolano uwięzione w plastikowych tubkach, uniemożliwiających zginanie nogi pod kątem większym niż trzydzieści stopni. To było dla jej dobra, bo każdy wysiłek, by ruszyć nogą, kończył się straszliwym bólem.

Wiedziała, że musi być pod wpływem jakichś prochów, bo nie potrafiła złożyć w całość żadnej myśli. Pamiętała ostatnią noc - o ile to rzeczywiście była ostatnia noc - pamiętała strach i przerażenie na widok zastrzelonego Wayne'a. Dzwonienie w uszach i zapach kordytu. A potem karkołomną ucieczkę suvem - i wypadek. Dalej była biała plama. I wreszcie znalazła się tutaj. Widziała stojak z kroplówką, a ból przeszywał ją przy każdym oddechu.

Do pokoju wszedł jakiś duży mężczyzna w wygniecionym szarym garniturze. Miał kościstą, na swój sposób przystojną twarz ze skrzywionym nosem i proste brązowe włosy, proszące się o grzebień.

Kiedy przysuwał krzesło, by usiąść przy jej łóżku, uśmiechnął się w zaskakująco miły sposób. Jego obecność zdominowała pokój. Beth przymknęła oczy, próbując dopasować tego człowieka do poszarpanych wspomnień z minionej nocy. On tam był - w domu i na miejscu wypadku. Była tego pewna.

Słyszała jego oddech i wiedziała, że mężczyzna jej się przygląda, sprawdzając, czy już nie śpi i czy jest dostatecznie przytomna, by rozmawiać.

- Jestem Frank Quinn - zaczął. - Detektyw z Nowego Jorku.

- Strasznie mnie coś boli w środku - odezwała się, nie otwierając oczu.

- Wiem. Ale pielęgniarka powiedziała mi, że jest pani wystarczająco przytomna, by porozmawiać - o ile nie jest pani zbyt zmęczona...

- Czy Wayne...?

W pierwszej chwili Quinn nie zrozumiał, o kogo chodzi. Ale zaraz się domyślił.

- Szeryf Westerley? Jest poważnie ranny, ale żyje. Lekarze mówią, że z tego wyjdzie.

- Mój mąż chciał go zabić. To znaczy Link. I myślałem, że chciał zabić także mnie.

- Zapewne.

Otworzyła oczy i spojrzała Quinnowi w twarz.

- A gdzie jest teraz Link? Nie pamiętam nic z tego, co nastąpiło po wypadku. Jest wiele rzeczy, o których powinnam wiedzieć...

Quinn odruchowo chciał ją poklepać po dłoni, ale wstrzymał się, widząc igłę kroplówki, wbity w rękę kobiety.

- Mam pani mnóstwo do powiedzenia.

Westerley jako pierwszy wyszedł ze szpitala. Lofteki ze strzelby utkwily w jego piersi i prawym ramieniu. Rany na ramieniu były najpoważniejsze. Jedna z loftek odbiła się od kości i zaledwie o włos minęła serce. Jeszcze

inna raniła go powyżej prawego ucha.

Gdy przyszedł odwiedzić Beth w ośrodku rehabilitacyjnym, dokąd skierował ją szpital, miał na sobie brązową koszulę z krótkim rękawem i wytarte dżinsy. Na nogach brązowe mokasyny, łatwe do wkładania i zdejmowania. Prawe ramię podtrzymywał temblak. Rozmawiali wcześniej przez telefon i wiedziała, że Wayne może już nigdy nie odzyskać pełnej władzy w ręce.

Beth podźwignęła się z krzesła na widok Westerleya, a on podał jej zdrowe ramię i pocałował ją. Spojrzała na niego i rozplakała się.

- Gdybym tylko coś podejrzewała... no wiesz... o Linku...

- Nie mogłaś nic wiedzieć...

Pomógł jej znów usadowić się na krzesle i wyprostować chorą nogę. Potem wziął jedno z krzeseł stojących w pobliżu i sam usiadł przy niej.

- Powiedzieli, że jeśli nie pomoże mi rehabilitacja, to będę potrzebowała sztucznego stawu kolanowego.

- Twoja noga, moje ramię... możemy z tym żyć.

- Nie lubię myśleć o tamtej nocy...

- Więc nie myśl.

- Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Czasami myślę, że byłoby dla mnie lepiej nic z tego nie pamiętać.

- Nie - odparł Westerley, dotykając lekko jej ramienia zdrową lewą ręką. - Lepiej stawić temu czoło i zostawić to za sobą. Nie zrobiłaś nic złego, nie masz się

czego wstydić. Oboje mieliśmy pecha, ale przetrwali-
śmy to i jesteśmy razem.

- Racja. Mogliśmy zginąć, tak jak tamte kobiety.

- Staram się nie marnować czasu na zastanawianie się „co by było, gdyby”. Teraz trzeba pomyśleć o tym, co będzie. - Pochylił się nad nią i pocałował ją w usta.

Kiedy usiadł, wyjął z kieszeni koszuli białą kopertę, złożoną na pół.

- Dał mi to Billy Noth. Przyszło z wczorajszą pocz-
tą. To są wyniki testów DNA tych próbek, które przeka-
zaliśmy do laboratorium. - Posłał Beth spojrzenie, z
którego nic nie mogła wyczytać. - Chcesz je poznać?

- A ty je znasz?

- Tak. Rozmawiałem z laboratorium telefonicznie.

- Poprawił się w krześle. - Zaufaj mi, nie ma powodu,
żebyś teraz to wszystko wiedziała.

Uśmiechnęła się.

- Czy sam nie mówiłeś przed chwilą, że lepiej sta-
wić czoło faktom, żeby je zostawić za sobą?

Opowiedział jej uśmiechem i pokręcił głową.

- Może i tak powiedziałem. Ale nie mówię tego
zawsze.

Z pewnym wahaniem wręczył jej kopertę.

Wzięła ją, ale nie otworzyła.

- Sam mi powiedz, co tam jest.

- Zbadali DNA Salasa, Linka, Eddiego i to z próbki
pochodzącej z miejsca gwałtu. Pasują do siebie tylko

próbki Eddiego i tego gwałciela. Nie ma mowy, żeby Link był biologicznym ojcem Eddiego.

- No i nie ma mowy, żeby to Vincent Salas mnie zgwałcił.

- O tym wiedziałaś już wcześniej, Beth.

- Ale nie wierzyłam do końca. Aż do teraz.

Oparła się na krzesło. Wyraźnie jej ulżyło. Ale była teraz zła na siebie.

- Tyle zamieszania i bólu tylko dlatego, że coś mi się zdawało.

- To dzięki twoim podejrzaniom zainteresowałem się Linkiem - przypomniał jej Westerley. - I to nas też połączyło.

- Ale sprowadziło cholerne kłopoty - przypomniała Beth.

Westerley wzruszył ramionami.

- To skomplikowana sprawa, Beth. Jak większość spraw w życiu. Trochę dobrego, trochę złego. - Zerknął na kopertę w jej dłoni. - Chcesz ją zachować na wypadek jakichś przyszłych wątpliwości?

Zgniotła nieotwartą kopertę w kulkę i oddała ją Westerleyowi.

To dotyczyło przeszłości. Już tego nie potrzebowała.

Westerley nie miał wątpliwości, że Beth będzie raczej polegać na jego słowie i nie zajrzy sama do koperty. W kopercie były dwa puste blankiety, które zabrał z recepcji. Prawdziwy raport z testów DNA, potwierdzający,

że Link Evans był gwałcicielem Beth i ojcem jej syna, spoczywał w tylnej kieszeni dżinsów Westerleya. Przed opuszczeniem ośrodka rehabilitacyjnego szeryf wszedł do toalety, podał raport na drobne kawałeczki i wrzucił do muszli. Beth nie musi wiedzieć, że Evans to biologiczny ojciec Eddiego.

A wiedza ta jeszcze mniej potrzebna była Eddiemu.

Smutne, ale co robić, pomyślał Westerley. Czasami najlepszym sposobem uporania się z prawdą bywa kłamstwo.

87.

Quinn siedział na swoim zwykłym miejscu w Lotus Diner i popijał trzecią kawę. Nie zauważył, że jest gorzka. Nie zwracał też uwagi na strumień przechodniów za szybą. Myślami był w zupełnie innym miejscu.

Harley Renz, tak jak chyba wszyscy zaangażowani w tę sprawę, był zadowolony z wyników śledztwa. Jednak teza, że to Link Evans jest Rzeźnikiem, tkwiła niczym oś w umyśle Quinna. Czasami budziła go w środku nocy. Leżał wtedy bez ruchu, słuchając oddechu Pearl, a jego mózg pracował jak internetowa wyszukiwarka, przeczesując przestwór eteru. Jak mógł dojść do prawidłowych odpowiedzi, skoro nie zadawał odpowiednich pytań?

Coś tu było nie w porządku. Wiedział to, ale nie rozumiał dlaczego.

Może dlatego, że zbyt wiele rzeczy nie miało dla niego sensu.

Próby zabójstwa Beth Evans i Westerleya miały charakter improwizacji - a przecież Rzeźnik nigdy niczego nie improwizował. Trudno zaś uwierzyć, by Link - jeśli naprawdę był Rzeźnikiem - planował zabójstwo swojej żony, które chciał potem zrzucić na Vincenta Salasa.

I gdzie się podział nóż do wykładzin, którym Rzeźnik miałby wyciąć Beth język? Taki skrupulatny planista jak Rzeźnik nie zadowoliliby się przecież jakimś zwykłym kuchennym nożem. Był zapewne szczególnie przywiązany do tego rytualnego noża, który nie służył mu do niczego innego niż tylko do kalectwa ciał jego ofiar. Tymczasem ani w domu Evansa, ani w pobliżu nie znaleziono tego narzędzia.

Można by właściwie ogłosić, że sprawa została rozwiązana, ale pozostało wciąż wiele niejasności.

Quinn zaczął drążyć z pomocą Jerry'ego Lido. Nie było to takie trudne, gdy tajemnice sekretnego życia Linka Evansa wyszły już na jaw. Lido wykorzystał swoje legalne i nielegalne możliwości do prześledzenia ruchów Evansa podczas jego wizyt w Nowym Jorku. Każdy, kto się porusza po tej ziemi, musi pozostawiać jakieś ślady, a Lido był specjalistą od odnajdywania takich śladów i podążania ich tropem. Nieważne, czy były stare, czy świeże, gorące czy zimne, papierowe czy elektroniczne.

Oczywiście, to robota czasochłonna i żmudna, ale kiedy wreszcie przyniosła rezultaty, wszystko zaczęło się zazębiać.

Rachunki za paliwo, tak jak za motele i posiłki w restauracjach, pochodziły z Long Island. W jednym z rejestrów motelowych znalazł się numer prawa jazdy Linka i numer rejestracyjny samochodu, którym przyjechał. Ale prowadziła go jakaś kobieta, a numer nie pasował do samochodu wynajętego przez Evansa. Więc tej nocy musiał korzystać z wozu owej kobiety. Na rozwiązanie tej zagadki Lido rzucił się jak wygłodniały drapieżnik.

Dla Lido tablica rejestracyjna była równie cenna, jak metryka urodzenia. Otwierała nagle jedne drzwi za drugimi. Nazwisko kobiety brzmiało Julie Flack. Miała czterdzieści trzy lata, mieszkała na Long Island. Jej mąż był sędzią sądu hrabstwa.

Dalej poszło już łatwiej. Posiadała konto na Facebooku. Umieściła tam swoje zdjęcie. Była atrakcyjną blondynką o szelmowskim uśmiechu. Miała córkę z poprzedniego małżeństwa, lubiła żeglować, robić zakupy i jadać na mieście. Najbardziej sobie ceniła kuchnię indyjską. Jej ulubionym filmem był *Niezapomniany romans* z 1957 roku, a serialem *Seks w wielkim mieście*. Nie znosiła niczego, co wiązało się z *Rodziną Soprano*.

Nie znosiła *Rodziny Soprano*?

Jerry'emu wydało się to zastanawiające.

Pięć minut po rozmowie telefonicznej z Lido, w trakcie której dowiedział się tego wszystkiego, Quinn zadzwonił do Julie Flack.

Numer kierunkowy wskazywał telefon stacjonarny, więc sam się przedstawił.

- O, wie pan, czekałam właśnie na telefon od człowieka, który zajmuje się konserwacją basenów - powiedziała Julie Flack.

- Ten człowiek na pewno zaraz zadzwoni - zapewnił Quinn. - A na razie ma pani mnie.

- W jakiej sprawie pan właściwie dzwoni? - W jej głosie słuchać było podejrzliwość, a może i niepokój.

Quinn postanowił zaatakować bez ostrzeżenia, póki jeszcze nie odzyskała równowagi.

- Powinniśmy porozmawiać o morderstwach Rzeźnika i pani związkach z Lincolnem Evansem.

Cisza w słuchawce.

- Przecież pani go *zna*... - dodał Quinn.

- To nie jest rozmowa na telefon. - W jej głosie nie było teraz szczególnego zaniepokojenia. Prawdziwa Miss Obojętności. *Pewnie już myśli o wezwaniu adwokata.*

- Mógłbym do pani przyjechać - zaproponował Quinn. - Siedlibyśmy nad basenem i porozmawiali.

- Nie sądzę. Człowiek od basenu będzie tu lada chwila. Musi coś zreperować.

- Usunąć przecieki? - *Już za późno.*

- Nie, są problemy z filtrem. Przepuszcza jakieś świństwa...

- To możemy się spotkać gdzieś indziej - powiedział Quinn.

- Świetnie. Może w barze w Medford Hotel? Powiedzmy, o szóstej po południu?

- Znakomicie.

- Proszę się nie spóźnić.

- A tak naprawdę, to jaki ma pani problem z basenem? - spytał Quinn.

Ale Julie Flack już odłożyła słuchawkę.

Quinn rozsiadł się wygodniej i uśmiechnął. Ta Julie Flack to niezły numer. Musiała być przerażona jego telefonem, a jednak zachowała spokój i udało jej się przejąć kontrolę nad rozmową, jakby to *ona* zadzwoniła do niego, burząc spokój jego życia.

Quinn nie mógł się doczekać spotkania z tą kobietą.

88.

A jednak to Julie Flack nie przyszła na czas do Medford Hotel. Dziesięć po szóstej, a ona dotąd się nie pojawiła.

Hotelowe lobby nie było przepelnione. Trzech mężczyzn z dwiema kobietami siedziało przy barze. Wyglądali na biznesmenów w podróży. Pozostali goście rozrzucony byli po sali; siedzieli samotnie albo w małych grupkach, zajmując łoże wyściełane czarną skórą.

Quinn wybrał jedną z takich łóż, w kącie lokalu, gdzie mogli porozmawiać w dyskrecji. Siadł tak, by widzieć drzwi, i czekał.

Wypił do połowy swoje martini, gdy jakiś niski, otyły i siwy jegomość w niewątpliwie drogim garniturze zsunął się ze stołka przy barze i podszedł do niego. Na twarzy miał uprzedzająco grzeczny uśmiech, a na szyi elegancki błękitno-złoty krawat. W dłoni trzymał z gracją szklankę z drinkiem - to była chyba szkocka albo burbon z lodem, bez wody.

Quinn zdał sobie sprawę, że ten facet musiał mu się przyglądać w lustrze nad barem.

Stanąwszy nad Quinnem, wyciągnął prawą dłoń.

- Jestem Morris Henshaw, adwokat pani Flack. Przysłała mnie tu, bym ją reprezentował.

Quinn nie był zaskoczony. W końcu Flack była żoną sędziego.

- Może pan ze mną rozmawiać, jakbym był panią Flack - zadeklarował Henshaw.

Quinn uścisnął chłodną suchą dłoń i zaprosił Henshaw gestem, by usiadł naprzeciw.

- Rozumiem. A zatem: od jak dawna sypia pani z seryjnym mordercą?

Uprzejmy uśmiech nie zniknął z twarzy Henshawa.

- Sam pan mi powiedział, że jest pan panią Flack - przypomniał Quinn.

- Wygląda pan na dżentelmena, który funduje paniom drinki - zażartował z uśmiechem Henshaw.

- No dobrze, panie Henshaw. Domyślam się, że pani Flack jest nieobecna, gdyż ma coś do ukrycia.

- Albo nie chce być niepokojona. Czy też zastraszana...

- Albo aresztowana...

- Czy ma pan stosowne pełnomocnictwa? - zapytał Henshaw. Oczywiście jak każdy adwokat zadawał tylko takie pytania, na które znał odpowiedź.

- Nie mam.

- No to skąd pani Flack może wiedzieć, czy jest pan tym, za kogo się pan podaje? Ma wszelkie podstawy, by obawiać się próby szantażu, gdyż sprawia pan wrażenie, że jest narażona na takie niebezpieczeństwo.

- Zgoda. - Quinn wyciągnął swoją legitymację i pokazał ją Henshawowi.

- No tak, teraz wiem, kim pan jest - rzeki adwokat, ledwie spojrzawszy na dokument. - Od dawna podziwiam pańską pracę... Ale czemu pan nie powie jasno, czego pan chce od mojej klientki i w czym moglibyśmy panu pomóc?

- Myślę, że pańska klientka znalazła się w poważnych tarapatach, panie Henshaw

Siwe brwi uniosły się w grymasie zdumienia.

- Coś takiego...

- Wygląda na to, że wdała się w romans z seryjnym mordercą, który zamierzał ją wykorzystać do zdobycia alibi, jeśli sam znajdzie się w potrzasku.

- A ten seryjny morderca, o którym pan mówi, jeszcze żyje?

Quinn pokręcił głową.

- A zatem dlaczego nazwisko mojej klientki miało by być unurzane w takich brudach? Mogę pana zapewnić, że ona nic nie wie o hipotetycznych pozamałżeńskich przygodach swojego domniemanego kochanka. Tak się składa, że jej mąż...

- Wiem, kto to jest. Sędzia sądu hrabstwa Aaron Flack. Czy jest pan także *jego* adwokatem?

- Jestem adwokatem rodziny - oświadczył Henshaw, pociągając ze szklanki. Przestał się uśmiechać.

Jego wodnistoniebieskie oczy wbiły się w Quinna.

- Czy pan... działa z motywów politycznych?

- Ani trochę - odparł Quinn. - Mój motyw jest znacznie prostszy: chcę poznać prawdę.

- To rzecz tak nieuchwytna...

- W pańskim zawodzie owszem.

- A jednak potrafimy zwykle uzasadnić jedną czy drugą jej wersję...

- Mnie chodzi o moją własną wersję.

- Chce pan zniszczyć małżeństwo i zrujnować karierę uczciwego sędziego?

- To zależy...

- Mówi pan jak człowiek, który zamierza podać swoją cenę.

- Zdecydowanie nie.

- Zatem jest pan idealistą.

- Można to i tak nazwać.

- Ale uważa się pan za przyzwoitego człowieka?

- Staram się. I rozumiem, że sytuacja jest delikatna.

- Mogę zaapelować do pańskiego rozsądku?

- Chyba nie.

- Zatem nie ma sensu podawać żadnej kwoty?

- Nie ma.

Henshaw dopił swojego drinka i odstawił szklankę na stół.

- A więc nic tu po mnie.

Wyjął parę banknotów z beżowego skórzanego portfela i położył je na stole. Było tego aż nadto, żeby zapłacić za drinki, nawet z hojnym napiwkami. Jowialny uśmiech zniknął z jego twarzy. Wyciągnął dłoń do Quinna.

- To była dla mnie prawdziwa przyjemność...

- Postaram się skontaktować z pańskimi klientami, panie Henshaw.

- Przekażę im, żeby byli na to przygotowani, detektywie Quinn.

- Nie robię tego bez powodu.

- Nic się nie dzieje bez powodu - stwierdził Henshaw. - Nic.

Quinn przypomniał sobie ciała ofiar, te wymyślne wycinanki z ludzkiego mięsa, rany po torturach, daremną nadzieję, przyszłość bez przyszłości.

Coś jednak z tego będzie.

89.

Quinn doszedł do wniosku, że najmądrzej będzie kontynuować śledztwo po cichu, żeby nikt nie mieszał się do jego pracy.

Nękanie Julie Flack z pewnością wywołałoby jakieś interwencje. Morris Henshaw już by tego dopilnował, a Renz i media szybko dostałyby cynk o poczynaniach Quinna. Poza tym Henshaw nie pozostawił złudzeń, że zrobi wszystko, aby udowodnić, że jego klientka pozostawała całkowicie nieświadoma intencji Linka Evansa. Byłoby wówczas bez znaczenia, czy Quinn się mylił, czy nie. Czy Julie Flack miała więcej wspólnego z morderstwami Rzeźnika, niż do tej pory odkrył Lido, czy też nie.

Teraz Quinn zastanowił się, co by zrobił, gdyby nie doszło do strzelaniny w domu Evansów. Doszedł do wniosku, że przesłuchałby człowieka, który niesłusznie trafił do więzienia za gwałt na Jane Nixon i który miał motyw, by ją zabić.

Mężczyzna ten nazywał się Scott Trent i przebywał w Nowym Jorku od chwili zwolnienia z więzienia rok wcześniej. Był zatrudniony w firmie Amalgamated Cartage i mieszkał przy Lower East Side.

- On jest teraz w pracy - poinformowała sąsiadka Trenta, gdy Quinn zapukał do drzwi jego mieszkania. Znajdowało się na drugim piętrze starej ceglanej kamienicy, która z jednej strony straszyla surową cegłą, gdyż przylegający do niej budynek się zawalił. Obecnie na tych surowych ceglach wisiała słowiała reklama Rheingold Beer.

Quinn odwrócił się, by przyjrzeć się co najmniej osiemdziesięcioletniej kobiecie, wychylającej się z półotwartych drzwi sąsiedniego mieszkania. Ubrana była w jakąś szarą suknię, obsypaną okruciami. Miała siwe włosy, długością pasujące raczej do dwudziestolatki, i twarz pomarszczoną jak dolarowy banknot, pozostający zbyt długo w obiegu.

- Nazywam się Cranston - powiedziała, przypatrując się Quinnowi zmrużonymi oczyma. - Pani Cranston.

- W pracy to znaczy gdzie? - zainteresował się Quinn.

- A kto go tam wie. Może prowadzi samochód, a może wygłasza gdzieś kazanie.

Quinn mignął jej przed oczami legitymacją w skórzanym etui, by zasugerować, że jest z policji. Ale wiadać było, że kobieta wzrok ma już słaby.

- To jest portfel? - spytała.
- Coś w tym rodzaju.
- Chce mnie pan przekupić?
- Pokazałem tylko swoją legitymację...
- A co mnie obchodzi pana edukacja?
- Tam jest napisane, kim jestem.
- A co mnie to obchodzi? - odparła pani Cranston.
- Jak pani uważa - powiedział Quinn. Poszukał wzrokiem aparatu słuchowego w uszach staruszki. Ale nie było go tam.

- Ja tam specjalnie nie przepadam za tym Trentem, tak jak za jego przyjaciółmi. Szkoda, że go wypuścili z pierdła. Wykrzykuje po nocy te kazania, jakby miał z tysiąc słuchaczy. Gdybym miała pieniądze, tobym sobie kupiła aparat słuchowy, ale po to, żeby go wyłączyć i zatkać sobie uszy. Już mi się niedobrze robi od tych jego krzyków i pierdoł o dobroci. Jak jest taki dobry, to czemu nie daje spać starej kobiecie?

- Hipokryta - zauważył Quinn.
- Hipopotam?
- A gdzie głosi te swoje kazania? No, oprócz własnego mieszkania...

- Na rogach ulic. Mówi, że w więzieniu znalazł wiarę. Jakby ktoś ją przypadkiem zgubił, a on znalazł... Raczej ukradł, bo więzienie to jedna wielka szkoła zło-dziejstwa.

- A na rogach których ulic się pokazuje?
- Skąd mam wiedzieć?

Quinn nacisnął klamkę u drzwi Trenta i stwierdził, że są zamknięte na klucz. Nie było co wchodzić bez zaproszenia pod czujnym, choć zamglonym spojrzeniem pani Cranston.

- Myśli pani, że on dziś pracuje?
- Truje?
- Pracuje, że jest w pracy.
- A cholera go wie.

Quinn podziękował pani Cranston za czas, jaki mu poświęciła, i wyszedł z kamienicy. Poczul ulgę, widząc, że jego samochód nie został ukradziony ani zdemolowany. Wydawało mu się, że pani Cranston wciąż przygląda mu się zza firanki w oknie. Ruszył do Amalgamated Cartage.

To było zaraz za Jedenastą Aleją, niedaleko doków. Amalgamated Cartage mieściło się w zwyczajnym, niemal pozbawionym okien budynku z płaskim dachem. Wyasfaltowaną przestrzeń wokół domu otoczono wysoką siatką z drutem kolczastym na górze, ale brama była szeroko otwarta. Nad rampą dla ciężarówek, ciągnącą się wzdłuż całego budynku, widniał szereg drzwi. Jedyne drewniane schody, prowadzące do pomalowanych na szaro stalowych drzwi, pozwalały się dostać do środka na własnych nogach.

Przy rampie stało z pół tuzina ciężarówek, zwróconych tylnymi drzwiami ku drzwiom załadunkowym. Widać było, że w środku panuje ruch - chodzili ludzie

i jeździły pomarańczowe wózki widłowe. Niektóre wjeżdżały z ładunkiem do naczep po łoskoczących metalowych mostkach. W kabinie jednej z ciężarówek, zakurzonego niebieskiego peterbildta, siedział kierowca. Sprawdzał coś w papierach przypiętych do podkładki. Nie zwrócił chyba uwagi na Quinna.

Quinn wspiął się po solidnych drewnianych schodach i stwierdził, że stalowe drzwi nie są zamknięte. Otworzył je i znalazł się w dużym magazynie, gdzie na stalowych regałach leżały głównie rolki czegoś tam, zapakowane w brązowy papier.

Ludzie zajęci ładowaniem takich rolek na dwie ciężarówki spojrzeli na Quinna, ale nie wykazali większego zainteresowania jego osobą.

Z kanciapy skleconej z dykty wyszedł jakiś postawny rudy mężczyzna w przyciasnych dżinsach i czarnym podkoszulku. Podszedł do Quinna rozkołysanym krokiem. Na muskularnym prawym ramieniu miał wielki tatuaż. W dłoni trzymał podkładkę do pisania z zaciśniętym piórem.

- Mogę w czymś pomóc? - spytał bez uśmiechu.
- Czy pracuje tu Scott Trent?
- Pracuje.

Quinn pokazał legitymację. Nie zrobiła większego wrażenia.

- Ty tu jesteś szefem? - spytał Quinn.
- Facet kiwnął głową.

- Muszę pogadać z Trentem, to wszystko. Nie zajmę mu więcej niż parę minut.

- W godzinach pracy jego minuty należą do firmy. Quinn zbliżył się do mężczyzny.

- Pracuję na zlecenie policji i nie przyszedłem tu dla żartów. Chyba że ty chcesz sobie ze mnie pożartować. Nie radzę.

Coś w jego głosie sprawiło, że szef Amalgamated spojrział uważniej na Quinna, a potem odpuścił.

Wzruszył ramionami.

- No dobra. Nie robi mi to różnicy. Trent siedzi w kabinie tej ciężarówki. Sprawdza listy przewozowe. W każdym razie powinien.

- Zauważyłem go, kiedy tu wchodziłem - powiedział Quinn. - Możesz mi o nim coś powiedzieć? - zapytał. Wydawało mu się, że tak właśnie należy zagadnąć szefa o jego pracownika.

- A co tu gadać... Trent pracuje od jakiegoś roku jako kierowca na długich trasach. Nie ma tu wysokiej pozycji. Bierze długie kursy, z których wraca w czwartki albo piątki. Weekendy ma wolne, a w poniedziałek znów rusza w trasę. Dzięki temu firma nie musi mu płacić za nadgodziny w weekendy. Spędza je tu, w mieście, gdzie mieszka... Słuchaj, ten facet jest wyświęcony na jakiegoś biskupa, czy coś w tym rodzaju. Gliny już tu były i z nim rozmawiały. On by na nikogo nie napadł. On się za nie modlił.

- Amen - zakończył Quinn. Skinął facetowi głową i ruszył do szarych stalowych drzwi.

- Tylko nie zabieraj mu za dużo czasu...

- Nie martw się. Wiem, że czas to pieniądz.

Ruszył wzdłuż naczepy zahaczonej na niebieskim ciągniku siodłowym peterbildta, a potem okrążył kabinę i zastukał do drzwi. Otworzył mu mężczyzna około czterdziestki, w szarych roboczych spodniach i czarnym T-shircie, takim jak szef, tylko z napisem „Amalgamated” na piersi.

Quinn machnął legitymacją, tak jak tamtemu.

Trent ledwie rzucił na nią okiem.

- Pogadajmy - zaczął Quinn. - Już rozmawiałem z twoim szefem...

- Nie mam za dużo czasu. Rano muszę być w Georgii z tym podkładem pod wykładzinę.

- Tak to jest, wszyscy się śpieszą - zgodził się Quinn.

Trent odłożył swoje papiery, wsunął długopis do kieszonki T-shirtu i wygramolił się z kabiny.

Quinn zauważył, że Trent ma na nogach brązowe martensy. Był wysoki i dobrze zbudowany, tylko trochę niższy od niego.

- Chodzi o Jane Nixon? - zapytał.

Quinn potwierdził.

- Już rozmawiałem z policyjnym detektywem - poinformował Trent. - Uznali moje alibi. - Pogrzebał w kieszeni na biodrze i wyciągnął skasowany bilet na

imprezę „Bóg jest moim dyrektorem handlowym”. Na bilecie widniał adres z Dolnego Manhattanu.

- A co to było?

- Rodzaj wykładu motywacyjnego. Słuchałem go tego wieczoru, gdy napadnięto Jane - powiedział lekko, jakby to załatwiało sprawę, a on mógł wrócić do pracy.

- Kierowcy ciężarówek są tak bardzo zainteresowani handlem?

- Nie. I to jest problem. Dlatego zainteresowałem się sprzedażą.

- Mówi ci coś nazwisko: Lincoln Evans? - spytał Quinn.

- No pewnie. To była wiadomość dnia.

Nagle telefon Quinna zaczął wibrować w kieszeni. Detektyw wyjął go niechętnie, ale gdy zobaczył na wyświetlaczu imię Pearl, pomyślał, że lepiej będzie odebrać. Przeprosił Trenta i odszedł o parę kroków.

Odwrócił się, ale nie na tyle, by stracić Trenta z oczu.

- Co jest, Pearl?

- Sprawdziłam dokładniej tego uniewinnionego gwałciciela Jane Nixon, tak jak mi kazałeś - powiedziała. - Facet jest zamieszany w parę śmierzących historii i używał fałszywych papierów na różne nazwiska, kupując i sprzedając kradziony towar. Jednym słowem: to paser, a Scott Trent to jego pseudo, którego używał podczas odsiadki. I używa go teraz, w Nowym Jorku, po zwolnieniu.

- Nie mów... - zdziwił się Quinn, choć postarał się, żeby jego głos zabrzmiał obojętnie, na wypadek gdyby Trent podsłuchiwał.

Przypomniały mu się słowa Trenta: *Rano muszę być w Georgii z tym podkładem pod wykładzinę.*

- Słuchaj, Quinn - ciągnęła Pearl. - To jest tak naprawdę były mąż Beth Evans, Roy Brannigan... - Dała Quinnowi chwilę, żeby ochłonął. - Podobno zgwałcił Jane Nixon niedługo po tym, jak zostawił Beth w Missourii i wylądował w Nowym Jorku.

- A co z testami DNA?

- Skazano go na podstawie zgodności grupy krwi oraz identyfikacji Nixon. Okazało się jednak, że to nie jego krew

- Czyli był niewinny...

- Przynajmniej tym razem. Podobnie jak mnóstwo tych kolesi, którzy wyszli dzięki testom na DNA.

Quinn ściszył głos i przekazał Pearl wiadomość, gdzie teraz jest. W razie czego będzie wiedziała, co zrobić.

- Uważaj na siebie - zakończyła rozmowę i rozłączyła się.

Trent - czy raczej Brannigan - nie ruszył się z miejsca, ale w jego wyglądzie zaszła jakaś zmiana, jakby był trochę spięty. Ciekawe, jak wiele usłyszał.

Quinn uśmiechnął się i wsunął telefon do kieszeni.

- Mam parę pytań w sprawie Jane Nixon - powiedział, sugerując, że Trent nie ma się czego obawiać.

- No wie pan, chodzi o tę kobietę, która oskarżyła pana o gwałt...

- Zostałem uniewinniony. DNA nie kłamie.

- No tak... Zgodnie z aktualnym stanem wiedzy, to tak...

- Co to ma znaczyć? - W oczach Brannigana pojawił się niepokój.

Quinn potrafił to odczytać.

- Posłuchaj, Scott...

Nie dokończył, bo Brannigan zadał mu potężny cios pięścią w żołądek, a potem poprawił podkładką do pisania w głowę.

Uderzenie w głowę nie zrobiło na Quinnie większego wrażenia, ale po ciosie w żołądek opadł na kolana, próbując złapać oddech. Brannigan rzucił się do ucieczki, a susy sadził jak jeleń.

Kiedy Quinn zaczął wreszcie łykać pierwsze hausty powietrza, stalowe drzwi otworzyły się i na szczycie pojawił się szef.

- Co tu się wyprawia, do kurwy nędzy?

Quinn próbował coś powiedzieć, ale wydał z siebie jedynie jakiś skrzek. Podniósł palec, by facet dał mu parę sekund.

Ten zszedł do połowy schodów i schylił się, żeby dokładniej przyjrzeć się Quinnowi.

- Pracownicy... parkują tutaj? - wykrztusił wreszcie detektyw.

- Nie, na parkingu z przodu.

- To jedyna brama? - Quinn próbował poruszyć głowę, ale nie bardzo mu to szło.

- Jedyna.

- To ją zamknij.

- A niby na czyje polecenie?

- Moje - odparł Quinn i wyciągnął z kabury swoją policyjną broń. - A jak to zrobisz, wracaj do środka i zamknij za sobą drzwi. Na klucz.

Gdy gość ruszył do bramy, Quinn z trudem podźwignął się na nogi. Trzymając w gotowości swój stary rewolwer, zaczął się ostrożnie przemykać wzdłuż szeregu ciężarówek, a od czasu do czasu zaglądał pod nie. Czuł, że z rozciętej skóry na głowie cieknie mu krew, ale to za krwią Roya Brannigana węszył teraz z całych sił.

90.

Roy Brannigan był przerażony. Ale jeśli uda mu się umknąć wzdłuż budynku i dotrzeć do miejsca w ogrodzeniu, pod którym można się przecisnąć, będzie uratowany.

Już w chwili gdy zobaczył Quinna, wiedział, kto to taki. Nie mógł dać się złapać temu wielkiemu detektywowi. Walnął go więc mocno, aż Quinnowi zapało dech - ale nie wiedział, ile czasu minie, nim detektyw się pozbiera.

Zadziwiające, pomyślał Roy, jak nagle wszystko zaczęło się pieprzyć. Jock Sanderson szantażował go w sprawie skasowanych biletów, a Roy miał coraz mniejszą ochotę mu się opłacać. Sanderson groził, że go wyda, a potem będzie sobie żył wygodnie w jakimś kraju, który nie ma umowy ekstradycyjnej ze Stanami. No, ale łatwiej to było mówić, niż zrobić.

Roy powinien jednak mieć alibi na wypadek, gdyby policja zaczęła jakoś wiązać wątki tej sprawy. Bilety

wyglądały przekonująco. Niektórzy ludzie lubili chować takie bilety na pamiątkę w portfelach. Oczywiście nie zabezpieczały go w stu procentach przed oskarżeniem o zbrodnię Rzeźnika, ale nie można ich było lekceważyć. Dawały całkiem niezłe alibi.

Tylko ten Jock Sanderson...

Po śmierci Linka Evansa Royowi wydawało się, że jest całkiem bezpieczny.

Wpadł na trop „przygód” Linka Evansa, gdy szpiegował go jako nowego męża Beth. Nigdy nie przegapił żadnej okazji, więc skoordynował swoje morderstwa, które popełniał jako Rzeźnik, z potajemnymi wizytami Linka u Julie Flack w Nowym Jorku. Wiedział, że Link odwróci od niego podejrzenia i będzie się wypierał pobytów w Nowym Jorku, w czasie których Roy mordował swoje ofiary. Oczywiście gdyby doszło do najgorszego, Julie dałaby Linkowi alibi, ale Evans zrobiłby niemal wszystko, by nie dopuścić do takiej sytuacji. Nie mówiąc już o tym, że zakochana kobieta to kiepski świadek.

Czubek buta Roya zahaczył o dziurę w asfalcie. Brannigan zachwiał się i mało nie upadł. Kolejny znak, że szczęście mu ostatnio nie dopisuje. Czuł, że jego serce trzepocze jak schwytywany w sidła ptak.

To się nie powinno zdarzyć! To nie fair!

Przecież Roy chciał tylko oczyścić ten świat z niszczycielek niewinnych mężczyzn. Takie kobiety dawały fałszywe świadectwo i były opętane przez diabła. Jak

jego żona Beth, która zrujnowała życie dwóch mężczyzn i urodziła syna - diabelski pomiot. Roy nie przewidział, że Szatan posłuży się szantażystą, by go udęczyć i pokonać. Albo że naśle na niego gliniarza dość upartego, by śledzić każdy jego krok i wszystkiego się dowiedzieć.

Roy poczuł nagle radosny przypływ nadziei. Nie powinien przecież nigdy wątpić w błogosławieństwo boże i swoją rolę narzędzia pomsty. Prawie mu się udało. Zaparkowane ciężarówki dawały dobre schronienie. Już widział narożnik ogrodzenia i wygrzebany pod nim - przez dzieciaki albo psy - dołek w ziemi.

Roy był wygimnastykowany i silny. Nie miał wątpliwości, że jeśli tylko dotrze do ogrodzenia, przeczłoga się pod nim i ucieknie z parkingu; wymknie się Quinnowi. Już miał przebiec ostatnie pięćdziesiąt stóp, gdy wystrzał z rewolweru sparaliżował go na chwilę. Odwrócił się i zobaczył Quinna, jakieś sto stóp dalej. Detektyw czaił się za maską zaparkowanego ciągnika. Każdy jego ruch był przemyślany. Opuścił głowę, ale oczy utkwili w Royu. Wyglądał jak anioł zagłady.

Roy zaczął się skradać w kierunku ogrodzenia, nie spuszczać jednak oka z Quinna i jego rewolweru. Broń nie była skierowana wprost na niego, lecz nieco w prawo i w dół.

Quinn strzelił ponownie. Tym razem Roy nie wzdrygnął się, ale usłyszał, że kula zadźwięczała o siatkę

ogrodzenia. Za siatką, po drugiej stronie ulicy, stały domy. Brannigan wiedział, że Quinn będzie strzelał ostrożnie, by go ostrzec.

Strzały ostrzegawcze.

Quinn mógł mu spokojnie wpakować kulę, jeśli tylko zbliży się do niego dostatecznie.

Ruszaj się! Ruszaj!

Roy cofał się dalej z gracją tancerza. Niemal płynął w powietrzu. Nie mógł oderwać wzroku od Quinna, który skradał się za nim powoli, lecz nieubłagane, niczym bokser skracający dystans i spychający przeciwnika do narożnika.

Roy zrozumiał, że nie będzie miał czasu, by przeczołgać się pod ogrodzeniem. Gdy znalazł się o jakieś dziesięć stóp od stalowego słupa, podtrzymującego siatkę, ściągnął z siebie koszulkę i rzucił ją na drut kolczasty, rozciągnięty na górze ogrodzenia. I błyskawicznie zaczął się wspinać śladem swojego T-shirtu.

Z początku jakoś mu szło, ale na górze kolce momentalnie poprzecinały cienki materiał, wbijając się w rękę Roya, zwłaszcza w prawą dłoń. Odwrócił się i zobaczył zbliżającego się Quinna. Pomimo bólu zdobył się na jeszcze jedną rozpaczliwą próbę uchwycenia ostatniego drutu na górze i przerzucenia ciała na drugą stronę. Nie myślał o tym, co robi. To były działania czysto instynktowne. *Musiał uciec!*

Drut kolczasty był jak ogień. Roy ze zdumieniem spostrzegł, że jeden z palców jego prawej ręki został prawie odcięty.

Usłyszał, jak Quinn półgłosem woła go po imieniu.

W porządku! Już wystarczy...

Roy rozluźnił uchwyt, a część jego koszulki oderwała się i spadła na asfalt razem z nim, kawałek zakrwawionej szmaty. Leżąc już pod ogrodzeniem, obwiązał nią sobie broczące krwią ręce. Quinn schował rewolwer do kabury i przykląkł przy Royu, jakby chciał się zdożyć na jakiś akt miłosierdzia.

Ale w oczach detektywa Roy nie dostrzegł miłosierdzia, tylko ciekawość.

- Skąd masz ten bilet? - zapytał Quinn.
- Stąd, skąd mam wszystkie inne - odparł Roy.
- Powiesz mi teraz czy później?

Roy zrobił to od razu, a potem opowiedział o wszystkim innym, nie kłopotząc się o to, co się stanie z Jockiem Sandersonem. Myślał trochę o swoich ekszoznach, ale niezbyt intensywnie. Miał przez nie same kłopoty.

Quinn myślał, że jest już po wszystkim. Pochylił się nad Royem, by poprawić zakrwawione strzępy koszulki wokół jego poranionych rąk.

I wtedy spod strzępów materiału wyrzał nóż do wykładzin. Dziwacznie zakrzywione ostrze błysnęło w wąskiej przestrzeni pomiędzy dwoma mężczyznami.

Quinn błyskawicznie osłonił się ramieniem, bo inaczej nóż przecięłby mu tętnicę szyjną i Roy miałby satysfakcję, widząc, jak jego prześladowca wykrwawia się na śmierć. Cięcie na ramieniu nabiegło zaraz krwią. Quinn cofnął się nieco i wyciągnął z kabury rewolwer. Brannigan spróbował jeszcze jednego cięcia, ale Quinn grzmotnął go rewolwerem na odlew raz i drugi, a potem wytrącił mu nóż z ręki.

Podniósł się z kolan, odłożył broń na asfalt, a potem zdjął koszulę i obwiązał nią sobie ranę na ramieniu.

Paska użył jako opaski uciskowej, zawiązując go mocno na bicepsie.

Roy znów schował poranione ręce pod zlepiiony krwią strzęp materiału, który był kiedyś jego koszulką.

Na kolanach i łokciach zaczął się czołgać w stronę leżącego na asfalcie noża. Quinn wiedział, o co chodzi Royowi. Zachowywał się jak prawie wszystkie bestie, które zostały seryjnymi mordercami. Brannigan chciał spektakularnego finału. *Sławy!* Wierzył, że Quinn musi go zabić, by przetrwać. Że innego sposobu na takiego twardego nie ma.

W pobliżu odezwały się syreny. Nadciągała policja. Roy nie miał wiele czasu. Ale dość, by spełnić swoje marzenie.

Zaparkowane ciężarówki zasłaniały ich od strony magazynu. Gdy Roy dosięgnął już prawie noża dłońmi obwiązanymi bawełnianą szmatą, Quinn podniósł

rewolwer i wycelował starannie. Trzy kule przeszły zakrwawione strzępy i dłonie Roya.

Brannigan znieruchomiał, a potem poturlał się po gorącym asfalcie i otworzył szeroko usta w cichym krzyku przerażenia i frustracji. Podciągnął kolana i przycisnął do ciała swoje zmasakrowane ręce.

- Obrona własna - wyjaśnił Quinn. - Chciałeś mnie jeszcze raz dźgnąć tym swoim nożem.

- To nie fair! - zawył Roy. - To nie fair, kurwa mać! Zastrzel mnie! Strzel mi w samo serce!

- Ty nie masz serca - odparł Quinn. - I nie będziesz już dręczyć żadnej kobiety swoimi przeklętymi łapskami. Ani z więzienia, ani na wolności.

- Pójdiesz do piekła!

- Może znajdziemy je jeszcze tutaj - odparł Quinn.

91.

- A więc to był cały czas Roy Brannigan... - powiedział z satysfakcją Renz, siedząc za swym wielkim, prawie pustym biurkiem. - Popelniał te morderstwa jako Rzeźnik, w przerwach między długimi trasami z wykładziną, a Linka Evansa wykorzystał jako frajera, bo Evans w te same weekendy przyjeżdżał do Nowego Jorku, żeby zdradzać żonę z Julie Flack...

- Jock Sanderson wpadł na to prawie od razu - przypomniał Quinn. - I użył Roya jako narzędzia do zabicia Judith Blaney, kobiety, która niesłusznie wysłała go za kratki. Sanderson dostarczał Royowi alibi. Ale cały czas planował, że wykorzysta to do szantażu. Ten mały skurwiel wykombinował sobie, że woli być zamężnym rezydentem gdzieś w Ameryce Południowej czy w innym tanim kraju bez umowy ekstradycyjnej ze Stanami, niż klepać biedę tutaj, pracując jako sprzątac albo cieć.

- No, ale nie zdążył na lotnisko - rzekł Renz. Otworzył szufladę biurka i wyciągnął z niej aluminiową tubę. Odkręcił ją i wydobyl cygaro, które zapalił zapalniczką wyjętą z tej samej szuflady. Wydał policzki tak, że upodobił się do olbrzymiej żaby, wydającej najgłośniejszy rechot. Ale nie zarechotał, tylko powiedział: - Wiesz, Quinn, jest taki jeden sędzia, który chce ci się dobrać do tyłka. Cóż, właściwie jego żona nie wpadła nawet w poważniejsze kłopoty z prawem, ale pietra ma jak diabli...

- Zrobiłem, co mogłem.

- Ten facet w takich sprawach nigdy się nie patyczkuje.

- No, ale pewien niezwykle popularny komisarz policji może mnie chyba obronić... - rzucił Quinn.

Renz uśmiechnął się, wydmuchując dym z cygara.

- Cwaniak z ciebie...

Wyjął cygaro z ust i trzymał je chwilę w palcach.

- Chcesz tego? Chcesz postąpić wbrew zasadom? No ale cóż, świętujemy aresztowanie prawdziwego Rzeźnika...

- Nie, dziękuję.

- Wrócisz do domu i zapalisz sobie swoje kubańskie cygaro. A ja zwołam na popołudnie konferencję prasową, opowiem, jak to nasza policja pod moim kierownictwem nigdy się nie poddaje, dopóki nie sprawdzi wszystkich tropów i nie znajdzie odpowiedzi na wszystkie pytania. Jesteśmy to winni opinii publicznej.

- Obejrzę transmisję w telewizji - skłamał Quinn. Napatrzył się na Renza już dość.

- Wykonałeś kawał dobrej roboty, Quinn. Gdybyś wciąż służył w policji, udzieliłbym ci oficjalnej pochwały. Ale sam chyba rozumiesz, że nie będę mógł w czasie konferencji wymienić twojego nazwiska... ani tej Julie Flack.

- Oczywiście, to twoja konferencja. Umacniasz swój polityczny tyłek.

Renz uśmiechnął się i zaciągnął się jeszcze raz cygarem.

Quinn i Pearl obserwowali, jak robotnicy dokonują ostatnich poprawek przy wykładzinie na górnym piętrze domu z piaskowca. Siwy mężczyzna przycinał jeszcze coś nożem przy listwie pod oknem. Wreszcie podniósł się z klęczek i uśmiechnął szeroko. Zerknął na Pearl i Quinna.

- Pięknie - pochwalił Quinn. - Naprawdę wspaniale.

Połąc beżowej wykładziny leżała równiutko, tworząc geometrycznie doskonałą przestrzeń, czekającą na zagospodarowanie. Za oknami, noszącymi ślady długiego trwania, szumiało i brzęczało miasto, ale grube mury domu redukowały te hałasy do subtelnego pogłosu.

- Te poprawki były cholernie potrzebne - ocenił facet od wykładzin.

Quinn się z nim zgodził.
Pearl ścisnęła lekko jego ramię.
- No, teraz to wygląda jak dom.